NOWE SZKICE LITERACKIE

PRZEZ

STANISŁAWA KRZEMIŃSKIEGO

Z PODOBIZNĄ AUTORA

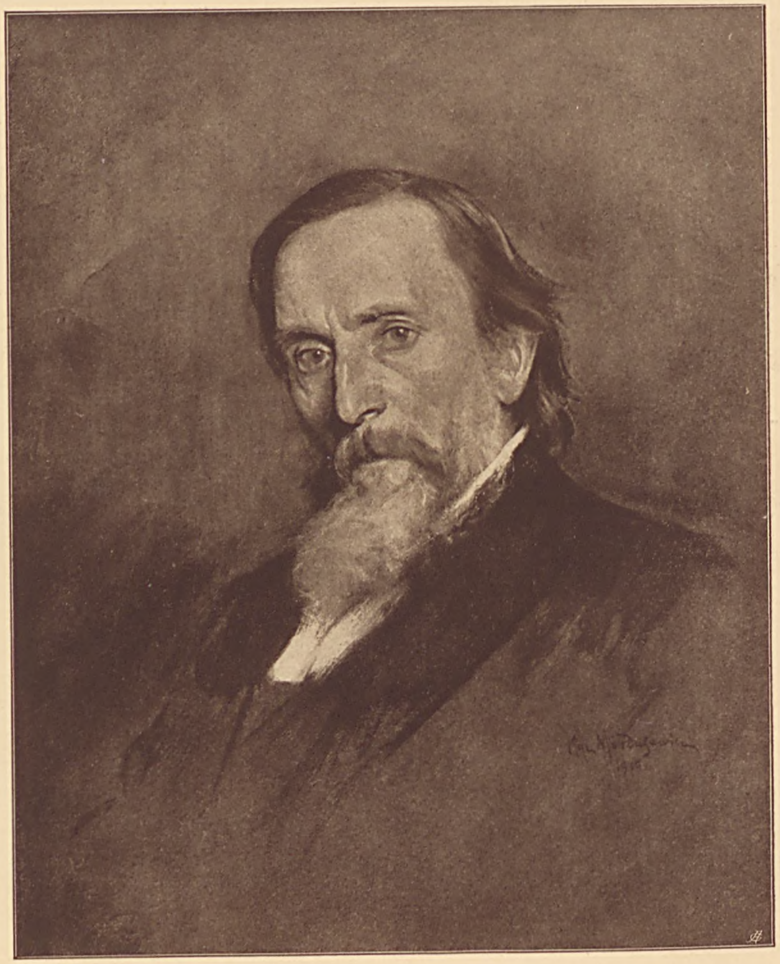
WEDŁUG PORTRETU K. MORDASEWICZA

WARSZAWA — GEBETHNER I WOLFF
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA — 1911

Wna Cecylja Niewiadomska na pamiątkę wspólnej pracy w „Stu latach myśli polskiej" przyjąć raczy d. 23 listop. 1911 r. od autora [illegible]

NOWE
SZKICE LITERACKIE

Z PORTRETU K. MORDASEWICZA FOTOGRAFOWAŁ W. DĘBSKI



NOWE
SZKICE LITERACKIE

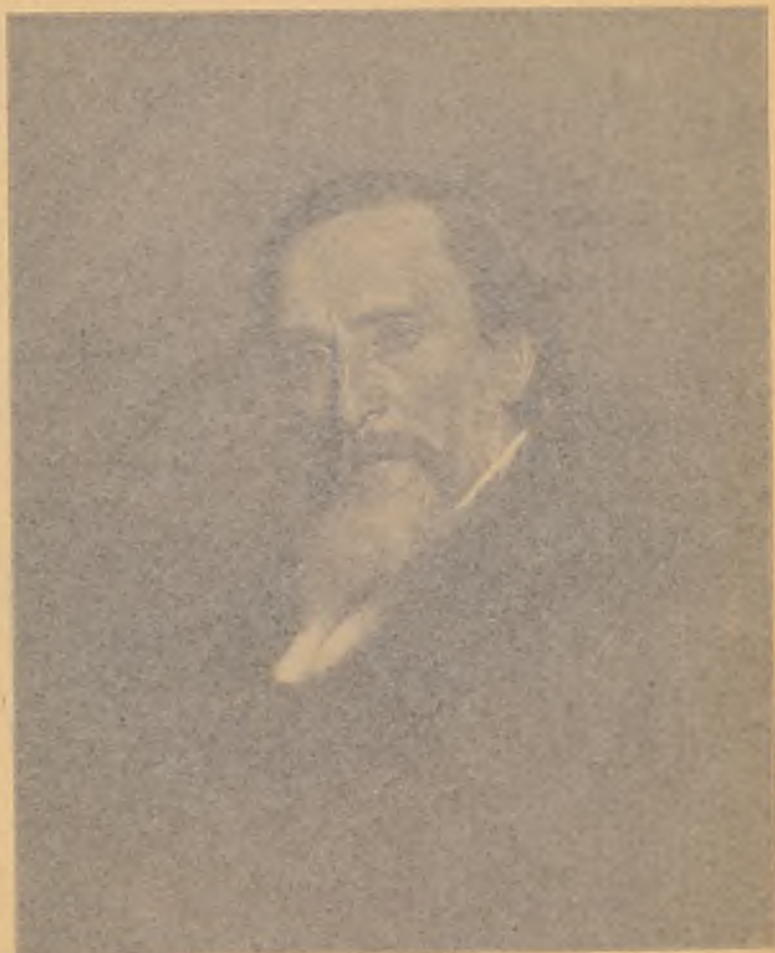
PRZEZ

STANISŁAWA KRZEMIŃSKIEGO

Z PODOBIZNĄ AUTORA

WEDŁUG PORTRETU K. MORDASEWICZA

WARSZAWA — GEBETHNER I WOLFF
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA — 1911



NOWE
SZKICE LITERACKIE

PRZEZ

STANISŁAWA KRZEMIŃSKIEGO

Z PODOBIZNĄ AUTORA

WEDŁUG PORTRETU K. MORDASEWICZA

WARSZAWA — GEBETHNER I WOLFF
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA — 1911

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

STANISŁAW KRZEMIŃSKI.

Życiorys pisarza, którego niniejszy wybór prac znajduje się w rękach czytelnika, należy zarówno do historyi literatury polskiej, jak i do historyi polskiej, a raczej przedewszystkiem do historyi polskiej, później dopiero do historyi literatury: uczestnik bowiem roku 1863 wyprzedził pisarza-publicystę, historyka i krytyka; a takie następstwo chronologiczne jest niejako symbolem charakteru i całego życia Krzemińskiego, który do dziś dnia jeszcze, kiedy już ósmy krzyżyk na barkach swych dźwigać zaczął, jest naprzód obywatelem, biorącym czynny udział w życiu narodowem, później dopiero pisarzem — piszącym o tem życiu narodowem, przeszłem zarówno, jak teraźniejszem.

Urodził się Stanisław Krzemiński w Warszawie dnia 16-go grudnia 1839. Po trzyletnim przeszło pobycie (1849—52) na pensyi Leszczyńskiego wstąpił do klasy V-ej ośmioklasowego gimnazyum realnego w Warszawie, kiedy nie przyjęto go, jako nieszlachcica, do gubernialnego gimnazyum filologicznego. Z nauczycieli najwdzięczniej w pamięci Krzemińskiego zapisał się profesor statystyki i geografii Zakrzewski (późniejszy rektor gimnazyum w Płocku), który zarówno swem rozmiłowaniem i oczytaniem w zakresie nauk historycznych, jak swym umysłem filozoficznym, swym wreszcie radykalizmem w poglądach społecznych i politycznych, wywarł silny wpływ na marzycielską duszę chłopca. Lecz nauka szkolna nie wystarczała Krzemińskiemu; od dziecka miał on pociąg do historyi literatury i języków, którym też dużo czasu pozaszkolnego poświęcał;

a po ukończeniu szkół (1856) tem goręcej oddawał się tym swoim ulubionym przedmiotom, o ile mu na to pozwalały objęte w r. 1858 obowiązki aplikanta w Komisyi Skarbu.

Niebawem rozpoczął się wpływ kształcący — życia. W roku 1858 zawiązał Krzemiński blizkie stosunki z kołem młodzieży Akademii medyko-chirurgicznej; na ten czas właśnie przypadają początki jego przyjaźni z Asnykiem, która przetrwała do samej śmierci poety (1897). Dla młodzieży akademickiej zorganizował u siebie Krzemiński zebrania tygodniowe; u niego to właśnie, z powodu zajścia o egzamina w Akademii, dokonał się rozłam tej młodzieży. Krzemiński stanął po stronie gorętszych i wybrany był do zarządu organizacyi młodzieży patryotycznej, której jednym z przewódców był Kurzyna. On to na jesieni r. 1859 pociągnął Krzemińskiego do Paryża, on też zapoznał go tam z Mierosławskim.

Kilkomiesięczny pobyt w Paryżu dał Krzemińskiemu możność zawiązania blizkich stosunków z emigracyą i dokładnego poznania emigracyjnej literatury demokratycznej; pod wpływem tych czynników umocnił się Krzemiński w swoich przekonaniach i uczuciach demokratycznych, którym do dziś dnia wierny pozostaje, a dzięki wykładom, słuchanym zarówno w »Collège de France«, jak w Sorbonie (St. Marc Girardin), wzbogacił znacznie swoje zasoby umysłowe.

Ale na tem nie poprzestał. Party żądzą wiedzy, wstąpił na jesieni r. 1860 na wydział filozoficzny uniwersytetu w Heidelbergu, gdzie się ponownie spotkał z Asnykiem; słuchał Mohla, Bluntschli'ego, Mittermaiera, Zöpfla, Rödera, Goldschmidta, Reichlin-Meldegga, Haussera; studyował głównie historyę powszechną i filozofię, nauki państwowe i prawo.

Lecz studya nie trwały długo: na wieść o wypadkach lutowych w Warszawie udał się Krzemiński do Paryża, a stąd, z instrukcyami Mierosławskiego, w Poznańskie, do Aleksandra Guttrego [1]). Z Poznańskiego powrócił do Warszawy, gdzie zabawił do końca grudnia 1861; dnia 15 października był obecny w katedrze na nabożeństwie żałobnem za Kościuszkę i tegoż dnia, wraz z Janem Maykowskim, został osadzony (na krótko) w cytadeli.

W końcu grudnia widzimy go znów w Heidelbergu. W lutym r. 1862 wyjeżdża z ramienia Mierosławskiego do Genui, by zażegnać spory i nieporządki w szkole wojskowej; ale nic nie wskórawszy, powrócił do Heidelberga i pracował spokojnie aż do grudnia r. 1862; prócz Asnyka, kolegami jego byli: Oskar Aweyde, Karłowicz oraz późniejsi profesorowie Szkoły Głównej: Antoni Białecki, Teodor Dydyński, Walenty Miklaszewski.

W końcu grudnia r. 1862 przybył do Krzemińskiego Kurzyna i nakłonił go do powrotu do kraju, dla uporządkowania organizacyi Mierosławskiego, która się chwiała, czyli, właściwiej mówiąc, składała się z niewielkiej gromadki ludzi (w Warszawie około Skierniewic, Rawy i w Płockiem); w rzeczywistości całym krajem władał już Komitet Centralny. Krzemiński rozejrzawszy się po przybyciu do Warszawy w sytuacyi, zrzekł się przeznaczonej sobie misyi, ale w Warszawie już pozostał. Brał udział w pracach Komitetu, ale pośredni, raczej prywatny.

Niebawem znów powierzono mu misyę — nakłonienia Mierosławskiego, aby przyjął dyktaturę i przybywał czemprędzej do kraju. Z Władysławem Janowskim wyjechał Krzemiński dnia 21 stycznia z Warszawy, przekradł się do Krakowa — w chwili, gdy już wybuchało powstanie, a z Krakowa do Paryża, gdzie stanął 25 stycznia 1863 roku. Nazajutrz, wraz z Kurzyną i Daniłowskim (którego wysłano do Mierosławskiego już z nominacyą na dyktatora), udał się do Mierosławskiego; ten zwlekał, kładł warunki, wahał się, ale wreszcie uległ i przyjął.

W drugiej połowie był Krzemiński już z powrotem w Warszawie. W marcu uczestniczył w pracach Komitetu Centralnego, ale do organizacyi nie należał; pomiędzy innemi opracował schemat hierarchii urzędów, nadający komisarzom wojewódzkim władzę — na wzór rewolucyjnej francuskiej; ustrój ten (data wydanego aktu dnia 28-go marca) obowiązywał przez całe powstanie.

W nocy z dnia 2 na 3 kwietnia (kiedy to uciekli Aweyde i Maykowski), aresztowano Krzemińskiego we wspólnem mieszkaniu (przy ulicy Żabiej 4) i osadzono zrazu w ratuszu, nazajutrz w cytadeli; odzyskał wolność dnia 23 kwietnia. W maju pisywał arty-

[1]) Część tych instrukcyi, przeznaczona dla Królestwa, dostała się w ręce Wielopolskiego, który ogłosił ją w »Dzienniku Warszawskim« (1862).

kuły do »Dziennika narodowego« Adolfa Henela. W czerwcu, na propozycyę Karola Majewskiego, powołanego do utworzenia rządu, wszedł do jego składu dnia 16 czerwca i pozostawał na stanowisku jego członka aż do 9 września; zaproponowanego sobie przez Majewskiego komisarstwa przy Czartoryskim, jako agencie pełnomocnym na zagranicę, nie przyjął. W rządzie zredagował ostatecznie manifest do narodu (31 lipca) i ułożył administracyjną organizacyę prowincyonalną (z dnia 6 sierpnia) w przewidywaniu pospolitego ruszenia (na dzień 18 sierpnia); był przeciwny ostrzeżeniu »Prawdy«, żądał ograniczenia władzy żandarmeryi, zwłaszcza partyzantów konnych; na posłanie 15-go sierpnia powinszowania Napoleonowi nie zgadzał się. Mając pod sobą prasę, jako wydział rządowy, kierował »Niepodległością«, organem rządu; kilka artykułów jest tam jego pióra. Podczas tego urzędowania poznał się ze Stosławem Łaguną, u którego (w mieszkaniu na Lesznie) odbyło się kilka posiedzeń Rządu Narodowego, a który przez czas krótki kierował wydziałem spraw wewnętrznych.

Dnia 30 września nowy rząd przed dyktaturą Traugutа zamianował Krzemińskiego dyrektorem prasy; obowiązki te pełnił Krzemiński za Traugutа do 8 grudnia; z tego to czasu pochodzi artykuł w »Niepodległości« (przedrukowany przez »Czas« krakowski), napisany po mowie francuskiej Napoleona, z dnia 5 listopada; tezą artykułu jest konieczność takiej organizacyi politycznej Europy, któraby narodom zapewniła niepodległość, a społeczeństwom wolność.

Po upadku powstania wstąpił Krzemiński (na jesieni 1864) do Szkoły Głównej na wydział prawa i administracyi; studya ukończył w r. 1867, lecz, nie mając widoków na praktyczny zawód prawnika, zaniechał magistracyi i wyjechał do Wronowa (w Lubelskie) na nauczyciela domowego; wszakże już na jesieni roku 1868 powrócił do Warszawy i odtąd zamieszkał tu już na stałe.

W roku 1881 wszedł do Biura statystycznego Blocha; uporządkował i spisał księgozbiór przy Urzędzie Starszych Zgromadzenia kupców, opracował wykazy z akt urzędowych, dotyczące skarbowości Królestwa, ułożył projekt wielkiego funduszu robotniczego na całe Królestwo, któryby zapewnił robotnikom emeryturę przy możności uczestniczenia w zyskach przedsiębiorstwa. W końcu roku 1885 Bloch przeprowadził w zarządzie nowej drogi Dąbrowskiej nominacyę Krzemińskiego na naczelnika sekcyi statystycznej przy wydziale kontroli, po roku jednak zmuszony był Krzemiński opuścić to stanowisko.

W życiu społecznem brał i bierze Krzemiński udział bardzo czynny. Pomiędzy innemi piastował przez pewien czas godność wiceprezesa Kasy Literackiej oraz członka Rady Nadzorczej Polskiej Macierzy Szkolnej. Po uorganizowaniu się w Warszawie Towarzystwa Naukowego bezzwłocznie powołano go na członka Wydziału języka i literatury.

Ta jednak praca społeczna nie przeszkodziła Krzemińskiemu do żywej i niestrudzonej, różnostronnej i płodnej działalności publicystycznej, naukowej, literackiej.

W 1869—1876 prowadził w »Kuryerze Warszawskim« przegląd polityczny; w roku 1871 objął redakcyę »Muzeum sztuki europejskiej«, zapełniając to wydawnictwo wyłącznie pracą własną: wyłożył tu mianowicie historyę sztuki do XVIII wieku w życiorysach i artykułach syntetycznych, usiłował też dać własną teoryę estetyczną.

W tymże roku został sekretarzem i kierownikiem działu literackiego »Bluszczu«, a w »Kłosach« objął nową rubrykę: przegląd prasy peryodycznej; współpracownictwo w »Bluszczu« trwało do roku 1895, w »Kłosach« do 1890. W obu tych tygodnikach umieścił Krzemiński najcenniejsze swoje prace krytyczno-literackie; z tych prac zaledwie tylko część ukazała się w wydaniu książkowem p. n. »Zarysy Literackie« (Część I, Warszawa 1895); mieszczą się tu, żeby wymienić tylko niektóre »zarysy«: rzecz o ideałach Carlyle'a, studya o Spinozie, o Szekspirze, o Byronie, charakterystyka Wiktora Hugo oraz rozprawa: »Rodzina, jako stowarzyszenie do szczęścia«, w której szlachetne poglądy etyczno-społeczne Krzemińskiego najpiękniejszy znalazły wyraz. Z rozpraw, nie wcielonych do »Zarysów«, zasługują na uwagę studya o »Dwu myślicielach« (Wolter i Russo), o psalmach u nas (z powodu przekładu Bujnickiego), o Al. Fredrze, J. I. Kraszewskim, M. Romanowskim, Sienkiewiczu, o Michale Aniele, o Matejce i Siemiradzkim i innych (niektóre z tych prac znajdzie czytelnik w niniejszej książce.

Wiele pracy włożył Krzemiński w 12-tomowe wydawnictwo Glücksberga (1876—8), opatrując poszczególne dzieła (np. Carrière'a »Sztuka i literatura w XVIII i XIX wieku«) w życiorysy i objaśnienia, a »Historyę Stanów Zjednoczonych« Laboulaye'a uzupełnił własnymi dodatkami (pomiędzy innymi: »Kościuszko w Ameryce«).

W r. 1884 objął Krzemiński (po Al. Rembowskim) w »Gazecie Warszawskiej« przegląd polityczny; jego to artykuły o gwałtach pruskich w W. Ks. Poznańskiem (Komisya kolonizacyjna) sprawiły, że Bismarck na dwa lata zakazał »Gazetę Warszawską« w Prusach.

W roku 1885 zaczęło się ukazywać w zeszytach pomnikowe wydawnictwo warszawskie p. n. »Złota przędza«; Krzemiński objął wraz z Chmielowskim jego redakcyę i szczęśliwie doprowadził je do końca (1887); pomiędzy innemi opracował wzorowo pod względem ścisłości historycznej i bibliograficznej życiorys i pisma Słowackiego.

W roku 1895 objął w »Prawdzie« wstępne artykuły polityczne, które pisywał aż do czerwca r. 1906.

W roku 1893 A. Pług wprowadził go do komitetu redakcyjnego »Wielkiej Encyklopedyi illustrowanej« od roku 1904 do dziś dnia jest Krzemiński sekretarzem stałym komitetu. Na łamach »Encyklopedyi« pomieścił cały szereg samodzielnie a w części i ź r ó d ł o w o opracowanych artykułów, jak oto o Guttenbergu, Hume'ie, Kolumbie, Egipcie (dzieje), Japonii. Ale nadewszystko należy wymienić takie prace, jak Index, Inkunabuły w Polsce, Komisye, Konstytucya 3-go maja, przyczynki do Królestwa Polskiego, Kętrzyński Wojciech, Kitowicz, Kraszewski, Krasińscy: Adam i Wincenty, Krajewski Aleksander, Konarscy, Ossolineum i Ossolińscy: Zbigniew i Józef Maksymilian, Ostrowscy: Tomasz, Antoni i Władysław.

W roku 1896 wydał przełożony i uzupełniony przez siebie »Zarys dziejów powszechnych« H. Egelhaafa (tom I: Starożytność); własną pracą Krzemińskiego jest tu mapa rozwoju terytoryalnego największych mocarstw Starożytności oraz tablica synchronistyczna, wiekami prowadzona.

We dwa lata później ukazała się jedna z najważniejszych pozycyi w dorobku naukowo-literackim Krzemińskiego: 5-tomowe wydanie pism przyjaciela młodości, Asnyka (Warszawa 1898); wzorowe to w całem znaczeniu tego wyrazu wydanie poprzedził Krzemiński biografią Asnyka i zaopatrzył (przy końcu tomu III) w niezmiernie cenne, niezbędne dla przyszłego monografisty El..ego, wykazy bibliograficzne.

W latach 1894—8 był Krzemieński korespodentem politycznym zrazu »Dziennika Poznańskiego«, następnie »Nowej Reformy«, przesyłając obu tym pismom stałe, peryodyczne »Listy z zaboru rosyjskiego« (pisywane początkowo przez, »Tadeusza Racławickiego« t. j. Bema). »Listy« te wyszły i w wydaniu książkowem (Poznań 1895 i Kraków 1896, nstp.) w dziesięciu seryach (trzy pierwsze są pióra »Tadeusza Racławickiego«, siedem dalszych — »Jana z Żarzewia« i »Narransa«, t. j. Stanisława Krzemińskiego). Wcześniej jeszcze, w roku 1892, drukował był Krzemiński w czasopiśmie lwowskiem »Ekonomista polski« swoje »Dwadzieścia pięć lat Rosyi w Polsce, 1863—1888«; wydanie książkowe (pod kryptonimem Dr. X*; są i egzemplarze zupełnie bezimienne) wyszło we Lwowie tegoż 1892 roku.

W zainicyowanem przez p. Cecylię Niewiadomską wielkiem wydawnictwie »Wiek XIX, Sto lat myśli polskiej«, bierze Krzemiński gorliwy udział, jako najczynniejszy współpracownik i współredaktor; większa część tomu I (1906) jest jego dziełem, mianowicie opracowania Staszyca, Kołłątaja, Czackiego, Albertrandiego, A. K. Czartoryskiego, Wybickiego, Matuszewicza, Al. Sapiehy; w tomie II (1907) jego pióra są pozycye: St. K. Potocki, J. S. Bandtkie, J. W. Bandtkie, Rakowiecki, Siarczyński, Surowiecki, Sołtykowicz, Chodakowski; w tomie IV: Joachim Lelewel i Maurycy Mochnacki; w tomie VI: Adam Jerzy Czartoryski.

W roku 1908 wydał Krzemiński pracę, p. t. »Komisya Edukacyjna« (Warszawa, Książki dla wszystkich), treściwy zarys dziejów tej wiekopomnej instytucyi, nie imponujący rozmiarami, ale imponujący bogatą treścią i zwięzłością, dokonany z niemałym nakładem wiedzy i trudu, a będący jedynym dotychczas całokształtem historyi Komisyi edukacyjnej (doskonała bowiem monografia Władysława Smoleńskiego omawia jedną tylko stronę działalności Komisyi — jej walkę z żywiołami wstecznymi).

W latach ostatnich (1909 i 1910) ogłosił Krzemiński w Sprawozdaniach Towarzystwa Naukowego w Warszawie, trzy przyczynki do życia i twórczości Kołłątaja: »Przyczynek do sprawy pochodzenia Kołłątajów i miejsca urodzenia Hugona«, »O poezyach Kołłątaja« i »O miejscu urodzenia Kołłątaja«.

Oto w ogólnych rysach obraz, a raczej nie obraz, tylko jakby ramy do obrazu życia i działalności Stanisława Krzemińskiego.

Człowiek to żelaznej pracowitości, o sercu gorącem, które nie zna i nie cierpi kompromisów, posiadający rozległą i różnostronną wiedzę historyczną i filozoficzną, wspartą przez pamięć fenomenalną. Zmuszony do ciężkiej, a rozpraszającej pracy na chleb, nie mógł w całej pełni zużytkować naukowo swych bogatych zasobów (nie zdołał jeszcze wykończyć obszernej monografii o Konarskim, nad którą pracuje od długiego już czasu). Ale i dotychczasowe prace Krzemińskiego posiadają wartość prawdziwą i trwałą; słusznie postąpił Komitet Kasy Mianowskiego, przyznając mu w r. 1907 premium z zapisu Pileckiego za znakomite biografie krytyczne w I tomie »Stu lat myśli polskiej«. Jego zaś »Zarysy literackie« i niniejszy wybór prac są dowodem i wyrazem nie tylko wiedzy i myśli, ale nadto gorącego serca: nie darmo nie komu innemu, tylko właśnie jemu, poświęcił Asnyk swoje »Wieczyste piękno«.

Ign. Chrzanowski.

Kochanemu Panu

Stanisławowi Michalskiemu

Twórcy »Poradnika dla Samouków«

ten zbiorek prac literackich

w upominku składa

autor.

Kto na kazanie dzwoni, ten go, rad nie rad, wysłuchać musi. Gdy zachęta Twoja, Zacny Panie, gdy Twoje zajęcie się serdeczne wydaniem w skutkach swoich przyniosły mi to, że artykuły zebrane z różnych czasów, a »Zarysami literackiemi« (Warszawa 1895) nieobjęte, przyoblekły się ponownie w druk, spada teraz na Ciebie, Drogi Przyjacielu, brzemię odczytania tego, coś pobudką swoją z pyłu przeszłości wydobył.

Na samym już wstępie spotka Cię zawód: nie znajdziesz tu tego, co w Tobie samym jest główną sprężyną ducha. Nie powita Ciebie myśl młoda, przez wiarę nieskończoność z siebie snująca, nie rozraduje marzenie o oczyszczeniu, podniesieniu, uszlachetnieniu istoty człowieczej, o doskonałości i szczęściu człowieka jako elementu energii w narodzie, społeczeństwie i ludzkości, per se już przyszłość ich w sobie niosącego.

Jeżeli w tym zbiorze prac drobnych, rzeczy konkretnie stężałych w przedmioty literatury, sztuki lub historyi, znajdzie się nieco idealizmu, nieco troski

o człowieka i wiary w człowieka — myśl jakaś zasadnicza, syntetyczna a dodatnia, to wiedz, że wydał ją z siebie już wiek późny, kiedy życie miało już czas wygnać z duszy przeświadczenie o możliwości szczęścia dla siebie i dla innych, rozwiać złote mgły prawd, chwytanych sercem i w sercu też raczej niż w umyśle się odkładających, a swobodę ruchów w rzeczywistości wewnętrznej zastąpić poznaniem, że w zewnętrznej na tym tu globie naszym nie wszystko, nawet po pracy i walce wieków, jest do zdobycia. Nie dziw się więc, Przyjacielu, gdy z tych oto kart powieje na Ciebie niewiara czy rozczarowanie.

Wspólna nasza praca w czytelniach ludowych Warszawy — praca niejednakowej miary: Twoja rozłożysta, trwała, głęboka, moja — skromna, sporadyczna — zostawiła mi po sobie na ostatnie dni życia wspomnienia niezgasłe. Pamiętam jak po jednej z obowiązkowych wizyt niedzielnych toczyliśmy ze sobą rozmowę o niedolach człowieczych, o ludzie wielkich miast, jego ciemnocie, książce i oświacie, o drogim zawsze Polakowi ludzie warszawskim, o chwilach jego świetności obywatelskiej, jego losie ciężkim, jego nędzy dziedzictwem z pokolenia na pokolenie przechodzącej, a wreszcie — w zwykłem takich rozmów zamknięciu — o niepodobieństwie dalszego trwania stosunków gnębiących ludzkość. Od Ciebie, Przyjacielu, pałał na mnie żar wiary, ze mnie iść musiał na Ciebie prąd zimny, aleś Ty go wówczas ani poczuł. Pamiętam dobrze com Ci w owej chwili mówił: doskonałości i szczęścia w układzie społecznym nie będzie nigdy, ale w doskonalności i równowadze jest przyszłość; trwałe polepszenie wyjść-by mogło tylko z samego człowieka; żadne zewnętrzne urządzenia, metody i systemata prawno-społeczne nie dadzą tego, co człowiek wydostać może tylko z siebie; szczęście, gdy się nie jest pensyonarką, pojąć można jedynie jako energię we wnętrzu człowieczem czystą, nazewnątrz człowieka swobodną; w takiej dopiero energii tkwi postęp organiczny, rzetelny, na takiej dopiero głębokości rozpocząć się może przebudowywanie świata; wszelki mechanizm bez oparcia organicznego runie, ale i najlepiej oparty nigdy doskonałym nie będzie; nigdy nie zniknie z ziemi krzywda, nie pierzchnie fałsz; zawsze ci, co przyszli, zapłacą za tych, co się stawić zaniedbali, zawsze pracowici i pilni znoić się będą za próżniaków i leniwców, zawsze nieszczęśliwi będą musieli cierpieć za szczęśliwych, a skromni, dobrzy i rozumni dźwigać odpowiedzialność za pyszałków, niegodziwców i głupców; egoizmu i samolubstwa ludzkiego nie spęta nic, a właśnie one są głównemi, bo najpowszechniejszemi, siłami rozpędowemi życia…

Lata, ubiegłe od owego wspólnego powrotu naszego z Czytelni Jakóba Giejsztora, do owego cichego bólu nad światem dosypały jeszcze wiele, wiele piołunów. Jaśniej jeszcze dziś widzę wyrok Przeznaczenia, które w sile mięśniowo-nerwowej, w zmysłowości człowieka zamknęło przekleństwo na jego ideały moralne. W jakąkolwiek wpaść mam otchłań, czy ciemności, która przedewszystkiem występuje przed świadomość bliskiej już śmierci, czy światła, którem nas darzyć usiłuje do kresu życia dochowana wiara, nie zdołam już pojąć optymizmu, pozwalającego umierać z doskonałym spokojem o naród, o społeczeństwo, o tych, co po nas zostaną i co po nas przyjdą. Co kochaliśmy

za życia, to chcielibyśmy kochać, mieć przy sobie za grobem — porwać ze sobą z ziemi, choćby na nieskończoną troskę, ból i mękę; a przedewszystkiem sami żyć-byśmy pragnęli, bo dobrze jest żyć, nawet w niedoli: tak wielkiem, pięknem, tak drogiem jest człowiekowi życie. Gdyśmy już raz znojną, niekiedy krwawą pracą myślenia i czucia stępili w sobie samolubstwo, okiełznali egoizm i zaprawili go pod szczepy idealizmu, nie chcielibyśmy już potem tracić owoców tego trudu, błogosławieństw tej miłości, o której Jan z Pathmos zostawił wspaniałe słowo: »większej niema nad tę, jak kiedy kto duszę swą odda za przyjacioły swoje«.

Ta żądza życia zagrobowego, ta moc odczuwania innych, ten dar pogrążania się w ogromy, w wielkie kręgi współistnienia — same przez się są już tak mocne, że starczyć nam mogą za nieśmiertelność, ale są one jeszcze za słabe, aby w nas troskę o owe »przyjacioły swoje« stłumić mogły. Albo się żyło bez ideału, albo zabiera się go z sobą w ostatniem tchnieniu jako tęsknotę do wszystkiego, co nas w siebie chłonęło, i troskę o wszystko, cośmy sami w siebie brali. I to jest tragizm życia i większy od niego tragizm śmierci. Od obu zabezpieczyć może tylko samolubstwo, bezmyślność, małość, płazowość istnienia. Kto żył z nieodstępną samowiedzą przynależności do wielkich ogromów świata, tego przy skonie wężowemi biczami smagają Erynnie — za tę właśnie samowiedzę.

Ale to nic: naprzód! Póki człowiek nie utraci zdolności do ideału, póki będzie mógł chcieć, myśleć i działać nie dla siebie i własną swą istnością przykładać się do życia owych ogromów, póty niech nie gaśnie nadzieja, że doskonalność natury człowieczej kiedyś, kiedyś pozwoli ze stosunków ludzkich wyprzeć przynajmniej ich ohydę. Najważniejszem tu zawsze pozostanie ćwiczenie człowieka w czystości pobudek do czynów dla zaprowadzenia, przynajmniej w mniejszościach, moralności rzetelnej na miejsce sławetnej kultury obyczajów, ułudnej i obłudnej, konwencyonalnej i etykietalnej, przez obyczaje, przez wstyd obyczajowy z egoizmu urabianej. Ćwiczenie to nieprędko da sprawność, bo łatwiej o rozum i wiedzę niż o prawe pobudki działania: trudno być silnym a czystym, trudniej jeszcze poznać, że czystość jest najlepszą siły rękojmią i warownią, jest już sama przez się dodatnio działającą siłą. My, Polacy, więcej o nią zabiegać powinniśmy niż inne narody, bo choć to prawda, że w nas waliły gromy piekielne, że nas tłoczyła okrutna nikczemność, że wilcze doły kopała przed nami zdrada, żadna jednak przemoc nie byłaby nam zgotowała straszliwego upadku, gdyby nie przewrotność i niemoc charakterów męskich w przymierzu ze skażeniem obyczajów ówczesnej kobiety polskiej.

Gdy rozważam entuzyastyczne zapędy myśli, widzę, że dziś marzenie o szczęściu ludzkości może być tylko walką z ludzkością o człowieka przyszłego. Toczyć ją ma prawo tylko czysta miłość człowieczeństwa w ludzie czy poza ludem — wszędzie, gdzie jęczy niedola. Wszelki interes polityczny, wszelkie zamysły i oczekiwania przewrotów czy reform ekonomiczno-społecznych trzymać trzeba zdala od placu boju: dbać tylko o człowieka, o czystość i świętość jego duchowego wnętrza. Z miłości poczyna się wszystko,

co żywe; w trudzie miłosnym począć się musi odrodzenie społeczeństwa. Szczupły nawet zastęp dusz silnych a mocnych, wytrzymałych na przeciwność, gotowych na ofiarę i nawet mękę — cudów dokazać może. Żywym testament.

W pięćdziesiątą rocznicę
d. 27 lutego 1861 r.

I.

POSTĘP I CZŁOWIEK

(1898).

Czy jest postęp? Młody pytanie takie uważa za bluźnierstwo. Staremu bluźnić wolno: czy jest postęp? W pytaniu takiem wyraża się nie sama tylko ciekawość rozumu. Żadna natura, bądź przecywilizowana, chora na nadczułość, bądź dzika jeszcze, niedostatecznie sheblowana przez cywilizacyę, bez serdecznego bólu postawić go nie może. Zowią ból ten pessymizmem — nazwa niezdarna, bez logicznego gwałtu pokrywa tylko liche zjełczenie z braku osobistego szczęścia, które człowiek miał bez własnej zasługi, a utracił z własnej winy, a że jej nie uznaje — narzeka.

Ten ból, co przy każdem zapytaniu o postęp się odzywa, musi mieć podnioślejszą przyczynę, dalej sięgający promień czucia. Koło, nim zakreślone, ogarnia naturę i Ludzkość, całość bytu w czasie i przestrzeni, i wszystkie nędze istnienia, i wszystkie zakryte i zagrodzone przed duchem ludzkim drogi — wszystkie nadzieje i rozczarowania, bunty i klęski, i całą tę wreszcie beznadziejność walki z rzeczywistością rzeczywistości orężem. Gdy życie nauczyło człowieka odrywać się od siebie, w świat patrzeć i tętna świata wyczuwać, nauczyło go zarazem i nad światem cierpieć. Pytanie: czy jest postęp? przestaje być wtedy bluźnierstwem; staje się prawem myśli dojrzałej do wątpienia, serca dojrzałego do odczuwania innych w sobie. Głupcy tylko schodzą ze świata wesoło. Ciężką jest śmierć, ale stokroć cięż-

szem życie. Dla tych, którzy przez ziemię nie prześlizgnęli się jak przez wywoskowany salon, rzeczywistość przeżyta jest ową platońską jaskinią: na ściany z ogniska, rozpalonego w tyle, za plecami, padają krwawe blaski, po ścianach przesuwają się cienie ogromne, poczwarne, jedne nad drugiemi skłębione; a człowiek nawet odwrócić się nie może, aby zobaczyć, co je wywołuje. W chwili, gdy nas wielka jaka tajemnica przytłoczy, wielkie jakie w Ludzkości bezprawie rozedrze, życie nie inaczej nam się kształtuje. Jest to pogląd serca, co cierpi.

A rozum? Rozum patrzy spokojniej, trwalej i pewniej. Na pytanie: czy jest postęp? przedewszystkiem odpowiada wytknięciem granicy pomiędzy myślą a życiem, następnie zaś co innego widzi w myśli, a co innego w życiu. Nieuctwo tylko lub ciasnota rozmyślna, samolubnego panowania nad umysłami pragnąca, przeczyć może postępowi umysłowemu. O umysłowych bankructwach prawić wolno tylko tym, którzy sami nigdy niczego dorobić się nie zdołali, uszanować nawet prawdy się nie nauczyli i żyją na łaskawym chlebie przesądu lub konwenansu. Dość tylko pierwszych lat nauki uniwersyteckiej, aby dostrzedz wielką, arytmetyczną różnicę między wczoraj a dzisiaj i szlachetną dla wiedzy zapłonąć miłością. Najmarniejszy dziś umysł w nauce więcej i lepiej wie, niż najpotężniejszy w starożytności. Możeby oni, ci starzy, ze swemi geniuszami zrobili więcej, gdyby robili dzisiaj; ale my mamy nad nimi wyższość dzisiejszości, przewagę wiekowej pomysłowości i wprawy. W wiedzy naszej są zdobycze nieodwołalne, niecofnione, które przetrwają, dopóki stanie człowieka na ziemi. Jeżeli z piersi męża naukowego wyjdzie krzyk: *Ignorabimus!* — to krzyczy w nim jego wyobraźnia, nie rozum. Nauka wprawdzie z natury, z form wszechbytu nie wydobywa nam tego, co w niej odczuwamy jako najmniej materyalną jej syntezę; nie pochwyci przewijającej się przez zjawiska nieskończoności: ale też wydobywanie takie i pochwytywanie nie jest powołaniem, obowiązkiem i celem naukowego rozumu. I gdyby nawet kiedyś okazać się miało, że w wyrozumiewaniu natury umysł ludzki tę wielką niewiadomą świata, od której zależy poznanie istoty bytu, przenosi tylko z jednej tajemnicy na drugą; gdyby, zamiast całości prawdy ostatecznej, wszystkie inne uogólniającej, otrzymywać

miał ciągle tylko coraz większy, ale nigdy niedocalony ułamek — jeszcze i wtedy zdobycze jego miałyby prawo do uznania, do czci tem głębszej, im boleśniejszym byłby wiekuisty niedobór rozumu upędzającego się po wszechświecie.

Ciemnym być potrzeba, aby obok postępu nauk przyrodniczych nie dostrzedz ogromnego wykształcenia się umiejętności historycznej, nauki o człowieku w najobszerniejszym zakresie, powstałej w naszym dopiero wieku, i lekceważyć całą naukę i wiedzę bytu uspołecznionego, która wzbogaca się codziennie i kroczy ustawicznie naprzód i wrócić się już z drogi nie może, bo wola, która ją w ruch wprawia i w ruchu utrzymuje, silniejszą jest niż wszystkie kataklizmy, społeczeństwom ludzkim grożące.

Wobec tych prawd zdrowego rozsądku owo bankructwo może być tylko głupstwem, które, ilekroć jeszcze się podniesie, zawsze samo siebie strawi. O teraźniejszy majątek, o przyszły dorobek i o samą rzetelność wrzekomego bankruta spokojnym być można. Postęp w wiedzy, widoczny dla wszystkich nieprzysłaniających sobie wzroku, w zastosowaniach jej zdumiewa. A jak żaden umysł niespętany i nieopętany nie wątpi o wyższości wiedzy dzisiejszej nad dawniejszą, tak w żadnym też nie powstanie wątpliwość: która z dwu sztuk jest wyższą, starożytna czy nowożytna. Ta, która jest naszą, ma i więcej wyróżniczkowania w treści i więcej doskonałości w formie, jest bujniejsza, głębiej sięga w człowieka; a to jedno już wystarcza do uznania jej za wyższą.

Tak jest w sferze myśli. A życie?

Buckle w literaturze naukowej, ogromna zaś większość ludzi myślących w głębi swej samowiedzy, postępu moralnego w dotychczasowej przeszłości nie widzi. I rzeczywiście w człowieku stadowym, w stadzie ludzkiem — niższym stopniu Ludzkości, — postęp ten, jeżeli jest, to chyba tylko pod drobnowidzem wykryć się pozwoli. Zagadnienie postępu sprowadza się tu do innego: do zagadnienia zmienności natury ludzkiej, zmienności kategorycznie, jak sam postęp, dodatniej. Czy zmienność wykazana już w formach zewnętrznych, organicznych, cielesnych, powtarza się też i w wewnętrznych — w całości bezwiednych popędów, któremi jedynie wypełnić możemy pojęcie natury

ludzkiej, nie tego lub owego osobnika, ale całego rodzaju, z samem istnieniem już mu danych? Natura ta pośrednio lub bezpośrednio odkłada się, osadza w dziejach, i dzieje też są jej sprawdzianem. Historya, odbijająca dzieje — a przynajmniej do odbijania ich w sobie powołana — jest księgą natury ludzkiej. Czy ją utrzymamy, tę naturę, na jej pojęciowym poziomie, czy też ją do potęgi ducha w niej działającego podniesiemy, zawsze wybłyśnie z niej człowiek jako rodzaj z prawem, trzymającem go w jarzmie, z wyrokiem skazującym go na pochód po tejsamej drodze w przyszłości, po której toczył swą przeszłość. Psychologia, zarówno jak i fizyologia człowieka w dziejach wykazuje ciągłą prawie tożsamość objawów, a więc i treści i siły je wywołującej.

Występuje przedewszystkiem życie obyczajowe. Obyczaje nie są wcale dziś lepsze, tylko lepiej ukrywane niż dawniej. W starożytności nie sam tylko Sokrates i nietylko on, gotów był żyć w szklanym domu: każdy przy danej wysokości uspołecznienia i cywilizacyi materyalnej do pewnego stopnia w szklanym domu żyć musiał. Dziś, gdy się widzi mniej wprawdzie rozbójników, ale więcej oszustów, złodziei i kłamców, gdy się patrzy na wciskającą się wraz z uspołecznieniem i cywilizacyą obłudę, gdy się słucha jęków prawdy — ze stosunków ludzkich wyganianej, — niepodobna jest nie zadać sobie pytania: Zali owo życie dawniejsze, lepsze czy gorsze, nie było od dzisiejszego organiczniejszem? Zali dobrych popędów uspołecznionej natury ludzkiej pod pozorem wyręczania ich, nie gnębią w istocie, nie wypierają mechaniczne urządzenia, których rozpędową siłą jest bezduszność? Cywilizacya, szerząc zewnętrzny porządek, niejako materyalizując ducha, wprowadza i w samo życie mechaniczność, powierzchność i materyalizm, a taki typ życia do podnoszenia natury ludzkiej przyczyniać się nie może.

Człowiek zbiorowy w innej jeszcze i inną żyje naturą. Samo współistnienie do owych żywiołów, zasobów i sił dodaje swoje własne. Obok natury zbudowanej przez demiurga świata staje natura budowana wciąż przez zbiorowego człowieka: natura społeczna. Składają się na nią porządki, instytucye, obyczaje, prawa, porywy i wstydy, skłonności i wstręty, ideały i upodobania, same wreszcie koleje życia, pochwytywane przez

historyą. Z tego wszystkiego powstają węzły łączące ludzi, ale powstają też i jarzma ich tłoczące i pęta, z których daremnie wyswobodzić się pragną, gdy je raz już dobrowolnie powkładali. Pęt takich jest coraz więcej, i coraz więcej być musi, bo życie ogólne różniczkuje się coraz bardziej, a każda różniczka przynosi nowe ogniwo. *Vis grata* kryminalistów odgrywa większą w życiu człowieka rolę, niż czysty do rozkoszy pęd i czysty od gwałtu wstręt. Świadomość rdzenna, filozoficzna ma w całym tym ruchu ludzkiego mrowiska udział nad wyraz mały. Najtrzeźwiejsi nawet przypominają nieraz pijanych; upajamy się nawet trzeźwością. Jeżeli usuniemy niegodne rozsądku pojęcie losu, człowiek przedstawi się nam jako produkt, nietylko woli i bezwiedności, wręcz — ślepych popędów i kaprysów własnych, ale też jako produkt woli i kaprysów najbliższego mu kręgu istnienia, w którym zbiegają się obie owe natury: społeczna w żywiołowej rosnąca.

W naturze społecznej najważniejszym w czasach nowożytnych jej czynnikiem jest państwo, ze wspólnym dla wszystkich strychulcem, i wspólną też na wszystkich miarą. Ono to przedewszystkiem, obejmując współśrodkowe koła obyczajowo-społecznego, ekonomicznego i kulturowego bytu człowieka, wtłacza w niego gwałtownie mechaniczność, nie dbając o siłę, skłonność, pobudkę, o samo nawet prawo istoty ludzkiej: wymaga tylko spełnienia pewnych zewnętrznych czynności, składania pewnych materyalnych znaków zależności, pewnych osobniczych wartości, potrzebnych dla tego całokształtu istnienia uspołecznionego, który samo wytwarza i podtrzymuje. Przez takie odrywanie promieni od ognisk, potoków od źródeł, przejawów od sił, istoty ludzkie znieprawiać się muszą. Sama już natura ludzka, naturę społeczną przenikająca i przez nią na jaw wyprowadzana, przejawiając się w wielości, wydawać z siebie musi kłamstwo i obłudę — pancerze przeciw znojnej zawsze rdzenności i prawdzie: ileż zaś jeszcze złego dodaje tu od siebie państwo!

A złe fałszu jest może większem od innych i silniejszą przejmuje trwogą. Gdyby się jeszcze nic nie zmieniało na lepsze, ale tu wszystko zmienia się na gorsze. Cywilizacya wszczepia nam kłamstwo: pełno go w instytucyach, prawach, w powoła-

niach, zdaje się, najczystszych, w naukach, wrzekomo prawdy poszukujących, w poezyi nawet i zachwycie, i w tej wreszcie świętości, wszystkie niedole i nędze życia człowiekowi opłacającej — w ideale. Płytkość, powierzchowność rodzić może tylko nieszczerość i obłudę. W żywiołowej naturze żyjemy organicznie; we własnej, społecznej, mechaniczność czyli fałsz jest prawem, któreśmy życiu swemu nadali. Wszystko tonie w konwencyonalizmie; od najpoważniejszych do najbłahszych zakresów współistnienia wszystko w nim nurzamy. Skądże się ma brać dobro w całości, gdy go niema organicznie wrosłego w części? Jeżeli życie w Ludzkości niema być kłamstwem, oznaczać może tylko zbliżanie się cząsteczkowe jednych do drugich, mocą wewnętrznej w nich siły, wtapianie pojedyńczych jestestw człowieczych w wielką istotę zbiorową, przetwarzanie człowieka podmiotowego na przedmiotowego, który, będąc z konieczności ilościowo większym od swego materyału, o tyle jedynie będzie i jakościowo od niego wyższym, o ile sam materyał i ponad ową pierwotną, żywiołową, biologiczną, i ponad następczą, społeczną, historyczną naturę wzbić się zdołał. Postęp, czyli doskonalenie się całości, potrzebuje doskonalności cząstek: a ta właśnie doskonalność ucieka wciąż przed umysłem, pragnącym rzeczy widziane dostrzegać i rozważać wielostronnie, więc ostrożnie.

Tensam egoizm, który, dostarczając energii, podtrzymuje życie, odejmuje mu czystość moralną i ład. Egoizm ten jest jedyną siłą rozpędową wielkiej gromady ludzkiej. Nie to, że człowiek siebie odczuwa, w sobie żyje, dla siebie zbiera, ale to, że poza siebie wyjść nie może, a z żądzy swojej czyni dla siebie prawo, nie pozwala stawiać tezy postępu moralnego. Świat dla egoizmu istnieje o tyle, o ile oś świata przez własny jego miąższ przechodzi. Ma i ziemia swą oś, i naokoło niej wiruje; ale ma także i swe słońce, i naokoło niego krąży: człowiek w gromadzie szczerze, organicznie, z własnej woli, niepoganiany niczem, obraca się tylko naokoło samego siebie; żaden ideał od grubych interesów egoizmu go nie oderwie. Typ takiego egoizmu, mechaniczności i płytkości, fałszu i obłudy nazywa się filistrem — specyalna zoologiczna odmiana jestestw w ziemskiej przyrodzie. Typ ten jest największą, nietylko obyczajowego, ale i społecznego postępu zawadą. I jeżeli potrzeba dziś jeszcze w bycie

ogólno-ludzkim krzyku *Ecrasez l'infame*, to tu. Zwierz ten wszystko żre, co napotka, a tępi, czego nie pożre, czego egoizm jego nie zdoła sobie przyswoić; więc przedewszystkiem to, co duszę ponad powszedniość, małostkową użyteczność i drobiazgowe dreptanie wynosi. Filister to tylko dobrze robi, co do komory swojej dla siebie zwieść może; wszystko inne fuszeruje: miłość, miłosierdzie, rodzicielstwo, obowiązek społeczny, naukę, oświatę, sztukę, wychowanie, samą wreszcie uczciwość. Przed nożem zmysłowej pospolitości, zbywającej i spychającej interesa nieswoje i nie-znikome, nie ostoi się nic.

Wpływ wychowawczy państwa, mimowolny, nieuchronny, sączący się jak skutek z przyczyny, jak stan z ośrodka, przejmuje nawskroś życie zbiorowe. Odśrodkowy egoizm jednostek, stadowy konwencyonalizm, ubierający się w papierowe hełmy i tarcze i drewniane pałasze dobra; mechaniczność państwa, nałóg i moda społeczna — wszystko składa się na to, aby nie było rzeczywistego, obyczajowego, w najrozleglejszym zakresie, postępu. Człowiek dziejowy, jako siła i źródło, stoi dziś na tymsamym punkcie, na którym stał za czasów Homera, który go znał już jako z istot ziemskich najnędzniejszą. Prawo międzyczłowiecze, jak prawo międzynarodowe, jest zbiorem przepisów etykiety, przyzwoitości, a człowiek-zwierzę po dawnemu na wielkiej, jak na tysięcznych małych arenach, szaleje. Zmalało tylko fizycznie, bezpośrednio działające i napawające się okrucieństwo lub zmysłowość — jak mówimy, obyczaje złagodniały, a stało się to pod policyjnym wpływem państwa. Mędrzec lub statysta, muskający tylko zadania życia, człowieka i świata, nie jest mniejszym fałszerzem od sklepikarza, niedoważającego biedactwu lichego towaru.

Arytmetyczna i przestrzeniowa Ludzkość, z całą tą swoją cywilizacyą i kulturą wygląda wciąż jeszcze jak przed wiekami: dzika puszcza, ryk i jęk, chrzęst i łomot, walka, rozbijanie i śmierć. Powierzchnia inna, łagodniejsza; głębie takiesame. Życie obyczajowe układniejsze, delikatniejsze, ale czy istotnie lepsze? Moralności równie mało, jak mało jej było przed wiekami; ale nikt nie będzie się jej dopominał od massy. Im dłużej się żyje, tem jaśniej się widzi, że moralność jest sztuką wytwarzania pięknych czynów i że potrzeba do niej taksamo

geniuszu i talentu, jak do poezyi, malarstwa lub rzeźby. Wolno wszakże od cywilizacyi domagać się uczciwości i prawdy, a jakże nieskończonym jest ten *cahier de doléances*, który właśnie tutaj troska o wszystkich podaje przeznaczeniu!

Czy zatem odmieniła się natura ludzka na lepsze, czy można mówić o jej doskonalności, o postępie? Jeżeli postęp jest, to z bardzo małym, zaledwie dostrzegalnym wykładnikiem, a gdyby już koniecznie stwierdzić go wypadło, to chyba tylko w obrębie zbiorowego, wieloosobowego sumienia. Przybywa stosunkowo coraz więcej dusz odczuwających złe, które jest, dostępnych dla marzeń o dobru, którego niema. Duszom niezdolnym rozstać się z nadzieją lepszej dla świata przyszłości słaby ten wykładnik doskonalności społeczno-żywiołowej natury ludzkiej wystarczyć musi.

Więc innej kotwicy już niema? Jest. W postępie wiedzy. Nie dlatego, aby wiedza sama przez się, bezpośrednio czy też w zastosowaniach swoich, miała uszczęśliwiać, t. j. wzniosłe trwogi koić, a skalę życia praktycznego podnosić, ale dlatego, że będzie coraz bardziej rozszerzała zakres czysto-myślowej działalności, oczyszczającej człowieka z małostkowego egoizmu, co-to — »goni za żywiołkami drobniejszego płazu« — i uduchowiającej jego istotę. Wpływ ten będzie bardzo powolny, ale nie być nie może. Choćbyśmy zupełnie o człowieku nerwowo-mięśniowym zwątpić mieli, pozostanie nam jeszcze wiara w rozum, który w człowieku i przez niego tylko istnieje. Z tej wiary płynie pierś rozgrzewające, tętno serca przyśpieszające przewidywanie, że nowe formy bytu, nowe mechanizmy uspołecznienia, które przyszłość z siebie wyda — nie będą miały charakteru, w stosunku do dawniejszych, wstecznego; że, owszem, zwolna, po przewrotach i nawrotach, przez góry i padoły, przez wybuchy i omdlenia energia rozumu ludzkiego wzbijać się będzie na coraz wyższy stopień działalności umoralniającej.

Prócz postępu umysłowego myśl wątpiąca o ogólnym, żywym a upragnionym, ma jeszcze jedną od zupełnego zwątpienia ucieczkę: do dusz wyższych, żyjących ideą i dla idei. Były takie dusze zawsze i będą, i z mocy samego prawa wielości i różnicy być muszą, bo gdyby nawet cywilizacya uspołeczniająca miała wielkie bryły na proch rozcierać, a z prochu nowe

kształtować, natura będzie od niej silniejszą i najwyżej zorganizowane istoty przed jej żarnami ocali. Właśnie z owej niezmiernie słabej zmienności natury ludzkiej wynika i stateczność tego jej objawu, który takie jednostki wyższe na świat, choć skąpo, wyrzuca. W największej, z czystego nasienia logicznego najbujniej rozrosłej, a przytem porządkiem i szczęściem ubłogosławionej demokracyi — jednostki takie tworzyć będą arystokracyę Ludzkości, a jak funkcyi tego świętego hufca żadne najsubtelniejsze nawet mechanizmy nie zastąpią, tak jego samego najstraszliwsze drapacze ze społecznego gruntu nie wyrwą. Lecz i tych drapaczy niema się co obawiać. Najobłędniejsza nawet energia społeczna może mleć tylko to, co z istoty swej przeznaczone jest na dziś: człowieka mającego coś do powiedzenia światu, coś do stworzenia na nim, we własnym interesie swoim zachowa dla jutra — a to jutro będzie przecież nieskończone, jak nieskończonym jest sam ruch uspołecznienia, cywilizacyi i kultury. Jedyna ta rzetelna, potrzebna i niezbędna arystokracya, wyższość swą wyrażając w genialności uzdolnień, w spełnieniach jej znowu, w czynach, okazywać się będzie coraz powszechniej człowieczą, coraz wielostronniejszą i głębszą. Pałace i zamki z czystej myśli, z form rzeczywistości, z materyi nauki i sztuki w oderwaniu od życia już jej nie wystarczą. Genialność z teoretycznej stawać się będzie coraz bardziej praktyczną. Obok geniuszu w stylu dzisiejszym pojawią się ukształtowane w stylu dobie dzisiejszej nieznanym. Ruch życia zacierać będzie przeciwieństwa pojmowania i odczuwania, przekonania i porywu, rozumu i wiary, aż wykształci w duchu ludzkim, w te wyższe genialne jednostki rozkwitłym, jednię sił i do najwyższej podnosząc go potęgi, przemieni w czujący rozum. Pracą tego rozumu stanie się, że coraz więcej ludzkości żyć będzie w człowieku kultury, coraz mniej człowieka żywiołowego dostawać się będzie do ludzkości. Geniusz, dotychczas główny pracownik w nauce, umiejętności i sztuce, pójdzie sam, dobrowolnie do ciężkich robót w kopalniach życia — i nie pozwoli na zupełną fuszerkę.

»Wiedza to potęga« — zapewne, ale potęgą jest i serce. Przyszłość wyda hasło: Z rozumem i sercem! I nie będzie się serca swego wstydziła pierś męska, dlatego, że pojęcie samo ośmieszyły westchnieniami swemi podlotki, że je maluczkość

życia rodzajowego spospolitowała i uczyniła czemś podniosłości duchowej niegodnem. Pod hasłem, wyrażającem istotną potęgę ducha, jako syntezy niezmysłowych sił i popędów człowieka, równolegle z uduchowianiem się umysłowem przez wiedzę, pójdzie czuciowe przez miłość człowieka dla człowieka, która z dzisiejszą naszą miłością nic zgoła wspólnego nie ma. To tylko, co jeden człowiek rzeczywiście dla drugiego odczuje i z koniecznością nieprzepartą spełni, będzie miało wagę, jako czyn filantropii, miłosierdzia, lub najogólniejszego a najgłębszego altruizmu. Na żadne udawanie, blichtry, surrogaty uczuć nie będzie w tej przyszłości miejsca. Zakon idei jest surowym, a życie pod sterem owych dusz wyższych takim tylko zakonem być może. Do idei sprowadza się wszystko, co jest: idea tylko jest rzeczywistością istotną, a nie to, co my banalnie rzeczywistością nazywamy. Człowieka, który ma przeżyć swoję klepsydrę pogrzebową, energia jego własna, pospołu z energią obracającego się kręgu jego istnienia, przetwarza ustawicznie na myśl i uczucie, a czyni to tak, że on sam tego nie spostrzega. I śmierć, ta dusicielka człowieka, staje się dlań rodzicielką, gdy, zdzierając cielesną powłokę z tego, co czuł i myślał, daje mu trwalszy od doczesnego żywot w pamięci tych, którzy po nim zostaną. Światem rządzą, nie ludzie, ale myśli i czucia ludzkie: postęp do tego właśnie dążyć powinien, aby jaknajlepsze rządziły jaknajlepiej.

Życie pod temi rządami takiem tylko być może, jakim będzie człowiek wewnętrzny w rdzeniu swych myśli i uczuć — człowiek prawdziwy, rzetelny, niesfałszowany przez konwenans, niezdziczały przez egoizm. Na nic się nie zdadzą najdoskonalsze, ale z zewnątrz zawsze tylko działające mechanizmy. Natura nikim się nie wyręcza, nikomu nie daje pełnomocnictwa do działania: i najgenialniejszemu nawet mechanikowi społecznemu praw swoich nie odstąpi. Odkopywanie człowieka wewnętrznego z pod życia rodzajowego, zastępującego ideę namiętnością żywiołową, rozbudzanie i rozjaśnianie jego samowiedzy znojem i czarem obowiązków społecznych, szczepienie na niej, nie westchnień i mar, ale poważnych ideałów, — będzie zadaniem owych dusz wyższych, w które więcej jeszcze niż

w umysłowy postęp wierzyć potrzeba, aby nie tylko trwać, ale i żyć, a żyjąc dla świata nie zamrzeć.

W marzeniu o przyszłości z tych dusz czystych, lgnących do człowieka, wytwarzają się hufce nowego rycerstwa, zastępy nowego apostolstwa i kapłaństwa: wychowawcy, nauczyciele i przewodnicy młodości, wiekuistego zdroju wszelkiego fizycznego i duchowego życia człowieczego na ziemi, pierwszego r u c h a wszelkiego ideowego postępu. Jakiekolwiek formy przybierze życie pospólne, rodzajowo-społeczne, przyjdzie czas, że rozum wyrwie funkcyę wychowawczą z niewoli zwyczaju i odda w moc idei, mądrości i umiejętności; niedbalstwo, niedołęztwo i lekkomyślność utracą prawa należące się trosce, sile i powadze największego obowiązku człowieka względem istot ludzkich. Dzisiejsze wychowanie wzbudzać może tylko żądzę urzeczywistnienia organizacyi, jaką Plato nakreślił dla swego arystokratycznego państwa wybranych.

Umysł, gdy o duchach wyższych marzy, ma wzrok nieruchomie utkwiony w taką organizacyę człowieka zbiorowego, która nietylko indywidualizmu ludzkiego miażdżyć nie będzie, ale mu rzetelne środki rozwoju i środki czynu zapewni. Postęp, któryby jedność pogrążał w wielości, sam skazywałby się na bezpłodność, niemrawość i barbarzyństwo, bo odjąłby sobie jedyne zasilające źródło — indywidualność i geniusz ludzki: byłby postępem — ale wstecz.

Świat człowieka na ziemi toczy się nieustannie ku konstellacyi racyonalistycznego idealizmu, w którym ideały nie tylko uznawać, ale i wytwarzać będzie rozum. Coraz większe uduchowianie się w nauce, umiejętności i sztuce coraz też głębiej przenikać będzie człowieka wewnętrznego, a jeżeli go tylko rozbudzić zdoła, już go temsamem i postęp moralny dla siebie pozyska. Stopniowo przyjść może — ale czy przyjdzie? — czas, kiedy w ogromie istnień ludzkich moralność przestanie występować jako sztuka pięknotwórstwa moralnego, spełnianego przez wyjątkowe tylko jednostki, a stanie się emanacyą okiełznanej, uporządkowanej, poprawionej natury ludzkiej, aż z mrowisk społecznych przeniknie i do puszcz wielko-dziejowych. Wtedy dopiero ustać będzie mogło panowanie gwałtu, bo gwałt nie znajdzie już ani czcicieli, ani narzędzi, ani widowni, i osamo-

tniony w ślepych popędach ludzkości zamrze. Poeta wtedy nie będzie potrzebował, jak dziś, wołać:

Napróżno chcecie wykluczyć gwałt
Z duchowej sfery istnienia:
On tylko nowy przybiera kształt
W głębiach ludzkiego sumienia.

On do sumienia ludzkiego w żadnym już kształcie nie wtargnie.

Mary! Czcze marzenia! A jeżeli nie, jeżeli w tych myślach tętni rzeczywiście przyszłość — czyliż nie trzeba drżeć o czas, aby się nie wlókł zbyt długo? Kto wie, czy nie wtedy dopiero dobrze żyć się nauczymy, gdy nam do życia wogóle sił już braknąć zacznie? Kto wie, czy nie jest to przekleństwem naszej natury, że dobroć i czystość wraz z egoizmem zabijać w nas muszą i energię do działania, i złym i dobrym zarówno potrzebną? A i owych ognisk i pochodni wiedzy, ołtarzy piękna, owych dusz wyższych, jakże jest i będzie mało na te miliony i miliardy istot ludzkich, które, podtrzymując życie ogólne, jednocześnie i na niem ciężą? Na tej ziemi nieraz największe smutki sączą się z największych radości.

Ale niepodobna o postępie tak zwątpić, aby nawet rozsądek mógł utracić przeświadczenie o rzeczywistości postępu ilościowego w nauce, wiedzy, umiejętności i sztuce, jako działu ogólnej kultury i cywilizacyi, a rozum nie widział, że postęp ten rozpościera się nietylko na ilość, ale i na jakość. Z owego ruchu kulturalno-cywilizacyjnego jako jego skutek wynika coraz ściślejsze zżywanie się człowieka z naturą poza-człowieczą, przestrzeniową, wyzyskiwanie jej, a w potrzebie i ujarzmianie. W zakresie stosunków między-człowieczych ten ruch, przerabiając człowieka podmiotowego, zjednostkowionego, na wspólny rozum i wiedzę, na popędy społeczne, prawa i instytucye, — z nich właśnie wytwarza kapitał, dorobek i formy istnienia Ludzkości. Taki biologiczny ilościowy postęp przez tysiące lat nie utożsami się z owym jakościowym, którego potrzebę wszyscy odczuwamy; wzbogaca jednak rzetelnie Ludzkość pewnemi dobrami narastającemi przez sam czas, a ułatwiającemi człowiekowi dobieranie się przez materyę do ducha: prawo, treść i cel życia w pojęciu

filozoficznem. Sam postęp materyalny bezwiednie toruje drogę duchowemu; ciężką pracę fizyczną zwalając na machinę, nie tylko wyzwala i usamodzielnia, ale i do innej, delikatniejszej powołuje. Postęp nauki, wiedzy i sztuki, uwarunkowany przez genialność i pracowitość toczy się niepowstrzymanie samą pożądliwością myśli, a ów cywilizacyjno-kulturalny ruch życia — życia tylko potrzebuje, aby być i tworzyć. »Jaknajlepiej« jest hasłem pierwszego; »jaknajłatwiej i najprędzej« — hasłem drugiego. Spełnia się też ów ruch łatwo i prędko; złe czy dobre, płytkie czy głębokie pobudki działań nic go nie obchodzą: idzie mu o sam zewnętrzny skutek działania. Choćby życie zbiorowe miało być jaknajgorszem, ruch musi być jaknajwiększym. Raz rozbudzone wyższe i niższe popędy nie ustają już w biegu. Ludzkość w ruchu jest jak wielki polip: w kim krew przyszłości poczuje, tego chwyta, wysysa na nową myśl, na nową formę bytu zamienia, a czego sama nie zużytkuje, to grabarzom — i historykom zostawia. Ale nad tym polipem w mrok spowitym pała daleka łuna ideału. W niej jest wszystko to, co cierpiący rozum ludzki na ukojenie swoje znaleźć może.

II.

HISTORYA

(1903).

W najogólniejszem i zarazem najrozleglejszem, a więc i w najmętniejszem, pojęciu jest wiadomością, powieścią, bajką o tem, co było i jak było. Wszystko — rzecz, istota, zjawisko każde ma swoją historyę rzetelną lub bajeczną, jawną lub utajoną, przepadłą lub ocalałą, — bo wszystko stawało się, działo i było i nic też bez dziejów, jako spełnienia się, i historyi, jako postulatu, pomyśleć się nie da. Przeszłość rozpiera się pod wszelką teraźniejszością, wpływa do wszelkiej przyszłości. Jak na wszelki byt składają się żywioły i formy już zamarłe i jeszcze niewyłonione, tak w każdej rzeczy, która jest, tkwią inne, które już były, i jeszcze inne, które dopiero będą. Niczego niema w bycie współczesnym z myślą jako w następniku lub skutku, czegoby nie było w minionym jako w poprzedniku lub przyczynie. A sama ta współczesność czy dzisiejszość jest tylko błyskawicą przejawu. Wszystko ciągle się staje i przemija, i dwa te typy ruchu składają się na ten stan spoczynku, przy którym o rzeczy mówimy, że jest, jest zaś tylko dopóty, dopóki może być przedmiotem naszego własnego wrażenia. Jedno mgnienie oka — i teraźniejszość kończy swe gody; koścista przeszłość wypędza ją za próg pałającego życia. Co przed chwilą było ogniem wrażenia, to już teraz może być tylko popiołem wspomnień.

Ciągłe stawanie się i przemijanie wypełniają dzieje tego świata, w którym człowiek jest pyłkiem, jak i tego, którego mia-

nuje się panem. Czystej, oderwanej teraźniejszości niepodobna przytrzymać: w heraklitowym potoku wszystko płynie. Wicher wiecznego ruchu pędzi istoty i zjawiska z jednej otchłani w drugą. Tylko wszystko rzeczywiście jest, to zaś z czego się składa, atom bytu, zaledwie się stanie, już przemija, i chwila każda zanim zdąży zawołać »jestem!« zapada w bezmiar czasu, dla którego rozum nasz, jak i dla przestrzeni, z równą mocą domaga się nieskończoności, z jaką wyobraźnia ją odpycha.

Wszystko, co się stało i działo w formach przestrzeni i czasu, w naturze i w myśli, w organizującym duchu i w organizowanej materyi, w kropli wody i w oceanu ogromie — wszystko ma, musi, powinno mieć swoję historyę. Odpowiednio do zewnętrznej rzeczywistości, którą poznajemy, ta wewnętrzna rzeczywistość, która w nas poznaje, tak jest ukształtowana, że się we wszystkiem historyzmu domaga: funkcye też historyi tkwią w przeznaczeniu naszego umysłu. Wszystko mogło mieć swoję historyę, bo miało swe dzieje; ale dla niezliczonych milionów istnień, zjawisk, stosunków, stron i momentów bytu historya ta wciąż przepadała i w oczach naszych przepada.

Człowiek, sam jeden do wytwarzania lub odczytywania historyi powołany, miałżeby dbać o jakąś tam saxifragę, przytuloną do skały, o tygrysa, który mu nie powie, ile żywych istot rozszarpał, o puszczę, w której wieki całe dla nieogarnionej wielości jestestw znajdowały kolebkę bez człowieka-niańki i cmentarz bez człowieka-grabarza? Całe obszary bytu mają historyę zamkniętą w dwu tylko słowach: życie i śmierć. Ale wszystko co żyło, co się w człowieku i poza człowiekiem stało, ma do historyi prawo, bo wszystko tworzy jeden tylko byt, jak jeden jest tylko przestwór i jeden czas na stawanie się i istnienie wszystkiego. Historya obejmuje całość ruchu i życia świata: wspaniały rozmach jej skrzydeł sięga po wszystko, co było.

I po wszystko też, co jest. Historya nietylko uzupełnia określenie rzeczy: ona je dopiero rozjaśnia i kształtować pozwala. Wtedy dopiero poznajemy — na miarę naszej siły poznawania — dany przedmiot — kamień, człowieka, czy instytucyę — gdyśmy poznali jak każdy z tych przedmiotów myśli naszej powstawał, co się w nim i z nim działo, zanim się znalazł w swoim przejawie obecnym. Bez historyi obywać się może tylko wiedza za-

czątkowa. Dopiero ciekawość — jak? wyciska na niej znamię nauki; a ilekroć niezaspokojony poznaniem umysł ludzki wytwarza hypotezy, każda z nich zawiera w sobie elementa historyi. Czy wyrozumieć chcemy skałę czy roślinę, szkielet czy żywą istotę, mikroskopowe żyjątko czy nieskończoność nieba — zawsze z opisem łączyć musimy przynajmniej usiłowania historyi. Według Comte'a żadnego pojęcia nawet wyłuszczyć niepodobna bez jego dziejów.

Naiwną, zapewne, wydaje się nam dzisiaj nazwa »historyi naturalnej«, dawana niegdyś naukom opisującym przyrodę, ale ta naiwność ludzi dawnych ocierała się bezwiednie o prawdę: przez poznanie okiem do poznania rozumem, a jak przez analizę zjawisk złożonych do prostych, przez formy bytu do pierwiastków bytu, tak i przez opis do historyi. Współczynna działalność analizy i historyi zapewniała lepsze pragmatyczne lub tylko hypotetyczne wytłumaczenie bytu, dokładniejsze ujęcie jestestwa.

W naukach o człowieku historya ma znaczenie bezwzględnego ich współczynnika, i bez metody historycznej niczego wytworzyć w nich niepodobna. Wyższą jest jeszcze jej doniosłość dla życia. Jeżeli energia przetwarzająca formy dawne najsilniejszy rozpęd bierze dla siebie z potrzeby i żądzy, nieprzepartą też moc nad człowiekiem, który te formy przetwarza, mają podniety, uczucia, myśli, idealne widzenia historyi. I więcej jeszcze: węzłom gwałtownie zadzierzgiwanym w dziejach przez ideał lub namiętność historya w sądach swoich, w prostym nawet przedstawieniu rzeczy, przynosi momenta logiczne do kojących rozwiązań.

Historya człowieka, gdyby mogła być całkowitą, w roztoku i głębi swej pełną, doskonałą antropohistoryą, musiałaby objąć Ród Ludzki w całości przestrzeni i czasu, w powszechności sił, form i kierunków jego życia w ogólnie-rodowem i w szczegółowych, narodowych skupieniach. Lecz takiego zadania spełnić ona nie zdoła. W schemacie czasu wyręcza ją u wszelkich początków geologia z archeologią, antropologią i etnologią; w schemacie przestrzeni niema historyi nic, co jej sobie samo nie wytworzyło.

Ograniczenie jakościowe jest o wiele dotkliwszem. Rozle-

głość widzenia, głębokość badania — wiedza rozumna znajduje się dopiero w zaczątkach. Wspaniały rozmach skrzydeł nieprędko jeszcze da doskonałość lotu. Wciąż jeszcze widać przewagę wypadków zewnętrznych, zjawiskowych, nad wewnętrznemi, po istność sięgającemi; w pierwszych zamało uwzględnia się fakta biologiczne, w drugich — psychologiczne. Wciąż jeszcze historya zanadto jest stężałą, mrozem mijającego czasu ścinaną polityką, a w niej znowu dyplomacyą; wciąż jeszcze fakta polityczne, państwowe i rządowe, przytłaczają inne, rdzennie przecież do życia należące, fakta z zakresu fizyologii, ekonomii i psychologii zbiorowej. Również do przyszłości jeszcze należy przejęcie się tą prawdą, że opowiadanie o życiu niepodzielnem być musi jak życie samo. Zawsze i wszędzie najłatwiejsza, mechaniczność bruździ wciąż w dziejopisarstwie syntetycznem, do którego przedewszystkiem stosujemy kanony historyki. Zdawałoby się, że czas na takie dziejopisarstwo jeszcze nie nadszedł: w tak wielkiej liczbie wypadków ułomną, gwałtownie sklejaną bywa historyczna synteza. Mało dzieł stanąć może bez wstydu obok Macaulaya Historya Anglii. Tu to już jest Anglia, kraj i ludzie, wypadki i pojęcia, zasady i namiętności, — ruch, życie, — dusza angielska.

Przewaga polityki w historyi daje się wyrozumieć. W gromadzie biologicznej człowiek żyje bezwiednie; ale o tem wie, że ma państwo, to tylko czuje, że dzięki państwu stał się społeczeństwem i narodem. Dlatego, gdy mówimy »historya«, wyraz ten sam przez się oznacza historyę państwową, polityczną, zależną od istnienia potęgi i woli państwa i organizowanej przez nie zbiorowości. Leniwo szła historya od kroniki wypadków jaknajzewnętrzniejszych do coraz pełniejszego przedstawienia dziejów państwa i oddziaływania jego na społeczeństwo i nawzajem społeczeństwa i narodu na państwo, aby wreszcie podążać do ideału historyi ubiegłego życia i stać się kiedyś zarazem społeczną, biologiczną i psychologiczną.

Rozważana w istocie swojej historya jest wiedzą gromadzoną przez pamięć, porządkowaną przez rozum; jest samą tą pamięcią rozumną, organizowaną przez pokolenia teraźniejsze dla przyszłych. Czem byłby człowiek bez pamięci lub z pamięcią zniepraw ioną, tem byłby naród bez historyi lub z historyą

fałszywą. Praca historyczna jest funkcyą nieodzowną każdego zdrowego, przyszłość w sobie mającego życia. Nie wolno ojcom nie pamiętać i synom nie przekazywać tego, co przeżyli; nie wolno synom nie zaciekawiać się losem swych ojców i nie pragnąć jego poznania. Z tej zbieżności dążeń tryska niewysychające źródło historyi. Napoi ono zawsze tem rzetelniej, im szczerzej historya sama będzie funkcyą organiczną tej zbiorowości, która ją z siebie wydaje. Im człowiek mocniej się w sobie zwiera, im silniej życiem wspólnem żyje, tem większą dla niego ma wagę prawda historyczna, ale tem większe też grozi mu niebezpieczeństwo od fałszu. Zbiorowości trzymające się w spójni uczuciem są miększe na fałsz od związanych instytucyami: dla nich krzywdy wyrządzone przez historyą prawdziwie już krwawemi być mogą, a wpływ jej zabójczym. Zwolna mroczy się rozsądek, tępieje rozum, zniepraw ia się sumienie; indywidualność traci poczucie s i e b i e, bez którego niema życia; tajemnica siły: ustawiczne narastanie od wewnątrz — słabnie i ustaje. Człowiek zbiorowy jest wtedy jak wędrowiec u rozstajnych dróg: jedna prowadzi go do przepaści przez pychę, przeceniającą siły, druga do bagniska przez zwątpienie, które ich nie docenia.

Historya poważna, powołaniem swem przejęta, gdy zestawi to, co wie i umie, z tem, co się przed nią ukrywa, a w tysiącach wypadków na zawsze ukryło, cichą będzie i skromną i powściągliwą w sięganiu po godność i prawa nauki. Nauką ona dopiero stawać się zaczyna, a ściślej mówiąc, dopiero przez gorliwość i umiejętność w wydobywaniu faktów z coraz większych głębin, przez dążenie do gromadzenia spostrzeżeń jakby z anatomii mikroskopowej, pozwala rozumowi czynnemu w naukach antropologicznych zbierać plon z nieprzejrzanego pola faktów historycznych, aby im szedł na pożytek. Im bardziej praca historyka rozszerzy się i pogłębi, tem potrzebniejszą mu będzie cnota powściągliwości. Ukazać tylko c o i j a k było jest już zadaniem ogromnem, a tej dwójcy przedmiotu i sposobu żadna moc nie rozerwie. Opowiedzieć wypadek prawdziwie, odbić w opowiadaniu i ludzi, ukrywających swe pobudki, i zjawiska — wypadki, występujące z tajemniczych podściełisk, — nie jest rzeczą tak prostą jak opowiedzenie tego, na co się patrzyło, a przecież i w taką trywialną opowieść jakże często wślizguje się wąż

fałszu! Między opowiadaniem dziejów a wyrozumiewaniem dziejów — różnica jest nietylko w stopniu, w momencie i napięciu działalności, ale i w samem pojęciu i zasadzie, chociaż obie czynności spełnić może jeden i tensam umysł. Oznaczenie stosunku woli do konieczności, zjawisk politycznych do społecznych, jednostki do ogółu, prądów życia w indywiduach, stanach, zrzeszeniach trwałych i w budzących się nagle i nagle też w ciszę zapadających tłumach do ogólnych czynników biologicznych; pogodzenie psychologii organizmów żywych z fatalizmem mechaniki dynamicznej: wszystko to, co pozornie pada na dział już historyozofa, właściwie jest tylko obowiązkiem historyka, — a jakże spełnić go trudno!

Samo nawet dochodzenie i odtwarzanie prawdy, — nagiej, »nagością bezecelnej« prawdy, skazuje historyka na znój ciężki. Modnie dziś powtarzany frazes Niemców *wie es da eigentlich gewesen* wyraża troskę wcale nie nową: mieli ją już Grecy, miał wiek XVII w Anglii, XVIII we Francyi i Niemczech. Oczyścić materyał z kłamstwa i sprzeczności — jest nieraz syzyfową pracą. Gdy akta międzynarodowe, podając tylko fakta najzewnętrzniejsze, stale drwią z prawdy, utajonej w głębszych; gdy raporty i buletyny kłamią lub niedomawiają; gdy protokóły podają tylko skórę zdartą z rozpraw, a samą walkę i proces przekonań i interesów nurzają w przyzwoitości milczenia; gdy listy, pamiętniki i dzienniki zaćmiewają prawdę przez krótkowidztwo, sobkostwo, nędzotę małych upodobań i małych nienawiści; gdy same nawet liczby układane są tak, żeby zataić mogły stan istotny — co ma począć historyk, oblegany zewsząd wyjącem kłamstwem? Wyłączy wszystko, co nie wytrzymuje rachunku prawdopodobieństwa, da opowiadanie szczuplejsze, suchsze, może martwe, ale większą wiarogodnością szlachetne. Ostatecznie jednak historyi stanie się krzywda.

Przed historykiem opowiadającym, w którym historyk i pisarz historyczny stapiają się w jedno, idzie z oskardem wyłamujący kruszec ze skał historyk-wydawca; idzie kamieniarz i cieśla, obrabiający materyały do budowy, i cały ten zastęp pracowników, znojących się wzajemnie dla siebie, dla siebie wzajemnie piszących i przez siebie też tylko czytanych. Ten historyk-wydawca, badacz, krytyk, analityk, pracownik u podstaw,

często zbiorowości swojej, dla której ostatecznie pracuje, wcale nieznany i poza ową funkcyą historyzmu zbiorowego stojący — jest żywicielem tamtego. Wszystko prawie, co syntetyk wie o życiu ogólnem, o prawach i instytucyach, o ruchu społecznym, o zewnętrznych warunkach wypadków, powstaje ze znoju badawczego, którego ubłogosławieniem jest szczegół konkretny, a niebezpieczeństwem żądza uogólnień. I nietylko badaczom o wielkim promieniu, ale skromnym dostarczycielom przyczynków do dziejów w ścisłem już znaczeniu zawdzięcza historyk pragnący opowiedzieć c o i j a k było — możność uchronienia się od fałszu.

A więcej może jeszcze niż fałszywych świadków strzedz się powinien historyk samego siebie: najlepszy materyał może w złej budowie zmarnować. Uprzedzenia stronnicze; narowy doktrynerskie; teoremata filozoficzne i religijne; nałogi myślenia i czucia — w związku z tym faktem, że częściej dorabiamy sobie teoryę do życia, niż życie przystosowujemy do teoryi; skłonność do wnioskowania z części o całości; zrozumiały w historyku pociąg do otwarzania w każdym razie całkowitego życia, zacierający świadomość niecałkowitego poznania, łgnienie ku temu, co swoje, a lekceważenie tego, co obce; nakoniec, przy nadmiernym subjektywizmie, najpowszechniej oślepiająca nienawiść i zniedołężniająca miłość — mogą łatwo pracę historyka skazić i zniepráwić. Jak w życiu tak i tu jedyną ostoję daje charakter.

Zalecają w historyi jaknajwiększą przedmiotowość, aby jej zapewnić jaknajwiększą też prawdziwość: historyk ma być samem tylko okiem, bo wtedy tylko przedmioty swego widzenia będzie widział dobrze. Właściwie więc oko tylko, w zupełnem od człowieka oderwaniu, a nie człowiek, ma być podmiotem tworzącym historyę. Kto prawdę miłuje, ten indywidualność swoję na czas poznania historyi zamyka w celi więziennej, aby mu nie przeszkadzała w służeniu jednemu tylko bóstwu — i spokojny już służbę swą rozpoczyna... To ma być ideałem, kanonem. Przyjrzyjmy się kanonowi bliżej.

Historyk zorganizowany w owo przedmiotowe oko musiałby być niepojętą jakąś istotą czy machiną, jakimś i nadczłowiekiem i zarazem niedoczłowiekiem. Działanie tych bliźniąt

byłoby takie, że zanimby pierwszy dowiódł nadludzkiej swej wyższości doskonałą swą przedmiotowością, jużby ją drugi roztrwonił na wyzucie się ze swej indywidualności. Nic-by nie zyskała prawda; wręcz przeciwnie, stracić-by tylko musiała: subjektywizm, wygnany ze sfery podnioślejszej, schroniłby się w nikczemniejszą; unicestwiony człowiek indywidualny zawsze-by przez historyka prześwitywał, ale właśnie z najniższemi a żadną już siłą niedającemi się powściągnąć popędami, bo byłyby to popędy bezwiedne. Ostatecznie musiałby się i przekonań swoich zasadniczych wyrzec, a wtedy pięknie wyglądałaby jego historya!

Zostawmy rzeczy i ludzi jak są, nie poprawiajmy stworzenia, pozwólmy historykowi być, pozostać nadal człowiekiem, którym był, zanim się do historyi zabrał. Złóżmy niedającą się nawet w jasne, rzetelne pojęcie ukształtować przedmiotowość na strychu; do pracowni historyka wprowadźmy wstyd prawego rozumu i sumienie prawego człowieka: te wystarczą. Dla historyka doskonała przedmiotowość naturalisty, płynąca z samego przedmiotu poznawania, jest i niepodobieństwem i krzywdą. Niema takiej przedmiotowości, któraby narzucić mogła obojętność wobec świateł i cieni, wobec szczytów i przepaści samego życia. Wobec tej otchłani, w której spełniają się dzieje, głazem może być tylko idyota. Czem człowiek w dziejach bez fałszu i krzywdy żył, tem musi żyć i historyk. Czem rosła, doskonaliła się istota człowiecza, ogólnie-ludzka, narodowa i społeczna, od tego rozszerzać się powinna pierś historyka. Człowieczeństwo ze wszystkiemi ziarnami swych siewów i żniw, narodowość z całym swoim dramatyzmem, uczucie łączności społecznej i ogólnie-ludzkiej w typowych ruchach swoich — żyć mają w historyi tak, jak żyły w dziejach samych. Terencyuszowe *nil humani*, pod piórem estetyka, literata będące najczęściej tylko bawidełkiem pisarskiem, dla historyka jest zasadą. Wielka mądrość, wielka wyrozumiałość i współczucie, ale też i rzetelny etyczny, etycznie idealny gniew i nienawiść w duszy jego powinny stale zamieszkać. Bez krzyku, bez deklamacyi cicho symbolizowane sądy, dodatnie i ujemne, powinny uzupełniać obrazy życia. Wspólne z człowiekiem historycznym człowieczeństwo, tak surowe jak i przetworzone przez dzieje, powinno w nim drgać, ilekroć za-

huczy grom na wielkie wypadki i wielkie niebezpieczeństwa, ilekroć z otchłani buchnie ogień szczerej miłości, zapału i znoju, powieje zdrowe powietrze moralne, zajaśnieje geniusz rozumu, dobra i piękna, a moc woli, wielkość i czystość charakteru ukaże całą dostojność człowieczeństwa, tak rzadko, tak boleśnie rzadko wzrok cieszącą. Nie wolno jest historykowi pętać ani odruchów instynktu moralnego, który w sobie wykształcił, ani uczuć społeczno-narodowych i ogólnie ludzkich, które się w nim nagromadziły, gdyż, tracąc je, utraciłby samego siebie. Przedmiotowość *par force* musi zawsze wkońcu, mimo wszelkich przysiąg i zaklęć swoich, stać się fałszerką prawdy, dla wytrwania bowiem w założeniu swojem zawsze będzie musiała jednych faktów niedomawiać, inne pomijać, odrzucać lub taić. Doskonale przedmiotowym można być tylko wobec instytucyi, ale nie wobec człowieka, jego duszy indywidualnej czy zbiorowej.

A w jedną i w drugą potrzeba wierzyć i istnienie ich za dogmat uznawać. Można to uczynić bez wyłamywania się z za krat pozytywizmu naukowego, bez wzbijania się w obłoki filozofii poetycznej, napawającej wiarą w transcendentalną wiekuistość ducha. Metoda swoista historyi, jej własna, z niej wyszła, metoda r o z w o j o w a naprowadzi historyka na właściwe tory. Ona-to powie mu, że bez duszy indywidualnej niepodobna wyrozumieć ruchu międzycząsteczkowego w zbiorowościach, a przy rozpoznawaniu ich rozwoju niepodobna znowu nie dostrzedz wyłaniających się z nich dusz wspólnych. I takiemu tylko historykowi idealny cel odtworzenia życia przyświecać będzie, który dostrzegł w dziejach i uświadomił sobie ten zbiór, sprzęg czy zespół sił utajonych dla obserwacyi potocznej, które tkwią w pojęciu duszy zbiorowej. U nas pojęcie to musi jeszcze przebijać czerepy i na ludziach sumiennych i poważnych, ale niedość myślących, sprawia wrażenie naciągania i kłamstwa. Kilka kart nieodżałowanego Krusińskiego — to już wszystko, co u siebie mamy godnego uwagi w tym przedmiocie. Badacze i myśliciele francuscy w nowszych czasach uczynili z pojęcia duszy zbiorowej konieczny współczynnik przy wyrozumiewaniu dziejów i wykładzie faktów antropologicznych. Szczeblami doprowadzającemi tu do syntezy są: język wraz z geniuszem mowy, obyczaje, bezwiedne popędy, właściwości czucia i myślenia, tradycya pokoleń, pewna typowość opinii publicznej, a wreszcie urabiający się coraz obficiej charakter, widoczny w ustosunkowaniu się wzajemnem do siebie wyobraźni, rozumu i woli.

Zarówno konieczność patrzenia w człowieka jako w istotę zdolną do rozwoju wynoszącego ją ponad naturę, — ale patrzącemu oku daną bez metafizycznego prejudykatu, jedynie w granicach i warunkach natury, — jak i niezdolność do odczuwania i rozumienia wszystkiego, co ludzkie, nakazują uważać za niepowołanych do historyi tych wszystkich, którzy w energii człowieka nie chcą widzieć siły, w obrębie czynników naturalnych samoistnej i j e d y n e j, i do historyi wprowadzają z zewnątrz, z poza natury i świata, potęgi człowiekiem kierujące, dające mu pomoc, wymierzające nań karę, skazujące go na pokutę i obiecujące wreszcie zbawienie, gdy się jej podda. Wszystkie takie historye, na wzór żydowskiej pisane, dawno już w ogniu rozumu spłonęły. Ani takich, ani żadnych innych nadprzyrodzonych zasad, do historyi wprowadzać nie wolno. I co więcej: bez czego obywał się Laplace, bez tego obywać się musi i historyk; a to wyrzeczenie się nie powinno być dla niego trudnem, rzetelne bowiem poznawanie prawdy dziejowej bynajmniej nie gna go do zdroju wiary, pozytywnej czy niezależnej, lecz, przeciwnie, i tę, z którą był przyszedł, wysusza. Jeżeli dla kogo, to dla historyka wszelka teodycea musi być kwadraturą koła.

Dlatego, jak nie byłaby nigdy rzetelną historya napisana przez Hegla, Queteleta, Buckle'a, Kolba lub Bourdeau, tak nie może mieć w sobie rzetelnej prawdy żadna historya pisana ze stanowiska Augustynów, Bossuetów, Viconów lub Bunsenów. Pierwsi człowieka rozkładaliby i rozkładali bez końca na popędy i siły tkwiące w fizyologicznej, ostatecznie w fizycznej, konieczności; drudzy skonfiskowaliby go dla nieba, a w obu wypadkach można historyą tylko mordować. Doktrynerstwo teologiczne, jahweizm czy mesyanizm, ascetyzm czy chiliazm — zarówno pozbawione są organów do odczuwania i dostrzegania życia ludzkiego na ziemi, a ilekroć zadanie to podejmą, muszą historye fałszować, bo nie dzieje są ich celem, ale przejęcie ich sobą; zamiast swobodnie wyprowadzać człowieka z dziejów, one go gwałtem wtłaczają w siebie, i historya sama jest tylko ich niewolnicą. Do odtrącenia Kalinki jako wykładacza prawdy dzie-

jowej wystarczają te przywidzenia, te wierzenia i mary umysłowe, które czynią go niezdolnym do głębokiego oddechu, wydzierają mu niepodległość rozumu i sumienie historyka w nim zagłuszają. Przy wielkiej nagromadzonej wiedzy, przy talencie pisarskim, przy prawości charakteru trudno było dać historyę końca XVIII w. błędniejszą, gdy się miało, że tak powiem, techniczne warunki niezwykle sprzyjające wytworzeniu prawdziwej. Expiacya zepsuła, skaziła, znieprawiła wszystko.

Przedmiotem historyi nie może być samo tylko przedstawienie cywilizacyi-kultury, najrozleglej nawet pojętej, i nie stanie się też ona nigdy, dopóki będą dzieje, nauką o cywilizacyi. Nie samą tylko kulturą wypełniało się życie przeszłe, wypełnia teraźniejsze i wypełniać będzie przyszłe — przez długie jeszcze wieki. Historya, jeśli ma w sobie odbijać życie, musi dawać nietylko jego rozwojową treść, ale i jego zjawiskowy ruch. Są w dziejach żywioły cywilizacyi, działające ustawicznie, ale są i żywioły ruchu, żadnego niemające związku, w podnietach swych, z cywilizacyą, a również nieustannie czynne. Kultura-cywilizacya, dająca się pojmować tylko jako nieprzerwany postęp, ma współzawodnicę w namiętności jako typie wszelkich takich drgnień egoizmu i uczuć odśrodkowych, które wręcz odchylają się od pojęcia postępu i od wieków na wieki powtarzają się ciągle w jednakowych formach. Cała dynamika psychiczna, wydająca z siebie zjawiska i wypadki, tworząca dzieje, zwłaszcza polityczne, nietylko w kulturze-cywilizacyi zamknąć się nie da, ale ją od siebie odtrąca i wręcz do walki z nią staje. Taką jest każda wojna, każdy przewrót, każde starcie o moje i twoje, — wszystko, co ma swoje ***primum movens*** w rozprężliwości duszy indywidualnej czy zbiorowej. Czyż podobna wyrzucać z dziejów to, bez czego byłyby one tylko dziejami cywilizacyi i podawać część za całość? Historya cywilizacyi jest tylko jednym z wydziałów historyi powszechnej: niechżeż jej nie zastępuje i nawet nie wyręcza.

A na co i po co jest historya? Czy dla prostej tylko ciekawości? Dla niej niewątpliwie i przedewszystkiem. Jest ta ciekawość szlachetną, z chciwości egoistycznej, samolubnej wyzwoloną, i sama przez się ma prawo do historyi. Nasycenie żądzy jest tu samo przez się dobrem. Sytość jednostek przynosi poży-

tek zbiorowości; od poznawania dziejów, od ich znajomości wzmacnia się międzycząsteczkowa zwartość, potęguje się dziejowa indywidualność. Im więcej zajęcia się historyą, tem lepiej. Ale czy na tem kończy się już zadanie historyi? W czem tkwi rozumne przeznaczenie, cel i skuteczność jej jako owej funkcyi zbiorowej? Co będzie z cycerońską *magistra vitae*, co z naszego Skargi »mądrością złożoną w kupę«, i co z ich wpływem na czytelników historyi? Za przykładem Schillera, który przy umoralniającym wpływie teatru stawia bolesny znak zapytania, nie będzie też i historyk pląsał z radości, że, wskrzesiwszy umarłych, dał już i naukę żywym, a nawet dobrze uczyni, jeśli o nauczaniu zupełnie zapomni: zadbają o nie same wypadki, same zjawiska dziejowe. U nas, gdzie tak mało się myśli, nawet pisze, o istocie dziejopisarstwa, o historyce i sztuce historycznej, panują na tem polu mgły. Rozpraszał je Korzon na jednym ze zjazdów historycznych (r. 1890 we Lwowie), jednak odosobnione jego usiłowania nie mogły rozwikłać pojęć wielce skłębionych.

Wpływ jakiś niewątpliwie jest, ale go w zasadę ująć chyba niełatwo. Niezawodnie, korzyść z historyi, nie z czytania jej, lecz z niej samej, ciągną przedewszystkiem ludzie jedno-celowi z historycznymi, ludzie też jednego z nimi zawodu: politycy, mężowie stanu, przywódcy stronnictw, praktycy w życiu dziejowem. Historya daje światło ich rozumom, które muszą być sprawne i dzielne, i tak samo je daje pracownikom naukowym: dla wszystkich zaś nauk o człowieku jest ona wielkim składem doświadczeń ułatwiających wędrówkę do prawdy. Ale wpływ jej magisterski, nauczający, czy-to na jednostki rwące się do wytwarzania dziejów, czy na całe masy falujące od dziejowych wichrów — wpływ owej *magistra vitae* i owej »mądrości złożonej w kupę«... lepiej jest o nim nie mówić. Człowiek zawsze błądzić i zawsze błąd swój kochać będzie. Ruchy dziejowe wywołuje namiętność, a ta na strzały rozumu ma zawsze pancerz w swej bezwzględności. Cywilizuje się wprawdzie i ona, ale w sposób niezmiernie powolny i złożony. Łatwiej jest fałszywej historyi zupełnie ją zgasić, niż prawdziwej ją umiarkować. Nikt nie schwyci płomienia w garść; może tylko ognisko rozrzucić lub ogień zalać.

Jest jedna namiętność, od innych odrębna, i ta historyka

najbliżej obchodzi. Jest nią namiętność w życiu dziejowem, żądza dziejowego życia. Rodzi ona gwałty, zbrodnie i nieszczęścia, ale rodzi też i wielkie czyny i dzieła wspaniałe, wywołuje wypadki żywiące całe pokolenia, darzy niewysłowioną radością i szczęściem. Kto wie czy i kultura sama w niej nie znajduje najsilniejszego dla siebie bodźca. Tej namiętności gasić nikt chyba nie zechce, bo jest ona sprężyną samego życia, a zresztą nikt-by jej zgasić nie zdołał. Dokonywa tego zwolna sam czas, przekształcając niepostrzeżenie, w niezmiernie powolnym postępie, wrażliwość, pobudliwość i umysłowość człowieka. Ludzkość, jak ziemia, stygnie i kiedyś kiedyś nie będzie już miała dzisiejszych dziejów, bo zbraknie jej też dzisiejszych namiętności. Ale to jeszcze syryuszowe drogi. Tymczasem człowiek, mimo wciąż rosnącej przewagi rozumu, który go coraz bardziej uduchowiać a treść jego psychiczną w logiczną przemieniać będzie, tyle jeszcze zachowa w sobie namiętności, tyle zapalczywej żądzy, że nawet z umysłowego jego miąższu ta żądza właśnie będzie miała dla siebie glinę plastyczną do kształtowania wypadków według tegosamego typu, który dzisiejszemu idealiście wydawać się musi przekleństwem Ludzkości. Pieśń o dniu dzisiejszym będzie hymnem i na jutrzejszy: bez walki, bez krwi, niema życia, jak niema go bez znoju i bólu. Po okresie wojen o ziemie, bogactwa, ludzi i narody, nastanie okres wojen o zasady społeczne, o prawo i sprawiedliwość, o dobro, prawdę i samo nawet piękno. A potem, gdy już życie mięśniowe i nerwowe osłabnie i człowiek na dobra swe zobojętnieje, namiętność przeniesie się na wiedzę, na życie umysłowe: rozpoczną się wojny o spostrzeżenia, doświadczenia, teoremata, hypotezy, o prawdy, wierzenia i metody naukowe. Płomię ontologiczne z człowieka i w tym okresie jeszcze wojnami wychodzić będzie.

Dopiero gdy i ta namiętność się wypali, gdy kultura postąpi tak daleko, że zamieni człowieka w czysty umysł, potrzebujący zewnętrznej siły tylko do utrzymania w całości cielesnego swego domu, gdy wszelki gwałt stanie się człowiekowi obmierzłym — skończą się wojny, ale skończą się też i dzieje. Ruch zbiorowy, doskonale zrównoważony, pobiegnie po płaszczyźnie i zapewni człowiekowi doskonale jednostajne trwanie. Kto nie chciał burz oceanu, będzie miał gładkie zwierciadło jeziora,

w nieskazitelnej dziewiczej pogodzie dni alcyonowych. Jedyną treścią dziejów stanie się wtedy porządek współistnienia, ustalony przez rozum wszystkich, a nie gwałcony przez niczyją namiętność. Nie będzie to już życie, ale wówczas już i samo trwanie wystarczy. Człowiek będzie czystym, z ciszą w sobie, ze spokojem naokoło siebie, ale jego czystość nie będzie wypadkową jego moralności: nie, kultura, poprostu, zmiękczy człowieka, całą jego energię zamknie w życiu umysłowem, aż uniezdolniony do działania w przestrzeni, niezdolnym też będzie i do działania w sobie. Wątłe ramiona i serca wyciągać się będą żałośnie ku temu, co my dziś przeklinamy, ale nie odwrócą już przeznaczenia: proces się spełni. Zanim nastanie księżycowy okres ziemi, jedyną namiętnością człowieka będzie trwoga wobec zbliżającego się końca. I z tej nowej namiętności poczną się też nowe dzieje, a wypełni je dzikość, straszliwsza o wiele od tej, którą obecna Ludzkość przed wiekami przebyła: uciekając przed śmiercią, ludzie sami się wytępią jeszcze wprzód, zanim im na gasnącej ziemi zbraknie najostateczniejszych już warunków do fizycznego istnienia. Byron widział dobrze.

III.

PRZECIWKO SOCYALIZMOWI

(1888).

(Rzecz o socyaliźmie, napisał Mścisław Edgar Trepka, Dr filozofii; 2 tomy 16-o, Warszawa 1888, druk Jana Cotty, skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. T. I: XXVIII, 228 str., 1 kulb. omyłek; T. II: 233 str., 1 kulb. om. 16-o).

»...Prostaczkowie żegnają się znakiem krzyża, gdy na niebiosach uwijają się pioruny. Lepiej jest, zdaniem naszem, zażegnać piorun igłą stalową. My zamykamy oczy, krzyżując ręce na łonie. Są, co twierdzą, że nas ta kwestya nie obchodzi, że niema u nas fabrycznego proletaryatu, że błogosławiona ziemia nasza wyżywić może wszystkich swych synów, i że na przyszłość, tak jak ongi, pójdzie — *ze szlachtą polską polski lud*. Jest to sielanka; nie mamy prawa żyć w tym różanym obłoku«.

Tłómacząc »pioruny«, »igły stalowe« i »różane obłoki« na język literatury społecznej, otrzymujemy zdanie, że zaraza wieku przenika do umysłów naszej młodzieży. Istotnie wiek młody chwyta chciwie każdą nowość w dziedzinie trudów myślowych Ludzkości. Nowość ta występuje prawie zawsze w postaci i potędze ideału i z absolutyzmem ideałów w umysły się wżera.

W uznaniu szkodliwości nowych prądów p. Trepka dziełko swoje poświęcił »Młodzieży naszej uniwersyteckiej, jako przestrogę i wskazówkę«. Czy nie lepiej do umysłów tej młodzieży przemówiłoby dziełko wolne od tendencyi, niejako z kopyta ruszającej w szranki; dziełko, jedynie tylko miłością prawdy przejęte, jako wynik szczerych dociekań umysłowych podane? Samo zaofiarowanie przejmuje już niedowierzaniem, uprzedza niekorzystnie względem pracy p. Trepki jako pewnego całokształtu prawd, opartych na rzeczywistości faktów, a wypływających z konieczności stosunków ludzkich — całokształtu, którym właśnie być powinna, jeżeli ma kogokolwiek przekonać. Gdyby autorowi chodziło o zaklęcie, o wzruszenie, o pewną uczuciową reakcyę w umysłach, to, podejmując napisanie książki, chybiłby celu. Ale jemu szło o przekonanie, o zwalenie przesądu lub błędu siłą rozumowania i wymową faktów, a dla takiego założenia lepiej było zupełnie utaić w milczeniu tę pobożną rzeczywiście intencyę, z jakiej poczęła się dwutomowa rozprawa.

Przytem już w swojej przestrodze wstępnej p. Trepka, przez niedostateczną ścisłość w wyrażeniach, zwrócić na siebie może niechęć tego właśnie czytelnika, którego głównie pozyskać-by pragnął dla swej książki. We wstępie zapewnia nas, że »staje bez wahania [się] po stronie wielkiej masy pracującej, ubogiej, bezsilnej; nie dziwi się jej ciemnocie, jej przesądom, uprzedzeniom, namiętnościom; *współczuje jej aspiracyom i przyznaje im słuszność*«. Tak daleko nie zachodzą przekonania p. Trepki, jak zaszło jego pióro. Autor ani nie współczuje aspiracyom massy, ani nie przyznaje im słuszności; gdyby się na jedno lub drugie ważył, nie byłby napisal swoich dwóch tomików. Przeciwnie, dziełko jest wybitnie skierowane przeciwko owym aspiracyom massy, czy też powszechności, będącej dla wstecznictwa i filisterstwa tylko motłochem. W ubogiej literaturze naszej społecznej rozprawa p. Trepki jest może najobszerniej wyłożonym głosem przeciwko socyalizmowi, gnieżdżącemu się zarówno w tłumach robotniczych jak i w umysłach młodzieńczych — są to bowiem bieguny jednego i tegosamego stosu: logicznie rozłączyć ich niepodobna.

Rzecz o socyalizmie rozpada się na trzy części. Najobszerniejszą, zajmującą cały jeden tomik, jest pierwsza: *Ekonomiczno-społeczny rozwój ludzkości w teoryi i w czynie;* sto stronic drugiego tomiku poświęca autor na krytykę socyalizmu p. t. *Ekonomiczny ustrój społeczeństwa wobec wymóg* [tak] *socyalizmu;* na pozostałych 133 stronicach mieści się rzecz o *Reformach społecznych.*

Wejdźmy do środka. Cała część pierwsza, bez krzywdy dla autora, a z korzyścią dla czytelnika, mogła być pominiętą, tak, że właściwie na wydrukowanie zasługiwał tylko tomik drugi, podający krytykę i środki zaradcze. Widać, że autor nie rąbał przeszłości własnym oskardem. Wszystkie szczegóły o myślicielach socyalistycznych i komunistycznych dawnych wieków brał z drugiej ręki, z jakiegoś podręcznika zagranicznego — a są ich setki całe w literaturze powszechnej. Automatycznie wyskakuje tu jeden myśliciel po drugim i automatycznie układają się szczegóły jego pomysłów niby w całość doktryn, które ani zewnętrznie zupełnemi nie są, ani też nie zamykają w sobie wewnętrznej syntezy w odgadnionej myśli przewodniej danego pisarza. Wywód historyczny w takiej postaci, w jakiej go widzimy, ma wartość raczej anekdotyczną niż rozumową.

Kto chciał wrazić w umysły wszystkie prawdy i fałsze, wszystkie ideały i mrzonki, całe to bojowanie i szamotanie się umysłowości ludzkiej, obejmowane mianem socyalizmu, ten miał przed sobą daleko lepszą metodę: czysto już wykładową, nauczającą, ale właśnie dla danego założenia niezbędną. Metoda ta nakazywała zbadać przeszłość tak dobrze i głęboko, aby z niej powydobywać było można główne kierunki prądów socyalistycznych, powyodrębniać je i zszeregować pod nimi wszystkie jednorodne, ale tylko ważniejsze, objawy umysłowe. Oczywiście, że gatunkowość pojedynczych prądów musiałaby być zastosowaną do naturalnej budowy organizmu społecznego w zakresie gospodarczym, t. j. wytwarzającym materyalne wartości przez materyalną, lub też na usługi materyi oddaną, pracę. Wszystkie dzisiejsze kategorye ekonomiczne musiałyby się znaleźć w schemacie owego historycznego wywodu, dokonanego w sposób tutaj wskazywany. Dopiero tak uporządkowana wiedza wzbogaciłaby rzeczywiście umysł czytelnika i uprawiła go pod zasiew krytyki socyalizmu.

Autorowi szkodzi to, że lubi dużo mówić: przez to właśnie mówi nieraz za mało. Wspomina np. o Donim, o Bonifaciu, a nie mówi nic o tak wybitnym radykalnym umyśle, jak Anglik Godwin, autor dzieła o sprawiedliwości politycznej (1793). O Shaftesburych, o Mandeville'u, dwóch również Anglikach, ani wzmianki, a zasługiwali oni na nią daleko więcej, niż owi dwaj

Włosi, lub jacyś tam Reformatorowie w Sienie (T. I, str. 64). Takiemu Robertowi Owenowi (1771—1858) dostało się zaledwie przelotne wspomnienie. Wogóle najhojniejszym jest autor dla Francuzów; było ich wprawdzie najwięcej, ale czuć w tem uprzywilejowaniu francuskie źródło pracy. Przy St. Simonie zlekceważono zasadę jego naczelną *»à chaque capacité selon son travail«*, — odróżniającą go i od Fouriera, i od Blanca. Gdyby autor znał był chociaż urzędowe papiery pruskie, złożone przez p. Bismarcka Sejmowi Niemieckiemu dla przekonania go o potrzebie praw prześladowczych, byłby rzecz swą o Marxie (T. I, str. 176—187) inaczej napisał. Człowiekowi, który sam mieszka w Londynie, nie trudno było przekonać się, że w nim już mieszkać nie może autor dzieła *Das Kapital*, dla tej bardzo prostej przyczyny, że jeszcze w r. 1883 umarł. To, co czytamy o Janie Jakóbie Rousseau, jest tylko stereotypowem powtórzeniem oklepanek, produkowanych na katedrach i w podręcznikach. Jego stan natury pojmuje autor z całą naiwnością swoich poprzedników, jako stan dzikości, a jego *Contrat social* bierze za literalną umowę, u jakiegoś rejenta świata spisywaną. Na str. 26 T. I. trzydzieści wieków trwa despotyzm Braminów, potem przychodzi Budda, a dopiero potem na dwadzieścia wieków przed Chrystusem, tworzą się państwa Medów i Persów. Autor widocznie zapomniał, że Budda żył w VI wieku przed Chrystusem. Chrześcijaństwa, jako wielkiego czynnika cywilizacyi i kultury, p. Trepka nie pojmuje właściwie i zbywa je dość niedbałemi słowy: »Nie robotnik, ale żebrak jest idealnym typem chrześcijaństwa« (T. I, str. 44). Ascetyzm chrześcijański wyprowadza p. T. z platońskiej przeciwstawności cnoty i złota (T. I, str. 34). Najzupełniejszem złudzeniem jest na str. 63 T. I. wyswobodzenie człowieka wewnętrznego przez reformacyę. Na Wieki Średnie patrzy się autor niedość pilnie, jako na czas przebijania się nowej cywilizacyi przez barbarzyństwo, które po zburzeniu starożytności z nieprzepartą siłą zagnieździć się musiało w Europie. Rzym Cezarów jest dla autora »szkołą cywilizowanego świata, w której dopiero ludzkość poczuła się solidarną« (str. 38). Tak: ale jak owce wobec wilka. »Rzym upadł tylko przez fałszywe ekonomiczne gospodarstwo«. (T. I, str. 46)! Teorya konieczności barbarzyńców, bardzo powszechna i w ośm-

nastotomowem dziele zmarłego w roku przeszłym Franciszka Laurent'a: *Précis sur l'histoire de l'humanité* rozwinięta — migoce także i w tym historycznym przeglądzie p. Trepki. O żywiole socyalistycznym Mozaizmu autor wcale nie wspomina.

Szkodzi autorowi także i styl zanadto literacki, a za mało naukowy, — w wielkie słowa obfity. P. Trepka lubi cięcia, ale nie zawsze tnie szczęśliwie. Zdaje mu się n. p., że od kiedy socyalistami zaczęli już być sami ekonomiści, sprawy ułożą się już jak najlepiej na tym najlepszym ze światów — i odtąd już »ekonomiści stanowić będą jedną armię, a socyalizm przednią straż, wysyłaną na zwiady« (T. I, str. 18) — przez kogo? Oczywiście przez dowódców armii, t. j. przez ekonomistów katedrowych i książkowych. Pytam dalej: Dlaczegóżby zawsze prawdziwemi miały być słowa łacińskiego pamfleciarza o istotach uciemiężonych, że natura uczyniła je pełzającemi po ziemi i posłusznemi brzuchowi? (T. I, str. 25) i jak się to zgadza z owemi aspiracyami i z ową słusznością? Erazm z Rotterdamu jest dla p. Trepki »ojcem nowoczesnej cywilizacyi« (T. I, str. 69) — gdybyż chociaż samej literatury! Drugi ojciec przybywa nam w Colbercie. P. Trepka nie poprzestaje na nazwaniu go genialnym, ale »nie może się wstrzymać od oświadczenia, że nie kto inny, jeno Colbert jest ojcem socyalizmu nowoczesnego« (T, I, str. 80) on, urządzacz cechów i komór, i fiskalista państwowy, z którym ledwie p. Bismarck mierzyć się może! Diderot jest geniuszem wszechstronnym (T. I, str. 104). Hegel nazwał był wiek XVIII fundamentalną erą myśli ludzkiej; p. Trepka zaraz stawia własną swą charakterystykę: była to według niego epoka, — »gdy Katylina kazał się uważać za filantropa« (str. 109). Twierdzenie: »Najuboższe klasy społeczne są już dziś wyzwolone »*de facto;* dowód: »mogą się obecnie żywić, odziewać, mieszkać — i zapewne umierać — o wiele wygodniej i lepiej, aniżeli przed wiekami czynili to bogacze« (str. 113) — istotnie, przekonywujący dowód. Po tej pochwale wieku uderza nas niespodzianie: »Ekonomia polityczna, śpiewając hymn pochwalny na cześć teoryi bogactwa narodowego, lekceważyła nędzę proletaryatu fabrycznego« (str. 121). Sprzeczność panuje w tem, co autor mówi o Piotrze Leroux (str. 138), a przesada w określeniu Proudhona. Dla p. Trepki jest on olbrzymem (str. 143), choć dla Blanca

i Marxa był tylko sofistą, a dla każdego musi być umysłem odartym z wszelkiej szlachetności, z tego właśnie idealizmu, pod którego ojcowstwo podstępnie podszył swój systemat — z idealizmu sprawiedliwości.

Poprzestaniemy na tem. Czas zmierzać do dwóch pozostałych części rozprawy p. Trepki.

Druga część dziełka tu rozbieranego przekonywa czytelnika o bezzasadności i niepraktyczności socyalizmu; trzecia wskazuje mu środki, zdolne zrównoważyć dążenia socyalistyczne spokojnemi reformami, zatwierdzonemi przez samą już ekonomię polityczną. Autor jaśniej się tutaj tłómaczy, lepiej rzecz pojmuje, a jeżeli nas nie wszędzie zadawalnia, winien jest temu znowu nieszczęsny styl, uganiający się za wielkiemi słowami. Argumenta p. Trepki nie są ani nowe, ani głębokie: znamy je dobrze z mnóstwa bądź doraźnych, bądź długo obmyśliwanych podjazdów i kampanii literackich przeciwko socyalizmowi; ale wogóle krytyka marzeń socyalistycznych dochodzi w dziełku do wyników, na które zgodzić się musi przeciętny rozsądek człowieka i przeciętna wiedza przedmiotu. Temi drogami, jakiemi Ludzkość dotychczas kroczyła, nadal też kroczyć będzie, jeżeli idzie o dwa naczelne, najgłębiej pod rozwojem czysto-ekonomicznych stosunków utajone i najszerzej rozpostarte obyczaje Ludzkości: o życie rodzinne i własność indywidualną. Żadne reformy, żadne walki, szamotania się, ofiary i męczeństwa nie wzruszą skały odwiecznej: gdyby dziś skruszono tę, która jest, jutro już otchłanie natury ludzkiej same ze swych głębin wyrzuciłyby nową.

Horacyuszowe *Naturam expellas furca, tamen usque recurret* (Epist. I 10, 24) — to szlachecka legitymacya rodziny i własności, to ich bon na wiekuiste jutro. A jest jeszcze trzecia potęga, której Socyaliści walkę wypowiadają przez samo jej lekceważenie: egoizm jako dźwignia wszelkiej pracy materyalnej i ciągnionych z niej zysków. Odejmijcie i tę dźwignię, co zostanie? Czy egoizm państwa lepszym będzie od egoizmu jednostek? produkcya państwowo-urzędnicza lepszą od jednostkowej? Czy wspólna praca w jednej wielkiej fabryce, rozpostartej na całe społeczeństwo i cały przemysł, mniej zaciężą na szczęściu wszystkich? czy zapewni im większą summę wolności, dobrobytu i spokoju?

Wyrzeczenie się osobistej energii samo przez się uwolni od niebezpieczeństwa i głodu, jeśli nie będzie złączone z zupełnem wyrzeczeniem się swojego *ja*, tak, aby istotnie państwo nietylko dawało zajęcie, ale samo niejako żywiło pracującą jednostkę, przez urządzenie zamiany *in natura*, przez narzucanie cen maksymalnych i t. d. A wtedy, w takim falansterze jakże będzie wyglądało społeczeństwo? na jaką nazwę zasłużą ludzie? Draby, karmione jak niemowlęta piersią matczyną, nie ludzie, ale machiny z ciał ludzkich, istoty liche, nędzne, wątłe, którym kierujący mechanik miałby zupełne prawo wypalać na czołach porządkowe swe numery. Taki los czekałby tych, którymby państwo wyświadczyło dobrodziejstwo ujęcia całkowitej produkcyi w swoje ręce, czy-to pod formą unarodowienia ziemi, czy warsztatów narodowych, czy kollektywizmu. Ten ostatni byłby wręcz ułomnym, karłowatym, rąk i nóg pozbawionym kaleką, i wcale-by się nawet pomyśleć nie dał, gdyby, poprzestając na samej tylko własności i kapitale stałym, nie ogarnął zarazem i pracy, i wytwórczości, i samego podziału bogactw. Pod hasłem blankowskiej zasady: »każdemu według jego potrzeb« musiałoby państwo socyalistyczne zostać generalnym pastuchem, generalnym handlarzem i generalnym karmicielem.

Idea, a raczej bałamutna żądza, czyniąca z państwa heglowskiego boga, powołująca je do roli wszechstronnej Opatrzności o milionie óczu i milionie ramion, ma swoją własną genezę, czysto polityczną, a raczej policyjną; ale niemało do utrwalenia jej, do rozniesienia jej, jak zarazy, po umysłach, przyczynili się Socyaliści. W marzeniach St. Simona państwo pierwszy raz zarysowało się jako centrum mózgowe społeczeństwa. Tę miłość wielką socyalizmu dla państwa jako wszechmocności widomej i dotykalnej łatwo zrozumieć. Państwo jest mechanizmem: można je więc budować; społeczeńswo jest organizmem: można je więc tylko zachowywać, rozwijać i prowadzić według praw, w niem samem złożonych. Ale można także i życie jego gwałtownie zatamować — można je z zewnątrz i zniszczyć: a jedyną potęgą, stojącą na wysokości tego zadania, może być tylko władza państwowa. Dlatego socyalizm przez państwo dobiera się do społeczeństwa (i nie ma innej przed sobą drogi, jeżeli chce jeszcze zachować godność umysłową) i odpycha

środki i cele anarchistyczne. Bismarck, dobrze pojmowany przez autora, poznał doskonale ten stan patologiczny, objawiający się nadmierną wiarą w państwo, a nadmierną niewiarą w siebie i brakiem wszelkiej kohezyi pomiędzy jednorodnemi cząstkami: i dlatego chętnie zasiadł na tronie opatrzności, dając robotnikom ubezpieczenia — z kieszeni producentów. To niewinne, w istocie swojej wcale nawet nie socyalistyczne prawo z dnia 6 lipca 1884 r. — przytępiło opozycyę, osłabiło już Socyalistów w sejmie a choć skutki te nie będą długotrwałe, bo czas je zatrze przy, rosnącej ciągle skali wymagań; — to jednakże polityczna korzyść, odniesiona przez kanclerza, jest niezaprzeczoną. W Anglii, gdzie niema Bismarcków, nietylko ubezpieczenia na wypadek kalectwa i niezdolności do pracy, ale wogóle ubezpieczenia bytu na czas niemocy i starości, wytworzyły się bez pomocy państwa. W Niemczech musiano narzucić ubezpieczenia z góry; w Anglii tylko nie przeszkadzano, i dziś istnieje tam, według p. Trepki, 32 000 towarzystw wzajemnej pomocy *(friendly societies)*, rozporządzających funduszem 6 milionów f. st. Bardzo ciekawe szczegóły o wszelkich stowarzyszeniach w Anglii znaleźć można w dziele Holyoake'a, powołanem przez p. Trepkę (I, str. 61) i w »Kursie Ekonomii« Fawcetta, byłego ministra angielskiego [1]). Jest to olbrzymie zastosowanie *self-helpu* w kraju, gdzie jednostka może się swobodnie poruszać.

Klasy t. zw. niższe, pracujące, równie jak i t. zw. wyższe, posiadające, pokładają nadzieje swoje na państwie. Tamte chcą coś dostać; te nie chcą nic utracić: obie wyciągają ręce, tylko z odmienną symboliką ruchów. Bodaj nawet, czy w dzisiejszym stanie uprzejmości państwa dla socyalizmu klasy już posiadające nie silniej garną się do władzy i nie miłośniej na nią spoglądają niż pragnące dopiero coś posiąść. Dlatego wzmianka na str. 230 T. II wydaje nam się dla maluczkich krzywdzącą, a pojąć już nie możemy, skąd się wziął w dziele, pisanem przez ekonomistę, taki dziwoląg jak ten, że robotników zbawi porozumienie się kapitalistów z ekonomistami katedrowymi, którzy wzięli już dymisyę z socyalizmu (T. II, 110)? Długoby na zba-

---

1) Wyjątek z tego kursu p. t. *Praca i Zarobki* wydał w roku 1887 p. Ignacy Świętochowski, z przekładu francuskiego.

wienie czekać było potrzeba, gdyby ono z porozumienia się dobrowolnego *trzecich* kiedykolwiek wykrzesać się dało. Nie: *quisque suae faber fortunae;* interesowani, mając prawo wymagać, aby im tylko nie przeszkadzano, mają też i obowiązek myśleć o sobie samych i pracować dla siebie.

P. Trepka nie dość ściśle oddziela mrzonki socyalistyczne od komunistycznych, a sprawiając się wogóle, w złem czy w dobrem, po dyletancku, w całym ogromie reformatorskich dążeń nie wskazuje dość ściśle i z dostatecznem uzasadnieniem tych właśnie, które przynieść-by mogły istotne polepszenie losu. Skuteczność takich dążeń musiałaby się zawrzeć w granicach natury ludzkiej, tej, która dotychczas ujawniała się w dziejach, a nie tej, którą Socyaliści dopiero przez państwo urobić pragną, oczywiście, aby nie urobić jej nigdy. Na czele takich reform postawiłbym oświatę, o której u p. Trepki znaleźć można (II, str. 132) rozumne słowo, zalecające szczególną pieczę o szkoły normalne, kształcące nauczycieli ludowych. Temat oświaty jest niezgruntowanym, a stan jej rzeczywisty nigdzie nie jest zadawalającym, nie tyle skutkiem odkradania zajęciom praktycznym czasu na naukę szkolną, ile skutkiem upośledzenia nauczycieli i niewłaściwości programatów. W całej Europie los nauczycieli ludowych gorszy jest od losu robotników, — niewdzięczniej odmierzony. Dając oświatę jako przewodnika w życiu, wzmocniłbym jednocześnie uczucie religijne i ściślej je z żywą moralnością zespolił. Wymagałoby to ogromnych reform, nowego urządzenia i Kościoła i państwa i wzajemnego ich stosunku. Socyaliści stoją przeważnie na gruncie sensualizmu i materyalizmu, i dlatego lekceważą moralność i religię, i nie wątpię, że jeśli który z nich słowa moje przeczyta, wzruszy ramionami z politowaniem. Prawda przecież nie lęka się niczyich grymasów. Wie ona i świadczy, że jeśli robotnikom dzieje się niezupełnie dobrze, winne są temu często, zbyt często, nietylko złe warunki od nich niezależne, ale i złe siły w nich samych czynne. Weźmy np. złe najdotykalniejsze i najpowszechniejsze: pijaństwo. Pauperyzm nie narodził się wprawdzie z pijaństwa, jak chce p. Trepka (st. 164), — lubujący się w aforyzmach podręcznych i wskazywaniu różnych rodziców i rodowodów, — ale pijaństwo niemało przyczynia się do ubóstwa klas fizycznie pracujących. Wódka

jest wrogiem ludu; tylko, co z tym wrogiem zrobić, gdy ma takiego sprzymierzeńca, jak państwo nowoczesne? Spożycie wódki przechodzi wszelkie wyobrażenie. P. Trepka przytacza, że w ciągu dwunastu lat, od 1870—1881. w samej tylko Wielkiej Brytanii wydano na spirytualia 1 miliard 609 241 534 funtów sterlingów, po 4 f. st. rocznie na głowę. Mogliby Anglicy zakupić za te pieniądze wszystkie swe koleje i spłacić cały swój dług.

Najistotniejszą będzie zawsze reforma zapewniająca swobodę ruchów i rozbudzająca samodzielność. Równolegle z tą działalnością odżywczą rozwija się koniecznie, jako potęga żywa, idea wzmocnienia sił indywidualnych przez stowarzyszenia. Tylko pod działaniem tej idei, tylko przez zbijanie się rozproszonych atomów w wielkie bryły, działające już mechanicznie samą swoją ciężkością, praca fizyczna może sobie stopniowo wytwarzać korzystniejsze warunki, nadawać sobie wyższą wartość. A przecież podniesienie tej wartości, chociaż nie jest jedynem dążeniem socyalizmu, jest jednak najbezpośredniejszem, najzrozumialszem dla tłumów, najbezwzględniej i najpowszechniej występującem. Wyższa wartość daje byt lepszy; byt lepszy sprowadzać musi dezercyę z szeregów socyalizmu. Stowarzyszenia bezwarunkowo podnoszą skalę dobrobytu i skalę moralności stanu robotniczego. Zorganizowana w nich solidarność, przezorność i oszczędność, złożony w nich zasób materyalnych środków, są ogromnymi sprzymierzeńcami nietylko na czarną godzinę, ale i na czas normalnej pracy. Państwo powinno tu przychodzić z pomocą przez ułatwianie stowarzyszeń wszelkiemi środkami.

Na polu zaoszczędzania środków znowu Anglia, jako naród i jako państwo, kroczy na czele. Banki szkockie świadczą nieocenione przysługi, gromadzą, powiększają drobne oszczędności i zapewniają renty dożywotnie. Roczny ich obrót przenosi już dziś 80 mil. ft. st. W 7 434 biurach pocztowych, od lat dwudziestu kilku funkcyonujących jako kasy oszczędności, w r. 1884 znajdowało się 44½ mil. ft. st. i tyleż w kasach rządowych dawniejszych *(Trustee saving banks)*. Właścicielami książeczek byli przeważnie robotnicy i słudzy miejscy i wiejscy. Ogólną ich liczbę podają na półpięta miliona. Francya w r. 1883

posiadała przeszło 1 miliard 209 milionów, złożonych w różnych instytucyach. Jeżeli człowiek, jako jednostka społeczno-ekonomiczna, jest tem więcej wart dla siebie i dla innych, im lepiej myśli o swem jutrze, to oszczędność, zabezpieczająca mu jutro, powinna być znamiennym przymiotem człowieczeństwa, organiczną niejako jego funkcyą. Dlatego nie pojmiemy nigdy, szczególniej u nas, żywych protestacyi przeciwko wprowadzaniu kas oszczędności do szkół, zwłaszcza ludowych. Choćby pożytek miał tu być czysto tylko formalnym, pedagogicznym, to właśnie dla niego samego jedynie już instytucya sporna miałaby wszelkie prawo do istnienia. We Francyi i w Belgii kasy szkolne rozwijają się pomyślnie. W r. 1883 w 19 433 szkółkach ludowych francuskich na 395 869 książeczek złożyła dziatwa przeszło 9 milionów franków. Prawdziwie: potęga wielkich liczb.

Rozwój stowarzyszeń robotniczych w Anglii zdumiewa. Jedna sieć związków kooperacyjnych, zwanych *Trade-unions*, pokrywa kraj cały. Najpotężniejszym z nich jest *Amalgamated Society of Engineers*, robotników w fabrykach machin. W r. 1883 składał się on z 424 mniejszych towarzystw. Należy do niego ogółem 50 000 ludzi, nietylko w samej Anglii, ale i poza jej granicami. Majątek towarzystwa wynosił kilka lat temu 78 125 ft. st., dochód roczny 124 000 ft. st. *Trade-unions*, spełniając funkcye *Friendly societies*, t. j. towarzystw wzajemnej pomocy, przytem jeszcze występują jako obrońcy praw swego stanu wobec kapitału, a ekonomiści sami przyznają im zasługę szerzenia wpośród siebie zdrowych pojęć. Z pomiędzy towarzystw oszczędności, mających formę stowarzyszeń spożywczych, najbardziej uderzającym, klasycznym, jest przykład wielkiego stowarzyszenia w Rochdale. Zawiązane w r. 1844, podczas przesilenia przemysłowego, przez 28 biednych tkaczy, rozrosło się ono w czterdzieści lat do ogromnych rozmiarów, jako towarzystwo »Pionierów Rochdalskich«. W r. 1882 miało 10 894 uczestników, sprzedało towarów za 274 627 f. st., zyskało na czysto 32 577 f. st., a podniosło swój kapitał zasobowy do 315 243 f. st. Stowarzyszeni mieli własne piekarnie, młyny, jatki. Za przykładem Rochdale'u powstało w Anglii kolejno ośmset stowarzyszeń spożywczych *(stores)*, których obrót w r. 1882 szacowano blisko na 14 000 000 f. st. Pionierowie $2^1/_2\%$ z zysków odliczają na rzecz

oświaty, i dzięki temu posiadają ośmnaście czytelni i księgozbiorów, z 15 000 tomów, i dostarczyli już dotychczas 500 młodzieńcom środków do wyższego wykształcenia. Majątek zarobiony przez stowarzyszenie w ciągu lat dwudziestu był już tak wielkim, że musiano dla niego znaleźć jakieś produkcyjne ujście i w r. 1863 urządzono w Manchesterze wielki skład hurtowy i ognisko dla pomniejszych stowarzyszeń robotniczych spółdzielczych i spożywczych. W r. 1884 do tej kolonii »pionierów« należało już 678 stowarzyszeń z 446 184 uczestnikami. Kolonia *Wholesale Society* »Towarzystwo wielkiej sprzedaży«, nie zadawalniając się zbytem, zaczęła sama produkować; ma już teraz własne fabryki w 6 miastach, kantory na prowincyi i w Irlandyi do zakupywania produktów surowych, ma agentów w Kopenhadze i New-Yorku, dwa własne statki parowe, i nakoniec — własny bank, obracający rocznie 12 milionami f. st. A wszystko to tylko z pierwszego popędu, jaki dało owych 28 ubożuchnych tkaczy rochdalskich.

Dobroczynnie wpływają na położenie robotnika angielskiego stowarzyszenia budowlane *(Building societies)*. Nie wytworzyła ich wprawdzie klasa robotnicza, ale ona tylko z nich korzysta. W r. 1884 statystyka angielska podawała liczbę robotników którzy albo stali się już zupełnie właścicielami domków, albo też nabywali prawidłowo własność ich przez upłaty peryodyczne — na 750 000. Pochop do tej działalności opiekuńczej, jaką rozwijają stowarzyszenia budowlane, dał w r. 1843 ks. Albert, mąż królowej. Od tego czasu różni ludzie z sercem nie dla siebie, nie ryzykując nic z majątku, zakładają towarzystwa i budują wielkie koszary lub małe domki na jednę rodzinę. W Londynie najznakomitszą jest wieczysta fundacya Peabodego, z kapitałem pół miliona funtów. Całe ulice już stanęły z tej fundacyi. P. Trepka pisze (II, 152), że w r. 1970 kapitał jej wyniesie 80 000 000 f. st., a w domach Peabodego znajdzie pomieszczenie 350 000 rodzin. Znakomitym jest Shaftesbury-Park, mieszczący 1 200 domków, prześlicznej — jak świadczy autor, który je naocznie oglądał — powierzchowności. Cztery towarzystwa londyńskie od roku 1863 wzniosły 72 wielkie domy z 10 000 mieszkań a 50 000 mieszkańców. We wszystkich tych domach mieszkania są tańsze znacznie niż w zwykłych pry-

watnych; do własności osobnych domków dochodzi robotnik umiarkowanemi ratami.

Anglicy pomyśleli nawet o utrzymywaniu czystości w mieszkaniach robotniczych. W Londynie są stowarzyszenia co tydzień zaprowadzające porządek — bez żadnego wynagrodzenia. Towarzystwa wstrzemięźliwości, towarzystwa pomocy naukowej, porady prawnej, zachęty do moralności, wreszcie żłobki, ochrony, a na czarną godzinę *workhouses* (domy robocze), uzupełniają ten szereg urządzeń ochronnych, stwierdzających w każdym razie zasadę solidarności społecznej, która w stowarzyszeniach tylko rozpalić się i rozpromienić może tak, aby skutki jej nie tylko dla uczonych przy stoliku widocznemi były. Stowarzyszenie wszelkie jest najdzielniejszą dźwignią żywotności i porządku. P. Trepka (str. 204) za daleko się posuwa, wołając: »Zbawienie przez solidarność i stowarzyszenie«; ale powtórzony przez niego okrzyk: *Vae solis!* — bez zastrzeżeń już przyjąć można.

Dzięki tej zasadzie samopomocy, którą, nie oglądając się na państwo, urzeczywistniają w Anglii jednostki i całe gromady społeczne, socyalizm w stosunku do natężenia przemysłu występuje tam w niewielkiej sile, i jest bezwzględnie najłagodniejszym, najprzystępniejszym na wpływy rozumowania i najpodatniejszym na spokojne reformy. Idea stowarzyszeń jest jakby narodową ideą każdego Anglika. Wymownie, głęboko a barwnie odmalował ją w życiu i działaniu filozof Herbert Spencer w dzielnej swej protestacyi przeciwko wszechmocy państwa, p. t. *The man versus the State* (Londyn, 1887). Kto istotnej potęgi, istotnej skuteczności tego czynnika stosunków ekonomiczno-społecznych nie uznaje, z tym niema co rozprawiać.

Oświata i moralność, stowarzyszenie się i samopomoc, instytucye ochronne, filantropijne i humanitarne, przedsiębiorstwa zakładane przez egoizm, ale pożyteczne dla robotnika — niczego zaniedbywać nie wolno, jeżeli się rzetelnie dba o dobro klas fizycznie pracujących. Odrzucać te środki, jako wrzekome paliatywy, mogą tylko umysły, dla których celem nie jest dobro pewnej warstwy społecznej, ale nienawiść do wszystkich innych i chęć wywarcia zemsty nad niemi przez tak zwaną »likwidacyę społeczną« — niedorzeczność, której żaden z jej wyznaw-

ców jasno nie pojmuje, bo nie prawami logiki się rządzi, ale prawami — deklamacyi.

Jestże to jednak już całkowity programat reform i dążeń? Nie; wstecznictwo tylko mogłoby na nim poprzestać. Ubezpieczenie państwowe, nietylko na wypadek kalectwa i choroby, ale wogóle na starość, — rozciągnięte do ogółu pracujących w danym kraju, robota na wymiar i od sztuki, wprowadzenie w życie angielskich »trzech ósemek« (8 godzin pracy, 8 zabawy i 8 snu), najdoskonalsza policyjna ochrona zdrowia mężczyzn, a sił fizycznych kobiety i dziecka, i żadne inne reformy tej kategoryi nie zapełnią jeszcze przepaści potrzeb. Pozostaną jeszcze niepoprawione stosunki czysto-ekonomiczne i wołać będą pomocy. Ale skąd? od kogo? Czy znowu od państwa? Państwo socyalistyczne, państwo Saint-Simona lub Blanca — że już na tych poprzestaniemy — jest mrzonką, niedającą się urzeczywistnić. Państwo takie dałoby się pojąć tylko jako *status in statu* — a wtedy czem byłby naród na widowni dziejowej i jaki los nieuchronnie musiałby mu zagrozić? Państwo dzisiejsze, jako indywidualność historyczna, nie może się zrzec swego charakteru, swych funkcyi dotychczasowych, bieg zaś tych funkcyi zatamowałoby zupełnie państwo socyalistyczne. Nie w państwie, ale znowu w społeczeństwie, w postępującym jego rozumie i wzrastającem uczuciu wspólności człowieka z człowiekiem, znajdą się środki dalszego rozwoju. Jeżeli czego od państwa wymagać można, to tego, aby nie przeszkadzało, aby nie wpływało ujemnie na dobrobyt, na ogólne materyalne położenia klas robotniczych. Wymaganie to będzie najsilniejszem wobec podatków pośrednich, które głównie ciążą na klasach niższych. Dodatnio od siebie przyczynić się państwo może przez zorganizowanie kredytu dla klas pracujących, — kredytu otwartego dla pracy, nie dla majątku, — przez zakładanie szkół przemysłowych i rzemieślniczych, przez zapomogi dla zdolniejszej młodzieży, przez wyrabianie inteligencyi specyalnie przemysłowej: jednem słowem, przez rzetelne dostarczanie warunków rozwoju siłom tkwiącym w samem już społeczeństwie.

Gdy w samej klasie pracującej fizycznie wytworzy się inteligencya przemysłowa a wzmocni inteligencya ogólna, przejęta już poczuciem miary, porządku i sprawiedliwości, nie będzie

trudnem zrobienie kroku naprzód, przez udział w zyskach przedsiębiorstwa. P. Trepka bardzo słusznie ostrzega przed optymizmem, nie uważa udziału za ostatni szczebel na drabinie postępu; ale niedość silnie przekonanym jest o pożyteczności, a co więcej, o praktyczności takiego urządzenia stosunków (II, 59, 182 i 3). Powszechnie stawiany zarzut na wypadek strat odpiera nadzieja, że kiedyś systemat ubezpieczeń obejmie i dochody z przemysłu, i na podstawie wielkich liczb i rachunku prawdopodobieństwa znajdzie w sobie możność poręczania cen giełdowych. W Europie jest już paręset przedsiębiorstw, prowadzonych na zasadzie udziału. Można je znaleźć u Böhmerta[2]. Ponad wszystkie inne wzbijają się przedsiębiorstwa kolei żelaznej Orleańskiej, poczta federalna szwajcarska, kopalnie p. Briggs w Anglii, familistère Guise we Francyi, w departamencie Aisne[3].

Wyższym stopniem postępu będzie prowadzenie fabryk przez samych robotników. Tu Francya przyświeca już przykładem. W urzędowem wydawnictwie francuskiego ministeryum handlu znajdujemy szczegółowe opisy przedsiębiorstw, prowadzonych przez samych pracowników. Są one przeważnie rzemiosłowe; przyjdzie przecież czas nietylko na Francyę, i nietylko na rzemiosła. Państwo znajdzie tu obszerne pole dla swej działalności wspierającej i ochronnej: kredyt na zakładanie nowych fabryk będzie jego obowiązkiem. Autor (II, 191) obowiązku tego nie uznaje — dlaczego? nie mówi. Tymczasem jest to zasada tak jasna, że jej rozjaśniać wcale nie potrzeba. Takie własne fabryki robotników powinny być ideałem wszystkich ludzi myślących.

[2] *Böhmert Victor:* Die Gewinnbetheiligung. Untersuchungen über Arbeitslohn und Unternehmergewinn, Leipzig, 1878; 2 Bände.

[3] Ten familister p. Trepka opisuje bardzo pobieżnie. Dobry opis u *Frommera:* Die Gewinnbetheiligung, ihre praktische Anwendung und theoretische Berechtigung etc. Leipzig, 1886.

IV.

DŁUGOSZ.

(1880).

I.

Kiedy Długosz we wstępie do swej *Historia Polonica* oddawał pod opiekę aniołów i świętych to, w pocie czoła dokonane, dzieło swoje; kiedy w zakończeniu, drżącą już przed skonem dłonią, wypisywał rzewne owo błaganie o jedno tylko *Pater* i jedno *Ave Maria* za swoją grzeszną duszę: mógłże się spodziewać, że owoc trzydziestoletniej jego pracy cztery wieki czekać będzie musiał na godne siebie ukazanie się w druku; że najbliższa potomność, lekkomyślnie go sądząc, mniej zasłużonych wynosić nadeń będzie; że ogłoszenie pism jego, taką pobożnością przejętych, z pobudek pobożności właśnie nieprzezwyciężone przeszkody napotka; że, nakoniec, zasługa pierwszego wydrukowania w całości, wiekopomnego dzieła, spadnie — wstyd to powiedzieć — na cudzoziemca? Mógłże przewidzieć ten cichy, pracowity, gorliwy we wszystkiem, co przedsięwziął, i tak we wszystkiem kochający społeczeństwo swoje, kanonik krakowski, że dopiero nasz wiek pamięć jego ożywi, dzieła ogłosi, zasługi w prawdziwem ukaże świetle i odsłoni postać, nietylko znakomitego pisarza, nieskazitelnego kapłana, gorącego wyznawcy, ale i czynnego, niestrudzonego, wielkiego obywatela?

A jednak wszystko to przyniosła Długoszowi rzeczywistość. Po zacnem wspomnieniu zasług niepospolitego męża przez jakiegoś bezimiennego jego przyjaciela; po spełzłym na niczem zamiarze Stryjkowskiego, żeby dać przekład jego *Historyi;* po

surowych wyrokach Sarnickiego i innych; przez cały wiek XVI wydano tylko dzieło najmniej na to zasługujące, *Żywot św. Stanisława*, i dopiero w wieku XVII (1614 i 1615) Herburt w swej drukarni Dobromilskiej (Szeliga) ogłosił pierwszą część wielkich roczników dziejów polskich, z bardzo wadliwego rękopisu — tylko pierwsze sześć ksiąg, bo wskutek zakazu królewskiego druk dalszych wstrzymać musiał. W tymsamym wieku Treter wydał *Żywoty biskupów poznańskich*, a Damalewicz i Lubieński poprzerabiali *żywoty gnieźnieńskich, władysławskich* i *płockich*.

Nareszcie na początku wieku XVIII zasługę ogłoszenia całkowitego dzieła *Historyi polskiej* zabrał dla siebie cudzoziemiec, który dłuższy czas w Polsce przebywał, baron ab Huyssen: ten, w latach 1711 i 1712, u Weidmanna w Lipsku, wydał wszystkie dwanaście, a jak sam policzbował, trzynaście ksiąg dzieła, aż po rok 1480. Pilnowali wydania tego uczeni niemieccy, ale pilnowali tak źle, rękopismo musiało być tak wadliwem, że dziś wydanie lipskie potrzebom naukowym już nie odpowiada. Ślepym przedrukiem z tej edycyi jest wydanie Mitzlera, w Warszawie, za Stanisława Augusta dokonane (obacz niżej).

Jeżeli dodamy jeszcze to, co zrobili w XVIII wieku: Sommersberg, przez wydanie Historyi biskupów Smogorzewskich (wrocławskich) w *Scriptores rerum silesiacarum*; Braun, przez pierwszą naukową i, jak na Niemca, ujmującego się za Krzyżakami, sumienną wzmiankę o historyku (*Rerum polonicarum scriptores*, wyd. 1-sze Kolonia 1723, str. 17 i nast.) i wreszcie Janocki, który (w »Janociana«, II i III) wskazał mowy i listy Długoszowe, znajdujące się za jego czasów w Bibliotece Jagiellońskiej — będziemy mieli obraz, prawie zupełny, prac, przez ubiegłe stulecia około Długosza podjętych. Z jego *Liber beneficiorum* dosyta korzystano w sądach i w zarządzie dyecezyi krakowskiej; konstytucye sejmowe przyznawały zbiorowi temu moc dowodową: ale nikt o wydaniu go nie pomyślał, aż do naszych czasów.

Nasz dopiero wiek wogóle wziął na siebie naprawienie krzywdy, i można dziś już powiedzieć, że się godnie z zadania tego wywiązał. Po rozprawie Bentkowskiego (w Programacie Uniwersytetu królewskiego warszawskiego na r. 1819) L. Gołębiowski, w »Dziejopisach polskich« obszerniej rzecz o Długoszu wyłożył. W roku 1840 G. Borneman w Lesznie wydawać zaczął spolszczoną przez siebie *Historia Polonica*, wraz z przekładem *Vita Dlugossii*. W latach 1840—50 Aleksander Batowski, pracując w bibliotece Ossolińskich, rękopisy Długoszowe szczegółowo opisywał. Tożsamo robił w Krakowie Muczkowski, a w roku 1850, w wydawanych przez siebie »Rozmaitościach historycznych i bibliograficznych«, ogłosił *Banderia-Prutenorum* etc. i *Insignia seu Clenodia* etc. Długosza, przedtem w rękopisach tylko znane.

Michał Wiszniewski, w »Historyi literatury polskiej«, niewielu rysami genialnego swego pióra dał ogólne wyobrażenie czcigodnej postaci historyka naszego (Tom IV str. 36—71) i pierwszy siedm listów jego (tamże, str. 72—81 i 117—120) i jedną mowę (tom III str. 378—80) ogłosił, przedtem zaś jeszcze we wstępie do »Pomników historyi i literatury polskiej« dziejopisarstwo Długoszowe zwięźle a dobrze scharakteryzował.

W roku 1855 przedostatni z Działyńskich, którzy nam oto przed chwilą w oczach wygaśli, nie szczędząc kosztów, wydał w Poznaniu *Lites ac res gestae inter Polonos Ordinemque Cruciferorum*, w 3 tomach*). W r. 1860 p. Antoni Białecki opisał »Rękopisy Długosza w bibliotekach petersburskich«, przyczem ogłosił i dwa jego listy.

Pomijamy już wspomnienia w historyach literatury i w historyach politycznych, oraz drobne a liczne rozprawy i wiadomości w czasopismach. W r. 1873 p. Maryan Dubiecki w *Tygodniku Illustrowanym* (serya II, tom XII) podał »Zarysy obywatelskiej działalności Długosza«. W tymsamym roku, w tomie XVII pism uwieńczonych nagrodą przez Towarzystwo Jabłonowskiego w Lipsku ukazało się studyum H. Zeissberga, znanego z prac nad historyą polską, *Die polnische Geschichtsschreibung des Mittelalters* (w r. 1877 w Warszawie po polsku). Rzecz o Długoszu, zamieszczona tutaj, jest bezwarunkowo najlepszą ze wszystkich, jakie się dotychczas ukazały; nie czyni jednak jeszcze zadość wymaganiom biografii i niedostatecznie jasne strony historyi Długoszowej uwydatnia.

*) Uzupełniło je »Supplementum«, wydane w r. 1880 (1910).

Ze wszystkich zajmujących się Długoszem w naszem stuleciu najwięcej uczynił zmarły w r. 1871 Aleksander Przezdziecki. Powziął on, w obywatelskiem i w naukowem znaczeniu, myśl wydania wszystkich dzieł ojca historyków naszych, a raz ją powziąwszy, nie szczędził już żadnych starań, żadnych ofiar i nakładów, aby ją urzeczywistnić. W r. 1858 skłonił Towarzystwo naukowe krakowskie, którego był członkiem, do ujęcia steru naukowego nad wydawnictwem i, zapewniwszy dla całego tego przedsięwzięcia oparcie materyalne na własnym majątku, przez ofiarność swą, zapał dla celu i trudy podjęte zyskał sobie niespożyty tytuł do wdzięczności publicznej. Z pobudki Przezdzieckiego jeszcze w dniu 10 listopada 1858 r. Towarzystwo nauk. krakowskie, dzisiejsza Akademia Umiejętności, wezwało wszystkich uczonych do współdziałania i zabrało się do zredagowania pism Długoszowych. Najważniejsze ze wszystkich, a trudne bardzo zadanie: oczyszczenia i ustalenia łacińskiego brzmienia *Historii* wziął na siebie Ignacy Żegota Pauli; X. biskup Łętowski nadzorował *Liber beneficiorium;* Karolowi Mecherzyńskiemu powierzono spolszczenie głównego dzieła Długoszowego; sam zaś Przezdziecki zebrane już dawniej przez siebie materyały bibliograficzne jął pomnażać i porządkować, objeżdżając na nowo główniejsze biblioteki, i tym sposobem przygotował dla redakcyi zasób pomocniczy tak obfity i dokładny, że przedsięwzięcie mogło już dokonać się w warunkach niezbędnej powagi naukowej. Po śmierci Przezdzieckiego synowie jego, uważając myśl ojcowską za integralnie należącą do spadku, gorliwie się do niej przyłożyli i dzięki dostarczanym przez nich funduszom wydawnictwo krakowskie za zupełne dziś już prawie dokonane uważać można.

Wydanie wszystkich dzieł Długosza, rozpoczęte w roku 1863—4 od *Liber beneficiorum* (tom VII—IX ogólnego zbioru), oprócz niej objęło jeszcze dotychczas oryginał łaciński (tom X do XIV) i przekład polski (tom II—VI) *Historia Polonica.* Na ukończeniu jest tom pierwszy, mający zawrzeć *Żywoty: Świętego Stanisława i innych świętych, Św. Kunegundy, Arcybiskupów i Biskupów, Banderya, Klenodya, Mowy* i *Listy*, oraz tom XV, którego nie było wcale w pierwiastkowym programacie wydawnictwa, cały zajęty na *Index*, układu Teofila Że-

brawskiego *). Tak dokonane wydawnictwo łącznie z Działyńskiego *Lites ac res gestae* przedstawi prawie całkowitą spuściznę rękopiśmienną po Długoszu i godnie spłaci dług, który dawne stulecia zaciągnęły i względem męża słusznie sławnego w narodzie, i względem nauki, która z dzieł jego korzystać potrzebuje.

II.

Długosz pochodzi z rodu Wieniawa, Perstina albo Żubrza Głowa, który, przed wiekami przywędrowawszy z Morawii, za herb używał Żubrzej Głowy, w polu złotem, z pierścieniem przeciągniętym przez nozdrza. Sam on (*Banderia* etc. wyd. Mucz-

*) Index włączony jest w tom XIV. Tom I po wielu poszukiwaniach tekstów, po wewnętrznych i zewnętrznych przeszkodach, opóźniających wydanie, ukazał się dopiero w roku 1887 w Krakowie, in 4-to, z pod redakcyi ks. Ignacego Polkowskiego i Żegoty Paulego: »Joh. Dlugossii Opera vol. I...«; znajdują się w nim: 1) Vita Joan Dlugossii, umieszczona na czele wydania dobromilskiego i wyd. lipskiego, str. I—XVI; 2) Obitus Joan. Dlugossii (z Miechowity »Chronica, Cracoviae 1521« pag. 343), str. XVI; 3) »Vita Sanctissimi Stanislai«, str. 1—181; 4) Vita B.[eatae] Kunegundis, str. 183—336; 5) Vitae episcoporum Poloniae, str. 337—544; 6) Catalogus episc. plocensium, str. 545—9; 7) Vita Sbignei Cardin. et episc. cracov. (fragmentum), str. 551—7; 8) Insignia seu Clenodia Regni Poloniae, str. 559—73; 9) Banderia Prutenorum, str. 575—95; 10) Epistolae (28) Joan. Dlugossii, 1447—78, str. 597—638; Index, str. 1—27. Nieodszukane do chwili wydania Żywoty biskupów płockich, oraz zebrane przez Długosza dokumenta do historyi Mazowsza znalazł w Ossolineum Dr. Kętrzyński Wojc. i ogłosił w tomie VI »Monumenta Poloniae historica«: 1) Vitae episc. Plocensium abbreviatae, cum continuatione Laurentii Wszerecz, str. 592—619 (biskupi od roku 966—1478; ofiarowane przez Długosza Kazimierzowi, biskupowi płockiemu, księciu mazowieckiemu); 2) Articuli de incorporatione Masoviae (zebrane i zredagowane przez Długosza w latach niełaski królewskiej, 1460—2). Artykuły te zalecała kancelarya królewska wojew. krakowskiemu, Rytwiańskiemu (1472—7) jako podstawę prawną do układów o Mazowsze, wszczętych w r. 1476, str. 620—7. W tomie IV »Monumentów«, str. 7—15 Kętrzyński zamieścił: Excerpta Joh. Dlugossii e fontibus incertis. Dotychczas, o ile wiadomo, ukrywa się w niespisanych jeszcze archiwach bibliotecznych volumen pierwszy, poprzedzający »Liber beneficiorum«, a obejmujący historyę majątku i uposażenia biskupstwa krakowskiego; znajdował się on bez najmniejszego powątpiewania w pozostałości rękopiśmiennej ojca historyków polskich (1910).

kowskiego, str. 73—4), opowiada, że niegdyś Wieniawici mieszkali w Persztynie na Morawach. Założyciel tego rodu był mężem olbrzymiej siły fizycznej; pewnego razu żubra żywego w kniei własnemi swemi rękami schwytał, a stawiony przed oblicze władcy kraju, w nagrodę otrzymał od niego, prócz herbu, sporo zamków i wsi i dał początek licznym rodzinom szlacheckim. Ród tego siłacza wszakże nie wzbił się nigdy na wyżyny społecznego i politycznego znaczenia, ludzie w nim bowiem byli »rozpuszczeni i okrutni«, ani do życia w domu, ani do działania w państwie nie sposobni. W rodzie Wieniawitów polskich zdarzyło się, że brat zabił brata, a za tę zbrodnię kazano mu w herbie, zamiast pierścienia przez nozdrza, przeciągnąć miecz przez sam łeb żubra. W ten sposób powstał Pomian, wielu rodom szlacheckim u nas służący.

Długoszowie daleko już poza sobą pozostawili chwilę przybycia do Polski, kiedy Jan Długosz z Niedzielska, w ziemi Wieluńskiej, w powiecie Radomskim, w bitwie pod Grunwaldem zabierał do niewoli Markwarta, dowódcę chorągwi brandenburskiej, tego-to Markwarta, któremu Matejko stryczek Tatara na szyję zarzucił, a z którego Witold za znieważenie Biruty tak krwawą wziął pomstę.

Waleczność Jana Długosza ojca w Pogromie Grunwaldzkim nie mogła zostać bez nagrody; rok 1415 ukazuje go nam na starostwie Brzeźnickiem w województwie Sieradzkiem. W roku tym, w Brzeźnicy, z żony Beaty, urodził mu się syn, późniejszy historyk. W licznem potomstwie starosty synowie wskutek ślubu rodziców, nosili jedno wspólne imię Jan; według Bartoszewicza mogło się to stać i bez żadnego ślubu, istniał bowiem jeszcze wówczas starodawny zwyczaj nazywania dzieci jednem i temsamem imieniem.

Jan Długosz grunwaldzki przeniósł się zczasem z Brzeźnicy na lepsze zapewne starostwo nowokorczyńskie, nad Wisłą, pod Krakowem; mieszkał tu już wtedy, kiedy syn jego, mający się stać sławnym człowiekiem, liczył lat sześć. Niewielki, wątły, chorowity a cichy chłopczyna wcześnie zaczął się garnąć do książki, a zabawki dziecinne odrzucał. Szkoła przyciągała go tak silnie, że, jak świadczy autor *Vita Dlugossii*, prawdopodobnie

sam Kallimach, przed świtem zrywał się z łóżka i ze łzami błagał stróżów domu, aby go na naukę wypuścili.

Nie wiemy jak długo trwało to nauczanie przez bakałarza parafialnego w Nowem Mieście Korczynie; nie wiemy też jakich i gdzie nauczycieli miał chłopiec później: to tylko powiedzieć możemy, że już w trzynastym roku życia był Długosz na nauce w Krakowie, u jakiegoś srogiego mistrza, na którego próżno się ojcu uskarżał; srogość nie ustawała i młodzieniaszek musiał aż ucieczką ratować się z ucisku. Wszedłszy do Kollegium Bogatych, uczęszczać zaczął na nauki w Akademii w r. 1428. Życie wcześnie już miało go przepędzić przez chłostę doświadczenia, przez ogniową próbę charakterów: biedę i konieczność opierania się na samym sobie.

W roku 1428 umarła Długoszowi matka; ojciec ożenił się, i syna bez pomocy zostawił; może tylko zalecił go biskupowi Oleśnickiemu, z którym razem pod Grunwaldem bił Krzyżactwo. W każdym razie młody Jan własnym przemysłem nauki kończyć musiał, a ukończył je około roku 1431. Uczonego stopnia doktora nigdy nie posiadł; nie widać jednak, aby mu brak tej godności w życiu dolegał. Wysłuchawszy dyalektyki i filozofii, szesnastoletni młodzieniec wszedł prosto z Akademii na dwór Oleśnickiego; teologii, dla kapłana niezbędnej, już na dworze biskupim wyuczyć się musiał.

Oleśnicki, poznawszy zdolności młodzieńca, postanowił go przy sobie zatrzymać; na pierwsze dwa lata dał mu stanowisko dworzanina, do posług szlachetnych, później przypuścił go zupełnie do swej ufności. W dwudziestym pierwszym roku życia dostał Długosz pierwsze święcenie wyższe, a w cztery lata później biskup sam wyświęcił go na kapłana i wkrótce potem zapewne nadał mu godność swego kapelana domowego. Już w roku 1433 występuje Długosz na akcie urzędowym jako notaryusz biskupi i w tymsamym czasie obejmuje zarząd całego dworu, kancelaryi i majątku Oleśnickiego.

Odtąd ośmnastoletni, a świecki jeszcze, człowiek zaczyna rosnąć w znaczenie i wpływy. Zaraz w roku następnym Oleśnicki wyjednywa mu u króla probostwo, a raczej dochody z probostwa kłobuckiego. Autor *Vita Dlugossii* pod tym rokiem kładzie podróż przyszłego historyka do Rzymu, a następnie do

Bazylei, w sprawie jakiejś prebendy krakowskiej; ale żadne dowody podania tego nie wspierają, a wielka bezinteresowność, kryształowa czystość duszy Długosza, każe powątpiewać o takiem natarczywem dobijaniu się zysków, zwłaszcza ze strony człowieka, który wcale jeszcze księdzem nie był.

Długosz, zagłębiwszy się na dworze biskupa w sprawy dyecezyi, w r. 1440 zaczął, najpierw w celu czysto-praktycznym, spisywać swoję, przez potomnych dopiero później tak nazwaną, *Liber beneficiorum*, t. j. wykaz wszystkich beneficyów w ogromnej podówczas dyecezyi krakowskiej; z czasem chciał do tego wykazu dołączyć opis i historyę katedry, kollegiat, kościołów parafialnych i zakonnych i w części już nawet zamiar ten urzeczywistnił. Przez czterdzieści lat zbierał szacowne materyały, ale pracując nad niemi tylko dorywczo, przy śmierci jeszcze zbiór swój niedokończonym i nieuporządkowanym należycie zostawił. Pracą swoją wszelako wielce się społeczeństwu zasłużył.

W tymsamym, 1440. roku, w lecie, miał Długosz sposobność wzmocnić ku sobie przywiązanie biskupa i zaskarbić sobie trwałą jego wdzięczność. Oleśnicki, odprowadziwszy obranego na tron węgierski Warneńczyka do Budy, z orszakiem, w którym znajdował się i jego kapelan, przez Tatry wracał do kraju. Podróżni doznali napaści, z której głównie dzięki przezorności i odwadze Długosza, biskup uszedł cało z mieniem, zdrowiem, a może i życiem. Wypadek ten szczegółowiej opowiada Zeissberg (przekład polski, tom II-gi, str. 5).

W r. 1443 Długosz, od roku już kanonik krakowski, korzystając z zaufania Oleśnickiego, przemógł jego wahanie się i ostatecznie skłonił go do nabycia Księstwa Siewierskiego dla katedry biskupiej. Akt z dnia 30 grudnia pomienionego roku w znacznej części Długoszowi powstanie swoje zawdzięcza.

Postępując w godnościach i dobrobycie duchownym, w roku 1444 Długosz do kanonii krakowskiej dołączył kantoryę w Wiślicy, a już w roku następnym na wyższą od niej kustodyę ją zamienił.

Kiedy klęska pod Warną i skon królewski żadnej już nie ulegały wątpliwości — choć mimo to długi czas jeszcze zjawiali się samozwańcy — panowie złożyli w dniu 23 kwietnia 1445 r. radę w Sieradzu. Długosz był tu obecnym i przemawiał za obraniem na tron Bolesława, księcia mazowieckiego. To przywiązanie jego do Piastów znamionuje go jako człowieka i jako historyka; pod tym ostatnim względem wielkie jego dzieło licznych dostarcza dowodów.

W końcu roku 1448 Oleśnicki, mając od lat kilkunastu przyrzeczony kapelusz kardynalski, a nie mogąc się go, dla sporów o stolicę apostolską i władzę w Kościele, doczekać, wysłał do Rzymu Długosza, aby nareszcie osobistemi zabiegami wymógł spełnienie obietnicy. Długosz tedy, dzięki ambicyi biskupiej, poznał Włochy i wszedł w styczność z rozbudzającym się w nich humanizmem: z tej pierwszej już podróży wielu klasyków przywiózł. Gdybyśmy mieli jakie bezpośrednie świadectwo, moglibyśmy wyśledzić wpływ nowych prądów umysłowych na ojca historyków naszych.

Nieobecność Długosza w kraju trwała do jesieni 1449 r.; dopiero w dniu 1 października powiernik Zbigniewa, dobrze się na poselstwie swem sprawiwszy, przez Węgry do Krakowa powrócił. Wjazd jego do stolicy w towarzystwie największych dostojników świeckich i duchownych, z kapeluszem i purpurą kardynalską, był istotnym pochodem tryumfalnym. Opisuje go sam Długosz w liście do, poznanego we Włoszech, przy załatwianiu sprawy kapeluszowej, Tadeusza z Treviso. Praca w *Tyg. Illust.* przed siedmiu laty zamieszczona niewłaściwie oznacza powrót na dzień 1 sierpnia; list u Wiszniewskiego (*Hist. lit.* t. IV., str. 75—7) zamieszczony, na jedną tylko, wyżej tu podaną, datę pozwala. Wiszniewski także wydrukował (*l. c.* t. III., str. 378 do 80) mowę Długosza przy wręczaniu oznak kardynalskich i odpowiedź na nią Zbigniewa.

Jednocześnie ze staraniami o kapelusz dla biskupa prowadził Długosz układy w Bononii z Marcinem z Przemyśla, późniejszym założycielem katedry astrologii w Uniwersytecie Krakowskim, o objęcie tamże katedry medycyny, i głównie naleganiem swojem wymógł sprowadzenie się Marcina do Krakowa.

W miesiąc niespełna po powrocie z Rzymu, królowa-matka, działając w imieniu swego syna, a idąc za radą Oleśnickiego, zleciła Długoszowi i jednemu z dworzan swych poselstwo polityczne do Węgier, dla pogodzenia wielkorządcy kraju, Hunyadego,

z awanturnikiem husyckim Iskrą. Długosz, zjechawszy do Krzemnic w Karpatach, wyjednał na poważnionych zawieszenie broni do lipca roku następnego. Była to pierwsza sprawa państwowa załatwiona przez Długosza: ciągnie się za nią długi szereg usług podobnych; autor pierwszej *Historyi polskiej* może śmiało o wypadkach panowania Kazimierza Jagiellończyka powiedzieć: *quorum pars fui.*

W roku 1450 Długosz, wykonywując ślub dawny, odbył podróż do Jerozolimy. Z kilku towarzyszami puścił się w drogę przez Węgry; był w Granie; w Neustadzie austryackim cesarz Fryderyk III przyjął go bardzo łaskawie. Tu poznał Długosz Eneasza Sylwiusza, który go hojnie komplimentami z powodu klasyczności listu Zbigniewa uraczył. Z Austryi przyłączył się do pątniczego orszaku rycerz v. Hohenberg. W Rzymie, dla braku pieniędzy, nie mógł Długosz nic zrobić w poruczonej sobie sprawie kanonizacyi królowej Jadwigi (listy u Wiszniewskiego), a straciwszy sporo czasu we Włoszech, nareszcie z Wenecyi do Syryi odpłynął. Razem z nim na okręt wsiadło pięciu Polaków i ów pan austryacki.

W Ziemi Świętej zwiedzili pielgrzymi Jerozolimę samą, Betleem i brzegi Jordanu. Żałować prawdziwie potrzeba, że nam Długosz pielgrzymki swej nie opisał; radość głęboka wierzącego serca znalazłaby pod piórem jego wymowę może porywającą. Autor *Vita Dlugossii* mówi, że »nieraz widziano go jak się łzami zalewał, bądź z radości, że mu danem było ślady Chrystusa oglądać i ślub swój spełnić, bądź z żałości nad śmiertelnymi, których ponęty ziemskie tak dalece wabią, że na obecnego nawet Boga oczu im zwracać nie pozwalają. Częstokroć słyszano go mówiącego, że darmo żył dotychczas, że nie wie po co był na świecie, zanim oczyma swemi rodzinne miejsce Zbawiciela świata obejrzał. A potem, potem niejednokrotnie powtarzał słowa psalmisty: *Panie! odpuść sługę twego w pokoju!*«

Pielgrzym powrócił do kraju z nowym zasobem rzadkich, a w części nieznanych w Polsce, ksiąg klasycznych i pomiędzy innemi przywiózł cenne *Digestum vetus*, podziwiane przez znawców. Przed powrotem zatrzymywał się w Wenecyi i na pograniczu Arcyksięstwa Austryackiego; widać to z jego listów dochowanych w Bibliotece Jagiellońskiej. Tu i tam podejmowano

go jak przyjaciela. Daty przybycia do Krakowa podług dotychczas drukiem ogłoszonych źródeł oznaczyć nie można; on sam spodziewał się ujrzeć gród Jagiellonów we wrześniu 1450 roku, w jesieni zatem z powrotem już być musiał.

Rok 1451 daje Długoszowi nową działalność publiczną: historyk nasz jedzie na Ruś, od panów krakowskich do Kazimierza Jagiellończyka, aby ostatecznie wyjednać przyłączenie do korony spornej części Wołynia. Sprawa ta, o ile dotyczyła stosunku króla do narodu, ciągnęła się jeszcze przez dwa lata, przy współudziale Długosza, który za prawami korony wytrwale, jednak z umiarkowaniem i zawsze w duchu jedności bratniej, obstawał.

Kazimierz, darząc historyka naszego zaufaniem, zaczął stale zużytkowywać jego wiedzę, wykształcenie i zdolności do działań dyplomatycznych. W r. 1453 przeznaczył go do poselstwa, które we Wrocławiu zjechać się miało z pełnomocnikami dworu węgierskiego, dla ułożenia warunków, pod jakiemiby król zawrzeć mógł małżeństwo z Elżbietą, córką cesarza Alberta, a siostrą króla Ładysława Pogrobowca. Układy, w sierpniu 1453 r. przeprowadzone, zakończyły się umową przedślubną. Z powrotem posłowie polscy zabrali do Krakowa mnicha, słynącego wówczas na całym wschodzie Europy przeddnieprowej z ognistego apostolstwa przeciw Turkom: Jana Kapistrana. Było to właśnie w roku upadku Konstantynopola. Mąż natchniony przebywał w Krakowie przez zimę, w czci wielkiej, powadze i wpływie. Długosz, jak pierwszym był do sprowadzenia go, tak najbliższym mu być musiał podczas pobytu. Jest jego korespondencya z Kapistranem, w imieniu Zbigniewa Oleśnickiego prowadzona.

W lutym 1454 r. był Długosz świadkiem obrzędu ślubnego, który miał dać Polsce najlepszą, jeśli nie jedyną, królową matronę i matkę długiego szeregu królów: on, co się o jej posag umawiał, w lat czternaście później został wychowawcą licznego potomstwa męskiego, które związek królewski ubłogosławiło.

Prawdziwą koroną uroczystości ślubnych w Krakowie było poddanie się związku miast i ziem pruskich pod berło Kazimierza, z gwałtownem wołaniem o pomoc przeciwko ciemięstwu krzyżackiemu złączone (dnia 18 lutego 1454 r.). Jest to jedno

z najświetniejszych wydarzeń w dziejach, nietylko naszych, ale powszechnych, świadczące wymownie o potędze, powadze i cywilizacyi państwa w XV wieku; dobra wola ludności, w znacznej części napływowej, zwracała Polsce ziemie wydarte jej przed wiekami przez lekkomyślność swoich a podstęp obcych. Całe prawie Pomorze Bolesławów, miało nanowo wpłynąć w wielkie państwo słowiańskie, które w owym szczęśliwym wieku swą siłę przyciągającą nie na same tylko słowiańskie wywierało żywioły.

Długosz z początku sprzeciwiał się przyłączeniu, mniemał bowiem, że gdy zakon jest instytucyą bezpośrednio od papieża zależącą, wszelkie więc naruszenie jego praw obrażać musi Stolicę Apostolską. Takiej zasady, bardzo wybitnie upostaciowanej, trzymał się potężny orędownik Długosza i z nią w samych początkach wojny, która się jej wręcz przeciwstawiała, do grobu zestąpił. Historyk nasz już na zjeździe w Sieradzu i rokiem później w Piotrkowie okazał był, że w sprawach publicznych nie idzie za zdaniem Oleśnickiego; ale, jak wówczas, spostrzegłszy większy pożytek dla powszechności z trzymania się Jagiellona, porzucił kandydaturę Bolesława i szczerze poparł postanowienia bełżyckie i kolskie, tak i obecnie, skoro tylko poznał istotny interes narodowy, zaczął mu gorliwie służyć, nie oglądając się już na to, co powie Stolica Apostolska, której dwulicowa polityka przez całe trzynaście lat walki i jeszcze po niej szkodę niemałą Polsce przynosiła. Nie było jeszcze u nas ultramontanizmu w XV wieku.

Przez pierwsze lata wojny z Zakonem król używał Długosza do poselstw okolicznościowych, jakie los oręża nastręczał. Zaraz w r. 1454 układa się ksiądz-dyplomata o wykup jeńców po klęsce chojnickiej. W latach 1457—8 powtarzają się te mniej ważne zlecenia: Długosz spełnia je i przygotowuje się do ważniejszych. Prawdopodobnie w tym-to czasie zebrał, jeśli nie w pełni dzisiejszej, to w głównych przynajmniej pozycyach, dokumenta zawarte w szacownym zbiorze *Lites ac res gestae*: wykazują one w sposób niezłomny nieuczciwość krzyżacką, a dobre prawa Polski. Na niedoszłe w r. 1459 układy o pokój musiał już pełnomocnik królewski, wespół z innym do działania powołany,

zgromadzić wiele tych dowodów, posiadających najpotężniejszą ze wszystkich wymowę faktów[1]).

W r. 1460 jedzie Długosz na Śląsk, w charakterze dyplomaty polskiego do układów z Jerzym Podjebradzkim, po śmierci Ładysława Pogrobowca królem czeskim. Widzimy go tu dwukrotnie, zawiązującego rokowania, które wreszcie w Bytomiu uwieńczyły się powodzeniem. Zawarty akt przyjaźni między państwami utorował na nowo drogę do ściślejszego ich zespolenia się, tkwiącego w duchu i w potrzebach wieku. Działalności swojej na zjeździe bytomskim, sam Długosz, mimo całej skromności, która go tak pięknie zaleca, pominąć nie mógł i wyraźnie ją w swojej *Historyi* zaznacza (*Dzieła wyd. Przezdzieckich*, tom XIV, 308).

III.

Rok 1461 gwałtownie przełamuje cały zawód publiczny Długosza i burzy jego dobre stosunki z dworem wawelskim. W r. 1460 umarł był Tomasz Strzępiński, od r. 1455 następca Oleśnickiego na katedrze krakowskiej. Król, niezależny zawsze od wpływów duchownych i stawiający nawet ponad niemi własną swą wolę, postanowił teraz ulubionego sobie Gruszczyńskiego, biskupa władysławskiego, w Krakowie osadzić; kapituła wybrała Jana Ludka z Brzezia; wreszcie Pius II, jeszcze przed tym wyborem, zamianował biskupem krakowskim, osobiście pozna-

[1]) M. Wiszniewski (*Hist. Lit.*, tom IV 41) pisze, że po upadku Konstantynopola jeździł Długosz w poselstwie od króla do papieża Mikołaja V i cesarza Fryderyka III, aby ich zagrzać do walki z Turkami. W książce p. Zeissberga, która przedstawia dotychczasową summę poszukiwań źródłowych nad Długoszem, wcale się z poselstwem takiem, w tym czasie odbytem, nie spotykamy: w obecnym przeto stanie świadectw historycznych twierdzenie Wiszniewskiego za proste tylko domniemanie uważać należy. Wiemy już, że Długosz był i u cesarza i u papieża, ale był przed upadkiem stolicy cesarzów wschodnich (maj 1453 r.); wspomnieliśmy już o pobycie w Neustadzie (1450), o dwukrotnej bytności w Rzymie (1449 i 50): mógł tu i tam przemawiać Długosz za wojną świętą; lecz przynajmniej w roku podróży do Jerozolimy wystąpienia jego, jeżeli były, nie miały charakteru publicznego. W przeciwnym razie nie moglibyśmy sobie wytłómaczyć zupełnego milczenia o Turkach w liście do Oleśnickiego z roku 1450 (Wiszniewski: *Hist. Lit. Polsk.* tom IV., 117—121).

nego Jakóba z Sienna. Kazimierz postanowił złamać opór. Kapituła dość prędko zmiękła; a gdy kandydat jej sam wyboru się zrzekł i na widowni pozostał jeden tylko Jakób ze stronnikami swymi, nacisk woli królewskiej tem gwałtowniej na trwających jeszcze w oporze wywierać się zaczął. Do ich liczby należał i Jan Długosz. Sprzyjał on Sienińskiemu nie dlatego, że w nim widział krewnego Oleśnickich, ale dlatego, że czuł i uznawał dobre jego prawo; zanim bowiem Kazimierz dyecezyę dla Gruszczyńskiego zająć zdołał, już z upoważnienia Stolicy Apostolskiej Jakóba na biskupa wyświęcono: był on więc kanonicznie biskupem dyecezyi i król bezprawnie go od katedry odsuwał.

Jagiellończyk kazał zająć wszystkie dziesięciny w dyecezyi, położył sekwestr na majątki kościelne, a opornych na wygnanie skazał. Długosz ledwie życie z Krakowa uniósł; mienie mu zabrano, dom kanonicki splądrowano. Wierny przekonaniom swoim, poszedł historyk nasz na tułactwo; ale w owym wieku nie potrzebował szukać schronienia na obczyźnie: znalazł je wraz z Sienińskim i drużyną wytrwałych nad Dunajcem w niedostępnym Melsztynie, u potomka owych Spytków i Jaśków, którzy-to, trwając tylko przez niespełna dwa wieki, tak wybitnie w dziejach naszych się zaznaczyli. Gdy król dopominał się wydania buntowników, spokojną dał mu na to odpowiedź młody pan zamku: »Nieszczęśliwym nie zwyklem odmawiać przytułku«.

Z gościnności w Melsztynie korzystał Długosz przez rok przeszło, od końca 1461 do początku 1463. Prześladowanie nie ustawało; a że nie tylko ludzkie, ale i boskie prawa gwałciło, tego najlepszym dowodem były różne znaki na niebie, które się przez rok 1462 pokazywały; z całą naiwnością wieku swego zapisuje je do kroniki swojej Długosz (*Dzieła wyd. Przezdz.* tom XIV, 349). Dopiero w styczniu, na sejmie piotrkowskim, gdy i papież przysłał swego delegata, po nadaremnych jego namowach i groźbach, które król odrzucał ze stałością, jaką rzadko następcy jego okazywali, dobrowolne a zacne zrzeczenie się Jakóba z Sienna zakończyło długą walkę. Długosz był w orszaku Sienińskiego i wraz z nim zyskał zupełne przywrócenie praw, a później nawet i łaski królewskiej. Odtąd nic już

nie zachmurzyło pogodnych stosunków jego z dworem, a nawet czas miał je w coraz ściślejsze ujmować węzły.

Zaraz w roku 1464 król przeznaczył Długoszowi wybitną rolę w układach z Krzyżakami o pokój. Wespół z uczonym Jakóbem z Szadka miał historyk w przewidywanych rozprawach wyobrażać żywioł ścisłej argumentacyi historycznej, do której się należycie był usposobił przez naukowe swe badania. Krzyżactwo już od bitwy pod Puckiem (1462) dążyło do pokoju, ale przez intrygi swe chciało dla układów o pokój wytworzyć takie warunki zewnętrzne, któreby zniweczyły, a przynajmniej zmniejszyły, owoce, jakie Polska z drzewa dziejów miała już wtedy prawo dla siebie zerwać. Nie widząc takich warunków, a ustawicznie się ich spodziewając, mistrze w obłudzie działali ciągle na zwłokę; już w roku 1464 zerwali zjazd w Toruniu; drugi w Gdańsku, w tymsamym roku wskutek powietrza do skutku nie doszedł. W r. 1465 wyznaczono nowe rokowania nad Frisch-Haff; niechęć krzyżacka, pod pozorem zarazy, znowu je rozchwiała. Podobny los spotkał zjazd w Malborgu. Długosz znajdował się we wszystkich tych wszczynanych potrzebach dyplomatycznych.

Zeissberg (l. c., przekład polski II, 49) stawia domysł bardzo prawdopodobny, że na początku 1466 r. znajdował się Długosz na synodzie w Łęczycy. Chodziło tu o podatek z dóbr kościelnych na wojnę pruską, którą historyk nasz i statysta tak gorąco popierał, a w której pokojowych epizodach współdziałał: król sam mógł Długosza wysłać na radę biskupią, aby wywrzeć potrzebny nacisk na duchowieństwo.

Rok 1466 miał przynieść duszy zacnego męża dawno upragnioną radość. Poddanie się Krzyżaków stało się już koniecznością, którą nawet Stolica Apostolska, sprzyjająca im, uznawać zaczęła; Paweł II przysłał umyślnego legata Rudolfa dla pośrednictwa. Król powierzył Długoszowi wybadanie tego posła, przebywającego wówczas (w czerwcu) we Wrocławiu; później, w sierpniu, posłał go do Świecia dla oznaczenia miejsca i czasu na ostateczne układy. We wrześniu rozpoczęły się rokowania w Toruniu, a przy usilnem współdziałaniu Długosza i Jakóba z Szadka dnia 19 października stanął wiekopomny pokój toruński. Miał prawo położyć swe nazwisko na traktacie ten, kto

go w niemałej części własnem swem mógł nazwać dziełem; znajdujemy je też na akcie traktatu (*Vol. Leg. wyd. Ohr.*, tom I, 101) obok nazwiska przyjaciela i najbliższego współpracownika, wspomnianego wyżej Jakóba. Radośnie wita Długosz skruszenie potęgi krzyżackiej: zwycięstwo jednak nie upaja go, nie zaślepia; radość nie przeszkadza mu wzbić się do szczytnego uczucia sprawiedliwości i upomnieć swoich, że »niedość jest królestwa zdobywać: potrzeba jeszcze niemi dobrze rządzić«. (*Dzieła wyd. Przezdz.*, tom XIV, 465).

Po trudach dyplomatycznych w wojnie pruskiej rok 1467 otworzył Długoszowi nowe pole działalności w polityce zagranicznej. Był to czas, kiedy Stolica Apostolska chciała sobie urobić z Kazimierza Jagiellończyka powolne narzędzie do zdławienia husytyzmu w Czechach i strącenia Podjebradzkiego z tronu. Legat Rudolf czynił zatwierdzenie traktatu toruńskiego zależnem od powolności króla dla powyższego celu. Król i w tej również sprawie nie zrzekł się niepodległości swego zdania i swej woli. Nie był on człowiekiem do wielkich myśli i czynów, ale miał w sobie wiele tęgości, rozsądku i daru pochwytywania rzeczywistych stosunków. Nie nęciło go powołanie na tron czeski przez katolickich możnowładców kraju; z natury niewojowniczy, nie chciał orężem zdobywać tego, co mógł zyskać pokojem: o pokój też w Czechach przedewszystkiem się starał i dla zyskania go wysłał na jesień r. 1467 poselstwo do Pragi.

W poselstwie tem znajdowali się: Długosz, Stanisław Ostroróg, brat sławnego Jana, i Jakób Dębiński. Posłowie ci mieli przed sobą trudne, zmudne, męczące zadanie; układać się musieli z tłumem arystokracyi czeskiej, przeciwko Jerzemu powstałej; nigdy stanowczych nie mogli otrzymać przyrzeczeń, a gdy i stałego miejsca narad nie było, z Pragi na Morawy, z Moraw na Śląsk, ze Śląska napowrót do Pragi przejeżdżali, aby wreszcie w styczniu 1468 roku rozejm między powaśnionymi wyjednać. Na początku lutego był już Długosz z powrotem w Krakowie.

Czesi trwali ciągle w zamiarze posadzenia na tronie swoim Kazimierza lub jego najstarszego syna, Władysława. Intrygi Macieja, który, ośmielony namowami Stolicy Apostolskiej, w roku 1469 postarał się o to, że go sejm w Ołumuńcu na króla cze-

skiego wybrał — zagmatwały jeszcze bardziej sprawę. Kazimierz nie lubił króla węgierskiego, ale i teraz jeszcze nie dał się do orężnego wystąpienia nakłonić; krępowały go zresztą prawa kraju, którym rządził. Pragnąc zgody z Maciejem, w roku 1469 wysłał Długosza do Węgier. Król węgierski udał, że o niczem nie wie, pełnomocników wcale nie wyznaczył: i tak poselstwo Długoszowe skończyło się na podróży do Podolińca na Spiżu.

Nareszcie już i sam Podjebradzki, odsuwając od tronu własne swe potomstwo, koronę czeską oddał królewiczowi Władysławowi, zastrzegł sobie tylko dożywocie na tronie. Tak tedy Czechy po raz trzeci w tym wieku wyciągały dłonie do Jagiellonów; a gdy po czterech latach tymczasowości, nakoniec i sejm praski zniósł dawniejszy wybór Macieja i Władysława na tron powołał, nie było się już co namyślać. Śmierć Podjebradzkiego uprościła sprawę, a we dwa miesiące później Stany Czeskie uroczyście w Kutnejhorze (w maju 1471 r.) Jagiellonowi berło oddały. Po królewicza pojechało zaraz poselstwo do Krakowa.

Królewicze zostawali wtedy pod sterem nauczycielskim Długosza; sam Władysław albo był jeszcze uczniem, wychowańcem Długoszowym, albo też przed niedawnym dopiero czasem z pod kierunku jego wyszedł. Nauczycielstwo to trwało od początku roku 1468 aż do samego niemal skonu czcigodnego męża. Bardzo mało o niem wiemy; szczupłych wiadomości, jakie sam Długosz w *Historyi* w tym przedmiocie podał, nie wzbogaciły, o ile wiemy, żadne bezpośrednie, a rzecz wyszczególniające, świadectwa. Mówiąc o nauczycielstwie, rozumiemy raczej zwierzchni dozór, kierunek moralny, wyrabianie charakterów, niż wdrażanie umysłów w szczegółowe dyscypliny wiedzy. Taki zapewne cel mieli rodzice, gdy w końcu roku 1467 powierzali dzieci swe nietylko uczonemu, ale i głęboko prawemu, dla prawości swej słusznie cenionemu człowiekowi; zwłaszcza królowa Elżbieta, światła niewiasta, dobra matka, której umysłowi książeczka *O wychowaniu królewicza* prawdziwy zaszczyt przynosi, taki cel mieć musiała. Do właściwego nauczania Długosz, i przez wiek swój, i przez prace, i przez stanowisko, mniej był już sposobnym i prawdopodobnie jednej tylko retoryki starsze już dzieci sam przez się nauczał; może jeszcze jakie inne mie-

wal wykłady, zwłaszcza historyi, której wtedy wcale nie uczono w szkołach: ale nauczycielem w ścisłem znaczeniu nie był; był tylko ochmistrzem, naczelnym kierownikiem i miał pod sobą nauczycieli, którzy już bezpośrednio umysły królewiczów kształcili. Słusznie go nazywają »wychowawcą królów«, bo z sześciu jego wychowańców czterech królami zostało, piąty, o królestwo ziemskie nie dobijając się, niebieskiego dostąpił, szósty tylko, najmłodszy, jako książę Kościoła, życie zakończył. Nie były to orły, ale wogóle dobrą po sobie zostawili pamięć, a nie jest w tem bez zasługi Długosz: czystość jego, mądrość, moc duszy, zbawiennie wpływać musiały na dzieci. Co za szkoda, że nam nikt historyi tych lat dwunastu, spędzonych przy królewiczach, nie opisał!

Stałe miejsce uczelni Długoszowej było tam, gdzie i on sam stale mieszkał i rodzina królewska rezydowała: Kraków. Domysły stawiane co do Lublina nie mają podstawy logicznej, a historyczna nie jest dostatecznie wykazaną. Widział wprawdzie królewiczów, wraz z Długoszem, poseł wenecki, Contarini, w grodzie nad Bystrzycą w r. 1474; widywano ich w Miednikach, na wschód od Wilna (*Staroż. Polska;* tom III., 212); czasy wytchnienia w lecie przepędzał Długosz w Tyńcu, w Niepołomicach, w N. Sączu: ale przy tem wszystkiem tylko w Krakowie mógł stale obowiązki swoje pełnić.

Gdy owo poselstwo czeskie w czerwcu 1471 r. do Krakowa przybyło, niewątpliwie Długosz wychowańcowi swojemu odrzucenie korony doradzać musiał, ale wobec postanowienia króla, rady te mocy już żadnej nie miały. Posłowie zastali na Wawelu odpowiedź gotową, i królewicz wybierać się zaczął w podróż. Jakże tu było rozłączyć się ze swym kochanym nauczycielem, przewodnikiem moralnym? I syn i ojciec nalegali na Długosza, żeby orszakowi do Pragi towarzyszył. Niełatwo go nakłoniono: bogobojny kanonik nie tylko czuł wstręt od Czechów, ale obawiał się jeszcze skutków klątwy, która wtedy *ex lege* nad Czechami wisiała; naleganie jednak było tak silne, że Długosz oprzeć mu się nie zdołał. Podobno król, walcząc orężem krasomówstwa, porównał go ze sobą w godności, ojcem duchownym dzieci swych nazwał i zapytał: »czyżby miał dopuścić, ażeby młodzieniec naraz obu ojców postradał?« Krasomówstwo

takie, szczerość serdeczna rodziny królewskiej, pokonały ostatecznie opór. Dnia 25 lipca (1471) orszak świetny panów polskich i czeskich wyruszył do Pragi, a w orszaku tym znalazł się i Długosz. Dnia 22 sierpnia odbyła się koronacya młodego króla. Wiadomość o ofiarowaniu wtedy Długoszowi przez Władysława godności arcybiskupa w Pradze stosuje się tylko do zamiaru jednostronnie powziętego: umowa z narodem czeskim wyraźnie urząd ten dla krajowca przeznaczała. Zły byłby to początek rządów, któryby ten punkt umowy pogwałcił, obszedł, lub, choćby nawet ze zgodą drugiej strony, ominął. Długosz, daleki zawsze od ambicyi a rozumny, dobre chęci swego wychowańca uznał, ale z nich skorzystać nie chciał.

W Pradze nabawił się ciężkiej choroby, a z wrzawy uroczystości koronacyjnych wyrwała go wieść smutna: młodszy brat jego, również kanonik krakowski, i tegożsamego co on imienia, umarł. Dla rozróżnienia ich pomiędzy sobą współcześni nazywali starszego, właśnie historyka i statystę, »*Senior*« i ta nazwa została mu u potomnych. Autor *Vita Dlugossii* pisze, że przydomek ten nadano Długoszowi jeszcze w rodzinie, w wieku pacholęcym; wskazany tu początek nazwy lepiej i ją samą i potrzebę jej tłómaczy.

Choroba Długosza była ciężką, bardzo ciężką. Przez dni niebezpieczeństwa, w dalszych i bliższych warstwach społeczności krakowskiej panował niepokój, tłumaczący się wielką popularnością męża. Dwór dowiadywał się ciągle o stan chorego, a król osobiście do mieszkania jego przyszedł. Długosz ocalał; w boleściach fizycznych i zwątpieniu o życiu spisał testament.

W r. 1473 Kazimierz Jagiellończyk zaczął na nowo używać Długosza do posług dyplomatycznych: posłał go na Śląsk dla układów z Korwinem, trzymającym się zasady, że na to się ma sąsiada, aby mu wodę mącić. Długosz był wtedy najpierw w Nissie, z Nissy pojechał na zjazd opawski. Zła wola Macieja rozchwiała układy. Nielepszy los spotkał nowe starania Kazimierza o pokój, w r. 1475 zlecone Długoszowi: poseł z drogi zawrócić się musiał. Dopiero w r. 1478, w listopadzie, po ustaleniu pokoju między królem czeskim a węgierskim, Długosz dotarł do samego Macieja i wyjednał rozejm, który w roku następnym zamieniono na akt pokoju i przyjaźni potrójnej w Ołomuńcu.

Do wyjednania powyższego rozejmu Długosz wielką przywiązywał wagę: w ogłoszonym przez p. Białeckiego (z datą 1476 zamiast 1478) liście do Stanisława Łukawskiego, mansyonarza w Sandomierzu *(Ręk. Dł.* str. 101) pisze, że »pomyślnie wszystko na Węgrzech załatwił, sześć pożarów, sześć wojen bozapalczywych przytłumił«. Z podróży tej wrócił przybity i z febrą. Zdrowie też jego odtąd chromać zaczęło.

Przedostatni rok życia przyniósł Długoszowi jeden jeszcze widok radosny przed śmiercią: hołd upokorzonego mistrza pruskiego w N. M. Korczynie, pełnomocnikowi królewskiemu złożony (d. 9 października). Inne jeszcze spotkało go w tym roku zadowolenie: król, wdzięczny za tyle usług, i nie widząc nikogo nadeń godniejszego, dał mu arcybiskupstwo lwowskie po zmarłym w roku 1477 Grzegorzu z Sanoka. Posłano do Rzymu po zatwierdzenie nominacyi, ale nim *placet* rzymskie nadeszło, wprzód śmierć u wezgłowia starca stanęła. Na wiosnę 1480 r. obłożnie zachorował, a pomiędzy 12 a 24 maja *(Zeissberg Dz. P. W. Śr.* t. II, str. 86) oddał ducha Bogu, któremu przez całe życie równie szczerze, jak i ojczyźnie, służył.

Na pogrzeb wyległo nieomal miasto całe; królewicze szli za trumną; akademia, kapituła, dostojnicy duchowni i świeccy— oddali ostatni hołd zwłokom głośnego uczonego, niepospolitego człowieka i wzorowego obywatela. Miechowita był na pogrzebie i opis jego w swej *Kronice* zachował (jest w *Janocianach,* w tomie III). Ciało złożono w Kościele św. Michała na Skałce i uczczono skromnym napisem, który i tak jeszcze dla niedbałej potomności zbyt wspaniałym być musiał, bo go już w XVIII w., po Starowolskim, nie widziano. Dopiero za dni naszych zapał Przezdzieckiego pobudził p. Łepkowskiego do zbudowania nowego sarkofagu z nowym napisem, a staranną łaciną skreślone przypomnienie zasług Długoszowych, umieszczone w katedrze wawelskiej, na parę znowu wieków wystarczy.

Datę śmierci Długosza przez Miechowitę na 29-go, przez Starowolskiego na 10-go maja oznaczoną, z okoliczności ubocznych i wyrażenia »dzień piątkowy« u pierwszego z tych pisarzów, bardzo poważnie i prawie niezawodnie, zarówno p. Zeissberg jak i Akademia Umiejętności, ustanawiają na d. 19 maja.

IV.

Ukazaliśmy tu koleje publicznego żywota Długosza. A prywatny? Gdzie są dzieje zabiegów i starań, podejmowanych tylko dla siebie, gdzie są osobiste, z nikim niedzielone, rozkosze i boleści, gdzie historya serca — gdzie życie prywatne i jakie jego koleje? Nadaremnie-byśmy ich szukali. Człowiek ten nie żył dla siebie, nie miał myśli, żądz, zamiarów, cierpień i radości wyłącznie własnych; wszystko dzielił ze społeczeństwem swojem, wszystkiem, co miał, obdzielał je, w bliższych lub dalszych zakresach. Opuszczamy jednę sferę publiczną na to tylko, aby w drugą natychmiast wstąpić; rozstajemy się z dyplomatą i statystą, z mężem publicznym w państwie, na to tylko, aby zaraz schylić czoło przed mężem publicznym w Kościele. Zamało jest nazwać Długosza kapłanem gorliwym, wzorowym: był on wyznawcą gorącym i, choć pasterskiego nie zajmował urzędu, ma prawo nazwać się pasterzem, opiekunem, mecenasem Kościoła Polskiego. Na skromnem stosunkowo stanowisku umiał więcej dokazać niż niejeden dostojnik, któremu los oddał w ręce dziesięciokroć, stokroć większe zasoby, środki i władzę. Jego działalność w kościele narodowym prawdziwie rozrzewnia pobożną dbałością o dobro, o pomyślność wielkiej instytucyi, którą tak miłował. Wiedział ten mąż bez skazy, że jak wiara tak miłość prawdziwa w czynach objawiać się powinna; kochając Kościół, którego sam był cząstką, czynami miłości tej dowodził; budował i odnawiał świątynie, zapewniał utrzymanie wieczyste, zakładał klasztory, wznosił mieszkania i zabezpieczał byt ludziom swego stanu; pomnażał, udogodniał i upiększał te zewnętrzne pomoce i warunki, bez których kult żaden wzrastać i kwitnąć nie może.

Oprócz kanonikatu krakowskiego, kustodyi wiślickiej, a później kieleckiej, oraz prebend i godności kolegiackich w Kielcach i Sandomierzu, około r. 1472 posiadł Długosz jeszcze godność kanonika gnieźnieńskiego, z dochodami złączoną. Starał się więc o uposażenia, ale bodajby wszyscy jednego z nim stanu po wszystkie czasy tak jak on o temporalia zabiegali. Patrząc na ogrom dokonanych przez niego fundacyi kościelnych i klasztornych, powiedzieć potrzeba, że na to tylko brał, aby z lichwą

oddawać. Czego szczegółowo dokonał, to powiedział sam w *Liber beneficiorum*, ale nie powiedział jeszcze wszystkiego. Wkrótce po jego śmierci przyjaciel, który napisał, wiadomy nam już, życiorys łaciński (Kallimach), dla pamięci ludzkiej zsumował wszystkie czyny tego wspaniałego serca, a najnowsze badania archiwalne listę fundacyi Długoszowych dopełniły tak, iż można ją prawie za dokładną uważać. Praca Zeissberga, co do dat miejsca i czasu główna nasza przewodniczka, daje obraz tej działalności zadziwiającej, do której mało podobnych znaleźlibyśmy w całej Europie ówczesnej. Nie mogąc tu obrazu tego odtwarzać, poprzestajemy na wyliczeniu dotykalnych świadectw gorącej miłości Długosza dla Kościoła*).

Najwcześniejszem wydaje się wzniesienie nowej świątyni z cegły i ciosu, we wsi Chotel Czerwony, pod Buskiem, w Sandomierskiem, w r. 1450.

Około r. 1454 sprowadza Długosz kanoników reguły świętego Augustyna do Kłobucka w Wieluńskiem. Był to owoc pracy i poświęcenia. Budynki klasztoru i kościoła po gruntownej odnowie w wieku XVII, do dziś dnia istnieją.

Podobny zamiar wprowadzenia Kartuzów na Kazimierz, a później na Bielany krakowskie, rozbił się o przeszkody od woli starca niezależne. W kilka lat po śmierci znikły już wszelkie warunki do tej fundacyi.

Czyny miłości dla Kościoła w połączeniu z duchem surowej, szczerej religijności, która się na kartach historyi przebija, dają nam miarę dobrodziejstw, jakieby wyświadczył dyecezyi swojej Długosz, gdyby był zasiadł na archi-katedrze lwowskiej. Przedwczesna śmierć męża szczery żal w sercu obudza.

Podobne do wielu fundacyi duchownych, ale w bardziej filantropijnej dążności dokonane, są fundacye świeckie Długosza w samym Krakowie. Należą tu: zbudowana w roku 1471 Bursa dla ubogich kanonistów, to jest uczniów prawa; odnowiona i rozszerzona Bursa Isnera dla ubogich akademików i wreszcie od-

---

*) Widoki budowli Długoszowych podaje, wielce badaniami nad Długoszem zasłużony, ks. Ignacy Polkowski w swojem »Album Długosza« (Kraków 1880); wiele też jest w »Kłosach« i »Tygodn. Illustr.« z roku jubileuszowego (1910).

budowana z gruntu po pożarze Bursa Jerozolimska, fundacyi pierwotnej Oleśnickiego. Autor *Vita Dlugossii* wpływowi jego przypisuje zapis Jana Melsztyńskiego (u którego w latach 1461/3 znalazł był schronienie) na Bursę Węgierską w Krakowie.

Długosz był niewielkiego wzrostu, chudy, ale powabny na twarzy i kształtny w postaci, oczy miał żywo patrzące, ale zapadłe i nieco skośne (»paululo abacti«: *Vita)*, nos długi, orli; przez pracę nad sobą pozbył się w znacznej mierze jąkania, które miał od dzieciństwa. W Krakowie zamieszkiwał dom nr. 133, który dochował się do naszych czasów w dawniejszym swym stanie. Ten dom sam sobie przebudował i urządził, razem z bratem, kanonikiem, stałą w nim miał siedzibę, i w tym domu też umarł. Tu ubiegały mu lata przy niezmiernie skromnym sposobie życia, przy zupełnem wyrzeczeniu się »świata«, na badaniach i pracach naukowych, na zamiarach i zajęciach około dobra społeczności kościelnej i interesów państwa, na nauczaniu dzieci królewskich, na udzielaniu rad i pociech, do których serce jego było tak zdolnem, na biesiadach z księgami staremi, których przyjaźń nie zawodziła, na rozmowach wreszcie z przyjaciółmi, których miał niewielu, ale dobrych, wypróbowanych i godnych siebie.

Jeden z tych przyjaciół, Sędziwój z Czechła, wzniósł mu słowem pisanem pomnik, który nieprędko zwietrzeje. Oto co mówi do niego: »Tobie Bóg najwięcej między współczesnymi rozumu i pracowitości udzielił, że jak cię znałem od dzieciństwa, między dojrzałych liczyłeś się mężów i codzień ci nowych zalet i dobrych przyrastało obyczajów. W tobie kwiat młodości zeszedł się z dojrzałością rozumu, a wymowa szła obok z sumiennością. U ciebie słowa prawdy są wypływem czystej duszy, a z ust twoich same niepokalane słowa wychodzą; z przeciągiem lat dostąpiłeś z pomocą boską sławy i zaszczytu, od których wszystkie cnoty dobrze odbijają« (*Wiszniewski:* Hist. Lit. Pol., tom IV., str. 49, według Henschena *Acta Sanctorum)*.

Prawość, głębokość moralna tej duszy doskonale się objawiła po skonie Oleśnickiego (w r. 1455), któremu Długosz cały wzrost swój w Kościele, a może i drogę zawodu publicznego,

zawdzięczał. Wdzięczność też bez granic przedstawia się tu jako słodka danina serca dla umarłego. Przywiązany do opiekuna i orędownika swego, kanonik krakowski sprowadza zwłoki biskupa z Sandomierza, a gdy wszyscy od ciała uciekają, on trzy dni przy niem spędza i od trumny prawie oderwać się nie daje. Jedno uczucie całą mu duszę ogarnia i męskiej go nawet miary i roztropności — choć na krótko — pozbawia. Mianowany jednym z wykonawców testamentu, na swój dział spełnia wszystko do najdrobniejszej literki; w *Historyi* czci zmarłego, jak ojca, jak bóstwo opiekuńcze swoje, i postać jego dziejową więcej przez wdzięczność niż przez poznanie przedmiotowe, jasnemi, świetnemi barwami maluje. Oleśniccy, krewni biskupa, niedobrze odpłacili się Długoszowi za jego przywiązanie. Andrzej z Oleśnicy oskarżył go o przywłaszczenie mienia biskupiego, ale, nie mając czem potwarczej tej skargi poprzeć, sprawy zaniechał i dopiero we dwanaście lat od śmierci Zbigniewa Jan Ludek z Brzezia, biskup krakowski, obyczajem owego wieku, wydał wyrok uniewinniający, który znajduje się w *Hist. Literatury Wiszniewskiego* (tom IV, 81).

O rodzinie Długoszowej mało wiemy, prócz jednego tylko *Juniora*, o którym już była wzmianka. W r. 1444 umarł Długosz, ojciec, a śmierć ta zwaliła na historyka naszego liczne kłopoty. W kilka lat później los zgotował mu gorszą od kłopotów boleść: zbójcy zabili mu brata; rozżalenie serca braterskiego wyraża się w liście do Rafała ze Skawiny (u *Wiszniewskiego* l. c. IV. 78—9). Z listu tego można wnieść, że wypadek wydarzył się jeszcze za życia kardynała. Wspomina o nim autor *Vita Dlugossii*.

Wydawnictwo Przezdzieckich da nam zapewne życiorys najlepszy, jaki z dochowanych świadectw złożyć można; znając jednak wogóle ubóstwo materyału biograficznego, wątpimy, czy nawet w tym życiorysie znajdzie się, najciekawszy w każdej osobistości, proces duchowego rozwoju. Umysł Długosza, jak umysł każdego wyższego człowieka, musiał przebywać ciężkie znoje i dolę twardą, wątpienia i walki, i nie odrazu był takim, jakim go już widzimy w *Epistola dedicatoria* przy *Historyi*.

V.

Po Długoszu zostały następujące dzieła, wszystkie po łacinie pisane:

1) Zbiór dokumentów do historyi kościołów i ich uposażeń, oraz poboru dziesięcin w dyecezyi krakowskiej, nazwany przez późniejszych *Liber beneficiorum dioeceseos cracoviensis*. Ważny jako przyczynek do stanu majątkowego duchowieństwa i samej szlachty w XV wieku; wogóle księga bardzo szacowna. Wspomniano już o niej wyżej.

2) *Annales Regni Poloniae*, nazwane po śmierci autora *Historia Polonica* albo *Polonicalis*, główne dzieło historyczne Długosza, obejmujące historyę Polski od rozłączenia się Lecha z Czechem i przybycia pierwszego z nich za Karpaty, aż do wiosny 1480 r. (zabawianie się Kazimierza Jagiellończyka na Litwie). Za tło dla wykładu głównego służy historya powszechna, od potopu i rozejścia się siedmdziesięciu dwóch języków z pod wieży Babel, aż do pustoszenia Austryi przez Macieja Korwina. Jest to pierwsze dzieło syntetyczne w literaturze polsko-łacińskiej o dziejach Polski, a najniezawodniej jedno z pierwszych na świecie dzieł historycznych, obejmujących całość losów jakiegoś narodu, na skalę tak wielką. Pracował nad tem dziełem Długosz przez ćwierć wieku i poświęcił je pamięci opiekuna swego, orędownika i przyjaciela, Zbigniewa Oleśnickiego. Powszechnie przyjmują rok 1455 jako datę rozpoczęcia samej pracy pisarskiej; gromadzenie jednak materyałów, zbieranie dawnych kronik i dokumentów znacznie wcześniej rozpocząć się musiały. Jak we wszystkiem, co przedsięwziął, tak i w pisaniu tej historyi Długosz wiele szczerego zapału i gorliwości okazał. Poznał i odczytał wiele kronik i zaznaczeń krajowych, oraz annalów obcych, niektóre odpisywać sobie i tłumaczyć kazał, a o siwiejącym już włosie zabrał się do nauki języków słowiańskich, aby rozumieć Nestora i innych latopisów ruskich. W wykładzie swym postępuje porządkiem dat, ale umie się także trzymać i porządku przedmiotów i raz na tor dany wszedłszy, rzadko kiedy go opuszcza dla nowo nastręczających się wydarzeń. Wiedząc, że naród jego należy do społeczności europejskiej, z historyi kon-

tynentu europejskiego, a głównie państw sąsiednich, zachodnich i południowych, czyni sobie osnowę, na której dopiero rysuje stosunki zagraniczne Polski. Nie zapomina też o papieżach; czyny i charaktery wybitniejszych wyraziście wskazuje. Zna już podówczas, rozumem swoim przeczuwa potrzebę, wcale jeszcze nieświtającą w umysłach: opowiadania nietylko dziejów politycznych, ale i społecznych, opisywania charakteru narodowego, obyczajów, wreszcie ziemi zamieszkiwanej, a uczucie tej potrzeby czyni go pierwszym, najwcześniejszym geografem i etnografem polskim. Na samym początku swej *Historyi* umieszcza opis ziemi polskiej *(Chorographia)*, wielce ciekawy jako zabytek wieków dawnych *(Dzieła wyd. Przezdz.*, tom X., str. 8—57); o naturze i obyczajach Polaków mówi na str. 78—9, Litwę i Litwinów charakteryzuje w tomie XII, str. 470—4 [2]), opowiadanie swe wzmacnia przytaczaniem dokumentów, które pilnie zbierał, ale zbioru tego potomność po nim nie otrzymała [*]). Dla ożywienia wykładu, sposobem Liwiusza, działaczom swoim kładzie w usta mowy, do czynów ich i uczuć zastosowane, przytacza listy, nekrologi i żale wierszowane po śmierci drogich osób.

W tem-to jedynie dziele, na dwanaście ksiąg rozpadającem się — podział na trzynaście jest późniejszym [3]) — Długosz występuje

[2]) Powaga i dokładność, w wielu miejscach uderzające, łączą się tu dziwnie z naiwnością dziecięcą. Tak np. tom X, str. 57, mówi Długosz, że w Polsce są dwie osobliwości: w Poznańskiem garnki w ziemi rosnące i w Chełmskiem, drzewa sosnowe, które, gdy je ściąć, po pewnym czasie krzemienieją.

[*]) Różnych dokumentów, dowodów i pomników, dających świadectwo, przytacza Długosz w swej historyi sto kilkadziesiąt. Semkowicz (»Krytyczny Rozbiór«, str. 38—41) od r. 1065—1322 naliczył 88, z tej liczby 21 podanych *in extenso.* Nie mógł jeszcze Długosz dostrzedz podrobienia fundacyi lubiązkiej z r. 1175. Miewał przed sobą teksty, odbiegające od ogłoszonych w *Vol. Legum,* jak np. brzmienie przywileju z r. 1430—3 (*V. L.* t. I., 90—5), niezgodne z ustalonym już przez Balzera tekstem w wydawnictwie *Corpus juris polonici* (1910).

[3]) Właściwie wprowadził tę XIII księgę wydawca-redaktor tekstu, w wyd. frankf.-lipskiem 1711—2 r., a wziął żywcem z rękopisu późniejszej redakcyi, własności Dębińskiego, chorążego oświęcimskiego. Powtórzył ten podział Mitzler w wydaniu warszawskiem *Collectio magna Historiarum*, w t. IV—V. Księgę XIII wytworzono z dalszego ciągu XII od śmierci Warneńczyka. Jest rękopis jej w Szwecyi.

w swym charakterze historyka. Inne jego prace są tylko pomocnicze, przygotowawcze; ta jedna ukazuje pełnię jego kunsztu dziejopisarskiego, jego zalety i wady. Jak nikt przed Długoszem nie odważył się na odmalowanie całego pochodu narodu przez dzieje, tak nikt mu nie dorównał w umiejętności żywego, przyciągającego opowiadania. Na owe czasy, kiedy z odrodzenia się mowy łacińskiej mało jeszcze do Polski było przeniknęło, bo i we Włoszech właściwie dopiero się w końcu poprzedzającego stulecia poczęło, język i styl Długosza, chociaż jeszcze średniowiecznością skażone, okazują już postęp, i pochwały, oddawane przez Sędziwoja z Czechla i autora *Vita*, wobec upośledzenia łaciny w kronikach tak dawniejszych jak i późniejszych wcale nie są przesadzone.

Na swój wiek Długosz, pierwszy torując drogę rzeczywistym historykom, w dziele swem nie tylko historyę, ale i naród swój przed światem zaszczycił. Niewolny od błędów, nie wyćwiczony w krytyce historycznej, pomijający świadectwa ważne, np. Dietmara i Pulkawy (czeskiego), zastępujący niejednokrotnie domysły pewnością, ma jednak doskonałe o majestacie i znaczeniu praktycznem historyi pojęcie i wspaniale je w swej *Epistola dedicatoria* wypowiada. Kocha prawdę i nie lęka się jej w oczy rzucać, np. o papieżu Janie XII (tom X, str. 101); ale niewyzwolony jeszcze duchem, niemogący sobie jeszcze powiedzieć: »*homo sum*«, nie ma kardynalnej podstawy wszelkiego dziejopisarstwa: jest nieraz małuczkim, stronniczym, niesprawiedliwym [*]). Ostatecznie jednak wszystko rozważywszy,

[*]) Jeżeli np. dla Łokietka znajdzie zwięzły określnik: »Mąż dziki i silnej ręki; nie z ciała, ale z duszy bohaterskiej oceniać go potrzeba; dzielny do starości; małe ciało duszą bohaterską uszlachetnił« (tom XII dawniejszego układu, str. 161—2, w księdze IX); jeżeli, pomimo całej czci swojej dla Stanisława, za którego zamordowanie Polska rzekomo pokutuje w XIII jeszcze wieku, pomimo zupełnego solidaryzowania się z wygnaniem Bolesława, nie waha się wspomnieć o jego ludzkości, łaskawości serdecznej *(mansuetudo)*, przyznać, że go przez czyny i powodzenie swe, król popędliwy (należałoby mu się to właśnie przezwisko) jakimś podziwem wielbiącym (dobieram tu wyrażenia najsłabszego; po łacinie jest w tomie X str. 380—1: *admiratione quadam percellit)* przejmuje: to niesprawiedliwym jest dla Władysława Jagiełły, kładzie nacisk na jego przywary, nie uwydatniając przymiotów (XII 452 i inn.): wogóle ma niechęć ku Litwie

można go z czystem sumieniem nazwać największym historykiem XV. w. w Europie: żaden bowiem tak wielkiego jak on dzieła nie podjął i nie wykonał.

Autograf (nie nawskróś) *Historyi* Długosz wraz z innemi swemi pismami przekazał Akademii krakowskiej, którą zaklął na wszystkie świętości, aby dalej dzieło przez niego rozpoczęte prowadziła, to zaś, czego on sam już dokonał, a czego niedoskonałość sam jasno i głośno wyznał, poprawiła. Martwe to było zaklęcie: w pół wieku po śmierci Długosza Akademia, opierająca się postępowi umysłów, stawała się już ciałem bez duszy. Autograf leżał sobie spokojnie w skrzyni, dopóki go jakaś miłościwa ręka nie wykradła (około r. 1768), a Czacki nie nabył. Egzemplarz przez niego kupiony sięga tylko do r. 1409 i obejmuje ksiąg dziesięć. Z biblioteki poryckiej zabytek ten dostał się do Puław, a stąd do Sieniawy i następnie Paryża (tam go

i Litwinom; niechęć ta jednak nie przeszkadza mu Witolda przyrównać do Aleksandra Macedońskiego (XIII. 415—6). Dla Chrobrego okazuje się zimnym (X. 224—5), Krzywoustemu pochlebia (X. 564—5), zrzucając z szali sądu bratobójstwo. Kazimierza Wielkiego chwyta dobrze (XII. 324—7), a mimo wyższości Janka z Czarnkowa, siłą własnej swej myśli. Wogóle tam w sądach swych błądzi, gdzie ksiądz, trzymający się zasady, że bez władzy duchowej świecka sama przez się nic czynić nie ma prawa, przeważa w nim. nad obywatelem i człowiekiem. — Kościół i miecz duchowny nad społecznością dziejową świecką i mieczem świeckim. W tem główna przyczyna jego małostkowości i ograniczności, ilekroć je w sądach swych okaże.

Najjaskrawiej wystąpiły te przywary dziejopisa w wojnie z Krzyżakami. Dopiero przed pokojem toruńskim zmora przestała mu pierś przytłaczać: Ocknął się Polak i człowiek wolny od przywidzeń, zaciemniających jasny pogląd na sprawę. Księżowska stronniczość występuje np. jeszcze: w przedstawieniu stosunku Mieczysława Starego do Gedeona, biskupa krakowskiego, na podobieństwo nienawiści Bolesława Śmiałego ku Stanisławowi (tom XI, początek księgi VI); w momencie rzucenia klątwy biskupa Andrzeja na Łokietka (XI, 543); w cudach, po zajęciu dziesięcin przez Kazimierza Jagiellończyka (XIV, 349). Jest wiele jeszcze miejsc podobnych. Krytyki historycznej niepodobna wymagać od epoki, która żyła pod prawem Kościoła, od człowieka, który ślepo wierzył i w dogmata i w cuda i podania, wywód rodu ludzkiego prowadził za Genezą, wierzył w Kosmasową bajkę o trzech braciach patryarchach i t. d. Starał się Długosz o prawdę, uznawał jej powagę i wielkość, cieszył się nią, gdy do niego przyszła, sam z siebie szedł po nią, gdy jej potrzebował: i to już od odpowiedzialności podmiotowej wobec potomnych uwolnić go powinno. Mierzy się ludzi jednych drugimi: miary Długosza nie trzymał żaden ze współczesnych mu kronikarzy-historyków (1910).

odkryto; dziś w Krakowie). Księgę XIII znaleziono w Szwecyi. Po zestawieniu autografu Czartoryskich z doskonałym odpisem, na Łysej Górze niegdyś przechowywanym i całość pracy Długoszowej obejmującym, ułożono cały ciąg dziejów, najdokładniejszy, jaki złożyć dziś było można, i według niego dokonano wydania w *Opera Omnia*, staraniem Przezdzieckich. Wszystkich kodeksów *Historyi* Długoszowej, całkowitych i częściowych, jest sześćdziesiąt cztery, skróceń dwanaście, ułamków bezładnych sześć [4].

3) *Insygnia seu Clenodia Regni Poloniae*, pierwsza próba heraldyki polskiej, z której korzystali autorowie herbarzów lub o herbach piszący, Paprocki, Bielski i późniejsi. Długosz pomieścił tu 137 opisów i wyobrażeń herbów, służących ziemiom, kapitułom i baronom (rodom szlacheckim), prawie wszędzie podając krótkie charakterystyki lub legendy rodowe.

4) *Banderia Prutenorum*, opis pięćdziesięciu siedmiu chorągwi, zdobytych na Krzyżakach pod Grunwaldem i Nakłem, wraz z wyobrażeniami kolorowanemi pięćdziesięciu sześciu, które zawieszone były w katedrze na Wawelu i zniszczały od niedbalstwa ludzkiego raczej, niż od wpływów fizycznych. Pierwszy, ale niedokładnie, wydał je Niemiec *Vossberg* w Berlinie w r. 1847. W roku 1851, jak już wiemy, wydanie lepsze uskutecznił Muczkowski, złączywszy *Banderia* z *Insygniami*.

5) *Żywot św. Stanisława*, napisany w r. 1465 na domaganie się różnych znakomitości, a zalecenie Zbigniewa Oleśnickiego, wydany z rękopisu u Hallera w Krakowie, w r. 1511. Dokładny tytuł tego dzieła jest: *Vita beatissimi Stanislai, Crac. Episcopi, nec non legendae SS. Polonie, Hungarie, Bohemie, Moravie, Prussie et Silesie patronorum in lombardica historia non contente.*

6) *Żywot św. Kunegundy*, współcześnie z poprzednim napisany i obecnie dopiero po raz pierwszy w oryginale, w t. I. *Dzieł Długosza, wyd. Przezdz.*, wyjść mający. Przekład polski był już w XVII wieku.

Oba te dzieła, pisane na podstawie dawniejszych opracowań, należą raczej do literatury dewotycznej niż do biografii;

[4]) Ośmiu rękopisów, obejmujących najwięcej z tekstu historyi Długoszowej, użyto do wydania.

uważać je też potrzeba za dzieła duchowne a nie świeckie. Żywot św. Stanisława oparł Długosz na pracy dawniejszej, z XIII w., Wincentego z Kielc, *Żywot św. Kunegundy* — na piśmie dorywczem jakiegoś Franciszkanina Stanisława.

7) *Żywoty arcybiskupów i biskupów polskich, mianowicie gnieźnieńskich, poznańskich, wrocławskich (smogorzewskich), władysławskich i krakowskich*, pisane w rozmaitych czasach. Całość posiadał niegdyś Marcin Kromer, biskup warmiński i historyk, w swej bibliotece. O wydaniach częściowych wyżej już wspominano. Dzieło to, w znacznej części, zwłaszcza co do początków i pierwszych stuleci istnienia biskupstw, na hypotezach, posłuchach, niesprawdzonych zaznaczeniach i wogóle na złych źródłach oparte, przedstawia się i jako oryginalne wystąpienie umysłu i jako praca pomocnicza do *Historyi*. Nie wytrzymuje ono krytyki dzisiejszej i nadspodziewanie mało dodatniej pomocy daje historykowi dzisiejszemu; za zupełnie jednak nieużyteczne uważać go nie można.

8) *Lites ac Res Gestae inter Polonos ordinemque Cruciferorum*, 3 tomy. Tom I *Liber et Registrum Regis et Regni Poloniae; Privilegia et alia producta ex parte fratrum de Prussia de anno* MCCCXXI. Tom II obejmuje protokóły świadectw, składanych przez obie strony w r. 1422 przed Antonim Zeno, wysłańcem papieża Marcina V; w wyd. Działyńskiego nie ma właściwego sobie tytułu. Mieści się w nim bardzo wiele dokumentów i zeznań. T. III *Liber Rev. Patris Zbignei olim Card. et Ep. Cracoviensis monimenta varia, articulos et questiones Regis Poloniae contra Magistros Prussiae in se continens*. Zawiera dowody do sporów toczonych z Krzyżactwem w latach 1413, 1416, 1421—2. Są tu obrony z obu stron. Ważne świadectwa o ucisku i barbarzyństwie krzyżackiem na Żmudzi.

9) *Mowy i Listy*, które dopiero w wydawnictwie Przezdzieckich ukażą się w poczcie należytym, a mamy nadzieję, że jaknajbardziej zupełnym. Zyskamy w nich przyczynek ważny do historyi męża i jego umysłowości. O wydanych już przez Janockiego, Wiszniewskiego i p. Białeckiego wspomniano wyżej *).

*) *a)* Dalsze pisma Długosza, ob. tu przypisek na str. 47. Z niego przybywa na powyższy wykaz pięć jeszcze pozycyi, wcielonych dotychczas w druk, a wydrukowanych przez Janockiego i Wiszniewskiego. Wraz z wydaniem tomu I *Opera Dlugossii* zmieniono kolejność tomów: trzy tomy *Liber beneficiorum* od r. 1887 są tomami II—IV całego wydawnictwa, 5 tomów *Historia*, oryg. łac. tworzą tomy V—IX., tyleż tomów przekładu polskiego X—XIV. W tomie I, opisanym w przypisku na str. 47, niema mów: zostają one jeszcze dla przyszłych poszukiwań i badań, wraz z zatraconym owym wstępem do *Liber beneficiorum*.

b) Wydawnictwo nie objęło życiorysu, pierwotnie (jeszcze r. 1878) przeznaczanego dla Małeckiego. Ważnej tej pracy biograficzno-krytycznej dokonali dwaj profesorowie jagiellońscy: Bobrzyński i Smolka (»Jan Długosz, jego życie i stanowisko w piśmiennictwie: wydawnictwo Konst. hrabiego Przezdzieckiego«. Kraków 1893; druk Czasu. Str. V—VII przedmowa, 1—215 życiorys, 217—318, 319—33, 335—6 spis rzeczy; 4-to). Cały rozdział IV., str. 148—97, poświęcony tu jest roztrząsaniu dziejopisarstwa Długoszowego. Rozpatrują je autorowie pod wielu względami i w sądzie swym dochodzą do stwierdzenia: że dziejopis-annalista dopuszczał się rozmyślnie przemilczania faktów; że je nawet dla pewnych momentów dziejowych fałszował; że swe mniemania o czynach osób działających, zwłaszcza króla, urabiał według osobistego stosunku, zrazu do Oleśnickiego, później, od ustania sporu o biskupstwo krakowskie (1463) do samego króla, gdy ten przywrócił mu swą łaskę, że jak dawniejszą potęgę państwa, w bajecznych już czasach dostrzeganą, na miarę nawet własnego swego złudzenia, przesadził, tak współcześnie z nim rozwijającego się w jego przedmiotowych czynnikach nie zrozumiał, lekceważąc ruch szlachecki od Statutów Nieszawskich: że zależność od kardynała wespół z zawodem w Kościele sprowadzała stronniczość szkodliwą dla prawdy; wreszcie, że wiara w bezpośredni wpływ i moc kierowniczą woli boskiej w biegu wypadków i czynów ludzkich w dziejach musiała kazić swoisty charakter historyi. Ostatecznie jednak, wytknąwszy wady, zdrożności i błędy, zakończają autorowie surową swą krytykę zdaniem, że »jeśli rozważymy ogrom dzieła Długoszowego w całości, to napróżno w całej literaturze powszechnej szukalibyśmy pomnika, któryby obok niego mógł godnie stanąć; żaden naród nie doczekał się wówczas swej historyi na tę co dzieje Długosza miarę« (str. 197).

c) Ściśle naukowe, z głębokiej analizy wynikłe oszacowanie Historyi Długosza daje nietylko w polskiem, ale i w europejskiem dziejopisarstwie wspaniałe dzieło krytyki historycznej, dokonane przez Al. Semkowicza, »Krytyczny rozbiór dziejów polskich Jana Długosza (do r. 1384)...« (Kraków, 1887; druk. Anczyca, nakład Akademii Um., str. V—XV przedmowa, stron. 1—66 Długosz jako badacz przeszłości, 67—402 szczegółowy rozbiór Ksiąg Długoszowych I—X, 403—6 spis dzieł przytaczanych, 1 kulb treść). Charakterystyka na samym tekście oparta, z krytyką logiczną zrosła, miłość ojczyzny i wiarę, religijność Długosza jako dwa źródła uczuciowe poglądów wskazująca, znajduje się na str. 11—24 (1910).

V.

GROBOWIEC KRÓLA-POKUTNIKA

(1882).

W historyi każdego narodu obok faktów głównych, które, według matematycznego porównania, są koniecznemi wyrazami ogólnego postępu dziejów, znajdują się wydarzenia pomniejszej wagi, których poznanie niczem do wypełnienia i wyrozumienia przeszłości przyczynić się nie może, a jednakże w badaczach i miłośnikach jej żywe wzbudza zajęcie. Interes wszystkich takich badań i odkryć jest czysto-historycznym, sprowadza się zawsze do rozwiązania wątpliwości: czy dany wypadek istotnie się stał, bez względu na to, jaka była jego ważność w wielkodziejowem życiu narodu; prawda historyczna, zaspokojenie szlachetnej ciekawości stanowi zawsze jedyny cel poszukiwań i rozpraw naukowych, w każdym podobnym przedmiocie podejmowanych. Nikt z dziejów naszego narodu nie wytrąci, naprzykład, kwestyi: jaki był stosunek protestantyzmu do katolicyzmu w XVI wieku; jak się zachował, co zrobił i co mógł zrobić Starosta Bełzki na Zjeździe Warszawskim po skonie Zygmunta Augusta; jaka była wartość obu stronnictw ścierających się z sobą podczas Wielkiego Sejmu i Targowicy; jakie były współczynniki zewnętrzne zawzięcia się Bolesława na biskupa, jaki charakter gwałtownych wypadków, które poprzedziły fatalną katastrofę: pominięcie jednego z takich zadań, równałoby się okaleczeniu samych dziejów. Ale poważny nawet historyk może pominąć kwestye: Szczerbca Chrobrego, samozwańśtwa po śmierci

Warneńczyka, przysięgi Jana Kazimierza we Lwowie, losów skarbca krakowskiego po r. 1794 i t. p. Do tego rodzaju zagadnień, nieistotnych dla dziejopisarstwa, lecz tylko urokiem prawdy historycznej nęcących ku sobie, należy i to: jakiego losu doznał, gdzie się tułał, jak ostatnie dni życia spędził i gdzie zmarł Bolesław Śmiały, po zabiciu biskupa Stanisława Szczepanowskiego i opuszczeniu kraju? Dla rozwiązania tej kwestyi podjęto w ostatnich czasach nową pracę, która daje nam sposobność do zwrócenia uwagi czytelników na przedmiot, ważniejszy bezwątpienia dla epopei króla niż dla historyi narodu, ale przez wielkość i tajemniczość postaci, mający prawo do zajęcia każdego podnioślejszego umysłu.

I.

W sierpniu roku 1881 Stefan Buszczyński odbył podróż do Ossiachu w Karyntyi, gdzie według utrwalonego od wielu wieków podania zmarł nasz król-bohater, jedna z najzdolniejszych osobistości, jakie zasiadały na tronie Piastów, czekająca jeszcze na historyka, któryby ją, bez złości i maluczkości umysłowej, w duchu Maciejowskiego i Lelewela odmalował. Od wieku wieków znajduje się w Ossiachu, przy kościele dawnego klasztoru Benedyktynów, napis grobowy i miejsce uważane za grobowiec króla-pokutnika; na murach kościelnych występują freski wyobrażające przygody z jego życia; z kroniki do kroniki przechodzi podanie o miejscu skonu i wiecznego spoczynku Bolesława, wzbogacane, i zawsze przytem niekorzystnie zabarwiane bałamutnemi dziejami jego tułactwa: a jednakże historycy poważni, jak Lelewel, w *Grobowcu Bolesława Śmiałego* i t. d. w *Polsce Wieków Średnich*, Tom II, wątpią o rzeczywistości faktu. P. Stefan Buszczyński w przejeździe do Włoch postanowił na miejscu zbadać zachowane pamiątki i świadectwa historyczne, aby z badania tego wyprowadzić dane, zdolne stanowczo wesprzeć przekonanie, wypowiedziane przez Przezdzieckiego w *Śladach Bolesławów Polskich po obcych krajach*, to mianowicie: że pamiątka pokazywana w Ossiachu jest rzeczywistym grobowcem Bolesława, w którego wnętrzu mieszczą się doczesne szczątki wielkiego wojownika. W przygotowywanej

do druku monografii miłośnik przeszłości ojczystej zdaje sprawę z tego, co na miejscu znalazł; a ogłoszony z monografii tej wyjątek pozwala nam powziąć o dokonanej pracy i sposobie naukowego jej spożytkowania następujące wyobrażenie.

Podróżnik nasz, przybywszy dn. 20 sierpnia 1881 roku do Ossiachu, odległego o pół godziny drogi koleją żelazną od miasta Villach, a 7 mil od Klagenfurtu, dostał się do grobowca Bolesława od strony jeziora Ossiach. Od wybrzeża kilka schodów prowadzi do furtki w murze otaczającym cmentarz kościelny; za tym pierwszym murem znajduje się drugi, poza którym dopiero rozciąga się właściwe terytoryum kościelne. Nieco na prawo od wejścia i przeciwległych mu, a zamurowanych dziś, drzwi kościoła, przy załomie muru, znajduje się piękne ogrodzenie z lanego żelaza, wskazujące miejsce tradycyjnego grobowca Bolesława Śmiałego i zapraszające do siebie uprzejmie Polaka słowami, ułożonemi z liter mosiężnych: *Sarmatis peregrinantibus salus* (Wędrowcom z Sarmacyi pozdrowienie). O takiem znaczeniu tego miejsca zawiadamia płyta kamienna, wpuszczona w mur kościoła, mająca wzdłuż 1 metr 55 centymetrów, w wyż 1 m. 4 cm. »Pośrodku tej płyty — pisze p. B. — w rzeźbie trochę wypukłej, przedstawiony koń bez jeźdźca, z cuglami i siodłem bez strzemion. Cugle i siodło znacznie przez czas zatarte i ledwie dostrzegalne«. Kamień, z którego zrobiono płytę, należy do gatunku kwarców, ma być twardym jak marmur; białość jego przybrała przez czas barwę ciemno-szarą.

Konia otaczają ramy wykute w kamieniu; wzdłuż nich biegnie napis łaciński: *Rex Boleslaus, Polonie* (sic), *occisor Sancti Stanislai epi. Cracoviensis* (król Bolesław, Polski, zabójca św. Stanisława biskupa krakowskiego). Nad płytą wisi niedawny obraz, na drzewie, wyobrażający główne wypadki z życia króla. Jest on kopią z obrazu starożytniejszego, zniszczonego już bardzo przez wpływy atmosferyczne, a przechowywanego w kaplicy. Oryginał pochodzi z XVII wieku. Obraz małe ma znaczenie i jako świadectwo i jako utwór sztuki; zajmujący jest tylko napis na nim: *Boleslaus Anno MLXXXX*. Poniżej płyty znajduje się arkada sklepienia, widocznie należącego do grobowca. Daje się ona widzieć od wnętrza kościoła na poziomie posadzki, z lewej strony od głównego wejścia frontowego. Tu wymiary jej, zdjęte przez podróżnika, mają w długości 1 m. 85 cm., w wysokości 1 m. 2 cm., w szerokości 90 cm. Początek arkady od ołtarza bocznego odległy jest o 1 m. Z drugiej strony tego ołtarza wisi w ramkach za szkłem dokument, pochodzący od znanego mecenasa i miłośnika rzeczy ojczystych, Wojewody Nowogrodzkiego, Józefa Aleksandra Jabłonowskiego, założyciela lipskiej *Societatis Jablonovianae*, autora *Musaeum Polonum*, *Dodecas ducum* i wydawcy mapy Zannoniego. Wystawiony w październiku 1762 r., dokument ten opiewa, że Jabłonowski przybył do Ossiachu po siedmiu wiekach, aby podziwiać fenomen Króla-Pokutnika, ojca ojczyzny... który tu spoczywa złożony pod ołtarzem Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia. Ze słów tych widać, jak słusznie uważa p. B., że ołtarz przesunięto z nad grobu już po odwiedzinach Wojewody.

Zbierajmy dalej nieliczne już pamiątki. Napotykamy w kościele freski, których wieku prawdopodobnego Buszczyński nie oznacza. Ma ich być sześć, w owalnym kształcie; wszystkie przedstawiają sceny z życia króla-gwałtownika: ucieczkę, pokutę, śmierć i złożenie do grobu. Oznaczenie czasu, w którym powstały te malowidła, byłoby bardzo pożądanem.

Ważniejszym od fresków zabytkiem jest spinka, z grobowca za owem ogrodzeniem żelaznem zewnątrz kościoła, przed czterdziestą parą laty wyjęta, a do czasów Buszczyńskiego przechowywana na probostwie, wraz z dotyczącemi jej pochodzenia świadectwami. Niegdyś mieli jeszcze Benedyktyni ossyaccy pierścień Bolesława, ale ten zaginął w 1748 r., a gdy potem kazali zrobić jego naśladowanie, i to również w sto lat później doznało losu swego pierwotworu: spinka zatem przedstawia się dziś jako jedyna pamiątka po królu, jeżeliby grobowiec, z umieszczenia swego i znamion zewnętrznych wyżej opisany, rzeczywiście mieścił w sobie zwłoki królewskie. Buszczyński, wierzący niezbicie w prawdziwość pomnika i w rzeczywistość skonu i pochowania króla w Ossiachu, miał silniejszą od innych pobudkę do przeniesienia pamiątki na miejsce bezpieczne i ze względu na wrzekomy charakter jej narodowy odpowiedniejsze. Wracając już tedy do kraju z Południa, wstąpił powtórnie do Ossiachu i wymógł na proboszczu kościoła, księdzu Andrzeju Kraińcu, odstąpienie spinki na rzecz Akademii Umie-

jętności; pamiątkę zabrał ze sobą i dnia 4 marca 1882 r., złożył ją krakowskiemu biskupowi, Dunajewskiemu, w obecności panów: Łepkowskiego, Przezdzieckiego Konstant. i X. Polkowskiego. Doręczenie stwierdzono umyślnym protokółem, którego kopią wraz ze świadectwem przesłano do Ossiachu. Zabytek z grobowca uważanego za królewski pomnożył skarbiec dawnych pamiątek na Wawelu. Spinka ta jest ze spiżu, znać na niej ślady złocenia; dziś barwa jej ciemno-zielonawa; na dwóch końcach jej są dwie główki karbowane, odległe od siebie o 32 milimetry; długość całego zabytku dochodzi do 45 milimetrów. Pamiątkowy ten przedmiot służył niegdyś do spinania płaszcza.

O żadnych już innych pamiątkach rzeczowych, zachowanych w Ossiachu po zmarłym królu, nie znajdujemy wzmianki w sprawozdaniu Buszczyńskiego. Opis, po niezbędnem uporządkowaniu go tutaj streszczony, jest od poprzednich szczegółowszym, ale nie powiemy, aby był dokładniejszym. Przezdziecki, któremu w zupełności ufać możemy, objaśnia nas, że obraz nad płytą kamienną jest olejnym, podczas restauracyi kościoła w 1839 r., odmalowanym z dawniejszego zniszczonego przez czas. Na tym obrazie, oprócz postaci rycerza w zbroi, z hełmem na koronie, wyobrażającej króla, mieści się po obu stronach siedm malowideł mniejszych, tożsamych co do treści z owemi freskami. Przezdziecki dokładnie je opisuje, mówiąc, że się znajdują nad oknami, że mają kształt podłużny, a odtwarzają siedm następujących scen: 1) Biskup krakowski wyrzuca Bolesławowi jego życie występne; 2) Biskup modli się, klęcząc pod krzyżem, jaśniejącym na niebie; 3) Bolesław zabija biskupa, odprawiającego Mszę św.; 4) Bolesław jako pielgrzym; 5) Bolesław noszący drwa do kuchni klasztornej; 6) Bolesław na łożu śmiertelnem, otoczony zakonnikami; 7) Zakonnicy niosą zwłoki Bolesława do grobu. Freski malował podobno jakiś małoznany Frohmüller [1]. Kamień płyty ma być, nie kwarcytem, ale marmurem karraryjskim. Cały opis swój wziął Przezdziecki z listu Jana Drewaczyńskiego, w 1852 r., który, sam będąc artystą, zabytki sztuki mógł bez błędu rozpoznać. Do *Śladów Bolesławów* dołączone jest wyobrażenie spinki, oraz bardzo staranny rysunek

[1]) Nagler nie zna wcale malarza Frohmüllera.

tablicy nadgrobnej zamieszczony również i we *Wzorach sztuki średniowiecznej*. Pominął Buszczyński szczegół, że wiersz łaciński, znaleziony przez niego w księdze probostwa, a podany tu niżej, znajdował się niegdyś pod pierwotnym obrazem, towarzyszącym nagrobkowi, i że pod wierszem był rok śmierci Bolesława 1089. Wymiary nagrobka podaje Przeździecki w łokciach i calach. Rzeźba konia ma wypukłość 4 cali. Kamienie, któremi dziś zarzucone jest miejsce za ogrodzeniem, stanowiły jeszcze w r. 1852 porządną posadzkę kamienną, ułożoną tam przy odnawianiu 1839 r.

Grobowiec zatem jest, lecz kiedy powstał i czy rzeczywiście mieści w sobie szczątki królewskie? Wskazówką wieku pamiątki może być zarówno sam rysunek i wyrzeźbienie konia, jak i pismo w otoku. Buszczyński rzeźbie daje wiek XIII, Drewaczyński, wysłany przez Przezdzieckiego, jakkolwiek artysta, na oznaczenie czasu według znamion artystycznych odważyć się nie mógł. Czacki, w przypisku do Historyi Naruszewicza w wydaniu Mostowskiego, nie będąc sam na miejscu, a mając niedokładny rysunek pisma, odniósł je do wieku XIII lub XIV. Lelewel był w takiemsamem położeniu i przyjął ten ostatni wiek, jako z charakteru liter wynikający; później, w drugiem wydaniu swej rozprawy, błąd sprostował, ale dodatnio nic jasnego nie powiedział. Przezdziecki nie rozstrzygnął wątpliwości: słusznie tylko wniósł z pisowni »Polonie«, że pomnik musiał powstać przed XVI w. Z powołanego przezeń świadectwa Dąbrówki, kommentatora Kadłubka, którego przytacza i Lelewel, widać, że już przed r. 1440 — czasem działalności tego kronikarza — istniał w Ossiachu jakiś pomnik, a na nim znajdować się miał tensam napis, który dziś czytamy, z dodaniem tylko na początku wyrazów: *Hic jacet*, a mogło być i tosamo co dziś wyobrażenie konia. Obaj badacze, na przeciwnych biegunach stojący, przytaczają charakterystyczne słowa dopełniacza Kadłubkowego: *Apud nos talia* (oczyszczająca pokuta króla i jego grobowiec przy kościele) *non famantur, nec divulgantur populo, ne facilitas veniae faceret incentivum delinquenti* [2]). Dłu-

[2]) »U nas takich rzeczy nie rozgłasza się i nie rozszerza pomiędzy lud, aby łatwość przebaczenia nie dawała podniety winowajcy«.

gosz, piszący w kilkadziesiąt lat po Dąbrówce, nic jednak nie wie o pomniku, bo i nic o Ossyachu nie mówi; podanie przecież samo o pokucie i śmierci w klasztorze przyjmuje, tylko je do innej odnosi miejscowości, mianowicie do łacińskiej *Wilthina*, dzisiejszego Weltau pod Innsbrukiem, nad rzeczką wpadającą do Innu [3]).

Płyta nagrobkowa, wyżej opisana, istniała już napewne, w dzisiejszej postaci i w dzisiejszym charakterze swoim, w środku wieku XVI. Niezbity na to dowód znajduje się w Kromerze. Historyk ten świadczy, że wielki jego przyjaciel, znamienity i dobrze uczony młodzieniec (późniejszy prałat kościoła † 1573), Walenty Kuczborski, jadąc do Rzymu ze Stanisławem Hozyuszem, wówczas jeszcze, nie kardynałem, ale już biskupem warmińskim [4]) »widział w klasztorze ziemie Karwackiey *(tak)*, Ossyą rzeczonym, a półmile od miasteczka Feltkirchu leżącym kamień na cmentarzu położony, który konia z siodłem pięknie wyrytego nosi i tak nagrobek opiewa: *Bolesław król Polski, Stanisława Biskupa Krakowskiego morderca*« [5].

Pomnik mógł być postawionym w wiele lat po śmierci; mógł istnieć już za Dąbrówki w dzisiejszej postaci, a może być również, że go dopiero później, w każdym razie przed czasem podróży Kuczborskiego, postawiono. Nic przytem nie zbija możliwości istnienia innego pomnika, przed wmurowaniem dzisiejszego. Samo nazwanie Stanisława »świętym« nie pozwala na przypuszczenie, żeby pomnik dzisiejszy mógł powstać przed r. 1253, w którym Innocenty IV kanonizował biskupa z wielką uroczystością w Assyżu; niemożność ta na wyższym jeszcze stopniu występuje wobec charakteru pisma, które jest od w. XIII późniejszem. Zarówno pisownia jak rysunek konia upoważniają do mniemania, że dzisiejszy nagrobek powstał w XV w. Kto

[3]) *Historia Polonica* ed. Przezdzieckich, ogólnego zbioru dzieł t. X., str. 380. W Wilthinie niema żadnych śladów po Bolesławie.

[4]) Na katedrze warmińskiej zasiadł Hozyusz w r. 1551, kardynałem został w 1561. Przy obfitości świadectw biograficznych i śladów działalności dostojnika kościelnego data podróży z Kuczborskim dałaby się bliżej określić.

[5]) *Kronika Polska*, przekład Marcina Błażowskiego, ed. Turowskiego, str. 186.

go postawił? Nieznana ręka — mówi Lelewel, a to samo i my powtórzyć musimy. Jeżeli istniał dawniejszy pomnik, kto wie: czy na nim nie było taksamo wyobrażenia konia, nawet bez napisu? Tym sposobem mogli zakonnicy zabezpieczyć dobrą sławę swej religijności od zarzutu trzymania z wyklętym, a jednocześnie spełnić dług wdzięczności i trwałej serca pamięci. Umieszczenie nagrobka zewnątrz kościoła wskazuje pewną lękliwość wobec najwyższej władzy kościelnej, która przez kanonizowanie ofiary w głębszą jeszcze ohydę podała zabójcę. Później, gdy żarliwość ostygła, gdy Kościół po antypapieżach w XIV wieku musiał zaraz w XV walczyć z odszczepieństwem we własnem łonie, aby wreszcie dożyć tej wielkiej przegranej, która się nazywa reformacyą, mogła i pamięć króla-zabójcy odważniej wystąpić w miejscu świętem; przyczem jednak nagrobka do wnętrza świątyni, choćby tylko do kaplicy, nie wprowadzono. Bądźcobądź ta nieznana ręka, o której mówi Lelewel, mogła być nawet ręką człowieka intellektualnie trzymającego z królem, z jego zasadami i kierunkiem politycznym; ale nie mogła być nigdy ręką fałszerza stawiającego *mala fide* pomnik królowi, któregoby szczątki wcale w Ossiachu nie istniały: byłoby to działanie bez przyczyny i celu, czyn martwy, propaganda czcza i niezrozumiała. Ktokolwiek pomnik postawił, musiał to czynić w dobrej wierze, w przekonaniu, że go stawia nad zwłokami króla. Jakiż interes mogli mieć Benedyktyni osiaccy choćby tylko w tolerowaniu fałszu, w umieszczaniu fałszywego napisu, w przekazywaniu legendy królewskiej z pokolenia w pokolenie, jeżeli ani napisu, ani legendy nie wspierała rzeczywistość? Gdyby Ossiach leżał w Polsce, tytuł ostatniego schronienia króla i miejsca jego skonu mógłby być dla zakonników źródłem dochodu: możnaby zatem podejrzewać ich o rozmyślne korzystanie z niego; ale w Karyntyi, na ziemi obcej, posiadanie grobu Bolesława Śmiałego było faktem wogóle tak obojętnym, tak małoznaczącym, że ani pielgrzymek do klasztoru, ani darów, ani fundacyi, choćby najlżejszych, zakonnikom zjednywać nie mogło. Nie potrzebowali Benedyktyni ossiaccy Bolesława Śmiałego, ani dla sławy swojej, ani dla chleba; wierzyli w prawdziwość pomnika, a skoro wierzyli, musieli mieć do tego podstawy w tradycyi płynącej z biegiem czasu. Zaginienie pierwszego,

bezpośredniego świadectwa nie znosi wiarogodności późniejszych: dopóki nie było interesu w *podrobieniu*, dopóty szala prawdopodobieństwa na stronę tradycyi przechylać się będzie.

Ważną okolicznością w sprawie jest to, że żadna dotychczas inna miejscowość nie może się takiemi pamiątkami do osoby króla przywiązywanemi pochlubić. W owej Długoszowej »Wilthinie«, dzisiejszem przedmieściu insbruckiem, pustki i milczenie zupełne, a historycy węgierscy nic o skonie pokutniczym Bolesława na Węgrzech nie wiedzą. Ossiach sam jeden tylko występuje z pamiątkami swemi, zabytkami, tradycyą i poszanowaniem historycznem dla pokutnika. Ogólnikowe wyrażenia, że król w ten lub ów sposób zmarł na Węgrzech, wobec szczegółowości podania ossyackiego wagi mieć nie mogą. Dawniejsi nawet kronikarze węgierscy, mówiąc szeroko o czynach wojennych Bolesława, o tem, że swym mieczem aż do Karyntyi sięgnął i dla całej Europy wschodniej od Dunaju środkowego do Dniepru był prawa dyktującym mocarzem, nic nie mówią o jego skonie. Mógł zabójca biskupa pierwsze lata wygnania na Węgrzech przepędzić; mogła się w nim skrucha, bądź z zamiarem upadnięcia do nóg papieżowi, bądź bez takiego zamiaru, objawić nie tak prędko wszakże, jak chcą niektóre kroniki, ale dopiero po pewnym czasie. Wygnaniec obyczajem swoim używał życia, kąpał się w niem, bodaj na samym dworze cnotliwego Władysława, swej kreatury, swego wychowańca i jakby syna; aż wreszcie przyszła jakaś *vis major*, może śmiertelna choroba, i ona-to dopiero tego mocarza, nawet na wygnaniu nie przestającego być królem, rzuciła na drogę pokuty. Podanie o wyjściu do Węgier z Polski ani historycznie ani logicznie wcale się nie sprzeciwia podaniu o śmierci w Ossiachu; oba one, z podstawieniem tylko »Wilthiny« godzą się ze sobą u Długosza. Tradycya ossyacka, wsparta świadectwami miejscowemi, trwałością i nieprzerywalnością wiary w rzeczywistość, niepodobieństwem moralnem fałszu, wreszcie zabytkami, jakich żadna inna miejscowość nie pokazuje, — musi mieć większą powagę od zaprzeczeń, które, jak u Lelewela, nie opierają się na żadnych faktach, na żadnych istotnych przeszkodach historycznych. W pierwszej rozprawie o Szczodrym (*Upadek Bolesława*) mieści się wielkie bogactwo myśli i spostrzeżeń do polityki króla i przyczyny

jego upadku, pomijanych lub niedość cenionych przez dzisiejszą nową szkołę historyczną, pogardzającą wogóle Lelewelem; ale druga w dowodowej swej części jest całkiem bezsilną: wielki dziejopisarz nikogo nie przekona, że nagrobek w Ossiachu jest tylko prostem epitaphium pamiątkowem, bez rzeczywistej śmierci i rzeczywistych zwłok królewskich *).

II.

Poznaliśmy już według opisu Buszczyńskiego stan dzisiejszy zabytków; słówko jeszcze o podanej przez niego historyi otwo-

*) Za daleko się tu posunął piszący w r. 1882. Stan dzisiejszy dowodów nie pozwala na inne mniemanie niż wyrażone przez Lelewela przed sześćdziesięciu laty (uwzględnić potrzeba zmiany wprowadzone do drugiego wydania w ogólnym zbiorze »Dzieł« nakł. Żupańskiego). Wojciechowski Tad. nawet owego konia z siodłem, którego rytował Oleszczyński, rysował i scyzorykiem wyrzynał Lelewel, zamieścił, wraz z wyobrażeniem całego nagrobka, Przezdziecki, — uważa za szczątek rzymski (»Szkice...« str. 284—5.) W logice historycznej wymaga się dowodów twierdzących, że wypadek się stał, był, miał byt; przeczące dać może tylko zbijanie tamtych: nie dowodzi się niebytu, wziętego w samym sobie, bo niepodobna pochwycić tego, czego niema. W danym wypadku obrońcy tradycyi ossyackiej przychodzą bez dowodów, bo nie przynoszą wystarczających do podniesienia jej na wyżynę świadectwa historycznego; przeciwnicy słusznie przeczą, bo przeczeniem odgradzają się od zmyślania, a może i fałszu. Do tradycyi zapaliła się w r. 1881 wyobraźnia piszącego i ściągnęła go na manowiec logiczny, raczej anti-logiczny. Ostateczne mniemanie o stopniu prawdopodobieństwa w art. Ossyak w »W. Enc. Powsz. Ilustr.« Ser. II. T. VI, str. 749—51. Sprawa grobowca, równobieżnie ze sporem o samego Stanisława, stosunek jego do Bolesława i stanowisko tego odnowiciela królewskości polskiej — niestety, zaledwie na 3 lata — w dziejowym pochodzie Polski nie przestaje zajmować umysłów. Sędziwy historyk lwowski przyznaje się, że nad Ossyakiem »stracił dosyć czasu«. (loco. c.). Najnowszą pracę dotyczącą stosunków Karyntyi i krain okolicznych, przeważnie — ze względu na węzły dynastyczne z Polską — a pośrednio i na dziejowy zaciąg króla-bohatera, przyćmionego przez człowieka o rozhukanym temperamencie — dał p. Stanisław Zakrzewski, prof. uniw. lwowskiego, w rozprawie: »Ossyak i Wilten, przyczynek do poznania związków dynastycznych Bolesława Śmiałego« (»Rozprawy Akad. Um.« ser. II T. XXI; (XLVI), str. 265—340). Jeżeli jest poważny związek historyczny Ossyaku z Bolesławem Śmiałym, to nie mógł być późniejszym od wypadków r. 1080, gdyż Balzer (»Genealogia Piastów« 97) na ten rok na dz. 3 kwietn., wyznacza skon króla, a tę datę przyjęło już dziejopisarstwo polskie. (1910).

rzenia grobu i odnowienia pomnika. Czasy to już bardzo blizkie. W roku 1817 hr. Goess, małżonka gubernatora Galicyi, jadąc z Wenecyi do Wiednia, wstąpiła do Ossiachu, zwiedziła grobowiec, a lękając się zburzenia go przy zamierzonem pomieszczeniu cesarsko-królewskiej stadniny w murach opactwa, wyrobiła sobie, na wszelki przypadek, u cesarza Franciszka pozwolenie do pochowania zwłok królewskich w jednym z majątków swego męża. Gdy później kościół uszanowano, zajęła się poczciwa kobieta wzniesieniem pomnika ze składek, do których wezwała panów galicyjskich. Zebrano wszystkiego paręset (»quelques« i »wenige«) guldenów i za nie hrabia Rudolf v. Goess, szwagier promotorki, *wykonał pomnik* według własnego jej planu.

Protokół opiewający te fakta, spisany po niemiecku i po francusku w Treffen, poblizkiej majętności Goessów, znajduje się w archiwum kościelnem. Ogłasza go Buszczyński. Czytamy na nim podpisy: Stanisława Mniszcha, Jana i Aleksandra Stadnickich, Alfreda i Maurycego Potockich, Karola Krasickiego, Ignacego Konarskiego, Seweryny Sobańskiej, późniejszej hrab. Colloredo, i sześciu innych. Wyrażenie w brzmieniu niemieckiem protokółu: »*Dieses Grabmahl... errichtet und in bessere Einfriedung gebracht*« obudza wątpliwość: co rzeczywiście zrobiono dopiero wskutek starań pani gubernatorowej, a co już przedtem istniało? — i czy owa tablica z koniem i siodłem, istniejąca niezawodnie od XVI w., była już wówczas wmurowaną w kościół i w temsamem miejscu, w którem jest obecnie, ponad grobowcem, a jeżeli nie, to skąd ją wzięto? Wątpliwości tych nie rozstrzyga również protokół otworzenia grobowca, przechowywany wraz z poprzednim na probostwie; spisano go w dniu 21 czerwca 1839 r. przy dokonywaniu danej czynności. Pan Buszczyński z protokółu tego wyczytał, że w grobie, oprócz niewielu kości i kilku żelaznych ćwieków, prawdopodobnie od trumny, oraz spinki (wyżej już opisanej) nie znaleziono nic więcej. Wnosimy stąd, — mówią dalej obecni przy otwarciu — że króla w pielgrzymiej jego sukni pochowano i uważamy tę spinkę *(Stangl)* za narzędzie do spinania, którem przytrzymywany był z przodu pod szyją kołnierz albo płaszcz odzieży pielgrzyma. Pod protokółem znajdują się podpisy: Franciszka Karl'a ówczesnego proboszcza w Ossiachu, Józefa barona von Sammen, zawiadującego stadniną, Rudolfa hr. Goess'a, radcy górniczego, Jerzego Bardel'a, podporucznika; a na drugiej stronie świadectwo biegłego Jana Unzeitig, starszego lekarza przy zarządzie stadniny, który okazane sobie kości z grobu uznał za należące do skieletu męskiego, dość silnego i rosłego. Resztki czaszki z czoła i tyłu pozwoliły biegłemu wyprowadzić wniosek, że w tych miejscach budowa głowy posiadała znaczną wypukłość.

Przechodzimy do świadectw historycznych, do czynności Buszczyńskiego, jako historyka. Tu z żalem wyznać musimy, że to, co w czasopismach ogłosił, wygląda raczej na pierwszą notatkę, niepotrzebnie pozaprawianą dziejami Villachu, Ossiachu, kościoła, klasztoru, uczonością dożów weneckich, barbarzyństwem wieku, obywającego się wrzekomo bez kronik, i t. p., aniżeli na porządny choćby plan opowiadania i wywodu historycznego, mającego z życia dać obraz a wątpliwości rozwiązać, jeśli nie w prawdę ostateczną, to przynajmniej w prawdopodobieństwo. Wszystko, co Buszczyński jako historyk grobowca Bolesława w ogłoszonej już pracy zrobił, ogranicza się do przejrzenia księgi miejscowej p. t. *Memorabilien*, i odpisania ustępów, które za ważniejsze od innych uważał. Naukowa strona podróży Buszczyńskiego nosi na sobie znamiona wielkiego dyletantyzmu, pobieżności, pośpiechu, braku wszelkiej najelementarniejszej metody w poszukiwaniach historycznych. Nieład wielki panuje w całem opracowaniu pomimo podzielenia go na paragrafy; autor zaczepia ciągle o wszystko, powraca do przedmiotów, przy których raz już się znajdował, miesza ciągle jedno z drugiem, tak, że potrzeba rzeczywistej pracy i prawdziwego wysiłku, aby z tego chaosu wyprowadzić ład i wytworzyć całość, którąby spokojnie już i porządnie do umysłu wejść mogła. Przy danej już wartości przedmiotu zajmującego każdego Polaka, do niniejszego streszczenia pobudził nas właśnie wzgląd na niejasność, a stąd i nieprzystępność opowiadania, w którem przecież mieści się niejedna wskazówka godna uwagi i zasługująca na rozpowszechnienie.

Wspomniane wyżej *Memorabilia* (Gedenkbuch) mieszczą się w księdze, którą dopiero w r. 1847 zaprowadził ks. Franciszek Karl, proboszcz miejscowy, ów właśnie podpisany na protokóle otwarcia grobu. W tej tedy księdze na str. 15 zapisano,

że *Annus millesimus monasterii Ossiacensis*, dzieło powstałe w początku XVII w., ale wydane dopiero w r. 1786, przekazuje o pobycie króla w Ossiachu następującą tradycyę:

Bolesław II, król polski, przybył do bramy zakonnej jako pielgrzym niemy. Podał furtyanowi kartkę z napisem: »Zlitujcie się nad biednym, niemym *Gottschalkiem* (!) i przyjmijcie go do siebie«. Ówczesny opat »Teucho« przyjął włóczęgę i z powodu niezdolności jego do innych zajęć przeznaczył go do posług w kuchni, do rąbania i noszenia drew i t. p. Bolesław spowiednikowi swemu przyznał się do swej królewskiej godności, ale spowiednik ukrywał przyznanie to w tajemnicy i dopiero na śmiertelnem łożu sam wrzekomy niemowa stwierdził tożsamość swej osoby z wygnanym królem Bolesławem, a na dowód okazał pierścień królewski. Długo to świadectwo przechowywano w skarbcu; aż jeden z magnatów polskich potajemnie je zabrał, na miejsce pierścienia oryginalnego podkładając inny — umyślnie, oczywiście, zrobiony. Tym magnatem mógłby być książe Józef Aleksander.

Zapisał dalej w swych *Memorabiliach* ksiądz Karl, że widział przed laty stary kodeks ossyacki, który, jeśli się nie myli, zostawał wtedy (po r. 1847) w posiadaniu kaznodziei miejskiego, księdza Marcina Mayera, a w tym kodeksie, pod r. 1084, zapisane było po łacinie: »Tego roku Bolesław, król polski, opuszcza swe królestwo, a po ośmiu latach odbytej pokuty umiera tutaj (w klasztorze ossyackim)«.

Historyę Bolesława opowiada prowadzący księgę pamiątkową, według źródeł niewskazanych przez St. Buszczyńskiego, w taki sposób:

»Po wyjściu z Polski Bolesław, trapiony wyrzutami sumienia, postanowił odbyć pielgrzymkę do Rzymu. W drodze wstąpił do króla węgierskiego... Gdy pewnego dnia znajdowali się razem na polowaniu, przybył z Krakowa do Bolesława jeden magnat polski, a znalazłszy go w lesie, oznajmił mu, iż przez papieża został pozbawiony tronu, wyklęty, a z nim całe królestwo klątwie uległo. Doradził Bolesławowi, aby ratował się ucieczką; dał mu dla większej pewności swoją odzież a sam przywdział suknie Bolesława. Psy wracające z kniei, zobaczywszy owego posła w królewskich szatach, zagryzły go«.

Zgodnie z tem opowiadaniem monografia *Das Kloster Ossiach*, w Wiedniu w 1833 wydana, ukazuje nam Bolesława po owem polowaniu i ucieczce z Węgier, szukającego schronienia w dolinie Glänthal w Karyntyi. Tułacz nocował tu na drzewie; spadł z niego, złamał sobie nogę, a podjęty przez leśniczego, w domu jego wyleczył się i powędrował dalej. Miał zamiar iść do Rzymu, na Wenecyę, ale z Villachu zboczył do Ossiachu i tu już na pokucie pozostał.

Z temi podaniami zagranicznemi musimy zestawić nasze własne. Nie przesądzając tego, co nam przyniesie autor przygotowywanej monografii, dajemy tu krótki przegląd świadectw kronikarzy polskich.

III.

Najdawniejszy ze wszystkich, najbliższy wypadku, bo w niecałe 40 lat po opuszczeniu kraju przez Bolesława piszący, Gallus poprzestaje na wzmiance, że Bolesław, przybywszy na dwór Władysława, okazał tam taką pychę, i królowi samemu i jego otoczeniu, iż skutkiem tego »*citius extrema dies eum, ut ajunt, occupavit*« [6]. Mgliste to niezmiernie wyrażenie wskazuje, że kronikarz nie wiedział dobrze, co się stało z Bolesławem: a niewiadomość jego zadziwiać nas musi tem mocniej, że przy stosunkach swoich z dworem mógł Gallus mieć bezpośrednie świadectwo od towarzyszów syna Bolesławowego, Mieczysława, którego Władysław Herman, w niezupełnie podobno czystych zamiarach, do siebie był sprowadził; można nawet przypuszczać i bezpośrednią znajomość, zawiązaną w dniach dalekich jeszcze od chwili, kiedy śmierć, z wielkim żalem narodu, pasmo dni młodzieńczych przecięła.

Ogólnikowość Galla udziela się Wincentemu. Tak on jak dopełniacz Mierzwy twierdzą, że Bolesław zadał sobie śmierć »omdlałością duchową zjęty« [7]. Boguchwał okaże się orygi-

[6] *M. P. H.* ed. Bielowski; I, 423. »Prędzej (niż być miało) dzień ostateczny go pochwycił«. »*Ut ajunt*« czyni ogólnikowość i chwiejność jeszcze większą.

[7] *Ibidem* II, 299 »*languor*«.

nalnym tylko wtedy, jeżeli wyraz »*ulcer*« weźmiemy w znaczeniu jego fizycznem, a nie w przenośni, jak chyba uczynić-by należało; wtedy też cała ta oryginalność wyda się tylko przenicowaniem Galla. *Tactus pessimo ulcere in amentiam cecidit, sicque miserabiliter vitam finivit* [8]): toż to taki sam ogólnik jak i dwa powyższe!

Aż do Dombrówki, któregośmy już poznali, ciągnie się jedno pasmo niewiadomości. Jednocześnie z tym poprawiaczem Kadłubka Annalista Sandomierski z r. 1430 (Rocznik Świętokrzyzki nowszy powołany przez Lelewela, składa następujące świadectwo: *Ipse Boleslaus, mortis periculum timens, fugam in Ungariam dedit et ibi circa quoddam claustrum mansit, tanquam conversus, poenitentiam strictam peragens, vitam post decem annos finivit et ibidem sepultus* [9]) Jest to świadectwo ważne. »*Ibi*« nie usuwa wcale Karyntyi; jeżeli bowiem istotnie Bolesław aż do niej lub do Styryi w zdobyczach swoich był niegdyś dotarł, to ponieważ działał dla Węgier, i w ich interesie, wszystko to, co choćby nakrótko zawojował, mogło być przez kronikarzy uważane za ziemię węgierską. »*Post decem annos*« rozumieć należy »po dziesięciu latach tułactwa« — co dawałoby datę r. 1089, odpowiadającą powyższej, pod obrazem zamieszczonej.

Gesta Chronicalia (Kodex Witowski) z r. 1464 wzmacniają jeszcze dwa poprzednie świadectwa. Ze wszystkich dawnych podań to jest najobszerniejszem, najobfitszem w treść biograficzną. Opowiada chronista, jak Bolesław przybył do Władysława, jak mu ten doradził iść do Rzymu i papieża przeprosić — czego jednak król nie uczynił, poprzestając na pokucie, i dla odbycia jej »*devotius rediens in proprium quoddam claustrum in finibus Ungariae intravit in quo poenitens in Domino obdormivit, in agone autem mortis confessori suo se regem*

[8]) »Tknięty najgorszego rodzaju wrzodem (zgryzotą), wpadł w szał i tak nędznie życie zakończył«. *M. P. H.;* II, 489.

[9]) »Sam Bolesław, lękając się niebezpieczeństwa śmierci, ratował się ucieczką na Węgry, i tam około pewnego klasztoru przebywał, jakgdyby nawrócony, odbywając surową pokutę, [aż] życie po dziesięciu latach zakończył; tamże pochowany«.

Lechitorum lucidens« [10]). Pisze dalej o nagrobku, że wielu go *z naszych czytało*, a wyryty był przez mnichów na grobie.

O tem wszystkiem świadczono już w środku XV wieku. Wiara w pokutniczy skon Bolesława, zjawiwszy się u Dombrówki, idzie dalej bez przerwy; ma ją Długosz, ma i przytoczona przez Lelewela **Kronika Trzemeszeńska** z lat 1490—1522. Miechowita objawia pewien sceptycyzm; mówi, że szukał, ale nie znalazł: gdy jednakże sam przyznaje, że na miejscu nie był, niewiadomo coby mógł znaleźć innego, prócz świadectw swych poprzedników. Kromer, przekonany o istnieniu nagrobka przy kościele, podaje przytem wieść o samobójstwie króla. Jedna z trzech możliwości w jego kronice Bielskiemu przedstawia się jako jedyna pewność: wierzy on w prawdziwość podania o Ossyaku i choć wie o powątpieniach, uważa je za bezzasadne [11]). »Leży na cmentarzu, a *na nim* jest kamień wielki«; — wskazywałoby, że wmurowanie kamienia nastąpiło dopiero później.

Wszystkie te podania kronikarzy naszych nie odbijają w sobie jeszcze podań miejscowych. Dopiero bywalec a wszystkowiedz i niewyczerpany gawędziarz, Bartosz Paprocki [12]), pierwszy zapisał to, co o Bolesławie na miejscu zakonnicy zwiedzającym grób prawili, a co jemusamemu powiedział, człowiek wielkiej powagi, świątobliwy kapłan i wyborny kaznodzieja, Marcin Białobrzeski, biskup Kamieniecki († 1586). Wzmianka Paprockiego zgadza się z powyższemi zaznaczeniami w księdze probostwa ossyackiego; występuje w niej tylko nowy czynnik: klejnoty królewskie, zjawia się nowy szczegół: pochowanie za cmentarzem, na niepoświęconej ziemi. Kaplica okrągła, o której mówi Przezdziecki jako o części integralnej kościoła, miała być zbudowaną później, umyślnie dla grobowca; nad samem ciałem stał jeszcze za Paprockiego wielki ołtarz. Jeżeli tak było istotnie,

[10]) »W pobożnem usposobieniu odchodząc, do jakiegoś własnego [założonego przez siebie] klasztoru na granicach Węgier wstąpił i w nim pokutując, w Panu zasnął; w krytycznej zaś chwili śmierci objawił się spowiednikowi jako król Lechitów«.

[11]) *Kronika Polska*, w *Zbiorze Pis. Polskich* Gałęzowskiego tom XI, str. 203.

[12]) *Herby Rycerstwa Polskiego*, pod klejnotem »Orzeł«, ed. Turowski; str. 23.

dowodziłoby to, że grobowiec, ruszano z miejsca jeszcze przed odwiedzinami Wojewody Nowogrodzkiego; a przy takiem przenoszeniu ciała na cmentarz i późniejszem przesuwaniu grobowca przy murze kościelnym, mogły łatwo porozpraszać się coraz wątlejsze kości i próchniejące szczątki trumny.

Do rzędu podań zapisanych w owej księdze pamiętniczej probostwa ossyackiego zaliczyć można i dawny epigramat łaciński, niegdyś pod obrazem nadgrobowym umieszczony:

Occidit, Romam pergit; placet Ossiach illi;
Ignotus servit; notus pia lumina claudit.
Ossiach placeat hinc tibi, Stanislaë, tyrannum
Mitem quod factum coelestibus intulit astris [13]).

Oprócz wiersza powyższego za czasów Valvassora, którego dzieło: »Topographia Archiducatus Carinthiae« (Norymberga 1688) znają zarówno Lelewel jak Przezdziecki, a zapewne nie zna go St. Buszczyński, bo wcale o niem nie wspomina, znajdował się jeszcze w dawnym manuskrypcie pięciowiersz, kładący Bolesławowi w usta następujące słowa:

Homicida ego sum et scelere dives.
Hic latui, luxi, deplorans facinus audax;
Ne tamen ob crimen coelestis vindicet ultor
Sanguine purpureo tingentem sidera Olympi
Te, Stanislaë, rogo, precantis advoca causam [14]).

[13]) Zabija, do Rzymu dąży; podoba mu się Ossiach; niepoznany służy: poznany, pobożne światła dnia (oczy) zamyka. Niechże się i tobie, Stanisławie, Ossiach podoba, iż ugłaskanego tyrana na gwiazdy niebieskie zaniósł«. — Lelewel przestawia porządek wierszy: drugi kładzie na miejsce trzeciego, i odwrotnie. Przezdziecki czyta w trzecim wierszu »placat« zamiast »placeat« i daje skutkiem tego przekład, którego myśl trudno uchwycić.

[14]) Otom jest mężobójca i w zbrodnię bogaty,
Tum krył się, tu bolałem, czyn mój opłakując;
Aby mściciel w niebiosach nie brał pomsty ze mnie,
Błagam ciebie, którego krwią gwiazdy Olimpu
Zaczerwienione, wstaw się za mną, Stanisławie«.

Niemcy w XVIII wieku napisali cały poemat o Bolesławie Śmiałym i jego pokucie w Ossyaku [15]). Bezporównania więcej zajmowano się królem naszym na obczyźnie, niż u nas. Tosamo już nadaje powagę podaniu ossyackiemu.

Niezależnie od *Annus millesimus* i *Das Kloster Ossiach* wie jeszcze St. Buszczyński o dziełach G. Ankershofen'a, C. Ghona, i H. Hermanna; nadto podaje tytuł Hohenauer'a: *Kärnthens Geistlicher Ehrenkranz* (Villach 1851). Autor ten opiera się podobno na następujących artykułach, książkach i kronikach dawniejszych: Megisser *Kronik von Kärnthen* (1612), *Die Carinthia* (czasopismo), 1811—1849; Wendethal: *Austria Sacra* (1783). *Annus millesimus* według barona Ankershofena zawiera wyjątki z *Annales* opata Gröblachera z XVI wieku; z tych-to *Annałów* prawdopodobnie czerpali przywiezione do kraju wiadomości Białobrzeski i Kuczborski.

Tak tedy zasób drukowanych świadectw historycznych wiadomych, a może i znanych już dotychczas, St. Buszczyńskiemu, nie przedstawia się świetnie; ale jest to rzecz jak na teraz *minoris momenti:* nie w pomnikach bowiem drukiem ogłoszonych, a do literatury powszechnej należących, ale w wydawnictwach miejscowych, małoznanych zazwyczaj, a nawet lekceważonych w wielkich ogniskach nauki i literatury, głównie w archiwach Karyntyi, Styryi i Tyrolu i w samym Wiedniu, mogłyby się znaleźć te dowody, jakich biografia Bolesława dla siebie potrzebuje. Ktoby chciał pomnikiem piśmienniczym, odsłaniającym przedzgonne lata króla, uczcić jego pamięć — musiałby wziąć kij pielgrzymi do ręki i obejść cały obszar między Drawą i Murem, przetrząsnąć tam wszystko, co się w lekceważonej starzyźnie znaleźć może, zajrzeć wreszcie do bogatych archiwów wiedeńskich: a dopiero po takiej pielgrzymce, — może bezowocnej — rozpocząć pracę biblioteczną i tę już w sposób

[15]) Gleissenbergius Virgilius, ex ordine S. Benedicti, abbas Ossiacensis in Carinthia: De Boleslao II, rege Poloniae, Osiaci poenitente libri VI. Poema. 164 str. 8-vo. Przywłaszczył sobie autorstwo tego poematu, wydając go ponownie w Krakowie 1735 r. (11 knlb., 181 str. 4-to min., typis Collegii maj. Univ. Jag.) de Golanka Golański, protonotoryusz apostolski. Tytuł rozwlekły u Estr. »Bibl. Polska« syst. T. VI (XVII) 165—6).

jaknajbardziej wyczerpujący, bez gorączkowego pośpiechu, wprowadzić na najwyższy możliwy stopień dokładności.

Odchodząc od tajemniczej postaci króla-zdobywcy, nie możemy wobec mnóstwa sprzecznych, a przeważnie stronniczością napiętnowanych zdań o nim, pominąć sądu, jaki wydał, nieco rubaszny, ale niepodległy i zawsze dzielny Polak i człowiek, Marcin Bielski. Niektórzy nowsi historycy nauczyć-by się od niego mogli spokoju, stanowczości a sprawiedliwości w wyrokowaniu. »Jakiżkolwiek ze świata zszedł ten król — mówi kronikarz — tedy go mamy dziś pożytek dobro. Bo gdyby go był Pan Bóg na ten czas nie dał, bylibyśmy pod mocą Rusi, jako Ruś u nas dziś. Lecz, że nie umiał miarkować gniewu swojego w sobie, jako pospolicie Marciales bywają, także, że szczęścia swego, które mu Bóg dał, miernie nie chciał używać, przyszło do tego, że co nieborak napisał złotem, to zmazał błotem«[16]).

Tak jest: dobrze pojął charakter, rolę i zasługę dziejową Bolesława nasz Bielski. Była to natura gorąca, niespokojna i chaotyczna, ale wielka, i do tragedyi, dla Shakespeare'a, jakgdyby stworzona. Nie znalazł jednak dotychczas tragika, czeka ciągle na biografa i o historyka woła. Co znaczą dziś wszystkie przypisywane mu winy, i jaką wagę mieć mogą przyznawane przeciwnikom jego cnoty? Wszystko to dziś tylko proch drobny, marny — popiół i dym. Wszystko znika wobec wielkiej myśli dziejowej, która się w winowajcę wcieliła. Jeżeli jest życie za grobem i pamięć tego, co przed grobem było, jakże ciężkiemi, archanielskiemi łzami musi płakać jego duch, ilekroć spojrzy na tę ziemię, której dobru, chwale i potędze przez dwadzieścia lat służył, prawda, że nie święty: ależ ziemia nie jest dla świętych, a na jedenasty wiek i wystające nad poziom jego kolosy nie można patrzeć okiem dzisiejszem, przywykłem do *przeciętnego* człowieka, lub, co gorsza, okiem, które zalewa krew namiętności stronniczej. Po czci dla Boga człowiek nie większego dać z siebie nie może nad cześć dla człowieka *).

[16]) Kronika l. c. Może jest to zdanie Joachima, autora-wydawcy. (1910).

*) »Czcią« dla mnie w tem miejscu było przed 28 laty, jak i dziś jest, poszanowanie wołające o sprawiedliwość dla człowieka po tej wiekowej niesprawiedliwości, której dopuszczało się na nim kronikarstwo księże.

zrazu przygotowujące uświęcenie biskupa krakowskiego, potem wręcz czcią jego oślepłe (Długosz wszakże, potępiając zabójstwo, pamięta o czynach, które go »w podziw wprawiają«). Proces o wartość Bolesława w dziejach Polski, wszczęty przez Lelewela (»Polska Wieków Średnich T. II), w najnowszych czasach rozgorzał w namiętną polemikę, a toczy się w ścisłej łączności ze sporem o to, co powiedział a czego nie powiedział mnich benedyktyński na dworze Wład. Hermana, t. zw. Gallus. Na czele walczących o prawdę stanął sędziwy Tadeusz Wojciechowski, znakomity twórca pomysłu przeprowadzanego w »Chrobacyi«; szeregom obrońców czci i zupełnej niewinności Stanisława, przewodzi dr. Szkaradek-Krotoski. Osią procesu, dziś już walki zaciętej, jest znaczenie wyrazu *traditor* (zdrajca) jakoteż wyrażenia *non debuit christianus in christianos* (*-um*) zamiast *christus in christum* (pomazaniec w pomazańca [nie powinien był godzić]). Wojciechowski w »Szkicach historycznych XI wieku« (Kraków 1904) stawia podwójną tezę: 1) Wład. Herman wszczął bunt przeciwko Bolesławowi; 2) w buncie tym dopomagał mu Szczepanowski, i to tak czynnie, że Gallus mimo życzliwości swej dla panującego musiał biskupa nazwać zdrajcą. Przez kilka lat wrzało w umysłach przeciwników Wojciechowskiego, aż nareszcie w »Przegl. Powsz.« z r. 1909 ukazała się zbiorowa polemika zespalająca z p. Krotoskim uczonych: Czermaka, Kętrzyńskiego Wojciecha i Prochaskę. Do tej grupy wszedł i Smolka jako zasłużony historyk średniowiecza w pierwszym okresie swej działalności naukowej i prof. Miodoński jako biegły filolog. »Zebranie rezultatów«, pióra Smolki, nie wzruszyło ani pierwszej ani drugiej części tezy historyka lwowskiego; otwarło tylko wrota dalszej polemice, którą żywo, jędrnie, miejscami, zwłaszcza w rozprawie osobistej z d-rem Krotoskim, poprowadził autor »Szkiców« w »Kwartalniku historycznym« z roku 1910 w artykule »Plemię Kadłubka« (str. 1—26). Poparł go wielką uczonością, mistrz w dyplomatyce polskiej, prof. jagielloński, dr. Stanisław Krzyżanowski, w tymże »Kwartalniku«, w artykule »Na marginesie Galla« (str. 27—35), wykazując słuszność takiego rozumienia tekstu, jak go rozumie Wojciechowski. Dołączone podobizny ułatwiają poważniejszemu czytelnikowi oryentacyę należytą. Po tych dwu obronach tezy z roku 1904 wolno już jest nie wątpić o udziale biskupa Stanisława w buncie Hermana — oczywiście w granicach świadectwa Gallusa, który zbierał żywe słowa z żywych ust ludzkich, a ciężko zawinił wobec potomności leoninową swoją zwięzłością, pokrywającą tylko niedomówienia tego, o czem doskonale wiedzieć musiał. Niestety, innych świadectw nie mamy.

Cokolwiekby przyszłość zdobyć jeszcze mogła dla prawdy historycznej, zabójstwo, którego nikt nie zaprzecza i nikt też w wątpliwość nie podaje, pozostanie na sumieniu jako zbrodnia, na rozumie jako brzemię nierozumu, i ciężko przytłacza tragiczną postać prawnuka Chrobrego. Sam fakt stać się mógł tylko w owych wiekach, które Buckle słusznie *dark ages* nazywa, a gdy się już raz stał, musiał mieć skutki straszliwe. Scena wygnania z podwórca wawelskiego w »Królu Duchu« sama jedna wystarcza do odmalowania całej grozy chwili. Stracenie z tronu było nie-

uchronną koniecznością etyczną, a ta zawarła w sobie inną: polityczną, już nie w jednostkę, ale w naród godzącą. Upadek królewskości w skutkach swych wtłoczył Polskę w nowe jarzmo niemieckie, osłabił poczucie własnej indywidualności zbiorowej, w zamęcie i rozbiciu utrudnił niezmiernie wytworzenie się na nowo osi obrotowej dla rozpierzchłych żywiołów państwa w wielkim Bolesławowym stylu, przeciwnie zaś ułatwił psychologicznie Krzywoustemu rozdzielenie terytoryum państwowego jakby prywatnego majątku, który się dzieciom na własność prywatną zostawia. Zatracona w niepamięci, potem w nicości unurzana idea polityczna — to główna krzywda Narodu, ciężko dotkniętego przez los czynem Bolesława. Zanikała coraz szybciej i całość i jedność i spójność, gdy seniorat, tak czy owak rozumiany, zamiast im sprzyjać, przeciwnie, przez ustawiczne wojny domowe był im najgorszym wrogiem. Pretensye cesarzów niemieckich do hołdu i haraczu, nacisk moralnego odwetu, jaki brał dla siebie Rzym, tak za Bolesława życzliwie nastrojony, bezsilność i bezmyślność książąt, ich samowola, sobkowstwo i zmysłowość (typy Konrada mazowieckiego i Bolesława Łysego śląskiego) niepowściągane już żadną zwierzchnią, a wszystkim wspólną wolą, myślą i potęgą — otwarły granice polskie Niemcom, systematycznie od Karola Wielkiego spełniającym swój dziejowy *Drang nach Osten*, sprowadziły zniemczenie północnego Śląska i Pomorza nadodrzańskiego, litewskie wycieczki rabunkowe i najazdy już zaborcze Rusi. Upadek królewskości na miejsce jednej wielkiej, wszystkich w jedno zgarniającej i w jedni trzymającej ambicyi rozpętał drobne, liche pożądliwości, uciekające od środka, a pozwalające Narodowi żyć tylko jednością mowy, obyczaju i religii pozytywnej. Brak króla i wcielonej w niego idei więcej tu złego zdziałał niż same podziały. Bez faktu męczeństwa i świętości, ustalonego z tradycyą, poniżającą władzę świecką, nigdy-by duchowna nie wzbiła się tak wysoko, jak ukazuje się w historyi, nie zyskałaby takiego uroku i prawie że wszechwładztwa moralnego, które w licznych wypadkach starć z książętami objawiało się jako wręcz nieprzyjazne dążeniom i interesom świeckim, politycznym, a te tylko mogły doprowadzić Naród do zrośnięcia się w organizm jednego państwa.

Wszystkie te krzywdy Polski piastowskiej dźwiga na sobie, bezpośrednio lub pośrednio, zabójca. Gdy się zestawi nieokiełznany temperament Bolesława z powołaniem na mocarza (mniej na panującego), panowanie jego ukształtuje się w jedną tragedyę, w jeden jakby wyrok Adrastei, — straszliwego przeznaczenia, które każdy bohater w sobie, dla siebie i przeciwko sobie nosi. Ale żaden wymiar sprawiedliwości, żaden sąd, choćby najsurowszy, nie wygładzi z pamięci Narodu czynów dodatnich Bolesława. Na czele ich przesuwa się przed dzisiejszym wzrokiem koronacya, skutek, owoc wspaniale wyzyskanych okoliczności. Rozpościeranie oręża, chorągwi, wpływów i potęgi polskiej daleko od ziem polskich, utrwalanie tam porządków i stosunków dla Polski potrzebnych, powściągnięcie zapędów Rusi za Bug i Wisłę od południa i wschodu, a z drugiej strony błyśnięcie

męztwem i wolą polską na pobrzeżach Dniepru, nawrót do wielkiej żądzy i wielkich, tak nieszczęśnie krótko-trwałych czynów Chrobrego, wdarcie się za Karpaty i odzyskanie Białej Chrobacyi — zuchwałe pomknięcie daleko na zachód i południe dzisiejszych dziedzin austryackich, a wewnątrz zaprowadzenie arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, dążność do uporządkowania rycerstwa władającego ziemią, próby urzeczywistnienia władzy królewskiej, ogarniającej wszystkich, a przejmującej wszystko — jeszcze przed koronacyą: naprawdę jest kogo i czego żałować, mimo bolesnych faktów o wartości ujemnej (1910).

VI.

STEFAN BATORY

(na 300-letnią rocznicę d. 12 grudnia 1586 r.).

Historya nie nadała mu żadnego przydomku; ale on sam wysłużył sobie wiekopomny tytuł: »Szczery król, silny a dobry«. Niema w dziejach naszych wytrwalszej sławy nad Batorowską. Zmieniały się poglądy; ważyły się z sobą stronnictwa; przychodziły zamieci śnieżne i zasypywały dawne koleje myśli i życia; przychodziły gorycze nieszczęścia i pokusy zwątpienia; szkoły historyczne, jak i szkoły życia, obejmowały kolejno po sobie berło, częściej uzurpując je, niż dziedzicząc: postać Batorego, jak była, tak pozostała jasną, a kto wie, czy w świetle nowych poglądów, nowych badań, nie nabrała wyższej jeszcze niż przedtem jasności? Nawet sądy tych historyków, którzy najgłębszą dążność rządów dzielnego Siedmiogrodzianina wytykali jako zdrożną, nie mogły zmącić majestatycznych rysów jego dziejowego oblicza. Bo też nie wstrząsnąć, nie zamazać tego, co rylec wyrzeźbi, a Batory prawdziwie panowanie swoje wyrzeźbił w losach narodu. Na królewskim urzędzie swoim, on, cudzoziemiec, i dla wewnętrznego porządku i rozwoju, i dla potęgi, i dla sławy, uczynił tyle, ileby mógł uczynić tylko dorównywający mu rozmiarami rodowity Polak, krew z krwi i kość z kości Narodu. Nie w tem tkwi jego dziejowy charakter, że chciał być »niemalowanym królem«, bo ambicya siły bywa zbyt często na tym świecie chorobą niemocy, ale w tem, że miał dość w sobie woli, rozumu i zdolności, aby być dobrym królem, i takim też

rzeczywiście był. Wysokie poczucie obowiązku dziwnie sprzymierzało się w nim z poczuciem siły i prawa własnego w stosunku do całości organizmu Rzeczypospolitej. Idea obowiązku otwierała mu wzrok i serce na najistotniejsze potrzeby narodu, którego przez samo tylko objęcie nad nim rządów poznać i pokochać przecież nie mógł. W charakterze jego panowała rzadka miara, spokój i harmonia — przymioty, jakiemi darzy tylko równowaga wieku męskiego po dobrze przeżytej młodości. Wszystko w nim przystawało do siebie: rozum nie rwał się przed szeregi doświadczenia i zmysłu praktycznego, wola nie szła w jarzmo inteligencyi oderwanej, wyobraźnia była dość silną, aby podtrzymywać kształtujące się pomysły, odwaga i bohaterskość nie przechodziły w zuchwałość i czczą brawurę. W obozie czy w gabinecie był zawsze czujny i ostrożny. Na straży jego myśli i czynów stał zawsze rozsądek, otrzymujący swe hasło od idei dobra powszechnego. Nie sięgał Batory nad potrzebę i możność, ale gdy było można i potrzeba, umiał w sam raz ugodzić. Z całej istoty jego wypromienia się męstwo, mądrość i prawość. Był takim, jakgdyby go demiurg jaki umyślnie na króla urobił. Indywidualność jego człowiecza poza królewską znikała. Jakże godnie umiał znosić narzuconą sobie tyranię sejmu elekcyjnego, który człowiekowi 42-letniemu dawał o 10 lat starszą Jagiellonkę na żonę! Jakże panować musiał nad sobą, gdy mu wyrzucano faworyzowanie »Węgrzynów«! Z jaką tkliwością przyjaźni najszczerszej uwieczniał pamięć dawnego swego współzawodnika, Bekiesza! Jak gorliwie, bezinteresownie gromadził środki do czynów, nie oglądając się na konstytucyjne manipulacye! Na jasnej postaci jego ani cienia lichego sobkostwa, osobistej małostkowości. Prócz namiętnego zamiłowania w łowach innej słabostki ludzkiej nie miał. Jedyną namiętnością, która już opanowywała duszę, była namiętność dobra publicznego. Miał tę miłość własną, że chciał dużo zrobić i długą pamięć po sobie zostawić.

Wiele ma podobieństwa Batory do Henryka IV, którego panowanie zejściem swojem o kilka lat wyprzedził. Podobnie przedsiębiorczy, mądry, umiarkowany, wszechstronnie oddany sprawom publicznym; taksamo z pośród innowierstwa król katolickiego państwa, ale w nowych warunkach z wyższą go-

dnością, szczerością i czynną energią polityczną. Podobnie jak Henryk gotów był zawsze do wojny, ilekroć niewojowanie byłoby gnuśnością; ale czyny oręża były mu tylko środkiem do celów pokojowych, — a sam pokój pragnieniem światłego humanitarnego ducha. Obaj umysłami swojemi ogarniali widoki ogólnie-europejskie i troszczyli się nietylko o los swych państw, ale i o koleje przyszłe rodziny ludów europejskich.

Obaj skonali przedwcześnie, z wielkiemi myślami, których potomność nie podjęła i w życie nie wprowadziła. Skon obu był jednakowo nagłym, a w skutkach swych nieszczęsnym. Tam dłoń mordercy, tu dłoń śmierci naturalnej, zarówno zbrodniczą się okazała.

Takim przedstawia się nam człowiek, taka jego *forma hominis aeterna* w tej historycznej wiekuistości, ku której, niby ku biegunowi, zwracać się muszą koniecznie sądy historyi, jeśli nie chcą mieć wartości jarmarcznego towaru. Ale życie nie jest matematyką; człowiek, rozłożony na czyny swoje, nie jest zadaniem algebraicznem; podkład bezwiedny pod świadomym siebie rozumem nie jest spokojną, czystą tablicą, na którejby niewidzialna jakaś ręka pisała liczby i wielkości nieomylne. Miał błędy swoje i Batory, miała i jego polityka. Po wytrząśnięciu jednak wszystkich niedokładności, zboczeń i pomyłek pozostanie jeszcze ta forma człowieka, ta twarz historyczna, wspaniała i jasna, do której rysy powyżej wskazać tu usiłowano. Jedyny to z królów elekcyjnych, któremu sąd umarłych wydał nieodwołalnie wyrok niewinności i zasługi, — jedyny, którego szuka się zbolałem sercem w tłumie pozagrobowym. Niepodobna bez wzruszenia patrzeć na tę postać, z którą złączyło się tyle rzeczywistego i tyle spodziewanego dobra. Im bliżej się oko wpatruje, tem boleśniej umysł odczuwa bezdenną prawdę Dantejskiego: *Nessun maggior dolore...*

Z tych zasobów, które badanie historyczne nagromadzić już dotychczas zdołało, możnaby ułożyć biografię godną takiego człowieka; ale biografii takiej nie mamy jeszcze u siebie, a zdaje nam się, że nie mają jej i Węgrzy, których praca archiwalna w ostatnich latach wiele bardzo uczyniła dla odgrzebania i samego Batorego, i jego rodu, z gruzów przeszłości.

Urodził się Batory dnia 27 września 1533 roku w Weradzie, w Siedmiogrodzie, jako syn wojewody, panującego z wyboru. Wcześnie bardzo osierociał, a rodzina jego podupadła i zbiedniała. Chłopiec miał twardą przed sobą drogę życia. Ledwie wyszedł z pacholęcego wieku, wstąpił do wojska węgierskiego; wrócił potem do Siedmiogrodu i jako żołnierz służył Janowi Zygmuntowi Zapolyi, siostrzeńcowi Zygmunta Augusta. W latach 1559 i 1562 odznaczył się przeciwko Austryakom i Turkom. Posłanego później do Maksymiliana II na rokowania Niemcy uwięzili i trzymali przez 3 lata. Energiczny, wytrwały, żądny wiedzy, Batory zrobił sobie z więzienia akademię — i nabrał dokładnej znajomości klasyków, zwłaszcza historyków rzymskich. Po odzyskaniu wolności dzięki osobistej wziętości i tradycyom rodu, sięgającego do X-go wieku, powołany został na stanowisko wojewody (1571).

W r. 1574 w Siedmiogrodzie znalazł był przytułek Samuel Zborowski. Gdy po ucieczce Henryka nastała nowa elekcya, zachęcił banita Batorego, aby się ubiegał o koronę polską. Nie miał Siedmiogrodzianin wielkiej otuchy, ale postawił swą kandydaturę. Stronnictwo szlachecko-różnowiercze poparło go, — na czele jego Zamoyski i sami Zborowscy: jedni przez nienawiść do Maksymiliana, drudzy przez ufność w tolerantyzm kandydata. Dnia 13 grudnia 1575 został królem. Dnia 18 kwietnia 1576 r. odbył wjazd do Krakowa, a 1 maja — koronacyę.

Odrazu okazał samodzielność: koronował się bez prymasa, a pospolite ruszenie przeciwko wewnętrznym i zewnętrznym nieprzyjaciołom zwołał bez sejmu. Otrzymał później indemnizacyę. Najpierwszą jego czynnością było złamanie oporu Gdańska, trzymającego z Rakuszaninem, a właściwie pragnącego sobie wytargować większe i lepsze swobody.

We wrześniu 1576 r. zapadł wyrok na zbuntowane miasto. W październiku odbył się sejm przedwojenny w Toruniu — sejm nieosobliwy. Wstawienie się szlachty pruskiej, Inflantczyków i posłów z Prus i z Niemiec utorowało drogę do aktu przebaczenia w Malborgu dnia 12 grudnia 1577 roku.

Wtedy już Inflanty uległy były najazdowi, który po roku w silniejszem natężeniu się powtórzył; Batory pamiętał o królewskim obowiązku swoim. Na sejmie w czerwcu 1578 r. wyjednał podatki, piechotę łanową, zaciągi cudzoziemskie i zaczął

się przygotowywać do wojny. Przygotowania zajęły cały r. 1578 i część następnego, zostawiając czas na prace prawodawcze. W r. 1578 powstał trybunał dla Wielkopolski i Małopolski we dwa lata później wprowadzony na Litwę. Na ten rok również przypada organizacya Kozaków regestrowych, wyznaczenie im Trechtymirowa na stolicę i fundacya Baturyna. W tymsamym roku złożył hołd Jerzy brandenburski za ekspektatywę otrzymaną na Prusy książęce. Zbliżała się chwila rozpoczęcia wojny. Batory zabezpieczył się przez dyplomacyę od Tatarów, Turków i Niemców, i w lecie 1579 wyruszył ku Dźwinie. Dnia 12 lipca tegoż roku wydał pamiętny manifest, który sam prawdopodobnie zredagował. W sierpniu Połock był już zdobyty. Po założeniu kollegium jezuickiego i akademii w Wilnie powrócił król do Warszawy. W listopadzie nowy sejm i nowe przygotowania wojenne, na wielką skalę. Dowódcą wyprawy Zamoyski; ale król idzie z wojskiem, działaniami i dyplomacyą kieruje. W czerwcu 1580 r. spada w Wilnie głowa możnego Ościka za tajemne knowania. W sierpniu i wrześniu 1580 roku padają kolejno Wieliż, Uświata, Wielkie Łuki (6 września), potem Newel, Jeziorzyszcze, a ku zimie już Zawołocie. Dalsze działania ustały. Król zajął się sprowadzeniem Jezuitów do Połocka, do czego wezwał współdziałania Skargi.

Trzeciego roku kampanii (1581 r.), działania skierowały się ku zdobyciu Pskowa. Wprzód sejm, w lutym zwołany, dał hojne podatki, a Batory z Zamoyskim, przełamując uprzedzenie szlachty, sformowali piechotę szlachecką, która w boju pod Urowieckim dobrze się trzymała. W sam dzień Matki Boskiej Siewnej przypuszczono szturm do warownego miasta. Oblężeni napad odparli, — zaciągnęło się aż głęboko w zimę. Król odjechał do Wilna, spokojny o los kampanii i, mając już przekonanie o konieczności pokoju, działał w tym kierunku przez legata Posseviniego. Stanął istotnie dziesięcioletni rozejm w Kiwerowej Horce (Zapole) d. 15 stycznia 1582 r. Powszechnie przyjmowany wpływ nadziei Posseviniego na postanowienie królewskie w dzisiejszym stanie wiedzy za przesadzony uważać potrzeba.

Batory zajął się urządzeniem oswobodzonych Inflant, zamianował wielkorządcą ich kardynała Jerzego Radziwiłła, biskupa wileńskiego; sprowadził Skargę, ustanowił biskupstwo

w Kiesi, pozwracał niektóre kościoły katolikom, — osobistą bytnością swoją w Rydze na początku r. 1582, wpłynął dodatnio na uporządkowanie stosunków publicznych. W końcu roku sejm wydał urządzenie prawodawcze Inflant, wprowadzone w roku następnym. Zakończył się okres wojen — miał on być pierwszym; los uczynił go zarazem i ostatnim. Resztę panowania wypełniają sprawy wewnętrzne, jak zwykle w krajach mających burzliwe życie publiczne, ścięcie Samuela Zborowskiego (26-go maja 1584 r.), sprawa Zborowskich na sejmie w styczniu 1585 r. i zaburzenia w Rydze i Parnawie, opierających się nowemu kalendarzowi (1585—1586 r.).

Po niepomyślnym sejmie zimowym 1585 r., na sejmikach przedwyborczych r. 1586 zaczęły się odzywać głosy przychylne dla wielkich zamiarów królewskich, które wówczas, pod przyjaznym powiewem stosunków europejskich, w umyśle króla rozkwitać już zaczynały. Na grudzień zwołany miał być sejm. W grudniu właśnie wypada niespodziewany grom: król umarł! Naoczny świadek, jeden z dworzan królewskich, opowiada, że na początku grudnia, Batory, przybywszy do Grodna, zabawiał się łowami. Na łowach niezawodnie się przeziębił, i dnia 7 grudnia, w niedzielę, »czuł ociężałość i bóle po ciele«; był jednak na nabożeństwie i jadł obiad. Lekarz Simoni zalecił wino na sen. Wino właśnie, zdaje się, przy istniejącem już usposobieniu gorączkowem, sen odejmowało. W nocy król, z gorączką już, z rozpaloną głową, »wyszedł do pobocznego małego alkierza, gdzie okna *były zawsze otwarte*, żeby się ochłodzić. Powracającego stamtąd ogarnęła słabość, tak, iż bez zmysłów padł na ziemię i o ławkę mocno, choć nie głęboko, zranił sobie prawe kolano«. Burgrabia Vesselini i lekarz Simoni pośpieszyli, zbudzeni przez pokojowego. Eskulap opatrzył ranę, uspokoił obawy i zarządził na dzień następny — mannę. Wieczorem dopiero przybył drugi lekarz królewski, Buccella, także Włoch. Ten spojrzał na chorobę surowszem okiem: zalecił puszczenie krwi i mocne przeczyszczenie; skończyło się jednak na *brzoskwiniowym konfekcie* Simoniego. We wtorek nad wieczorem już król »oczy słupem podniósł do góry i zaczął zgrzytać zębami«... Teraz dopiero zgodził się Simoni na pigułki Buccelli. We środę w nocy powtórzył się paroksyzm wtorkowy. Dano znać sena-

torom i podkanclerzemu litewskiemu. Napady, jakby epileptyczne, powracały wieczorami codziennie, aż do skonu; a medycyna była coraz nieradniejszą. Wieczorem w piątek król ducha wyzionął. Zdaje się, że padł ofiarą medycyny, — ofiarą zawiści współzawodniczących ze sobą medyków, z których każdy potem ogłosił dzieło o chorobie królewskiej i usiłował się w niem oczyścić [1]. Gruntowny rozbiór krytyczny tych obron ze stanowiska dzisiejszej nauki byłby bardzo pożądanym.

[1]) W tomie II Heidensteina o chorobie Stefana Batorego czytamy: »Choroba jego tylko sześć dni trwała. Dużo książek o niej doktorzy napisali, mimo to, dotąd przyczyna jej niewiadoma. Lekarze królewscy: Mikołaj Buccella z Padwy i Szymon Simoni z Lukki, zawzięcie się o nią kłócili. Pewna jest rzecz, że kiedy kardynał Radziwiłł do Rzymu wyjeżdżał i z królem się żegnał, Simoni wyraźnie oświadczył, że król długo nie pożyje. O Buccelli rozgadywał sam Krzysztof Zborowski, że ofiarował mu się otruć króla, ale go Krzysztof ze wzgardą odprawił. Ja sam widziałem list księcia pruskiego, w którym przestrzegał króla, żeby doktorom swoim nie ufał. Nie mam jednak zamiaru zbijać lub dowodzić prawdziwości tych wieści. To jest pewna, że śmierć Stefana, tak nagła, wszystkich przeraziła. Miał dopiero 54 lata wieku, a zdrowie ciągle dobre, bo zahartował ciało pracą i trudami«.

Profesor Pawiński w pracy swej »Batory jako myśliwy« tak o chorobie Batorego pisze:

»Jeden z przybocznych lekarzy Batorego, Simon Simonius, który miał go w swojej opiece w czasie ostatniej jego choroby, twierdzi, że zbytnia namiętność myśliwska stała się przyczyną jego śmierci. Król polował w okolicach Grodna zapalczywie, nie zważając na ciężką zimę, jaka nawiedziła Polskę już w listopadzie 1586 roku. Mrozy były silne, wiatry przejmujące, ciągłe zawieruchy. Król, lekko ubrany, wracał niekiedy z wyprawy myśliwskiej, przeziębnąwszy do szpiku kości, tak, iż zgrabiałych rąk i nóg nie był w stanie rozgrzać odrazu, nawet przy większym ogniu. W dniu drugim grudnia (tak opowiada Simoni) puścił się król na polowanie na dziki ze znacznym pocztem dworzan. Był w ich liczbie i lekarz przyboczny. Zatrzymano się w Kudzyniu pod Sokółką, o pięć czy sześć mil odległym od Grodna. Była to ekonomia królewska. Stał tam później na kudzyńskim folwarku dwór drewniany, który nazywa lustracya z XVIII wieku bardzo starym. Pewno tam, pod strzechą tego starego dworu, nieraz spoczywał król-myśliwiec. Mimo dolegającego cierpienia jednak puścił się w lasy kudzyńskie. Nazajutrz uczynił tosamo, ale trzeciego dnia — a było to 4-go grudnia — zaniepokojony postępami choroby i dolegliwości, wrócił do Grodna... Wzmogła się później gorączka, która, zwiększając się stopniowo, 12-go grudnia, jak wiadomo, przecięła, niestety, przedwcześnie pasmo życia dzielnego króla«.

»Nie chcemy tu rozstrzygać pytania, czy istotnie zaziębienie na polowaniu stało się bezpośrednią przyczyną choroby i śmierci Stefana, jak twierdzi Simonius. Innego bowiem zdania był przeciwnik tego doktora, Buccella, drugi lekarz przyboczny Batorego. Dwaj ci lekarze wszczęli po śmierci króla zawzięty spór pomiędzy sobą, wzajemnie zarzucając sobie nieuctwo w rzeczach medycznych, i przyczynienie się tym sposobem do przyśpieszenia śmierci króla. Kto dziś jest w stanie dojść prawdy? Droga do niej bardzo trudna i mozolna« *).

*) Oprócz broszur obu lekarzy, oraz druków wskazanych w bibliografii śmierci, a powszechniej znanych, jest urzędowe sprawozdanie sekretarza królewskiego jako urzędnika Wojewody Siedmiogrodzkiego, Jerzego Chiakora, złożone ówczesnemu kanclerzowi tego państwa Kovacsowi, ogłoszone drukiem w Klausenburgu p. t. »Epistola de morbo et obitu Stephani M[agni], regis Poloniae...« (Claudiopoli 1587; 4-to) (1910).

VII.

SWÓJ O SWOICH
(1887).

(Klin: *Moi kochani Rodacy*. Warszawa, nakładem autora, drukiem St. Niemiery; 103 str. in 12-o. Na okładce wydrukowano: »Cena rs. 1«).

Książeczkę tę napisał Klin jeszcze w r. 1884, ale czekał z wydaniem jej aż do r. 1887. Miał zaś do tego powód bardzo jasny: jako pisarz, kończy on w tym roku lat dwadzieścia pięć; na mały więc swój jubileusz, na to srebrne wesele swoje z literaturą, chciał dać »kochanym rodakom« jakiś upominek, i za najodpowiedniejszy uznał napisaną przed trzema laty książeczkę. Radości domowych nikomu zabraniać nie można, każdemu wolno własne swoje jubileusze obchodzić w sposób, jaki sam za stosowny uzna. Zaofiarowanie, wydrukowane na pierwszej karcie po tytule, opiewa ironicznie: »Ziomkom swoim w XXV rocznicę swojego pisarskiego... *zawodu*«. Zawiódł się zatem jubilat — ale na kim? na sobie, czy na »kochanych rodakach swoich«? Na to odpowiedzieć ma właśnie treść jego pracy.

Na odwrotnej stronicy karty dedykacyjnej Klin wymienia to, co już wydrukował, i to, czego nie wydrukował jeszcze, ale co już napisał. W latach 1868—1870 wydał tedy część I *Szkiców*, w r. 1871 przekład *Miłosnych pieśni Horacego*, w r. 1872 *Pamiętniki sceptyka*, a w latach 1882—1885 część II *Szkiców*. W rękopisie ma Klin *Zaświaty*, większą jakąś całość, której poddziałem jest rzecz, zatytułowana: *Na ziemi rozumu*. Nie-

wątpliwie są to przypomnienia, zajmujące dla autora, a wskazówki cenne dla jego przyjaciół; co więcej nawet, krytyka i bibliografia takiemi danemi pogardzać nie powinny. W starannie ułożonym wykazie uderza nas tylko jedna okoliczność: nie spostrzegamy w nim tej pracy, tego utworu, drukowanego, lub rękopiśmiennego, od którego rozpoczyna się era jubileuszu. Pożądana ścisłość historyczna koniecznie się tego domagała od znanej ścisłości logicznej autora.

W dotychczas wydanych pismach swoich Klin był sceptykiem lub »realistą«, jak się dziś mówić zwykło, a jak się zawsze mówiło i mówić powinno — sensualistą. Ironia mu nie wystarczała — walczył orężem sarkazmu; krytyka mu nie wystarczała — był pessymistą. Zgorzkniały, zamknięty w sobie, przypominał on tych idealistów ujemnych, którym się zdaje, że mają nad idealistami dodatnimi wyższość trzeźwego-sądu, niepodległego rozumu, rzeczywiście zaś taksamo jak tamci złudzenia swoje biorą za przekonania, a wrażenia za rzeczywistość. Lat temu kilkanaście toczył Klin zaciętą walkę z krytykami swych *Szkiców;* bronił estetycznego swego stanowiska w nowelkach, w których szeroko rozpasywała się zmysłowość, lub doktrynerstwo, młodym głowom właściwe *(Jedna z tych)*. Utwory te nie odznaczały się wybitnością, otwierającą już wrota do potomności; ale, dzięki kolorytowi wysłowienia i krytycyzmowi doktryny, znajdowały czytelników pomiędzy młodzieżą. W braku silnego stylu, miały one to, co nie tylko u nas, ale i u innych lepiej nieraz od stylu popłaca — miały tę *die scharfere Tonart*, która umie bryzgać i wymyślać, gdy ją namiętność do działania powoła. Namiętnością pisarską Klina jest — gorycz z otoczenia. W *Miłośnych pieśniach Horacego* dowiódł Klin zamiłowania i znajomości klasycyzmu; w *Szkicach* i w *Pamiętnikach*, które znamy tylko z wyjątków, złożył dowody uzdolnienia na felietonistę. Gdyby wszedł do dziennikarstwa, od którego wstręt czuje, pisałby, o ile mi się zdaje, wcale niezłe felietony, z biczem do smagania w ręku... z gniewem do nawoływania w sercu... nie, raczej w tym organie, który, według Krasińskiego, ma na tym świecie nad sercem ilościową przewagę.

W tem zgorzkniałem usposobieniu, w tej felietonistycznej zdolności poczęła się i książeczka przed kilku tygodniami wy-

dana, a zajmująca się ujemnościami charakteru narodowego. Sam już tytuł wskazuje, że go dobierał raczej felietonista — człowiek formy, niż moralista — człowiek treści. Potrzeba na to *sui generis* tęgości mózgowej, aby w okolicznościach dzisiejszych, w roku chociażby 1884, »d. 22 grudnia«, mówić do milionów swych ziomków »kochani«, i mówić to z sarkazmem. Potrzeba i czegoś więcej jeszcze: potrzeba czuć się wyższym nad to mirmidoństwo, czystszym od tego bagniska, lepszym od tego ludzkiego, czy zwierzęcego mrowia, słaniającego się po piaszczystych wydmach wraz z wichrami, których walkę Klin słowy Horacyusza określa. Czyliż-by tytuł dobrano rozmyślnie dla nadania książce poczytności? Czyliż-by autor liczył na to, że niejeden z jego ziomków, zaciekawiony jaskrawym tytułem, weźmie broszurę do ręki, a wielu nie zwróciłoby na nią uwagi, gdyby miała np. skromny napis: »Wady nasze«, lub »ułomności«. Tem mniej uzasadnionem wydaje się takie wyrachowanie, że Klin, jak w swoim czasie Syrokomla, ma tę pewność, iż »Polska musi go czytać rada czy nie rada«: niechżeż go czyta — ale ten *mus* niech na nią spada z treści samej, nie z tytułu. Czy Polska książeczkę przeczyta? — to się dopiero okaże.

»Klimat przykry, kraj monotonny, osady niechlujne, lud głupi, stan średni nijaki, arystokracya strupieszała, a cała społeczność zacofana: oto moja ojczyzna« — rozpoczyna Klin. Ale ojczyzna nic nie wie o Klinie; gdyby wiedziała, z pewnością nie chciałaby mu robić przykrości; ojczyzna może nawet skwitować go z miłości ku sobie równie dobrze, jak z niezadowolenia i gniewu. Brzmi to określenie ojczyzny jakby posłany jej list wypowiedni — brzmi gorzej niż cała książeczka ze wszystkiemi swojemi prawdami i nieprawdami. Do rzeczy publicznej trzeba przychodzić z duchem publicznym, a nie z maluczką swoją prywatą złego humoru, niezadowolenia z piasków nawet i wichrów, z gorąca i zimna, — nie z szyderstwem na ustach, ale z mądrością w głowie, a uczuciem w sercu. Czcij ojca twego i matkę twoję... Pióro felietonisty haniebnie się tu przysłużyło moraliście-myślicielowi.

Pomijamy rozprawkę o klimacie i ziemi i o zależnym od nich rozwoju moralnym i społeczno-państwowym. Jest to temat historyozoficzny tak trudny, że nielada olbrzyma potrzeba na

podjęcie podobnego ciężaru. Klin bez trudności odkrywa prawdę przewodnią dla swej krytyki: oto zmysłowość jest korzeniem i zasadą charakteru Polaków (str. 22). Skutkiem tej zmysłowości nie znaliśmy nigdy ani wielkości, ani namiętności prawdziwej, byliśmy jakby niecali. Mieliśmy jedną tylko chwilę, w XVI w., ale była to tylko chwila przejścia z pierwotnej grubej zmysłowości do zaniku sił fizycznych i innej znowu, wyrafinowanej zmysłowości (str. 20). Obok tego jednak, przyznaje autor, żeśmy niegdyś »tytanami« byli, lecz ufność w swoje męstwo uśpiła nam rozum i odjęła troskę o jutro. Dziś jesteśmy »kachetykami«, czyli nieuczenie: zdechlakami (str. 23).

Czego chce od »kochanych rodaków« swoich Klin, wyrzucając im przywiązanie do ziemi, jakoby ślepe? — doprawdy, nie wiemy. Zestawienie z Grecyą i Rzymem, z Hiszpanami i Albionem, nie daje, nawet w obrębie niewłaściwie postawionej kwestyi, żadnego zgoła argumentu. Jest to nie rozumowanie, ale poprostu — bałożenie.

Dobieramy się wreszcie w drugim rozdziale książeczki do wad, wynikających z owego pierworodnego grzechu, czy też wrodzonego przymiotu. Autor daje w ośmiu wierszach zwięzły schematyzm żądzy jako córy zmysłowości. Określniki łacińskie — oczywiście, nie przez Klina wprowadzone — są dobre, i dobrze natężenie ognia wewnętrznego malują. *Cupido* jest to żądza, *cupiditas* — pożądliwość. Trwała forma pierwszej daje namiętność *(passio)*, trwała forma drugiej — chuć *(appetitus)*. Otóż Polacy nie są zdolni do pasyi, tylko do apetytu. »Pożądliwość jest pierwszą i główną wadą ich charakteru« (str. 26). Autor się myli. Pożądliwość nie może być wadą, jak namiętność nie może być zaletą. Jedna i druga są koniecznemi czynnikami natury, a to stopniowanie, które od pożądania prowadzi do *apetytu*, od tego znowu do namiętności — bynajmniej nie występuje w zakresie samej tylko zmysłowości: ma ją nawet uczony w pracowni lub gabinecie swoim, gdy pod nowym błyskiem myśl ku rzeczywistości mu się wyrywa i zespolić się z nią pragnie. I to również jest błędem, jakobyśmy do namiętności nigdy wzbić się nie byli zdolni: fałsz to pałający, albo pochlebstwo, albo nagana niezasłużona. Historya i doświadczenie obyczajowe zarówno temu przeczą. Klin chciał wyrazić płytkość naszej natury, niezdolność

nawet do porządnej zmysłowości. Aleź jeżeli podstawa, zasada, żywioł, Pierwsze Rucho charakteru polskiego tkwi w zmysłowości, to czyż ta zmysłowość nie musi tu koniecznie przejawiać się w najwyższem swojem natężeniu, w absolutyzmie bezwarunkowym, srogim, tyrańskim; i czy wtedy również, pojmując *passio* jako stopień zmysłowości, — można bez pogwałcenia logiki mówić o trwałem, wiekuistem jej niedomaganiu? *Aut aut.*

Pojęcia umysł długiem prawidłowem obleżeniem zdobywać sobie musi; ale pióro wyrazami niesłychanie łatwo wojować może. Carnot powiedział: *Il n'y a que les grandes passions, qui fassent les grandes nations;* Klin chwyta jego słowo, wciska je w rzecz swą o zmysłowości i usiłuje skorzystać ze wspólności wyrazu »passions«, który co innego znaczy w jego tezie, a co innego w zdaniu Francuza, jak to zresztą sam autor zeznaje (str. 26/7). Takie skoki w rozumowaniach i dowodzeniach Klina często się powtarzają. Przy żywości owej pisarskiej *Tonart* potrzeba czytać jego *opusculum* z niemałą uwagą, aby się nie dać zaskoczyć przez pozorną argumentacyę — i nie złapać na wędkę tej logiki, która w Atenach umiała tak przekonywająco dowodzić, iż np. jedno ziarnko pszenicy równa się stu ziarnom. Tam również grano na wyrazach.

»Niesforna pożądliwość — mówi Klin — znalazła sobie ujście w *dwiech* skłonnościach, nas cechujących: 1) w nieopatrznem zadawalaniu cielesnych popędów, 2) i w zachceniach rzeczy zbytkownych«. Tu zaczyna się rozgałęziać drzewo naszych wad narodowych. Nieopatrzne zadawalanie cielesnych popędów zrodziło: I) jurność, II) obżarstwo i III) opilstwo; zachcenia zaś rzeczy zbytkowych dały początek: IV) nieuczciwości, V) nieekonomiczności i VI) bezmyślnej zazdrości. Druga owa córa zmysłowości, *drażliwość*, ma za ojca, nie nadmiar sił zmysłowych, ale ich brak. Tu znowu jedyny żywioł charakteru przejawia się w bebesowstwie swojem. Drażliwość nasza jest nerwowością kobiet i dzieci. Chorobie tej Polacy ulegali zawsze. Klin zaręcza, że »niegdyś, silni, byli najdrażliwszym narodem w Europie (za inne części świata nie ręczy); dziś, słabi, kto wie, czy nie są w niej najbardziej zdenerwowanym...« (str. 40).

Potomstwo tej chorobliwej drażliwości zwiększa szereg wad poprzednich o trzy: VII) popędliwość, VIII) gniewliwość, IX) »znaną

naszę nieszczęsną« samowolę. Rozumowania nad temi wadami zajmują 9 stronic. Na 48-ej spotykamy się z trzecią córą zmysłowości, z *lenistwem*. Trzymał się tu autor katechizmu i podręczników moralności, które świadczą, że lenistwo jest matką wszystkich grzechów, i z tego konaru najwięcej wyprowadził gałęzi. Zdawałoby się, że istoty zmysłowe, mające swoje *principium* w zmysłowości, i w niej nawet jeszcze niezdolne wzbić się do prawdziwej namiętności, istoty kachetyczne, posiadające tylko drażliwość niemocy, przez tosamo już ani wiedzą swoją, ani rozumem celować nie mogą. Tymczasem na str. 48 dowiadujemy się, że przyczyna intellektualnego upośledzenia jest inna: »Byliśmy i jesteśmy leniwi, i *dlatego*, choć zdolni z natury i pojętni, aniśmy kiedykolwiek w czem się odznaczyli, ani też dziś rozumem i wiedzą naszą celujemy«. Lenistwo zatem niszczy to, czego nie tknęła jeszcze zmysłowość, rozprowadzona w pożądliwość i drażliwość.

Lenistwo do wad naszych dodaje nieuctwo i lekkomyślność. Wady te rozgałęziają się dalej i wydają z siebie: X) przewagę wyobraźni, XI) nieścisłość rozumowania, XII) pochopność w sądach, XIII) brak krytyki; a jako pędy tej ostatniej przywary: XIV) przesadę, XV) zarozumiałość, XVI) łatwowierność. Wszystko to jest płodem nieuctwa. Lekkomyślność zaś ma własne swoje potomstwo: XVII) brak samodzielności, XVIII) próżność i XIX) niedbalstwo, które z siebie znowu wydaje trzy wady: XX) brak poczucia obowiązku, XXI) lekceważenie zobowiązań i XXII) niewdzięczność.

Stanęło tedy drzewo genealogiczne wad naszych. Przyjrzyjmy się bliżej tym gałęziom. Co ma wspólnego niewdzięczność, lub bezmyślna zazdrość ze zmysłowością? Czy nie bliżej byłoby niedbalstwu do lenistwa, niż do lekkomyślności? Gdzie jest opilstwo, jako wada wyłącznie polska, jeżeli całą winą naszą jest to, iż pijemy »bez względu na swą zamożność« (str. 29)? Jurność jest przywarą na stronicy 27, a już na 28-ej jest »czemś dodatniem«. Jakie znaczenie może mieć w systemacie, opartym na zmysłowości, nietolerancya zarówno wyznaniowa, jak umysłowa i czy drugą z nich wolno jest uważać za skutek samowoli? Czy można (str. 41) ustawiać w jednym rzędzie nietolerancyą, niegrzeczność, nieposzanowanie innych, nietowarzy-

skość, — jakgdyby wszystkie te ujemności wypływały z jednego wspólnego źródła psychologicznego? Klin, ganiąc przelotnie, bez dowodu, Krasińskiego i Libelta, nie rozumie ani »dumy« pierwszego, ani »towarzyskości« drugiego, a zgoła już nie ma w umyśle swoim szczypców, któremiby mógł pochwycić wiarę, jako siłę czynną, pierwiastek życia i żywioł cywilizacyi.

Przy niemocy swej wiedzy Klin nie ma nawet tego, cobyśmy instynktem psychologicznym nazwać mogli. Brak ten uderza już w samym punkcie wyjścia całego systematu. Wskutek tego braku idealna siatka pojęć, stanowiąca podkład tej mapy, którą Klin z wad naszych ułożył, jest nadzwyczaj wątłą, prawdziwie pajęczą. Jeżeli wszystkie wady mają być sprowadzone do jednego mianownika, to anormalne, stałe a powszechne usposobienie naszego duchowego jestestwa powinno mieć w sobie taką treść, ażeby przez samo organiczne różniczkowanie się jej powstawać *musiały* wszystkie wskazane stany patologiczne, a powstawszy, dały się następnie ująć w jedną ściśle spojoną całość. Zasada zmysłowości w samym już zakresie pierwszej przywary, pożądliwości, nie spełnia swego obowiązku; jest nierzetelną służebnicą przy dalszych, a występuje już absolutnie jako samozwańcza przy czynach, nie obyczajowych, *etycznych* (*Sittlichkeit* Hegla), ale właściwych *moralnych* (*Moral* Hegla). Pojęcie »zmysłowości« nic nie wnosi do całego obszaru czynów, których sprawcą jest, nie ten, lub ów gatunek ludzki, ale jednostka. Wyprowadzanie np. naszej niewdzięczności lub zazdrości nieuszanowania lub chciwości z przeważającej w nas jakoby zmysłowości — jest nielogicznem, rwie prawdę za włosy. I czyż można rozsądnie mówić o polskiej tylko niewdzięczności, zazdrości, chciwości i t. d.? Są to objawy powszechne, a co więcej, czysto indywidualne. Zmysłowość, mająca być matką naszych dwudziestu dwóch wad zasadniczych, nawet do połowy tego potomstwa tytułu macierzyństwa swego nie wykaże.

Zmysłowość, będąc bodźcem ruchu i życia, może się stać zarazem narzędziem bezwładności i śmierci. Czyny niemoralne nie wynikają ze zmysłowości natury, tylko z nieprawości duszy. Moralność opiera się na wyśmiewanej dziś wolnej woli człowieka; wypędzając ją z mózgów waszych, wypędzacie człowieka z Ludzkości. Zostaje tylko rozrastający się bezwiednie

do nieskończoności ogromny jakiś polip. Zmysłowość sama przez się nie dotyka istoty moralności, stanowi tylko dla niej największą, najgłębiej pod zjawiskami ukrytą przeszkodę. Jest to jakgdyby dno oceanu nieprawości ludzkich, ale w całym rodzaju; dlaczegoż je Klin osobliwie w społeczeństwie swojem dostrzega? I w tem tkwi drugi błąd autora: wiele wad i przywar, stanów anormalnych ogólnie-ludzkich, wiele znowu takich, które nie mają znaczenia gatunkowego, lecz są wytworem ściśle jednostkowego życia i charakteru, autor wtłacza wyłącznie na społeczeństwo polskie, i to na całe w czambuł społeczeństwo. Zapomnienie o ogólnej naturze ludzkiej, o ogólnym rozwoju człowieka powszechnego na ziemi, przeniewierzenie się logice objawów psychicznych, odejmuje wartość całemu systematowi wad wyłącznie naszych, piętnujących jakoby wyłącznie tylko nas w odróżnieniu od innych narodów.

Przy tej *per excellentiam* podmiotowej metodzie, jaką jest wylewanie na świat własnej żółci, nie można było nic innego zrobić, tylko własne swoje wrażenia, własne współczucia i wstręty, podstawić na miejsce logicznych wyników przedmiotowego rozumowania. Tak też czyni Klin, gdy np. wiarę wyprowadza z łatwowierności; gdy maluczką zazdrość, wielką niewdzięczność, zarozumiałość, wytyka nam jako *wady* ogólnie narodowe; gdy stawia nam za przykład grzeczności pasażerskiej — Niemców, o których przecież wiadomo, że, *in statu civili*, jadąc koleją żelazną, mają zwyczaj rozbierać się nawet przy kobietach, a *in statu militari* trącają i pobrzękują pałaszami, okazując względność tylko dla młodych a przystojnych.

Wskutek spętania żywiołu rozumowego, który sam jeden przez spokój swój i cierpliwość pozwala zbliżać się do prawdy — w całym wywodzie Klina i punkt wyjścia ze zmysłowości jest błędny, zszeregowanie wad — wadliwe, i sama legitymacya ich niezgodna z prawdą, i wreszcie rzeczy poważne pomieszane z lekkiemi. Zdań nieprzemyślanych, nieprzetrawionych, lub przyczepionych niepotrzebnie do przedmiotu, pełno w książeczce. Tu należą np. uwagi o grzeczności w podróży, lub uczynności na ulicy, obrona Anglika przeciwko dziennikarzom warszawskim, refleksye nad »jurnością«; wyniesiona z apteczki dzisiejszego pozytywizmu policyjnego zasada, że moralność jednostki opierać

się musi na sprawiedliwości, moralność państwa na sile, a moralność natury na obojętności (str. 68). Podobnież lekko sądzi autor o rzeczach, gdy bierze w obronę zbiorową zarozumiałość, która wszystkie inne narody barbarzyńskiemi nazywa (str. 75), gdy majaczy o jakiejś filozofii negligencyi, jako prawej odrośli staro-indyjskiej filozofii *nirwany* (str. 83); gdy rozwija przed nami podręczny teorematik o nietrwałości związków ludzkich, opartych na uczuciu (str. 86) i t. d. Największy z takich wybryków myśli rozhasanej, nieprowadzonej na lince rozumu, znajduje się na str. 66-ej. Dotyka tu Klin przedmiotu, w którym nawet polemizować z nim nie można, jak niepodobna rozprawiać ze ślepym o kolorach.

Wszystko, co Klin mówi o stosunku szlachty do ludu, koniecznem byłoby na kartach historyi, ale zbyteczne jest zupełnie w broszurze publicystycznej: wszystkie owe gwałty, występki, potworności, dzisiaj są już archaizmami, wypominanie ich więc żadnej praktycznej nie przynosi korzyści, a kto wie, czy nie przynosi szkody? To tylko, co dziś jest, lub może być, niebezpiecznem, powinno się znaleźć pod piórem pisarza, czującego w sobie powołanie, już nie do nauczycielstwa, czy apostolstwa, bo tego się Klin wyrzeka, ale do mówienia ziomkom prawdy w żywe oczy.

Zabierając się do pisania, Klin nie wiedział jeszcze dobrze, co napisze. Na str. 11 mówi, że wybiera sobie łatwiejszą do odmalowania stronę charakteru, t. j. *ujemną*. O tej operacyi na »kochanych rodakach« śmiało powiedzieć można, że operator suchej nitki na nich nie zostawił. Jedna tylko »jurność« otrzymuje od niego przebaczenie, a nawet mu się podoba. Wszystko zresztą jest złe, szare, popielate, lub czarne. Pessymizm subjektywny nie mógł nic innego dostrzedz. Ta trudność malowania strony dodatniej, którą tłómaczy się Klin we wstępie, przy zdolności jego umysłu nie tkwiła dla niego bynajmniej w przedmiocie samym, ale w tem zjełczeniu uczuciowości, którego tylko umysłowym wyrazem jest jego pessymizm.

Autor, podjąwszy zadanie, jak sam powiada, łatwiejsze, ułatwił je sobie jeszcze przez oparcie większej części swych tez na Długoszu, Kromerze, Modrzewskim, Starowolskim i innych naszych historykach i publicystach dalszych i bliższych. Nie

zapomniał nawet o smutnej pamięci Krzysztofie Opalińskim, i jemu też dał głos. Wogóle znać w broszurze oczytanie; jest go więcej niż obmyślenia. O ile główni świadkowie stwierdzić mają to, co było, a nie uległo zmianie, wybór ich jest dobrym — chociaż, oczywiście, trzeba zawsze pamiętać, że myśl ludzka, wskutek swej niedoskonałości, generalizując fakta, zawsze je mniej lub więcej fałszuje. Owi poprzednicy, ojcowie nasi, nie chcieli, lub nie mieli na kim się oprzeć; patrzyli własnemi oczyma, sądzili własnym rozsądkiem, i odczuwali też własnemi sercami. Te serca — to wyższość piór dawniejszych nad piórami dzisiejszemi: smagając, kochają one, pragną i cierpią. Dzisiejszy pisarz nie wierzy w to, aby się jego kazanie na cokolwiek przydało: co jest to być *musi* (str. 98); jeżeli słyszymy dzwonienie — i to wcale nie ciche — to tylko dlatego, że autor potrzebował wyładować z siebie wrażenia, które się w nim nagromadziły. Tamci starzy mieli wiarę w skuteczność swych słów, a przynajmniej dobrego ich skutku pragnęli, — taki Kochowski łzami się zalewał; piołun, podawany narodowi, uznawali za potrzebny dla jego zdrowia; rany odkrywali z boleścią; a pod ich krytyką posępnych dni dzisiejszych drżała utajona modlitwa o jaśniejsze jutro. Prawdy, któremi gromili współczesność swoję, dojrzewały na drzewie długiego doświadczenia w zawodzie publicznym, w cieple uczuć obywatelskich, nie teoretycznych, malowanych, które łatwo w gębie mieć można, ale tych, co-to wykrzesywały się z serc, pod walącą w nie rzeczywistością. Każdy z tych starych był pisarzem w pojęciu Carlyle'a: mniej w nim było pisarstwa, a więcej nauczycielstwa, wiodącego ku światłu i dobru. Nie chodziło im o poczytność, o hałas, o wrażenie, o zrobienie kręgów na wodzie wkoło siebie: nie, oni chcieli ruchu wkoło tej rzeczy publicznej, której byli wiernymi sługami. Jakże nam już daleko do nich! Tam czujemy dusze; tutaj widzimy tylko pióra, mające mózg na swej posłudze — tak, nie odwrotnie. Nie można mieć do Klina pretensyi o to, czegośmy od niego nie dostali: każdy daje, co może; ale każdy też powinien wiedzieć co dał.

Powołuje się Klin także i na Heinego. Tę powagę sam sobie umyślnie wyszukał; ale, pomimo to dzieje się rzecz szczególna: w dwóch najwybitniejszych może punktach charaktery-

styki Heinowskiej, Polak nie zgadza się z Niemcem — który przecież surowym być musiał, skoro natrząsał się nawet z Ukrzyżowanego — i uważa go za zbyt wielkiego optymistę. Nie wierzy najpierw Klin w to, aby Polacy mogli kiedykolwiek zabłysnąć wiedzą (str. 97), a potem nie zdaje mu się, aby chłop nasz miał więcej rozsądku i uczucia niż wieśniak w niejednym *Gau* niemieckim. Pierwsze powątpiewanie jest sprawą amatorstwa; drugie ustąpiłoby niezawodnie, gdyby Klin obejrzał własnemi oczyma głupiego *Tölpela* z Północnych Niemiec.

Najlepszem w książce jest to, co napisał Kromer; z własnych zaś spostrzeżeń autora zasługuje na wyróżnienie uwaga, że u nas jedni drugimi, i to we wszystkich stanach, gardzą, jedni nad drugich się wynoszą, a żyłka arystokratyczna wspólna jest wszystkim (str. 47). Broni też dobrej sprawy Klin, gdy nam wyrzuca małpowanie najukochańszych Francuzów (str. 72); lub gdy wytyka brak odwagi cywilnej (str. 76) — o której mamy tak piękną rozprawę Libelta; gdy, dalej, ciska oskarżenie na tych uczonych polskich, którzy wolą brać po 50 talarów od arkusza, drukując po niemiecku, niż dopłacać do arkusza po 50 talarów, gdyby drukowali po polsku (str. 89); albo wreszcie gdy przytacza zeznanie pewnego lekarza, który w polskim domu hrabiowskim nie mógł się rozmówić po polsku z kilkunastoletnią pociechą domową (str. 90). Są to fakta, dowodzące istotnych wad narodowych.

Oh, mamy dosyć tych wad naszych, choć może one z innych wzrosły zasiewów i w innym genetycznym związku występują, niż mniema Klin! Pisać o nich niezmiernie łatwo — można nieledwie z rękawa je wytrząsać. Ale dostrzedz je okiem życia i pochwycić umysłem, przeniknąć do głębi każdej z nich i usystematyzować wszystkie według stałego porządku i wspólnej zasady; wykazać zależność ich wewnętrzną i organiczny rozwój, wprowadzić pomiędzy nie hierarchią niebezpieczeństwa i krzywdy dla rzeczy publicznej — jakże to wszystko trudne, jak w dzisiejszym stanie obserwacyi i wiedzy społecznej nawet prawie niemożliwe, jeśli ma być rzetelnem! Kto się kiedy poważnie do tego cierniowego trudu zabrać zechce, będzie musiał podzielić wszystkie wady nasze na ogólnie-ludzkie i nasze własne, odróżnić prywatne od publicznych, jednostkowe od zbiorowych;

wykazać, które powstają z jakiegoś zarazka krwi, a które biorą początek z odrębnej naszej cywilizacyi, kultury, organizacyi nam tylko właściwej, lub z wszelkiej organizacyi braku — co, bodaj, jest najważniejszem. Może przy takiem badaniu znajdą się jedne wady wrodzone, mające początek zmysłowy, drugie tworzące się ze skaz na umysłowości naszej, w najrozleglejszem jej pojęciu, ogarniającem już i stany uczucia, i stany wyobraźni. Może też przyszły badacz, jakiś umysł genialny, rozdzieli ciężar ogólnej winy między samo jestestwo i ośrodek jego życia, a daleki zarówno od rozpaczy, jak od obojętności, pragnący dobra swoich, prawdziwie już »kochanych rodaków« — ukaże w coraz wyższem świetle i coraz wyższej organizacyi społecznej Jakóbową drabinę postępu.

Jeżeli teraz, po złożeniu broszury Klina, zapytamy: kto na kim się zawiódł? — będziemy mieli już odpowiedź gotową: *Moi kochani rodacy* nie są wprawdzie pamfletem, ale są robotą lekkiej ręki.

VIII.

NA TRZECI MAJA.

(1907).

Gwałt, spełniony na nas zhańbił dzieje Europy, ale nie wolno nam zamykać oczu i na tę prawdę, że cios pierwszego rozbioru wycisnął na narodzie naszym piętno hańby: toż-to my daliśmy sobie wówczas bez walki wydrzeć trzecią część obszaru swego wielkiego państwa, największego we właściwej Europie ówczesnej. Rozpaczliwy czyn Reytana, godna postawa posłów nowogrodzkich i łęczyckich były jedynemi czynami patryotyzmu polskiego w tej ponurej chwili dziejowej. Wprawdzie energia narodu, uprzedzając sam zabór, bezwiednie porwała się była do oręża, wydając z siebie Konfederacyę Barską, ale zbrakło ówczesnym Polakom mężnej, prawdziwie męskiej woli, któraby bezładne, po całym kraju pełgające płomyki zebrała w jedną wielką chwilę i jeden wielki płomień walki powszechnej za ojczyznę. Rozbiór stanął przed bladem obliczem sejmu nie jako następstwo wrzekomo niestosownego porywu, ale jako skutek ostatecznej klęski Konfederatów Barskich, przez rozum, wolę i siłę rzeczywiście narodową niepoprowadzonych i niepopartych.

Nie wystarczyły do rozbudzenia nas gromy huczące przed rozbiorem; ocknęliśmy się dopiero wtedy, kiedy już piorun uderzył i roztrzaskał i zniszczył. Dopiero jawna już niedola rozszarpywanej ojczyzny zbudziła w nas jej miłość. Jak z samego sejmu rozbiorowego, z łona uczciwych, a choćby nieuczciwych, to światłych, wyszła Komisya Edukacyjna, niestarty pomnik

naszej chwały, tak od tegoż sejmu rozbiorowego (1773—5) dopiero zaczął naród myśleć o sobie, o swej przyszłości. Prąd odrodzenia przejmował już sejm Mokronowskiego z r. 1776, jego głosy i uchwały, nurtował literaturę polityczną, t. zw. publicystykę, dawał natchnienie pismom przeznaczonym dla cnotliwego Andrzeja Zamoyskiego, nowe dla narodu prawa układającego, »Listom patryotycznym« Wybickiego i innym — dopóki wreszcie z największym ogniem, siłą i rozumem nie zabłysnął w »Uwagach nad życiem Jana Zamoyskiego«, wydanych w roku 1785 przez Staszica. Tak groza śmierci zupełnej zbudziła żądzę życia, a myśl narodowa odzyskała swą żywotność. Chcieliśmy już wtedy żyć, a w bycie dziejowym sama wola życia jest już życia źródłem.

Wpływ rozrastającej się wciąż i doskonalącej publicystyki, działanie zbawienne szkół Komisyi Edukacyjnej i szkoły pijarskiej, na całą Polskę rozpostartej, a przez wielkiego Konarskiego zreformowanej, bardziej zaś jeszcze może wyzwolenie z pod możnowładztwa, które dawniej, utrzymując ojczyznę w ciągłej wojnie domowej, demoralizowało naród cały, — pozwoliły zwolna wytworzyć się stronnictwu naprawy Rzeczypospolitej, czyli — jak się mówiło — reformy, zwanemu także stronnictwem patryotycznem. A potrzebowała ta Rzeczpospolita nasza gwałtownej naprawy. Największem w niej złem były wybory, elekcye królów, wskutek dopuszczenia cudzoziemców do tronu, otwierające pole intrygom mocarstw sąsiednich, na zgubę naszą czyhających. Z kolei szło *liberum veto* (»nie pozwalam«), pozwalające każdemu magnatowi przez podstawionego szlachcica zrywać sejm, kiedy chciał; szedł skarb, skąpo zasilany i zawsze pusty; szło wojsko, od r. 1717, przez Piotra Wielkiego na sejmie Niemym warszawskim do 24 tysięcy na Koronę i Litwę ograniczone, a za Sasów w rzeczywistości zaledwie z kilkunastu tysięcy ludzi składane.

Państwo tak zbudowane, z takiemi urządzeniami politycznemi z taką niemocą skarbu i siły zbrojnej, nie było zdolne niepodległości swej ocalić: groził mu nowy rozbiór. Płomienne wołanie Staszica stało się dogmatem ludzi uczciwych i rozsądnych w narodzie. Pod hasłem też naprawy Rzeczypospolitej, zaopatrzenia skarbu i pomnożenia wojska, po pięciu nikczemnych, nic nie robiących

sejmach od roku 1778, wreszcie w roku 1788 oczekiwano sejmu rzeczywiście ku dobru narodowemu zwróconego. Zebrał się ten wiekopomny Sejm Czteroletni, »konstytucyjnym« lub »wielkim« i słusznie wielkim zwany, d. 6. października 1788. Szczęśliwy zbieg okoliczności, splynięcie ówczesnych mrzonek politycznych królewskich w jedno łożysko z pragnieniem Stronnictwa Reformy — pozwolił sejmowi temu już nazajutrz zawiązać się w konfederacyę, t. j. odpędzić od uchwał nieszczęsną jednomyślność i wygnać z Izby sejmowej najczęściej zbrodnicze a zawsze głupie liberum veto. Dzięki temu już dnia 20 października okrzyknięto 100 000 wojska, dnia 3 listopada zniesiono departament wojskowy w Radzie Nieustającej, którą ambasador rosyjski Stackelberg ustanowił był przy królu w r. 1774, a dnia 19 stycznia 1789 r. i samą Radę. Runęła gwarancya rosyjska, jak nazywano samowolę, dyktaturę, którą wywierał nad Polską ambasador.

Porozsyłano posłów do mocarstw zagranicznych, na co wszechwładny ambasador dotychczas nie pozwalał. Ustanowiono Deputacyę do interesów zagranicznych, pełniącą funkcye — ministeryum. W marcu 1789 r. nałożono na ogół szlachty ziemiańskiej, folwarcznej i większej, posiadającej całe klucze i starostwa, podatek t. zw. Ofiary dziesiątego grosza; pociągnięto do niego duchowieństwo i miasta. We wrześniu t. r. wybrano Deputacyę do nowej Formy Rządu, jak nazywano Zmiany zasadnicze w budowie państwa. Na Boże Narodzenie uchwalono »Zasady« do zmian. Gdy w listopadzie 1789 r. miasta upomniały się za sobą, z Warszawą na czele, sejm wyznaczył umyślną Deputacyę do sprawy miejskiej. W sierpniu 1790 r. przedstawiła owa deputacya do Formy Rządu całkowity projekt przebudowania państwa — dzieło ogromne, głównie przez Ignacego Potockiego, jednego z najoświeceńszych i najlepszych Polaków, dokonane. Z rozpraw sejmowych wyłoniły się: Prawa kardynalne, takie, których wzruszać nie wolno, uniwersał do narodu t. j. odezwa do wszystkich sejmików: czy przystają na to, aby jeszcze za życia króla wybrać na jego następcę Fryderyka Augusta, elektora saskiego, syna Augusta III; wreszcie postanowienie, aby do sejmu już istniejącego dodać drugie tyle nowych posłów.

Dnia 16 listopada 1790 r. sejmiki powybierały posłów, a na zapytanie co do wyboru króla odpowiedziały (z drobnym wyjątkiem) przyzwalająco. Rzucona przy uniwersale myśl przeniesienia władzy królewskiej odrazu na dynastyę, t. j. rodzinę elektorów saskich, znalazła przyjęcie przychylne. Można już więc było przebudowanie państwa oprzeć na woli przeważnej większości narodu. Ale w samym sejmie, do którego w dniu 16 grudnia wpłynęli nowi posłowie — kryła się mniejszość zacięta, broniąca dawnego republikantskiego — jak dawniej mawiano — porządku. Nie brakło i w kraju, zwłaszcza na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, zwolenników »złotej wolności« dawniejszej, prowadzącej do żelaznych kajdan. Pycha magnacka nie była jeszcze całkiem starta. Stosunki zagraniczne groziły. Stronnictwo patryotyczne spostrzegło, że drogą jawną, przewlekłą, formalnościami zapchaną, nie dopnie celu i nie uporządkuje i nie wzmocni państwa. Zbliżywszy się tedy do króla, wciągnęło go w swe roboty i od lutego potajemnie opracowywało projekt konstytucyi, ogarniającej cały obszar władz i stałych stosunków państwowych, aby występując z pracą już gotową, prędzej zawinąć do szczęśliwej przystani.

W marcu r. 1791 sejm z owego projektu Potockiego uchwalił prawo o sejmikach, w kwietniu prawo »Miasta nasze wolne królewskie«, z prawami dla mieszczan, zapewniającemi im samorząd, a w wielu wypadkach i szlachectwo, które wówczas powszechnie za klejnot drogocenny uważano.

W drugiej połowie kwietnia sejmujący rozjechali się na Wielkanoc. Patryoci postanowili skorzystać z obecności w Warszawie wielu bardzo pragnących reformy i d. 5 maja wnieść projekt konstytucyi już ostateczny. Gadulstwo króla Stanisława Augusta spowodowało przyśpieszenie terminu. I tak doczekała się Polska dnia Trzeciego Maja. W przeddzień już oznajamiano wszystkich z treścią projektu, który przedtem wydrukowano. Miasto zbudziło się w oczekiwaniu wielkiego czynu. Od rana już gromadził się lud pod zamkiem; cechy, wdzięczne za prawa tylko co otrzymane, gotowały się do uroczystego wystąpienia. Wojsko, na znak spójni z myślą polityczną narodu, okoliło zamek, wytoczyło armaty. Zanim senat i posłowie zebrali się w Izbie, już miejsca dla »arbitrów« (tak nazywano wówczas pu-

bliczność przysłuchującą się obradom) były szczelnie zapełnione. O godzinie 11-ej wszedł król z ministrami. Rozpoczęły się obrady.

Zamąciła je odrazu owa mniejszość niechcąca pozwolić na ustalenie rządu prawidłowego. Po długich i gwałtownych przejściach, po bluźnierstwach, miotanych na ojczyznę i zapamiętałości w obronie tego, co nas właśnie gubiło — o godz. 6-ej wieczorem ci, co ojczyznę prawdziwie kochali, przeprowadzili konstytucyę 3 Maja jednym ogromnym okrzykiem, który ogarnął podwórze zamku i plac przyległy, i wezwali króla do przysięgi, stwierdzającej już ostateczne przyjęcie. Król przysiągł — ale tej przysięgi na konstytucyę już w roku następnym miał nie dotrzymać. Po przysiędze upojeni radością posłowie i senatorowie za przewodem króla ruszyli placem Zamkowym i ulicą św. Jana do Fary. Tam odśpiewano Te Deum, złożono przysięgę zbiorową, przemawiano w rozczuleniu. Patryotyczny lud warszawski otoczył orszak, razem z nim zapełnił świątynię, a marszałka sejmowego wzniósł na swych ramionach. Do późnej nocy w całem mieście trwała wielka radość. Zajaśniała illuminacya, tłumy przeciągały po ulicach.

Konstytucya 3 Maja, znosząc elekcye, nadając w dynastyi saskiej synowi prawo następstwa po ojcu, założyła kamień węgielny trwałości państwa. Nad wychowaniem dzieci królewskich miała czuwać Komisya Edukacyjna. Król miał władzę rzeczywistą; rządził z pomocą pięciu ministrów, składających t. zw. Straż, ale jego wola zawsze przeważała, jeżeli tylko jeden minister postanowienie królewskie podpisał. Wolno było królowi nie uznać prawa uchwalonego przez sejm, ale tylko do następnego sejmu: jeśli ten prawo ponownie uchwalił, król musiał sejmowi uledz.

Konstytucya zniosła wszelkie konfederacye i raz na zawsze wygnała z sejmu nieszczęsne liberum veto. Poseł na sejm przestał być przedstawicielem swego powiatu, ziemi, województwa, nie mógł powoływać się na to, co mu jego »bracia«, wybierając go na sejmiku, wpisali w t. zw. instrukcyę, wskazującą co ma w sejmie robić, jak głosować; stał się pełnomocnikiem swego narodu, jako wielkiej istoty, potęgą swą wszystkich ogarniającej i do posłuszeństwa sobie zniewolić zdolnej. Dopiero od Konstytucyi 3 Maja mógł w Sejmie występować rzeczywisty interes ojczyzny, a nie pojedynczych ludzi i stron kraju, i tych, którzy w nich rej wodzili.

Sejm zbierał się co dwa lata na 70 dni, ale musiał być zawsze gotowym, t. j. że w razie nagłej potrzeby, bez umyślnych wyborów, ci, którzy już byli posłami, mieli obowiązek stawić się w Warszawie na narady. Sejmy takie zwoływał król ale w niektórych wypadkach i marszałek sejmu poprzedniego. Co 25 lat zbierać się miał sejm dla poprawienia konstytucyi.

Prawo o miastach uznano za część samej konstytucyi. Ludowi wiejskiemu zapewniono opiekę prawa, dano możność zawierania umów z dziedzicami bądź przez każdego zosobna, bądź też całemi gromadami. Jeśli dziedzic wieś sprzedał, nabywca musiał umowy dotrzymać.

Te są najważniejsze prawa w Konstytucyi 3 Maja zawarte. One-to czynią z niej drogą narodową pamiątkę, one dziś jeszcze, po tylu latach, w każdem sercu polskiem czystem, niezniepravionem przewrotnemi naukami, szkodliwemi przesądami i zobojętnieniem na sprawy narodowe, wywołują wzruszenie wdzięczności dla tych, którzy ojczyznę z bezrządu wydobywali porządkiem, dobro jej stawiali ponad wszystko, i sam naród zdrowemi zasadami życia wzmacniali.

Upadła Konstytucya od przemocy obcych i nikczemności swoich, ale odradzająca moc jej, wespół z powstaniem Kościuszki, przedłużyła nasz byt duchowy jako Polaków. Bez niej upadek nasz byłby już śmiercią. Wielkiem jest znaczenie jej w życiu narodu.

IX.

„RIENZI“ ASNYKA.

(1873).

(*Cola Rienzi*, dramat historyczny z XIV wieku, w pięciu aktach, prozą, oryginalnie napisany przez Adama Asnyka (El-y). Kraków 1873).

Dnia 20 maja 1347 r. panował wielki ruch i wielka radość w Rzymie. Wskrzeszano — w słowach przynajmniej — dawną rzeczpospolitą rzymską. Majestatyczna jej postać z przed czasów Maryusza i Sulli wychylała się z grobu. Rozzuchwalonemu po wywędrowaniu Papieży do Awinionu możnowładztwu rzymskiemu w jednej chwili wytrącono z ręki oręż nadużyć, krwawych bijatyk i ucisku. Rodziny Colonnów i Orsinich pouciekały z Rzymu; inne pozamykały się w zamkach swoich; temi istnemi fortecami najeżona była wówczas stolica chrześcijaństwa, religii wiecznego pokoju. Pamiętano jeszcze, że niedaleko od jej murów, na jakie pół wieku przedtem, następca Chrystusa doznał czynnej obelgi od jednego z hardych magnatów rzymskich. Teraz lud zaległ ulice prowadzące na Kapitol, gdzie mu na idealnych gruzach dawnego nieładu wznoszono idealną także budowę nowego porządku i szczęścia. Nadszedł dzień odwetu. Na Kapitolu gwarno było i ludno; rozlegały się okrzyki radosne na cześć nowych myśli i ludzi nowych. Obwoływano jakieś ciemne, z głębin ludowych wyłaniające się nazwisko. U początku drogi winszowano sobie już jej celu; łączono się na podstawie bratniej miłości i nikły powiew serca brano za stałą realną podstawę

przyszłego państwa. Starożytny trybunat, na nowo po tylu wiekach do życia powołany, roztaczał skrzydła swoje nad ludem rzymskim. Władza od baronów przejść miała do całej powszechności, do człowieka, który się jej na kierownika narzucił w przekonaniu o swojem boskiem, opatrznościowem posłannictwie. Na miejsce anarchii ten człowiek postawić miał prawo uchwalane i słuchane przez wszystkich, przyrzekł równy wymiar sprawiedliwości, równy wymiar światła i dobrobytu dla wszystkich. Zapominał o ułomnościach natury ludzkiej, o trudnościach harmonijnego pożycia społecznego, o własnej słabości, i rozwieszał nad głowami Rzymian średniowiecznych namiot z jasnego nieba. Nie wszystkie myśli swoje odrazu przed ludem odsłonił; najpiękniejszą, najwspanialszą zachował w głębi namiętnej, dawną wielkością Rzymu nurtowanej duszy. Myśl ta błyszczy dziś jak gwiazda w pomroce XIV wieku: człowiek opatrznościowy chciał złączyć całą z i e m i ę w ł o s k ą w jedno państwo. Na co Dante ledwo przez mgłę teologicznych natchnień swoich śmiał spojrzeć, to w umyśle trybuna rzymskiego przybrało postać wyraźnego, rzeczywistego zamiaru. Dante marzył; człowiek opatrznościowy pierwszy postanowił zjednoczyć Włochy pod jedne rządy. Może postanowienie to w połowie XIV wieku również wyda się tylko mglistem marzeniem, gdy je odniesiemy do zewnętrznych warunków, zawsze jednak mąż, co takie marzenia powziął, przedstawi się nam jako postać niepospolita. Powiedzieć to sobie musi każdy bezstronny myśliciel i na pierwszy widok średniowiecznego trybuna ludu pozna, że jakiekolwiek mogłyby być następne jego błędy, piętno wielkości niełatwo da się z czoła jego zetrzeć.

Jakoż wiele błędów popełnił Mikołaj Gabrini, przezwany Rienzim, trybun ludu rzymskiego, zgromadzający go około Kapitolu w dniu 20 maja 1347 roku, a mimo błędów swych, na ostatecznym sądzie historyi będzie sobie miał wskazane miejsce po prawicy, w sądzie tym bowiem ludzie mniej zaznaczą własnemi osobistościami niż ideami, które za życia swego wyobrażali. Idea przemawiać, odpowiadać będzie za człowieka. Grzechy spadną na skarb grzesznej natury ludzkiej, duch będzie miał puklerz silny z tego, co chciał światu po sobie zostawić. Powodzenie, odpowiedniość działania, uzdolnienie się wewnętrzne,

zastosowanie środków do celu nie wejdą w rachubę. Wobec krytyki dziejowej nikt nie jest czystym; gdy zaczniemy roztrząsać czyny ludzkie i zestawiać je z ogólnemi warunkami, które człowiek działający znać, z któremi liczyć się był powinien, karty historyi zamienimy w salę sądową, a na ławie oskarżonych zasiądą najczystsze nawet geniusze czynu. Taka krytyka nie jest dla poety; ma on oddzielne swoje sądy, osobną swoją własną szalę uczucia i moralnych przeświadczeń, nie zaś rozsądku i zimnego rozumu stanu. Kiedy potępia lub błogosławi, czyni to w imię pewnych dążności, które już gotowemi w fakcie zastaje, a z któremi się solidaryzuje, bynajmniej ich nie narzucając. Nie może patrzeć na wypadki oczyma zimnego badacza, nie może, przyjąwszy metodę matematyczną, ustanawiać tylko summy czynów ujemnych i dodatnich, o jakie w danej chwili dziejowej wzmogła się rzeczywistość. Badaczowi chodzi o całość, o wyniki jakiemi się wzbogaciło lub zubożyło istnienie ogólne: poeta stara się odtworzyć życie samo, w przekonaniu, że to życie w sztuce objawi mu dość piękna etycznego i estetycznego, aby na wskrzeszenie zasługiwało. Poetę łączy z przedmiotem złota nić, jeśli nie bezpośredniego uznania i zapału, to uczuć moralnych z odbicia się przedmiotu o duszę twórcy powstałych. Bez tej złotej nici, która, jeśli nie jest miłością, musi być żałością i przekleństwem, natchnienie poety nie będzie nigdy istotnem, pełnem, dodatniem. Do takiego natchnienia trzeba kochać i wierzyć, nienawidzieć i potępiać, tak, jak to czynić musieli współcześni, a choćby tylko jeden z pomiędzy nich, uczucie i sumienie innych uosabiający. Poeta zespala się z dążeniami tych ludzi dawnych, z ich wiarą i miłością — lecz w zespoleniu tem bynajmniej osobistości swojej, wiedzy i przeświadczenia nie zatraca. Wystrzega się zarówno *objektywnego* jak i *tendencyjnego* obrobienia przedmiotu. Z osobistością swoją, z tem co jej treść najgłębszą stanowi, przenosi się w chwilę, którą ma odtworzyć, wchodzi między ludzi dawnych, wpatruje się w ich oblicza, czyta w oczach, z ust strąca milczenie, serca otwiera i umysły do wyjawienia drzemiących w nich tajników zniewala. Idealne wskrzeszenie zamarłej chwili dziejowej stanowi cel poety.

Wskrzeszenie takie nie ma być wszakże prostem tylko odfotografowaniem rzeczywistości; zjawisko poetyczne wyższem będzie od rzeczywistego: ukaże się w świetle myśli rozumnej, z samowiedzą konieczności, która ciążyła nad ludźmi dawnymi, jako nieuniknione a niepoznane przez nich fatum. Ta światłość, łamiąca się w pryzmacie czynów i namiętności — to tragiczność sztuki. W rzeczywistości ludzie szli na oślep, — poeta otworzy im oczy i w całą zbiorowość ludzką, w tę *sui generis* istotę moralną wleje poczucie odpowiedzialności. W rzeczywistości oblicza dziejowe ludzi dawnych przyprószone były pyłem drobiazgowości życia, — w poezyi zjawią się od pyłu tego wolne: źli i dobrzy staną przed oczyma poety, nie w koturnach, ale na piedestałach, jakie daje umarłym śmierć. W rzeczywistości osobistość każda rozerwaną była na tysiące stosunków; w poezyi zjawi sięześrodkowana w tych tylko, które poetę do tworzenia pobudziły: będzie więc w objawach swoich potężniejszą. I w tem właśnie wyższą jest sztuka nad naturę, że może tworzyć osobistości z jednej tylko myśli, a mimo to pełne, prawdziwe namiętne, ciepłem żywotnem tchnące. Cała fizyczność opada z postaci, które sztuka do królestwa swojego wprowadza; z natury zostaje tylko temperament. Na jego podstawie człowiek występuje jako pewna siła duchowa, jest tylko treścią rzeczywistego człowieka, ale treścią żywą. Dla tej treści sztuka tworzy własną formę z charakterów i wypadków, nieskończenie mniej skomplikowaną od formy wytworzonej niegdyś przez rzeczywistość, daleko jaśniejszą i czystszą — taką, jakiej właśnie potrzebuje, aby była piękną.

U szczytu poezyi stoi dramat historyczny, nietylko z powodu wielkich trudności, jakie talent w wytwarzaniu go napotyka, nie tylko z powodu powagi i uroku, jaki posiada zamierzchłe w c z o r a j, przeniesione w dzień dzisiejszy, nie tylko z powodu piękności, które, osnuwając się na postaciach prawdziwie istniejących, wyższą posiadają potęgę, ale jeszcze, i to nadewszystko — z powodu głębszego, bardziej dojmującego, skuteczniejszego niż w innych dziedzinach twórczych oddziaływania na etyczną istotę człowieka. Zaniedbanie, w jakiem zostaje dziś dramat historyczny u wszystkich narodów, przypisać można kierunkowi przedmiotowemu, przeważającemu w poglądach na przeszłość. Ludzkość dzisiejsza pozbywa się entuzyazmu, a nie

umie zawsze zachować należnego uznania dla ludzi dawniejszych. Coraz więcej zapozwów przed kratki sądowe, coraz mniej cichych rozmów, w którychby serce mogło i prawdę powiedzieć i włos siwy uszanować. Dziwnie jakoś odbiegają dzisiejsi ludzie od dawnych; nie rozumieją ich, nie chcą rozumieć. Sami upojeni szałem zewnętrznego porządkowania życia, nie znajdują słów przebaczenia dla szaleństw, dla jednostronnych porywów, jakim dawniejsze epoki ulegały. Cywilizacya materyalna wykopała między ludźmi, którzy byli, a ludźmi, którzy są, przepaść nie do przebycia. Na przedstawicieli dawniejszych pokoleń patrzymy jak na obcych: toż-to oni nie mieli ani naszych dróg żelaznych, ani wspaniałych, porządnych, wymiecionych miast, ani mieszkań dogodnych, ani olbrzymich machin, żywych i martwych, ani pracy naszej, ani naszych korzyści i bogactw: a że my na te rzeczy najwięcej dziś zwracamy uwagi, bierzemy je więc za normę do sądzenia czasów umarłych. Gdybyśmy za skalę porównania częściej obierali stan moralny dzisiejszych społeczeństw, wartość naszych zabiegów i ostatecznych celów życia, wartość naszych prac i uciech — różnica nie byłaby tak wielką, a związek z przeszłością silniejszy; poeci w Europie częściej zaglądaliby do kart historyi i wybierali z nich przedmioty do twórczego opracowania.

W literaturze europejskiej przygoda Rienziego posłużyła niejednokrotnie za osnowę do utworów dramatycznych lub powieściowych. Wagner napisał z niej wcale niezłe libretto do swojej opery, a Bulwer dał rzecz najlepszą, jaką o trybunie rzymskim znaleźć można. U nas pierwszy raz chyba pióro poetyckie dotyka tego, w tragiczność bogatego przedmiotu. Najwyżej stojący z poetów młodszego pokolenia, liryk, jakiegośmy dawno nie mieli, spróbował sił swoich na polu dramatu poważnego. Zabierając się do napisania tragedyi, mógł liczyć na to, że doskonała forma mowy wiązanej, którą zupełnie owładnął, wyda z siebie prozę prawdziwie poetyczną, nawet w najpowszedniejszych objawach myśli, zdradzającą zazwyczaj pióro wyrobione na utworach wierszowanych. Małych rozmiarów, ale niemałej wartości utwory zamieszczane w pismach warszawskich zapowiadały poważne pojęcie przedmiotu, szczęśliwe przeprowadzenie wypadku przez wszystkie wartkie prądy myśli, przez pięciowiekową pustynię czasu, kazały się spodziewać w utworze wielkiego, historycznego stylu, który przecież nie potrzebuje być wyłączną tylko właściwością malarstwa. Zamysłem swoim rzeczywiście stoi »Rienzi« na wysokości wielkiej chwili dziejowej, którą odtwarza. Działanie w nim toczy się poważnie; nie mamy tu wypadków samowolnie naginanych do przywidzenia poety; charaktery, nie co do plastycznej wyrazistości, ale co do historycznej prawdziwości swojej — nie ściągają na siebie żadnego zarzutu. Rienzi, uparty, samowolny, pyszny, nieufny i srogi — w takimsamym charakterze przedstawia się w dramacie. Inne osobistości, nie wszystkie historyczne, naokoło Rienziego grupują się w sposób odpowiadający istocie tego fatum, które ciężyło nad zuchwałem przedsięwzięciem trybuna rzymskiego. Czujemy jednak po przeczytaniu utworu Elego pewną niedoskonałość w zarysowaniu postaci głównej, czujemy brak silniejszego jednolitego wrażenia, jakiego się wymaga od utworów dramatycznych. Z przed sceny, na której się dramat idealnie odgrywa, wychodzimy jakgdyby z wysokiej pałacowej komnaty, której nie miał kto i dla kogo ogrzać. Dramat zostawia czytelnika zimnym i nie daje mu ani szekspirowskiego entuzyazmu człowieczeństwa, ani kalderońskiego zapału dla idei chrześcijańskiej. Sam język nawet, w jakim do nas ten już prawie mistrz słowa poetycznego przemawia, tchnie jakimś mrozem, trzeźwością niespodziewaną; styl, mało obrazowy, trzyma się na poziomie rzeczywistości, rzadko kiedy wyżej wzleci. Nic mu zarzucić nie można, w niejednem miejscu siłę i zwięzłość pochwalić w nim trzeba; ale w ogóle styl ten pozostaje daleko po za uroczą formą, w jaką umiał przyodziewać poeta myśli swoje w dotychczasowych utworach lirycznych.

Gdy, zastanawiając się nad słabemi stronami dramatu, szukaliśmy genetycznej ich przyczyny — znaleźliśmy ją w rozmyślnem skrępowaniu natchnienia. Poeta nie chciał czytelnika lub widza rozgrzać, przeciwnie, oziębił go i uczynił tem zadość dążeniu swemu, aby fatum złamało trybuna i nie pozostawiło po nim żalu iskierki. Owej złotej nici między opowieścią dramatu a duszą twórcy, nie dostrzegamy w utworze. El-y wytacza proces Rienziemu i współczesnym mu Rzymianom, aby, bez wyraźnej, w oczy rzucającej się ironii, wszystkich po-

społu potępić. Tendencya przemaga w dramacie nad uznaniem idei, która wywołała Rienziego na widownię świata i choć się to uznanie znajduje na kartach utworu, nie posiada wszakże tej doniosłości, prawdziwą tragiczność znamionującej, aby czytelnik przy ostatniej karcie zawołać musiał: »Czemuż ci ludzie lepszymi nie byli! Czemuż lepszego nie doznali losu!«

Rienzi w dramacie Elego jest bez wielkości. Mógł w życiu nie być i nie był czystym, ale sama idea podniesiona przezeń chroniła go od skazy małości; a skaza to dla dzieła sztuki dotkliwsza od zasadniczej złości charakterów. Człowiek zły może być bohaterem dramatu: przerazi, odstręczy, przejmie zgrozą i wzgardą, zrobi więc swoje. Człowiek mały, postawiony wobec ludzi, którzy wcale nad nim ani charakterem, ani rozumem, ani siłą woli nie górują, nie ma prawa do istnienia w sztuce. Nie powiemy, aby w tem znaczeniu Rienzi Elego był małym; pamiętając wszakże młodość przyjaciela Petrarki i wielbiciela starożytnej Romy, pamiętając pierwszą chwilę jego wystąpienia, nie możemy ukryć żalu, iż bohater dramatu Asnyka nie wychodzi z większą potęgą dramatyczności. Umysłowi uważnego czytelnika nastręczają się pytania: Dlaczego poeta nie przejął Trybuna silniej tą ideą, która niezgasłą jego światłość stanowić będzie? Dlaczego przez pierwsze cztery akta ukazuje go nam zimnym, ambitnym, nieszlachetnym, aby dopiero potem myśl jego rzucić na jasny szlak, jaki pozostawiła po sobie ta mara zjednoczonej Italii? Dlaczego obok sił złych nie przejawiają się w Rienzim siły dobre i jedne z drugiemi nie walczą? Dlaczego Rienzi po działaniu na oślep, nie ma nigdy chwil zastanowienia, nie usiłuje odzyskać utraconej równowagi, nie wie nawet, że ją utracił? Dlaczego nie umiera z godnością żalu przynajmniej, jeśli nie czynu?

Odpowiedzieć można na to, że Rienzi jest takim, jakim się w czynach podanych przez kroniki objawił. Ależ kroniki nie mogą wszystkiego o człowieku powiedzieć. Kroniki dają tylko zewnętrzne wyniki duchowego życia człowieka, samo zaś życie, to ciemne, niezgłębione ścieranie się różnych mocy charakteru, żądzy, temperamentu i uczucia — pozostawiają nietkniętem. Poeta będzie miał obszerne pole do działania, gdy tylko zechce poszukać pobudek czynów, zestąpić do ich źródła, odgadnąć tę

walkę, która je poprzedziła, gdy, biorąc osobistość w początkach taką, jaką mu pokazały kroniki, postanowi w dalszym rozwoju przeprowadzić ją przez wszystkie głębie i wyżyny ducha, przez wszystkie światła i cienie namiętności, przez jakie człowiek rzeczywisty, w indywidualności swej określony, niezawodnie przechodzić musiał. Prawdą dla sztuki nie jest tylko to, o czem istnieją niezbite świadectwa, ale i to, co się na ich podstawie jako możliwe i prawdopodobne przedstawia. Historya nie ma czasu na zajmowanie się wewnętrznemi dziejami indywidualności w niej występujących: z całości wydziela część i bierze przed oczy tylko człowieka publicznego. Poeta i artysta słowa takiej ścieśnionej osobistości nie zna, wprowadza człowieka całego; najwyższej zaś dosięga potęgi, jeśli istotę jego w jednej myśliześrodkuje, a mimo to nic mu z życia nie ujmie. Intuicya poetyczna uzupełnia czynność dziejopisarską; ona dopiero daje całokształt życia, które już ustało, życia w jego gorącej, skwarnej rzeczywistości. Sądzimy, że gdyby nie rozmyślne krępowanie twórczości, talent taki jak Asnyka umiałby zestąpić do ciemnych pieczar duszy Rienziego, nadać mu więcej wewnętrznego ruchu, więcej życia duchowego, więcej tej walki, bez której niema dramatyczności; umiałby uczynić swego bohatera sympatyczniejszym, a co najważniejsza, byłby go nam silniej, wspanialej, z pewną nieodstępną wielkością zarysował. Błąd, upadek odejmuje wielkość tylko wobec namiętności współczesnych. Miałyżby te namiętności dziś jeszcze nad twórczością poety panować?

Opowieść dramatu jest taką, jaką nam podała historya. Poeta zamknął ją w siedmioletnim przeciągu czasu od ogłoszenia trybunatu do śmierci Rienziego w r. 1354. Całą publiczną rolę trybuna znajdujemy przedstawioną w formach dramatu, jeśli nie w bezpośredniem działaniu, to w opowiadaniu innych osób. Rzecz dzieje się od początku do końca w Rzymie: kto więc chciał objąć cały zawód Rienziego, musiał uciec się do opowiadania, bo chcąc być w zgodzie z faktami, nie mógł nam trybuna we wszystkich główniejszych momentach przedstawić. Na takiej zewnętrznej budowie sztuki ucierpiała niewątpliwie całość i, choć dziś trudno być wyznawcą zasady jedności miejsca i czasu, trudno jest przecież niedostrzedz, że tam, gdzie przynajmniej jedność w czasie utrzymać można, dzieło przez to-

samo wiele już zyskuje na wartości. Szybko postępujące działanie ma wyższość nad stopniowo, zwolna rozwijającem się, czyn objawiający się samoistnie nad czynem opowiedzianym przez osoby trzecie. Żałujemy, że nam poeta nie ukazał trybuna w stosunkach z Klemensem VI, z Karolem IV; poświęciwszy już jedność czasu, mógł i jedność miejsca poświęcić: tak czynił Szekspir i częściej gwałcił prawidło klasyczne ze względu na miejsce niż na czas. Mówimy tylko o pojęciach przybliżonych; wiadomo bowiem, że starożytnej jedności nigdzie niema w sztuce nowszych czasów. Sądzimy, że zetknięcie się Rienziego, historycznie możliwe, a do pewnego stopnia nawet rzeczywiste, z dwiema najwyższemi podówczas potęgami, byłoby pozwoliło objawić się jego charakterowi w sposób nakazujący powagę dla tej, podwójnym fatalizmem zmiażdżonej, osobistości. — Nazwaliśmy wyżej wewnętrzną budowę dramatu, t. j. ugrupowanie charakterów i wypadków naokoło Rienziego, zgodnem z historyą, z historycznem fatum, o które się zamiary jego rozbiły. Fatum to przejawia się nawet tak silnie w układzie dramatu, że nadaje piętno małości całemu przedsięwzięciu i działaniu zbiorowemu, wszystkim myślom i czynom ludzi w dramacie występujących. Z wyjątkiem jednego tylko Locciola Rienzi nie ma sprzymierzeńca, pomocnika, towarzysza prac swoich, człowieka, coby ideę jego odczuwał i rozumiał. Lud, wyprowadzony przez autora na scenę, przy niedostatecznem ożywieniu niesprawiający wrażenia ogromu, jest pospolitą zbieraniną — motłoch nie lud; z ust jego nieraz wyrywa się słowo, jakgdyby wtłoczone mu w piersi z innego, nowoczesnego świata. Współdziałanie takiej zbiorowości, to istna ironia losu: małość na każdym kroku. Otoczenie Rienziego, z powyższym wyjątkiem, składa się z ludzi dobrych ze złą wolą lub, z ludzi silnych, ale z wolą nieprawą. Fatum mści się przez jedną osobistość na drugiej. Powiązanie tych przeznaczeń, uskutecznione z wielką logiką, przemawia za talentem autora. Paola, kobieta małoduszna, żywa antyteza rzymskich Wolumnii, Kornelii, Porcyi, za podjęcie idei historycznej przez Rienziego płaci mu niewiarą małżeńską; jej wspólnik Guido wpada, z innych przyczyn, pod topór Rienziego: staje się więc zadość prawu odwetu czyli sprawiedliwości. Zamordowanie Guidona, który umiera z godnością niepowszednią, choć

żył jaknajpowszedniej, sprowadza na Rienziego oburzenie ludu i ostateczną katastrofę: mordując zatem Guidona, trybun sam wyrok na siebie podpisywał. Taksamo, gdy wiarołomnie siostrę swą odbierał Ceccowi, a oddawał Colonnie, podwójny nóż na siebie ostrzył: najpierw miał być porażony śmiercią swej siostry, która od okrucieństwa magnata rzymskiego umarła, a potem miał sam dać krew swoją mścicielowi, który, zdradzając go w ostatniej godzinie, odpłacał mu się za to, czego od niego był doznał. W atmosferze dramatu nie czuć, choćby przez chwilę tylko, gorącego tchnienia idei Rienziego. Wszędzie ogromny zasób egoizmu, miłości niezmiernie mało; jedyną duszą wyższą, lecz niewiele w dramacie działającą, jest wspomniany już Locciolo. Zapominając krzywd srogich, przychodzi on w ostatniej chwili poświęcić się za Rienziego, i rzeczywiście, przebrany za trybuna, daje życie swoje motłochowi rzymskiemu w nocy 8-go października 1354 r., aby ocalić życie przyjaciela. Postać Locciola jest prawdziwie piękną i, gdyby ją wypełniała większa dramatyczność, musielibyśmy ją zaliczyć do najpiękniejszych wytworów artyzmu poetyckiego. Poświęcenie się jego jest nadaremnem: Rienzi pada pod sztyletem Cecca. Lud wobec trupa nabierze odwagi i zwłoki ubóstwianego trybuna powiesi na szubienicy. Tak zakończył karyerę swoją szaleniec XIV wieku. Czy umierał tak, jak przystało? Nie. Sama myśl ucieczki, stwierdzona historycznie, nic-by tu jeszcze nie stanowiła. Było obok niej miejsce na szlachetniejszy objaw uczucia niż ten, jaki spotykamy w ostatniej scenie aktu V. Tacy ludzie jak Rienzi, tacy waryaci, uważający się za posłanników niebieskich, umierają z okrzykiem Juliana Apostaty. Rienzi u Elego odkrywa motłochowi pierś swoją: nie jest więc tchórzem, ale nie jest też i człowiekiem wyższym, nie znać po nim, by razem z nim padała i jego idea, choć ją na ustach jego znajdujemy. Gdy się kolos wali, to, co jest przy nim, wstrząsnąć się musi.

Przy takich warunkach, tkwiących w samym zamiarze twórczym, a zatem nieujmujących nic talentowi, dzieło Asnyka posiada piękności, które pióro recenzenta ze szczerem zadowoleniem notuje. Wspaniałą jest ostatnia scena IV aktu, dająca objawić się najdramatyczniejszej postaci całego utworu, Paoli. Wydarte przez okrucieństwo Rienziego wyznanie miłości dla

Guidona, — wydarte i rzucone w oczy okrutnikowi — posiada donioslość tragiczną tak wielką, że mało scen równie potężnych, pamięć nam dziś na myśl przywodzi. Pięknie przemawia Locciolo i wtedy, gdy prosi o łaskę dla Guidona, i wtedy gdy przychodzi niewdzięcznika ocalać. Może się mylimy, ale dwie postacie, Paoli i Locciola, uważamy za najlepsze, najsilniej żyjące w dramacie. Pierwsza zaraz scena daje poznać w poecie myśliciela; niejednej myśli tam wygłoszonej przywtórzyć potrzeba, niejedną obawę i troskę podzielić. Scena II aktu IV pokazuje prawy charakter Guidona, bezczynnością tylko, brakiem woli czynnej przyćmiony. Guido przez śmierć odzyskuje wszystko to, co za życia musiał w oczach widza z wewnętrznej wartości swej utracić. Zimny nastrój języka, trzymanie go rozmyślnie na poziomach, nie zacierają prawdziwych, od działalności poetyckiej Asnyka nieodłącznych zalet: nadzwyczajna czystość i powaga, poprawność i prostota znamionują te formy wysłowienia, jakiemi poeta obdzielił myśli swoje i ludzi.

X.

KILKA SŁÓW Z POWODU ARTYKUŁU W ATENEUM: »ROMANTYZM I JEGO SKUTKI«.

(1876).

»Ateneum« w (1876) zeszycie kwietniowym przyniosło nam znowu niespodziankę: artykuł p. F. K.*) *Romantyzm i jego skutki*. Widocznie za mało jeszcze było nowego zapatrywania się na poezyę i życie nasze w pracy p. *Spasowicza o Syrokomli*, — pracy rozpoczętej w pierwszym, przerwanej w drugim, a dokończonej w trzecim zeszycie Ateneum. Trzeba było jeszcze jak maczugą powalić ów nieszczęsny romantyzm, a z nim i samą poezyę. A więc wiedza jako potęga, rozmachawszy się, ugodziła w uczucie jako niemoc i śmierć. Innej przewodniej myśli, innej pobudki do napisania artykułu *Romantyzm i jego skutki* nie było i, wnosząc z tonu, w jakim trzymany jest artykuł, być nie mogło. Jest to dalszy ciąg *Obrony zdrowego rozsądku* przeciwko niedorzecznościom takim jak rozum (wynaleziony przez filozofów), jak duch, jak uczucie — wszystko przywidzenia senne mózgu ludzkiego, rozgorączkowanego w epoce bohaterskiej czy teologicznej (*Vico* i *Comte*), w idącej po niej metafizycznej, a odzyskującego dopiero trzeźwość swą w dzisiejszej, pozytywnej. Wszak to jasne, że Ludzkość przecierać oczy zaczęła dopiero od zjawienia się Comte'a i jego wyznawców, do liczby których przecież i p. F. K. należy (ob. »Bibl. Warsz.« z r. 1864, 1868). Pozytywizm-to dopiero otworzył ludziom oczy na wszyst-

*) Pod tym kryptonymem, współcześnie znanym dobrze powszechności czytającej, przynajmniej w Warszawie, ukrywał się X. Franciszek Salezy Krupiński, ostatni z ostatniego pokolenia Pijarów na Ziemiach Polskich pod panowaniem rosyjskiem; † 1898 (1910).

kie starodawne, wiekowe błędy, a więc i na romantyzm. Pozytywizm ten, niemiłosiernie tępy, zaciska pięści na wszystko, co nie wydaje z siebie bezpośredniego materyalnego pożytku, co nie występuje w formie instytucyi, machiny, fabryki, bogactwa przysporzonego społeczeństwu. Rzekomo: użyteczność sama jedna ma tylko prawo do wytwarzania ideałów w życiu, w sztuce. Czy i w nauce? Czy zdał sobie kiedy sprawę ten ciasny, tępy pozytywizm: czem byłaby nauka, gdyby nad nią zapanowało to fatum użyteczności i zdrowego rozsądku? Czyby się ktokolwiek dla nauki poświęcał? Coby się z nią stało, gdyby nie było *nauki dla nauki*, tak jak jest sztuka dla sztuki, jak jest i mimo całego rozsierdzenia się p. F. K. *będzie* po wszystkie wieki? A jeżeli użyteczność dla samej już nauki jarzmem-by być musiała, jakiem prawem narzucać ją można poezyi, która musi być bardziej jeszcze niż nauka niepodległą, aby *poezyą* być mogła?

Użyteczność jako idea twórcza dorobku duchowego i materyalnego ma bezwątpienia wartość dla społeczeństw, zwłaszcza dla społeczeństw ubogich, których my daleko od siebie szukać nie potrzebujemy. Ale potrzeba ideę tę należycie pojmować i nie nadawać jej charakteru mechanicznego, nie przejmować jej rachunkowością kupiecką. Użyteczność właściwie pojęta da się wprowadzić nawet do sztuki działającej tylko dla sztuki; przez użyteczność właściwie pojętą sztuka dla sztuki staje się *sztuką dla ludzi*. Lecz, aby dobrze pojmować, potrzeba patrzeć i widzieć — a tu pozytywizm zamyka sobie oczy na wszystko, co mu do jego ciasnej formułki nie przypada!

Jak pod wszelkiemi innemi względami tak i na polu estetyki i krytyki w pozytywizmie więcej widzimy zacieśnienia umysłowego niż jakichś nieprawych dążności. Owszem, dążności w ogóle są dobre: kocha się społeczeństwo, gdy się chce dla niego pożytku, ale — można i źle kochać. Otóż, jeśli ma grzechy swoje w tej mierze idealizm, nie braknie ich zapewne i pozytywizmowi.

Ale jest idea, która obu zwaśnionych pogodzić winna. Na podstawie przywiązania do społeczeństwa, kiedyś, znużywszy się walką, pozytywizm poda dłoń przyjazną idealizmowi i przestanie go szarpać za zbytnią rozprężliwość, gdyż sam wtedy

pozna zbytnią znowu ciasnotę swoją. Ta ciasnota stanowi główne panujące znamię pozytywizmu, naszego przynajmniej, w naszych ogniskach umysłowych występującego.

Ciasnotą też głównie w poglądach estetycznych i historyczno-literackich grzeszy wypracowanie p. F. K. w Ateneum. Pan F. K. nie rozumie ani poezyi, jako osobnego działu funkcyonowania i objawiania się ducha ludzkiego, ani epoki, w której nastał romantyzm, nie rozumie jej ani u nas, ani w Europie, nie rozumie, dalej, romantyzmu i jego żywiołów składowych, nie rozumie ani jednostek twórczych, ani powszechności, która od nich romantyczne wrażenia odbierała — nie rozumie tego ducha dziejowego, który w Europie całej pierwszym był romantyzmu twórcą. Zdaje mu się, że romantyzm powstał: z zamiłowania *Faustrechtu* średniowiecznego, ze zwrotu serc do wybryków feodalnych i allodyalnych (boć u nas feodalizmu nie było), z mistycyzmu, przeciwko któremu właśnie pozytywizm ma oddziaływać, z rozstroju duchowego, który przez pozytywizm tylko, — gdyż on tylko umiał wyrugować z człowieka i jego umysłowości zakłócającą wszystko ideę nieskończoności i bezwzględności — naprawionym być może. Pan F. K. w wypracowaniu swojem ujawnia taką nieznajomość dziejów naszej literatury w epoce Mickiewicza, że jeśli prawdziwem jest jego określenie, iż mistycyzm znaczy niewiadomość, to artykuł *Romantyzm i jego skutki* może sobie rościć zupełne prawo do nazwy artykułu mistycznego.

Autor lekceważy poezyę gminną, pomiata nią nawet. Mickiewicza ściga dziwną nienawiścią i stara się w przytoczeniach z niego wykazać całą zgubność, cały nierozum rozkrzewianych przez niego zasad. Gdy nie może lub nie chce potępić, ośmiesza. Nie przytacza ustępów, które muza romantyczna na szczytach ducha wyśpiewała, ale za to przytacza drobnostki, facecye dobrego humoru, jakie każdy poeta, nie dla powszechności, nie dla potomnych, ale dla siebie, dla otoczenia swego, dla życia dwudziestoczterogodzinnego wytwarzać musi, a od których, mu jako człowiekowi, trudno się uchronić. I te facecye służą p. F. K. za dowody pomiędzy innemi oskarżające romantyzm!

Pan F. K. powołuje się na rozprawę Brodzińskiego »*O klasyczności i romantyczności*« — i wyciąga z niej definicyę ro-

mantyzmu. Rozprawa jest »wodnista i rozwlekła« i z tej-to wodnistej i rozwlekłej rozprawy p. F. K. wyprowadza dane do określenia romantyzmu. Zsumowawszy je, wydobywa z pod pióra okrzyk — pozytywizm nie lubi okrzyków z piersi — okrzyk: »Niechże tu kto odgadnie co jest romantyczność!« (str. 111). Po tym okrzyku zdawałoby się, że p. F. K. zbuduje coś nowego, lepszego; tymczasem dalszy ciąg jego pracy przekonywa, iż pisząc w 60 blizko lat po Brodzińskim, przy jego pojęciach pozostać musiał i sam nawet wyraźnie na nich się opiera (str. 113).

Miejscami wypracowanie ma taki tok, jakgdyby autor bronić chciał klasycyzmu przeciwko romantyzmowi, jakgdyby pierwszemu kosztem drugiego, nieprawnie wzbogaconego w sławę, chciał sprawiedliwość wymierzyć. Lecz obrona taka jest tylko przygodną: łaskawość dla klasyków stanowi jedynie narzędzie do poniżenia romantyzmu. W gruncie rzeczy panu F. K. wszystko jedno, czy romantyzm, czy klasycyzm — jedno i drugie nic nie warte, jedno i drugie należy do poezyi — a czasy poezyi już minęły. Taka jest myśl utajona artykułu. P. F. K. widzi to i przyznaje, że poezya musi mieć w sobie uczucie, a nie może w wielu przypadkach obejść się bez mistycyzmu (str. 121, 123). Miałżeby tedy pozytywizm przykładać rękę do rozpowszechniania mistycyzmu, który jest głównym jego wrogiem? Nie: poezya pod rządami pozytywizmu może być tylko tolerowaną.

Wskutek nieznajomości materyału dziejowego praca w Ateneum żadnej nie posiada wartości krytycznej: ma tylko wartość przyczynka do historyi rozwoju naszego społeczeństwa. W tem ścieraniu się zasadniczych pojęć o życiu i człowieku, nietylko na naszym zakątku ziemi, ale i na całym obszarze świata cywilizowanego, w tej walce inteligencyi, której dziś świadkami jesteśmy, p. F. K. wystąpił jako szermierz nowych idei, jako torownik nowych dróg. Ze stanowiska też tej walki tylko słowa powyższe skreślono.

Kiedy się artykuł p. F. K. odczyta, z piersi wydobywa się mimowoli westchnienie: »Nie daj Boże, aby u nas więcej takich filozofii literatury polskiej pisano!«

XI.

NAJNOWSZY PSAŁTERZ POLSKI

(1878).

(*Psałterz Dawidowy*, przełożony wierszem polskim przez Kazimierza Bujnickiego. — Toruń, nakładem własnym, w komisie księgarni Nowej w Toruniu, 1878. XXIV i 303 str., 8-o min.

Sędziwy autor obrazów obyczajowych z nad Dźwiny, zasłużony wydawca *Rubona*, bystry spostrzegacz i niepośledni, choć małotwórczy, powieściopisarz, Kazimierz Bujnicki, przypomniał się świeżo światu — który imię jego niepamięcią już był okrył i dwukrotnie go nawet za umarłego obwieścił — przyswojeniem językowi naszemu i wydaniem księgi od dwudziestu wieków przekazywanej z pokolenia w pokolenie jako drogie dziedzictwo. Wraz z religią wzięło ją było chrześcijaństwo z tej ziemi, »gdzie nad prorokiem schło drzewo figowe« — wzięło ją i z czcią wielką pomiędzy swoje księgi święte włączyło.

Ta świętość w porządku religijnym jest zarazem i pięknością w porządku świeckim. *Psalmy Dawida* należą do rzędu najpiękniejszych utworów ducha ludzkiego, i choćby na nich religia piętna swego nie była wycisnęła, samo już tylko poczucie piękna, nieumierające w Ludzkości, zapewniłoby im trwałość na długie wieki. Wzbierające ustawicznie potoki rozumu, wiedzy i krytyki nie zmogą sławy tego arcydzieła poezyi wszech wieków, jak nie wzruszą samej poezyi z wiekuistych jej posad. Prawo piękności jest wszechwładnem: może się świat w tym

lub owym kierunku rozwijać; mogą umysły ku dołowi zamiast ku górze ciążyć — piękno nie przestanie być pięknem, chociażby dla szczupłej tylko garstki widzialnem. Spokojnym być można o przyszłe prawa poezyi i sztuki, i ze spokojem też idzie pod sąd przyszłych pokoleń te półtorasta pieśni, w pośród których ilościowo i jakościowo pierwsze miejsce trzymają utwory Dawida, skąd też i nazwa całego zbioru pochodzi. Istotny założyciel monarchii u Izraelitów, największy z ich królów, jest zarazem i największym z ich poetów. Ezechiel tylko, Izajasz i Jeremiasz stanąć obok niego mogą.

Psalterz tedy nazywa się »Dawidowym«. Ale już św. Hieronim nie uważał Dawida za jedynego ich twórcę, a późniejsze gruntowne badania, w nowszych zwłaszcza wiekach, dowodnie przekonały, że Psalmy, nazwane tak od greckiego »śpiewu lub pienia« wytworzyli w różnych czasach różni ludzie i w różnym nastroju ducha — na jednej wszakże i tejsamej idealnej podniosłości, która wszystkim tym utworom, w warunkach niejedności sił i czasu powstałym, nadaje przecież jeden wspólny a stały charakter rzadkiej szczerości a miejscami i szczytności.

Tłómacz daje o psalmach objaśnienie w osobnej przedmowie. Najdawniejszym twórcą psalmów ma być Mojżesz. Jemu przypisywany jest psalm według układu kościoła katolickiego LXXXIX; ale skądinąd wiemy o powątpiewaniach co do tego autorstwa Mojżesza. W przeszłym jeszcze wieku Karpiński ośmielił się psalm ten, nazywany »Modlitwą Mojżeszową«, przypisać raczej jednemu z potomków wielkiego prawodawcy Żydów niż jemu samemu.

Głównym twórcą psalmów jest król Dawid, którego imieniem oryginał oznacza 71 pieśni, czyli całą księgę I-ą według podziału hebrajskiego; nadto 11 przyznaje mu przekład grecki, alexandryjski, a prócz tego, wiele pieśni, niedających się nikomu wyraźnie przyznać, cechę Dawidową na sobie nosi. Dwa psalmy uchodzą za utwory Salomona. Dwanaście napisał albo sam Azaf, kierujący muzyką i śpiewem na dworze królewskim, albo też jego potomkowie. Tyleż idzie na rachunek synów Korego, częstokroć wspominanych w *Psalterzu*; obracali się oni w tejsamej sferze co i Azaf i byli muzykami na dworze Dawida, który sam, jak wiadomo, bardzo uzdolniony do muzyki, grą na

arfie serce Saulowe uśmierzał i podbijał, dopóki nie podbił i jego państwa. Pan Bujnicki nie pozwala ich wszakże, podobnie jak i Hemana i Etana, uważać za rzeczywistych twórców. Wulgata przypisuje psalm CXXXVI Jeremiaszowi, a CXI, CXLV i CXLVI Aggeuszowi i Zacharyaszowi. Piętnaście psalmów z napisami w oryginale »Pieśń stopniów«, śpiewali Izraelici powracający z niewoli babilońskiej, jak o tem wspomina i tłómacz; nazwa ich właściwie oznacza »Pieśni pielgrzymie«, a czas powstania ich nie jest ściśle oznaczony. Wogóle krytyka specyalna, której znakomity przedstawiciel tegoczesny, Tahlhofer, służył tłumaczowi za przewodnika, bardzo jeszcze wiele potu z czoła obetrze, zanim niezawodnie i indywidualnie oznaczy autorów i należące do nich utwory — i wielkie jeszcze pytanie: azali kiedykolwiek tego dokaże?

Wewnętrznie, ze względu na osnowę, psalmy podzielić-by można na religijne i polityczno-historyczne; tych drugich jest niewiele. Religijne dzielą się według nastroju ducha na: Dziękczynne i wychwalające, Błagalne, Nauczające i Żałośliwe. Grupa żałośliwych, ubolewających lub uskarżających się, jest najliczniejszą, bo stanowi jedną trzecią część *Psałterza*; mieszczą się w niej sławne Psalmy Pokutne. Kościół chrześcijański wyróżnił z całego zbioru, w pierwszej jeszcze dobie swego istnienia, psalmy Messyaniczne, czyli królewskie, albo prorocze, do spojenia Starego Zakonu z Nowym przeznaczone, psalmy Dogmatyczne i Moralne. Są nadto jeszcze psalmy Syońskie, odnoszące się do Syonu i świątyni.

Pierwszy zebrać miał psalmy Ezdra, nowy Mojżesz Żydów po dniach niewoli babilońskiej. Ale zbiór Ezdraszów nie mógł być jeszcze zupełnym, bo za niego i po nim jeszcze pisano psalmy: one same treścią swą o tem świadczą. Kodyfikacya nastąpiła dopiero w epoce Machabeuszów. Po licznych przekładach greckich i łacińskich w XVI w. Kościół ustalił tekst, porządek i układ ostateczny. U nas, dla wyznania katolickiego, tekstem autentycznym Pisma św. według Wulgaty Piusa V-go, po Soborze Trydenckim zredagowanej, jest przekład Wujka; dla protestantów zaś ostatecznie Biblia Gdańska z roku 1632, wydana już w dniach upadku protestantyzmu. W obu zatem przekładach wiarogodnego tekstu psalmów szukać należy, jeden

drugim wspierając w miejscach wątpliwych. Przekłady te nie zawsze zgadzają się między sobą — a niekiedy nawet mocno od siebie odskakują. Tłómacz starający się o dokładność źle uczyni, jeśli, na gruncie szczelnie wyznaniowym stojąc, na jedynym tylko tekście, bądź łacińskim, bądź greckim lub hebrajskim, i jednym tylko pomocniczym, polskim, poprzestanie.

Ponieważ wypadnie tutaj nieraz wymieniać pojedyncze psalmy według ich liczb porządkowych winniśmy przeto objaśnić, że liczbowanie w hebrajskim, w katolickim i w protestanckim Psałterzu nie jest jednakowe. Z Karpińskiego wiemy, że u Izraelitów psalmy katolickie IX i CXIII rozpadają się każdy na dwa; ale za to znowu CXIV i CXV, oraz CXLVI i CXLVII stanowią dwie tylko osobne pieśni, tak, iż ostatecznie liczba 150 i tu i tam jest jednakowa[1]. Zbliża się do hebrajskiego układ protestancki; nie ma tylko jego podziału na 5 ksiąg. Różnica w stosunku do układu katolickiego poczyna się wraz z psalmem IX i ciągnie się już przez cały zbiór; psalm np. XXXII protestancki jest psalmem XXXI katol.; dopiero trzy ostatnie psalmy zupełnie już sobie odpowiadają w obu tekstach.

Historya literatury naszej z czcią wymawia nazwę Psalmów Dawida. Nabyte przed półwiekiem do księgozbioru w Medyce rękopismo zawiera przekład psalmu L (kat.). Pierwszy p. Maciejowski naznaczył mu zrazu, i w *Piśmiennictwie* swojem zapisał jako datę powstania rok 1290; według niego zatem przed sześciu już wiekami przekładano u nas *Psałterz*. Choćbyśmy nawet dla egzemplarza przechowywanego w bibliotece medyckiej przyjęli datę nieco późniejszą, t. j. taką, jaką przyjmuje p. Maciejowski dla egzemplarza, który posiadał niegdyś Konstanty Swidziński, mianowicie środek wieku XIV, to i tak jeszcze wielką otrzymalibyśmy dawność*).

[1]) W tej liczbie są i psalmy dosłownie się powtarzające, np. 14—53 (Koch.).

*) Domniemanie Maciejowskiego runęło ostatecznie od krytyki gruntownej ś. p. Nehringa († 1909) w »Altpolnische Sprachdenkmäler« (Berlin 1887), str. 97, 100. Nehring stwierdza z pewnością niezawodną, że nie rękopis Swidzińskiego w Bibl. Jag. nr. 4145 jest kopią, ale wprost przeciwnie, rękopis w Medyce, i to kopią całkiem nowoczesną, a na nim właśnie oparł się był M. Datę prawdopodobną tego polskiego, bynajmniej nie czeskiego, jak chcieli niektórzy, pomnika badacz wrocławski kładzie na zbiegu w. XIV z XV: więc o całe dwa wieki później, przyczem pamiętać potrzeba, że sam język tekstu mógł być o kilkadziesiąt lat wcześniejszym od karty; może być również, że pergamin zdjęty przez Swidzińskiego z okładki był częścią jakiej zaginionej całości. (1910).

Psałterz Małgorzaty albo *Floryański*, według objaśnienia swego wydawcy, Stanisława Borkowskiego, dla królowej Małgorzaty, żony Ludwika I, w roku 1338 spisany, nosi na sobie ślady dwóch a nawet trzech prac odrębnych i pozwala się domyślać istnienia tyluż mniej więcej całkowitych przekładów*).

Po tym zbiorze w następstwie czasu przeszłość przekazała nam *Psałterz królowej Jadwigi*. Wiszniewski, z uwagi na panujący w nim język, odniósł go do czasów królowej Zofii, czwartej żony Jagiełły (I, 395). Miał go niegdyś u siebie Czacki; Lelewel dwa z niego psalmy (I i II) dał Rakowieckiemu, który je w swej *Prawdzie Ruskiej* (II, 212) w zestawieniu z przekładem, o półtora, a najmniej o cały wiek późniejszym, Wróbla, wydrukował. Nikt tego psałterza dotychczas należycie nie opisał; nikt też o wydaniu rękopisma, znajdującego się dziś w Bibliotece Paryzkiej, nie pomyślał**).

*) W r. 1878 wydania Borkowskiego do rąk dostać nie mogłem, i poszedłem za Maciejowskim I 280—9. Był to błąd tem cięższy, że już wówczas istniało w druku bezpośrednie źródło wiadomości dobrej: Nehringa »Iter florianense...« (Poznań 1871). Przy oznaczaniu wieku rękopisu nie można było wątpić o tem, że psałterz pochodzi z drugiej połowy XIV st., z lat bliższych ostatniego ćwierćwiecza, i temsamem nie może być własnością Małgorzaty; mógł on należeć tylko do Maryi, córki Ludwika, tej samej, dla której pierwotnie przeznaczano tron polski. Nehring poznał i przejrzał wszystkie trzy teksty: łaciński, polski (głównie) i niemiecki i nad polskim poczynił spostrzeżenia dla historyka literatury, a więcej jeszcze dla językoznawcy ważne. W r. 1883 wydał w Poznaniu sam pomnik p. t. »*Psalterii florianensis partem polonicam ad fidem codicis recensuit...*«, z przedmową, komentarzem i słowniczkiem. Nierozstrzygniętą dotychczas jest sprawa tekstu polskiego i pochodzenia jego z dawniejszych jakichś zbiorów; w rękopisie pomieszane są formy starsze z nowszemi (»Altp. Sprachd.« 200—8; tu również piszący o tym psałterzu już po wydaniu Borkowskiego). (1910).

**) Psałterz wyszedł w Poznaniu 1880 r.; nazywany także puławskim, paryzkim, Czartoryskich, obecnie jest w Krakowie, w Muzeum im. książąt. Wydał go kosztem swym ostatni z Działyńskich jako nakład kórnicki. Nehring już w »Iter« uznał go za jednobrzmiący w wyrazach nowszych

Z kolei idzie przekład Biblii Szarosz-patackiej, albo »Królowej Zofii«, którą kształt językowy, w jakim do nas doszła, XV wiekowi przyznać nakazuje, chociaż i starsze w niej również postaci pozwalały uważać ją za *Biblię królowej Jadwigi*, i taką ona być może. Wydał ją w r. 1871 Malecki we Lwowie.

W roku 1532 przekład Psałterza pierwszy raz zjawia się już w druku w Krakowie (u Wietora). Odtąd wydania mnożą się z każdym niemal rokiem. Jocher (*Obraz bibliograficzny* II 21—24) potrzebuje 32 numerów dla wyliczenia wszystkich wydań Psałterza. Wydawano u nas psalmy pojedynczo lub w całych zbiorach; wychodziły psałterze hebrajskie, słowiańskie, nawet węgierskie. Rey podług świadectwa Trzecieskiego zostawił *Psałterz*, dziś zaginiony*). *Zołtarz Wróbla* (1539) był długi

z floryańskim, i takim też on jest, tylko przejrzany, unowocześniony, a więc od niego późniejszy. Język w nim pochyla się już mocno ku w. XVI. Oba według słusznego spostrzeżenia Nehringa są odpisami (obejmującemi i odmiany) jakiegoś wspólnego dawniejszego tekstu. (»Altp. Sprachd.« 283). Wolno nawet domniemywać się niejednego takiego tekstu, w XIV już wieku powstałego. (1910).

*) Psałterza Reya Załuski przez całe swe długie życie nie widział. Za rzeczywistem jednak istnieniem zbioru przemawiają świadectwa Trzecieskiego i pośrednio Turnowskiego, seniora protestantów wielkopolskich a wydawcy psałterza M. Rybińskiego. Do naszych czasów nie dochowała się księga wywołująca spór w żadnym zabytku drukarskim, któryby nosił na sobie lub wskazywał, choćby tylko domyślnie, imię Reya jako tłómacza. Tytuł z notat Sobolewskiego (Jocher II 22), bardzo rozwlekły, natrętnie wyłuszczający pożytki z układu księgi dla jej nabywcy i czytelnika, w skróceniu brzmi: »Psałterz Dawidow, który iest prawy fundament wszytkiego pisma krześcijańskiego...« Księga obejmuje 221 arkuszy 8°. Sobolewski miał niewątpliwie okaz przed oczyma, ale nie mówi gdzie wyszła, kiedy i z której drukarni, ta już w XVII w. wielka rzadkość — nie mówi, bo i karty tytułowej nie widzi a w egzemplarzu braknie i ostatnich tekstowych. Zoryentowanie się bibliograficzne łatwem nie było, jeśli miało dać oznaczenie pewne. Nawet dedykacya »Królowi Zygmuntowi« nie spełniała należycie posługi rozpoznawczej. W braku materyalnych dowodów zewnętrznych w historyach literatury mieszano psałterz jako całość zbioru (pisanego prozą w długich wersetach, raczej omawiających niż tłómaczących tekst łaciński, jak to widać było już z dwu psalmów ogłoszonych przez Jochera) z psalmami najprawdopodobniej, a nawet co do kilku zupełnie pewnie, rejowskiemi, pisanemi wierszem, które pojedynczo po r. 1550 wydawał Łazarz. Wątpliwości nie ustawały, choć był realny

czas jedną z najpopularniejszych u nas książek i ma bardzo wiele wydań. W r. 1594 wydał swój *Psałterz* Wujek. Po licznych już przekładach samych Psalmów zjawiły się biblie: Leopolity (1561), Brzeska (1563), później Budnego (1570), Wujka (1599), Gdańska (1632), a w nich i nowe tłómaczenia Psalmów.

Liczne przekłady prozą współzawodniczyły już z sobą, gdy w roku 1558 zjawił się u Wierzbięty, wspaniale wydany, nutami i objaśnieniami opatrzony, przekład Jakóba Lubelczyka, protestanta, naczelnikowi protestantów wielkopolskich Łukaszowi Górce, niefortunnemu mężowi Halszki z Ostroga, ofiarowany. Tu już spotykamy się z wierszem rymowanym: jest to pierwsza próba przyoblеczenia myśli poetycznych w formę artystyczną. Poznane z tego przekładu wyjątki pozwalają nam uznać go za coś więcej aniżeli za prosty tylko zabytek przeszłości.

We dwadzieścia lat po Lubelczyku wystąpił Jan Kochanowski z drugim polskim przekładem *Psałterza* wierszowanym[2]).

nawet okaz, a może i dwa, bo nikt do zabytku z wolą stwierdzenia autorstwa rejowskiego nie dotarł, nikt samego zabytku porządnie nie opisał. Dziwić się też nie można, że ani świadectwo Trzecieskiego, ani domniemania późniejsze nie wystarczyły Lelewelowi (»Ks. Bibl. dwoje« I 114) do uwierzenia w rzeczywiste istnienie psałterza jako rejowskiego. Zapewnienie jednak serdecznego przyjaciela stało i zdmuchnąć się niewiarą potomności nie dawało. Ciemność pierzchnęła dopiero wtedy, kiedy zasłużony wielce około Reya, wydawca wzorowy »Wizerunku«, Stan. Ptaszycki dokonał wydania w »Pomnikach piśmiennictwa polskiego«, ogłoszonych przez J. Zakrzewskiego (Petersburg 1901). Od r. 1905, gdy na jubileusz 400-letni narodzin prof. Brückner wydał swe studyum krytyczne »Mikołaj Rej«, nikt już nie wątpi, że psałterz sporny należy do Reya jako tłómacza, a raczej autora wersetów. Profesor berliński uważa je za najpierwszą, najwcześniejszą prozę rejowską i mówi o nich z zachwytem (str. 55, 49). (1910).

[2]) Bentkowski wymienia wydanie z r. 1578, ale go nie opisuje. Jocher o istnieniu jego wątpi. Opis egzemplarza (bez tytułu, drukiem jakoby Łazarza) przez Przyborowskiego w jego szacownej »Wiadomości o życiu i pismach J. Kochanowskiego« (Poznań 1857), a bardziej jego wykaz bibliograficzny w pracy Przyłęckiego o Kochanowskim w wyd. Turowskiego rozstrzyga sprawę twierdząco. Psałterz Przyłęckiego ściśle oznaczony z tytułu liczbą stronic i drukarni (numer kolejny 3, T. II, str. 211. niewątpliwie był i jest. Przyjmowanie r. 1583 jako daty najwcześniejszej nie odpowiada prawdzie. — [Por. Estr. XV (1910)].

Była to pierwsza jego praca drukiem ogłoszona; ofiarował ją przyjacielowi swemu Piotrowi Myszkowskiemu, świeżo biskupem krakowskim mianowanemu. Psalterz ten w ciągu 63 lat od chwili pierwszego druku dwudziestu wydań się doczekał. Któż nie zna tej księgi czcigodnej? Kto nie podziwiał jędrności i uczuciowości tej mowy, wiązanej w rymy niekiedy śmiałością uderzające, wszelako częściej jeszcze, coprawda, zbyt już dla nas pierwotne, proste, że tak powiemy, naiwne — zbyt często powtarzające się? Pomimo tych rymów jednak Kochanowski zdumiewa w psalmach zarówno łatwością wierszowania jak i tym nastrojem namaszczonej powagi, w którym stale trwać umie, jakkolwiek nieraz, i to znacznie, od tekstu odbiega. Praca jego przy ogromie swoim ma tak wielkie zalety, że po trzech wiekach jeszcze dziś słusznie za znakomitą jest uważana i nigdy chyba wdzięku swego nie utraci. Są w przekładach Kochanowskiego miejsca wspaniałe; ale w całości panuje pewna nierówność. Przekład trzech z pomiędzy Psalmów Pokutnych, oraz kilkunastu z pozostałych jest rzeczywiście mistrzowskim — i nieprędko pewno literatura nasza podobne arcydzieła posiądzie.

Mijamy Sępa Szarzyńskiego, który sześć psalmów, między innemi CXXXIX, parafrazował. W kilkanaście lat po Kochanowskim na zejściu się wieku XVI z XVII, wyszedł nowy przekład całkowity, wierszem dokonany przez Macieja Rybińskiego. Wiszniewski (*Hist. Lit. Pols.* VI, 523 i 4) mówi o pierwszem wydaniu z przed roku 1598; rok ten jest już datą nowego wydania, *znowu przeyrzanego y wydrukowanego*. Rybiński, podobnie jak Lubelczyk, był protestantem i pracę swą, według współczesnego opracowania francuskiego uskutecznioną, dla protestantów przeznaczył. Przekład jego miał wielką wziętość i skutkiem odmiennych a bardziej sprzyjających warunków nabożeństwa w kościele protestanckim, większego nawet stosunkowo niż *Psałterz* Kochanowskiego dostąpił rozpowszechnienia. Wiszniewski wymienia w ciągu lat 36 aż 13 wydań; do tych trzynastu dodać jeszcze należy najpierwsze, którego nie znał. Mówi on o Rybińskim, że »wiele psalmów bardzo pięknie przełożył, i Kochanowskiego w czystości języka naśladując, na wielu miejscach i w poezyi mu dorównał«. Chłodny, trzeźwy, mniej od Wiszniewskiego tkliwy na piękno, pan Maciejowski dalej się jeszcze posuwa i przekład Rybińskiego nazywa »*cudnie pięknym*« (*Piś. Pols.* III, 352).

Pojmujemy historyczny entuzyazm badacza, który odkrywszy rzecz nową, nieznaną sobie, a istotnie dobrą, skalę uznania swego rozszerza zaraz w nieskończoność i nie ma już słów na oddanie radości, jakiej z odkrycia swego doznał. Z tego stanowiska uważamy za wytłómaczone owo nazwanie przekładu Rybińskiego *cudnie pięknym*, i sami w przeszłość miłością zwróceni, w pierwszej chwili gotowiśmy już byli na zdanie uczonego badacza się zapisać; później jednak bliższe wniknięcie w całość nie pozwoliło nam, pomimo wybitnej wartości Psałterza Rybińskiego, uznać go za wyższy od Psałterza Kochanowskiego, którego przecież ani sam pan Maciejowski cudnie pięknym nie nazywa, ani nikt z dzisiejszych krytyków, w całości, jak jest, arcydziełem nie nazwie. Bo też nielatwa to rzecz stworzyć arcydzieło nawskróś z takiej księgi, jaką są Psalmy: dać przekład zarazem wierny i piękny; uniknąć powtarzania się form tam, gdzie jest tak wiele powtarzania się myśli w oryginale; znaleźć zawsze dla porównań nowe obrazy idealne, zawsze wyraz dość silny a szlachetny; zawsze mieć na zawołanie rymy i nigdy niczem budowy wiersza nie skazić — w tych 150 pieśniach, które są niejako tyluż małemi poematami, a wszystkie, jakby z wnętrza jednego olbrzyma-poety wyszły, jedno noszą na sobie piętno jakiejś niewysłowionej głębokości serca! W p. Maciejowskim, choć może on sam nie zdawał sobie z tego sprawy przy nazywaniu Psałterza Rybińskiego cudnie pięknym, występowało jeszcze czynnie uprzedzenie do Kochanowskiego, — uprzedzenie, któreby nawet nienawiści mianem ochrzcić można. Gdyby uczony człowiek uprzytomnił był sobie w umyśle istotne a liczne piękności przekładu Poety Czarnoleskiego — byłby się niewątpliwie zawahał i skalę uwielbienia dla Rybińskiego obniżył.

Z tem wszystkiem, w całości swej uważany, Psałterz księdza protestanckiego, jeżeli nie dorównywa Psałterzowi Kochanowskiego, to nie o wiele niżej od niego stoi. Dziwna rzecz, że Mickiewicz w *Prelekcyach* swoich, wyniósłszy tak wysoko przekład katolicki, ani jednem słowem o protestanckim nie wspo-

mniał: miałażby krytyka podzielać namiętności religijne; miałażby piękność, ten anioł górujący nad światem, iść poziomemi szlakami naszemi, być katolicką raczej niż protestancką, według indywidualnej wiary tego lub owego krytyka lub historyka literatury? Psałterz Rybińskiego zasługuje na to, aby o nim mówić i cudzoziemcom i swoim; zasługuje na to, aby go dzisiejsze pokolenie umysłowo żyjące poznało, aby go w świątyniach protestanckich do śpiewów używano: zapomniało się o nim, jak się zapomniało o wielu rzeczach z przeszłości, ryczałtowemi orzeczeniami zastępując prawdziwe, sumienne, sprawiedliwe sądy.

Pierwszą, a kardynalną, zasługą Rybińskiego jest to, że nigdzie w przekładzie jego niema niejasności; tłómacz przez własne wyrozumienie myśli zniósł ją tam, gdzie była w przekładanym tekście. Drugim przymiotem wybitnym jest wiejący z przekładu duch religijny, szczery, żarliwy: widzisz tu pieśni istotnie do śpiewania w domach modlitwy przeznaczone, nie zaś poezye dla świeckiej spisywane uciechy. Niejeden psalm przypomina kantyczki, — rytmem swoim, naiwną prostotą lub rubasznością swych wyrażeń. Jest wiele bardzo silnych, które wyrazową potęgą nad Kochanowskim górują (Psalmy: V, VI, XIX, XXXV, XLII). Niekiedy rzewna, gorąca wiara wydaje z siebie wyrażenia filozoficzne z pojęć oderwanych, jakich niema ani w prozie, ani w Kochanowskim. Tak np. w psalmie VI poeta przez usta tłómacza woła:

A ty, mój miły Panie,
Rychłoż odpoczywanie
Dasz memu sumieniu?

W psalmie VIII, tak pięknie zresztą przełożonym przez Kochanowskiego, wielkość człowieka przedstawiona jest Bogu w słowach:

Przełożyłeś go nad czyny swojemi,
Aby za zdaniem swojem władał niemi;
Wszystko pod jego nogi poddałeś,
Słuchać jak Pana wszem rozkazałeś.

W Psalmie LI znajduje się wyrażenie: »A będzie raczył sam we mnie *sprawić wyśpiewowanie* Twej sprawiedliwości«.

W psalmie XXXVI sąd Boga »jest jak przepaść głęboki«. Takiego zwięzlego a silnego wyrażenia niema w Kochanowskim.

We wdzięczną formę, lepiej niż u Kochanowskiego, ujęte jest rzewne wyznanie miłości ku Panu w ps. XIX:

Złoto nie w tej cenie,
Ni drogie kamienie,
W jakiej są prawa Twoje;
Nie tak miodu sobie
Jako wierzyć Tobie
Smakują usta moje.

A dalej:

Daj, by ust śpiewanie,
Serca rozmyślanie
Bywało z chwałą Twoją —
O pocieszycielu,
O mój Zbawicielu,
Rządź-że mię wolą swoją.

W tymsamym psalmie lepiej od Kochanowskiego maluje Rybiński wspaniałość słońca:

Tak się światu stawia,
Jak gdy wdzięczne lice,
Wychodząc z łożnice,
Oblubieniec zjawia;
Więc jak olbrzym, z łeży
Porwawszy się, bieży
W okół świata wszystkiego:
I próżno się bronić,
Albo się gdzieś schronić
Przed promieniami jego.

W psalmie LI pokutnik woła do Pana swego:

Daj mi usłyszeć w rychle w radości
Głos wesołego poselstwa Twojego:
A pokruszone w Twym gniewie kości
Do *wykrzykania powstaną* wdzięcznego.

W tymsamym psalmie to, co Kochanowski wyraża słowy:

Nie odmawiajże mię od swej obliczności.

Rybiński oddaje:

Nie *odmiataj* mię od oblicza swego.

Pieśń: »*Kto się w opiekę...*« (ps. XCI) u Rybińskiego jest tylko zmienioną w układzie pieśnią Kochanowskiego. Tłómacz późniejszy wprowadził tu tylko rytm odmienny i wiersz 11-zgłoskowy zastąpił 8- i 7-zgłoskowym; nad arcydzieło Kochanowskiego wznieść się nie mógł i jest znacznie niższym. Przekład Jana z Czarnolesia pięknością swoją tak uderzył współczesnych, że go protestanci do swoich pieśni kościelnych włączyli, niby wytwór ogólnie narodowego znaczenia, szranki uprzedzeń i waśni religijnych łamiący. W psalmie VIII śmielej się już z Kochanowskim Rybiński zmierzyć może; ale za to znowu daleko w tyle poza nim zostaje w psalmach LXXVIII (historya stosunku Izraela do Boga), CXXIII, CXXXIII, CXXXVII, (*Super flumina Babylonis*) CXXXVIII, CXLVI. Wogóle, lepiej mu się udają pieśni niż poezye z przeciąglejszym, poważniejszym rytmem, i pierwsze są też liczniejsze u niego niż drugie, wprost przeciwnie niż w Kochanowskim; są one też i oryginalniejsze. Wczytując się w przekład, poznajemy, że tłómacz miał przed sobą pracę swego poprzednika. Psalm XVIII, z odmianą tylko wierszomiaru i dodaniem dwóch nowych wierszy, jest zupełnie psalmem Kochanowskiego. Kilka innych psalmów wydało się nam tylko lekkiemi przeróbkami przekładów Poety Czarnoleskiego. Oczywiście, takie powtórzenia i przeróbki są tylko wyjątkami: w przemagającej większości widnieje praca samoistna. Sam tekst nieraz Rybińskiemu podobieństwo narzucał.

Forma pieśniowa — przy podkładzie pod muzykę, we wszystkich 150 psalmach — pozwoliła tłómaczowi protestanckiemu wprowadzić większą rozmaitość w rytmie, w budowie wiersza. Kombinacye architektoniki wierszowej są u niego liczniejsze niż u Kochanowskiego. Spotyka się wiersze wszelkich miar, od 12 aż do 4 zgłosek. Rymy, rażące nas dzisiaj swoją pospolitością — nietylko w Rybińskim, ale i w Kochanowskim, choć ten ostatni okupuje pospolitość dziwną nieraz znowu śmiałością — nie raziły pokolenia żyjącego na schyłku XVI i początku XVII wieku; w śpiewie zwłaszcza nie dostrzegano nawet niewłaściwości łączenia końcówek męskich z żeńskiemi w jeden rym, co się nieraz w Rybińskim przytrafia. Na tym punkcie przypomnieć należy, iż tłómacz psałterza protestanckiego skrępowany był przez gotowe już melodye i sam nawet rytm do nich stosować musiał.

Język w Psałterzu Rybińskiego, niebędąc szlachetniejszym, jest już bardziej, choć nieznacznie, wyrobionym w formach swoich. — Dwadzieścia lat czasu rozdziela oba przekłady, i te lat dwadzieścia przyniosły już odmianę, którą dostrzedz dziś można. Forma dopełniacza ziem*iey* zam. ziem*i* znika prawie zupełnie. Spotykamy tensam wyraz *brant*, co i u Kochanowskiego, tosamo *prze*, tosamo *sumnienie*, tęsamą *doległość* i *lutość*. Nie dostrzegliśmy już *wspomionie*, ale jest *wyśpiewować*; a *posilnić* (dodać siły w ps. XXXI) nie przypominamy sobie z Kochanowskiego; również nowem wydało nam się *zuciekać* (CII), tam, gdzie poprzedni tłómacz psałterza używa *ulecieć* (lata uleciały — u Rybińskiego: *zuciekały*), oraz *wzdalon* (trzymany zdala) w ps. XLII. Podanie tych tu przykładów nie wyczerpuje wcale porównania mowy w obu tłómaczeniach, i dać tylko może pewne wyobrażenie o języku Rybińskiego.

Co do stopnia wierności w obu przekładach zestawienie ze sobą kilkunastu psalmów przekonało nas, że przekłady te znajdują się w równowadze: jeden nie jest wyższym od drugiego — czyli, że obaj tłómacze nie zawsze wiernie idą za psalmistami izraelskimi w Wulgacie; zachodzi pomiędzy nimi tylko różnica miejsc, w których się dopuszczają odstępowania od tekstu. Rybiński uzupełnia go po swojemu, Kochanowski po swojemu: pierwszy więcej jako wyznawca religijny, któremu chodzi o pojęcie i myśl wyznaniową; Kochanowski jako poeta, który dba o rzecz świecką, o piękno. Jak już powiedziano wyżej, Rybiński ma nad Kochanowskim wyższość większej jasności przy oddawaniu zaciemnionych ustępów tekstu.

Czwarty z rzędu, a trzeci protestancki, przekład wierszowany psałterza wyszedł z pod pióra Salomona Rysińskiego, zbieracza i twórcy przysłów. Jocher wymienia ten psałterz pod Nr. 2397, na podstawie Bentkowskiego. Książka ta musi dziś być niezmiernie rzadką, jeżeli się jeszcze dochowała w całości.

Nie znamy jej wcale. *Psalterz Rysińskiego* wyszedł w roku 1614 w Lubczu nad Niemnem [3]).

Psalterz Rysińskiego był ostatnim już przekładem protestanckim: wkrótce nastały dni ciężkie dla tego wyznania, które w XVI wieku wespół z Odrodzeniem takie życie u nas było zbudziło. Zaczęto od dekretu zamykającego szkołę w Rakowie; skończono na pozbawieniu wszelkich innowierców większości praw obywatelskich i wszystkich politycznych. Katolicyzm jednak w XVII w., zostawszy sam na widowni życia publicznego poza obrębem miast większych, nie wzbogacił literatury religijnej żadnemi umiejętnemi utworami. Ostatnie lata Skargi i, współcześnika i współzawodnika w potędze i sławie jego, Birkowskiego, przypadają jeszcze na epokę przejścia. Prócz traktatów, panegiryków i książek modlitewnych — nic nie tworzono. Poezya drzemała: czyżby to wskazywało, że mimo wszelkich zewnętrzności we wnętrzu serc ludzkich nie było już tego świętego a potężnego ognia, który, jeśli tylko jest, koniecznie już ujście dla siebie — jak tego sztuka włoska XIV i XV wieku niewzruszonym dowodem, — w poezyi i wogóle w pięknotwórstwie znaleźć musi i znajdzie? Psalterz Dawidów poszedł w zapomnienie; znajdowano czego potrzebowano w modlitewnikach, o resztę się nie troszcząc. Po roku 1641 ani razu, aż pod koniec XVIII wieku, nie przedrukowano przekładu Kochanowskiego. Wyszedł tylko *Psałterz Wujka* na początku tegoż stulecia; widocznie psalmy do śpiewu nie były potrzebne — nie śpiewano ich wcale. Katolicy obywali się bez Biblii, bez Nowego Testamentu nawet, i po tylu przekładach i wydaniach Pisma

[3]) Jocher opiera wiarę swą w jego istnienie na Bentkowskim, który znowu opierał się na Olofie (*Polnische Lieder-Geschichte*) i A. Węgierskim (*Systema hist.-chron. Ecclesiarum Slavonicarum*). Pewność istnieje tylko co do niektórych psalmów, że je bądź na nowo wytłómaczył, bądź też z Kancyonału krakowskiego poprawił Rysiński. Jocher i Wiszniewski przyjmują po owem wydaniu lubczowskiem z r. 1614 jeszcze wydanie gdańskie z r. 1619. Tytuł u Jochera: *Psalmy Dawida podług dawnych nut wierszem polskim;* tytuł u Wiszniewskiego: *Niektóre psalmy Dawidowe częścią poprawione, częścią znowu przełożone. Na stare nóty od S. R. w Lubczu nad Niemnem, w drukarniey Piotra Blasta* (1614, in 4-o). Zdaje się, że Wiszniewski miał oba wydania w ręku. Ob. rozprawę Wincentego Korotyńskiego o Rysińskim.

św. w XVI do połowy XVII wieku, od tej chwili, gdy wzięła początek zupełna przewaga na polu religijnem a zupełniejsza jeszcze niedola na polu społecznem i politycznem — pytamy: któreż z dwóch wyznań więcej wydań świętych ksiąg swoich przedstawić może: czy wyznanie większości przeważającej czy mniejszości przewagą uciśniętej? Nie pierwsze, zaiste, nie pierwsze! Trudno prawie uwierzyć, że *Nowy Testament* Wujka, ukazawszy się w druku w r. 1647, po 93 latach dopiero doczekał się nowego wydania (1740 we Wrocławiu). Ale za to dość przejrzeć dział panegiryczny w *Jocherze*, aby poznać: jaki był kierunek umysłów i jaka istota tej religijności, która w dziedzinie ducha powoli, rok za rokiem, stawała się jedynowładną, aż wreszcie nie miała już czem władać — bo ducha nie stało.

Kochowski swoją *Psalmodyę* z roku 1693 wydał w prozie, — on, co taką łatwość w wierszowaniu, nawet oktawami aryostycznemi, posiadał; a w tej Psalmodyi 35 psalmów Dawida po większej części użył tylko za kanwę, którą zarobił własną treścią, narodową i katolicką, miejscami zacną i piękną, — i psalmodya też jego pod rubrykę Psałterza Dawidowego nie podpada.

Pierwszem wydaniem Psalterza, po stu kilkudziesięciu latach zupełnego milczenia i bezczynności, oprócz powyższej edycyi Wujka, dokonanem, była edycya wileńska z r. 1764. Nie znamy jej i nic o niej powiedzieć nie możemy. W 9 lat później wyszedł także w Wilnie, ofiarowany J. W. I. Pani z Tyzenhausów Morykoni, »*Skarb pobożnych affektów i żalów serdecznych* w zupełnym Psalterzu Dawida świętego zakopany« — a tytułem swoim przypominający owe, z epoki Zaćmienia Umysłów pochodzące *Wozy* i *Ścierki*. Jocher (2401) objaśnia: »tłómaczenie wierszem«; musimy na jego słowie polegać, dając temu psałterzowi wierszowanemu z r. 1773 porządkową liczbę piątego z rzędu przekładu polskiego, dokonanego wierszem.

W tymsamym roku i w temsamem mieście wyszedł przekład psalmów wierszowany, pod tym tytułem: *Wiersz na siedm psalmów pokutnych* Wacława Rzewuskiego. Jednocześnie, bez żadnej zmiany, ukazało się wydanie warszawskie[4]). Psalmy I

[4]) Oba wydania wyszły w r. 1773; w obu mieszczą się prócz 7 psalmów jeszcze 4 pieśni: do M. Boskiej. *Kto się w opiekę* i dwie do św. Jó-

i III w tym zbiorze odznaczają się niepospolitym wdziękiem; szczere je przejmuje uczucie; tłómacz sam odczuł w sobie niedolę Dawida, a raczej swoją własną boleść z Dawidową zespolił. Przekład w tych dwóch psalmach zaleca się potoczystością; nie jest zupełnie wiernym, ale też i nie bardzo od oryginału (t. j. od tekstów łacińskich, niemieckich i francuskich) odstaje — duchem zaś jego nawskroś przejęty. Te dwa psalmy czyta się dziś z większem zadowoleniem niż najnowsze, przed obecną pracą pana Bujnickiego, tłómaczenie, które wydał Pol w r. 1849 (*Dzieła Wincentego Pola*; T. V, str. 243—256). Czytelnik sam porówna następujące dwa ustępy u Rzewuskiego z odpowiedniemi u Pola:

Z Psalmu I:

Codzień gorzkiemi zalewam się łzami,
A każdą chwilę oznaczam jękami,
Co noc zaś myję chusty mej pościeli
W zdroju mych oczu, w łez moich kąpieli.

Z Psalmu III:

Wyżej mej głowy złość ma górę wzięła,
Cięża sumieniu memu złe me dzieła,
Jad grzechów moich zgnoił moje rany;
Na ciele'm chory, z rozumu'm obrany.

... Upokorzony, łzy wylewam rzewne,
Ryczę, zważając Twe pogróżki gniewne;
Panie, patrz na mą skruchę, na me szlochy:
Odpuść mi, bom człek ułomny i płochy.

zefa; w obu tytuł jak wyżej w tekście, uzupełniony jeszcze wymienieniem godności autora i miejsca napisania psalmów; w obu tasama dedykacya od autora, tosamo upoważnienie cenzury duchownej wileńskiej z d. 23 lutego 1773 r., odmienna tylko pochwała autora przez trzeciego. W wileńskiem wydaniu pochwalny wiersz do Rzewuskiego jest bez podpisu, w warszawskiem z podpisem »G. P. *S. J.*« W wydaniu warszawskiem na tytule i nad ps. 1 znajdują się małe, udatne, delikatnie wyryte rysunki allegoryczne. Edycya wileńska, 4-o minori, na bibule, 18 str., wyszła z drukarni J. K. M. i Rzplitej Ak. Soc. Jesu; warszawska in 12-o, na papierze tęgim, czerpanym, zielonkowatym, stronic liczbowanych 41, wydana przez Michała Grolla (*tak*) »*Pod znakiem Poetów*«.

Inne psalmy, szczególniej II i IV, słabe; drugi z nich zupełnie unowożytniony, jest głosem katolika, a nie Dawida. W końcu każdego psalmu znajduje się czterowiersz:

Niech słynie wszędzie o wszystkich dobach
Pan świata, jeden Bóg w trzech osobach,
Ojciec, Syn i Duch Święty; my go chwalmy,
Śpiewając psalmy.

Szósty przekład wierszowany wszystkich psalmów ukazał się w r. 1786 w Warszawie. Dokonał go Karpiński. Brodziński w mowie pochwalnej z r. 1827 mówi z powodu tego przekładu: »Muza jego (Karpińskiego) jest mieszkanką dolin, gajów słowiczych, dumającą nad strumykiem, spokojnie płynącym; nie dla niej są wzniosłe siedliska orłów, i głos jej słabieje przy gór huczącym potoku. To okazuje szczególniej jego przekład psalmów Dawida i własne jego pieśni pobożne. Przerobił on tylko psalmy przez Kochanowskiego przełożone i więcej je do śpiewu zastosował; atoli mniej niż Kochanowski przejąć się zdołał Dawidem, tam, gdzie tenże wzniosłe wystawia obrazy, i tam tylko, gdzie łagodne obrazy i spokojne psalmista uczucia maluje, oddał go należycie i często Kochanowskiemu wyrównał«[5]. Do tych słów nic dodać nie możemy, chyba to tylko jeszcze, na korzyść Karpińskiego, że, przerabiając psalmy Kochanowskiego, zarazem i niektóre z nich sprostował w tych ustępach, w których poeta XVI w. nie był wiernym tekstowi. Sam Karpiński przyznaje się tylko do tego, że 16 psalmów przerobił, 6 zaś żywcem, z drobnemi zmianami wyrazów, przejął — reszta ma być jego własną pracą. Na kilku psalmach z tej reszty przekonaliśmy się, że zacny poeta-ziemianin ulegał samozłudzeniu. Ze trzydzieści psalmów po psalmie C przetłómaczył do zbioru Karpińskiego Kniaźnin.

W XIX w. wydawano kilka razy osobno Psałterz Karpińskiego (1807, 1826, 1829 i w zbiorowem wydaniu Turowskiego) i w pierwszem półwieczu widocznie uważano go za lepszy od Psałterza Kochanowskiego, ten bowiem przez lat 50 czterech tylko doczekał się oddruków: całkowitego w edycyach: Mostow-

[5]) *Dzieła Franciszka Karpińskiego*, wyd. Tur.; str. 16.

skiego (1803), powtórzonej u Korna we Wrocławiu (1825) i Bobrowicza (1835), oraz częściowego: w Połocku u Jezuitów (1816 [6]). Dopiero od czasu edycyi przemyskiej (1857) wrócono do poety XVI wieku i pomiędzy rokiem 1860—1870 wyszły aż trzy osobne wydania jego Psałterza. Tegoczesność spłaca tym sposobem dług przeszłości, która grzesznie przez półtora wieku blizko pracę *Księcia Poetów* w niepamięci nurzała [7]).

Teraz też dopiero, w naszym wieku, wróciła doba poetycznego opracowywania psalmów Dawidowych. Najdawniejszą jest praca Niemcewicza w edycyi dwunasto-tomowej pism jego poetyckich zawarta. W roku 1830 wydał Witwicki w Warszawie *Poezye biblijne*, stojące w rzędzie najpiękniejszych utworów naszej poezyi religijnej, wielce przypominające psalmy hebrajskie, niekiedy całemi ustępami z niemi tożsame; ale właściwemi przekładami, podobnie jak i późniejszych poezyj Ujejskiego i Pajgerta — tych rymotwórczych prac Witwickiego nazwać nie można. Rzeczywiste przekłady znajdują się dopiero pomiędzy *Pismami lirycznemi i religijnemi* Fr. Zatorskiego, w trzy lata po Witwickim równie w Warszawie wydanemi. Pierwsze półwiecze XIX stulecia zamyka przekład *Psalmów pokutnych* Pola (1849), o którym okolicznościowo wspomniano już wyżej.

Na początku drugiego półwiecza wyszedł w Warszawie psałterz w nowym przekładzie: *Psalmy przełożone dosłownie z osnowy języka hebrajskiego na język polski przez byłego*

[6]) Pomijamy przedruk częściowy w *Nowej Biblioteczce*, wydanej przez *Tańską* w latach 1838 i 1839 u Schlettera we Wrocławiu.

[7]) Od r. 1641, w którym wyszły po raz ostatni w XVII w. Psalmy Kochanowskiego aż do r. 1767, w którym Bohomolec ogłosił nowe wydanie zbiorowe, czyli przez lat 126, według świadectw bibliograficznych nie było ani jednego przedruku nietylko Psałterza, ale i innych rymotwórczych prac poety czarnoleskiego. W tem wydaniu zbiorowem, które ukazało się po 126-letniej przerwie, znajduje się i Psałterz. Materyał bibliograficzny do powyższego tekstu czerpiemy nietylko z *Bibliografii XIX stulecia* Estreichera, ale i z szacownej, wyżej już powołanej, pracy Stanisława Przyłęckiego przy wydaniu Turowskiego (Przemyśl 1857), gdzie z wielką skrupulatnością podany jest wykaz wszystkich pojedyńczych i zbiorowych wydań poezyj Kochanowskiego. Opracowanie bibliografii jest tu prawdziwie wzorowem.

urzędnika etc. (1854) — praca, o ile sądzimy, nieobojętna dla tłómaczących psalmy Dawidowe. Ale jest to proza; sama dosłowność wyłączała opracowanie poetyckie. Możemy przeto — z zastrzeżeniem jedynie co do poetów, których poprzednikiem był Witwicki, i z wyjątkami drobnemi, których nawet »*Bibliografia Estreichera*« mogła u siebie nie zaznaczyć — iż p. Kazimierz Bujnicki jest od czasu Pola pierwszym tłómaczem psalmów, jego zaś praca od lat 92 — pierwszym przekładem zupełnym w naszej literaturze, a siódmym z rzędu od czasów »*namnieyszego prawie Służebniczka*«, jak się w skromności swej Lubelczyk nazywał. Pomiędzy obu przekładami, pierwszym i ostatnim, zalega ogrom czasu: lat 320.

Ostatni ten przekład godnie staje obok swoich poprzedników. Jest to praca sumienna, z widocznem zamiłowaniem przedmiotu dokonana, dobrym wogóle językiem odznaczająca się, wierszowana nie bez uchybień, ale też i bez ciężkich grzechów, miejscami dająca czytelnikowi to radosne zadowolenie, jakiem tylko szczera poezya darzyć może. Sumienność przekładu okazuje się w usilnem staraniu tłómacza, aby jaknajmniej od wzoru się oddalić; z porównania nowej pracy z trzema dawniejszemi (Kochanowskiego, Rybińskiego i Karpińskiego), któreśmy poznać mogli, nabraliśmy tego przekonania, że najpóźniejsza jest też ze wszystkich najwierniejszą; oczywiście, przymiot ten posiada ona tylko w stosunku do tekstu, który jej za przewodnika służył, t. j. do Wulgaty, spolszczonej przez Wujka. Trzymania się Wulgaty dowody mamy jawne na każdej stronicy; sam zresztą tłómacz przeświadczenie w tej mierze ułatwił przez zaznaczanie w przekładzie swoim odpowiednich wersetów tekstu łacińskiego. Nie wiemy o ile inne, bardziej źródłowe, teksta pomocnemi były p. Bujnickiemu; pod tym względem nie znaleźliśmy w książce żadnego objaśnienia.

Przekład nowy psałterza zatem, będąc miejscami tylko poetycznym, jest zarazem w całości swej najwierniejszym z czterech piszącemu te słowa znanych. Miałżeby istnieć jaki związek przyczynowy między obu uwydatnionemi tu faktami?: miałażby wierność wyłączać poetyczność i nawzajem poetyczność możliwą być tylko przy przeniewierzeniu się tekstowi Psalmów? I czyliżby Kochanowski i Rybiński nie mogli być tak poety-

cznymi, jakimi są — gdyby się byli trzymali oburącz tekstu? Nikt tego nie powie; byłoby to bowiem tosamo co potępić sam oryginał jako niepoetyczny, a więc niezasługujący na przekład. Nie, zaprawdę, żyły złota przechodzą przez Psałterz, ale je nie łatwo na obcą mowę poetyczną przetopić. Przekład tej księgi pomnikowej jest bardzo trudnym, i wogóle przekłady wszelkie, jeżeli mają być doskonałemi, do najcięższych zadań literackich należą. Kto wymówić ma przy przekładzie słowo »arcydzieło«, ten dobrze zważyć je wprzód powinien, aby go ono później ciężarem swoim nie przywaliło. Jeżeli z poezyi jako siły złożonej wyróżnimy część jej składową, *kunszt poetycki*, to, przystosowując oba te pojęcia, poezyi i kunsztu, do rymotwórstwa, otrzymujemy tę wypadkową, że niższość duchowej potęgi tłómacz wynagradzać musi, nietylko już równością, ale wyższością kunsztu poetyckiego. Sztuka jako sztuka — w całej nagości swej przy przekładach dopiero występuje. Trzeba ją w tak wysokim stopniu posiadać, że liczba rzeczywistych arcydzieł przekładów w literaturze powszechnej, a nietylko w naszej, bodaj, czy nie jest mniejszą od liczby rzeczywistych arcydzieł oryginalnych. Wielu poetów pierwszej mocy rozbijało się o trud przekładowy: wielu drugorzędnych krótkotrwałej tylko dostępowało sławy. Niezmiernie trudno jest pogodzić prawdę, skielet logiczny poezyi, który niezmiennie pozostać musi takim, jakim jest, z pięknem, które ma się w nowych zmienionych ukazać kształtach, nieprzestając jednak być temsamem w swej istocie, t. j. w jakości, ilości i porządku obrazów idealnych, z których promienieje piękność.

Odległości czasu i przestrzeni, różnice charakterów — zbiorowych i indywidualnych, czasowych i trwałych — wiekowe wpływy natury; wiekowe prace tych duchów-ogromów, które sobie na różnych miejscach, w różnych czasach, na różny sposób zdobywały i gromadziły te przedziwne skarbce, jakiemi są dziś języki ludów cywilizowanych; wreszcie właściwości i niedokładności samego twórcy, chwilowe zaćmienia umysłu i talentu, rzadko kiedy w całej swej sile przez całe dzieło utrzymać się zdolnego: wszystko to staje pomiędzy autorem a tłómaczem i czyni trud przekładania pięknotworów z jednej mowy na drugą bardzo ciężkim, zwiększając zaś surowość

sądów, zwiększa zarazem i poszanowanie dla prac podejmowanych skromnie w cichości serca, a wykonywanych sumiennie i bez uroszczeń żadnych.

Kunszt rymotwórczy, tłómaczowi potrzebny, nie jest jeszcze wszystkiem. Owa poetyczność, której wolno być niższą, ale nie wolno nie być wcale, niezbędną jest dla odtwarzającego pięknotwory poezyi w mowie nowej. Stosunek określić-byśmy mogli tak, że oto poeta jest budownikiem i właścicielem czarownego zamku poezyi, który tłómacz sobie upodobał i u siebie w swoim kraju go odtwarza. Stawiając nową budowę podług wzoru dawnej, powinien on mieć wyobrażenie jasne o jej stylu i przeznaczeniu, znać i uszanować cały jej rozkład i cały plan architektoniczny; powinien wiedzieć jakiego rodzaju życie duchowe rozwinąć się w niej może i takie tylko w niej rozwijać; gmach swój zaludnić mu wolno takiemi tylko, wszechzrozumiałemi, dla człowieczeństwa całego dostępnemi myślami, uczuciami, obrazami imaginacyi, metaforami — wszelaką arystokracyą i wszelakiem pospólstwem postaci mownych — które sam twórca do zamku swego sprosił. Mogą i muszą ci goście być w nowych szatach: ale też mogą i muszą być w tychsamych charakterach, w tożsamości swych istot. Ściśle pojmując tłómaczenie jako przełożenie z jednej mowy na drugą, jako przeprowadzenie z jednej krainy językowej do drugiej (*transducere, transferre*), mamy obowiązek powiedzieć, że tłómaczowi utworów poetycznych niczego uronić, niczego dodać, niczego odmienić nie wolno; najmniejsze porównanie nietkniętem utrzymane być powinno i tam tylko, gdzie przez jego zastąpienie innem zyskuje się rzecz nietylko większej siły, ale i większej zrozumiałości dla nowych, innonarodowych czytelników, wolno jest wziąć porównanie z właściwego tym czytelnikom, a raczej całemu narodowi, świata wyobrażeń. Żadne inne zmiany nie są dozwolone. Rzeczywistem arcydziełem tłómaczenia jest tylko taki przekład, w którym znajdujemy najzupełniejszą tożsamość z oryginałem: utwór tensam, tylko w innym języku. Oto ideał! Gdyby nietylko w naszej, ale i w innych literaturach zechciano porównać dobre arcydzieła przekładów z oryginałami — ileżby wielkości z piedestału strąconych zostało!

W takiem dopiero dziele, które umiało zjednać dla siebie zupełny kunszt rymotwórczy i zupełną siłę poetyczną, z podstawienia się tłómacza na miejsce autora wynikającą, wierność duchowa, a nietylko literalna, będzie możliwą, i na takiem dziele dopiero stwierdzać można wiekuistą zasadę sztuki, którą Schiller pierwszy może tak jasno i prosto sformułował, — tę mianowicie: aby sztukmistrz niknął poza dziełem swojem, niknął tam nawet, gdzie jako człowiek ściśle zjednostkowiony sam bezpośrednio przed czytelnika czy widza występuje.

Przekład p. Bujnickiego odznacza się wiernością dla Biblii Wujka; ale, o ileśmy, nieznając oryginału hebrajskiego, z porównania między sobą innych tekstów wnieść mogli, mniemamy, że ta wierność nie wszędzie wyszła przekładowi na dobre. Są miejsca, które lepiej było tłómaczyć według tekstu protestanckiego. Tłómacz, który zechce trzymać się jednego tylko tekstu, źle uczyni. W tym właśnie wypadku znalazł się nowy tłómacz Psałterza. Szanujemy domyślne jego pobudki; ale ze stanowiska piśmienniczego nie pochwalamy wyłączności, jakiej się dobrowolnie poddał. Wierność ta jednakże, dla Wujka nawet, bezwzględną nie jest i być nie mogła, i zaznaczyliśmy sobie dopełnienia i zaokrąglenia, których niema w jego tekście. Z drugiej strony znowu przyznać potrzeba, że te odstąpienia, zresztą nieliczne, okupuje tłómacz w niektórych wierszach najzupełniejszą dosłownością, tak, iż wyrazy prozy żywcem znajdują się tu wyjęte z niej i wjarzmione w rytm i rym poezyi. Parę przykładów znajdzie czytelnik w Psalmach Pokutnych, najbardziej rozpowszechnionych i każdemu chyba znanych.

Pod względem kunsztu rymotwórczego zarzucilibyśmy niedostateczną poprawność w budowie wierszy. Grzechów ciężkich, upornie powtarzających się, niema, są jednak uchybienia i wady. Niejednokrotnie dla dobrej miary, wystarczało tylko przestawienie wyrazów: nie uczyniono tego — i wiersz wyszedł chropawy. Dodawanie *on* i *oni* dla miary, choć nieczęsto wydarzające się, jednakże razi. W innych miejscach wiersze jednomiarowe nie są jednakostopowemi: amfibrachy i trocheje w 10- i 8-zgłoskowych wierszach nie odpowiadają sobie należycie. Rymowanie różnomiarowych wierszy rzadko kiedy tak szczęśliwem być może jak w pieśni Kochanowskiego: »*Wszechmocny Panie!*«

(Ps. VIII): to też przy mniej szczęśliwem użyciu powstaje nieuchronnie pewien rozdźwięk w harmonii rytmicznej. Wiersz 9-zgłoskowy, aby był dobrym, z samych tylko amfibrachów złożonym być powinien; budowa jego najgorzej wiodła się Kochanowskiemu i Rybińskiemu, a nie jest też najlepszą w Psałterzu p. Bujnickiego. Rymów męskich tłómacz nowy nie używa, podobnie jak i jego poprzednicy (Rybiński nie właściwie rymował *on*, *Pan* z imiesłowami ściągniętemi czasu przeszłego). Stopy też jambicznej, w języku naszym, że kilka pominiemy wyjątków, jedynie tylko przy użyciu wyrazów jednozgłoskowych na końcu możliwej, wcale w nowym przekładzie nie dostrzegliśmy; sądzimy zaś, że jamb przy przekładach Psałterza właśnie szerokie znaleźć może zastosowanie. Zresztą znajdują się wszystkie inne stopy i miary w naszem rymotwórstwie prawo obywatelstwa mające. Wiersze są rozmaite, — mają od 5 do 13 zgłosek. — Wogóle przeważają miary krótsze od 11-to-, a nawet od 10-cio-zgłoskowych; wprost przeciwnie niż w Kochanowskim, a podobnie jak u Rybińskiego, który jeszcze drobniejszy rytm u siebie wprowadził niż p. Bujnicki. Psalmy nie są nawskroś w jednej mierze trzymane i wiersze różnomiarowe mieniają się w toku zwrotek. Psalm XVII, u Koch. XVIII, przełożony jest wierszem 8-zgłoskowym, składanym rozmaicie z amfibrachów i trochejów. Kochanowski do tego psalmu użył oryginalnej i, nie wiemy czy gdzie po nim powtórzonej, budowy wiersza z 8 i z 5 zgłosek, której nie umiał atoli dość artystycznie w całym ciągu utrzymać. Zresztą, uderzających oryginalnością kombinacyi, miar całowierszowych i stóp nie natrafiliśmy w nowym przekładzie. Rymy również pomysłowością nie celują; musimy nawet powiedzieć, że widać w nich nieraz pospolitość, którą Kochanowskiemu, a bardziej jeszcze Rybińskiemu, piszącemu pod śpiew, wybaczyć można, ale która w dzisiejszych już pracach niczem usprawiedliwić się nie da. Tak zwana jedno-źródłowość, a raczej jedno-forenność rymów w Psałterzu p. Bujnickiego nie jest wcale rzadką i szkodzi całości.

Pod względem poetyczności przekład nowy niżej stoi od dzieła Kochanowskiego, a w części i od Rybińskiego. Potęga wyrazowa psalmów czeka jeszcze na rymotwórcę, któryby ją w mowie naszej oddał. Ścisłość wyrażeń nie jest jeszcze ich

doskonałością: jak w prozie tak w poezyi pierwszą rzeczą jest ducha odtworzyć, a potem dopiero słowa wytłómaczyć. Wiemy o tem, że poezya silną jest tylko przez siłę myśli i idealnych obrazów swoich; wielkie wyrazy nieposługujące myślom i ideałom sztukmistrza jako proste narzędzia jedynie, lecz same stawiające się za coś istotnego — pustemi są tylko dźwiękami, przypominając wydęte a próżne balony: ale i o tem zapomnieć nam nie wolno, że wyraz jest wcieleniem myśli, która z wyrazu tylko i poprzez wyraz poznaną być może. W wyrażeniach słabych myśli, najsilniejsze nawet, słabo tylko wypromieniać się mogą. Każdy, poeta czy rymotwórca, prozaik czy wierszopis, z języka powszechności, do której należy, z jej ducha językowego, wiecznie żyjącego i tworzącego, i z własnej swej potęgi umysłowej wytwarza sobie osobny język, swój własny, i pod wpływem tej mocy anielskiej, która wydaje z siebie *styl*, języki ustawicznie się kształcą i wzbogacają. Każdy też pisarz wybitniejszy musi mieć swój własny język, wydzielony z całości mowy ogólnej, a co o pisarzu, tosamo rozumie się i o tłómaczu. Od Hugonowskiej górnolotności, od jego szczudeł wysokich, Boże uchowaj każdego; ale zbytnia znowu skromność i prostota, nieobliczające się z wagą myśli, łatwo przechodzą w powszedniość, bezbarwność, w niemoc. Zdaje nam się, że nowy tłómacz Psalmów nazbyt uległ tej drugiej dążności: przekład jego w wielu miejscach niczem się w umysł nie wraża; nie posiada tej siły, aby mógł wprowadzić do niego wrażenia, uczucia, myśli i wyobrażenia Dawidowe. Wogóle jest on zimniejszym od poprzednich: niema tego ciepła, tej potoczystości, tego wypowiadania *jednym tchem*, które mimo wielu niedostatków tak żywo zalecają Psałterz Rybińskiego. Psycholog ludów powiedziałby, że wiek XVI bliższym był niż dzisiejszy tego świata wyobrażeń — w którym przebywał umysł Dawida; że zatem łatwiej mu było poetycznego nastroju dochować.

Przytaczamy tu na poparcie powyższego twierdzenia o stopniu poetyczności nowego Psałterza, kilka wyjątków z Psałterza Rybińskiego; pilniejszy czytelnik sam porównać je zechce z odpowiedniemi ustępami psalmów, przekładu p. Kazimierza Bujnickiego.

Weźmy Psalm CIV, uważany przez estetyków za koronę całego zbioru Dawidowego: Rybiński tak go zaczyna:

Duszo, błogosław Pana swojego, —
— O wszechmogący — rzekni do niego,
Nieogarnionyś Ty w swojey wielkości,
Niedoścignionyś w swojey wielebności;
Wkół Cię obeszła cześć, także chwała;
Jak płaszcz ozdobny jasność odziała;
Jak śliczny namiot, swoimi rękami
Rozbiłeś niebo upstrzone gwiazdami.
....Tyś swe pałace w wodach postawił,
Tyś wozy sobie z obłoków sprawił,
Tobie i prętkość i skrzydła wiatrowe,
Jako najrętsze konie są gotowe.
Ty sobie z wiatrów posły sprawujesz,
A oni bieżą gdzie rozkazujesz;
Sługami Twojey są sprawiedliwości
Gromy ogniste w swey *zapalitości*.

W ostatniej strofie tak ślubuje król poeta w mowie Rybińskiego:

Wdzięczne mi będzie o nim myślenie,
W nim zawżdy moje rozweselenie,
Boday źli ludzie z ziemie wyginęli,
I pomstę za złość sprawiedliwą wzięli,
A ty, duszo ma, chwal bez przestania
Pana, którego znasz zlitowania:
Wszystkie narody Panu chwałę dajcie,
Że nadeń niemasz więtszego wyznajcie.

W tymsamym psalmie werset 15 oryginału lepiej przetłómaczył p. Bujnicki, niż jego poprzednicy.

W psalmie XCIII Rybińskiego takim jest Bóg:

Pan nasz króluje w sławę odziany,
W męztwo i w dzielność zacnie ubrany,
Pan, przez którego ten świat stworzony
Stoi w swym gruncie nieporuszony.
Majestat jego bez odmienności,
Tak jak On bywa sam od wieczności,
Niech jak chcą rzeki się nadymają,
Niech huczą, z brzegów niech wylewają,
Niech się i morze jako chce burzy:

Groźniejszy *morza* i *nawałności*
Jest, y możniejszy, Bóg z wysokości.

W psalmie XLV, jedynym czysto-świeckim, nie do Boga, ale prawdopodobnie do Salomona i jego nowopoślubionej małżonki zwróconym, Rybiński:

Przepasz-że miecz twóy, Zacny Bohatyrze,
Miecz chwały swojey, co cię zdobi szczyrze;
Z tymże jako król wsiądź na koń śmiele,
Tym grom niechętne nieprzyjaciele;
Ustrzegaj prawdy i sprawiedliwości,
Broń-że niewinnych w ich cney niewinności,
Dokazuy męztwa prawicą swoją,
Niechaj się dziwów twych wszyscy boją.
....Majestat, Boże, twóy na wieki trwały,
Majestat, który *napełniony chwały*,
A sceptr twych rządów i panowania, —
Jest sceptr twych sądów i prostowania.

W psalmie znowu LV:

Obym miał skrzydła gołębice,
Prędkożbym ja zbył tej tęsknice,
Anim bym tu ja więcej siedział;
  Leciałbym na lepsze wczasy,
  W puszczą, między głuche lasy,
Tam, gdzieby o mnie nikt nie wiedział.

W początku psalmu LXXIX wznosi się Rybiński nad Kochanowskiego:

W dziedzictwo Twoje poganin przeklęty,
O Boże, wtargnął i kościół Twóy święty
Zesromocił: Jeruzalem zburzywszy,
W gromady gruzu wszytek obróciwszy.
   Sługi Twe wybili,
   Trupy rozrzucili
   Ptakowi do pożarcia,
   Ciała twych kochanych,
   Sług wiernych wybranych,
   Bestyam do rozdarcia.
Krwie ich tak wiele wszędzie roztoczyli,
Że w niej jak w wodzie po mieście brodzili.

A nie był żaden coby był ratował
Y biedne kości do ziemi pochował...
Y dokąd-że wżdy tego będzie, Panie?
Czyli na wieki gniew Twóy nie ustanie,
I do końca-ż nas w takiey swey srogości,
Wytrawić ogniem chcesz w popędliwości?
   Raczey na pogany
   Rzuć się rozgniewany,
   Co Cię, Boga, nie znają;
   I na takie państwa
   Rzuć się do tyraństwa,
   Które cię nie wzywają.

Kończymy przytoczeniem wyjątków z psalmu XLII:

Ciężko płacząc bez przestania,
Łzami karmię swą duszę,
Gdy brzydkiego urągania:
»Gdzie twój Bóg?« słuchać muszę.
Wzdalon od domu Twego,
Mnie przedtym codziennego,
Z wielką wiela radością,
Teraz schnąć muszę żałością,
Y czemuż tak wżdy bez miary,
Duszo moja, omdlewasz?
Bądź w Bogu tey całey wiary,
Że mu w rychle zaśpiewasz
Y oddasz dziękczynienie
Za jego wybawienie.
Tylko rychło ratuj, Boże:
Dusza dłużej trwać nie może.
....Rzekę Bogu, skale swojey:
Czemużeś mię *przebaczył?*
Czemuś mię z ciężkości mojej
Złemu wyrwać nie raczył?
Prawieć mię zabijają,
Kiedy mi urągają,
Mówiąc niemal dnia każdego:
»Gdzież jest Bóg coś dufał w niego?« [8])

[8]) Wyjątki z Rybińskiego przytoczono tu z wydania Psalterza jego przy *Biblii Gdańskiej* z r. 1632, której przekład przypisywany bywa bądź Paljurowi, bądź też księdzu Danielowi Mikołajewskiemu, a którą wydał nakładca wcześniejszych edycyj Psalterza Rybińskiego, Andrzyi Hünefeldt (nazwisko to na innych wydaniach pisane jest także i Hünefeld).

Sądzimy, że porównanie wyżej zalecone doprowadzi czytelnika do wniosku, iż pod względem poetyczności t. j. potęgi wyrazowej, ciągłości toku poetycznego, gorącości uczucia, — w wielu miejscach nowy Psalterz dawnym nie dorównywa. Powiedzieć to trzeba zwłaszcza o Psalmie VIII, XIX, XLII, LXXVIII, XCI (Kto się w opiekę) CIV, co do którego przypominamy powyższe zastrzeżenie, CXXIII, dalej o psalmach pokutnych z wyjątkiem całego prawie Psalmu CXLIII, i wreszcie o psalmach CXXXVII, CXLIV i CXLVI, które do najpiękniejszych w Kochanowskim należą. W psalmie CXXXVI nie umiał czy nie chciał tłómacz uniknąć jednostajności w powtarzaniu ustawicznem: »Na wieki bowiem miłosierdzie jego« i daleko pozostał poza Kochanowskim [9]).

Dobrze pod względem ducha i formy przedstawiły się nam w nowym przekładzie psalmy według liczbowania katolickiego, które przyjmuje p. Bujnicki: VI, XIV, XVII, LVII, LXII, LXIII, ustępy w LXXVIII i LXXIX, psalm XCII, CII, CIII, u Rybińskiego CIV, z którego wyżej podano wyjątki, ustępy w CXVIII,

Na tytule, bardzo ozdobnym, niema wcale roku wydania: format in 8-o, 95 str., druk gocki wyraźny, nieco odmienny od druku samej Biblii. Melodye, o ile się nie powtarzają, podane są na czele każdego psalmu z podkładem słów. W egzemplarzu Bibl. Ord. Krasińskich, którego nam użyczono, znajduje się to wydanie Psałterza Rybińskiego oprawne w jedną książkę wraz z Biblią samą, i innemi zbiorami pieśni, odrębnie liczbowanemi. Po *Objawieniu św. Jana* w Biblii idzie *Passya*, 10 str., po Passyi — *Psałterz*, po Psałterzu na 29 kartach nieliczbowanych *Hymny*; na karcie 30-ej zaczyna się wreszcie *Summa nauki chrześciańskiej,* zajmująca tylko trzy karty. Bardzo być może, iż to wydanie *Psałterza Rybińskiego* uskuteczniono w jednym roku z *Biblią Gdańską*, i że jest ono temsamem, które Wiszniewski wymienia pod liczbą 12, w przypisku na str. 524, tom VI *H. L. P.*

Mieliśmy z tejsamej biblioteki drugie jeszcze wydanie *Psałterza X. M. Rybińskiego*, wcześniejsze, z r. 1616, z przedmową wydawcy Hünefelda i określeniami psalmów przez X. Daniela Mikołajewskiego, w formacie bardzo małym, co najwyżej in 16-o 392 str. samych psalmów, po których idą jeszcze pieśni. Wydanie to, ofiarowane protektorowi protestantyzmu, Krokowskiemu, dworzaninowi Króla Jegomości. Wiszniewski mieści je pod liczbą 7 (*l. c*). Różnice pomiędzy obu wydaniami dostrzegliśmy jedynie w pisowni.

[9]) Psalmy wymieniono tu według liczbowania protestancko-hebrajskiego, które przyjmuje zarówno Kochanowski jak Rybiński. Przypominamy to, co się powiedziało wyżej o liczbowaniu psalmów.

ps. CXX, CXXIV, CXXV, CXXVI, CXXXII, CXLII, z wyjątkiem ostatniej strofy, wreszcie psalmy CXLVI i CXLVIII.

W niektórych psalmach nowy tłómacz nietylko współzawodniczy z Rybińskim i Kochanowskim, ale jest od nich, jeśli nie w całości, to w pojedynczych ustępach wyższym. Tak, naprzykład, w psalmie LXXIX czytamy:

Boże zastępów, wybaw nas, twe sługi;
Ukaż twarz twoją! a będziem zbawieni.
Mamyż więc, gniewem twoim porażeni,
Wołać próżno przez czas długi?
Dopókiż znosić mamy ciężką karę?
Gorzki chleb płaczu za pokarm nam dajesz;
Łzami nas nędznych poić nie przestajesz.

W Psalmie CII:

Wszyscy czerpiący prawdę w jego słowie,
Wszelkiego stopnia i wszelkiego stanu,
Potęgi święte, wojska, aniołowie,
Wszyscy naszemu błogosławcie Panu!

Psalm CXXVI przytaczamy w całości:

Jeżeli domu Pan sam nie zbuduje,
Próżno człek nad tą budową pracuje;
Jeśli od miasta Pan oko usuwa,
Próżno strzedz będzie ten, co nad niem czuwa.
Próżno przededniem opuszczacie łoże:
Ranne wstawanie nic wam nie pomoże,
Kiedy pożywać przyszło chleb niedoli. —
Bo nic bez Pańskiej nie dzieje się woli.
Snem miłym darzy Pan swych ukochanych:
Oto dziedzictwo jest dóbr pożądanych,
Zapłata hojna, owoc dobrych czynów,
Kiedy rodzicom da posłusznych synów;
Gdyż jako strzały mężowi mocnemu
Tak są synowie ojcu strapionemu.
Szczęśliwy, kto w nich ziścił swe życzenia:
Nie dozna od swych wrogów zawstydzenia!

Język w przekładzie poprawny, z bardzo nielicznemi wyjątkami, w których pogwałcono prawidła składni.

Na tem przerywamy szereg myśli, które się nam nasunęły z powodu wydania Psalterza Dawidowego w nowym przekładzie polskim. Odrywając się od tak okwitego w naukę i prawdziwą rozkosz badawczą przedmiotu, nie możemy jeszcze powstrzymać jednej uwagi, ściśle z tym przedmiotem związanej. Zgłębianie literatury XVI i pierwszej połowy XVII w., w której poezya religijna, tak niepowszednie zajmuje stanowisko, prowadzi do poznania całej prostoty i wszystkich piękności języka naszego w tym złotym wieku narodowego żywota. Dzięki Kochanowskiemu, Bazylikowi, Bielskiemu, Górnickiemu, dzięki kaznodziejom protestanckim i katolickim, dzięki znakomitym mowcom i statystom, język nasz — możemy to powiedzieć bez przechwałki — był podówczas stosunkowo wyżej wykształconym niż np. francuski. Ale wkrótce wszystko: i majestatyczna, gorąca, z serca wyrzucana proza Skargi, i surowa a mocna wymowa Birkowskiego, i przezroczo-piękny, przeczysty język Gembickiego w jego hymnach protestanckich: wszystko to wraz z poprzedniemi wytworami ducha narodowego ginie dla życia, ginie w życiu, pod zalewem łaciny, która najścia dwukrotnie na nas dokonywała: w XVI w., gdy się kształciły na niej myśl i mowa nasza, w XVII w., gdy obie od niej zamierać poczęły. Jakżeby się był język nasz wydoskonalił, gdyby nie ten drugi, złowrogi, nieszczęsny najazd, gdyby nie te czynniki duchowe, które pokaleczonej, lichej łacinie prawo gospodarowania w przybytku mowy narodowej nadały! Do jakich-to piękności dojść-by był musiał język nasz, gdyby się był tak rozwijał od Skargi, jak się rozwijał do jego czasów od Reya? Im jaśniej poznajemy szkodliwe wpływy, jakie ze sobą przyniosło zaćmienie umysłów, tem wyżej uczymy się cenić tę cudną mowę dobrych pisarzów XVI i XVII w., która pomimo względnej surowości swojej jest o wiele bliższą uczuwanego ideału polszczyzny niż najwykwintniejsza nawet mowa nasza dzisiejsza. Zaprawdę, jeżeli sprawiedliwemi są nawoływania do odświeżenia, oczyszczenia i wydoskonalenia mowy naszej, to nie znajdzie nikt ku temu czyściejszego źródła, doskonalszej szkoły, nad język piśmienny złotego wieku: stamtąd-to przyjść może odrodzenie, spotężnienie — nowy z własnego łona rozwój. Cudzoziemczyznę z mowy swej wyplenić możemy dziś jedynie

przez zwrócenie się ku mistrzom językowym XVI i XVII wieku. Na nich też poprawimy sobie styl: uczynimy go prostym, poważnym a żywym; przejmiemy go szczerością, której nam tak trudno, wobec pewnej teatralności i jarmarczności dzisiejszego piśmiennictwa, dochować. Uzacniwszy się w ten sposób, już nie na łacinie, ani francuszczyźnie lub niemczyźnie, ale na własnej swej mowie, na samych sobie, wzbogacimy przez to więcej niżby sądzić zrazu można, skarbiec swego żywota. A tym, co kiedyś Psałterz Dawidowy przekładać zechcą, zwrócenie się do języka dawnego przyniesie wielki pożytek. W wiotkiej, kusej, powiewnej szacie dzisiejszej, jakże niewygodnie i niepięknie tym poważnym posągowym postaciom myślowym króla Dawida i jego naśladowców! Może się mylimy, ale mamy to przekonanie, że bez oparcia się na prozaikach i poetach dawnych, nowy tłómacz, choćby najzdolniejszy, nie da utworu, któryby zadowolił i jego samego i umysłową arystokracyę tej powszechności, do której należy *).

*) Wyliczenie i bibliograficzne ocechowanie wszystkich wydań drukarskich Psałterza we wszelkich językach na Ziemiach Polskich zajmuje Estreicherowi w t. IV (XV) jego »Bibliografii Polskiej« systematycznej po koniec wieku XVIII, pod wyrazem Dawid, 23½ str. dwułamowych (61—84). Z tego spisu ułożony wykaz racyonalny dałby statystykę druków, nauczająca nietylko bibliografów, ale i historyków literatury, którzy dziś bibliografią wszelką lekceważą. — W »Bibliografii XIX stulecia« Estreicher podaje spis druków nowoczesnych (1910).

XII.

KRASZEWSKI

(1879, 1906).

Ród Kraszewskich, herbu Jastrzębiec, jest mazowieckim, płockim, i niegdyś pewno z Kraszewa się wywodził. Jeszcze w połowie XVIII wieku Kraszewscy posiadali Szarzyn w Wyszogrodzkiem; inni znaleźli się na Wołyniu i Ukrainie; inni wywędrowali do Wielkopolski; inni nakoniec osiedlili się na Litwie w województwie brzeskiem. Do tego rodu należał Jan Aleksander, regimentarz partyi wielkopolskiej, który w r. 1772 opierał się Prusakom, rabującym ziemię polską już przed traktatem z dnia 18 września 1773 r., K a j e t a n, dobry obywatel z czasów sejmu czteroletniego i Targowicy, i trzej księża, J a n, M a t e u s z i D a n i e l (ob.), z imionami w piśmiennictwie, zwłaszcza ostatni. Legenda rodowa wiązała Kraszewskich z towarzyszami Bolesława Śmiałego, Boleszczycami; zawołania czy przydomki: Kaniowa, Ludbrzyn, Zdzierżek (Paproc.) nurzały ich w mgle podań późniejszych, równie bajecznych jak owo najstarsze. Rodzice Kraszewskiego: J a n, sędzia graniczny ziemski, zastępca podkomorzego i chorąży pow. prużańskiego, później członek Izby kryminalnej w Grodnie, i Zofia z Malskich, z Romanowa na Podlasiu, mieszkali w r. 1812 stale w Dołhem, o milę od Prużany. »Druga wojna Polska« wypędziła panią Kraszewską jeszcze przed manifestem wyłkowyskim (22 czerwca) z Litwy do Warszawy. Tu, w zajeździe Zienteckiego, niegdyś pałacu Słuszków,

przy Aleksandryi, nr. 1768 (dziś Szpital dziecięcy), urodził się p. Janowi syn, przyszła sława narodu. Dzień 28 lipca stwierdzają obie metryki, cywilna i kościelna: pierwsza z dn. 31 lipca, druga z d. 6 sierpnia 1812 r. Przypomniano je sobie dopiero w r. 1879 i sprostowano mylną datę 26 lipca, którą i sam Kraszewski i piszący o nim za prawdziwą podawali. W obu tych aktach imiona idą w porządku »Ignacy Józef«, a nie, jak już się utarło, »Józef Ignacy«.

I.

Wychowanie; na Litwie i Polesiu. Dziecię wzrastało w Romanowie, o milę od Białej, nad Bugiem, w domu babki, Malskiej, i prababki, Nowomiejskiej. Oprócz nich mieszkały jeszcze we dworze romanowskim dwie ciotki: pierwsze zatem wychowanie chłopięcia było przesycone kobiecością, ociekające nabożnością, w stylu czasu bogobojne a miękkie. Żywy i pojętny, od razu już rwał się do litery, do książek, a jeżeli jemu samemu z późniejszego wieku wierzyć mamy, to nawet w malenkości już posiadał żyłkę literacką. Czytać jeszcze nie umiał porządnie, ani pisać, kiedy już z liter drukowanych układał zdania, nawet bajeczki. Mniej miał ochoty do nauki obowiązkowej niż do czytania poza lekcyą: »po lekcyach kradłem książki, aby je czytać« (»Obrazy z życia i podróży« T. I, str. 10), a skradł raz i, »drżąc ze strachu«, przeczytał romans pani Radcliffe, okropnościami nastroszony. Przy rozwoju umysłu i czucia umysłowego czynne było i piękno krajobrazowe przyrody: chłopcu dało zamiłowanie rysunku, młodzieńcowi — malarstwa, a powieściopisarzowi dar ożywiania przestworu. W r. 1822 oddano dziesięciolatka do szkoły wydziałowej w Białej Radziwiłłowskiej i umieszczono na stancyi u rektora Preissa. Miał tu między innymi za nauczyciela Adama Bartoszewicza, ojca Juliana, a za kolegę — Jana Glogera, ojca znanego starożytnika. Z woluminowych wypisów rękopiśmiennych Bartoszewicza poznał kilku dawniejszych pisarzów polskich, a na strychu akademii dorwał się do Zielnika Marcina z Urzędowa, najpierwszej starej książki, jaką poznał w życiu. Czar przeszłości z ruin zamku bialskiego podał »akademikowi« pióro do ich opisu, a ołówek

do odrysowania. Wspomnienia bialskie utrwaliły się w »Panu Walerym« i w »Wielkim świecie małego miasteczka«.

Po przebytem czteroleciu zawieziony do szkoły wojewódzkiej w Lublinie, Józio rok tylko w niej przebył: i nauczyciele i uczniowie nie przypadali mu do serca, nauki go męczyły; zdaje się, że i jego własna krnąbrność zmusiła ojca do poszukania nowej uczelni. W roku 1827 pojechał młodzieniaszek do Świsłoczy. Dopiero tutaj zaczął się umysłowo wyrabiać, chociaż przybywał już z ćwiczeniami swej muzy, prozą i wierszem, a miał z sobą i przekłady bajek Lafontaine'a, jeszcze z Białej. Przewodnictwo filologa Alfonsa Walickiego przyniosło uczniowi rzeczywisty pożytek. Jemu-to zawdzięczał otarcie się o nasz wiek XVI, jemu poważne już oddanie się literaturze i obudzenie się zmysłu językoznawczego. W Świsłoczy poduczył się języków nowożytnych, a naborykawszy się z łaciną, jako tako ją opanował; poza lekcyami zaznajomił się z Molièrem. W Świsłoczy zrobił przekład życiorysu Cycerona, wziętego z Plutarcha a poznanego może po łacinie, może też w jednym z języków nowożytnych, i do przekładu własne przypisy dołączył[1]). W Świsłoczy powziął zamiar napisania »*Glossarium* na podstawie Lindego« (miał to być słownik jęz. staropolskiego); zaczął pisać rozprawę o przysłowiach polskich; zbierał zasoby do historyi języka (»Obrazy« T. I. str. 99, 100). Dostawszy dwie nagrody, posiadł już dobrze nabyte prawo do nauki wyższej.

W r. 1829 zawiózł go ojciec do Wilna, na wydział literatury i sztuk pięknych. Echa życia uniwersyteckiego odzywają się w »Improwizyach«, w »Janie Dubeltowym«, w »Poecie i Świecie«, w »Powieści bez tytułu«, w »Obrazach«, w »Pamiętnikach nieznajomego«, a w wiele lat później w uroczych »Metamorfozach«; ale wszystkie razem wzięte nie dają jeszcze odgłosu rzeczywistości, historyi człowieka, historyi jego pracy umysłowej i dróg, na których się umysł rozwijał. Mgły do dziś

[1]) Rękopis tego przekładu znajduje się w bibliotece romanowskiej na Podlasiu, u synowca wielkiego pisarza, p. Krzysztofa Kraszewskiego. Tłómacz przeznaczył pracę swą w darze dla Adama Jundziłła. Rękopis, już ocenzurowany, nosi datę złożenia w cenzurze »1829 r. 28 grudnia v. s.«.

(Do tekstu pierwotnego poprawki wprowadzone według wskazówek p. Bogusława Kraszewskiego w Dołhem przy liście z dn. 14 paźdz. 1909; (1910).

dnia jeszcze pokrywają lata dla genezy talentu najważniejsze. Dostrzegamy odrazu pisarza i nawet przedsiębiorcę literackiego; nie widzimy studenta uniwersytetu poza obrębem życia koleżeńskiego. Mieszkając przy kościele św. Jana, w domu Orłowskiej, Kraszewski pisze tu »Pana Karola«, »Cztery wesela«, »Pana Walerego«, i »Wielki świat« pod dziwacznym pseudonymem Kleofasa Fakunda Pasternaka; tu również lęgnie mu się w głowie »Książeczka do zapalania fajek«. Nareszcie namiętność wejścia w druk nasycił: oddał do »Noworocznika na r. 1831« — »Wieczór, czyli przypadki peruki« i »Biografię Sokalskiego organisty«, wyjęte z owych powieści.

Z wydawcą literackim »Noworocznika«, Klimaszewskim, inny jeszcze, o wiele dostojniejszy, zacieśnił się węzeł: w drugiej połowie maja 1831 r. znalazł się Kraszewski w gronie młodzieży, której część wyszła potem z nauczycielem wileńskim do powstania. Czy i on sam do tego zastępu należał, czy też tylko w rozmowach, naradach i marzeniach grona uczestniczył: tego nigdy publicznie nie powiedział, a korespondencya prywatna również wątpliwości nie rozstrzygnęła. Jest podanie, że młodzieniec uczestniczył w wyprawie zbrojnej; zrazu skazany na śmierć, później miał pójść na Kaukaz. W każdym razie znalazł się w więzieniu, które go nie puszczało przez czas powstania i jeszcze po niem. Wydobył go na świat dopiero ojciec, dn. 19 marca 1832 r., narzucając mu akt skruchy, żądany przez gubernatora generalnego jako *conditio sine qua non*.

Uratowanego syna powiózł szlachcic do Dołhego. Tu Kraszewski napisał »Kościół ś-to Michalski« i »Ostatni rok panow. Zygmunta III«; stąd zaglądał często do Wilna, gdzie w sierpniu 1832 roku wydał prospekt na »Kilka obrazów towarzyskich«, a w nich na swe pierwsze powiastki.

Tego roku wrócił do stolicy litewskiej na stałe, aby uczęszczaniem do obu akademii, duchownej i medycznej, szczątków jedynych zniesionego już uniwersytetu, wzmocnić w sobie wiedzę, którą mu więzienie było zatamowało, a powieściopisarstwo zmąciło. W szkole dla księży na wspólnych ławkach z Kraszewskim zasiadał Skimborowicz, aby słuchać m. in. Borowskiego, ale przyszła znakomitość uczęszczała i do Akademii Medycznej: widać to nietylko ze świadectw Skimborowicza, lecz i z nie-

wątpliwego przyznania się samego Kraszewskiego w »Poecie i Świecie«, gdzie Gustawem jest przeważnie on sam. Literacko pracował bez przerwy; wyrzekł się nareszcie drukowania prac lingwistycznych, porzucił słownik staropolski, zawiódł Glücksberga, który już w r. 1832 ogłosił był projekt na »Słownik polsko-rosyjsko-francuski« jego redakcyi: ale książki i pióra z rąk nie wypuszczał. Z literatury lekkiej przełożył ulubionego de Kocka »Dom Biały« (r. 1833); wydał »Improwizacye dla moich przyjaciół« (r. 1834); przysłał »Zniczowi« z r. 1835 parę świeżych wierszy, z których uderza »Zawsze razem«. Tu Kraszewski odsłania publicznie jakieś miłosne swe uczucie ze szlachetnym bardzo nastrojem: najpierwszy literacki wyraz serca indywidualnego. Wiersz lub prozę spotykamy w tych i w następnych latach w »Birucie«, »Bojanie«, »Linksminie«, znacznie później i w »Roczniku« Podbereskiego. Wczytując się w literaturę staropolską, daje młody pisarz naśladowanie Reya (»Bojan« 1838 r.). Głównie jednak na powtórnych studyach akademickich zdobywał wiedzę i zbierał zasoby do prac o charakterze naukowym; obmyśliwał, układał i pisał »Gramatykę historyczno-porównawczą języków słowiańskich«; tonąć jeszcze w dyletanckich marzeniach nie przestawał. Poważnie pracował nad literaturą ojczystą i nad francuską, kształcił się na krytyka, poznawał zwłaszcza romans przeszły i teraźniejszy; a tak dbając o siebie, o uczciwą swą przyszłość w literaturze, otwierał sobie coraz szerzej wrota do organów opinii literackiej. Rzadka lotność myśli, wrażliwość, ciążenie do wiedzy, niezwykła jakby okolność wzroku umysłowego sprawiły, że na co spojrzał, to chciał już zaraz posiąść: widząc się w Wilnie, zapragnął być jego historykiem; czując się na Litwie, zaczął się rozpędzać do spisania jej dziejów. Własne czytanie i dostrzeganie daleko więcej zaważyły w jego zawodzie, niż ubożuchne studya w obu akademiach, najprawdopodobniej tylko do końca roku szkolnego 1833—4 prowadzone.

Coraz bardziej kazał na siebie patrzeć, o sobie mówić. Tensam »Tyg. petersburski«, który w r. 1833 niemiłosiernie go był wychłostał za powieści historyczne, w r. 1836 otworzył mu swe łamy dla krytyki dzieł historycznych Narbutta i Balińskiego. Z tego i z następnego roku znajdujemy w »Tygodniku« około dziesięciu artykułów Kraszewskiego z krytycznym już sądem napisanych. »List do J. K.« (Józefa Krzeczkowskiego), apostrofa do PP. A. B. C. D. E. i t. d., a zwłaszcza wyborna chłosta miernot »Jak się robią książki nowe ze starych książek« (»Tyg. petersb.« 1837 nr. 38), zrobiły rumor. »Tygodnik« stał się dla Kraszewskiego jakby mównicą publiczną. Tu zamieszczał wyjątki z »Pamiętników« swoich obok całej seryi »Asmodeusza« i »Chorób XIX w.«; tu ogłosił prognat swej »Gramatyki« (1837 r. nr. 57) z owem jeszcze »*Glossarium*«; tu wydrukował »Przeszłość i przyszłość romansu« (1838 nr. 29—30); tu dał publiczności czytającej małe arcydzieło »Domy i ludzie« (»Obrazy z życia i podróży«). Rzecz o romansie była uzupełnieniem o dwa lata wcześniejszej »O polskich romansopisarzach« w »Wizerunkach naukowych« z r. 1836, gdzie surowo z nimi się był obszedł: aż do Mickiewicza jeden tylko Krasicki ocalał, a Bronikowski rozbudził żal, że nie pisze po polsku. Według krytyka-historyka »romans innego celu nad estetyczny mieć nie powinien«: taki kanon, z Kraszewskiego wychodzący, jest ważnym. Wogóle surowy dla swoich, w powieści polskiej stwierdzał brak oryginalności, genialności, a nad całą literaturą twórczą — oczywiście tylko polską — nie wahał się zawołać: »Gdyby nam groził pożar aleksandryjski, niewiele mielibyśmy do ratowania« (»Wędrówki« T. I, r. 1838).

Nietylko w sprawach literatury, ale i w sprawach życia przebłyskują śmiałe, zuchwałe poglądy, może tylko nagłe promienie raczej wrażliwości niż rozwagi i przekonania; mogły one zapowiadać na jutro myśliciela i pisarza radykalnego, a musiały ukazywać już dziś siłę samoistną i samodzielną, do stworzenia czegoś nowego powołaną. Zaczęły się sypać żądania z Wilna, z Warszawy z za kordonów. »Tygodn. literacki« poznański, później poważny »Orędownik naukowy« Poplińskich i Łukaszewicza, »Lwowianin«, Pamiętnik naukowy« krakowski — zabiegały o pióro Kraszewskiego; dwa pierwsze stale zasilał. Najlepiej odbija się ten okres twórczości młodego pisarza w zbiorze »Wędrówki literackie, fantastyczne i historyczne« (3 t., 1838—40), w »Obrazach« i »Typach i charakterach« (1854). Gdy tak przez lat kilka, od r. 1835, u jednego bieguna, pod rządem rozsądku i wiedzy zbierały się przeważnie krytyki,

z surową autokrytyką złączone (»Wędrówki« T. I. str. 113—6), u drugiego gromadziła się poezya. Powieściopisarstwo, mające od samego początku tak wybitny charakter satyry na obyczaje, zwolna tylko się pomnażało: w r. 1837 przybyły w druku: »Dwa a dwa cztery« i »Pan Bartłomiej«, jednością ludzi i przygód złączone, satyryczne, ale dawniejsze.

Po zamieszkaniu na Polesiu w Omelnie (pocz. 1835 r.) energia, z jednej strony oddana krytyce, z drugiej podsyca poetyczność. W r. 1838 ukazują się dwa spore tomy »Poezyi«. Wpłynęły w nie wiersze już przedtem drukowane, a nieliczne; najwięcej było nowych, wśród nich zaś ogromna, wymierności i dramatyzmu pozbawiona, »Halszka z Ostroga«. Wiersze liryczne miłosne przejmuje smutek i zwątpienie; z opisowych wyróżnia się »Biruta«. W Omelnie powstała »Witolorauda«, z Omelna wyszła powieść »Świat i Poeta«, więcej poemat, zwierzenie się z życia, niż utwór powieściowy, dyskretnie aż do Poznania po druk wysłana. Pomimo opatrzenia datą »1844« zamieszczone w »Ondynie« Wolfganga na r. 1846 »Pieśni, piosnki, piosneczki« musiały zadźwięczeć w Omelnie. Na ten okres również przypada fantazya »Szatan i kobieta«, z wrażeń osobistych powstała, mimo surowych krytyk mająca sporo piękna i w odtwarzanem człowieczeństwie i w wysłowieniu, zwłaszcza w nocy jedenastej. Poetyczny charakter ma wstęp do T. II oraz »Życie sieroty« w T. III »Wędrówek«, napisane jakby krwią i łzami i niewątpliwie do sztuki wniesione z rzeczywistości. Ale w tem wszystkiem struna patryotyczna, mimo ustawicznych żarów, mąk i bólów rzeczywistości dziejowej, ani zadrgała: nie ukazało się nic za życia, choćby z pod dziesiątej zasłony, nie znalazło się nic po śmierci w pozostałości rękopiśmiennej, coby już musiało posiąść wartość relikwii.

W Omelnie zbliżył się Kraszewski do Horodźca, którego dziedzic miał wielką, do 20 000 tomów, bibliotekę, a w niej rękopisy ważne, inkunabuły, aldy, elzewiry. Stara książka, stary papier odrazu zacieśniły węzły z Urbanowskim; sąsiad-dzierżawca, stały już gość w Horodźcu, zaczął formalnie plądrować po bibliotece, jakby po swojej. Gdy później z domu Urbanowskich brał sobie żonę, żartowano, że się żeni z biblioteką. Zasobności zbiorów horodeckich zawdzięczył Kraszewski bardzo

wiele w swem wykształceniu; dzięki księgozbiorowi Urbanowskiego mógł już w r. 1835 dać do »Wizerunków« artykuł godny uczonego o sfałszowaniu t. zw. Rękopisów Zelizów z V—XI w.; w tym księgozbiorze prowadził już systematyczne studya nad literaturą ojczystą, najsyntetyczniej spożytkowane w zarysie »Życie domowe kilku z dawniejszych pisarzów naszych« (»Tyg. literacki« 1841).

Głośnym już w całej Polsce pisarzem zaczęła się zajmować i krytyka zasadnicza. W r. 1837, jedna z wielkich powag, M. Grabowski powiedział o nim: »kopie złotą rudę: dlaczegóżby się nie miał wzbogacić!« (»Lit. i kryt.« T. II, str. 177); martwiło go tylko to, że kopacz nie chce być Walterscottem polskim: rzeczywiście, Kraszewski nie chciał iść za »kulawym bożkiem Szkocyi«, wolał »literaturę szaloną«, Wiktora Hugo i Balzaca; dzieł George-Sanda, »składanej roboty kobiety i mężczyzny«, za płody wyższego talentu nie uznając, wolał Sterne'a, Richtera, Hoffmanna, nawet Kocka, z dawniejszych zaś wysoko cenił Shakespeare'a. Ksiądz Ludwik Trynkowski, ze szlachetnych dążeń i nieszczęść swoich znany, w r. 1837 po ojcowsku, zapalając się dla wielkiego talentu, wierszem upominał go: »gdy sam bujasz, pozwól innym lot swój mierzyć« (»Tyg. petersb.« nr. 96). Groza, podziwiając jego wielką płodność — a była ona przecież dopiero zabawką wobec późniejszej — wróżył mu nieśmiertelną sławę. Edm. Wasilewski odrazu poznał się na młodej, niezwyczajnej sile: powitał ją jako pierwszego, istotnego powieściopisarza polskiego (»Pam. nauk.« krak. w 1837 T. III): w cztery lata później w obszernym już, dobrze napisanym rozbiorze (»Oręd. nauk.« 1841 nr. 15—16) stanął do walki z krytykami, a jak za pierwszym razem sławił żywotność psychologiczną postaci, dar odtwarzania życia, tak teraz znowu przyznał moc »przenikania do kryjówek serc ludzkich«, geniuszom tylko właściwą. Wielkość talentu stwierdził i krytyk »Przeglądu naukowego« z r. 1841. Krańce tylko nie były zadowolone: »Tyg. petersb.« (1839, nr. 81) zarzucił brak wiary, nawet niewiarę; obóz demokratyczny (Dembowski, Goszczyński) gniewał się na złe używanie talentu (»Piśmiennictwo« Demb.; »Rok« poznański). Kraszewski szedł dalej i pióra nie wypuszczał z ręki. Gdy

w r. 1836 do Krzeczkowskiego wołał: »Tylem się umordował w tak krótkiej podróży«; nie mówił prawdy: jego zmordować mogło tylko próżnowanie.

II.

Okres Wołyński. W r. 1838 ożenił się Kraszewski z Zofią Woroniczówną, synowicą prymasa, poznaną w domu Urbanowskich. Podróż poślubna do Warszawy, gdzie nowożeniec, wskutek obaw policyjnych, bawił *incognito*, dała mu sposobność do zwiedzenia pracowni Suchodolskiego i zostawienia odpowiedniego śladu w »Tygodn. petersb.«: tu widać już człowieka zajętego sztuką malarstwa ze strony rozumowej, estetycznej, a nawet osobiście ją uprawiającego. W rok później przenieśli się małżonkowie na Wołyń, do Gródka pod Łuckiem, i tu dopiero rozpoczęła się charakterystyczna dla okresu, wydoskonalona już, zupełny wyraz zdolnościom dająca, sztuka powieściopisarska Kraszewskiego. Dla zamknięcia okresu poprzedniego w r. 1840 podjął on wydanie »Szkiców obyczajowych«, a w nich jako nowe, pierwszy raz drukowane, dał: »Mistrza Twardowskiego« »Historyę o bladej dziewczynie z pod Ostrej Bramy«, »Stańczykową kronikę«, »Ostatnią z książąt Słuckich«, »Całe życie biedną«. »Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy« (Wilno 1840, 2 tomy) również zamykały lata dawne, otwierając nowe nielicznemi jeszcze wrażeniami z nowej widowni. W tych »Wspomnieniach« Kraszewski sięga niejednokrotnie we własną swą przeszłość; przywiązany jest do nich szczególniej i po dwudziestu jeszcze latach podejmuje nowe ich wydanie w Paryżu, z własnemi ilustracyami.

W Gródku pierwotny pomysł bohaterskich walk mytycznego syna Mildy i Romoisa, Heraklesa Litwinów, zamknięty w »Witoloraudę« (1840), rozrósł się w ogromną trylogię »Anafielas« (postać skażona). Część I, cała mytyczna, ma rzadkie tylko przebłyski natchnienia, odbija wszakże dobrze wiekową zamierzchłość i nie jest pozbawiona wyrazistości, zwłaszcza w opisach krajobrazowych i w scenach lirycznych. Niezwykłe jest tu wprowadzenie rumaka niebieskiego Jodzia w pałającej namiętności fizyologicznej. Części II, »Mindows« (Mindowe, 1843), wytworzonej z nawrócenia się i upadku Mendoga, braknie perspektywy, szkodzi jej natłoczenie przygód; ma jednak słuszność Tyszyński (»Bibl. Warsz.« 1846; »Rozb. i krytyki«), gdy ją za najlepszą uważa. Są w niej momenta wybitne (Zabicie krzyżaka, Trojnat i Nerges, Pieśń Utena). Najsłabsze, »Witoldowe boje«, pierwotnie »Witoldem« nazwane, wogóle stanowią kronikę wierszowaną, ale mają też i rzetelną poezyę (Pastwienie się Maryi ironią i przekleństwem nad Woydyllą, Upominanie Witolda przez ducha w więzieniu krewskiem, Skon bohatera); zużytkował tu poeta dawniejszą swą »Birutę« ze zbioru poezyi. Z »Witoloraudy« wyjęta jest i odpowiednio do wymagań libretta pod kantatę Moniuszki przerobiona »Milda« (1859).

W r. 1857 ukazały się w Paryżu »Hymny boleści«, zbiór wierszy elegijnych i psalmodyjnych. Nie można ani oznaczyć ściśle czasu ich powstania, ani też odtworzyć ich podkładu z samych tylko wiadomych danych życia zawodowego i publicznego; ale jest prawdopodobieństwo, że je Kraszewski napisał podczas wojny krymskiej. W tych »Hymnach« pisarz-poeta, z nieodstępną swą prostotą i szczerością, skarży się i korzy Matce Boskiej i Bogu na łono rzuca, ale ziemskich kształtów swego bólu nie odsłania; dopiero dwa przedostatnie urywki są jakby głosem bijącego dla wszystkich i za wszystkich serca. Całość kończy się rozkazem: »Męczennicy, z obliczem umrzyjmy wesołem«; niejasność przecież i tu nie znika. Są w »Hymnach« strofy wzruszające, piękne, nawet silne; nastrój jakby mesyanistyczny.

W r. 1858 wydał Kraszewski p. t. »Wioska« (rysunki) wiersze sielankowe ze wspomnieniami miejscowości, w których mieszkał od r. 1832. Drobne wiersze, nieobjęte »Poezyami«, są: »Urywek« z »Athenaeum« 1843, użyty za wstęp do »Hymnów«, »Wspomnienie« i »Mój śmiech« z »Bibl. Warsz.« 1853. Nie porzucał Kraszewski i dramatu: w r. 1844 wydał znowu ogromnych »Tęczyńskich«, a gdy go życie sprzęgło z teatrem, jął pisać sztuki dla sceny pod dozór i ster wziętej. Zaczęło się to już w r. 1856 (»Dwie komedyjki«: Portret, Łatwiej popsuć niż naprawić), ciągnęło przez długie lata, wydając niekiedy wyraziste a wesołe obrazy z życia staropolskiego jak »Stare dzieje« (1859), »Miód kasztelański« (1860), »Radziwiłł w gościnie« (1872).

Powieściopisarstwo na Wołyniu uprawiał Kraszewski w dwu głównych, najważniejszych kierunkach: powieści obyczajowej, krytycznej i społecznej, oraz powieści ludowej. Dążność obu wskazują owe »Obrazy«. Tu w nowych rysunkach satyrycznych: »Charaktery« i »Dubno podczas jarmarków«, oraz w dawniejszych »Domy i ludzie«, mamy jakby programat powieściopisarstwa wołyńskiego. W owych czasach samo ujęcie artystyczne kilkunastu typów zwyrodniałego szlachectwa w »Szlachtografię« (»Oręd. nauk.« 1841) było zarazem czynem odwagi, pracą indywidualnego rozumu i dziełem prawdziwego talentu. Spekulator, Pyszałek, Pan bez majątku, Pan-literat, Pan-protektor, Szlachcic z musu, Szlachcic z mody, Pan popularny, Pan-kosmopolita, Chory na pana, Dorobkiewicz, a pod nimi wszystkimi jęczący lud — zaludniają powieści wołyńskie. W dobie głębokiego uśpienia samowiedzy, daremnie przez Szubrawców jeszcze targanej (1816—1823), warto było ogniem wypalać zwięzły a dobitny regestr obowiązków z T. II »Obrazów« (str. 162—3), gdy ideałów Pana i Pani (str. 173—81) uporna rzeczywistość wcielać nie chciała. W »Latarni czarnoksięskiej« (oddz. I, r. 1843, II 1844, po 4 t.) wyraźnie już wskazał Kraszewski usamowolnienie i oczynszowanie ludu wiejskiego jako nakaz moralny a konieczność społeczną, wyprzedzającą nawet samą oświatę i podniesienie z padołów. Gniewano się mocno za ten utwór, niebardzo artystyczny, ale będący zolowskim dokumentem życia. Podobną do tej jest późniejsza o lat osiem powieść »Komedyanci« (cz. I r. 1851, II 1854), estetycznie wyższa a ideowo równie wyrazista. Wspaniałe i jako dzieło sztuki i jako owoc myśli rozumnej o życiu są »Dwa Światy« (1856); poprzedziły je »Dziwadła« (1853), a nastąpiły po nich »Resztki życia« (pis. 1858, druk. 1860). Dążność z lekka satyryczną do ukazywania małości i małostkowości życia w ich przejawach naiwnych widać w »Interesach familijnych« i »Złotem jabłku« (obie powieści r. 1853).

Jednocześnie z »Latarnią« ukazała się »Ulana«, nietylko *w pośród powieści samego Kraszewskiego, ale w całej literaturze naszej najpierwsza rzeczywista, artystyczna, nie dydaktyczna, powieść ludowa*: dał w niej poeta-dostrzegacz odrazu arcydzieło. Płomieniste znaki utrwalają tu ówczesne państwowanie, paniczykowanie dworskie wobec chaty; czystość i szczerość wzmacniają potęgę namiętności, wprawiającej w obłęd; specyalna samowiedza ludu, swoiste odczuwanie świata i ludzi, sposób życia i zachowanie się — mistrzowsko pochwycone. Nigdzie ani cienia koturnu, a jednak wrażenie z utworu głęboko tragiczne: od martwego ciała Ulany wieje na dwór wicher grozy. To, że lud cierpiący był etnograficznie obcym pisarzowi, nie osłabiało w nim współczucia, bo ponad artyzmem unosiła się myśl społeczna, ukazująca konieczność, nietylko zgodnego współistnienia, ale i dobrotwórczej opieki, a poczucia i przekonania polityczne współczesnych nie były się jeszcze oderwały od tego naturalnego dla umysłów polskich podłoża, jakie im dawało dziejowe, tylu wiekami uświęcone, rozpostarcie się terrytoryalne Rzeczypospolitej; dzisiejszych rozróżnień i różniczkowań, dzisiejszych przepaści, powyżłabianych przez całe potopy nienawiści, żądz i fanatyzmów politycznych, jeszcze wówczas nie było: mógł tedy Kraszewski ujmować się za ludem rusińskim jakby za swoim własnym.

Założeniem i opowieścią zbliża się do »Ulany« »Budnik« (»Bibl. Warsz.« 1848 i os.), z charakterem głównym prawdziwie wielkim. W samo wnętrze życia ludowego najgłębiej powieściopisarz wniknął w »Ostapie Bondarczuku« i »Jarynie« (1847, 1850). »Ostap«, wiążący się z »Historyą Sawki«, już bez wszelkich osłon obnaża nieprawy stosunek szlachty do ludu. I tu, jak w »Budniku«, mamy bohatera o wielkiem sercu. Piękna, poetyczna »Chata za wsią« (nap. r. 1852, wydr. w »Bibl. Warsz.« 1853 i os. 1854—5), wprowadza jako nowy żywioł ludowy Cyganów, a namiętność w niej względem dworu staje w stosunku wręcz przeciwnym temu, z którego powstała »Ulana«. Najwspanialszym, majestatycznym jako charakter ludowy jest stary garncarz »Jermoła«; gdyby tu luźne powiązanie obrazów zastąpiła była kompozycya ze wspólnem dla przygód ogniskiem, utwór ten stałby się arcydziełem literatury powszechnej. *Pierwiastek prawdziwego, ewangelicznego chrześcijaństwa w duszy jednego »Jermoły« starczyłby na obdzielenie tysięcy: cały świat* szlachecki Kraszewskiego nie ma w sobie jednego choćby charakteru godnego zbliżyć się do tego męczennika cnoty, ofiary cierpień, wysłowionych z rozdzierającą siłą, i, co trudniejsza, z prostotą. Do ludu należy z tematu swego: »Ładowa pieczara« (1852). Ostra satyra na szlachtę, wystąpiwszy z nowemi oka-

zami z przeszłości, w »Typach i Charakterach« (1854), zjawia się jeszcze w ostatniej co do czasu, ale nie ostatniej co do wartości, mądrej przypowieści ludowej »Historya kolka w płocie« (nap. r. 1859. drk. 1860) ze znanem Pięciorgiem Przykazania Szlacheckiego.

Obok powieści współczesnej, krytykującej obyczaje, i powieści ludowej rozwija się ze słabych początków wileńskich powieść historyczna, nieporównanie już od pierwiastkowych wyższa: »Maleparta« (1844; z opowiadań zasłyszanych w Lublinie); »Żacy krakowscy« (1845); »Zygmuntowskie czasy« (nap. 1844, drk. Warsz. 1846; przeprawy z cenzurą i z Orgelbrandem); »Ostatni z Siekierzyńskich« (1851; z opowiadań ojca); »Kordecki« (1852; ułoż. z »Gygantomachii«); »Dyabeł« (nap. 1853, t. r. w »Gaz. Warsz.«, drk. 1855); »Staropolska miłość« (1859), dziwnie pociągająca. Z tęsknoty ku ludziom, ku życiu, które niegdyś chyba lepszem niż dziś być musiało, napisał Kraszewski jeszcze na Wołyniu »Starego sługę« (1852) i wdzięczną »Bożą czeladkę« (1859, drk. 1860).

»Pamiętniki nieznajomego«, pełne uroku (1846, przerob. 1854) i »Powieść bez tytułu« (nap. 1853—4, drk. 1855 w »Gaz. Warsz.« i os.) są powieściami charakterów i popędów bez dążności społecznej; obie z prawdą psychologiczną i siłą malują młodość i miłość, z obu też prześwituje przeszłość samego autora, w licznych szczegółach, w samym nastroju »Pamiętników« odrazu uderzająca. »Powieść bez tytułu« jest jakby nowem opracowaniem tematu powieści »Poety i Świata«, która dojrzałemu talentowi ani etycznego ani estetycznego zadowolenia dać już nie mogła. W »Metamorfozach« (1859) pierwiastek biograficzny ma jeszcze większe natężenie: Kraszewski maluje tu nietylko własną swą młodość, ale i młodzież uniwersytecką, a maluje mistrzowskim pędzlem realizmu uległego idealizmowi, aby ją potem ukazywać w zwierciedle późniejszej o wiele rzeczywistości do niepoznania zmienioną.

Myślenie o charakterze filozoficznym, usiłujące dotknąć się zagadki bytu, ujawniającej, choć słabo i zgoła bez stałości, pogląd na świat, występuje w »Krzyżu na rozstajnych drogach« (1843; »Roczn.« Podbereskiego) w »Łzie i w niebie« (»Bibl. Warsz.« 1847) w »Podróży do miasteczka« i »Pieśni życia« (obie nap. 1856, drk. 1857) — czterech poematach prozą; wreszcie w nieudałym »Tomku Prawdzicu« (1857), w »Trapezologionie« (nap. 1851, drk. 1855), nakoniec w »Chorobach wieku« (1857), z któremi węzłem wspólnego stanowiska krytycznego i dążności społecznej łączą się »Wieczory Wołyńskie« (»Dz. liter.« lw. 1859 i os.) i owa »Hist. kolka«. »Choroby«, przesycone morałami, pełne jęków na materyalizm, utożsamiany z przemysłem i handlem, na Zachód i narzuconą przezeń Chryzolatryę, oparte naułudzie, że ideał Chrystusowy — człowieka czystego — da się wyrobić w duszach przez dotychczasową praktykę chrześcijaństwa w pozytywnym kościele i pozytywnej, wtłaczanej przezeń religii — postawiły Kraszewskiego nakrótko w rzędzie myślicieli-wsteczników. Zachodowi dostało się w »Wieczorach«: on-to narzuca na nas Nessusową koszulę materyalizmu i zmysłowości. Z »Wieczorów« również sączą się mętne pojęcia o religijności, o rzeczywistem powołaniu i istotnej użyteczności Kościoła i zacierają wrażenie odbierane od dodatniej krytyki uspołecznienia wołyńskiego i od szczerej troski o lud. Nawoływanie Pawłowe: »Ducha nie gaście!« (»Ch. wieku«) potrzebowałoby wyjaśnienia jakiego-to ducha nie gasić, aby można było pójść za niem. Rada dana Polakom: »Niech inne narody będą bogate i przemyślne: my bądźmy sobie poczciwi; starajmy się być pierwej synami Bożymi niżli dziećmi wieku« — oczywiście, zepsutego — była niegodną tak wybitnego rozumu. Po dawnych satyrach, jeszcze przed kilkunastu laty z serca zbolałego wyrzucanych na papier, nowa walka z samolubstwem, pychą i uporem szlacheckim w »Wieczorach« sprawiała wrażenie czegoś połowicznego, lękliwego, powierzchownego i jaskrawo odbijała od tak przecież niedawnego, na cztery lata przedtem wydanego, okrzyku Atanazego w »Dwu Światach«: »Dziś wszystkie tarcze herbowe na stos złóżmy, pokryjmy całunem i zrzeczmy się ich pamiątki. Szlachty niema, bo niema szlachetności: jest lud i ludzkość«.

Pracy nad dziejami nie przerywał Kraszewski ani na chwilę: myślą był wszędzie, na wszystko miał czas, a historyę kochał. Dopiero za pobytu na Wołyniu ukończył ostateczne opracowanie i druk dzieła »Wilno, od jego początków aż do r. 1750 (Wilno 1840—2, 4 t. 8⁰, 20 ryc., 2 mapy). Owoc 10-letniej pracy miał wyprzeć z pamięci ludzkiej 1-tomową »Historyę

Wilna« Balińskiego (1838), ostro skrytykowaną przez Daniłłowicza w »Tygodn. petersb.«. Do nowego dzieła przejrzał Kraszewski jeszcze podczas stałego zamieszkiwania w Wilnie archiwum miejskie, spożytkował 200 autorów, dodał wykazy wielkich urzędników i spis bibliograficzny; sięgnął nieraz w ogólne społeczno-polityczne i wyznaniowe stosunki, nietylko miasta, ale całego kraju; pracował dużo, rzetelnie: mimo to jednak nie dał dzieła choćby współczesną tylko wiedzę zadawalającego, i powiedziały mu to odrazu »Wizerunki« (pocz. nowy drugi, T. XXII, XXIII r. 1841—2). »Wilno« pozostanie zbiorem cennych przyczynków opracowanych i dokumentów: historyą nie jest. Podobnież i »Litwa« (Warsz. 1847—50, 2 t. 8-o), cała napisana już w Gródku, ale przygotowywana jeszcze w Wilnie, rzecz zakreślona szeroko (T. I: Świat litewski, ziemia i ludzie; T. II: Dzieje od XIII w. do r. 1386), nie wytrzymała sprawdzianu krytyki: najlepsze jest odtwarzanie wyobraźnią życia, do którego wiedza przystępuje zaledwie z początkami dowodów. Ciągnienie dalej »Witoloraudy« wydało z siebie »Litwę za Witolda« (1850; z »Atheneum«), równie jak druga część dzieła obejmującego całość wskutek nowych odkryć przestarzałą. Wartość rzetelną ma »Starościna bełzka« (1858), opowiadanie gwałtu Potockich nad Gertrudą Komorowską, w liczne dokumenta wyposażone.

Kraszewski już w »Tyg. petersb.« z Wilna marzył o polskiej »archeotece«; na Wołyniu jako wydawca rzeczy historycznych żywo się krzątał: zbierał dokumenty i rękopisy, a niektóre zaraz wydawał. Czynił wybór przeważnie dobry, i to, co zrobił, dziś jeszcze cenić należy. Działalność wydawnicza głównie skupiła się w »Athenaeum«, ale dokonywała się i poza niem: »Pomniki do historyi obyczajów« (1843); »Powiastki i obrazki histor.« (1843; wierszem); »Pam. Jacka Hreczyny« (»Oręd. nauk.« 1841 nr. 18, 19), »Pam. Ochockiego« (1857), »Pam. Józ. Drzewieckiego« (1858; całość). Są dokumenta nawet w »Obrazach«, we »Wspomnieniach Odessy« i innych.

Plonem myślenia o literaturze i pracy nad nią po dawniejszych rozprawach i wyskokach w »Tyg. Petersb.« (»Asmodeusz« r. 1837—1839; »Choroby XIX w.« r. 1837—1840) były »Studya literackie« (1842), prawie wszystkie z liczby piętnastu

zasadnicze, potrącające o teoryę. Są tu np. takie temata jak »Życie umysłowe«, »Pierwiastek narodowy w literaturze dawnej«, »Pisarze i czytelnicy«, »O sławie pisarskiej«, »Dramat« z powtórzeniem rad Brodzińskiego, »Przeszłość i przyszłość romansu« (z »Tyg. petersb.«). »Nowe studya« (1843, 2 t.) są przeważnie rozbiorami pisarzów i dzieł, ale znajduje się w nich i owa »Historya języka polskiego« jako »Rys dziejów«, raczej programat wykładu, podany na konkurs r. 1836 w uniw. kijowskim. Po dłuższej przerwie »Poezya szlachecka i legendy herbowe« z »Bibl. Warsz.« 1854 weszły do »Gawęd o literaturze i sztuce« (1857; pierwotnie w »Dzienniku literackim«). Tu zażądał Kraszewski od artystów i literatów życia czystego i odrazu uderzył jakby kijem w mrowisko. Zadania s z t u k i, promieniowanie jej ideałów w naturach artystycznych a słabych wystawił był już przedtem w »Sfinksie« (1847), utworze o bujnej myśli i wiedzy, ale bez ogniska dla przygód, bez porządku w układzie. Tęsamą sprawę w wiele lat później poruszył w »Dajmonie« (1879). Sztuką zajmował się już od lat wielu jako miłośnik, uprawiający malarstwo. Zbierał »Materyały« (1850) do jej historyi, zwłaszcza w Polsce (pocz. »Ikonografii« w »Tece Wil.« 1858). »Sztuka u Słowian, szczególnie w Polsce« (1860) miała być tylko wstępem do olbrzymiej »Ikonografii polskiej«.

Do wszystkich prac, dzieł i utworów Okresu Wołyńskiego przybywają jeszcze trudy redaktorskie i publicystyczne. Człowiek mający coś do powiedzenia światu zapragnął własnego organu i, umówiwszy się z T. Glücksbergiem, zaczął w r. 1841 wydawać w Wilnie dwumiesięcznik »Athenaeum«, pismo raczej zbiorowe niż peryodyczne, na jakie pozwolić nie chciano. Zawiódł się i na warstwie oświeceńszej i na sobie samym. Gdy prospekt (»Tyg. petersb.« 1840 nr. 71) dał odrazu 500 prenumeratorów, już pierwszy rok wydarł ich połowę. Skarżył się redaktor »Oręd. naukowemu« d. 14 grudnia 1842 r. na ludzi; ale powinien był poskarżyć się i na siebie samego: przystępował do pracy bez planu należytego, bez jasnej świadomości zadań i celów, bez tej duszy, jaką czasopismu dać może tylko wspólność poglądów w gronie chętnych współpracowników, potęgujących siły, przekonania i dążności samego redaktora. Z wezwanych do pracy młodsi okazali skwapliwość, starsi nie odmówili

pomocy; odrazu pośpieszyli: Grabowski M., Maciejowski, Rzewuski, Korzeniowski, Sztyrmer, Przezdziecki, Lachowicz; odrazu też autor »Soplicy« skompromitował pismo i zniepráwił redaktora. Już w zesz. IV, w dziale filozoficzno-religijno-moralnym, ukazała się rozprawa Rzewuskiego o »Prawidłach cywilizacyi narodów«, oddająca cywilizacyę w niewolę religii. Samo już zamieszczenie tej pracy było dla Kraszewskiego zgubnem. Na rozstajnych drogach między rozumem a nałogiem nie umiał on wybrać tej, na której tylko jedynie mógł się utrzymać organ umysłowości dodatniej, zbierającej i szerzącej wiedzę życia i prawdę dziejów. Zaraz w zeszycie V wydał nowy prospekt: »takie tylko prace przyjmowane będą, które odznacza wzniosła dążność religijna, artykuły noszące barwę chrześcijańską«; »Athenaeum« stanie do walki z materyalizmem, sceptycyzmem i nowym panteizmem »nowej Europy«; »nie przyjmie nic, coby trąciło zbutwiałą filozofią szkoły francuskiej XVIII w.; zwracać będzie uwagę na walną sprawę pogodzenia filozofii z katolicyzmem«. Tak do jednej cenzury dodawał Kraszewski drugą. W sprawach literatury »zbyt długo, zapatrzeni na Zachód, zapominaliśmy o sobie«: precz z »gallomanią w literaturze«; natomiast »Athenaeum« zaznajamiać będzie z literaturą Słowian«. To wyznanie wiary wytknęło czasopismu niewzruszony już kierunek. Pisywać wprawdzie nie przestał heglista Szczeniowski, ale religii już nie dotykał. Późniejsze współpracownictwo i przyjaźń Chołoniewskiego utrwalić musiały kanon prospektowy.

Wogóle Kraszewski ulegał otoczeniu swemu, środowisku, w którem poruszać się już musiał, gdyż od samego początku steru redakcyjnego nie ujął i rzeczywistej redakcyi nie wytworzył. Błąkając się, a nie widząc wyjścia, wziął się sam do Hegla i zamieścił obszerny traktat niemiecki Otta we własnym przekładzie (1845). Z nienawiścią do Trentowskiego we dwa lata później opracował jego »System filozofii« (Lipsk). Miał pismo religijne, ale nie miał prenumeratorów; nie pomógł mu nowy prospekt z wyrzutami, że »po dziecinnemu się bawim, niczem nie zajmiemy się po męsku« (r. 1845 zesz. V). Ściśle społecznego programatu nie wygłosił wcale, bo go krępowała cenzura, a współpracowników do tego działu w kraju całym nie miał. Jedyną

może pracą dotykającą ustroju społeczeństwa była w r. 1848 o »Kmiotku polskim« Edw. Andrz. Koźmiana.

»Athenaeum« pozostało zbiorem, i to głównie prac historycznych, a najwięcej mu dostarczała własna praca niestrudzonego pisarza. Pomijając wybornie w pierwszym roku prowadzony ruch literacki, sam redaktor jako pisarz i wydawca najwięcej zrobił dla swego pisma: dał mu przeszło trzydzieści prac większych, a wśród nich »Banitę«, »Wspomnienia P. Szambelana«, pierwszy akt »Jana z Nepomuk«, »Historyę Sawki« (1842); dawał nawet wiersze; wydobywał ze skrzyń szlacheckich listy, pamiętniki, szpargały rodzinne, wydobywał z samego siebie wspomnienia i zasłyszane opowiadania, które później szły do »Obrazów«, »Okruszyn«, »Typów i charakterów«. W »Athenaeum« pomieścił »Litwę za Witolda« i wyjątki z »Litwy« syntetycznej; opisywał zabytki i ludzi (nowa biografia J. Kwiatkiewicza), roztrząsał dzieła swojskie i obce, tłómaczył i drukował co mu się bardziej zajmującem wydało (Nowe Pamiętniki Lamartine'a, Złota Legenda Artystów, Andrzej Chenier). W »Athenaeum« po raz pierwszy ukazały się nader cenne pomniki: Instrukcya Łaskiego Lanckorońskiemu z r. 1503 (1841), Listy Zygm. Augusta, Barbary, Chodkiewicza, Władysława IV (1842), Bunt Pińska z r. 1648 (1841) materyały do panowania Sobieskiego (1841), Mazepa (z autografu; 1842), Listy J. Kl. Branickiego (1851), K. N. Sapiehy (1851). W organie swym ogłosił Kraszewski: część I »Pamiętn. Drzewieckiego«, zajmujące pamiętniki Bolesty 1730—90, Soroki: listy Czackiego wraz z artykułem o pierwszych jego pracach: listy Zoryana Chodakowskiego (1841—2).

Przez osiem lat łożył na wydawnictwo Glücksberg, przez trzy ostatnie sam Kraszewski z pięciu protektorami; z końcem jedenastego »Athenaeum« zamknął. W zeszycie ostatnim, wydanym dopiero na wiosnę 1852 r., żegna się (z Hubina dn. 14 lutego) ze swoimi 106-ma prenumeratorami wyznaniem, że »pismo, które o własnych siłach żyć nie może, żyć już nie potrzebuje«. Przez czas istnienia swego skupiało ono naokoło siebie jakich pięćdziesięciu pisarzów, a z tych Chołoniewskiego, Syrokomlę, Pługa wprowadziło w świat; pierwszy z nich zamieścił tu swój »Sen w Podhorcach«.

III.

Życie na Wołyniu. W Gródku, nabytym w r. 1839, osiedlił się Kraszewski już na wiosnę roku następnego. Tu, o kilkanaście wiorst od Łucka, upłynęło mu lat 9 życia, twórczości i pracy w zupełnem zaciszu wiejskiem; tu tworzył wszystkie prawie swoje powieści ludowe; tu wyrobił się na powieściopisarza takiego, jakim już do końca zawodu swego pozostał. Do miejscowości tej przywiązał się mocno; w »Wioscce« rzewnie ją wspomina. Już na wiosnę 1843 r. wyrwał go z Gródka stosunek do Urbanowskich, a w znacznej części własna jego »ciekawość«: pisząc »Zygmuntowskie czasy«, potrzebował krajobrazów stepowych. Wraz z krewną swej żony w lipcu wyjechał do Odessy. Poznał się z miejscowymi naukowcami, zasiadł do pracy w towarzystwie starożytniczem, nauczył się wiele, zebrał obfity plon z ksiąg dawnych; na początku września w pięć dni przeleciał stepy akermańskie i budziackie i w drugiej połowie t. m. jako czynny członek rosyjskiego Towarzystwa Historyi i starożytności w Odessie powrócił do domu. Owocem podróży były 3-tomowe »Wspomnienia Odessy, Jedyssanu i Budżaku« (Wilno 1845—6), zbiór zajmujących wiadomości archeologicznych i historycznych, miejscami samodzielnie opracowany, w którym nie pominął ani Leszczyńskiego w stosunkach z Karolem XII, ani Praw Wołochów w Polsce, ani innych momentów dziejowych.

Poznawszy Warszawę w r. 1838 tylko przelotnie, w poślubnej podróży, zapragnął w r. 1846 dłużej w niej zabawić, a sprawy majątkowo-rodzinne zachęcały do wyjazdu. Z wyrobionym mozolnie przez ojca paszportem obaj udali się w listopadzie t. r. do stolicy. »Kuryer Warsz.« z dn. 29 listop. t. r. w nr. 318 obwieścił przybycie »jednego z najpłodniejszych autorów literatury naszej tegoczesnej, którego dzieła z prawdziwem zadowoleniem są przyjmowane«. Z ramotek Wilkońskiego (»Dzwon liter.« 1846 III 229 nstp.) dowiadujemy się, że go jak raroga oglądać chciano, że go sobie nawet wyrywano; ale nie znajdujemy ani świadectwa, ani śladu zbiorowego, rzeczywiście już literackiego przyjęcia człowieka, który Polaków uczył czytania powieści polskich, a w ciągu lat piętnastu, według obliczenia

Wilkońskiego, napisał aż 130 tomów ledwie nie we wszystkich dziedzinach humaniorów. Ruchliwy dowcipniś i humorysta zastrzega, że Kraszewski nie jest geniuszem, że wygląd jego nie uderza oryginalnością; przyznaje mu przecież talent, i to niezwykły. Wogóle wrażenie było dość umiarkowane, a dłuższy nawet, bo prawie do końca grudnia, pobyt nie zacieśnił żadnych stosunków, po którychby pozostał ślad trwalszy w świecie literackim. Nie były to zresztą czasy ani na zbiorowe wymiany myśli, ani na przyjęcia lub bankiety publiczne: jesteśmy przecież w burzliwym roku 1846; w Warszawie zjawia się Kraszewski w dwa tygodnie po zajęciu Krakowa przez Austryaków. Podróży swej zawdzięczył umieszczenie »Litwy« u Klukowskiego i zawiązanie stosunków z konkurencyjną dla »Athenaeum« »Bibl. warszawską«. Na pamiątkę zostawił jej »Łzę w niebie« (drk. r. 1847; »Okruszyny«) i wrócił do swego Gródka, aby wśród ciągłych kłopotów poznać wszystkie niedogodności gospodarowania po łacinie. Nie mogąc wyjść na swoje, sprzedał w r. 1848 ukochaną miejscowość i w styczniu 1849 r. był już w nowo nabytym Hubinie, również w okolicach Łucka.

Tu doczekał się nowej nadziei otrzymania katedry uniwersyteckiej. Na początku r. 1851 Pol [2]) zawiadomił go, że w Krakowie myślą o jego profesurze, chcąc mu powierzyć wykład literatury powszechnej, a przy niej i polskiej. W sierpniu t. r. Kremer w imieniu uniwersytetu doniósł, że przedstawienie odeszło już do Wiednia, ale już w dwa miesiące potem zawiadamiał, że minister nie ma wielkiej ochoty do podpisania nominacyi: i tak kandydatura, o wiele poważniejsza od dawniejszej, z r. 1836, równie jak i ona spełzła na oczekiwaniach.

Nie dopisywało Kraszewskiemu zdrowie; w lecie 1851 r. zawitał ponownie do Warszawy, już tylko po leki; ale teraz właśnie miało go spotkać gorące zbiorowe przyjęcie: biesiada w resursie kupieckiej pokazała, że go istotnie uczcić chciano jak sławę narodową. Dopiero ta bytność zadzierzgnęła węzły, które pióro Kraszewskiego uczyniły dla Warszawy niezbędnem — stosunek trwały aż do śmierci. Odwiedził autor »Ulany« War-

[2]) List Pola z dn. 8 lutego 1851 r. w »Księdze pamiątkowej Mickiewicza« str. 241—3 (Warsz. 1898).

szawę jeszcze w r. 1855, jadąc na Jasną Górę, której nie znał, i w roku następnym. Ciągłe niedomaganie wypędziło pisarza nad Morze Czarne: w czerwcu 1852 roku pojechał do Odessy na kąpiele morskie. Jechał rzemiennym dyszlem, zawadzając o Rychty Podwysockiego, a przedtem o Kamieniec, którego malowniczość, malownicza przeszłość nie odbiła mu się jednak w umyśle tak, jak na to zasługiwała: powieściopisarstwu nic się z wrażeń kamienieckich nie dostało. Polacy odescy przyjęli Kraszewskiego z zapałem; młódź z Liceum odprowadzała go do mieszkania z pochodniami. W Odessie kąpał się do końca października, z nieosobliwym pożytkiem.

Już wtedy owa łacina w gospodarstwie dała mu się ostatecznie we znaki: wydzierżawił Hubin, tylko sobie mieszkanie zastrzegł. A gdy do tego jeszcze dzieci podorastały i trzeba je było uczyć, postanowił przenieść się do Żytomierza i osiadł w nim w sierpniu 1853 r., nabywszy dom przy ul. Małej Berdyczowskiej. Posypały się zaszczyty i ciężary. Już na samą wiadomość o powziętym zamiarze, w maju t. r., szlachta wybrała Kraszewskiego na kuratora gimnazyum żytomierskiego 234 głos. na 300, ale nadaremnie, bo gubernator wyboru nie zatwierdził; pozwolił mu zato zaraz w roku następnym wejść do komitetu statystycznego i w nim ze strony szlachty przewodniczyć. Znakomitość literacka, wybrana na dyrektora klubu szlacheckiego, zaczęła od zaprenumerowania gazet i poważniejszych czasopism w takiej ilości i doborze, iż się klubowcy zatrwożyli zali nie zechce ich zapędzić do czytania. Nie zepsuło mu to jednak opinii: dn. 12 czerwca 1854 r. przy wyborach na nowe trzechlecie obrano go kuratorem honorowym przez aklamacyę; »na ręku z okrzykiem do koła marszałkowskiego podniesiony« — pisze o wybranym sprawozdawca. Tym razem, przy pewnem już odkręceniu śrub ścieśniających, wybór znalazł zatwierdzenie. Sam Kraszewski uważał urząd za »mało znaczący i niewielką dający moc zrobienia dobrego«, ale jął się go szczerze: pilnie zwiedzał szkoły, na egzaminach końcowych dzień w dzień pokilka godzin asystował, zabiegał o dochody, z własnej nawet kieszeni łożył na biedniejszych; stopniowo wciągał się w robotę i zapalał do niej; dowiódł nie tylko energii, ale i powagi, gdy dyrektora niegodnego urzędu z gimnazyum usunął. Z radością

zabrał się do nowego programatu nauczania w szkołach średnich; spodziewał się takiegosamego zlecenia i co do szkół początkowych; a wobec podobnych robót i nadziei uczucie obywatelskie wyrwało mu z pod pióra okrzyk: »Fraszka literatura!«. Rzeczywiście, literaturę zaniedbał; nietylko zajęcia, ale i obowiązki towarzyskie, zwłaszcza przy ówczesnych naszych obyczajach uciążliwe, nie zostawiały mu na nią czasu: bardzo mało w końcu Okresu Wołyńskiego tworzył.

Do obowiązków poważnych przybył mu jeszcze w r. 1857 ster zwierzchni teatru, zbudowanego i urządzonego kosztem obywatelskim, i prezesostwo w świeżo powstałem t. r. Towarzystwie Dobroczynności. Wrastał Kraszewski w szlachtę, lgnęła i ona do niego: na imieniny 1857 wyprawiła mu uroczysty obiad z toastami, z lepszemi, gorętszemi myślami. Bez Kraszewskiego nic obyć się nie mogło; tylko on sam do zakładanej spółki księgarsko-wydawniczej wejść nie chciał, lękając się, i słusznie, jak okazała rzeczywistość, niepowodzenia; odmowa obruszyła na niego Karola Kaczkowskiego, jednego z inicyatorów, a ten wkrótce znalazł doskonałą sposobność do wywarcia swego gniewu.

Miodowe miesiące pożycia ze szlachtą skończyły się, gdy na stół weszła kwestya włościańska, ten już od Konstytucyi 3-go Maja upiór naszych dziejów. Szlachta, uważając Kraszewskiego za »utopistę, marzyciela«, nie dopuściła go w r. 1858 do narad w gronie, które samo się złożyło i samo też miało prawo się uzupełniać. Nieprzyjęty, napisał list do marszałka łuckiego, w liście zażądał dla chłopa: usamowolnienia i uwłaszczenia sadybą i gruntem, a dla szlachty — niekrzywdzącej a godziwej, umiarkowanej indemnizacyi: tego więc, czem i sam rząd walkę zakończył. Ale tego właśnie było zawiele dla szlachty wołyńskiej: w uwłaszczeniu wielu z niej widziało wydarcie własności. Opatrzono się jednak, ochłonięto z trwogi przed utopiami i pod wpływem rozsądniejszych wezwano Kraszewskiego do swego grona: on darował urazę, szlachta wyprawiła mu na zgodę obiad (3 maja) i t. zw. Zatarg Wołyński przycichł, zwłaszcza, że bezzwłoczny wyjazd Kraszewskiego za granicę podsycać go nie pozwolił.

Na Zielone Świątki 1858 r. zwiedzał już Kraszewski pomniki Krakowa; przez Wiedeń pojechał do Włoch, które były celem podróży. Tutaj przez miesiąc cały *veturinem* oglądał zabytki

sztuki; był w Wenecyi, Padwie, Medyolanie, Genui, Florencyi, Pizie, Rzymie, Neapolu, na wybrzeżu partenopejskiem i na Capri. W Rzymie najprawowierniejszego katolika spotkała bolesna niespodzianka: na audyencyi Pius IX napomniał go za niemoralny kierunek pism — jego, autora »Chorób«, taką nawskróś katolicką moralnością przejętych! Ale Zmartwychwstańcom chodziło o samą powieść — zbyt świecką, zmysłową, niedość religijną, ascetyczną: i oni-to podsunęli papieżowi niezasłużoną i niedorzeczną naganę. W powrocie wysiadłszy na Korsyce, zawitał Kraszewski do Francyi, zwiedził Marsylię i Tulon i znalazł się w Paryżu; w Marsylii odwiedził czcigodnego Klimaszewskiego, któremu udało się szczęśliwie ujść przed więzieniem i niezawodnym Sybirem zaraz po owym hazardzie z r. 1831. W Paryżu obejrzał pracownie polskie, poznał sztukę francuską i powszechną, i na Amiens i Arras wyjechał do Belgii. W Brukseli uderzył go Wirts; we Frankfurcie zachwycił Instytut Städela, w Berlinie zbiory zniemczałego Atanazego Raczyńskiego. Poraz pierwszy poznał wtedy Kraszewski galerye i muzea drezdeńskie. Nowa podróż do Włoch, w r. 1863, uzupełniła wiedzę i wrażenia pierwszej. Z takiego bezpośredniego zetknięcia się powstały »Kartki z podróży« (księga I Warsz. 1866, 4-to; księga II t-że 1874, 4-to) — dzieło o wiele naturalniejsze, szczersze, bliższe prawdy od »Podróży« Kremera. Z wrażeń włoskich skorzystała i powieść: »Capreä i Roma« (»Gaz. Warsz.« 1859; os. Wilno 1860, 2 t.) i »Rzym za Nerona« (»Czas«; Kraków 1866) we Włoszech się poczęły.

Gdy Kraszewski, przetrzymawszy o półtora miesiąca 4-miesięczny swój urlop, w późnej jesieni 1858 r. wrócił do Żytomierza, rozejrzenie się w stanie kwestyi włościańskiej powiedziało mu, że nic nie zrobiono, że zachowawców jest już teraz większość, a odwołanie się rządu do interesowanych przyniesie tylko ostatecznie wstyd imieniu polskiemu. Odpowiednia postawa obywatela-literata wzburzyła szlachtę. Czekał jeszcze do początków r. 1859, ale wtedy, dn. 28 stycznia (v. s.) wysłał do »Gaz. Warsz.«, z krótką przerwą od r. 1851 stale korespondencyami zasilanej, list piorunujący (nr. 54). Przyjął walkę: »gniew wasz — mówił — pociesza mnie i raduje; żądałem go«: miał chwilę w życiu świetną. Przez pół roku ciągnęła się polemika w gazecie, ale już po 3 miesiącach szlachta, wśród której

było sporo żywiołów lepszych, uległa. Nowe wybory, dn. 22 maja 1859 r. odbyte, znowu powołały Kraszewskiego na kuratora; na 328 oświadczyło się za nim 267: zawdzięczył taką większość demonstracyi młodzieży, która wpadła na salę sejmikową i gorąco upomniała się o swego ulubieńca. Kraszewski miał już wtedy propozycye od Kronenberga względem »Gaz. Polskiej«, ale wahał się jeszcze mocno nad niemi: przyjął więc ponowny wybór. Echa całego zatargu, który rozciągnął się i na teatr, rozlegają się w »Wieczorach Wołyńskich«. Na kontraktach tego roku w Kijowie Kraszewski gromadził naokoło siebie młodzież, podsycał w niej szlachetne dążenia do wiedzy i pracy obywatelskiej, ale jednocześnie przestrzegał przed zawrotami głowy. W lecie już się zdecydował na przyjęcie redaktorstwa; we wrześniu pojechał do Warszawy. Rozchorowawszy się ciężko, wrócił dopiero w listopadzie już jako rzeczywisty redaktor. W stolicy na obchód stuletniej rocznicy urodzin Schillera miał mowę sławiącą wielkiego poetę: w niej pogodził się już uroczyście z Zachodem. W lutym 1860 r. złożył urzędowanie szkolne, poskładał inne funkcye i godności i przeniósł się na stałe do Warszawy. Raz tylko jeszcze zajrzał na Wołyń (w czerwcu) i po krótkim pobycie wyjechał, aby już nigdy nie wrócić.

IV.

Działalność w Warszawie. Wahanie się Kraszewskiego czy przyjąć redaktorstwo »Gazety Codziennej« trwało do lipca 1859 r. W nr. 214 z dn. 16 sierpnia mamy już programat nowego redaktora: »przywiązanie do naszej wiary świętej, poszanowanie przeszłości, ufność w pracy, mającej zgotować przyszłość« — ogólniki. Zwięzłe a gorące artykuły wstępne sypały się nieledwie codzień, znowu w ogólnikowej treści a tonie moralizatorskim, zarywającym o filozofię praktyczną. Zwolna myśl zaczyna z mgławic zsadzać się w konkrety, od zasad przechodzi do określonych już zadań społecznych. Znika jakaś mistyczna pogarda świata, która w okresie wołyńskim wyczuwać się dawała; pessymizm ustępuje pewnej wierze w postęp, ale ten postęp różniczkuje się na duchowy i bezduszny, na altruistyczny

i egoistyczny: wszystkiem jest duch miłości Chrystusowej. Dziejów po dawnemu jeszcze redaktor »Gazety Codziennej« nie rozumie: wymaga od ogromów narodowych, aby miłością ową żyły, bo »im który naród silniej się stara być uczniem Chrystusowym, tem pewniejszy jest swego bytu« (nr. 236, 239). W »*Silva rerum*« wytyka już chorobę możnych i bogatych: obojętność i próżniactwo. Bogacz jest urzędnikiem społecznym; »w rękach możnych spoczywają losy idei«; obowiązek narzuca im pracę społeczną. Krzykacze straszą społeczeństwo wrzekomym materyalizmem samej nauki o przyrodzie i rozwoju przemysłowo-handlowego, które właśnie są »współczynnikami cywilizacyi« (nr. 328): inaczej było w »Chorobach wieku« i w »Wiecz. wołyńskich«, tak jeszcze świeżych. Umysł się rozrastał, a w rozroście i same zasady musiały kształty swe zmieniać; ale dla anonimów, na które już w Wołyniu miał Kraszewski osobną skrzynkę, zmiany te mogły być tylko dziełem Złotego Cielca, uosobionego w Kronenbergu. Broni się redaktor gazety w nr. 111 z r. 1860, broni uczciwych zamiarów przeciwko oszczerstwu, a do dobrych celów dobremi tylko pozwala iść drogami; »moralność indywidualna jest cegiełką w gmachu moralności publicznej« (nr. 189). Stanowczo już w końcu roku 1860 zerwał ze swym dawnym, niekrytycznym, hamującym wszelką energię ludzką idealizmem, zerwał z religijnością całość bytu pod siebie zagarniającą. Praca osobista, skuteczne starania o cudzą a jaknajlepszą, stała zabiegliwość o uzdolnienie gazety do jaknajwiększej endosmozy i egzosmozy umysłowej, odbijającej chwilę, ale wprowadzającej w nią wiekuistość, jaką ma w sobie rozum; otwarcie naoścież wrót dla wiedzy historycznej i przyrodniczej; tylko zasługą własnego imienia i powagą własnej myśli zjednanie dla »Gazety« sił jaknajlepszych — dały Kraszewskiemu prawo do wynurzenia się w prospekcie na r. 1861, że w »Gazetę« włożył »całą swoją myśl i pracę« (1860 nr. 318). Od tej pracy sam on rósł ciągle, twardniał, mężniał, uspołeczniał się rozumowo, gdy dotychczas, pomijając sprawę włościańską i zadania życia miejscowego, prowincyonalnego, na Wołyniu, ze społeczeństwem polskiem w najrozleglejszem pojęciu łączyły go jako człowieka same prawie tylko węzły uczuciowe.

Po całym ruchu r. 1860 nadciągnęły niezapomniane, a tak

dobitnie o błyskawicznej lotności i rozprężliwości ducha polskiego świadczące dnie 25 i 27 lutego 1861 r. Po tym niemal cudownym akcie, jakim był pogrzeb pięciu ofiar dn. 2 marca, Kraszewski, realista, patrzący w życie zawsze od strony twardej rzeczywistości, wiedząc teraz jak lud warszawski z paskiewiczowskich, ledwie przewietrzonych lochów rwie się odrazu do wolności, zawołał słowami poety: »Zawcześnie, kwiatku, zawcześnie!«. W delegacyi, którą bezwiedne jakieś moce odrazu na wierzch wyrzuciły, zachowywał się z roztropną powściągliwością, ale i z rzetelnem odczuciem żądzy życia w lepszych warunkach politycznych, która nawskróś przejmowała ówczesną Warszawę i kraj, a lud stołeczny prawdziwie uobywatelała. Wrażliwy na życie, ale i pod jego wpływem urabiający w sobie trwałe przekonania, w n-rze 87 »Gazety«, nazwanej już »Polską«, d. 3 kwietnia wygłosił poprawiony swój programat. Zawołał w nim przedewszystkiem o równouprawnienie stanów, o wytworzenie z żywiołów rozpierzchłych jednej istoty narodowej. Żyć trzeba z Ludzkością, — mówił — lecz bez kosmopolityzmu: postęp nie tyka narodowości; rozwijając się na podstawie chrześcijaństwa, uznać należy prawo wolności sumienia dla wszystkich; »moralność ewangeliczna (chrześcijańska) jedna jest z moralnością wiekuistą, wrodzoną«: znika tu już wyłączność religii, przemoc jej nad moralnością; zaczyna Kraszewski wierzyć w postęp rozwijający się, nie z Objawienia, ale z samego człowieka. »Upieranie się w miejscu świętokradztwem jest przeciw myśli Bożej, w dzieje ludzkości wcielonej«. Ścieśnienia cenzuralne nie pozwoliły programatu wyłuszczyć w wartościach już bezpośrednio społecznych. W stosunku do reform stoi Kraszewski na stanowisku przez statyczny patryotyzm ówczesny zajętym: »brać wszystko, nie kwitując z niczego«. Do korzystania z instytucyi niewątpliwie pożytecznych, narodowych, jak szkoła, jak rada stanu, gorąco zachęca i sprawie szkolnictwa, którą własnem swem obsługiwał piórem, sporo miejsca, zwłaszcza w r 1861, poświęca. O oświatę ludową szczególnie się troszczy; chce nią uzupełnić zrównanie Żydów w prawach obywatelskich z ogółem ludności. Zajęciu się oświatą nie wystarczyła »Gazeta«. Żywiony już w Żytomierzu pomysł »Bibl. dla Młodzieży« w Warszawie zastąpił nowy: »Biblioteki ludowej«, ale się nie urzeczywistnił.

Mamy dwa programata wydawnictwa: jeden rzeczy bardziej praktycznych, drugi ogólnie-kształcących, z 33 dziełek złożony; oba pozostały w sferze pragnień, bo do zespolenia sił nie przyszło; tylko sam Kraszewski wydał »O pracy« i »Świat i Ziemia« (1862).

Stosunki, urządzenia i potrzeby ekonomiczne roztrząsała »Gazeta« w duchu owego równouprawnienia stanów. Sam redaktor zaczął w niej uprawiać politykę zagraniczną, zajmował się polityką nawet często i obszernie w »Listach z Mokotowskiej ulicy« (tu miał dom własny, później Chałubińskiego), przeznaczonych na felieton redaktorski. Wielka ruchliwość i staranność, dobór pierwszorzędnych piór, obfite korespondencye z zagranicy i z kraju, odbijające dobrze krzątanie się i ruch społeczny, artykuły naukowe i historyczne, rozprawy o urządzeniach społeczno-politycznych, artykuły wstępne o sprawach narodowych w Królestwie, coraz rzadsze w r. 1862, wreszcie zajmujące powieści i nieliczne, lecz dobre rzeczy literackie — wyrabiają »Gazecie« wziętość i niepamiętną wówczas w piśmiennictwie polskiem liczbę prenumeratorów 7500 (1861). Szajnocha, Bielowski, Hoffmann zasilają organ Kraszewskiego historyą. W latach 1859—60 Ludwik Wołowski daje mu przegląd nauk społecznych; Wiszniewski pisuje stale listy z Genui, Kulczycki z Rzymu, Chojecki z Paryża, francuz Fleury z Turynu; Klaczko, »Żałoba« i Z. W. przygodnie odzywają się z Włoch i z Francyi; sam Kraszewski z wycieczki zagranicznej r. 1860 nadsyła 79 swych listów. Ma gazeta prawdziwego korespondenta nawet w Konstantynopolu, ma i na drugiej półkuli. Główne punkta terrytoryum Rzeczypospolitej obsadzone dobrymi pisarzami; są i stałe korespondencye z Wrocławia. »Gazeta« stara się zebrać jaknajwięcej promieni z życia i myśli polskiej. Dominik Szulc pisze o Janie Śniadeckim, Wójcicki o dawnych czasach, Szymanowski i »Cześnikowicz«, wówczas jeszcze nieznieprawiony, prowadzą felieton zwykły, zdawkowy. Korespondent z Żytomierza, Prusinowski, daje ciekawe szczegóły o Słowackim i Mickiewiczu, nawet utwory nieznane. Korzeniowski, Syrokomla, Lenartowicz, Pług, Chęciński wraz z samym redaktorem zapełniają dział poezyi i literatury twórczej. W »Gazecie« drukuje Kraszewski część I swych »Kartek z podróży«, »Syrenę« (»Piękna pani«), »Jasełka«, »Kopciuszka« (1860—2), »Dolę i niedolę«, nazwaną pierwotnie »Człowieczkiem« (1863), »Dziś i lat temu trzysta« (o Reju), »*Silva rerum*«, »Odczyty o cywilizacyi w Polsce«, doprowadzone pod koniec epoki piastowej (1861). Ma czas i na serdeczne a gruntowne wspomnienie o Syrokomli (1862) i na ułożenie »Kalendarza Dobrocz. na r. 1863« (z dokum. T. Kościuszki) i na wydanie »Albumu« swych rysunków (1860, nie 1863, jak u E-a), i na odwiedzanie Wołynia i na dwukrotny wyjazd za granicę (od 1 września do 14 listopada 1860 r. i od końca r. 1861 do stycznia nast.). Nie wystarcza mu jeszcze to wszystko, nie wystarcza sama »Gazeta«: z pod jego redakcyi przy pomocy Dmochowskiego ukazuje się dn. 1 lipca 1862 r. »Przegląd Europejski«, kilkanaście arkuszy co miesiąc, a on sam pisze w nim stale politykę, przeglądy literatury zagranicznej, kronikę krajową.

W duszącej atmosferze roku 1862, między dwoma biegunami: czynu rewolucyjnego i pychą swą gnębiącej nieszczerości Wielopolskiego, stopniowo do »Gazety« się zniechęca. Wielopolski nalega o potępienie ruchu: Kraszewski żąda swobody słowa, prawa krytyki, którego Naczelnik Rządu Cywilnego dać-by nie mógł, gdyby nawet chciał, gdyby sam nie uważał kneblowania ust za jeden ze środków rządzenia. Margrabia zaczyna w nim widzieć swego przeciwnika; rozpoczyna się wojna, niezakończona jeszcze odsunięciem Kraszewskiego od redakcyi w samym końcu grudnia 1862 r. Pod tę chwilę właśnie odbywają się m. in. u Kronenberga, przełomowe narady wybitniejszych obywateli całego kraju, z udziałem przedstawicieli Litwy i Rusi. Przy metodzie przez Wielopolskiego użytej, a może i obmyślonej, jeśli jej nie narzucono z Petersburga, wszyscy przeoczają nieuchronność powstania, w którem sam Kraszewski, narad pośredni uczestnik, przeczuwa, widzi narodowe nieszczęście. Wzięty pod dozór policyjny, z zakazem wydalania się z Warszawy, wpatruje się w nadciągający huragan dziejowy; słucha jak nowi już ludzie (dn. 8 stycznia 1863) przemawiają z »Gazety«; w Warszawie jeszcze przeżywa noc z dn. 14 na 15 i tragiczniejszą z dn. 22 na 23 stycznia, i dopiero w tydzień po wybuchu powstania otrzymawszy rozkaz wyjazdu, dn. 1 lutego wyjeżdża na tułactwo do śmierci (»Gaz. Polska« 1863 nr. 26).

V.

Na tułactwie. Pojechał do Drezna. W pierwszych latach zmieniał wciąż siedzibę i po dziesięciu dopiero osiadł w willi przy Nordstrasse, nr 27, nabytej później na własność (»Kłosy« 1879 II, 221). Nieszczęśliwe koleje walki tłoczyły mu myśl, niepokój o to, co będzie po klęsce, ściskał serce. W lipcu 1863 r. pojechał do Włoch, gdzie go sztuka i starożytność koiły. W przejeździe był w Genewie i na Mont Blanc; wrócił dopiero w lutym 1864 r. Miłkowski (Jeż) opowiada, że właśnie w r. 1864 w Paryżu zastał jednego wieczora u siebie kartę Kraszewskiego. Gdy nazajutrz przyszedł do hotelu, usłyszał słowa: »Wiesz... nie ma co... poruszyć musimy niebo i ziemię«, i zaraz wyłuszczył myśl »podłożenia ognia w cztery rogi Europy« i odtworzenia rewolucyi francuskiej na skalę powszechnej. Przy rozstaniu się, znając rewolucyjne usposobienie i stosunki Jeża, pożegnał go oświadczeniem: »Rozporządzajcie mną; jestem na wasze usługi« — jakgdyby jemu samemu myśl swoją odstępował. Sprawa jest mglistą i może dopiero kiedyś zwierzenia osób trzecich ją rozjaśnią.

Po powrocie Kraszewski wziął się znowu do pióra, zajrzał do zawsze zasobnej teki, wydobył z niej i wykończył niejeden utwór dawniejszy; ocknęła się w nim żądza publicystyczna: wziął na siebie odpowiedzialność redaktorską i obywatelską za nowo założone we Lwowie w czerwcu 1865 r. »Hasło« i mało co nie uległ odrazu pokusie przeniesienia się nad Pełtew. Ale dziennik już po 23 numerach żywot swój zakończył: Kraszewski pozostał w Dreznie, zaczął normalnie już pracować i działać jako publicysta i poeta w prozie. Już w roku 1863 nowa siła natchnień, nowy rodzaj tematów — wytknęły też nowy kierunek jego twórczości powieściopisarskiej. Wyzwolony już z pod cenzury mógł popuścić wodze uczuciu i wyobraźni; zamiast biernie cierpieć, mógł czynnie protestować, brać odwet, krzesać i wzmacniać ducha w tych, z którymi łączyło go wspólne narodowe serce. Przybrał sobie do tej nowej działalności pseudonim »B. Bolesławita«, jakby sławiący bóle narodowe — co istotnie daje zasadnicze pojęcie o duchu nowego rodzaju powieści, a heraldy-

cznie według mniemań rodowych wiązało się z wrzekomem pochodzeniem Kraszewskich od jednego z towarzyszów Bolesława Śmiałego. Wątku dostarczyły, jeśli nie wprost wypadki powstania i ruchów przed niem, to wydarzenia snute z zapisanych podań, z pamięci i z wyobraźni pod działaniem myśli przez te wypadki obudzonej. Najpierwszym utworem Bolesławity było »Dziecię Starego Miasta« (1863); po niem w latach 1864—1873 poszły: »Szpieg«, »Czerwona para«, »Moskal«, »My i oni«, »Na wschodzie«, »Żyd«, »Bezimienna« i »Nowe Życie« (jedna całość), »Tułacze«, szereg obrazów, poczynający się w Konfederacyi Barskiej, »Dziadunio«, »Emisaryusz« (Szymon Konarski), »Szaławiła«, »Hybrydy«, »Warszawa w r. 1794«. Tułaczy-Polaków poprzedza Tułacz-Chrystus; obchodzi on narody, a odprawiany przez nie, dopiero na polskiej ziemi znajduje przytułek. Dramat »Trzeci Maj« i z pseudonimu i z ducha staje do jednego szeregu z powieściami patryotycznemi. Zaleca go i historyczna rzetelność i odczucie wielkiej chwili dziejowej (»Szkice społ. i lit.« krak.; os. Kraków 1876, 124 str. 8-o). Uzupełnia działalność bolesławicką prowadzenie od r. 1866 przez cztery lata »Rachunków« narodowych, obejmujących wszystkie ziemie Rzeczypospolitej. Spisywał w nich Kraszewski pilnie kronikę współczesnych wydarzeń, kreślił stan nawet liczbowy pojedynczych prowincyi, krytykował czyny zbiorowe i indywidualne, zamieszczał świadectwa i dowody (np. przy ucieczce ks. Sosnowskiego z Chełma), cenne dla historyka politycznego, mające też wagę i dla oddanego literaturze i sztuce. W »Rocznikach« tych surowo a mniej sprawiedliwie osądził Matejkę, nie rozumiejąc twórczego bodźca w Rejtanie. Wiadomo, że mistrz zemścił się arcydziełem: Kraszewskim, wygłaszającym wyrok na Matejkę. Maleńkie i błahe »Notatki drezdeńskie« (1869—1870) dostały przeciwwagę w r. 1869, w lotnikach p. t. »Omnibus« (6 zeszytów; dużo satyry), w r. 1870—1871 w »Tygodniu«, dalszym, peryodycznym już ciągu »Rachunków«, który, niepoparty należycie przez czytelnika polskiego, zwłaszcza w Poznańskiem, w końcu trzeciego półrocza wychodzić przestał [3]).

[3]) Do literatury politycznej tego okresu należy i rzadki »już dziś« druk: »Królestwo Polskie po ostatniem rozbiciu« (Drezno 1867).

W ścisłej łączności podmiotowej z tą publicystyką zostają wydawnictwa, którychby Kraszewski nie mógł podjąć w kraju, a wśród nich przedewszystkiem wydanie protokułów sądu sejmowego 1827—1828 r., prowadzonych przez Bieczyńskiego (1873). Rozprężliwa energia tak wielki obejmowała obszar, że wydawca musiał dla niej stać się i nakładcą i drukarzem. Piękny swój zbiór rycin, z wyjątkiem Falcka, może nie całego, przetopił na własną drukarnię w Dreźnie, w tej nadziei, że roboty będą się sypały tak jak zamówienia na powieści, na prace literacko-wydawnicze, korespondencye, same nawet przedmowy, które mieć chciano z kordonu i z poza kordonu do wydawnictw poważniejszych, zwłaszcza do patryotycznych. Rachuby zawiodły: poniósłszy ciężkie straty, po wydaniu »Bibl. pamiętników i podróży« (1871—1872; 6 tomów) musiał sprzedać niewdzięczną swą oficynę światła; kupił ją Łebiński do Poznania.

Niestrudzonym był Kraszewski w Dreźnie jako powieściopisarz. Oderwanie od kraju zamykało go w powieści obyczajowej, snutej z podań o przeszłości, głównie z w. XVIII i początku XIX (»Powrót do gniazda« z w. XVI), rzadziej z zasłyszeń o przygodach współczesnych. Powstające nowe utwory podpadały przeważnie pod typ s t a r o p o l s k i c h (wysokiej wartości »Powrót« i »Pan na czterech chłopach«, »Skrypt Fleminga« z czasów Augusta II); mniej było historycznych, jak »Krzyżacy« lub »Kunigas«. Powieści z czasów saskich przodują w rodzaju historycznym. Po Jarochowskim i Bartoszewiczu nie było w Polsce człowieka, któryby tak dobrze jak Kraszewski znał epokę Augusta III. Znakomity »Brühl« i »Hrabina Cosel«, »Z siedmioletniej wojny«, »Starosta Warszawski« są historyą nader umiejętnie roztworzoną w powieści. Po Sasach ród Radziwiłłów, zwłaszcza »Panie Kochanku«, w powieści i w komedyi kontuszowej najwięcej zabrał miejsca. Niewielkie »Ostatnie chwile księcia wojewody« odznaczają się wykonaniem mistrzowskiem (1874; drk. 1875). Z czasów Sejmu Czteroletniego wybija się na czoło »Sto dyabłów« (»Kraj« krak.; os. Krak. 1870, 2 t.). Współczesna dążność obywatelska najlepiej wyraziła się w »Mogilnej« (1870), w »Morituri« (1872—1873) i w »Resurrecturi« (1874); drugi z tych utworów ma wspaniałe sceny i charaktery; do obu, tematycznie z sobą związanych, wybrał Kraszewski najlepszych

przedstawicieli szlachty zagrożonej upadkiem społecznym lub już upadłej, a świetną rolę dał we Zmartwychwstaniu kobiecie. Zbyt skwapliwie rzucił się powieściopisarz w spór między Blochem a Kronenbergiem w »Robotach i pracach« (1874, »Niwa«). Z powieści czysto-obyczajowej obok »Serca i ręki« (»Tydzień« lwowski) i »Dziennika Serafiny« (1876, »Gaz. Nar.«) najwyrazistszy jest »Orbeka« (1865, »Kłosy«), dzieje obłędu miłosnego, pisane z mocą subjektywnego odczucia. Wielkiej ilości całego tego wytwórstwa nie zawsze odpowiadała wysoka jakość, ale zawsze i wszędzie było tętno i ciepło życia, była prawda, namiętność, zasadniczy żywioł powieści.

Utwory historyczne i staroszlacheckie, budząc czasy, pokolenia i postaci zamarłe, w czytelniku polskim — dziś jeszcze mającym tak rozpaczliwie mało oświaty narodowej, — kształciły, jeśli nie wiedzę, to poczucie przeszłości, i wprowadzały żywych w obcowanie z umarłymi: czynnik ważny przy wyrabianiu się indywidualności narodowej, a tem ważniejszy w czasach prądów uniwersalnych i kosmopolitycznych, które do r. 1880, zwłaszcza w ziemiach pod panowaniem rosyjskiem, prawie wyłącznie młodzież polską porywały. Spełniał tu Kraszewski funkcyą jakgdyby pośrednika »między dawnemi a młodszemi laty«. — Zdumiewająca już dawniej ustawiczność i rączość pracy na tułactwie prawdziwie już zdumiewa. Przy powieści, przy publicystyce, przy trudach wydawcy literackiego i badacza naukowego, przy dzień w dzień pisywanych korespondencyach, a czasem i sprawozdaniach z dzieł i utworów dla czasopism całej Ziemi Polskiej, nie zbrakło Kraszewskiemu czasu na tłómaczenie i studyowanie Danta, na wydanie, co prawda, słabe, 8 tomów »Pism Brodzińskiego«, na zagłębianie się erudycyjne w Szekspira i wydanie go bardzo staranne, na codzienne śledzenie rozwoju piśmiennictwa krajowego i zagranicznego i poznawanie wybitniejszych w nich prac i utworów, na czytanie wreszcie kilkunastu dzienników, odpisywanie na kilka codzień listów, nawet na przepisanie własną ręką słynnego »Liber Chamorum«, ciekawego zabytku z w. XVII (u Uruskich w Warszawie). A poza literaturą i wiedzą naukową było przecież jeszcze malarstwo, była muzyka, były zajęcia życia praktycznego! Ta fenomenalna organizacya podołała wszystkiemu. Nie przestawał Kraszewski zbierać

zasobów do Historyi Cywilizacyi w Polsce i miał już z nakładcą »Kłosów«, Lewentalem, porozumienie o wydanie illustrowane; uprawiał wciąż archeologią, pracował poważnie nad dziejami ojczystemi i literaturą.

A ten literat w wielkim stylu był i człowiekiem z wielką czułością na sprawy życia, które go w dalszych i bliższych kręgach otaczało. W pierwszych latach drezdeńskich Polacy znajdowali w nim skupiające ognisko. Jakby senior kolonii polskiej, Kraszewski zajmował się żywo biedotą, która w Dreźnie w r. 1863—4 uwięzła, żył z towarzystwem polskiem, ścisłe stosunki utrzymywał z Gustawem Olizarem, z Karolem Hoffmanem, którego po śmierci (dn. 6 lipca 1875 r.) piękną mową uczcił. Czy kiedykolwiek zbliżył się do Wielopolskiego, który, przed zamrokiem umysłu, w temsamem mieście nieszczęścia i błędy narodu i swoje własne rozpamiętywał, — nic pewnego nie wiemy. Zaradzając niedostatkowi wygnańców, miewał odczyty, wydawał kalendarze i przewodniki (»Notatki«), własnego nie szczędził grosza, dając się, przy dobroci swej natury, nieraz wyzyskiwać próżniakom i awanturnikom. W r. 1865 wygłosił dwanaście odczytów »O obyczajach i zwyczajach dawnych niewiast polskich«, w dwu latach następnych miał wykład »O katakumbach rzymskich« (»Dz. liter.« lw. 1867 nr. 1, 5, 6). Życie i ludzi w Dreźnie opisał we »Wspomnieniach«, posłanych do Lwowa (os. 1866).

W r. 1866 zjechał pod Wawel. Przyjęto go z odznaczeniem; Tow. Naukowe krakowskie powitało go jak jednego ze swoich (od r. 1848 był jego członkiem); miasto wystawiło mu dyplom na obywatelstwo. W roku następnym przybył ponownie do Krakowa i miał cztery odczyty o Dantym, najlepszą rzecz polską o wielkim Włochu (»Roczn. Tow. Przyj. Nauk w Pozn.« i os. 1869). Teraz już boczono się na niego o »Rachunki« I. Wtedy-to po raz pierwszy w życiu odwiedził Lwów i odczyty swe powtórzył. Przyjęcia doznał szczerszego niż w Krakowie, został obywatelem honorowym i zyskał ulicę własnego imienia (»Dz. liter.« 1867 nr. 20—1; nr. 25 z listem Kraszewskiego). Z Galicyi udał się w Poznańskie, gdzie spotkał większą może jeszcze niż w Krakowie oziębłość. Jeden tylko dom Mielżyńskich i bliskie mu wiedziały kogo podejmują. W Obiezierzu Turny zasadzono wtedy lipę pamiątkową. W trzy lata później zawitał znowu do Księstwa

na wystawę rolniczą w Kościanie. — W r. 1871 ujrzał go po raz czwarty w swych murach Kraków. Gość wygłosił dn. 16 marca w stowarzyszeniu Postęp odczyt »O postępie« (Krak. 1871).

Nadciągnęła żałobna rocznica Polaków. Myśl zachowawcza, pragnąca ocalić i przechować byt narodowy, energia na gruzach dawnych stająca do nowej budowy, tęskne rozpamiętywanie, zwątpienie i nadzieja — śpieszyły z wynurzeniami przed narodem. Kraszewski przeczekał pierwsze objawy i, gdy minęły, napisał »Programm Polski, 1872. Myśli o zadaniu narodowem« (Poznań [1872], Żup., druk lipski; 63 str. 16-o). Ten programat jest bardzo mało znany, a właśnie bez poznania go nie można mieć wyobrażenia o Kraszewskim jako myślącym Polaku-obywatelu, ostatecznie już ukształtowanym. Hasło Asnyka z T. II »Poezyi«, przez poetyczny rozum przecudnie wydane: »Przestańmy własną poić się boleścią... Mężom przystało w milczeniu się zbroić« — objawia ducha programatu. Radca stanu (Krzywicki), który wówczas wypuścił był między Polaków odezwę namawiającą ich do samobójstwa, wydaje się Kraszewskiemu dalej idącym od samych Rosyan. Niewola, urabiając nas w trzy osobne dzielnice, urobiła nam niejako trzy twarze. Zwłaszcza w Poznańskiem »obcym i przybłędą« jest każdy Polak przybywający z innej dzielnicy: ciężki to grzech przeciw idei jedności narodowej. To ustać powinno; ale od r. 1863, gdy naród u siebie wyzwolił się z pod emigracyi, każda dzielnica obowiązana jest mieć własny swój programat. Powstań wyrzec się potrzeba: słabliśmy coraz bardziej z każdem nowem usiłowaniem zbrojnem. Trzymaliśmy się dotychczas tylko duchem, — »szczątkami moralnych zasobów przeszłości«, i przyszłość też mamy w zachowaniu ducha. Troskę o egzystencyę polityczną zostawmy *Deo ignoto*: krzepmy organizm. Potrzeba nam karności i ładu. Brońmy się od zagłady na drogach jawnych, jawnie walczmy, jawnie znośmy prześladowanie. Prawa nasze nie są wyłącznie tylko polskiemi; są prawami samego człowieczeństwa, żyjącego w wielkim historycznym narodzie: bądźmy więc ludźmi zrównanymi przez te prawa, jednakowo tłoczonymi przez jarzmo; wyrzeczmy się przywilejów i kastowości.

Przechodząc do pojedyńczych dzielnic, Kraszewski stwierdza, że stosunek do Rosyi jest tylko tymczasowym, gdyż i sama

Rosya znajduje się w stanie przesilenia; układów politycznych z nią być nie może. Potęgujmy tylko swą kulturę, a znajdziemy w państwie rosyjskiem odbiorcę tego, co wytworzymy. Manifestem naszym wobec niego niechaj będzie czynne życie nasze. (18). Oświata da nam oręż, da go i język rosyjski, którego uczyć się potrzeba. Czasy Wallenrodyzmu już minęły: »mówmy otwarcie Rosyanom, że walczymy z nimi i o co dziś walczymy« (19). Panslawizm jest bałamuctwem. Powołaniem naszem może być tylko apostolowanie cywilizacyi i oświaty.

Niemcy są dla nas groźni. Stosunek nasz do Niemiec jest »walką o życie lub śmierć«. Polak pod Niemcem strzedz się musi przedewszystkiem wynarodowienia z ducha, a czuć ustawicznie, że jest wyjętym z pod prawa, i poczuciem tem potęgować walkę. Obrona w Poznańskiem była dotychczas czynną, dzielną, duch katolickim, ale przytem i narodowym. W ostatnich dopiero latach duchowieństwo i wielmoże zerwali społeczność z ogółem: możni są »arystokracyą europejską«, część duchowieństwa »rzymskiem wojskiem papieża«. Wojujący ze stuleciem swem katolicyzm w Rzymie zwichnął i nasz; mamy już i u siebie ultramontanów, sięgających po ster duchowy ludzkości: trudno, poddać się nie możemy, ale z Kościołem nie zrywajmy. Dla powszechności poznańskiej drobiazgowa walka o ziemię jest główną funkcyą życia; wytrwale ją też prowadzić powinna.

Austrya upada, rząd jest bezsilny, a mimo to Galicya woli brać, głównie zaś spodziewać się, od rządu niż spółdziałać z Czechami, ze Słowianami austryackimi. Wewnątrz chaos, ambicye ścigają się z programatami, — krzykactwo i gadulstwo. »Gdyby które z satyrycznych pism galicyjskich przedstawiło Galicyę jak ogromną gębę bez rąk, byłby to może najlepszy kraju wizerunek«: a tu właśnie, mając choć lichą autonomię, trzeba »mało mówić, robić wiele a wytrwale«. Możni w Galicyi są fanatykami wrzekomej zachowawczości, lud — ciemny, klasy średniej niema, rolnictwo i przemysł nikczemne. Ultramontanie i wstecznicy nie chcą innej oświaty prócz jezuickiej, tęsknią do przeżytków, do przywilejów i klasowości i rwą się do władzy nieodpowiedzialnej. Demokraci mają dobre chęci i — niemoc. »Wodzowie obozów lepiej mówią niż myślą«. Na Rusi »nie tyle jest kwestya polityczna jak społeczna raczej«. Ludowi rusiń-

skiemu idzie o własność, o ziemię, o zemstę (41); niesumienni agitatorowie go burzą. Całą polityką: znosić nawet obelgi cierpliwie i czekać.

A co ma robić naród, już nie ów »trójtwarzy«, ale cały jeden, jedyny? Trwać, nie uciekać, nie emigrować, — bo zawsze to tchórzostwo — stawać, gdy nie można lepiej, »z odwagą męczennika na świadectwo prawdzie«, a przytem »prawie taić się z życiem, dopóki dzisiejsza dynamolatrya nie przeminie« (50). Świadczyć prawdzie — tegośmy nigdy nie umieli. Nie było wśród nas takich Korfów i Pahlenów z prow. Nadbałtyckich. Niema co wychylać się na Europę, chyba tylko po kulturę i postęp (57: »Godzi się to, co polskie, z tem, co postępowe i europejskie«); ale dla polityki trzeba zamknąć się w sobie, zwłaszcza odwrócić się od Francyi, której hasła nas uwodziły, a rządy sprzedawały policyom trzech mocarstw. W summie programatu Polakom dla wewnętrznego ideowego rozwoju zostaje droga pośrednia »między radykalizmem kosmopolitycznym a konserwatyzmem ślepym i zacofanym« (57). Trzeba zachować dom polski, obyczaj polski, szkółkę domową polską. Tu Kraszewski, wypomniawszy kobiecie polskiej tańce w Grodnie, wysoko ją potem wynosi. Od kobiety-matki, od matki-Polki »dziś niemal cała przyszłość zależy«. Ostatecznie: »żyjmy, a przyszłość dokona reszty«.

Kraszewski z tego, jakby centralnego w narodzie, stanowiska, które zajął był w »Rachunkach«, w »Tygodniu« i w »Programie« już nie ustąpił, ani też dobrowolnie nie zszedł: i miał prawo nie ustępować, miał obowiązek nie schodzić, bo jak życie ubiegłe tak i bieżące pełną polską piersią w siebie wchłaniał, i ta jego legitymacya przed potomnością, jak i jego nadzwyczajna działalność w piśmiennictwie, zapewniają mu długie życie zagrobowe, wolterowską nieśmiertelność.

Około stuletniej rocznicy zabrał się Kraszewski do opracowania dzieła, w którem postanowił dać obraz ruchu umysłowego i samych wypadków w polityce, literaturze, opinii publicznej i obyczajach czasów Stanisławowskich. Przy doskonałej znajomości przedmiotu i obfitych zasobach już w r. 1873 wydał tom I dzieła »Polska w czasach trzech rozbiorów 1772—94. Studya do historyi ducha i obyczaju« (Poznań 1873—5. Żup.;

3 t. 8-o). Są w tej »Polsce« dzieje wewnętrzne, widziane od strony ludzi i społeczeństwa, nie instytucyi i rządu. Na uwagę zasługuje rzecz o Komisyi Edukacyjnej (1873).

W tych latach zajmował się żywo starożytnościami polskiemi, marząc o dziele, które pozostało marzeniem. Obyty z archeologią ojczystą, otrzymał w r. 1874 od Ak. Um. delegacyę na kongres archeologiczny w Sztokholmie. Zdał z uczestnictwa swego sprawę w »Congrès international d'anthropologie et d'archéologie préhistorique...« (Paryż 1874, 88 str., 8-o). W tymsamym roku, zachęcony przez Łepkowskiego, ułożył dla Akademii »Programat słownika archeologicznego«, wykraczający po za swój tytuł (Rozpr. i spraw. wydz. hist.-filozof.«, r. 1875). Rozpatrzony, poprawiony i przyjęty przez komisyę, zamienił się on w Projekt Encyklopedyi Starożytności Polskich i rzeczywiście zamierzone dzieło taką Eencyklopedyą być miało. Przed sześcią laty (1904) podjęła Akademia myśl Kraszewskiego, tylko w innym układzie, i jeszcze ją rozpostarła na historyę kinetyczną Polski.

Również na rok 1874 przypada rozpoczęcie ogromnej pracy powieściopisarskiej nad przeszłością ojczystą wskutek umowy ze spółką wydawniczą księgarzy warszawskich, która zamierzyła była wydać dzieje Polski w jednym ciągu powieści. Pomysł był szczęśliwy, zadanie wielkie: nie uląkł się go Kraszewski; owszem, z zapałem zabrał się do pracy, obstawił się kronikami, dokumentami, świadectwami, książkami historycznemi i jął rzucać jednę powieść po drugiej Anczycowi do Krakowa. W ciągu lat dziesięciu (1876—85) złożył się cykl 29-ciu powieści w 78 tomach, od Chwostka do Augusta III. Utwory początkowe są najlepsze. Świat pierwotny, jeszcze polsko-słowiański, odtworzony siłą wyobraźni i na modlę hypotez wówczas najprawdopodobniejszych, zapewnia »Starej baśni« (1876) i uzupełniającej ją »Lublanie« długotrwałą jeszcze poczytność. Warunki cenzuralne boleśnie krępowały Kraszewskiego, gdy malował czasy Batorego i Zygmunta III: »Banita« i »Bajbuza« nie dorastają do wielkich chwil dziejowych. Wogóle braknie cyklowi majestatu dziejów i mocy wyobraźni, a znowu nazbyt pleni się w nim »rodzajowość«; postaci wyższe, podnioślejsze albo pomijane, albo trzymane w cieniu lub ukazywane w zmniejszeniu, ale za to też i walterskotowska teatralność nigdzie nie kazi dzieła. Wogóle propozycya spóźniła się, zaskoczyła Kraszewskiego, zbyt już posuniętego ku grobowi, a pośpiech w pisaniu niesłychany sam przez się już szkodził i rozwadze i pomysłom i wykończeniu. Historycy przyjęli pracę rzetelnie historyczną przychylnie, nawet pochwalnie (Bobrzyński, Świeżawski); do nich też przedewszystkiem, a nie do literatów, należał sąd o cyklu. »Powieści historyczne« są galeryą obrazów, dających wiedzę przeszłości — taką, jaką obraz dać może. Jeżeli w całości swej nie sprawiają estetycznego zadowolenia, pożytek, jaki społeczeństwu, masom podkształconego ludu przyniosły, stawia napisanie ich na wysokości czynu obywatelskiego.

VI.

Jubileusz, proces, śmierć. Trzymając się daty, nie rzeczywistego druku, ale napisania jakoby owego »Cycerona«, którego sam Kraszewski niedobrze z czasów świsłockich był zapamiętał, gdy się zbliżało półwiecze działalności wielkiego pisarza, postanowiono uroczystość jubileuszową na r. 1879. Przewodziła Warszawa, a w niej Plug: zbierała pieniądze; drukowała 15-tomowy »Wybór pism«; opracowywała »Książkę jubileuszową«, z prac po większej części wybitnych (Korzon o powieściach rzymskich, Pluga życiorys) złożoną; gromadziła pamiątki i dary z najdalszych zakątków dzielnic panowaniem rosyjskiem objętych, od jednostek, stowarzyszeń, cechów, instytucyi; opisała literata i poetę; wreszcie przez najpierwszych w miejscowym świecie literackim kolegów jubilata po piórze posłała wszystko, co zebrać się dało, do Krakowa. Tam w przebudowanych świeżo, za burmistrzostwa Zyblikiewicza, Sukiennicach, odbyło się dnia 3 października nadzwyczajne święto. Galicya wysłała 109 deputacyi, pomiędzy któremi i ludowych nie zbrakło; Estreicher opracował bibliografię na pasie kilkometrowej długości; Asnyk napisał kantatę; pośpieszyli z wierszami i inni. Z Poznańskiego przybyli ci, których słowa »Rachunków« i »Programu« nie piekły, a ciekawość pociągnęła pod Wawel. Stawiło się kilkanaście tysięcy osób z całej Polski, nawet z za Uralu i Kaukazu. War-

tość darów oceniano z górą na dwakroć sto tysięcy złotych. Oba uniwersytety galicyjskie wystawiły jubilatowi dyplomy na doktorat honorowy; cesarz austryacki obdarzył go orderem komandorskim Franc. Józefa. Kraszewski, z wielką okazałością powitany, dnia 30 września miał pierwszą mowę przy wjeździe. Na właściwym obchodzie, 3 października, wywnętrzał się już przed tłumem uczestników, których mógł śmiało uważać za przedstawicieli narodu radującego się znakomitym swym synem. Pierwsze już słowa »Nie zasłużony, ale szczęśliwy bierze« były głosem szczerej skromności: on sam zawsze, od wieku męskiego, nie doceniał siebie, nie czuł wagi tego, co zdziałał. W przeddzień jubileuszu pisał do przyjaciela: »Ja dziś, bolejąc nad tem i owem, nad kierunkiem nie takim, jak-bym dziś go żądał, stratą czasu i t. p., odwracam się od przeszłości, bo mnie w niej dużo boli a mało pociesza...« »Tak wszystko zwichnięte mi się wydaje, aż do działalności literackiej, że gdy mnie kto zmusza znowu rozpatrywać się w tej przeszłości, boleść mi tem zadaje«. Liczny zjazd na jubileusz po raz pierwszy od r. 1863 zbliżył między sobą dzielnice najdalsze, nastroił serca na ton jedności; z walk, znojów i mętów życia powszedniego wyzwolił polskość. Wspólne narodowe tętno biło w Krakowie mocno. Na długo pamiętną będzie scena porwania się szlachetnego Liskiego na Spasowicza.

Na jubileuszu zrodziła się Macierz oświaty ludowej dla Galicyi. Myśl sama, powzięta jeszcze w Warszawie, ponownie wyszła teraz od Kraszewskiego, i pozostawiono mu już jej urzeczywistnienie. Nadesłane przez jakiegoś kapłana katolickiego z Rusi 25 000 reńskich do rozporządzenia Kraszewskiego stały się fundamentem instytucyi. Nie pośpieszył z datkiem, choćby dziesięciokroć skromniejszym, żaden z panów polskich, trzymających milionowe kapitały swe po bankach nawet angielskich i francuskich. Dwóch lat z górą było potrzeba na takie wzmocnienie funduszu i procentami i drobnemi dokładkami, aby już rozsądnie rozpocząć było można działalność (z kapitałem 30 000 reńskich). Przyjaciel ludu został założycielem i pierwszym kuratorem »Macierzy«; dnia 4 marca 1882 z Drezna wydał List Fundacyjny, a tegosamego już roku pojawiły się pierwsze książeczki.

Po jubileuszu wrócił Kraszewski do Drezna, aby w willi za fundusz jubileuszowy na własność nabytej, przy coraz bardziej upadającem zdrowiu pracować po swojemu, bez wytchnienia, gorączkowo. Wychylał się na wypoczynek i kuracyą do Francyi, na południe, do Włoch, gdzie miał nawet wstęp na dwór królewski, a przyjaźń z Correntim, ministrem oświecenia, który, pisząc wówczas podręcznik Historyi Polskiej dla Włochów, pozwalał Polakowi w pracę swą wglądać i nawet oko jego na nią umyślnie ściągał. W lecie 1881 roku bawił Kraszewski w Hyères, skąd we wrześniu udał się do Wiednia, na kongres międzynarodowy literacki. Okrzyknięty jednym z prezesów, pobudził Polaków do oporu przeciw wnioskowi Ratisbonne'a o nacisk na rząd rosyjski, aby uwolnił Czernyszewskiego z Syberyi. Po burzliwem zajściu w łonie kongresu wystosował do gazet list wyjaśniający stanowisko oporne Polaków w sprawie, która naraziłaby ich na niebezpieczeństwo, a brana jako manifestacya ogólnie-ludzkiego współczucia nie odpowiadała ich przekonaniom o wartości zasad przez Czernyszewskiego głoszonych.

W r. 1882 leczył się Kraszewski w Ems i Gasteinie. Czując się coraz słabszym, sporządził dnia 24 marca 1883 r. testament, którym, między innemi, serce swe zapisał Warszawie a listy Ak. Umiejętności, i podążył w Pireneje. Dwumiesięczny pobyt w Pau wzmocnił go na siłach. Jadąc tam i z powrotem, zatrzymał się w Paryżu; wracał na Berlin. Tu nagle wpadł w żelazne pazury pruskie. Dnia 13 czerwca, ledwie stanął w hotelu (»Kaiserhof«), policya uwięziła go i zamknęła w Moabicie: obwiniony był o zdradę kraju, t. j. Niemiec, jako ich poddany z dobrej woli; denuncyacya przyszła z Wiednia. Już dawniej podejrzewano pisarza polskiego o jakieś stosunki z niemieckiego punktu widzenia nieprawe; w r. 1881 odbyto w willi drezdeńskiej skrupulatną rewizyę, szukano jakichś listów, ale ani listów ani nic innego nie znaleziono. Do dn. 7 sierpnia 1883 r. siedział Kraszewski w oddziale szpitalnym Moabitu; tego dnia pozwolono mu odjechać do Drezna po złożeniu kaucyi 30 000 marek, zebranej w kraju i na obczyźnie. W Dreźnie pędził noce bezsenne, które nadały tytuł dwóm tomom dziennika osobistego; ale mimo tej bezsenności, ustawicznego niepokoju i schorzałości zdążył

w ciągu dziewięciu miesięcy napisać kilkanaście tomów powieści, prócz owych »Nocy«.

Dnia 12 maja 1884 r. stanął przed sądem rzeszy (*Reichsgericht*) w Lipsku. Prokurator oskarżył go o zbieranie dla rządu francuskiego takich wiadomości o wojsku i wojskowości pruskiej, które stanowiły tajemnicę państwową — i zażądał kary 10-letniego ciężkiego więzienia. Istotnie, Kraszewski już od r. 1877, a może i od 1876, zjednany przez Bron. Zaleskiego przesyłał na jego ręce, a gdy on w r. 1880 zmarł, do redakcyi »Temps«, dla biura wywiadowczego min. wojny w Paryżu, różne mniej ważne, ale też i rzeczywiście tajemnicą państwową będące dokumenty, które niejaki Hentsch, b. kapitan, wykradał ze sztabu generalnego pruskiego. Pośredniczył między nim a Kraszewskim literat Adler, stale bywający w willi, poufały, a nawet arogancki w stosunkach. Dostał się tedy wielki pisarz między dwóch łotrów; obaj go wyzyskiwali, a literat, przeniósłszy się do Wiednia, nie zawahał się, pomimo otrzymania sutego »Schweiggeldu« i wydania listów obciążających do rąk pełnomocnika Kraszewskiego, posłać denuncyacyi do Berlina. Znalazł się i trzeci niegodziwiec, niejaki K..., w Szkole Batiniolskiej, który pieniądze za zdradę, przesyłane stale na ręce Kraszewskiego, przetrzymał i strwonił. Nieszczęsną swą funkcyę agenta francuskiego, tak przykrą, tak bardzo ubliżającą stanowisku i powadze, pełnił nierozważny człowiek do r. 1881, a pełnił wbrew własnemu »Programowi polskiemu«, gdzie przecież wyraźnie ostrzegał przed lgnieniem do Francyi. Sąd d. 19 maja wydał wyrok skazujący Kraszewskiego za wysłanie do Francyi niemieckiego planu pochodu na zachód i za list z d. 17 lipca 1878 roku, wzywający Adlera do zdrady, na półczwarta roku twierdzy; w wyroku uwzględnił i działanie z czystych pobudek, i nieskażone życie, i obcą narodowość przestępcy. Do skazania nie potrzebowali sędziowie nacisku Bismarcka w słynnym, a po bismarkowsku fałszami nadzianym, liście do ministra wojny Bronsarta von Schellendorf; i Bismarckowi też nie chodziło tak bardzo o samo tylko skazanie: chciał on napiętnować wszystkich Polaków jako wiecznych rewolucyonistów i nastroić opinię całych Niemiec na ton nienawiści ku Poznańczykom, aby snadniej dokonać rozbójniczego zamachu prawodawczego, o którym już wówczas zamy-

ślał. Skazany, Kraszewski obrał sobie na twierdzę karną Königstein; rząd pruski osadził go w wilgotnym Magdeburgu (26 maja 1884). Usilnemi staraniami swemi królowa włoska Małgorzata przez męża poruszyła dyplomacyę i złamała wreszcie opór Bismarcka, którego zgrzybiały Wilhelm wręcz się lękał: na jesieni 1886 roku wypuszczono Kraszewskiego za kaucyą (22 000 marek), dając mu na pół roku urlop do Włoch.

Więzienie mocno nadszarpało zdrowie, ale największa nawet dolegliwość, o ile nie dotykała mózgu, nie zdołała go oderwać od pióra: właśnie w więzieniu tworzył i pisał z nadzwyczajną łatwością, a niekiedy i siłą wyobraźni; tydzień wystarczał mu na powieść, a napisał ich do dziesięciu. W więzieniu dokończył cyklu historycznego; z więzienia obdzielał najrozmaitsze czasopisma »Listami z Magdeburga«: pracował jak przez życie całe, nie czując ciężaru pracy; rzucał nawet pomysły w przyszłość. Piękny klimat S. Remo utrzymywał zdrowie na jakim-takim poziomie. Kaucyę zostawił Kraszewski Prusakom, upoważniony do tego przez jej właścicieli[4]), sprowadził swe zbiory i dawne życie drezdeńskie na rozkosznem pomorzu nanowo rozpoczął. W styczniu 1887 r. nawiedziło S. Remo trzęsienie ziemi. Kraszewski, który od dzieciństwa lękał się grzmotów, a burzę nerwami przeczuwał, teraz od burzy podziemnej doznał wstrząśnienia w całej swej organizacyi; odrazu też postanowił przenieść się nad jez. Genewskie i wszczął układy o nabycie domu w Lozannie. Ale potęgi wulkaniczne sprzysięgły się przeciw niemu: w trwodze i niemocy fizycznej, mieszkając w namiocie, doczekał się d. 12 marca ponownego wstrząśnienia. To go ostatecznie zmogło: uciekł do Turynu, aby stąd podążyć nad Leman. Lekarz, Polak, Tymowski, zalecił dłuższy wypoczynek, ale on uparł się i tylko wciąż wołał: »do Genewy! do Genewy!« Dn. 15 marca stanął u celu podróży; zamieszkał w hotelu de la Paix; przyjeżdżał po śmierć. Serce słabo już działało, nogi popuchły, duszność ustawiczna męczyła; dr. Laskowski stwierdził stan przedśmiertny. Zjawił się Jeż, stanęli do dozoru

[4]) Z ustnego oświadczenia nieżyjącego już Aleksandra Brochockiego, który dla zebrania kaucyi najwięcej uczynił, własnego mienia nie skąpiąc (1910).

trzej uczniowie znakomitego anatoma, Polacy. Śmierć zbliżała się szybko. Dnia 18 marca chory mało już mówił; raz zerwał się, wołając: »Sił, sił, o Boże!«, to znowu: »Słabnę, upadam... podnieście mnie«, i potem zaraz: »duchem mnie podnieście«. Księdza nie zażądał, może dlatego, że miał wciąż jeszcze pragnienie i nadzieję życia. Nazajutrz, w sam dzień swych imienin, od południa zapadał już w »sen nieprzespany«: a tu zewsząd nadchodziły życzenia długiego życia! O godzinie wpół do czwartej skonał. Ciało, zabalsamowane, umieszczono w domu przedpogrzebowym na cmentarzu »Plainpalais«, a dnia 1 kwietnia o północy wyprawiono na Arlberg; osiemnastego t. m. Kraków pochował zwłoki w pieczarze dobrze zasłużonych na Skałce, w niezgrabnym sarkofagu, sztywno, ale z wystawnością wielką. Dziesięciu lat potrzebowała Warszawa, aby się wreszcie zdobyć na tablicę pamiątkową w kościele św. Krzyża. Dotychczas jedyny godny siebie pomnik ma wielki pisarz z tego, czego dokonał, i co czuł.

VII.

Kraszewski jako powieściopisarz. Z jakiem obliczem przejdzie Kraszewski-pisarz do potomności? Z takiem, jakie miał za życia. Nad wszystko, co tworzył, wzbija się powieść: jako pisarz powieści też w dziejach literatury żyć będzie. Jego zaś talent powieściopisarski przechodził rozmaite koleje i stopnie rozwoju: rozgałęział się bujnie, rozwijał wielostronnie, zwracał w rozmaitych kierunkach; wznosił się na szczyty siły, to znowu w niemoc zapadał; wydawał z siebie utwory większe i mniejsze, mocne i słabe; miał swoje godziny południa, swoje rozkoszne chwile poranne, swój tęskny zmierzch wieczorny: ale we wszystkiem prawie, co wytworzył, przebija się panujący charakter realizmu, dziwnie skojarzonego z rzetelną poetycznością.

Żywioł uczuciowy panuje. Ludzie Kraszewskiego umieją czuć, i tak jak u niego czują, nie czują u żadnego ze współczesnych powieściopisarzów naszych dawniejszej doby XIX w.: ani Korzeniowski, ani Kaczkowski, ani Jeż pod tym względem mierzyć się z autorem »Ulany« nie mogą. Charaktery w powieściach Kraszewskiego nie mają powiększej części tej doskonałości, tego zaokrąglenia, tego skupienia się w sobie, tej jednolitości swego bytu, przeciwstawiającego się bytowi zewnętrznemu, nie mają tej indywidualizacyi, którą tak podziwiamy w doskonalszej, dramatycznej formie u Shakespeare'a; ale głębokość ich uczuciowa, moc miłowania i cierpienia jest przy niektórych postaciach tak niezwykłą, że bez przechwałki można i potrzeba dla porównań sięgać do literatury powszechnej. Uczucia miłości rodzajowej nikt u nas w takiej bujności, w takiem bogactwie odmian, w takiej sile i szczerości, z takiem fatalistycznem napiętnowaniem nie maluje, jak Kraszewski. Mnóstwo jest w jego powieściach postaci prawdziwie tragicznych — i prawie zawsze uczucie silne, istność całą ogarniające, rozbija się albo o sam przedmiot swój, albo też o dalszą, ogólniejszą rzeczywistość. Pessymizm ten ma źródło swoje w przeświadczeniu, że świat nie jest dla silnie czujących, jeno dla silnie żyjących: dla tych, co się szponami wpić weń umieją i pożądania własne poddają pod rząd zmysłu rzeczywistości, bez którego na świecie, będącym wiekuistą a bezdenną rzeczywistością, utrzymać się niepodobna.

Pod naciskiem tego pessymizmu i wobec owej obfitości uczucia jednostkowego nie mogły z wyobraźni obsługującej talent pisarski wydobywać się natury bohaterskie, młode, przebojem przez życie, a w przymierzu z prawem moralnem i ideałami idące. Słuszne też jest utyskiwanie na brak silnych postaci młodzieńczych, któreby za dodatnie ideały dla młodych pokoleń służyć mogły. Prawdą też będzie i to, że kobiety Kraszewskiego są stosunkowo silniejsze od mężczyzn, jeżeli do porównania wybierzemy z obu rodzajów postaci najwybitniejsze. Trzeba wszakże pamiętać, że sam ten krąg życia, w którym Kraszewski stawiał swych ludzi, powszedniością swoją krępował polot jego wyobraźni, a jeżeli naturą tego życia powszedniego wytłómaczyć będzie można małą, przygodną niejako wydatność, wypadkowo nizki stopień zajęcia, jakie wzbudzają w powieściach Kraszewskiego wydarzenia oddzielone od uczuć ludzkich, to również ta natura wytłómaczy nam i małą wytrzymałość bohaterów na wpływy zewnętrzne: nie o wielkie bowiem zapory, ale o drobne przeszkody się rozbija, nie przez wielkość, ale przez małość życia topnieje i marnieje bohaterstwo jako żywe

obdarowanie duszy ludzkiej. O wielkość roztrąca się gotowa już wyższa indywidualność, małość dławi dopiero kiełkującą.

Siła atoli, której niema w młodzieńcach, znajduje się w mężach dojrzałych. Niejeden z nich w młodości swej przez takisam żar, w jakim popielą się przed oczyma naszemi dusze młode, przeszedł — i zwyciężył; ale na to dawne zwycięstwo Kraszewski rzadko kiedy spojrzeć nam pozwala. Oczyszczeni z żądzy szczęścia osobistego jaśnieją oni w majestacie uczuć wyższych: — Jermoła uczy jak poświęcenie dla ludzkości niema być martwą literą i do łez chrześcijaństwem swojem porusza; dziwak Wrzosek pokazuje jak serce najtkliwsze i umysł głębszy mogą się ukryć pod powłoką rubaszności i pospolitości umysłowej; Anastazy jest wspaniałą piramidą tej przeszłości herbowej, która dla potomnych pieczętowała się herbem *Cnota*; Szambelan, wspaniały w swej dumie rodowej, mimo niewielu rysów stoi w rzędzie największych postaci w powieściopisarstwie powszechnem. A Paroch, a Sołłohub, a Czuryłło!... Opuszczamy czemprędzej tę galeryę wielkich charakterów: śpieszyć musimy dalej.

Kobiety nie są zadowolone z kobiet Kraszewskiego: widzą w nich za wiele ujemności, złości lub niespoistości psychicznej. Słychać było nawet zdania, że autor niekiedy rozmyślnie demonicznemi je czynił. Ta demoniczność nie jest znowu tak zmyśloną, jakby się zdawać mogło: w ileż-to kobiet wszczepiła ją natura, w iluż wyhodowało życie! Pierwiastkowy [5]) pogląd Kraszewskiego na kobietę jako *genus* czy *species* utrzymał się do dni jego ostatnich bez wielkiej zmiany; ale w powieściach jego żyją także indywidua, które z całą hojnością duchem obdarzał, — postaci dodatnie, poważne, słusznie ku sobie porywające. Kobiety ludowe, bohaterki *Resurrecturi*, *Życia sieroty*, *Dwóch światów*, *Pamiętników nieznajomego* — jak tu wobec takich postaci jeszcze na niesprawiedliwość Kraszewskiego narzekać! Są Miry i Łucye; ale są także Motruny, Marye i Apolonie.

Wogóle ludzie Kraszewskiego są raczej dobrzy niż źli; dzikich egoistów w stosunku do istot uspołecznionych przez uczucie jest niewielu; zwierzęcość natury ludzkiej przejawia się tylko w typach umyślnie wprowadzanych. Patrząc na ten świat idealny,

---

[5]) *Wędrówki literackie*, Rok 1838, str. 192—7.

który Kraszewski swoim nazywać miał prawo, a w którym przeważa dobroć nad złością, ale zarazem i płytkość umysłowa nad rozumem i istotną już mądrością życia, chciałoby się mimo złego żyć dalej na świecie rzeczywistym; chociaż powieści okresu wołyńskiego prawie wszystkie rozczarowują do ludzi, w żadnej zaś ta wątłość i znikomość bytu ziemskiego nie jest, i w charakterach samych i w uwagach autora tak dobitnie przedstawiona, jak w pięknych *Pamiętnikach nieznajomego*.

Drobne rysy natury ludzkiej umie Kraszewski, niby malarz *du genre*, bardzo dobrze podchwytywać, zarówno w ludzie, jak w szlachcie i arystokracyi — i niekiedy obrazom swoim humorystyczne nadaje zabarwienie. W poważniejącym talencie taki nastrój znika, i autor *Pana Bartłomieja* w niczem już do autora *Morituri* podobnym nie jest; wszelako postaci naiwne bezwiednie ustosunkowaniem się swojem do charakterów i przygód zewnętrznych rozśmieszające, zjawiają się nawet jeszcze w powieściach okresu drezdeńskiego.

Chcąc w tem, co wytworzył Kraszewski, oznaczyć wartość psychiki, oraz artyzmu przy jej urzeczywistnianiu literackiem, potrzeba wejść w tłum wielotysięczny jestestw człowieczych, a w tym tłumie szukać przedewszystkiem prawdy życia, siły, z jaką jestestwa te żyją, ruszają się, chcą i czują, — pochwytywać naiwność, z jaką na zewnątrz się przejawiają — przy dobrem czy złem upostaciowaniu ich wnętrza przez artystę, przy dodatniej czy ujemnej wartości własnej swej treści psychicznej, umysłowej i duchowej — bo tylko taka naiwność, odsuwająca od działania świadomość, a więc i możność sfałszowania swej istoty, daje ludziom, jako wytworom artystycznym, przedmiotową prawdę, logiczną rzeczywistość istnienia. Taki dar uprzedmiatawiania pomysłów Kraszewski posiada w stopniu wysokim. Wierzymy w istotność postaci i utajonych w nich wnętrz duchowych — właściwie zaś tylko obmyśliwanych dla nas złud poetycznych — bo w robocie powieści nie spostrzegamy czynnej ręki samego robotnika: ludzie Kraszewskiego stoją przed nami o własnej sile. Najwięcej wpośród nich, jak i w życiu, jest natur samolubnych, ale »dobrych«, »dobrych lub złotych nawet serc«, »porządnych lub niezłych ludzi«, »poczciwych z kościami« — i najwięcej też w całą tę kategoryę wszczepionej

małostkowości. Wytwarza ona jakby tło ogólne, na którem dopiero zarysowują się, wybijają przed oczy, wypuklają indywidualizowane już w charaktery duchowe treści, wnętrza człowiecze, społecznie i indywidualnie dodatnie lub ujemne, a zajmujące całą skalę etyczną i całą moralną, od dzikości natury do podniosłości ducha, od ohydy i potworności do uroku i mocy człowieczego piękna.

Ma Kraszewski i inny jeszcze dar: bogactwo charakterów i, co więcej, typów — na wyższym czy niższym stopniu wykończenia prawdziwe bogactwo. Natura nawet przy niezmiernej swej potędze tworzy oblicza z ogólnego wejrzenia podobne do siebie: musi je też tworzyć i człowiek w sile swej ograniczony, i dlatego muszą być i są w galeryi Kraszewskiego postaci i oblicza i owe duchowe wnętrza do siebie podobne; rozważając jednak twórczość jego, niepodobna jest nie dać wyrazu zdumieniu nad wielością i rozmaitością kształtów, w których ukazuje nam plastowane przez siebie człowieczeństwo. A przytem pod uwagę i to jeszcze wziąć należy, iż w owym kilkutysięcznym tłumie znajduje się wiele, bardzo wiele takich osobników idealnych, których powieściopisarz brał z samego siebie, nie zbierając do nich wzorów i wzorków ze świata. Zasadniczym wszakże sposobem tworzenia człowieka w powieści było odtwarzanie go z jednego choćby rysu pochwyconego w życiu.

W wypadki tam, gdzie historya nie przyszła z pomocą, nie jest talent Kraszewskiego bogaty. Pamiętając co wyrzekł przed 70-cią laty [6]), mniemać nawet wolno, że dążenie do naturalności zrodziło w nim pewną powszedniość, znamionującą sam wątek wydarzeń. Żywość charakterów, wsparta tą dążnością, niemało przyczyniła się do p r a w d z i w o ś c i utworów: nietylko ludzie żyją u niego jakby żyli na prawdziwym świecie, ale i to, co się w powieści jego dzieje, przedstawia się nam tak, jak gdyby się działo na najprawdziwszym ze światów. Wyrobiony już talent zadał kłam początkującemu dopiero umysłowi: romans Kraszewskiego jest nietylko prawdopodobnym, ale — w zestawieniu z zewnętrzną prawdą życia — rzetelnym; a jeśli kiedy zawahać się można w tem uznaniu, to nie z po-

[6]) »Tygodnik petersburski« r. 1838: »Przeszłość i przyszłość romansu«.

wodu wynalezionych przygód, jeno z powodu wprowadzonych w nie charakterów, zwłaszcza co do wynikliwego, ścisłą próbę rozumowania wytrzymującego ich rozwoju.

Powieściom w budowie artystycznej braknie często szerzej zakreślonych planów, braknie pogłębienia charakterów, a nawet stylu odpowiadającego ich zarysom w pomysłach. Niecierpliwość żądzy twórczej, pośpiech pisarza, stosunki zewnętrzne i położenie człowieka odpychały od budowy tego arcymistrza skończonego piękna, ten rozum oddany sztuce, któremu z ufnością powierzali się Mickiewicz i Goethe — rozum dla płytkości tylko zabójca uczucia, rzeczywiście zaś brat i współpracownik i sprzymierzeniec natchnienia.

Wiernym był Kraszewski młodzieńczemu jeszcze przekonaniu swemu, które potępiało powieść tendencyjną [7]). Mają wprawdzie powieści jego tendencyę, ale ta nigdy poza kres pomysłu artystycznego nie wykracza: jest służebnicą, nie zaś panią sztuki, i gdy ją już raz na scenę wprowadziła, wyrzeka się już wszelkich nauk, morałów, wykładów, wszelkich niepowieściowych momentów, żywiołów i roztoków myśli. Nie spotykamy we właściwej powieści ani polemiki, ani apologii, ani złych i dobrych charakterów, wykrawanych rozmyślnie według gotowego patronu tendencyi wrażonej w wyrozumowaną tezę. Na większą skalę raz jeden tylko dał się Kraszewski skusić i napisał »Choroby Wieku«, utwór pod względem pojęć społecznych wyżej już osądzony, pod względem artyzmu słaby. Tak-to co innego być kapłanem prawdy stosowanej do życia, a co innego pięknotwórcą, którym musi być każdy powieściopisarz, nawet wtedy, gdy jedynie odbicie rzeczywistości za cel sobie wytknął i ma dać tylko tętna życia, prądy krwi, zjawiska antropologiczne. W takim utworze pięknym będzie sam charakter i samo odtworzenie prawdy, będzie sztuka zbierania jej ze zjawisk.

Utwory Kraszewskiego przejmuje nawskroś pragnienie rdzennej moralności, opartej, nie na konwenansie obyczajowym, ale na czystości duszy, czci dla prawdy i sprawiedliwości — prawdziwej moralności Ewangelii — przedwiecznie bożej i za-

[7]) Artykuły Kraszewskiego w »Wizerunkach« (1836), w »Tygodniku petersburskim« (1838), w »Okruszynach« (o celu powieści), w »Studyach«.

razem powszechnie ludzkiej. Mało jest utworów — ale są — któreby się w taki typ ująć nie dały. W Kraszewskim nie znajdzie dla siebie zdroju indyferentyzm moralny, próżno też szukać-by chciała ostoi *Morale indépendante*, — chociaż, podobnie jak we Fredrze, przebłyskuje w nim niewiara w poprawność, w doskonalność natury ludzkiej, a stąd i zdrożności niestwierdzające już wręcz znikczemnienia znajdują dla siebie łagodną względność milczenia: nie gnębi ich pisarz, bo wie, że człowiek nie zdoła zawsze we wszystkiem wytrwać na jasnym gościńcu etycznym, a jego wola, urobiona z żądzy, nigdy nie stanie się czystą. Zupełnie niewłaściwem jest zestawianie ze Skargą: najpierw, Kraszewski nie miał gorącego zapału i gorącego, głęboko sięgającego stylu Skargi, a powtóre, był większym od niego tolerantem, bez cienia fanatyzmu religijnego. Skarga jako obywatel żyje głównie i żyć będzie swojemi kazaniami »sejmowemi«, a właśnie w zakresie przedmiotowym tych kazań rzadko kiedy poruszać się mógł umysł nowoczesnego pisarza, krępowany przez zakazy.

Przez życie całe był Kraszewski szczerze religijnym, ale religii nie zasadzał na przepisach i formułach wyznania zorganizowanego w pozytywny systemat. Na obłudę religijną miał oczy stale otwarte, tylko we współdziałaniu z Rzewuskim, Chołoniewskim, Grabowskim — podczas mąk redaktorskich przy *Athenaeum* — pozwolił samowiedzy swej się obłąkać i zmącić równowagę niezbędną dla publicysty-obywatela. Już w »Ostatnim roku panowania Zygmunta III« przypinał łatki Jezuitom, w latach męskich szedł stale przeciw jezuityzmowi, ultramontanizmowi i nabożnisiostwu. Z tego toru nie dał się wyprzeć Zmartwychwstańcom, a straconej łaski u Watykanu nigdy nie starał się odzyskać. Szczerze religijne tło jego duszy nie przyjmowało na siebie żadnych rysów, żadnych zabarwień radykalizmu antideistycznego. W latach rozwoju nie lgnął do żadnego z wolnomyślicieli, żadnemu systematowi filozoficznemu nie hołdował. Nie był też wiernym wyznawcą żadnego zgoła systemu społecznego lub politycznego — wytworzonego przez myśl oderwaną i teoretyczną, bądź-to pod nakazem rozumu, bądź też pod parciem namiętności. Uczucie sprawiedliwości, pojęcie równowagi, miłość ojczyzny, przywiązanie do kraju, lgnienie do ludzi jako

ofiar istnienia, rozsądny pogląd na byt zbiorowy, nakoniec doświadczenie zyskane w życiu — zastępowały mu doktrynę, jakąby mu urobić mogła większa lub mniejsza uczoność. Ponieważ dzieł pragmatycznych nie pisał, miał więc jako człowiek dość filozofii, socyologii i polityki na potrzeby pisarza z tego, co mu dały powyższe czynniki świadomości, szukającej dla siebie punktu stałego do zoryentowania się w świecie.

Takim był ten umysł i ten talent w dziełach swoich. Ogromem tego, co wytworzył i co powiedział, przewyższa wielu z najpłodniejszych pisarzów literatury powszechnej i ma bardzo mało sobie równych. Z geniuszami wspólną mu była nieprzeparta siła i rozpęd twórczy; potrzeba pisania wcześnie już wszczepiła mu się w krew, w nerwy, w istotę całą: nie mógł być niczem innem na ziemi, jeno pisarzem [8]. Energia jego pisarska jest może jedyną w dziejach myśli ludzkiej. Teraźniejszość i przeszłość wciąż przenikały mu do duszy i utrzymywały ją w ruchu ustawicznym zdumiewającym. Powieściopisarstwo i publicystyka wdarły się przemocą w świat jego własny, w świat serca, marzenia, tęsknoty, pamięci i sumienia — zabierały dla siebie jego podmiotowość. Żyjąc dla nich, nie czuł, nie odczuwał należycie samego siebie, jak to wykazało tak fatalnie obłędne zawikłanie się w sprawy szpiegowskie Francyi. Niesłychana sprężystość umysłu, uczucia i woli pozwalała mu, pomimo całego najazdu dokonanego przez pisarza na człowieku, żyć w narodzie, z narodem i ze światem, podzielać ich troski i znoje. Z miłością przykuwał się do grobów narodowych — do wielkiej mogiły bytu politycznego, z miłością wyciągał dłoń do wschodzącej młodości. Tam gdzie nie błądził — a błąd zdarzał się rzadko — w towarzystwie jego myśli człowiek szlachetniał i lepszym się stawał. Wpływ jego na społeczeństwo, mierzony pożytecznością, był doniosłym; przedewszystkiem on-to wytrącił z rąk Polaków powieść francuską, a bawiąc ludzi polską, zwłaszcza w okresie wołyńskim, jednocześnie ich nauczał i prowadził. Krzyczano nieraz na niego: tem lepiej; na

[8]) »Obrazy« tom I., str. 139—40; ważne dla tych, którzy chcą poznać rozwijanie się umysłu, momentu pojmowania i odczuwania człowieka, życia i świata, niejako sposób wzrastania ducha (1910).

kogo nie krzyczą, tego nie uważają za żywego. Pisarz społeczny powinien sobie wrogów wysłużyć. Za mało właśnie tej wysługi jest w życiu Kraszewskiego.

Gdy obejmiemy całkowitą działalność, całe przejście przez życie tak człowieka jak talentu, indywidualność Kraszewskiego ukaże się nam niedość w sobie zwartą, niedostatecznie skrystalizowaną, odbiegającą od tej rzeczywistości wewnętrznej, którą wróżyć mu pozwalały śmiałe błyskawice myśli w dobie młodzieńczej, — nie o takiej zwłaszcza sile bohaterskiej, jakiej wymaga Carlyle [9]) od tego, kto ma nietylko coś do powiedzenia światu, ale i coś do zrobienia na świecie. Zawsze jednak była to indywidualność z wytrwałym kierunkiem woli i myśli, z wybitną a dodatnią, niekiedy podniosłą nawet, dążnością społeczną i narodową, a energią obdarzona tak już wielką, że ją rzadko w historyi umysłowości napotkać można. Czuło się ją w umysłowym przestworze, iż jest, że się rusza, żyje i działa. Przez energię swoją był Kraszewski niejako wszędzie obecnym, wszystkiego, co bliżej lub dalej działo się na świecie, świadomym. Niezmierna ruchliwość, a w ruchliwości ciągłość, utrzymywała w nim stałą oryentacyę, nie ku samej tylko literaturze i sztuce, ale także — i może z większą jeszcze mocą — ku życiu narodowemu, ku jego potrzebom, troskom, krzywdom i nędzom. Ogarniając Naród syntetycznie, więcej sercem niż wiedzą i rozumowaniem, nie kusząc się o rozum stanu, którego ujarzmiony mieć nawet nie może, wierny ideałom patryotyzmu polskiego, nie zapominał też i o społeczeństwie, w którem byt narodowy tkwił: troszczył się o jego równowagę wewnętrzną, o konieczne warunki jego rozwoju, o pracę, dla samego istnienia bez anarchii niezbędną. Jeżeli co w Kraszewskim jako jednostce czującej i widzącej dla wszystkich, że tak powiem, przeszkadzało, jeżeli co zniżało lot, zmniejszało wartość społeczną tego, co pisał, to tylko łagodność charakteru, osłabiająca stanowczość woli, a w obrębie popędów bezwiednie w każdym człowieku działających — lgnienie, należycie nierozważone, do swoistego życia polskiego, przy jednoczesnem wyczuwaniu swojskości wyłącznie z form życia

[9]) »On Heroes, Hero-Worship and the Heroic in History [1840]«. Londyn, Chapman and Hall, b. r.; 16-o; str. 143—180.

dworskiego i szlacheckiego, przekazanych przez przeszłość wraz z samym stanem niegdyś w Rzeczypospolitej panującym. Ale ten żywioł małości i niemocy w publicyście, dla którego światem jest rzeczywistość, teraźniejszość, nie występował w tych dziełach powieściopisarza, w których pod pojęcie jedynie form życia nie widzimy podciąganego samego życia, t. j. stosunków społecznych lub narodowych, gdzie przeciwnie, te stosunki i tematycznie i rzeczowo samą treścią utworu wysuwają się na czoło. Takiemi są powieści okresu wołyńskiego, takiemi po roku 1863 utwory gorąco patryotyczne. Właśnie w najlepszej epoce swego powieściopisarstwa grzeszył Kraszewski, wskutek wskazanych niedomagań, gdy moralizował naród w sposób wprost dobru jego współczesnemu, a więc i przyszłemu, przeciwny; ale pomyliłby się ten, ktoby i w tym i w innych czynach szkodliwego moralizowania upatrywał zmienność przekonań, cofanie się wstecz, lgnienie do zachowawczości tamującej życie, które, jeśli życiem być ma, a nie prostem tylko trwaniem, musi koniecznie iść torem postępu. Zboczenia myśli o Narodzie, zwłaszcza największe pod koniec okresu wołyńskiego, były tylko paroxyzmami jakiejś pokory religijno-mystycznej, jakiegoś messyanicznego oddania się, bierności, wyrzekania się świata, a wątpienia o człowieku. Kiedyś może przyczyny zboczenia znajdą się w subjektywizmie drażliwego niezmiernie Tytana Pracy, który w pewnych chwilach swego życia stawał się prawie dzieckiem bezsilnem. Objektywnie takie wybuchy wsteczne przedstawiają się jako anormalność chwilowa, krótkotrwała w normalnym pochodzie myśli obywatelskiej ku dodatniemu biegunowi prawd dla Narodu potrzebnych. Sam myśliciel mógł jako podmiot odbierający wrażenia od świata tracić grunt pod stopami: zrąb jego przekonań, głęboko w duszę wrosłych, pozostawał nietkniętym: chwiał się niekiedy, ale ostatecznie nigdy nie wyszedł z pionu.

Inne rysy charakteru w samym żywocie.

XIII.

NOWELE SIENKIEWICZA.

(1880).

(*Pisma Henryka Sienkiewicza.* Tom I: Stary sługa, Hania, Szkice węglem, Janko Muzykant, 344 str.; tom II: Listy z podróży, 319 str. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, druk J. Bergera. 1880. 12-o.)

Nie wierzyliśmy nigdy w złowieszcze przepowiednie, że wiek nauk przyrodzonych, pary i telegrafu wygna z ludzkości poezyę i samo jej pożądanie w sercach ludzkich przytłumi; ale inna przepowiednia, głosząca, że berło powieściopisarstwa obejmą z czasem kobiety, a umysły i pióra męskie oddadzą się wyłącznie uprawie nauki, umiejętności, filozofii — oczywiście, pozytywnej — ta druga przepowiednia zgotowała nam niejedną chwilę wątpliwości. Patrząc na powstawanie coraz-to nowych, świetnych talentów kobiecych w Anglii, a szczupły zastęp prawdziwych talentów męskich, nie tylko u nas ale i na Zachodzie, musieliśmy sami zadać sobie pytanie: czy istotnie rozwój ludzkości, a w niej żywiołów kobiecych, nie przeznacza piśmiennictwa powieściowego wyłącznie dla kobiety, tak, jak już prawie wyłącznie oddał jej czytelnictwo? Kobieta pochłania powieść: cóżby dziwnego było, gdyby ją całkowicie dla siebie zagarnęła, gdyby tę przewagę jaką w spożywaniu jej posiada, i na wytwarzanie przeniosła? Alboż-by powieść sama, jako rodzaj literatury, na takiem wszechwładztwie kobiety cokolwiek straciła? — powiecie. Straciła? — nie; ale zmieniłaby swój charakter, nigdy

bowiem ani fantazya kobieca do męskiej podobną nie będzie, ani też zwierciadło kobiecości nie zdoła w sobie odbić świata tak, jak się on w monadach męskich kształtuje. Są różnice tak wielkie, że ich żadna wielkość talentu nie zniesie. Przy nowym porządku rzeczy moglibyśmy mieć utwory równej, a nawet wyższej wartości literackiej i artystycznej, ale nie mielibyśmy takiej rzeczywistości, takiej prawdy, tak silnego, jak dziś, związku między myślą twórczą a światem, który ją okala. Kobieta cudownie nieraz chwyta zjawiska; dla rzeczy i jestestw drobnych, dla małych, delikatnych rysów i odcieni ma duszę naoścież otwartą: ale mężczyzna silniej żyje w wielkiej rzeczywistości świata i silniej ją odczuwa, a właśnie na tem odczuwaniu stoi powieść wszelka, mająca pozostać i żyć w literaturze. Zdaje nam się, że gdyby pióra kobiece wszechwładnie w powieści zapanowały, musiałoby zaraz ostygnąć gorące tchnienie prawdy w utworach powieściowych, a wystawiane w nich człowieczeństwo byłoby może lepszem niż dziś, ale nie byłoby tak, jak dziś, prawdziwem. Owe wyżej napomknięte różnice kardynalne zacierać-by się zaczęły dopiero wtedy, gdyby i w obyczajach kardynalny nastąpił przewrót; tego zaś wcale my mężczyźni życzyć sobie nie mamy potrzeby, tego wcale nie pragniemy, choćby nawet piękniejsza i lepsza połowa rodu ludzkiego sama do tego dążyła.

Pod innym jeszcze względem moglibyśmy się dopatrzyć różnicy w tej nowej, zapowiadanej epoce, w porównaniu z dotychczasową. Natura kobiety czyni jej niemiłym proces wydobywania rozumu ze świata i naodwrót podbijania go rozumem w potęgę samowiedną urosłym; kobieta nie lubi wyciągać idei z rzeczy, gromadzić, porządkować i organizować w żywą całość rozumu; idea, jeżeli ją kobieta dostrzeże, tworzy dla niej z rzeczą, z istotą żywą, jedno niepodzielne jestestwo, ideał — coś, w co bez granic wierzyć, co bez granic miłować należy. W filozofii i krytyce kobiety nie chcą posiadać dość filozofii i krytyki; w sztuce dość sztuki, t. j. przedmiotowości, artystycznego panowania nad przedmiotem, zdolności w wystawianiu przeciwieństw idei i bytu; nie chcą mieć ideałów niezależnych od tych lub owych zjawisk i istot: idealizm swój wymieniają zaraz na gotowe pieniądze rzeczywistości, choćby tylko pod formą

wiary, nadziei i optymistycznego na świat poglądu. Takiemi się nam wydają kobiety wyżej rozwinięte i dobre; o innych nie mówimy. Skutkiem takiego ich usposobienia, ani świat rzeczywistości, ani świat idei nie ma, jeden wobec drugiego, potrzebnej niezależności: rzeczywistość świata nie pozwala pióru kobiecemu przejawiać się z całą bezwiednością, z całą naiwnością swoją, a znowu ideom rozumu nie zapewnia tej potęgi, jaką one tylko w przeciwstawianiu się rzeczywistości mieć mogą. Powieść opanowana wyłącznie przez kobietę musiałaby mieć wyłączny ten charakter, jaki tu wskazano.

Pierwsza już próba Sienkiewicza we właściwej powieści, i to współczesnej, w *Wieńcu* z roku 1873, pozwala odgadnąć przyszłego powieściopisarza, który oryginalność w obieraniu przedmiotów będzie umiał łączyć ze świeżością w ich przedstawieniu, a przez istotę twórczej wyobraźni swojej i sposób rozumienia człowieka stanie wobec zjawisk świata jako potęga samodzielna, nikogo nie naśladująca, na samej sobie oparta — oryginalna. Najważniejszym momentem dla krytyki *Na marne*, była okoliczność, że p. Sienkiewicz w pierwocinach swoich okazał już to, bez czego obywają się przez całe życie tłumy powieściopisarzów, — to nic wobec teoryi tendencyjności i to prawie wszystko wobec teoryi prawdy i piękna: styl, odtwarzający życie, poetyczny. Ten styl jest też najwybitniejszą, najświetniejszą stroną nowych jego utworów.

Jest nie jeden styl na świecie, do przedmiotu, do osobistości, do danego momentu zastosowany; ale wymaganiom powieści, nie bezmyślnej, ale i nie tendencyjnej, powieści uplastyczniającej ducha i naturę w człowieku i poza człowiekiem, przemawiającej do uczuć i rozumu — ze wszystkich rodzajów stylu najlepiej odpowiada właśnie styl poetyczny. Powieść jest podobno młodszą siostrą poezyi, wygnaną z nieba na stepy powszedniej rzeczywistości ziemskiej — za jaką winę? nie powiedziano, a może i bez winy, może tylko wskutek miłości dla anioła nieustającego, wiekuistego życia. Otóż, winna czy niewinna, powieść pochodzenia swego wypierać się nie może: przeciwnie, jak każdy wygnaniec ma ona obowiązek czcić pamiątki ojczyste i dawne swoje *ja* w sobie pielęgnować; nie wywiąże się zaś z tego obowiązku, jeśli nie będzie miała swego stylu, bo styl w działalności piśmienniczej jest tem, czem w życiu żywem charakter. A styl przedewszystkiem tkwi, nie w kompozycyi samej, nie w wypełniających ją stanach duchowych i stosunkach, nie w postanowieniach i czynach, nie w upostaciowaniu temperamentów i charakterów, ale w sposobie wyrażania słowem wszystkich pomysłów i poczuć. Styl w piśmiennictwie odpowiada wogóle kolorytowi w malarstwie, i równie jak on przed wszystkiem innem przemawia, i nad wszystko inne oryginalności twórcy objawić się pozwala. Ale styl w piśmiennictwie jest czemś więcej jeszcze niż koloryt w sztuce malarskiej: jest cząstką samej treści, a zawdzięcza to materyałowi swemu, słowu, które i wyższą od zmysłowej barwy posiada potęgę i ściślej z myślą utajoną w człowieku się łączy. Skutkiem tego i styl nie jest jedynie przyodziewkiem dla myśli lub faktu, ale samą myśl lub fakt w sobie i przez siebie urabia.

Styl dla powieści stosowny musi mieć wiele kolorytu, ciepła i światłości; żeby jednak mógł z tych darów skorzystać, potrzeba mu jeszcze prawdy, naturalności, jednorodności, któraby go nawskroś przejmowała. Wszystko w sztuce sztucznem być może: jeden tylko styl naturalnym być musi. Taki właśnie styl barwny, obrazowy, a prawdziwy posiada nasz autor; wydany przez niego zbiór usprawiedliwia w zupełności nadzieje obudzone jeszcze przed ośmiu laty: styl powieściopisarski Sienkiewicza od imienia jego odłączyć się już nie da.

Jakie jest teraz duchowe ustosunkowanie się talentu Sienkiewicza do przedstawianej rzeczywistości świata, jakie stanowisko obrane do ukazywania jej w sztuce, jaka tendencya; jak się w utworach jego mają żywioły poezyi do żywiołów rozsądku? Czy pisarz patrzy się na świat okiem satyryka, czy też humorysty, czy drwi sobie z niego, czy wzrusza ramionami, czy też się dłań zapala? A może jest modnym dziś socyologiem, może aspirantem na prawodawcę, może niesie ze sobą skalpel anatoma-psychologa, lub, co oryginalniejsza, w fizyologią ducha się zabawia? Czy nie odkrywa nam jakich prawd nowych, których przed nim najwięksi nawet myśliciele nie dostrzegli — biedni! — Zapewne jest retorem szlachetnie każącym: a broń Boże, żeby nie miał być w każdem słowie obywatelem. Nie, nie jest on ani tym ani owym: jest, jak każdy wyższy talent

w sztuce, pięknotwórcą, artystą; istoty rzeczy nie bada, ale daje nam piękne zjawiska, bujne wnętrza człowieczeństwa, przyczem pozwalamy sobie określić talent jego jako przeważnie malarski, zjawiskowy. Zjawiska i charaktery wyrzynają się u niego na wierzch z całą niepodległością i wyrazistością swoją, nieprzytłoczone kamieniem filozofii, niespętane przez z góry narzucone ideały. Talent jego nie wie skąd wyszedł i nie wie dokąd idzie: jest, bo jest. Nigdzie ani śladu wyrozumowanej tendencyi, jaką się tylko mierne zdolności podpierać zwykły, podpierać muszą, aby nie upaść.

Pisarz, którego mamy przed sobą, o niczem nowem, nadzwyczajnem lub spornem przekonywać nas nie chce, żadnej kwestyi społecznej nie rozwiązuje, nie wpada zgoła w kołowaciznę przekonywania środkami do przekonania istotnego doprowadzić niezdolnemi; wie co przypada na dział rozsądku praktycznego, a co na dział wyobraźni i uczucia, i nie tłucze w jednym moździerzu żywiołów piękna i praktycznego rozumu, aby nam z tego przyprawić sztukę tendencyjną. — Nie: on nam człowieka maluje w jego zjawiskowem bogactwie i potędze; naturę pod jarzmo słowa podbija; zadziwia nas, podnosi i wzrusza; daje nam rzetelne, głębokie zadowolenie; darzy nas soczystym owocem, z którego może kiedyś i rozsądek praktyczny i wszystko, co w nas jest nieupajającą się trzeźwością, skorzysta; ale przedewszystkiem do bezpośredniego używania powołuje wyobraźnię naszą i uczucie i w większej lub mniejszej mierze upajać się im każe.

Takim jest ten czystej wody poeta w formach powieściopisarstwa. Myliłby się jednak ktoby mniemał, że mówiąc »poeta«, mówimy zarazem »idealista«: Sienkiewicz idealistą nie jest: bez silnego realizmu nigdy-by nie zdobył sobie takiego stylu, jakim włada. Należałoby wygnać raz na zawsze z umysłów złudzenia bezmyślnego, nawyknieniem tylko przekazywanego, idealizmu, jakoby idee, ideały były urodzonymi wrogami rzeczywistości i odtwarzającego ją realizmu: bez rzeczywistości ideały nie miałyby podścieliska, a najwznioślejsze uczucia i porywy wyobraźni byłyby martwe, nieme i głuche — brakłoby im wyrazu. Wszystkie idealne obrazy, wszystkie metafory i inne postaci mowy: wszystko, co stanowi poetyczność właściwą, na rzeczywistości się tylko opiera, i, jak niemożebnem jest wyobrażenie człowieka bez ciała, tak mrzonką musiałaby być poezya bez rzeczywistości. Przy jednej i tejsamej mocy i podniosłości talentu kto silniej żył, ten i lepsze wiersze pisał. Tętno realizmu w utworach Sienkiewicza jest bardzo mocne; ale »realizm« nie znaczy tu — jak, skutkiem pomieszania pojęć, niedawno jeszcze w umyślnej rozprawie głoszono — zmysłowości, gminności, pospolitości, tego, co brudne i wstrętne. Któżby śmiał realizm w postaciach p. Sienkiewicza zestawić z realizmem Zoli! U naszego pisarza widzimy, nie ideały wcielone, ale istoty żywe, ze szlachetniejszej warstwy Ludzkości, do której i sam autor i czytelnicy jego należą; u Zoli tylko brud i występek, występek i brud, a jeśli wystąpi czystość, to albo u dzieci albo w nieuniknionej osłonie zmysłowości naiwnej.

Dwie pierwsze powiastki, *Stary Sługa* i *Hania*, mają formę opowiadanych wspomnień z lat dziecińswa i pierwszej młodości samego autora; on tu sam jest, jeśli nie głównym działaczem, to widzem, a świat, do którego nas wprowadza, to jakiś bliski mu dom, bliska rodzina. Obie powiastki stanowią jednę całość: pierwsza maluje lata dziecinne, druga rozbudzającą się już młodość. *Stary sługa* jest dawnym żołnierzem napoleońskim, jednym z tych szczątków Wielkiej Armii, ludzi twardych, szorstkich, a po większej części zacnych, którzy ze wspomnieniami swemi, z nawyknieniem i obejściem się surowem, ale z piętnem niestartem wielkiego zawodu, przez pół wieku przeszło tlili się jak iskry w popiele po wielkich dziejach. Pan Mikołaj Suchowiecki jest szlachcicem, ale z tego ludu szlacheckiego, który prócz ambicyi, niczem się od ludu właściwego nie różni; nie ma żadnego wykształcenia, ale okrzesał się i wyniósł nad gminność bytowania ludowego przez tosamo tylko, że był drobnym prochem w tym wirze, który geniusz i żądza nieograniczona naokoło siebie wytworzyły. Był niegdyś ordynansem u ojca i jego towarzyszem bojowym; dziś jest na łaskawym chlebie u syna, ale chleba tego darmo nie je. Spełnia posługi zaufania wymagające, dzieci mustry i strzelania uczy, akuratnie aż do zaślepienia spełnia rozkazy; wierny i przywiązany, uważa się

za członka rodziny i w ważnych jej sprawach radzi jakby bezpośrednio interesowany; mruczy, burczy i gdera, nie pytając o pozwolenie, a gdy mu się co nie podoba, nie waha się ganić i upominać. Gadula niesłychany, zmyśla bitwy, zwycięstwa i czyny bohaterskie, jakich nie zna wcale Historya; zmyśla same nawet grzechy i spowiada się księdzu ze zbrodni, których milionowej nawet części, przy poczciwości swojej, popełnić nie mógł. Zabawny i w całym obyczaju swoim naiwny, nie był jednakże stary sługa śmiesznym, jak śmiesznymi muszą być ludzie próżni zupełnie, puści a dziwaczni. Szczęsnym rysem w tej postaci jest nienawiść do lekarzy, których stary bez ogródki »cyrulikami« nazywa. »To nie sztuka — prawi — krajać takiego, co się bronić nie może, ale spróbuj ty go ukrajać, kiedy zdrów i trzyma karabin!« Może-by jeszcze darował lekarzom to ich nieprawidłowe krajanie, gdyby jeden z nich nie zakochał się był w« cioci Maryni«, siostrze pana domu, i nie chciał jej w małżeństwo porwać i uwieźć het, daleko — aby staremu tęsknotę po niej zostawić. Małżeństwo to uważa Mikołaj za *mezalians*; nie uznał go też, gdy już było faktem dokonanym, i kiedy »ciocia z trojgiem już dzieci przyjechała do brata, nazwał ją po dawnemu: »panienką«. Prędko się wszakże pogodził i z rzeczywistością, i z mężem »panienki«, pokochał go nawet, bo miał mu do zawdzięczenia życie wnuczki, czy prawnuczki, którą doktor z tyfusu był wyleczył. Przed śmiercią stary sługa zdziecinniał; lecz, gdy umierał, to znowu »piękną była ta głowa wyłysiała, zdobna dwiema szramami: głowa starego żołnierza i poczciwego człowieka«.

Autor umiał tak tę postać narysować, że gdy ksiądz Ludwik, guwerner i kapelan domowy, przeprowadzając pana Mikołaja do Wieczności, poleca Bogu »ducha tego dzielnego żołnierza, wiernego sługi i sprawiedliwego człowieka«, wierzymy, iż nie czyni tego daremnie. Niechaj więc spoczywa w pokoju, obok pana swego, ten dzielny wiarus, tem lepszy i milszy, że podobny do niejednej postaci żywej, za dni dzieciństwa w życiu widzianej. »Hej, łzy się kręcą!«

Kiedy stary umierał, samych państwa nie było w domu: nie mogąc więc im zostawić opieki nad sierotą, ową wnuczką czy prawnuczką, obowiązek ten włożył na obecnego ich syna,

podrostka z siódmej klasy: przygody miłosne tego, *in extremis* zamianowanego, opiekuna, jego pupilki i przyjaciela, stanowią przedmiot drugiej powiastki: *Hania*. Pierwsza miłość, pierwsze wejście w świat, pierwsze nieszczęście! Nie czytaliśmy dawno kart piękniejszych, żywiej pisanych, a tak zajmujących, że mimo młodzieniaszkostwa aktorów od przygód ich oderwać się niepodobna. *Hania* jest istnym klejnocikiem o ponurym, tragicznym blasku, jest małem arcydziełem. Kto nie mierzy piękna i twórczości na łokcie i wiersze, ten wyższe uznanie będzie miał dla *Hani*, niż dla niejednej wielotomowej powieści. Gdyby w tym małym utworze nic więcej nie było prócz dwóch natur młodzieńczych, które tak się kochają, a tak przeciwstawiają sobie, tak są blizkie sobie koleżeństwem i przyjaźnią, a tak dalekie duchowem upostaciowaniem, już-byśmy *Hani* bez wzruszenia czytać nie mogli. Samo odmalowanie tych dwóch natur, wystarcza Sienkiewiczowi do tytułu poety w powieściopisarstwie.

Oto najpierw dusza silna, bogata, ognista, ale tak w sobie zamknięta, że z objawów jej samych o jej istocie wnioskować niepodobna. Głębokość wystarczyłaby jej do melancholii, gdyby na melancholią pozwalała siła, żywość i męska porywczość. Tacy ludzie a raczej młodzieńcy, nie myśląc o tem, przeczą własnym swym ideałom, bezwiednie własne marzenia odpychają, lękają się objawów, jakgdyby wiedzieli, że ideały tylko we wnętrzu ich własnego ducha mieszkać mogą. Dla takich natur miłość kobiety jest czemś świętem; kobieta to nie istota im równa, nie towarzyszka, nie współczynnik ich szczęścia ziemskiego, ale królowa wielka w majestacie swoim. Zbliżyć się do niej, — co za zuchwalstwo! Zarówno marzyciele jak i takie natury, głębokie a zamknięte w sobie, pierwszą, a podobno pierwszą i ostatnią — miłość swoję do takiej kornej czci sprowadzają.

Taką naturą, nieumiejącą żyć dla siebie, ale umiejącą zamykać się w sobie, głęboką, delikatną i przez tosamo przeznaczoną na nieszczęście, szlachetnie ambitną i czujną na najlżejszą skazę, nawet na cień jej, na urojenie; palącą się we własnym ogniu, nie na to jednak, by zginąć, ale na to, by się kiedyś skrysztalić w charakter i umysł wyższy — taką naturą, przerastającą otoczenie swoje, a tragicznie usposobioną, jest Henryk. Kiedyś, gdy się wyrobi, będzie on człowiekiem wyższym od

swego przyjaciela; ale dziś, przyjaciel ten, jako człowiek i mężczyzna, wyżej od niego stanął. Gdybyśmy Henryka chcieli porównać z Gustawem i z Szarskim, porównanie to wypadłoby niewątpliwie na jego korzyść: ma on i lepsze, szlachetniejsze w sobie człowieczeństwo niż pierwszy i większą energią i zdolność do uczynienia z siebie ofiary niż drugi; wszyscy zaś trzej są do siebie podobni: jeden ich ogień pożera. Henryk, gdy pokochał, to »tak, jak w niebie kochają: kochał jej postać, kochał jej oczy, każdy promień włosów, dźwięk mowy, każdą jej sukienkę, kochał powietrze, którem oddychała«. »Miłość przenikała mnie nawskróś — opowiada bohater *Hani* — i była nie tylko w sercu, ale i w całej mojej istocie: żyłem tylko w niej i przez nią. Miłość ta płynęła we mnie jak krew, biła odemnie jak ciepło. Dla innych może istnieje coś obok miłości; dla mnie cały świat istniał w niej, nic poza nią. Dla świata byłem ślepy, głuchy i głupi...«

Tak niby każdy kocha, kto kocha; dla każdego, czy on Henryk, czy biedny czeladnik szewski, gdy szczerym jest, poza kobietą nic nie ma na świecie: kobieta i ziemię i niebo i cnotę i obowiązek i Boga samego zasłonić może. Ale gdy natury pospolite łatwo pospolitością się zadawalają, — a tyle jej w koło siebie znajdują! — dusza głęboka, jak Henryk, platońską połowę swoję rzadko kiedy na tej ziemi spotka, a spotkaną najczęściej sama od siebie odepchnie. Znajdzie się kobieta, godna zasiąść na królewskim tronie; ale czy będzie taka, coby zgodziła się na samą tylko rolę królowej, rolę, jaką Henryk nadał Hani, a jakiej Hania wcale przyjąć nie chciała, woląc być kochaną niż czczoną? Gdzie jest kobieta, którąby czci gorącej i nieśmiałości wobec królewskiego majestatu nie uznała za jakiś chłód, bezsilność, nieradność — i, powiedzmy wręcz, mazgajstwo? Doskonale się też stało w powieści, że Henryk jest dopiero studentem na pierwszym kursie; na drugim już wiedziałby, że jeśli kobieta zalotna jest jak miasto otwarte, to i najuczciwsza, ale mająca prawo uczciwie kochać, nie zechce być nigdy warownią nie do zdobycia.

Cóż dopiero, gdy przedmiotem miłości była istota taka, jak Hania: młode, naiwne dziewczę, niepotrzebujące i niezdolne patrzeć w głąb' duszy, ale pragnące miłości, którąby była jak

cichy potok, bez walki i trudu, z dwóch płynących ku sobie strumieni powstały, — miłości ziemskiej, odważnej, swobodnej, uśmiechniętej, radością i szczęściem darzącej! Chwyta się przedewszystkiem zjawiska i chwile na tym świecie, gdzie istot tak mało, a wiekuistości nie ma dla niczego. Na co pytać o istotę, o tę wielką zagadkę duchowej treści człowieka, o tego, niedającego się nigdy pochwycić, motyla duszy: poco za nim gonić? Ani Hania tego nie chce, ani Selim: kochają się, bo się podobali sobie; nie będą mogli żyć bez siebie, bo się do siebie przyzwyczają. Ich miłość, niegłęboka, może być równie silną jak i najgłębsza. Selim to jakby dla Hani stworzony: znaleźli się w korcu maku. Oboje idą po jednej ziemi, jedną drogą, więc spotkać się muszą. Henryka nam autor nie opisał, ale przypuszczając nawet że był on przystojnym, z Selimem chyba zrównać się nie mógł: dość powiedzieć, że Tatar miał oczy Gruzinki, miał ogniste spojrzenie, był brunetem; że przy swej powierzchowności posiadał wielką swobodę w życiu, lekkość, humor, dowcip, zręczność, odwagę i siłę — naturę prawdziwie męską; że, nakoniec, miał prawe, uczciwe serce i otwartą głowę. A jak kochał Hanię! światła pod korzec nie stawiał, co czuł, wypowiadał, co kochał, chciał zaraz posiąść. Hania wprawdzie i jemu świat zasłaniała, ale nie była dla niego, jak dla Henryka, światem całym. Kochał się poprzednio w żywym obrazie Józi z przeciwka, ale prędko o nim zapomniał; zapomni i o Hani i choć dla niej chciał umrzeć, bez niej żyć potrafi: i nigdy mu przed oczyma uczucie jego tragicznie się nie ukształtuje: to właśnie jest jego wyższością w szczęściu, że mniej żyje duchem, a więcej rzeczywistością, mniej istotą rzeczy, a więcej zjawiskami — i że ostatecznie mniej ma zarysów na bohatera tragicznego.

Takie są te trzy postaci młodzieńcze. Ustosunkowanie się ich do siebie, rozwój charakterów i przygód, doskonale tym zasadniczym punktom ich istot odpowiada. Inaczej stać się nie mogło, tylko tak, jak się stało: musiał Selim odsadzić Henryka, musiała Hania wybrać pierwszego, a nie drugiego. Obszerną skalę uczuć przebiega nieszczęśliwy Henryk i bujnie się rozwija w stosunku do Hani, do ojca, a nadewszystko do Selima. Dwaj przyjaciele, w ciągu kilku tygodni stający się wrogami śmiertelnymi; Henryk, schodzący po szczeblach czci, zazdrości,

podejrzliwości, szlachetnego i nieszlachetnego gniewu, małej i wielkiej zemsty, na dno cierpień i zrąb grobu; rozstrzygnięcie tej kardynalnej dla jego serca kwestyi: nie tej już, który z nich dwóch kochać ma Hanię? ale tej, który z nich ma żyć dalej na świecie? ileż tu przepysznych rysów prawdy człowieczej, ile charakterystycznej wyrazistości! Henryk, choć cierpi, nie jest wcale mazgajem i nie przechwalał się bynajmniej, gdy mówił, że miłość płynie w nim jak krew, bije od niego jak ciepło. A Selim? Czyż nie ostrzegał Henryka? czy go podszedł? Czy mu swobody kochania nie zostawił? Wszystko troje to istoty dobre, czyste, chwytające za serce — a chwytające tem silniej, im bardziej nawzajem przez same siebie nieszczęśliwe.

Pod względem artystycznym jedna tylko *Hania* nie jest odmalowaną tak, jakbyśmy ją widzieć pragnęli: daną formę niezawsze treść odpowiednia wypełnia, naprzykład, gdy Henryk wyrzuca jej pocałunki, jakie brał z jej ust Selim, odpór z jej strony jest zbyt słabym i ustęp ten nie posiada potrzebnego kolorytu w stylu. Wspaniałą jest postać ojca, powagą swoją nad całym światem dziecinnych rozkoszy i cierpień panującego, ale w stanowczej chwili niewahającego się przyznać dziecku praw człowieka.

Są w *Hani* momenta, które nie prędko z pamięci wypełzną. Już na samym początku uderza cicha modlitwa przed ołtarzem, potem przenoszenie śpiącej dzieweczki, ofiarowanie szabli pradziadowskiej synowi, odprowadzanie Selima wieczorem, pogoń za nim wśród burzy, spotkanie się Henryka z ojcem na moście i wspaniałe pobłogosławienie na pojedynek, wreszcie mgliste wspomnienie konania. Małą ilością słów autor umie mocno do duszy przemawiać.

Wiedział Sienkiewicz, że szaleńcy tacy jak Henryk, kiedy cierpią, to od ludzi uciekają do natury, a kiedy mają spełnić stanowczy czyn względem człowieka, w samotności natury do niego zaprawić się muszą. Dlatego w *Hani* polowanie na wilki nie jest tylko obrazem wtrąconym, ale jest czynnikiem w rozwoju wrażliwości bohatera. Z wielkiem też poczuciem artyzmu w końcu powiastki autor nie pozwala czytelnikowi na rozstaniu się z *Hanią* widzieć jej jeszcze oszpeconej przez ospę, ale jej da-

wną piękność przywraca; a uczyniwszy ją siostrą miłosierdzia, pozostawia w nas po niej samej i po jej miłości żałość, która wrażenie z utworu wyniesione podwyższa jeszcze i uszlachetnia.

Przechodzimy do dwóch pozostałych powiastek.

Dzieje się, co się dziać ma, w Baraniej Głowie, w powiecie Osłowickim. Pisarzuje tam, czyli rządzi, trzęsie ciemną gromadą, pan Zołzikiewicz, najgorliwszy czytelnik *Izabelli hiszpańskiej*, z zieloną w kraty czapką na głowie, złodziej i kryminalista, nikczemny i śmieszny. Wójt przy nim i ławnicy ani poświecą zdrowym rozsądkiem; zatracają już uczciwość, a przed sprawiedliwością już się ich umysły zamknęły. Inteligencya gminy, z wyjątkiem niejakiego pana Flossa, trzyma się zasady nieinterwencyi, tak doskonale, że każe o sobie mniemać, iż nawet uczucie człowieczeństwa w stosunku do gminy już się jej obcem stało. We wsi mieszka Wawrzon Rzepa; ma żonę piękną jak łania, a wierną i kochającą męża nadewszystko na świecie. Zołzikiewicz, »zagiąwszy parol« na Marysię Rzepową, postanowił pozbyć się Rzepy, na którego wie »rozmaite rzeczy«. Czas popisu nastręcza mu dogodną sposobność. Wójt ma ratować syna od wojska; pisarz namawia go, żeby dla oszczędzenia ośmiuset rubli za wykup, zobowiązał Wawrzona do zastępstwa. Rzepie, pospołu z wójtem i ławnikami, pijącemu w karczmie, podsuwa nikczemnik papier, który ten bierze za akt mający go doprowadzić do posiadania lasu: podpisuje, chowa pięćdziesiąt rubli; spojony, całą noc przesypia w karczmie; zrana budzi się, spostrzega pieniądze, pyta karczmarza; karczmarz z niego drwi. Wawrzon przypomina sobie wszystko; biegnie do swej Marysi, opowiada; oboje radzą i wytaczają sprawę przed sąd; sąd skazuje Wawrzona na zamknięcie w chlewku. Wtedy Marysia idzie do »dobrodzieja« i wysłuchawszy mszy św., kornie mu do kolan się schyla; ale otrzymuje pociechę chrześcijańską: żeby ofiarowała cierpienie za grzechy Rzepy, który się upijać lubił; zrozpaczona, wraca do domu, idzie do dworu. Tu zasada nieinterwencyi każe jej długie godziny czekać zmiłowania, a potem wyprawia ją do Osłowic. W Osłowicach strudzoną, nieśmiałą, bezsilną, przemówić niezdolną, odsyłają od Annasza do Kaifasza, nakoniec biorą za waryatkę i odprawiają z niczem. Wraca więc nieszczęśliwa, ale po drodze pada; nadjeżdża jakiś Herszek

i zabiera ją do domu. Tu kończy się Imogena, a zaczyna Marion de Lorme. Szmul, ów karczmarz, staje się wężem kusicielem; biedna kobieta ratuje męża upadkiem własnym; wraca i spowiada się Wawrzonowi; ten chwyta za topór — zabija; nakoniec podpala zabudowania dworskie.

Oto wielka tragedya, i nie tylko jednostkowa, ale przytem co się zowie społeczna, na kilkudziesięciu kartach. Takie to czarne, że nazwa *Szkice węglem* jak wraz do całości przystaje. Zaiste, węgiel to rysował, nie pióro: węgiel czarny, straszny, przerażający. Ponieważ wypadek nie występuje tu w indywidualności faktu, któryby się rzeczywiście wydarzył, ma więc na sobie to jakieś znamię ogólności, któreby przerazić, do rozpaczy doprowadzić było zdolne, gdybyśmy, szczęściem, nie czuli, że nawet w Baraniej Głowie, nawet w powiecie Osłowickim, nic podobnego w opowiedziany sposób przytrafić się nie mogło. Daremnie *Epilog* usiłuje wypadkowi prawdopodobieństwo wywalczyć: nie wierzymy, aby tacy Zołzikiewicze mogli do tak głębokiego zepsucia lud przywieźć, tak zdrowy rozsądek całej gromadzie zaćmić, tak trząść nietylko ludźmi, ale i sumieniami. Nie, nie!

Węgiel użyty do szkicu jest zbyt czarnym: braknie postaciom światłocienia, a zarysy tych, któreby jasnemi być powinny, nie są dość wyraźne. Z całej tej czarno-narysowanej gromady dwie główne postaci, oboje Rzepowie, rysować się powinny jasno, względnie jasno, i pod takim właśnie względem, z jakim liczyć się muszą, jeśli chcą być *ofiarami* i pozostawić współczucie w czytelniku. Utwór taki, jaki jest, nie może być ani trzeźwą charakterystyką rzeczywistości, ani dziełem sztuki, zdolnem sprawić spodziewane wrażenie. Rzepina jest uczciwą; a dlaczegóż nie pozostawia po sobie takiego żalu, jakim przygniata serce nasze trup Ulany, która była przecież tak winną, tak winną? Oto nie widzimy w niej ani rozsądku, ani silnej namiętności, ani zdrowej przyrodzonej energii, ani uczucia, jako żywego źródła objawów uczuciowych, ani nawet samej uczciwości: duszy w niej nie widzimy. Ba! Czy można wymagać duszy od żony jakiegoś tam Wawrzona w Baraniej Głowie? Ta właśnie Barania Głowa wszystko tu przytłacza i temu, co rzeczywiście piękne i coby wrażenie sprawić mogło, wyrazistość odejmuje. Baranią Głową była wieś; baraniemi głowami byli jej

mieszkańcy, baraniemi głowami są Rzepina i Wawrzon. Jak tu baranich głów żałować? Tło wessało w siebie postaci same, a choćby taki porządek rzeczy najprawdziwszym był w życiu i kiedyś mógł być powołanym do zaświadczenia o epoce, w utworze jednak, który nie wyszedł z nagiej tylko samowiedzy dostrzegacza, ale za matkę ma tę potęgę twórczą, co-to nawet samowiedzę do potrzeb swoich urabia, w utworze takim owa przemoc tła nad postaciami, nawet najdodatniejszemi, szkodzi pięknu i w dziele sztuki wadliwą być musi. Autor każe Marysi kochać, niepokoić się, znoić, cierpieć, poświęcać; Marysia kocha, niepokoi się, znoi, cierpi, poświęca; ale przy tem wszystkiem na ogrom przygody dusza jej jest za małą, za małą nawet na to, abyśmy, widząc głowę jej pod toporem Wawrzona, zawołać musieli: »Biedna!« Nie chodzi nam tu o jakąś wielkość duchową, o bogactwo, jakiego lud przy zmysłowym bycie swoim mieć nie może, ale o wnętrze dla tych zewnętrznych objawów, które już są, które sam autor wprowadził. Na idealną nawet treść istoty mogło się było znaleźć miejsce, bo kto kocha, cierpi, kto się poświęca, ten już, choćby nie miał żadnego wykształcenia, ma ideały.

Bohaterka *Szkiców* posiada niektóre rysy bardzo piękne: jak naprzykład w kościele podczas podniesienia, w drodze, gdy znużona upada, a burza huczy; ale nie czujemy jej samej, nie czujemy młodości, bytu wyodrębnionego iześrodkowanego w jej jestestwie człowieczem. Może ta smutna, trapiona dolegliwościami, żona pijaka zagrożonego poborem, przywiązana do niego i chcąca go ratować, jest tąsamą, którą autor ukazał nam w jutrzence młodości, w swej *Sielance leśnej*[1])? Dlaczegóżby nie? Gdyby tak jej byt obecny z dawnym związać — ileżby przez to poetyczności, ile duszy zyskała!

Zołzikiewicz jest jak żywy, tylko przygoda jego z Kruczkiem przesadzona. Wiele ustępów z życia nieszczęśliwego ludu, wiernie pochwyconych (np. Rzepy: »Bóg mi zabrał ciele!«) i znakomicie zwięzłemi dobitnemi wyrażeniami oddanych. Pysznem jest wprowadzenie owego »Sądu morskiego«, którym Zołzikiewicz

[1]) *Bluszcz* z r. 1875, Nr 39.

straszy baranie głowy; dobre też są wzory dwóch odezw, dwóch stylów przeciwstawiających się sobie wielkości gromadzkich.

Czarnym węglem również narysował p. Sienkiewicz ostatnią swoją powiastkę *Janko Muzykant;* a czarność i tu także zaszkodziła wrażeniu, jakie z opowiadania o poetycznej postaci dzieciny wiejskiej wynieść-byśmy powinni. Autor nie wskazuje miejscowości, ale chyba to tasama Barania Głowa; w niej-to zapewne Janek urodził się, pasł gęsi, słuchał świstu wichrów i gwarów leśnych, w niej później póty podsłuchywał »śpiewające drewno« aż je wreszcie ze ściany zdjąć zapragnął pokryjomu, jak złodziej; w niej wreszcie tylko mógł być istotnie za złodzieja uznanym, obitym, na śmierć obitym, z wyroku głupiej gromady, — aby ostatecznie umrzeć na rękach rozpaczającej matki. Nowa powiastka, nowe nieszczęście, i znowu otchłań tragiczna dla życia! Stacza się w nią tyle żywotów: dlaczegóżby nie miało stoczyć się i ciche istnienie chorowitej, poetycznej dzieciny? Pan Sienkiewicz, który z takiem mistrzostwem narysował biednego Michasia, zamęczającego się niemczyzną i konjugacyami klasycznemi, rozumie i odczuwa byt dziecięcy duszą prawdziwego artysty i szlachetnego człowieka; zrozumiał też i odczuł byt takiej istoty poetycznej jak Janek. Żałujemy tylko, że szkic ten jest zanadto szkicem; że go autor nie rozszerzył i prawie pozostawił w postaci pomysłu raczej niż rozwiniętego już utworu. Styl jędrny, uczuciowy, a nie roztkliwiający, doskonale założeniu odpowiada.

W kilku wierszach zakończenia występuje dosadnie myśliciel, wytykający arystokracyi o farbowanych lisach jej lgnienie do cudzoziemczyzny, jej upędzanie się za artyzmem włoskim, wtedy, kiedy rodzimy mrze w kraju, pod bokiem, bez pomocy, bez opieki, od rózg jakiegoś głupiego stójki wiejskiego.

XIV.

Z BURZY DZIEJOWEJ

(1884).

Sienkiewicz Henryk: *Ogniem i mieczem,* powieść z lat dawnych, wydanie drugie, przejrzane i poprawione; 4 tomy (T. I 274 str., T. II 290 str., T. III 348 str., T. IV 233 str.). Warszawa 1884, nakład Gebethnera i Wolffa, druk S. Niemiery. 12-mo.

Są książki przeznaczone dla małej tylko liczby i są pisarze czytywani przez małą tylko liczbę. Powieść z natury swojej przeznaczoną jest dla wszystkich, dla tego żywego ogółu, który i martwą naukowość i wszelki specyalizm w sobie roztapia: stąd też powieściopisarz wtedy dopiero z pracy swej zadowolonym być może, kiedy dzieła jego znajdą się w rękach powszechności czytającej tego społeczeństwa, do którego należy. Takiego zadowolenia nie przestaje doznawać Kraszewski, takiem długo cieszył się Jeż i takie wreszcie stało się obecnie udziałem Sienkiewicza. Jego powieść *Ogniem i mieczem,* w dwóch jednocześnie czasopismach drukowana, w wydaniu książkowem rozeszła się w ciągu kilku miesięcy i teraz już mamy ją przed sobą w ponowionej i *poprawionej* edycyi. Utwór pisany szybko nie mógł mieć wykończenia należytego w samej kompozycyi, i chcąc go, choćby tylko pod tym jednym względem, ocenić, potrzeba go wziąć z temi poprawkami i uzupełnieniami, jakie do niego weszły już po pierwszem uksiążkowieniu.

Nim pomówimy o dziele, dotkniemy w przelocie epoki, którą to dzieło przed oczyma naszemi stawia. Była to epoka

straszna, pełna klęsk i błędów, skaz i plam politycznych i moralnych, epoka wojny domowej, niewolna od hańby a dysząca okrucieństwem. Jednakże autor *Ogniem i mieczem* mimo tych znamion czasu, mimo wysokiego powołania, jakie ma powieść historyczna, nie wahał się z takiej i tej właśnie epoki wysnuć przędzy wydarzeń dla swojego utworu. Jest w tem wiele odwagi, która graniczyłaby z zuchwalstwem lub tendencyjną lekkomyślnością, gdyby w tem obrębie przeszłości, do którego zawitała twórcza fantazya autora, nie było nic więcej prócz cech ujemnych; gdyby ją pociągało samo tylko bogactwo życia, wielka rozmaitość zjawisk, przepych kolorytu, ustawiczność ruchu, — wszystko, co fantazyę, że tak powiemy, zmysłową, pociąga. Ale epoka owa jest jeszcze epoką wielkich uczuć, wielkich bólów i radości, trosk i postanowień, wielkiego męztwa i wielkich charakterów — a w treści swej duchowej przedstawia takiesamo bogactwo, jakiem uderza przez formy swoje najpospolitszy nawet umysł. Z takiej epoki gdzie światła i ciemności ważą się ustawicznie ze sobą, gdzie kataklizmy idą jedne po drugich, a spokój ucieka przed niemi, gdzie natura ludzka od piekła do nieba się przerzuca, gdzie nieszczęścia i małości więcej, bo i jednostek małych więcej niż wybranych — wykroić epopeę, jaką powieść historyczna w pewnej mierze być powinna: zadanie to daleko trudniejsze niż wtedy, gdy się ma do czynienia z epoką czystych tryumfów i zgodnych dodatnich dążeń. Ale, jeżeli mam prawdę powiedzieć — dla talentu rzeczywistego zaszczytniej jest z pierwszej niż z drugiej kopalni wyłamywać kamienie do budowy. Prawda, że w sztuce dobre chęci nic nie znaczą: trzeba dać koniecznie czyn, to jest życie i piękno; istotny wszakże talent i w tem się zawsze przejawi, co pozostało dla niego nieosiągniętym ideałem.

Z epoki 1648—1659 r. Sienkiewicz nietylko tę jedną powieść napisał, ale pisze jeszcze i drugą, którą nazwać zamierza *Potopem*. Miano to, jak wraz przystaje do całego tego straszliwego dwunastolecia, i historyk obrazowy, z formy swej historyk-poeta, jakim być musi każdy kreślący losy narodu dla narodu — całej tej epoki inaczej-by nie nazwał. Był to rzeczywiście potop nieszczęść. Przeznaczenie otworzyło na nas wszystkie swe upusty. Chmury, jak fale spienionego oceanu, waliły się jedna

przez drugą, a każda przynosiła ulewę, błyskawice i pioruny. Co zajaśniał promyk, to go zaraz nowe mroki chłonęły. Gromy biły nieustannie, groza śmierci wiła się jak wąż po huczącem niebie. Z czeluści Europy, z przestworza ojczyzny wypadały coraz-to nowe szatany. Od wichru przeciwności mdlała i upadała dusza zbiorowa, łamały się podstawy bytu, pękało sklepienie wiekowej budowy. Bezwątpienia, dla Historyi nie wystarcza mechaniczne odmierzanie i odważanie wypadków; ilość dla niej nigdy wobec jakości rozstrzygającą być nie może; każdy wypadek ma w jej oczach swoją własną indywidualność — i w tem znaczeniu mówimy też, że się wypadki nie powtarzają w historyi: — spójrzmy jednak na te kilka miesięcy Władysława IV i jedenaście lat Jana Kazimierza: czy tak łatwo znajdziemy w dziejach nowożytnych równie ogromną summę przeciwności, nieszczęść i klęsk, w jedną chwilę zebranych? i trud też równie ogromny, dla przełamania losu podjęty — podjęty i wykonany?

Lelewel ubolewa, że dotychczas jeszcze epoka tej wielkiej burzy dziejowej nie znalazła godnego siebie historyka; ale sam w swych *Uwagach* kreśli jej obraz wyrazisty, a w jednym ustępie, summującym wszystkie nieszczęścia i wszystkie nędze, wzbija się, nawet on, pod wrażeniem rzeczywistości, na wyżyny prawdziwie szczytnego wysłowienia. Jakże się dopiero rwać musi duch artystyczny, jeśli w siebie tylko dobrze dzieje te wchłonął, tak, aby one w nim odżyły; jeśli nieprzeliczone mnóstwo większych i mniejszych szczegółów zebrał w jednę syntezę i wytworzył z całego ogromu wypadków jednę indywidualność, ożywioną już rzeczywiście tchnieniem epoki! Takiego artystycznego ducha potrzeba i historyi, która pomimo wszelkich pedanckich deklamacyi *ex cathedra* jako wiedza czysta, krytyczna, nigdy nie przeniknie w powszechność i musi się stać koniecznie umiejętnością i sztuką, aby rzeczywiste swoje zadanie oświecania umysłów prawdą spełnić mogła. Na takiego historyka czeka jeszcze do dziś dnia epoka pomieniona. Artystycznego odczucia i wydania, żywego uplastycznienia wydarzeń i czynów nie od każdego żądać można; ale do sprawiedliwego sądu każdy jest zobowiązany. Pod tym względem nowsze dziejopisarstwo nasze, w tak zwanej s z k o l e k r a k o w s k i e j za-

mknięte, krzywdzi przeszłość wogóle, a w szczególności tę epokę, wobec której właśnie stoimy.

Jeden z przedstawicieli tej szkoły, historyk prawa z powołania, a historyk polityczny z temperamentu, p. Bobrzyński, dał się poznać jako autor improwizacyi nazwanej *Dziejami Polski*, improwizacyi, w której sam Henryk Szmitt wykazał sto kilkadziesiąt błędów faktycznych, a która mimo to dostąpiła zaszczytu wielkiej poczytności. Traktat swój poprzedził p. Bobrzyński schematem pojęć o organizacyi państwa, żywcem jakby wziętym z handbuchów niemieckich. Co do schematu nie przypada, to uczony profesor bez miłosierdzia przykrywa, obcina, przycina, aby tylko w ramy z góry sklejone wlazło; wypadki, które okaleczyć się nie dały, uśmierca, to jest wcale o nich nie mówi; na inne, niedogodne dla siebie, rzuca światło własne, aby się odpowiednio wydały; wszystko to zaś czyni dla miłości prawdy, oczywiście — szkoda tylko, że bez zgłębienia samoistnego, na które brakło mu nawet czasu. Jest on tu tylko heroldem szkoły, założonej jeszcze w r. 1865 w *Kilku Prawdach* przez Szujskiego: miał więc prawo wyniki trudów i przekonania tego historyka, należące do szkoły całej, adoptować i jako własne swoje w świat puścić. W tym tedy pamflecie na przeszłość Polski p. Bobrzyński twierdzi, że upadek zaczął się już w wieku XV. Dlaczego? bo właśnie wtedy powszechność zeszła z tego, co się u p. Bobrzyńskiego jedyną drogą prostą, do zbawienia wiodącą nazywa, i uwikłała się na manowcach, wiadomo zaś czem są wszelkie manowce.

Po takim upadku już za Kazimierza Jagiellończyka i Olbrachta, rzecz prosta, cały wiek XVI musi być wiekiem ułudnej tylko siły, a wiek XVII epoką błędów i grzechów coraz sromotniejszych. Tymczasem historya przekonywa, że właśnie na owych manowcach pana Bobrzyńskiego działo się wiele rzeczy dobrych, dodatnich, jakieby może na jedynej zbawiennej drodze nie były się nigdy spełniły. Pomijamy tu otchłań sofistyki, jakiej potrzeba było dla dowiedzenia, że nawet rozwój umysłowy XVI wieku był tylko blichtrem: staje przed nami z całością wielkich zamysłów swoich, przedsięwzięć i czynów spełnionych wiek XVII staje ta właśnie epoka, nad którą zatrzymuje się myśl nasza zbolała. Czyjąż to było zasługą, że się rzecz publiczna z tego

straszliwego potopu wydobyła? Jakież to były i czyje środki, które jej jednocześnie sześć wojen toczyć i ostatecznie zakończyć pozwoliły? Może modlitwami zbudowano arkę jakąś, a potop ją na sobie uniósł, ocalając właśnie tych, których miał zagubić? Może słynna pomoc austryacka ocaliła wtedy rzecz publiczną? Może interwencya Ludwika XIV? Kto pobudzał i rzucał tysiące istnień na krwawe widownie, gdzie zawsze znajdowały się w mniejszości, a gdzie w większej części wypadków odnosiły zwycięztwa? Więc zapewne ta zasada, za którą walczy p. Bobrzyński, wywoływała życie, hartowała serca, skupiała siły? Więc temu czynnikowi dziejów, z którym borykała się nierozumnie szlachta, jego inicyatywie, jego cnocie, rozumowi i energii, przypisać należy to, że niepamiętna w dziejach burza przehuczała, przewyła, przeszła i zostawiła tyle sił jeszcze, ile ich potrzeba było na Chocim w 1673 r., na Wiedeń 1683 r.? Nie, nie — a więc co? Daremne wykręty i mędrkowania! Oto energia stanu szlacheckiego, jego żywotność i samodzielność. Ślepym być potrzeba, aby nie dostrzedz tego, że w epoce *ogniem i mieczem* zaznaczonej, nie inna jakaś siła lub zasada, ale naród sam wydobył Rzeczpospolitą z morza bezprzykładnych nieszczęść.

Najbardziej palące zagadnienie historyozofii naszej: która z dwóch potęg ze sobą ścierających się wewnątrz narodu więcej zrobiła dla ostatecznego nieszczęścia? — dotychczas jeszcze nie zostało rozstrzygniętem szczerze, niepodlegle a gruntownie, naukowo; nie odpowiedział na nie jeszcze żaden umysł szerokopatrzący, wolny od wszelkich krępujących doktryn i upodobań, sądzący rzeczy świata ze stanowiska świata i sprawy ludzkie ze stanowiska natury ludzkiej. *Uwagi* Lelewela są zanadto dogmatyczne; rozprawa Krzyżanowskiego, pełna trafnych spostrzeżeń, zamało wnika w szczegóły faktów i zamało z nich samych wyprowadza przekonywujące dowody. Cały zastęp historyków monarchicznych swawoli szlacheckiej przypisuje wszystko złe. Jest to bardzo łatwa historyozofia, czepiająca się objawów, a niesięgająca przyczyn. Formuła jej, niesłychanie prosta, tą prostotą swoją właśnie zjednywa sobie zwolenników. Sprowadzić pojęcie państwa do pojęcia silnego rządu; przyjąć za pewnik, że jedna z dwóch potęg walczących, królewskość, dążyła do

urzeczywistnienia takiego pojęcia, a druga wszystkie jej, w tym celu przedsiębrane, roboty systematycznie niszczyła; skutkiem tego przyznać pierwszej wyłączną troskę o dobro publiczne, a drugiej tylko bezmyślne używanie indywidualne tych dóbr, które zapewniało poruszanie się w państwie jako w uprzywilejowanej instytucyi społecznej; wziąć bezład, wynikający z braku organizacyi wogóle i z niedostateczności umysłowego rozwoju, za jakiś grzech pierworodny życia politycznego powszechności narodowej: zrobić to wszystko i nie powiedzieć jeszcze, że upadku winna jest szlachta — byłoby to już prawdziwem niedołęztwem umysłowem. Nie patrzy się tu na naród, jak na organizm żywy, który żywą też zasadę dla własnego rozwoju z samego siebie wyprowadza i w samym sobie niesie swoje przeznaczenie; nie odpowiada się szczerze, faktami samemi, na pytanie: Czy obok owej troski o dobro publiczne, obok rozumu, nie było osobistych interesów, nie było ciasnego ograniczenia umysłu? Czy królewskość spełniła wszystkie swoje obowiązki; czy, zamiast walczyć, nie mogła prowadzić i poprawiać; czy jej brakło tylko możności, czy też i dobrej woli a zdolności działania? Do każdego organizmu narodowego należy jego mózg, jego umysłowość: a któryż z tych historyków monarchicznych bada upadek życia publicznego w związku z upadkiem życia umysłowego i w rozpościerającej się coraz bardziej chmurze fanatyzmu, ma odwagę ukazać jeden z czynników późniejszej niemocy? Gdy się zasiada na tym najwyższym trybunale, jaki świat dać może, gdy się przystępuje do wyrokowania o przeszłości milionów — potrzeba nieomal mieć czystość aniołów a siłę olbrzymów. Umysł bez zupełnej niepodległości nie będzie umiał nigdy uszanować faktów; umysł bez należytej siły nie poradzi sobie z ich mnogością.

Dla filozofii dziejów, która ma przed sobą już ich całość, obojętne są wszelkie kwestye ściśle państwowe; obchodzi ją przedewszystkiem kwestya żywotnych sił społeczeństwa, stan jego zdrowia lub choroby w chwili tej katastrofy, która wytrąciła je lub wytrącić miała z naturalnych jego kolei. Historyozof prawdziwy będzie badał zawsze stopień żywotności społeczeństwa bez względu na formę rządu. Społeczeństwo-naród będzie dla niego większą, głębszą kopalnią prawd historycznych,

niż państwo; bo też jest większym i głębiej żyjącym organizmem: a stąd potrzeba oglądania się przedewszystkiem na żywotne siły społeczno-narodowe, czyby się one w tej, lub w innej formie państwa czy rządu przejawiały. Tylko pogląd z takiego organicznego stanowiska przeprowadzony mógłby nam bałamuctwa nieprzeliczonych naszych historyozofii rozwikłać.

Z takiego też stanowiska patrząc na epokę wojen kozackich i szwedzkich, nie będziemy się zabawiali w maluczkie dociekania porządku i państwowości, ale patrząc na to, co zrobił stan szlachecki, wystawimy mu, pomimo wszystkich jego błędów i grzechów, *świadectwo życia*, najwyższe jakie od historyi otrzymać może dany stan lub warstwa w narodzie.

Gdyby takasama żywotność znalazła się była w pięćdziesiąt i w sto dziesięć lat później — dzieje innym poszłyby torem. Nie życie polityczne szlachty XVI i XVII w., ale jej śmierć polityczna za Augustów — sprowadziła niemoc narodową. Nie publiczne, ale prywatne namiętności upodliły stan szlachecki — zamknięcie się w domu, w kaplicy, w szkaplerzu. Bijatyki i hulatyki były koniecznem następstwem politycznej bezczynności, tego strasznego bagniskowego spokoju, za który nie wynagradzało najlżejsze nawet życie umysłowe, całe w książkach do nabożeństwa, kazaniach i panegirykach zamknięte. Najważniejszą przeszkodą do ustalenia się silnego rządu, któryby porządek z wolnością połączył, było pozostawienie rozdawnictwa dóbr narodowych i urzędów dożywotnich w rękach króla — broń potężna, bo jednająca stronników, stwarzająca dwór, i arystokracyą w szlachcie, możnowładztwo. Kiedy ostatni raz przed Michałem zamiar odjęcia królom tej prerogatywy podniesiono, z czyjejże to stało się pobudki, z możnowładczej czy ze szlacheckiej, i czyjeż to stronnictwo, szlachty czy możnowładców, myśl zbawienną stłumiło? A jakichże to ciężarów nie zwaliła na naród dynastyczna ambicya Wazów? Szlachta polska, państwo polskie płacić musiało rachunki pretendentów szwedzkich, choć jeszcze za Zamoyskiego niedwuznacznie powiedziano Zygmuntowi, iż Polska z jego pretensyami do Szwecyi solidaryzować się nie ma zamiaru. Gdyby nie ta ambicya, epoka 1648/59 r. nie byłaby pociągnęła za sobą tylu ofiar, nie sprowadziłaby tak głębokiego wstrząśnienia, jak nam to ukazuje historya.

Odbiegliśmy daleko od toru, jaki nam wskazywał czysty obowiązek sprawozdawczy. Wiem o tem, ale wiem także, iż przedmiot poruszonych tu wątpliwości i nasuniętych spostrzeżeń logicznych jest nieskończenie ważniejszym i od samej powieści Sienkiewicza, i od krytycznych nad nią uwag, — a powieść właśnie przez epokę swoją sama go przed umysł mój wywołała.

Czasy powieści przypadają na sam początek strasznej epoki. Wypadki zaczynają się na wiosnę 1648 r., kończą w lipcu 1649 r. Tam początek ruchów kozackich, tu oblężenie Zbaraża i Umowa Zborowska. Umowa ta zakończyła pierwszą wojnę z Kozakami i Tatarami, której zarys, może z Szajnochy wzięty, występuje w powieści. Autor nie poprzedził go prologiem, bez którego historyk obyć-by się nie mógł, ale do którego epika żadne nie zniewalało prawo. W historyi idzie o prawdę wierną życia, idzie o pełnię i związek wewnętrzny wypadków, o ich przyczynową między sobą zależność, której poznanie niezbędnem jest dla wyrozumienia przeszłości. Historyk prawdziwy, a nie prosty tylko badacz historyczny, musi być do pewnego stopnia poetą i artystą, ale to tylko w formie swego opowiadania; w treści powinien on być surowym sędzią śledczym, powinien być prokuratorem układającym akt oskarżenia przeciwko tym wszystkim potęgom i siłom, które za głosem rozumu iść nie chciały lub nie umiały, interes ogólny gwałciły, a z praw moralnych czyniły sobie igraszkę. Powieściopisarz czy poeta-epik nie potrzebuje ani na trybunałach zasiadać, ani wytaczać procesów: przyjmuje on przeszłość z rąk historyka, wybiera z niej co chce, uzupełnia siłą własnej imaginacyi i bierze za tworzywo do dzieła, które ma być, nie *opowiadaniem*, ale *utworem*. Historyk opowiada to, co się stało kiedyś, poza nim; powieściopisarz lub poeta jest tylko opowiadaczem tego, co się dzieje w nim samym, skutkiem zapalenia się imaginacyi od pierwszej iskry twórczości. Nie prawda faktów, ale piękno w sobie, nie rzeczywisty, ale ideowy świat, z gliny rzeczywistego parujący, staje z prawami pierworodztwa przed intelligencyą każdego poety, każdego epika. Któżby się odważył przyjąć *Iliadę* za szczerą historyę oblężenia Troi i wierzyć w to, że w niej są wszystkie i takiesame fakta, jakie były istotnie w życiu? Ale wszyscy wierzymy chętnie, że w *Iliadzie* odbija się naród grecki, człowiek ówczesny, i cenimy poemat, nie dla jego historyczności, ale dla prawdy, siły, życia, piękna człowieczeństwa, które nam przed oczy stawia. Żadnemu utworowi historycznemu nie wolno być historyą, każde musi być pięknotworem. Poeta także opowiada historyę, ale w niej są raczej dzieje wiekuistej natury ludzkiej w danem społeczeństwie, niż samego tego społeczeństwa. Francuz, Vitet, pisał dramata, które z kronikarską szczegółowością ukazywały przeszłość polityczną Francyi. Cóż z tego? Pozostał między niebem a ziemią: stąd się oderwał, a tam go nie przyjęli. Historya jest czem innem, poezya czem innem; brać ich pod jedno wspólne prawo nie wolno. Nie uczyni też tego żadna estetyka, mogąca się wylegitymować prawem pochodzeniem. A najstraszniejszą już bywa estetyka socyologów i ekonomistów.

Obraz byłby, bezwątpienia, pełniejszym, gdyby go był Sienkiewicz poprzedził przedstawieniem tego, co dało zarówno powód, jak i pozór do buntu; bo, choć był pozór niegodziwie wyzyskany, choć była rozszalała ambicya i nienawiść, były także i przyczyny poważne i zażalenia słuszne. Bez nich niepodobna byłoby pojąć: jakim sposobem Chmielnicki wywołał z przestworów Ukrainy tak ogromną massę czerni; największa jego powaga u swoich, najwyższa przewrotność nie dokazałaby tego sama przez się: było już gotowe usposobienie, a złożyły się na nie winy samej Rzeczypospolitej. Oto porzucono rozumną drogę, na jaką wprowadził był kozactwo Stefan Batory: zamiast, ze wzrostem ludności, z ożywieniem się stepów, powiększać regestr, zmniejszano go, a nieszczęsna Komisya Kurukowska niewdzięcznością jawną odpłaciła Kozakom usługi, jakie wyświadczali na dalekich nawet Inflantach przez dwadzieścia lat wojen z chwałą prowadzonych. Ograniczenie regestru, skrępowanie wyborów, musiało drażnić przywykłą do wojskowości i wojskowego samorządu Sicz. Prawda, że ciągłe łupieztwa narażały na ustawiczne starcia z Turkami, ale i temu dałoby się zapobiedz, gdyby wcześniej pomyślano o postawieniu silnej twierdzy pogranicznej, któraby, nad obu brzegami Dniepru panując, wyprawy na Czarne Morze tamowała. Zrozumiano w teoryi, ale nie umiano wprowadzić w rzeczywistość przeznaczenia, jakie miała ta anomalia ludu wojennego, zorganizowanego odrębnie

od całości i pod społecznym i pod politycznym względem. To, co Austrya przeciwko Turkom umyślnie zakładać musiała, Polsce wytworzyła niejako sama natura przeciwko Tatarom. Kozacy — tož to gotowy taran do rozbicia Perekopu i Krymu! Przedsięwzięcie nie było do wykonania niepodobnem, a raz wykonane, dawało rozwiązanie kwestyi z istoty swej zawiłej, jaką była od początku kwestya Kozaczyzny. Możnaby było ziemie tatarskie zostawić w trwałem ich posiadaniu, zaprowadzając węzeł federacyjny, któryby zapewnił użytkowanie z ich sił i zabezpieczył tak granicę południową, jak i stosunki handlowe z Południem.

Wojny prowadzone za Zaruckiego i Konaszewicza wywarły wpływ dobroczynny. Zaczęło się w Kozakach wyrabiać poczucie wspólności z wielkim ogółem, który ich ogarniał, zaczęli oni sami ciążyć do Rzeczypospolitej, i w r. 1632 dopomnieli się udziału w elekcyi. Była to chwila stanowcza: możnowładztwo jej nie pojęło, bo znajdowało się od kilku lat na drodze zgubnej reakcyi, do której podwaliny rzucił, późniejszy pogromca Gustawa Adolfa, Koniecpolski. Nawet już po tej odmowie, nawet w czynach zbrojnej nieprzyjaźni o czemże marzy Pawluk? O rozpędzeniu możnowładztwa, o nowych porządkach. Oczy jego zwracają się ku Warszawie: tu pada środek ciężkości jego zamysłów. Daleką jest jeszcze chwila ciążenia nazewnątrz.

Niewłaściwe postępowanie z Kozakami regestrowymi i z całą masą ludu zbrojnego,ześrodkowanego na Niżu, ale rozproszonego także ponad Dnieprem, na północ i zachód od porohów, aż pod Kijów, odbiło się straszliwym wpływem na stosunkach agrarnych Ukrainy. Tylko państwo w dzisiejszem pojęciu, z dzisiejszą organizacyą, mogło bezkarnie pomyśleć o takiem zmedyatyzowaniu Kozaków, na jakie się odważyła konstytucya roku 1638: Polska ówczesna przez samo podjęcie takiego zadania wyzywała przeciw sobie los zawistny. Nie zamieniono zbrojnych w chłopstwo; oswojono tylko chłopstwo z myślą, że i ono także może być zbrojnem. Kozacy, regestrowi i nieregestrowi, siedzący pomiędzy ludem na Ukrainie rzucali ciągłe żarzewie. Takim Kozakiem był Chmielnicki. Kwestya agrarna, nieznana w Europie całej w XVII w., tam, na ukraińskich kresach, występowała jako żywa i paląca. Najgorszem w niej było to właśnie, że nie wybuchnęła wcześniej i doczekała się zbrojnych ruchów Chmielnickiego. Raz wszedłszy na drogę fałszywą: ścieśniania swobód kozackich, wytwarzano coraz więcej wrogich dla Rzeczypospolitej żywiołów. Na Niżu największe niebezpieczeństwo w chwili wybuchu groziło od tych, których nie chciano przyjąć do regestru; na Ukrainie właściwej najgorszymi byli ci, których w chłopów obrócić postanowiono. Sąsiedztwo porohów i Niżu podkopywało istotnie pracę rolną na tamtych obszarach, które pracą tylko zaludniały się i cywilizowały, ale musiało ono być daleko gorszem w stosunkach, jakie wytworzyć usiłowała konstytucya roku 1638, niż byłoby w prawidłowych, jakie po dniach Chocima ustalić się były powinny.

Niema światła bez cienia: wraz z ożywianiem się stepów ukrainnych zaczęły się zagnieżdżać stosunki podobne do tych, na jakie wiek nasz patrzał w Stanach Południowych wielkiej rzeczypospolitej amerykańskiej. Przerzedzały się lasy, zaludniały pustkowia, powstawały *latifundia*, w których coraz więcej ziemi szło pod uprawę; ale wyrabiało się też i lekceważenie człowieka, który za narzędzie do tej uprawy służył. Komisarze i starostkowie pamiętali o sobie i na własną rękę, w widokach własnej korzyści, robili to, co im z urzędu nawet dozwolonem nie było. Do wszystkiego złego w stosunkach rolno-ekonomicznych przybyło zarozumienie szlachty o sobie, za Władysława IV wybujałe już nad miarę, i pogarda religijna, zaszczepiana przez fanatyczną reakcyę. Te są grzechy, których miłość prawdy, święty względem niej obowiązek, zataić nie pozwala. Ruch roku 1648 *in potentia* istniał już na dziesięć lat przedtem, bo i największy olbrzym, najohydniejszy szatan, niczego-by nie dokazał z czernią, gdyby ta czerń duchowo do buntu przygotowaną nie była.

Tu znowu wysławiana przez monarchistów polityka królewska na własną rękę najcięższą dźwiga na sobie winę. Wiem, że historya ścisła nie zna żadnych »gdyby«, z tem wszystkiem logika sama stawia pytanie: »czy bez samowolnego zaawanturowania się Władysława IV w dalekie widoki polityczne przeciwko Turcyi, Chmielnicki znalazłby osobistą pobudkę do czynu?« Błędem, już nawet ze stanowiska własnej polityki królewskiej,

było dawanie Kozakom od siebie tego, co tylko sama Rzeczpospolita przyznać im miała prawo, a czego przyznać później nie chcąc, w Chmielnickim wytworzyła sobie odrazu osobistego wroga. Spór o jakąś słobodę nie dokazałby tego, co w duszy ambitnego człowieka wydać musiał, kiedy go wsparła zawiedziona nadzieja odegrania wielkiej roli w Wojsku Zaporozkiem, w pokoju i w wojnie. Idziemy nawet dalej i twierdzimy, że nieszczęsne rokowania królewskie postawiły Chmielnickiego odrazu na trójnogu, wyniosły go na czoło Kozaczyzny, jako męża zaufania, obudziły w nim samym wiarę, że może być czemś więcej niż prostym tylko setnikiem czehryńskim. Bez takiego usposobienia nawet niedorzeczny upór Koniecpolskiego, dającego posłuch zupełny swemu podstarościemu, nie sprowadziłby tego momentu psychologicznego, który potrzebnym był do wywołania ruchu.

Takie uwagi nasunęła nam epoka *Ogniem i mieczem*. Przechodzimy teraz do powieści. Jest ona epopeją rycerskiego ducha przodków naszych. Rolę bohatera w niej odgrywa ten stan szlachecki, który tyle zawinił, ale który winy swoje umiał jeszcze energią, męstwem i ostatecznie ocaleniem ojczyzny okupić. Ukazanie tej energii, tego niespożytego jeszcze zdrowia, w szeregu rozpraw bojowych; odmalowanie szlachcica polskiego w życiu obozowem i na polach bitew; przedstawienie całej grozy buntów i uplastycznienie ich czytelnikowi zapomocą wypadków i osobistości historycznych; stałe dążenie do wystawienia owych znojów orężnych z ich strony najkorzystniejszej: wszystko to przebija się w powieści. Przeważający w niej charakter militarny przyniosła w sobie sama epoka; ale niezależnie od tego powiedzieć potrzeba, iż zewnętrzna zjawiskowość wojenna silniej pociągała autora niż falowanie wewnętrzne dusz; opisy walk, pochodów bojowych, nawet pojedynkowych rozpraw, są gorętsze, z większem zamiłowaniem oddane, niż opisy innych wydarzeń.

Zdaje mi się, że więcej kobietom, które czytały powieść niż autorowi samemu, który ją pisał, zawdzięcza Skrzetuski to, że go uważają za bohatera utworu. Pamiętam, jak piękne a załzawione czytelniczki żądały od Sienkiewicza, aby się wszystko

szczęśliwie skończyło; dla nich przygoda miłosna p. Jana ze Skrzetuszewa była najważniejszą. Fraszka bitwa pod Konstantynowem, fraszka oblężenie Zbaraża, poświęcenie się Podbipięty i samego Skrzetuskiego: chodziło o to, czy się wszystko szczęśliwie skończy, czy Helena będzie żoną, a Jan mężem. Małżeństwo — toć to sens moralny życia, i lepszego nie potrzeba! Nie dla takich dusz małych pisał autor swą powieść, nie dlatego wywołał cień wielki Jeremiego, nie dlatego tłumy ze stron obu ustawił i morze krwi wylewać im kazał — aby się ostatecznie wszystko na ślubnym kobiercu rozwiązało. Miłość i małżeństwo są tylko epizodami powieści; nie stanowią rdzennej jej treści. Młodość zawsze kochać może, może i musi: kocha się też tych dwoje; ale ich miłość nie występuje na przód krwawej widowni. Bohaterami powieści są te serca, które wiernie dochowywały męstwa, są te ramiona, które jeszcze sztuki pogromów nie zapomniały. Powtarzamy: energia stanu szlacheckiego na polach bitew, a nie energia rodzajowa tej lub owej osobistości, jest rzeczywistym przedmiotem epopei ogniem i mieczem wypowiedzianej. Może być, iż autor zamierzył w początku z miłości indywidualnej uczynić oś obrotową dzieła; ale później, w potopie wydarzeń publicznych, zamiar ten porzucić musiał, a stąd i Skrzetuskiego w roli bohatera utrzymać już nie mógł. Gdy p. Jana dobrze porównamy z jego rówieśnikami, nie dostrzeżemy w nim zgoła wyższego bohaterstwa. Czemże on lepszy od Podbipięty, od Wołodyjowskiego, od Zagłoby? Nad tym ostatnim ma wyższość etyczną, ale taką samą posiadają dwaj jego towarzysze z chorągwi księcia Jeremiasza; bohaterstwo Podbipięty lub Wołodyjowskiego niczem nie ustępuje męstwu Skrzetuskiego, o którym nawet powiedzieć trzeba, że nie ma tej konstytucyjnej siły, jaką widzimy w »małym rycerzu«. Co więcej, Zagłoba, któremu autor dał zbyt wiele miejsca w powieści, daleko więcej działa nawet w zakresie przygody miłosnej p. Jana, niż on sam, bezpośrednio interesowany. Żywioł liryczny: zniechęcenia, a później rozpaczy, w duszy Skrzetuskiego, większą posiada siłę od żywiołu bohaterskiego. Dotknięty strzałą Amora, nie mógł on obojętnie patrzeć na to, jak mu kosa śmierci nadzieje wszystkie podcina; chciał zapomnieć, chciał być silnym, walczył cicho, poszedł na śmierć męczeńską, ale wrażenia siły szczególnej po

sobie nie zostawił. Jest on jako bohater cząstką wielkiej osoby moralnej z dziesiątków, może i z setek tysięcy złożonej: i nie wzbija się o własnej sile, nie wystaje ponad innych, wzroku do siebie przed innymi nie przykuwa. Powiedzmy prawdę: pierwiastek czynny jest w nim słabszy od biernego.

Nie jest także bohaterem książę Jeremi, nawet w tomie IV, który autor poświęca na oblężenie Zbaraża. Dlaczego się to stało? Może autor nie chciał, a może nie podołał. Nam się zdaje, że powieść ta wogóle ma słabą kolumnę pacierzową. Był duch twórczy, wytrwały i stojący na wysokości opowiadanych wydarzeń: nie było planu niewzruszonego, któryby odróżnił rzeczy główne od dodatkowych, bliższe od dalszych, wprowadził perspektywę, wytworzył dla powieści nietylko rzeczowe, ale i osobiste, psychologicznie jednolite ognisko i wskazał zarazem to, co być musi dla całości odczutego obrazu, a co tylko być może bez szkody dla głównych tej całości szczegółów. O księciu Jeremim autor mówi w kilku miejscach, a ukazuje nam go z jakie dziesięć razy, przytacza nawet historyczne jego słowa, charakteryzuje go niezaprzeczanemi przez historyą postępkami, składa świadectwo jego wyższości jako wodza, pozwala nam go raz widzieć w całym majestacie, wyniesionym ponad ambicyą i żołnierskość, otwiera nawet przed nami jego duszę, a z piersi jego w chwili obrachunku z sumieniem, wyrywa rozpaczliwy okrzyk: »Chryste Panie, zmiłuj się nademną«: pomimo to wszystko jednak Jeremi nie przykuwa wzroku naszego tak, jak postacie drugorzędne, jak jego rycerze: Skrzetuski, Wierszull, Wołodyjowski, Podbipięta. Wobec realistycznego rysunku tej szlachty rycerskiej książę występuje już tylko jako abstrakcyjne odbicie żywego człowieka. Autor starał się zebrać i dodatnie i ujemne rysy jego charakteru i działalności (tom I, str. 94—6), w chwilach stosownych malował nam jego niezłomną energię bojową, jego rozum i przenikliwość wojskową, jego dążności polityczne: ale z tem wszystkiem nie są to dzieje strasznego Jaremy; kto inny jeszcze odmalować je będzie musiał, aby potężną tę indywidualność, dotychczas wskrzeszenia w historyi i sztuce oczekującą, przed oczy dzisiejszego pokolenia postawić. W każdym razie nie znamy utworu literatury ojczystej, którby z taką nawet wybitnością, jak w tej powieści, odtworzył postać znakomitego żołnierza, ostatniego może wielkiego możnowładcy polskiego, którego potomność przeklinać nie potrzebuje.

Sienkiewicz, starający się w stosunku do przeszłości być jak syn dobry względem matki, i głównie dlatego usuwający genezę ruchu, przekleństwem najdalszych wieków obarczonego — nie miał przecież dla Wiśniowieckiego upojenia, nie zrobił go archaniołem, nie ukazał doskonale czystym, bez plam i błędów. Jego srogość, jego niemiłosierdzie, plastycznie nawet na kilku kartach powieści się malują. Narzekającemu na swawolę innych autor wytyka własne targnięcie się na majestat prawa. Widocznie, starał się mu przyjrzeć z niejednej strony, aby nie sfałszować historyi; wiedział bowiem, że co innego jest wytwarzanie własnego świata imaginacyi ze składowych części świata rzeczywistości, a co innego kaleczenie prawdy.

Bierzemy tu autora wyraźnie w obronę od napaści, jakie go spotkały. Z dodatniego przedstawienia księcia Jeremiasza, z przekleństw i złorzeczeń Zagłoby, z czarnego upostaciowania Chmielnickiego i jego zastępów bojowych — wyprowadzono wniosek: że Sienkiewicz przeistoczył prawdę; że w powieści swojej chciał przeprowadzić jakąś dążność możnowładczą i gnuśnie-szlachecką; że, jak tonący chwyta się brzytwy, tak on, tonąc imaginacyą w potopie wydarzeń, a nie powodując się wskazówkami krytyki, chwycił się ostrza niebezpiecznej historyozofii i socyologii historycznej. Zarzuty takie wychodzą z tej strony, w której na dzieła sztuki zwykło się patrzeć jak na referaty biurowe. Istne trzęsienie serca wywołuje w takiej krytyce zawsze kwestya tendencyi. Dzieło, które im dasz, dramat, czy komedya, powieść czy liryka, musi być przedewszystkiem wyrazem pewnej prawdy rozumowej, w najobszerniejszem znaczeniu socyologicznej. Patrzy się w tym obozie na dzieło, jak na czyn z zamiarem — czyn, który według istoty zamiaru mógłby się okazać kryminalnym. Ta trzeźwa pozytywna krytyka, nierozumiejąca zgoła artyzmu, nie rozumie i praw artysty do zupełnej niezależności od poglądów, przekonań, sądów, od całego rynsztunku krytycznego epoki tworzeniu współczesnej. Tego, żeby się dzieło w uczuciu autora począć, a w uczuciach czytelników rozpłynąć mogło, nigdy tam nie pojmą. Na rzeczywistą tendencyę sztuki, na tendencyę uczuciową, niema się tam

wzroku, zmysłu, rozumu. Sztywność i oschłość są w tej szkole tak wielkie, że nie młodzieniaszkowe już wyrocznie, jak swojego czasu u nas bywało w *Opiekunie domowym*, ale prawdziwie tęgie umysły wierzą w możebność jakichś stałych naukowych prawideł dla piękna, w jakąś mądrość, która kiedyś, kiedyś w szczęśliwszej przyszłości, nie poprzestanie na tem, że pozwoli bez zawodu, dobrze tworzyć talentom już gotowym, ale nawet i same te talenta przygotowywać będzie. Nic dziwnego, że taka estetyka doprowadzić musiała wyznawców swoich do złamania miecza nad Sienkiewiczem. Podsądny chciał być i był artystą; sędziowie kazali mu być historykiem, historyozofem, socyologiem, a czemużby nawet nie ekonomistą politycznym? Jako autor powieści historycznej miał Sienkiewicz obowiązek uszanować historyę; krytyka zrobiła mu zarzut z tego, że nie poszedł do kuchni historycznej, że nie pisał powieści tak, jakby pisał rozprawę z zakończeniem: *quod erat demonstrandum*.

Jakąż to Sienkiewicz gwałcił prawdę historyczną, gdy ukazywał w Filipowie (tom II, str. 109) pięć ściętych głów kozackich, a Suchejręce, wbitemu na pal, kładł w usta straszliwe przekleństwo (tamże); gdy Zaćwilichowskiemu kazał boleć nad wojną bratnią (tom I, str. 140); gdy wojewodę kijowskiego Tyszkiewicza ośmielał do rzucenia Wiśniowieckiemu w żywe oczy tych słów, tak doniosłych (tom II, str. 186): »Z męstwa należało ci się słusznie (regimentarstwo), wszelako może i lepiej, żeć go nie oddali, bo ty-byś bunt, ale z nim razem i tę nieszczęsną ziemię we krwi utopił«; gdy samemu Chmielowi pozwalał krytykować (tom I, str. 193) gospodarstwo możnowładcze na Ukrainie w duchu *Dwóch lat dziejów naszych*; gdy przypomniał Wiśniowieckiemu, że i on sam, narzekający na samowolę innych, uległ był także w danej chwili popędowi samowoli (tom II, str. 119); gdy wreszcie przytaczał instrukcyę, daną w Pohrebyszczu (tom II, str. 152) i t. d.?

Czyliż tego wszystkiego nie dosyć? Co mógł więcej zrobić artysta? Może w jaśniejszych barwach przedstawić miał człowieka, który był »lwem i orłem, wężem i lisem«; może miał nadać mu większą wydatność bohaterską, zrobić go entuzyastą, apostołem, mężem stanu, znakomitym politykiem, dyplomatą? Zostawił to zadanie innym, aby się mordowali nad niem, nie

gwałcąc prawdy dziejowej. Sam wolał malować to, cośmy już za artystyczny przedmiot w powieści *Ogniem i mieczem* uznali: energią stanu szlacheckiego. Szukając punktu, z któregoby mógł odtworzyć najpiękniejszy obraz dziejowy z tej epoki, tak bogatej w rozmaitość fenomenów i nadzwyczajność życia, stanął Sienkiewicz tam, gdzie było serce Polski — i dobrze stanął! Bezwątpienia, mógł był wprowadzić nieco odmiany w jednostajnie czarnym kolorycie, w jakim trzymał stronę przeciwną; ale rysem charakteru Chmielnickiego (tom I, str. 253), obrazami tych narad, tych krzyków, sądów doraźnych, mordów, okrucieństw, pijaństw, gburstw i zabijatyk, wreszcie tej socyologii ciemnoty (tom II, str. 77), nie sprzeniewierzył się historyi, bo to wszystko było — jako żywo, było, a człowiekowi tworzącemu piękno nikt nie może narzucać pęt, jakiemi samo powołanie krępuje historyka. Jeżeli już koniecznie nawet sztuka procesować się musi, wolno artyście w tym procesie być stroną, a nie sędzią. W żadnym razie nie ma on obowiązku dać wszystkiego, co było; wolno mu wybrać co zechce, co jego serce, fantazyę twórczą najsilniej przyciąga. Jego już rzeczą jest wybrać; rzeczą krytyki patrzeć: czy z tego wyboru skorzystał, czy stworzył dzieło żywe a piękne, czy zdołał obrazy swoje odbić na wyobraźniach czytelników, czy ich zajął, pociągnął, zapalił, czy przemówił do ich serc — ostatecznie: czy wzruszył? — bo powiedzmy to sobie nareszcie, że *wzruszenie* jest jedynym celem sztuki, tak, jak *przekonanie* — jedynym znowu celem nauki i umiejętności.

Przygody wojenne, bitwy, podjazdy, przekradanie się przez nieprzyjaciela, ucieczka przed nim, zniszczenie, mordy i pożogi nie zostawiły w powieści miejsca, ani na kobiecość, ani na życie polityczne, ani na cichy byt dworu wiejskiego. Począwszy od tomu II kobieta znika zupełnie, a późniejsze zabłyśnięcie Heleny jest tylko krótkotrwałem i nie ukazuje nam kobiecości w dramatycznej grze życia. Żywioł męski, wojenny, awanturniczy, nawet zawadyacki, rozpościera się po całym utworze. Szlachta bije się za siebie, za ojczyznę, ale nad ojczyzną nie rozmyśla. Rozmów o Rzeczypospolitej, o jej niedolach, o Kozakach i czerni, o stosunkach, na które bunt się nawiązał, o spodziewanej elekcyi — niema wcale, a zaprowadzenie czytelnika

do Warszawy służy na to tylko, aby mu ukazać pojedynek Bohuna z Wołodyjowskim. Ramiona tej szlachty i serca działają, umysłowość ani drgnie. Najzdolniejszym ze wszystkich, najroztropniejszym jest samochwał Zagłoba; gadając ciągle, ma on dwie pyszne przypowiastki: jednę o kawaleryi i piechocie, drugą o szlachcie, z ust XVII wieku wyrwane. Parę postaci, w głębi obrazu nakrótko ukazanych, spełnia za siebie i za innych obowiązek ciążący na umysłowości szlacheckiej; takim jest Zaćwilichowski, takim Grodzicki, a nawet konający Zakrzewski. Scen, w których-by się nie zabijano, jest bardzo mało; najwyraziściej przed oczy występuje przygoda w kościele lwowskim. Niekiedy cichnie nawalnica, rozstępują się chmury, widać kawałek błękitnego nieba: to liryka wpada do eposu, ale niedługie jej chwile. Przychodzi znowu niebezpieczeństwo i znowu żywiołom energii daje przewagę nad żywiołami uczucia. Zresztą ciągła burza, — ciągły huk i grzmot; a w przerwach, nie liryce czystej, ale malarstwu rodzajowemu buława artyzmu się dostaje.

Dawni malarze, gdy im szło o efekt malowniczości, odbijali jedne zjawiska od drugich przez kontrast, przeciwstawność; można było oczekiwać, że i w tej powieści piękno zjawiskowe wojny spotęguje się przez ukazanie ciszy i błogości pokoju. Dla pisarza tej miary jak Sienkiewicz nie było nic łatwiejszego nad wprowadzenie czytelnika do wnętrza dworu szlacheckiego; ale widocznie, twórczość jego nie uczuła w sobie żadnej potrzeby, żadnego popędu. Chwile zbywające od wojen, bijatyk i nadzwyczajnych zaciekawiających przygód oddał autor do rozporządzenia Zagłoby, który bawi szlachtę, drwi z Podbipięty, przeklina w pień Kozaków, rozpowiada swoje przygody na Wschodzie, kłamie na gruby kamień, a pije za sześciu, ale czy w ten sposób, jako przedstawiciel stanu szlacheckiego w pokoju, dobrze korzysta z czasu? — o tem bardzo wątpię. Wysunięcie go na czoło powieści, oddanie mu literalnie największej liczby jej kart, byłoby właściwszem w utworze, w którymby się nie przewijały wypadki tak wielkie i straszne. Powiedzieliśmy, że Zagłoba za wiele miejsca zajmuje w powieści; powiemy więcej: on na powieści, jako epopei, cięży, rozrywa ją i jest jednym z głównych gwałcicieli jej właściwego poetycznego charakteru.

Powieść obyłaby się bez niejednej przygody, którą w niej

znajdujemy: tak, naprzykład, zbyteczną wydaje nam się cała jazda Jeremiego do Warszawy. Bohuna można było zetknąć z Wołodyjowskim na drodze z Zamościa, a z miejsca w inny sposób skorzystać. Zaskoczenie Zagłoby przez wesele chłopskie a później przez Bohuna, zamknięcie szlachcica w chlewie, nie wynagradzają czytelnika materyalną nadzwyczajnością swoją za utracone psychologiczne motywa, jakie rozwijać się musiały, choćby tylko w duszach Skrzetuskiego, Heleny lub Bohuna. Pewna zamaszystość rysunku nie pozwoliła autorowi zachować właściwej miary w charakterach. Pomijamy to, że Skrzetuski na Siczy, pod Żółtemi Wodami i w Korsuniu nie daje się już dostrzedz w Skrzetuskim późniejszym: formy jego rozpaczy nad pogorzeliskiem Rozłogów są trochę teatralne. Myśl, że mimowoli przyczynił się do nieszczęścia przez oswobodzenie Chmielnickiego, powinna była odrazu przyczepić się do wysłańca księcia Jaremy, aby właśnie z początku być najsilniejszą — jak zwykle dzieje się z podobnego rodzaju wyrzutami sumienia. — Zagłoba tak już okłamał szlachtę, że ją zupełnie ogłuszył, uczynił niezdolną do najmniejszego zaprzeczenia; nawet palące kłamstwa przechodzą mu bezkarnie. Szlachta nie daje niczem poznać, że nie wierzy, nie zdradza się nawet z domniemaniem rzeczywistej wartości człowieka. *Miles gloriosus*, samochwał i ostatecznie tchórz w bitwie, odważny tylko w awanturze, gdzie można przytomnością umysłu i bezczelnością nadrobić — postać tak wstrętna dla rycerza, dla każdej duszy bohaterskiej, w tych rycerzach księcia Jaremy nie obudza żadnego wstrętu, nawet drwin: lubią jego towarzystwo, słuchają go, nie czują, że kłamie i tchórzy. Przekształtowanie Zagłoby, pijaka i kłamcy, w Zagłobę, rozpaczającego po Helenie, jakoby zamordowanej w klasztorze Dobrego Nikoly, żadną logiką usprawiedliwić się nie da, dla żadnego celu nie było potrzebne. Jest to szczery błąd, wynikły tylko z owej zamaszystości, która nie dała ściśle charakterów określić i wynikliwie przez wypadki przeciągnąć. Większa jeszcze krzywda stała się Podbipięcie, którego prześliczna dusza przez uporne trzymanie się owych trzech głów przodka Stowejki, ściąga na siebie śmieszność. Dla takiego czystego, anielskiego bohaterstwa, potrzebne było przynajmniej *minimum* głowy ludzkiej, inteligencyi: bez tego anielstwo może

mieć tylko znaczenie ironii. Podbipięta jest człowiekiem tak już ograniczonym, że trzech słów nawet złożyć nie zdoła. Zagłoba ciągle się z niego natrząsa — i ma wielką słuszność, ale nie ma słuszności autor, który go do tego upoważnia. Literalne ścięcie trzech głów wielką machiną wojenną dawnych wieków mogło być marzeniem Podbipięty przed zakosztowaniem krwi, przed wszystkiemi świetnemi czynami bojowemi, jakie spełnił pod Konstantynowem; później takiego marzenia mógł się trzymać tylko jakiś młodzieniaszek lub maniak, a właśnie Podbipięcie, który tak wierzy, tak walczy i tak umiera, nie wolno być ani maniakiem, ani młodzieniaszkiem z ducha. Cięcie koncerzem w beluardę kozacką pod Zbarażem jest prostą naiwną zabawką, a nie czynem poważnej twórczości.

Opisami bitew jaśnieje ta powieść. Ze stanowiska techniki wojennej, znajdzie zapewne specyalista niejedno do zarzucenia; przypuszczamy, że i badacz historyczny nie na wszystkie szczegóły się zgodzi: grzechy jednak, jakich pod obu tymi względami dopuścić się mógł autor, są raczej uchybieniami ubocznemi: powieści samej, jej budowie, jej malowniczości, nie przynoszą krzywdy.

Gdybyśmy mieli historyę swych wojen, swej wojskowości — a wstyd ciężki, że jej nie mamy — zadanie powieściopisarzów byłoby znakomicie ułatwionem; dziś jest ono bardzo trudnem. Historyczności w głównych tylko rysach wymagać można, a o ile nam wiedza nasza starczyła, nie dostrzegliśmy nigdzie w tych głównych właśnie rysach sprzeniewierzenia się prawdzie. Poważny zarzut spotkać może autora tylko za oznaczenie miejscowości bitwy pod Żółtemi Wodami. Badania przeprowadzone przez miłośnika przeszłości, p. Maryana Dubieckiego, podane w tomie XII *Rozpraw i sprawozdań wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności*, nakazują dziś już zerwać z domniemaniem, jakoby Żółte Wody leżały bliżej Dniepru, a pochód Stefana Potockiego miał kierunek równoległy z biegiem rzeki. Pobojowisko klęski leży istotnie daleko od Dniepru, a stąd pobudki działania w dowództwie polskiem nie mogły się osnuwać na łączności strategicznej z oddziałem Krzeczowskiego. Ostatecznie bitwy jako wytwory powieściowe są znakomite, a w nich poruszanie massami, przerzucanie ich, nacieranie, łamanie się jednych o drugie, mniej przedstawia plastyczności niż rozprawy pojedynkowe, występujące żywo, gorąco, z całem bogactwem ważących się kolei i zasobnością pomysłów, które wydają z siebie ciągle zjawiska imponujące lub niespodziewane. Obrazowość tych opisów przechodzi wszystko, cośmy w tym rodzaju mieli w literaturze naszej. Nie potrzebujemy wybierać pojedynczych przykładów: wszystko tu jest zajmujące i piękne. Oblężenie Zbaraża samo przez się, oddzielone od powieści, stanowi arcydzieło. Jakże umiejętnie skorzystał autor z ówczesnych obyczajów wojennych i ówczesnego ducha! Oto patrzymy na procesyę pod gradem kul, widzimy księdza Jaskólskiego z rusznicą w ręku, gdzieś w samotnej baszcie strzelającego do Tatarów, umyślnie, aby nie strzelać do chrześcijan; słyszymy narzekania szlacheckie na herezyę Firlejów i ostre docinki wymierzone ku ministrowi protestanckiemu; a oto i Podbipięta, padający od strzałów tatarskich, wśród litanii, swoją »Królową Anielską« przypominający »Różę złotą« Słowackiego; potem na widok ciała męczeńskiego rzuca się bohaterstwo i wyrywa je z rąk nieprzyjaciół; a potem odbywa się ten pogrzeb cudowny z kazaniem księdza Muchowieckiego, odbijającem w sobie całą naiwność i religijny materyalizm wieku — a trzymanem w stylu, nad który nic doskonalszego wymyśleć niepodobna (tom IV, str. 162). W podobnym stylu umiera także i stary Zakrzewski (tom I, str. 92).

Styl Sienkiewicza nosi w sobie tajemnicę tego zajęcia, jakie wzbudza powieść. Same nadzwyczajności, odskakujące od szarej płaszczyzny dzisiejszego życia, samo naprężenie wypadków dla obudzenia ciekawości i niepokoju, nie wystarczyłyby dla takiego wrażenia, jakie powieść ta sprawia i sprawiać musi. Sienkiewicz umie dać złudzenie rzeczywistości, a w malarstwie czysto-rodzajowem, naiwnem, któremu zawdzięczają byt swój postaci Zagłoby i Rzędziana, wzniósł się do takiego odczucia prawdy i artystycznego wykończenia form, do jakiego tylko najwyższy talent dotrzeć może. W stylu tym niema metafor, niema poetyczności w samych wyrazach zamkniętej; ale jest jędrność, zwięzłość, dosadność — i ta wielka przejrzystość, która i wypadki przez autora opisywane i mowy samych działaczy powieściowych ukazuje w świetle wiarogodności nieposzlakowa-

nej, zbliża czytelnika do przeszłości, daje mu uczuć gorący jej oddech i z rzeczy umysłowej, jaką jest utwór, czyni rzecz prawdziwą, jaką było życie samo. Wszystkiego nauczyć się można, ale taki dar zamieniania pomysłów w żywe istoty i żywe wypadki, trzeba już przynieść ze sobą: może on być zmysłem rzeczywistości, umiejętnością naśladowania jej, żądzą i potrzebą uplastyczniania człowieka w jego kształtach statycznych i dynamice wewnętrznej: będzie zawsze zdolnością twórczą, niedaną pospolitym naturom. Ta zdolność rodzi się z nieokreślonego uczucia, które popycha przedewszystkiem do życia, jako *typu*, jako wielkiej zagadki natury — i każe ją z łona tej natury wyrywać. Jest to jakgdyby pierworodne ustosunkowanie się umysłu, obserwacyi i imaginacyi do świata zewnętrznego: będzie ono już w dziecku, jeżeli ma być kiedyś w człowieku, w sile już do działania dojrzałej. Na takich usposobieniach wrodzonych opierają się talenta i przez nie tylko wyrozumieć się dają. Jednemi i temisamemi wyrazami operują wszyscy piszący, na jednej i tejsamej klawiaturze gra i mistrz i niedołęga: tajemnica wyższości, nie w materyale, nie w środkach zewnętrznych, ale w sile, nurtującej wnętrze człowieka, będącej jego rzeczywistym demonem.

Nie bylibyśmy sprawiedliwymi dla stylu autora, gdybyśmy, charakteryzując go w powyższy sposób, jako odczuwanie rzeczywistości, nie dodali zaraz, że umie on i idealne obrazy mowy z siebie wydawać. Szczególniej w opisie krajobrazów, zjawisk natury, tam zwłaszcza, gdzie w braku obserwacyi musiała przychodzić z pomocą imaginacya, są wyrażenia obrazowe a szczęśliwe. Najwięcej ich jest w tomie I; w dalszych natura zewnętrzna kryje się przed człowiekiem, aby wystąpić dopiero w tomie IV, w opisie pobojowiska i burzy podczas szturmu (str. 82 i 96). Obraz Nienasytca (tom I, str. 156 i 7) daje poczucie majestatu porohów; ciemność w stepie, rozpoczynająca powieść, obywa się dobrze bez większego realizmu. Ciała ludzkie »wijące się jak ryby« na brzegu rzeki (tom I, str. 162), malowniczość bitwy pod Machnówką, stepy grające od ptactwa (tom III, str. 300), »twarz Jeremiego pogodna jak niebo« (tom IV, str. 55), Podbipięta, »wpadający jak orzeł na stado białych pardew« (tamże str. 69), artylerya niebieska, bijąca w padół ziemski (str. 97), widmo olbrzymie Jaremy, ukazujące się Kozakom (str. 114) — dowodzą imaginacyi zdolnej do porównań i przenośni. Oczywiście, przytaczamy tu tylko przykłady, nie wyliczając wszystkiego, co się pod uwagę nastręczyło.

Osoby rozmawiające w powieści przeplatają często wyrazy polskie ukraińskiemi: dzieje się to bez planu, bez ścisłego porządku, a podobno nawet stało się z uchybieniem prawdzie, w czem piszący tę ocenę sędzią być nie może. Zdaniem jego, tylko przysłowia i wyrażenia nawykowe miałyby prawo do wpadania w szeregi mowy polskiej. Tożsamo stosuje się do okrzyków w chwilach głębokiego odczuwania wrażeń, w gniewie, w boleści, w niebezpieczeństwie, w chwili konania. Poza temi wyjątkami powinna panować jednostajność brzmienia. Wiąże się z tem i sprawa pieśni, śpiewanych w powieści; przy niewielkiej liczbie, wybór ich jest wogóle nieosobliwy, a w tomie II, na str. 197 niczem nieusprawiedliwiony: ani to piękne, ani charakterystyczne, ani wiarogodne. Zamiast tych ukraińskich zacinań lepsze były wyrażenia szlacheckie z XVII wieku, jakich zbyt mało w powieści spotykamy. »Rzucić klimkiem«, »w konie!« »w piętkę gonisz«, »popsować« są bezwątpienia dosadne, ale nie wystarczają.

Charakterystyka epoki, w zwięzłe wyrażenia ujmowana, godna jest takiego stylisty jak Sienkiewicz (ob. tom I, str. 251, 253; tom II, 279; tom III, 125, 231; tom IV, str. 81 i 2). W języku nie znać delikatnej staranności, a może nawet jest jakaś maniera, której pochwalić niepodobna: »każd*en*«, »któr*en*«, »nijaki«, w znaczeniu »żaden«, »trosk*ów*«, »Konstantyn*u*« i t. d., zasługują na naganę. *Genius loci* niechaj żyje w wyrażeniach, w przysłowiach, w maksymach, a nie w wybrykach językowych, których nie uprawnić nie zdoła.

Pomijając wady kompozycyi, uważając powieść, nie za epos skończone, ale za szereg epizodów eposu, obracających się naokoło osi wielkich wypadków 1648—51 r.; biorąc rzeczy jak są, i nie uciekając się do porównań, których dowodowej siły najwspanialsza retoryka nie spotęguje; zamykając się w sferze rzeczywistych faktów artystycznych, ujemnych i dodatnich — uznać musimy powieść Sienkiewicza za utwór, który jest i będzie i pozostanie już w literaturze naszej. Jest to dziś najwybitniejsze dzieło

w kierunku, któremu zarówno życie jak literatura najuczciwszej i najwytrwalszej wiary dochowywać powinny, — dzieło zupełnie oryginalnie odczute i oryginalnie wykonane — nie robota, ale rzeczywisty utwór. Gdyby nie wady kompozycyi, z rozproszenia i niepewności wynikające, gdyby nie zbytnie przywiązanie do rzeczy mniejszej, jaką jest nadzwyczajna, zaciekawiająca przygoda, ze szkodą większej, jaką powinno było być rozwijanie się dusz w ruchu i działaniu; gdyby nie ta wątłość kolumny pacierzowej, wyżej zaznaczona: powieść *Ogniem i mieczem* przy stylu autora, przy jego talencie, wykształceniu i powadze, jaką umie zachować wobec przeszłości — byłaby brylantem czystej wody w literaturze, już nie tylko naszej, ale i powszechnej.

XV.

MATEJKO I GRUNWALD

(1879—1887).

»*C'est barbare!*« — zawołać miał jakiś ograniczony Francuz na wystawie powszechnej 1878 r. w Paryżu, kiedy ujrzał »Grunwald« Matejki. Francuz tym okrzykiem potępił, nie Matejkę, ale siebie i swoich — tę modę bezecną, która duszę ze sztuki wypędza i pięknemu jej tylko ciału hołduje. Owo barbarzyństwo Matejkowskie więcej jest warte i dłużej w sztuce zostanie, aniżeli wyrafinowana ogłada artystyczna Francuzów. Dzisiejszy impresyonizm francuski, ubiegający się tylko za formą ściśle malarską, za malowniczością bijącą w oczy — impresyonizm, tworzący z wrażeń chwilowych dla chwilowych tylko wrażeń — nie zdoła poza pewną szorstkością i nieładem pendzla matejkowskiego dostrzedz jego głębokości i siły, bogactwa jego charakterów, niezrównanej zdolności malowania dusz w obliczach, szlachetności tych oblicz, energii w kompozycyi, zawsze trudnościami najeżonej: nie dostrzeże tego rozumu i poetyczności, z której każde dzieło Matejki rodowód swój wyprowadza. Jeśli na widok »Grunwaldu« Matejki wolno zawołać: *C'est barbare!* to tylko tak, jak Voltaire'owi wolno było nazwać Shakespeare'a »*Fou furieux*«. Kto jest dziś waryatem, kto ośmieszonym przez ten okrzyk? — zaiste, nie Shakespeare.

Shakespeare i Matejko! U Matejki sztuka wytwarzania duszy ludzkiej, najwyższa ze wszystkich na całym obszarze

pięknotwórstwa, szekspirowskie nosi na sobie znamiona. Takasama bujność charakterystyki, takiesamo bogactwo natury, rozpadającej się na indywidua, takasama śmiałość, pełność i potęga w uzewnętrznianiu treści duchowej, takasama mimowolna głębokość i rozumność, nawet tam, gdzie twór sam ani głębi ani rozumu do charakterystyki swej niezbędnie nie wymaga, takasama samoistność przedmiotowa, sprawiająca, że wszystkie postaci trzymają się o własnej sile, bez pomocy twórcy, który nie potrzebuje mozolnie ich podpierać, aby się nie wywróciły. Zestawienie to, ze sfery psychologii, wprowadzone w sferę środków samej już tylko sztuce właściwych, ukazuje nam obu jako wspaniałych kolorystów, ale bez harmonii barw; w obu stwierdzić pozwala lekceważenie architektoniki i malowniczości ogółu dla wyrazu charakterystycznego szczegółów; w obu zarówno dostrzedz daje wady będące właśnie skutkiem genialności jednostronnie rozwijanej. Shakespeare jest zamożniejszy od Matejki i jako wielki fantastyk bez wiedzy swej i woli hołduje romantyzmowi; w Matejce typ tworzenia jest spokojniejszym, ściślej określonym, a obszar przedstawianych zjawisk szczuplejszym, ale umiejętność wdzierania się w człowieka równie silną jak w wielkim Angliku.

Jak każda wyższa zdolność tak i Matejko rozwinął się organicznie sam z siebie. Nie znaczy to, żeby nad rozwojem jego własnej siły inne jakieś, poza nim będące, wcale nie pracowały; ale znaczy, że z nich nie wziął nic więcej nad to, co dać może drogowskaz podróżnikowi, przewodnik samowiedny istocie uwikłanej jeszcze w bezwiedne porywy. Jest to znamieniem genialności, że choć szkoły dla wykształcenia się swego potrzebuje, później już jako siła wykształcona do żadnej tak zwanej szkoły, do żadnej kupy, gromady czy systematu, według mniej więcej ścisłego typu występujących, zaliczoną być nie może. Szkołę taki talent sam w sobie przynosi nie dla siebie, ale dla innych. Najczęściej, jeśli tylko zechcemy sumiennie oddzielić plewę pozorów od czystego ziarna prawdy, stwierdzamy w dziejach sztuki fakt, że im dana siła głębszą była, im potężniej indywidualną, tem lichszem, tem bardziej karłowatem będzie jej duchowe potomstwo, tem słabszem też pojęcie szkoły jako jedynego wspólnego sposobu pracowania i tworzenia.

Florentczycy XV wieku są rzeczywistą szkołą florencką, Niderlandczycy XVII wieku w wyższym jeszcze stopniu podpadają pod pojęcie wspólnoty szkolnej: dla Rafaela i późniejszego Michała Anioła niełatwo znaleźć szkołę. I jak z nimi, tak jest ze wszystkimi wyższymi artystami. Można przekazać innym wszystkie środki sztuki, jej technikę w najobszerniejszem znaczeniu, o ile jej indywidualność pod siebie nie zagarnęła; można nauczyć rysunku, kolorytu, kompozycyi: ale nie nauczy się innych swego sposobu tworzenia, stylu twórczości — tego, co jest najmniej pochwytnem, a najbardziej duchowem: nie można przelać w innych duszy swego talentu.

Zdaje się, że i duchowe potomstwo Matejki nie będzie ani jędrnem, ani długowiecznem. Tacy ludzie, nawiedzeni przez demona piękna, a sprawiający wrażenie talentów z temperamentu, ludzie niemający w sobie tego spokoju, tej miary i ciszy, jakich potrzebuje wszelkie nauczycielstwo, — takie siły niezdolne nawet do oderwania się od ustawicznego trudu pomysłów, nurzające się ciągle w swej sztuce — nie mogą wytworzyć nawet właściwej nauki t. j. pewnej summy prawd i wskazówek ułożonych z umiejętnością, bez której najposłuszniejszy, a najzdolniejszy nawet uczeń nie zdoła w siebie wchłonąć sztuki mistrza w jej istocie i pełni. Samo jednak zbliżenie się do takiej siły, samo obcowanie z nią dłuższe, samo poddanie się pod jej wpływ dla żadnej młodej zdolności straconem nie będzie. Jeden z dawniejszych już malarzy francuskich, Boucher, nie pozwalał młodzi kształcącej się w Rzymie patrzeć na Michała Anioła, z obawy, żeby jej twórca *Sądu Ostatecznego* nie paczył talentów. Prawda: ustrzegł talenta od wad — ale ustrzegł i od wzniosłości, od jej podnoszącego, uszlachetniającego wpływu.

Nie byłem nigdy w pracowni Matejki, nie znam go wcale; nie mógł więc spowiadać mi się nigdy z dróg, jakiemi postępuje u niego myśl twórcza, gdy już się pendzlowi powierzy; ale zdaje mi się, że te jego drogi muszą być odmienne od tych, jakiemi chadza ogół dzisiejszy artystów w wieku natury i prawdy, w wieku, który oto z taką apostolską gorliwością leczy świat i sztukę na nim z dotychczasowej nienaturalności i fałszu. Bo i co dzisiaj panuje w malarstwie, co heroldowie sztuki słowa, zamianowani na te posady przez samych siebie, jako najwyższe

w sztuce, w poezyi, w powieści, w dramacie, opisie i nieledwie liryce wysławiają? Portret — podobieństwo ze wszystkiemi zmarszczkami, naskórek, że tak powiem — zdarty ze zjawiska i przeniesiony bez uszkodzenia pędzlem lub piórem na płótno lub papier. Matejko nie tworzy krajobrazów — usuwam zatem krajobraz i »Stilleben«, aby dla porównania wziąć tę sferę, w której Matejko jest *sobą:* sferę postaci i przejawiającej przez nią istoty ludzkiej.

Są oczywiście w sztuce dzisiejszej wyjątki, ale w ogromie panującego prawidła znikają dla krytycznego rozumu. Jakież jest to panujące dziś prawidło? »Portretować! portretować — oddawać wiernie rzeczywistość: im bardziej się do rzeczywistości zbliżysz, tem wyżej staniesz. Mdławy idealizm przeżył się już i zamiera; wątła jego istota spaliła się, zeschła w pałającym żarze prawdy rzeczywistości, prawdy natury ludzkiej, prawdy naukowej wreszcie! Przyszłość sztuki, jak przyszłość literatury — tylko w zdrowym, soczystym, gorącym r e a l i z m i e«.

Z pochodnią takiego światła, leci mistrzyni wieku przed młodem pokoleniem, wołając: »Za mną, za mną wszyscy, którzy zmarnieć nie chcecie«.

II.

I ci wszyscy, co nie chcą marnieć w idealizmie, idą posłuszni za hasłem wieku, które im obiecuje życie i siłę. Powstaje w ten sposób pokolenie artystów nazywanych »realistami«. Są to, w mniemaniu swojem, ludzie, którzy wiedzą dokąd idą; wolni od sentymentalizmu, tęsknot żadnych, ani bólów twórczych nie czują; nie rwą się ku mglistym wierzchołkom, jakie ongi zalany już dziś przez nowe prądy idealizm nad padołami rzeczywistości dostrzegał. Wszystko u nich musi być jasne, trzeźwe, ściśle określone, skończone w sobie, a trzymające się ziemi. Niczego domysłowi, doczuciu, dośpiewaniu nie zostawią. Impressyonista ma właściwie malować, nie rzeczy, ale wrażenia swoje; ponieważ jednak wrażenia te muszą być silne i prawdziwe, aby się plastycznie wyrazić mogły, znajdzie się więc w nich zawsze i prawda natury.

Realista szczery trzyma się już tylko rzeczy samych, pomylić się zatem nie może, jeśli tylko posiada istotny artyzm w przenoszeniu ich do sztuki. Taine sprowadził istotę piękna do charakteru, powtarzając tylko to, co młodzieńczo-poetyczny Hugo powiedział był w przedmowie do *Cromwella;* dzisiejszym już charakter nie wystarcza: chcieliby rzeczywistość ze skóry obedrzeć. Jaknajwiększa dokładność w odtworzeniu: to cel. Do utworu prawdziwego zdrowego piękna ludzie lecieć powinni, jak ptaki Zeuxisa do winogron. Symboliczność, allegoryczność, historya, jak w poezyi tak w sztuce plastycznej, krzywdzą tylko pięknotwórstwo. Malarstwo religijne już się przeżyło — zaręcza nam ta nowa estetyka. Człowiek to tylko dobrze oddać może, co mocno w siebie wziął. Więcej warta jest dobrze namalowana podeszew, rzeczywiście oczyma pochwycona, niż najpiękniej wycackany anioł, którego żadne oko ludzkie nigdy widzieć nie mogło. Patrzeć tylko naokoło siebie: a będzie dość treści, dość uzacnienia dla sztuki!

Pytanie tylko: jaką jest ta treść i jaką zacność? Najkrótszy namysł wystarczy każdemu nieuprzedzonemu do przeświadczenia się, że sztuka tak pojmowana i wykonywana przez popędy swoje przeważnie zmysłową, choćby jaknajprzykładniejszą, a przez cel swój w stosunku do natury naśladowniczą być musi. Rzetelna twórczość ludzka, świadoma siebie i dzieła swoje z własnej swej głębi wyprowadzająca — staje się tu niepotrzebną. Dostrzegłeś babę idącą na jarmark, jastrzębia szarpiącego porwaną ptaszynę, pijaka wpadającego w rynsztok, przekupkę z pomarańczami: bierz paletę i siadaj do malowania, a pamiętaj, aby to, co ma na płótno wystąpić, było zupełnie takiemsamem, jak to, co się na soczewce oka twego odbiło, a przedtem jeszcze pilnuj oka, aby się w niem zawsze doskonała rzeczywistość odzwierciadlała. — Przez taki proces twórczy dochodzi się do doskonałego artyzmu form, a mizernego artyzmu treści: najwyższą jego zdobyczą będzie pochwycenie charakteru. Sztuka taka z istoty swojej jest portretową; przyjmuje gotowe fakta i, jeśli ich nie przedrzeźni, może je tylko dokładnie wyrecytować. Artysta z siebie samego jaknajmniej daje, z poza siebie jaknajwięcej bierze. Właściwie twórcą jest tu sama natura, działająca zapomocą oka, mózgu i ręki. Nie inaczej działa i fotografia.

Sztuka, pokazując co umie, staje się tu niezrównanem rzemiosłem. Doskonała zewnętrzność podbija wszystkich; wielkie masy hołdują jej ślepo; misterna robota podziw wzbudza w znawcach; artysta dostępuje tryumfów niezrównanego mistrza i rzeczywiście jest wirtuozem form sztuki. Starych Hollendrów daleko za sobą zostawił i z litością na Ostadych i Dowów spoglądać ma prawo. Dlaczegożby nie miał przyjmować oklasków, które mu się słusznie należą?

A jednak czy jest to sztuka? Gdyby wyłącznie takie tylko pięknotwórstwo sztuką być miało, byłoby mordowaniem sztuki.

Niema wyrazu, a poza wyrazem pojęcia, któregoby srożej w czasach naszych nadużywano, nad »realizm«. Przed dziesięciu laty, charakteryzując Rubensa, starałem się określić logiczne granice tego, co pod realizmem rozumieć-by wypadało. Nie chcąc się powtarzać, przypomnę tylko, że, zdaniem mojem, jest to pojęcie czysto artystyczne, do zakresu artyzmu wykonawczego należące, i nie ma nic wspólnego z poziomem i rodzajem natchnień i pomysłów twórczych. Realistyczną, według mnie, sztuka jest tylko przez to, w czem objawia dążność swoję do przedstawienia zewnętrzności zjawiska z wyrazistością jaknajwiększą. Jeden i tensam przedmiot, jeśli pokazanie jego bezdusznych form nie jest jedynym celem sztuki, — może być przez dwóch malarzy, przez dwóch poetów przedstawiony z większą lub mniejszą dokładnością, wyrzeźbieniem, bezpośredniością przedmiotowej prawdy. Jeden artysta potrzebuje worać się niejako w zjawisko, drugiemu wystarczy otarcie się tylko o formy zjawiskowości. Jeden ukazuje nam zawsze przedmiot z blizka, przysuwa nam go do samego oka, niekiedy nawet jeszcze uzbraja wzrok w szkło powiększające; drugi daje nam go widzieć z większej odległości, z mniejszą analizą i dokładnością szczegółów: ale obaj mogą równie dobrze, albo równie błędnie przedstawić syntezę zjawiska, w obu zarówno może się duchowa strona utworu wyrazić mdło lub potężnie; tak jeden jak drugi może być przez natchnienie swoje bogatym lub ubogim, wzniosłym lub gminnym, głębokim lub płytkim, niesmacznym lub wdzięcznym. Od głębokości pędzla nie zależy głębokość myśli, czy-to z rozumu czy z uczucia płynącej. Są to dwie różne sfery, a wzajemną ich niepodległość ten tylko uzna, kto w swej teoryi estetycznej od-

dziela poetyczność, tę *alma mater* natchnień i pomysłów, od artyzmu, będącego już czynnikiem specyalnej wiedzy, umiejętności i uzdolnienia.

Bo, czy się wiersze pisze, czy się obrazy maluje — poetą być potrzeba. Tylko szkło preparowane do fotografii bez poetyczności się obywa. Malarstwo zwane realistycznem ze względu na rodzaj przedmiotów, które przedstawia, jest właściwie tylko rodzajowem, a w doborze znowu tych przedmiotów może być cynicznem, gminnem, zmysłowem, naiwnem, humorystycznem, brutalnem lub eleganckiem, bezdusznem lub ożywionem. Co dla poezyi ma wagę, to i w malarstwie i we wszelkiej sztuce plastycznej obowiązywać musi. Czystej sztuki realistycznej niema; może być tylko realistyczny artyzm gotowy do służenia zarówno idealizmowi jak sensualizmowi, będącemu według mnie, logicznym równoważnikiem tego, co się banalnie »realizmem« nazywa. Realistycznym przez metodę swego artyzmu jest Shakespeare, jest i Matejko; ale niema chyba jednego myślącego człowieka, którýby sztukę obu t. j., syntezę twórczości i wykonania, realistyczną w zwykłem zdawkowem znaczeniu nazwać się odważył. Przeciwnie, obaj są idealistami; u obu przedmioty sztuki idą z nich samych, utwory pierwej w nich samych powstają z własnych myśli, z własnych idei, zanim się uzewnętrznią środkami technicznemi. Potrzeba tworzenia nie lęgnie się u nich w zmysłowych wrażeniach; zewnętrzna, widoma, materyalna rzeczywistość nie włazi ani nie wdziera się gwałtownie do świątnic ich umysłów: mają własną swoją przędzę, a tylko wyszywać ją muszą na kanwie rzeczywistości. Wprawdzie i ta przędza powstała z drobnych włókienek wrażeń od świata rzeczywistego odbieranych; ale odbieralnik żywy, który je w siebie przyjmował, nie był pustem, czczem, biernem przestworzem: był istotą żywą, miał swoją własną siłę i zdolność taką, a nie inną, przyjmowania ich w siebie i przetwarzania w sobie. Tysiące, a może i miliony, tych wrażeń złożyły się na istotę człowieka i poety-artysty; ale, jak we krwi nie znać tych pierwiastków pożywienia, z którego powstała, tak w istocie duchowej nie rozeznać już owych milionowych wrażeń, które i ją samą i życie jej wytworzyły. Dla artyzmu rzeczywistość ma znaczenie sokratyczne: dopomaga ideałowi do uzewnętrznienia

się w sposób najodpowiedniejszy zarazem potrzebie twórczej i prawom natury, w której formy, pomysł, skądkolwiek wzięty, przyodziać się musi. Tak obowiązek trzymania się rzeczywistości pojmowali wszyscy wielcy artyści, którzy sztuki swojej nie ograniczali do kopiowania. Tak Leonardo da Vinci szukał po zaułkach i targowiskach Medyolanu najlepszego Judasza. Tak Rafael wywnętrzał się przed Castiglionym z trosk znojów i bojów swej twórczości.

Taka tylko sztuka, która formy swoje sama pierwej intelektualnie sobie wytwarza, zanim je w materyi ukaże, może mieć dostojność, trwałość i potęgę prawdziwego pięknotwórstwa. Wprzód potrzeba mieć niemateryalne ideały głów i postaci, a potem dopiero głowy te i postaci czy-to na płótno czy w marmur wprowadzać. Wtedy tylko jest się rzeczywiście twórczym, jest się poetą; przeciwnie, biorąc żywcem to, co jest i jak jest, zostaje się tylko artystą, robotnikiem od rzeczy, bardzo delikatnych zapewne i trudnych, ale zawsze tylko robotnikiem. Cała odległość pomiędzy sztuką twórczą a naśladowniczą w tem się robotnictwie wyraża. Sztuka musi myśleć i czuć, tak, jak myśli i czuje sam człowiek; a czyliż się zdobędzie na myślenie i czucie, jeśli na ślepo jedynie tylko zewnętrzność zjawisk odtwarzać zechce? Gdy kiedyś fotografia postąpi tak, że będzie mogła chwytać i prawdziwe barwy przedmiotów — gdzież będzie różnica pomiędzy fotografią a sztuką? czy nie w samej tylko sztuczności, pokazującej, czego-to ręka ludzka dokazać nie może? W myśl pięknej definicyi Bacona w sztuce człowiek nieustannie sam do natury dodawać się musi, nietylko wszakże przez pędzel swój lub dłuto, ale i przez myśl twórczą. W takiej tylko sztuce można mówić o pomysłach, o kompozycyi, o rozumnym układzie. W przedmiotach chwytanych na oślep nie znajdzie dla siebie miejsca nawet to, co się nazywa harmonią barw, okrągłością kształtów, równowagą kompozycyi: nawet artystyczny rozum pęta na sobie czuć musi. Mając do walczenia z modnym dziś przesądem naturalizmu, wiemy dobrze komu rzucamy rękawicę: właśnie dlatego, że przeciwnik jest silnym, stajemy do rozprawy. Wołamy na sztukę, aby dobrowolnie na poziomy nie schodziła, aby pamiętała o posłannictwie swojem: podnoszenia dusz, pobudzania umysłów; pragnęlibyśmy ją widzieć zdala od

grzęzawisk małości, ubiegającą się, nie o wywoływanie podziwu przez sztuczność, ale o sprowadzanie wzruszeń przez poetyczne odczucie. Zdaje się nam, że sprawa broniona przez nas jest sprawą zdrowego rozsądku, zdrowych pojęć o zadaniach wszelkich czynów umysłowych na świecie; a takim właśnie czynem jest sztuka.

III.

Czynami umysłowemi są obrazy i rysunki Matejki. Nic u niego bezmyślnie z natury nie wdziera się w sztukę. Natura jest, ale sholdowana przez myśl. Cała naturalna matematyka sztuki z ograniczeniem, które stanowi skazę na tym wielkim talencie, gra w pięknotwórstwie Matejki rolę regulatora, nieprzekupionego adwokata prawdy zewnętrznej, której prawa wszystko, co jest — w sztuce, literaturze twórczej, krytyce, publicystyce i humanistyce, w nauce ścisłej, — szanować musi, jeśli wogóle ma istnieć.

Jak twórczym artystom wieku Odrodzenia tak i Matejce natura wyświadcza jeszcze jedną przysługę: pomaga artystycznym jego ideałom do uzewnętrznienia się w materyi. Tu występuje zadanie modelu u Matejki, inne, niż u przedstawicieli modnego dziś prądu. On tylko zbiera z modelu te rysy, których potrzebuje; oni biorą żywcem model cały, jak jest. Matejko może się bez modelu obyć; ludzie kierunku naturalistycznego i zwyczajni rzemieślnicy w sztuce, — bez modelu są zgubieni. W doskonałym artyzmie, posiadającym ową matematykę sztuki na stopniu najwyższym, o jakim myśleć można, — pamięć i wiedza powinny mieć w sobie gotową całą tę kazuistykę ciałoskładu, ruchu i oświetlenia, jaką właśnie z modeli zbieramy; ale tak doskonały artyzm jest niedościgłym ideałem. Lata całe znojnych trudów pożarłyby myśl twórczą i energię, gdyby artysta chciał go doścignąć: byłaby wiedza i pamięć, nie byłoby już siły twórczej, rozpędu, natchnienia. Dlatego posiłkowanie się modelem jest dla artysty, nawet najgenialniejszego, niezbędne, ale tylko *posiłkowanie się*, dopomaganie twórczości, trzymanie jej w karbach prawdy zewnętrznej, nadawanie kształtów pomysłom, rwącym się niespokojnie z pod ciemnych sklepień ducha. Ina-

czej sobie wyobrazić stosunku talentu Matejki do natury nie możemy. Właśnie ta sztuka, tak rdzennie samoistna, tak przejęta poezyą dusz ludzkich, nie mogłaby się wytworzyć, gdyby w samej genezie swojej naśladowniczą tylko była, gdyby w odtwarzaniu całej tej tak świetnej, zjawiskowości nie dążyła jedynie do prawdopodobieństwa, — dążenie do prawdy zostawiając dla strony wewnętrznej duchowej, dla tej głębokości psychologicznej, która Matejkę obok Shakespeare'a stawia. Ambicyą jego nie jest odtworzenie aksamitu, choć nieraz ręka mimowoli sięga, aby pochwycić, ale ukazanie duszy w rysach oblicza, w całokształcie i w ruchach postaci. To jego ambicya; to jego sztuka.

W sztuce wytwarzania postaci i oblicz ludzkich doszedł Matejko do mistrzowstwa. Nazywając go mistrzem, mamy na myśli więcej jego ołówek, niż jego pędzel. Wobec tej ogromnej zdolności, z jaką artysta w postaciach i obliczach ludzkich stawia nam przed oczy żywe indywidua, poruszane i oświecane z wewnątrz, wstrząsane jakby iskrą elektryczną woli — zapominamy o realizmie kolorystycznym jego pędzla, o tej wyrazistości i sile, z jaką nam ukazuje zewnętrzną powłokę zjawisk. W sztuce charakteru Matejko nie ma równego sobie wśród współczesnych; bo chociaż są zapewne artyści niepospolici w charakterystyce i umiejący równie dobrze jak on rysami oddawać życie duszy jednochwilowe, niema absolutnie żadnego dziś w Europie, któryby taką mnogość i w różnorodności bogactwo mógł przed trybunał krytyki, choćby najsurowszej, na świadectwo swej wyższości wyprowadzić. Zbierzmy tylko z jego płócien te wszystkie charaktery od pierwszej do ostatniej chwili powstałe; weźmy te głowy rysowane tylko ołówkiem, a odtwarzane z zadziwiającą intuicyą: kogo nie zadziwi, nie podbije ta prawdziwie szekspirowska genialność, w szerz czy w głąb, zarówno potężna! Głupi lekki Francuz znajdzie w »Grunwaldzie« barbarzyństwo; człowiek myślący powróci zawsze do tego obrazu, do tych wyrazistych twarzy, do dna których nigdy dobrać się nie zdoła, tak są głębokie i głębokością swoją przyciągające. Chciałoby się rozmawiać z niemi, i jak ptaki dziobały winogrona Greka, tak tu żywa intelligencya widzi się wobec równej sobie siły, pragnie się dorwać do żywej duszy, której doskonałe symbole

ma przed sobą. Już w najdawniejszym obrazie Matejki, — z tych, które pozostaną nazawsze w sztuce powszechnej, — w *Kazaniu Skargi*, charakterystyka jest doskonałą; a zważmy, że przez dwadzieścia parę lat ta twórcza moc w artyście jeszcze się wykształciła. *Stańczyk* sam przez się już wystarczy na legitymacyę geniuszu — on i Skarga i Joanna w obrazie *Wjazdu do Reims*. Trzech tych oblicz nie podobna zapomnieć; czepiają się one wyobraźni i nie dają jej spokoju. Tylko ograniczona pedanterya, warcholstwo artystyczne lub zawiść, mogą nie okazać gorącego uznania wobec tej szlachetności, tej głębi rozumu, tej tkliwości uczucia rozżarzonego w smutek, którego nic już nie stłumi.

Takie malarstwo — to poezya!...

Realizm pędzla matejkowskiego ma źródło swoje w psychologicznej głębi jego utworów. Myśl twórcza, potrzebując dla zadowolenia siebie jaknajpotężniejszego wyrazu, pobudza techniczne już siły malarstwa do jaknajwiększego współdziałania: i stąd ta obfitość i wyrazistość rysów, ta szorstkość powierzchni, ta szczegółowość, stanowiąca realizmu czysto-artystycznego znamienne piętno. Niekiedy zdaje się jakby artysta nie malował, ale rzeźbił swym pędzlem. Oblicza wyglądają jakby poorane, braknie im najzewnętrzniejszej powłoki z epidermy, braknie tej jakby emalii zjawisk, którą na powierzchni przedmiotów oko chwytać zwykło. Doskonałość martwej natury, przepych strojów, bujność kolorystyczna dają, lepiej jeszcze niż sam sposób malowania oblicz, poznać realistyczność pędzla: i one-to głównie podbijają wzrok, a dla dusz płytkich największy mają powab i wymowność. Nic mdłego, nikłego, nic udanego tylko, w tem malarstwie nie znajdziesz. Kiedy w *Grunwaldzie* wierzchołki krzyżactwa walą się do stóp polskich — zaciętość boju wyraża się gryzieniem ręki wroga. Żrą się ludzie i konie. Nawet brak charakteru musi mieć, jak u Shakespeare'a, swój charakter. Niepodobna tutaj wnikać w szczegóły. Kiedyś, gdy z dzisiejszych naturalistów, impressyonistów, realistów i wszelkich innych *ejusdem generis* nie zostaną nawet kosteczki, płótna Matejki będą przedmiotem studyów estetycznych, w których krytyka malarska i psychologia zarówno znajdą dla siebie niewyczerpane prawie zasoby do spostrzeżeń, zestawień i prawd cennych

dla teoryi sztuki wogóle. Każdy obraz Matejki przy nauce malarstwa może być istnym nauczycielem, choć może w każdym, jak zresztą w największych arcydziełach, znajdują się błędy. Są całe grupy akademickie, akademie, w *Skardze*, w *Batorym*, w *Unii*, w *Grunwaldzie*, w *Hołdzie*, we *Wjeździe Joanny d'Arc*.

Żaden malarz współczesny nie okazał bogatszego życia duchowego w sztuce swojej nad Matejkę. Mogą się naturaliści zżymać na jego zamęty, chaosy, braki perspektywiczne, błędne oświetlenia, dla jednych konwulsyjne, dla innych znowu niedołężne ruchy: do pięt mu żaden nie dorósł w odtwarzaniu duszy ludzkiej przez rysy i kształty. Spojrzmy tylko na te postaci pojedyncze, odrysowane intuicyjnie, przez natchnienie rozumu, ze starych pieczęci, rycin, pomników. Są to indywidua o niezrównanej żywotności choć niby spokojne i nieporuszone: wpatrując się w nie, rozmawiamy z przeszłością. Stają się one dla nas jej przedstawicielami, symbolami, żywemi usty; każda prawie dźwiga w obliczu właściwy swój charakter dziejowy; najmniej może udali się artyście Warneńczyk i Kopernik, ale wogólności swej wzięte, jakąż świetną wytwarzają one galeryę! A nietylko to: mamy w nich cały ciąg studyów do wyrobienia tej najwyższej w malarstwie i rzeźbie umiejętności, którąby nazwać można sztuką objawiania duszy. Rozmilowawszy się jeszcze za pacholęcych lat w pomnikach przeszłości, przez studya owe stał się Matejko bardzo wcześnie rysownikiem i zwrócił talent swój gwałtownie ku historyi. Nie miał jeszcze lat dwudziestu, kiedy już systematycznie zbierał głowy i ubiory ze wszystkich napotykanych pomników i okazów sztuki odtwórczej — i stąd już w dwudziestym drugim roku życia mógł wydać jedenaście tablic dawnych ubiorów, w których sam znajdował później gotowy zasób do własnej swej sztuki, a innym pracownikom na polu malarstwa historycznego dawał szacowne wskazówki. Wpływ znacznie starszego brata, Franciszka, który się poświęcił historyi, był również ważnym czynnikiem zawodu artystycznego Matejki. Równolegle prawie z wyrabianiem się żywiołów czynnie estetycznych rozwijały się w umyśle jego żywioły wiedzy historycznej. Stąd ta pewność siebie, ta mądrość, wszechstronność myślenia i powaga w kompozycyi, ta rozumność

i pełność wyobrażanych zjawisk. Tylko pod działaniem szczerej pracy, szczerego zagłębienia się w przeszłość, mogła się rozbudzić w duszy artysty ta poetyczność historyczna, przez którą Matejko dziś wzbija się ponad wszystkich współczesnych, będąc zarówno przez ogrom studyów, głębokość pracy, wytrwałość w danym kierunku jak i przez potęgę natchnienia, bezwarunkowo najpierwszym dziś malarzem historycznym świata.

Cały artyzm dzisiejszy Matejki jest wypadkową wielkiej samodzielnej pracy, wiedzy systematycznie nabywanej i talentu zaszczepionego na temperamencie malarskim, jeżeli tak nazwać wolno nieprzeparty, bezwiedny pociąg do uplastyczniania obrazów myśli przez kształty i barwy. Talent artysty potrzebuje ciągle tworzyć, nie czeka na podniety z zewnątrz, na pobudki w sztuce samej i jej zadaniach nietkwiące. Ta ustawiczna potrzeba rozpaliła i podtrzymuje w Matejce życie artystyczne, mające ciągłość, organiczność i bezwzględność życia uzewnętrzniającego się czynnikami fizycznemi. Takie życie właśnie geniusz tylko mieć może, i jest ono najważniejszą, znamienną jego właściwością. Wytworem takiego życia dla sztuki, wydzielającego się z całości istnienia przez umysł: jest oryginalność. Każda wyższa natura przynosi w sobie już własny swój stosunek do świata; ale z tego stosunku dopiero przez ruch ustawiczny, przez powtarzanie, przez pracę, rozwija się indywidualność, będąca oryginalnością w dziełach a stylem w sposobie ich tworzenia. Oryginalność mistrza krakowskiego przejawia się w samym zarysie jego oblicz i ustawieniu postaci: ołówek jego wśród tysiąca innych łatwo rozpoznać. Typ oblicz, którego się trzyma Matejko, przedstawia etnograficzną jednolitość, a w stosunku do natury jest uszlachetnionym, w twarzach męzkich wyższym, niż w kobiecych. Ta ostatnia okoliczność wspiera również tezę duchowego pokrewieństwa z Shakespeare'em.

Zbierając wszystkie znamiona, otrzymujemy określenie talentu Matejki jako siły najdoskonalej samoistnej, która samej sobie zawdzięcza to, czem jest, ale zarazem na samej sobie dźwiga odpowiedzialność za to, czego osiągnąć nie zdołała. O szkole, o nauczycielach Matejki, można mówić tylko jako o najelementarniejszych czynnikach wczesnego jeszcze bardzo wieku. Jako artysta jest on najzupełniej *self-made man*. Ma

prawo z dumą przypominać sobie te chwile, kiedy mu radzono porzucić malarstwo dla braku talentu, albo kiedy przy wydaniu Zawadzkiego *Podróży do Włoch* powierzano mu robotę konturowych figurek, pod któremi podpis jego sprawia dziś wrażenie wdzięcznej naiwności.

Skazą na tym wielkim talencie, a stąd i ujemną stroną dzieł, jest niedostateczna umiejętność oddawania przestworu. Z tej ułomności wynika błędna perspektywa, natłoczenie postaci, wadliwy nieraz światłocień, słaby krajobraz, brak syntetyczności w ukazywanem zjawisku. Przeciwko ogromnej plastyczności szczegółów, coraz bardziej rosnącej, występuje mała lub zmącona malowniczość całości, która stając przed sztuką jako jej zagadnienie niepodzielne, niepodzielnego też domaga się rozwiązania. W obrazach najpierwszych, w których było więcej spokoju, było też i więcej owej zjawiskowej syntezy. We *Wjeździe do Reims* perspektywa i światło, przy całym ogromie talentu, są prawie lekceważone. Nie można ani w tym obrazie ani w *Grunwaldzie* pochwalić uczestnictwa istot niebieskich w wypadkach ziemskich: w *Grunwaldzie* oko zamiast świętego dymu, czy mgły, wolałoby mieć tło z błękitu; we *Wjeździe* święci ciężą na obrazie i nogami swemi i korpulencyą sprawiają niesmak. Krajobraz w *Grunwaldzie* niegodnym jest takiego talentu.

Największa nawet oryginalność od świata odgrodzić się nie zdoła, a kusząc się o to, tylko sobie zaszkodzi. Świat otaczający Matejkę daje mu wiele dobrego, ale mu i niemałą krzywdę wyrządza; w świecie tym wieją prądy niezdrowej jednostronnej doktryny, która się osnuła na *Kilku prawdach* Szujskiego. Matejko uległ jej wpływowi. Nie dobrze działa na niego i ta atmosfera adoracyi, którą go otaczają maluczkie istoty, rade uczepić się jego płaszcza, w nadziei wspólnego wniebowzięcia. Co mamy mówić o objaśnieniach do obrazów, najniedołężniejszych, jakie wystawić sobie można; co o tej powadze, niby naukowej, która nas zapewnia, że światło dzienne leje się na ulicę w Reims z owych trzech postaci świętych w górze, a światła pochodni nocnych i martwoty jego kolorystycznej niczem wytłómaczyć nie zdoła — zaręczając tylko ogólnikowo, że w tym obrazie wzbił się Matejko na najwyższy szczebel swego artyzmu! Takie otoczenie dobrze wpływać nie

może na siłę twórczą, przytępia bowiem w niej krytykę, własny, przez trudy i znoje wyrobiony rozum, — szacowne dobro, głos prawdziwego, najlepszego przyjaciela. Ale taka jest żywotność szczerych talentów, genialnością spromienionych, że ich nic nie zmoże. Znajdzie i Matejko potrzebną dla twórczości swej równowagę.

IV.

Takie charakterystyczne znamiona dostrzegł piszący w malarstwie Matejki. Zajmującem byłoby zbadanie genezy tego artyzmu, — dróg, któremi postępował, całego logicznego procesu, który z drobnych zarodów rozwinął się we wspaniałą a posępną agawę. Może kto z bliższych działalności, ale niepodległych umysłem, trud ten wdzięczny podejmie. Tutaj jeszcze tylko kilka rysów biograficznych.

Matejko urodził się w Krakowie dnia 30 lipca 1838 r., z ojca Franciszka, matki Karoliny z Rozbergów. Ojciec, ucząc muzyki po domach, z oszczędności kupił sobie niewielki domek przy ulicy Floryańskiej i tu zamieszkiwało małżeństwo, kiedy przyszła znakomitość pierwszy raz zapłakała na ziemi. Przywiązany syn postarał się o zatrzymanie w swych rękach pamiątki rodzinnej, — którą talent jego w narodową zamienił. Ród Matejki pochodzi z Czech; ale nazwisko w dzisiejszej postaci nie jest czeskiem. Mieliśmy Matejków u siebie jeszcze w XVI w. W Sandomierzu, który wówczas był grodem bardzo poważnym, Matejkowie posiadali domy przy ulicach św. Piotra i na Podolu i należeli do warstwy rdzennego mieszczaństwa, zdawna w tem mieście osiadłego. Później jakaś zawierucha dziejowa, przygoda rodzinna lub żądza osobista mogła któregoś z rodu zagnać do Czech. Do czternastego roku życia uczył się Matejko w gimnazyum św. Anny; w tym roku dopiero chłopca, rwącego się już do rysunków, oddał ojciec do Stattlera, kierującego szkołą sztuk pięknych. Nauka w tej szkole rozpoczynała się od malowania martwej natury; Stattler był na tym punkcie doktrynerem nieprzejednanym; tygodnie i miesiące całe potrzeba było ślęczeć nad jakiemś jabłkiem, cyranką, kanarkiem. Rysunek później

dopiero przychodził. W piętnastym roku życia malował już Matejko głowy olejno i akwarellą; w tym czasie już skomponował i wymalował własnemi siłami, nie w szkole, lecz w domu, pierwszy swój obraz historyczny *Żółkiewski na sejmie 1611 r.* — Ta pierwocina młodocianej twórczości znajdowała się kilka lat temu w posiadaniu obywatela krakowskiego pana Gołęberskiego. Jest to obraz olejny. Warto-by go nabyć do Muzeum Narodowego i umieścić w nim jako miłą pamiątkę.

Już w r. 1855 marzył Matejko o Grunwaldzie i wymalował *Króla i Witolda modlących się przed bitwą*. Przez cały czas nauki w szkole Sztuk Pięknych tworzył, niezależnie od prac obowiązkowych, wiele akwarelli, portretów olejnych, rysował osobliwości Wiśnicza, gdzie od dzieciństwa z rodzicami bywał, i gdzie poznał rodzinę Giebułtowskich, z której później, w r. 1864, wziął sobie żonę. Jedne z najpierwszych, dziecięce jeszcze, próby ołówkowe przypadają na Wiśnicz. W r. 1858 pierwszy raz dopiero zwróciła na niego uwagę krytyka miejscowa, przyznając pewne zalety obrazowi olejnemu *Karol Gustaw przy nagrobku Łokietka w r. 1655.* Ostatnim obrazem namalowanym w szkole był *Zygmunt I, nadający szlachectwo profesorom Uniwersytetu Jagiellońskiego w r. 1535;* znajduje się on dziś w posiadaniu tej instytucyi.

W końcu roku szkolnego 1857/8 Matejko ukończył szkołę stattlerowską. Ojciec wyrobił mu stypendyum i w końcu grudnia młody malarz wyjechał dla dalszego kształcenia się do Monachium. Ale to »dalsze« miało być pierwszem: uznano, że trzeba wszystko *ab ovo* zaczynać. Inna tu była metoda: nie dano pędzla, dopóki nie doświadczono rysunku. Nauką młodzieńca kierował Anschütz, dyrektorem szkoły był Kaulbach. Bardzo wiele prac, szkiców i pomysłów Matejki powstało podczas nauki w akademii monachijskiej; niektóre są do dziś na miejscu. Oprócz rysunków były i utwory olejne. W Monachium zaczął Matejko malować *Otrucie Bony,* wykończone w Krakowie w roku 1859; tam również szkice do *Urszuli* i *Sobieskiego w Częstochowie.* Naukę przerwała wojskowość, po usunięciu wszakże przeszkody Matejko nie wrócił już do Monachium. W maju 1860 r. wyjechał do Akademii wiedeńskiej; ale, poróżniwszy się tam z nauczycielami, po trzech już miesiącach wrócił do kraju. Było mu już ciasno

w dybach szkolnych. Tak mało wziąwszy od ludzi, własną pracą, bardzo usilną a rozumnie obmyśliwaną, wykształcił się w ukochanej sztuce. Na rok 1860 przypada wydanie tablic kolorowanych z ubiorami polskiemi od początku XIII w. do końca Rzeczypospolitej. W następnym roku rozpoczął *Urszulkę* i *Jana Kazimierza na Bielanach,* a wykończył *Zabicie Wapowskiego,* pierwszy obraz, którym dał się już poznać powszechności polskiej. W roku 1862 powstał niezapomniany *Stańczyk* oraz szkic do *Kazania Skargi,* ukończonego w r. 1864, a nagrodzonego wielkim medalem złotym przez Francuzów w Salonie Paryskim z r. 1865. Był już wtedy Matejko sobą, potęgą. Później wzbił się jeszcze w technice i kolorycie; jako twórca jednak już w *Kazaniu* i *Stańczyku* objawił skończoną indywidualność artystyczną. Głęboko odczuty jest z owych lat obraz olejny ze współczesnych wypadków [1]. W r. 1865 osobiście wziął nagrodę z Salonu Paryskiego. Odtąd wiedziała już o nim i Europa. Myśl twórcza nie ustawała; ręka nie odrywała się prawie od płótna, chyba na krótko. Z wyjątkiem portretów, o które się ubiegano, Matejko nie znał innych tematów prócz dostarczanych przez dzieje ojczyste. Ogarniając dziś całość tej ogromnej pracy, której dobra połowa przypada na malarstwo monumentalne, można o Matejce powiedzieć, że jako artysta, dla celów sztuki swojej, całe pole przeszłości naszej przeorał. Niepodobna tu wyliczać wszystkiego; utwory późniejsze, od r. 1869, w którym ukończył *Unię,* dziś w gmachu sejmowym galicyjskim, są w żywej wszystkich pamięci. Rzadko kiedy wychylał się poza przeszłość swego narodu; na palcach możnaby policzyć temata z dziejów obcych. Dotykał nieraz strun bolesnych, ale umiał obudzać i wspomnienia wielkości. Na krytykę Kraszewskiego odpowiedział na razie znakomitym *Odczytaniem wyroku,* dziś u p. Feliksa Gebethnera w Warszawie [2], i odpowiada jeszcze ciągle tem, co tworzy. Wielki obraz, będący teraz na stalugach, znowu dodatnie wywoła uczucia. W r. 1873 Czesi daremnie chcieli go do siebie sprowadzić na dyrektora akademii; od końca tego roku kieruje odrodzoną szkołą sztuk pięknych w Krakowie. We wrześniu

[1]) Pani Sierakowska i Murawiew.

[2]) Nie wiem co się stało z tym obrazem po śmierci właściciela (1910).

1877 r., przejeżdżając do Waplewa dla zwiedzenia pól grunwaldzkich, odwiedził Warszawę, i bawił jednocześnie z Siemiradzkim. Był w Stambule i dwukrotnie we Włoszech i w Paryżu. Pracą własną doszedłszy do mienia, wykupił dom rodzinny, nabył wieś Krzesławice [3] i urządził sobie w niej letnią pracownię. Zaszczycany uznaniem współczesnych, dostąpił w roku 1878 godności króla obywateli krakowskich. Wręczono mu wtedy uroczyście berło panowania w sztuce.

»Jeżeli mam wierzyć przeczuciom poetów — powiedział Matejko na uroczystym akcie w dniu 29 października 1878 r., — to chwila ta przypominać musi wizye dziejowe naszego Juliusza. Swego króla-ducha bodaj czy naród mój nie uznaje dziś w sztuce polskiej«. Tak, ale tę sztukę trzeba po matejkowsku kochać, pojmować i urzeczywistniać [4].

V.

Przejdźmy do *Grunwaldu*.

Osiemdziesiąt lat już mijało od bitwy pod Płowcami, a potęga krzyżacka nietylko że nie malała, ale jeszcze ustawicznie rosnąc, coraz więcej ziem polskich i litewskich pod siebie garnęła. Dla szerzenia i bronienia chrześcijaństwa założona, podawała poganom krzyż Chrystusów wtedy dopiero, gdy go hojnie w ich krwi unurzała, nie o krzyż dbając, ale o własne swe panowanie. Duch apostolstwa, wzięty w spadku po Braciach Dobrzyńskich i rzeczywiście czynny w XIII stuleciu, w następnem ginie już pod naciskiem żądzy czysto-świeckiej, dyabelskiej — zaborczej. Stosunki z Polską dają obraz ciągłych gwałtów, obłudy i wiarołomstwa, i kiedy Jagiełło na Wawelu zasiadał, widocznem już było, że lekkomyślność książątka mazowieckiego tylko bohaterstwem całego państwa okupić będzie można; bez jednego z tych czynów, jakiemi narody sprawiedliwość wymierzać sobie zwykły, dalsze współistnienie obu potęg niemożebnem było.

---

[3]) Niegdyś posiadłość Długosza, w XVIII w. Kołłątaja i miejsce zamieszkania matki, gdy syna Austrya trzymała w Josephstadzie i Ołomuńcu. Kołłątaj w więzieniu napisał Odę do Krzesławic (1910).

[4]) Matejko zmarł dn. 1 listopada 1891 r. w Krakowie (1910).

Jedyna w dziejach unia z roku 1385-6 rozpaliła w Krzyżactwie gniew i trwogę wielką: wobec spokojnie, wspaniale powstającego mocarstwa, jakże małymi czuć się musieli i wielcy mistrze, i komtury, i knechty — chociaż, dzięki chrześcijańskiej chorągwi, pod którą walczyli, mieli za sobą moralne i materyalne poparcie całego niemal Zachodu, Rzeszy, zwłaszcza stale z nimi trzymającego Rzymu! Rozumniejsi ze starszyzny jasno widzieć musieli, że owa unia, nie ich już samych, ale całą ich przyszłość do walki wyzywa, i prędzej czy później położy kres panowaniu, opartemu na grabieży i chytrości, a pozbawionemu wszelkich narodowych podstaw. Widzieli to Krzyżacy: i największy też nacisk ich na Polskę przypada właśnie na koniec XIV i początek XV stulecia. Schlebiając nienasyconym ambicyom, wyzyskując niechęć i niemoc, korzystając z niedołężnej organizacyi wojskowej, szerzą zniszczenie i pożogę daleko w głąb' Litwy, i coraz więcej zaczepnych zajmują stanowisk; usiłują młody sojusz rozerwać i wpływ trwały na dziedziczne państwo Jagiełły pozyskać. Taka jest ich polityka, takie działanie przez lat dwadzieścia: jeden mistrz odziedzicza po drugim myśl przewodnią wszystkich. Romantycznością przez Mickiewicza opromieniony, Wallenrod jest tylko nieumiejętnym spadkobiercą i wykonawcą politycznego programatu Zollnera, który pierwszy z niezaprzeczonym talentem i energią podjął obronę dziejowego bytu Zakonu.

Wśród tych ciągłych knowań i napaści krzyżackich zacieśniły się pierwsze węzły wojennego braterstwa między obu zjednoczonemi politycznie narodami, a najdawniejszym braterstwa tego objawem jest wspólna obrona zamku wileńskiego od nawały Krzyżaków. Takich wszakże dodatnich czynów ów okres przygotowującej się rozprawy śmiertelnej z Zakonem niewiele okazać może: przeciwnie, jeżeli w tym czasie szukać zechcemy dzielności i energii godnej wielkich posłannictw dziejowych, nie znajdziemy ich po swojej stronie. Powiedzmy to sobie, żeśmy się od napaści i intryg krzyżackich bronili bardzo opieszale, niedołężnie, jakgdyby nad tą obroną naszą ciężył fatalizm wyroku dziejowego. Złe musiało zajść daleko, skoro nędzny jakiś węgiersko-niemiecki intrygant mógł już wtedy powziąć zamiar rozebrania wielkiego państwa Jagiełły.

Najsmutniejszym wypadkiem z tego okresu przed burzą jest wydanie Zakonowi na pastwę Żmujdzi, którą wprawdzie od stu lat już fale Krzyżactwa zalewały, ale nigdy jej, dzięki bohaterstwu takiego Witenesa i Kiejstuta, pochłonąć nie mogły. Opanowanie Żmujdzi z powodu położenia jej musiało być, i było też, dla Krzyżaków w chwili podjętej z Polską walki o byt celem pierwszorzędnym. Niepowodzenia oręża, lękliwa i błędna polityka, zawiści osobiste Jagiełły i Witolda — dozwoliły usadowić się Krzyżakom w tej właśnie krainie, którą tak gorąco posiąść pragnęli. Skłamałby przeciwko Historyi ten, ktoby cały ciężar krwi i łez nieszczęśliwych Żmujdzinów, nawracanych i ujarzmianych przez Zakon, na samym schyłku XIV wieku, ktoby wszystkie gwałty i wszelką srogość, jakiej się dopuszczali ówcześni wielkorządcy Zakonu zwalać chciał na okoliczności, na siłę zewnętrzną, na Krzyżaków. Nie: za wszystkie ówczesne cierpienia Żmujdzi odpowiedzialnym byłby przed Historyą Witold, to wiążący się z wrogami jako ich przyjaciel, to znowu dobrowolne z nimi na ich korzyść zawierający traktaty — byłby odpowiedzialnym, gdyby winy swojej nie zmył, najpierw odważnem ujęciem się za Żmujdź w roku 1409, w roku zaś następnym nakłonieniem Jagiełły do wojny, w której potęga krzyżacka złamaną została. Grunwald jako bitwa Witolda jest dziełem; Grunwald jako zwycięstwo wiele Witoldowi zawdzięcza: Historya przeto, wykazawszy zbłąkanemu następstwa jego czynów, może mu już potem winę samą przebaczyć.

Nadeszła wreszcie chwila odpłaty! Na wiosnę 1410 roku rozesłał Jagiełło wici po całym kraju i najął wojsko cudzoziemskie: niemieckie, węgierskie, czeskie; Witold zaś poruszył dawnych kunigasów księstwa, lud i Tatarów. Uzbierała się potęga na owe czasy ogromna, wielkością swoją przypominająca wielką armię Napoleona. Historycy mówią o stu sześćdziesięciu tysiącach; lecz prawdopodobnie w liczbie tej mieszczą się już i ciury obozowe. Główną rdzeń wojska stanowiła jazda, której miało być 60 tysięcy polskiej, 30 tysięcy litewskiej; piechota liczebnie wynosiła tylko trzecią część jazdy.

Dnia 30 czerwca połączyły się wojska polskie z litewskiemi u Czerwińska, gdzie dokonano przeprawy przez Wisłę. Pochód szedł na Jeżowo, Będzino, pod jezioro Rubkowskie. Dnia 5 lipca

stały już hufce Jagiełły, osiemdziesiąt przeszło chorągwi, na ziemi Krzyżakom ulegającej. Linię pochodu, z początku na Działdów skierowaną, pomknięto później ku zachodowi ponad Drwęcę. Tu stali już Krzyżacy; było ich tyleż, co i właściwie polskich chorągwi — 51. Ogólna siła nie dorównywała siłom naszym; można ją conajwyżej na 80—90 tysięcy oznaczyć: ale było to wojsko doskonałe, przepysznie uzbrojone; szło na pewny tryumf i dla uczczenia go właśnie prowadziło ze sobą ogromne zapasy wina. Na spodziewanych a przedniejszych jeńców przygotowano łańcuchy; w to zaś, żeby Krzyżacy mieli wieźć ze sobą płachty napojone tłuszczem dla palenia Polaków żywcem, o czem pisze Paprocki, wierzyć nam się nie chce. Mnóstwo ochotników z Niemiec, Szwajcaryi, Francyi, Anglii, prócz najemnych Czechów, stawiło się pod chorągwie krzyżackie.

Posłowie węgierscy, grający rolę dwulicową, usiłowali powstrzymać wojnę i zabiegali drogę królowi. Jagiełło odpowiedział: Niech oddadzą Żmujdź i Dobrzyńską, a krwi rozlewać nie będę. — Krzyżacy zwlóczyli tylko i, pełni dobrej otuchy, o przyjęciu podobnych warunków ani chwili nie myśleli. — Tak więc pozostawała tylko wojna. Jagiełło przystępował do niej z namaszczeniem prawdziwego chrześcijanina; rozlew krwi ludzkiej za ostateczność w rzeczach ludzkich uważał. Ale gdy już wojny uniknąć nie mógł, wybrał radę wojenną z ośmiu osób i sprawianie szyków polskich, własnych i najemnych, powierzył Zyndramowi z Maszkowic, miecznikowi krakowskiemu, który się jeszcze przed dwudziestu laty na Litwie przeciwko Krzyżakom był odznaczył i używał wziętości dobrego wodza. Witold rozporządzał Litwą. Postanowiono działać zaczepnie.

Poznawszy trudności przeprawy przez Drwęcę, zwróciło się wojsko polskie znowu ku Działdowu i tam dnia 11 lipca, w piątek, we wsi Wysokiej rozbiło namioty. Krzyżacy w tymsamym dniu mieli kwaterę główną w Brattanie przy zbiegu Drwęcy i Kry (niemiecka *Welle)*; tu obozowali jeszcze przez dwa dni następne. Odległość obu armii wynosić mogła mil pięć; Krzyżacy stali na zachodzie, Polacy na wschodzie. Z Wysokiej armia polska ruszyła dopiero w dniu 13 przed południem na północ, ku Dąbrownu (Gilgenburg); wieczorem zamek ten krzyżacki, obronnie pomiędzy jeziorami położony, był już w rękach

polskich. Zdobycie jego dokonało się poza wszelkiemi planami wojennemi, było jakby improwizacyą. Zabrano mnóstwo łupów i całą ludność w niewolę wziąć chciano, ale na to nie pozwolili dowódzcy.

Wielki mistrz, Ulrych Jungingen, dowiedziawszy się o zdobyciu Dąbrowna, wyruszył natychmiast z Brattiana ku wschodowi. Gdyby nie ta okoliczność, że Polacy przez cały poniedziałek 14 lipca stali w obozie swoim pod Dąbrownem, a po wyruszeniu stąd, obrali sobie kierunek północno-wschodni, nie północny, spotkanie byłoby nastąpiło może jeszcze tegosamego dnia i gdzieś na zachód lub zachodo-południe od rzeczywistego bojowiska.

W nocy z dnia 14 na 15 szalała gwałtowna burza z deszczem, wichrem i piorunami. Wiatr powywracał namioty Krzyżakom, którzy w gwałtownym pochodzie od Brattiana już w poniedziałek wieczorem stanęli pod wsią dzisiejszą Grünfeld (u polskich historyków »Grunwald«). Całą tę noc przeczekali Polacy nad jeziorem Dąbrownem, prawdopodobnie w dzisiejszej miejscowości Heeselicht. O świcie wyruszyli w kierunku północno-wschodnim, i po śpiesznym pochodzie, uszedłszy dwie mile, zatrzymali się przy jeziorze Lubień (Lauben); nad samem jeziorem wzniesiono kaplicę obozową dla Jagiełły. Było to na gruntach rozległej bardzo wsi Tannenberg (Ruda), w której siedziby ludzkie dziś odległe są od wsi Grünfeld o jakie 5—6 kilometrów na południo-zachód.

Jezioro Lubieńskie ma przy zachodnim brzegu dość znaczny wzgórek; na południe od Grunwaldu, przytykając do tej wsi i do Ludwigsdorfu, wznosi się największa wyżyna w całej okolicy; przed nią wyrasta kilka pagórków. Cała przestrzeń temi wyniosłościami z dwóch stron, od zachodu i wschodu, zamknięta, tworzy szeroką, płasko-wyżłobioną dolinę. Świadectwo historyków, że Krzyżacy atakowali z góry, możemy ze wszelkiem prawem odnieść do owej wyżyny przy Grunwaldzie leżącej, i zdaje się nam, że nie popełnimy błędu, jeśli na właściwe bojowisko grunwaldzkie wyznaczymy przestrzeń ziemi, ograniczoną od zachodu przez ową wyżynę Grunwaldzko-Ludwigsdorfską, od północy przez osady Grünfeld i Tannenberg, od wschodu przez małą rzeczkę przepływającą jeziora Lubień i Melno, dalej przez

samo jezioro Lubieńskie, od południa nakoniec przez linią łączącą ową wyżynę z dzisiejszem Faulen, na południu powyższego jeziora.

Jeżeli istotnie z owej wyżyny staczali się na wojsko polskie Krzyżacy, a Jagiełło miał kaplicę nad samem jeziorem Lubieńskiem, to bój nie mógł się toczyć w innej jakiejś miejscowości, lecz tylko w owej płaskiej dolinie Tannenberga. Historycy niemieccy bliżsi są prawdy, gdy bój z dnia 15 lipca 1410 r. mianują bitwą pod Tannenbergiem. Na gruntach też tej wsi na zachodo-południe od dzisiejszej osady, w odległości jakich trzech kilometrów, jeszcze na początku naszego wieku istniały szczątki kaplicy pamiątkowej — nie wiemy przez kogo i kiedy wzniesionej.

Tak nam się przedstawia spór pomiędzy Tannenbergiem i Grunwaldem (Grünfeld). Poruszony w ostatnich czasach spór inny: czyby nie należało bitwy *pod Grunwaldem* nazywać bitwą *pod Dąbrownem?* upada przez samą istotę rzeczy. Zdobycie Dąbrowna nie zostaje w żadnym strategicznym związku z bitwą grunwaldzką; obie miejscowości oddalone są od siebie o dwie mile, a działania w nich oddzielone od siebie dwoma dniami czasu. Niema tu tego, co było pod Waterloo, Mont St-Jean i Belle-Alliance, gdzie akcya bojowa w jednym dniu, w jednym strategicznym celu i w jednym przyczynowym związku się toczyła. Dąbrowno nie posiada najmniejszej racyi bytu w bitwie Grunwaldzkiej, i skoro już nie chcemy przyjąć Tannenberga, zostańmy przy Grunwaldzie.

Oba wojska, stanąwszy już tak blizko siebie, że starcie się ich było nieuniknionem, nic jeszcze o sobie nie wiedziały: gęstwiny leśne, porozrzucane po całej okolicy, zasłaniały nieprzyjaciela. Przypadali do Jagiełły gońcy, że oto jedna, oto dwie, oto nareszcie trzy i więcej chorągwi krzyżackich podchodzi. Jagiełło postanowił wysłuchać całej mszy świętej, zanim-by dał rozkaz do natarcia. Niecierpliwiła się już i rada wojenna, i przyboczni króla, a nadewszystko Witold. Nic nie pomagało: Jagiełło modlił się ciągle. Gdyby Krzyżacy uderzyli byli przed sprawieniem się szyków naszych, kto wie jaki byłby wynik walki, i czyby historya z kolei swojej wytrąconą nie została? Ale mistrz, lekceważący przedtem siły i wojowniczość polską i litewską, teraz, kiedy nadeszła chwila rozprawy, utracił animusz,

niedowierzał, obawiał się zasadzki, do której lesistość kraju dobrze się nadawała — i ostatecznie pozwolił sprawić się szykom Jagiełłowym. Wiatr z rana we wtorek dął jeszcze silnie; mimo ulewy poniedziałkowej kurzawa się podniosła i piasek zasypywał oczy Polakom. Krzyżacy mieli wiatr za sobą, mieli przytem dogodniejsze znacznie, na owem wzgórzu, położenie. Mogli czekać; ale i im się już sprzykrzyło i przysłali wreszcie dwa miecze, dla Witolda jeden, dla Jagiełły drugi, upominając ich w ten sposób, że nie mężnym przystoi bój odwlóczyć. Długosz, a za nim Bielski, kładzie tu w usta Jagiełły piękne chrześcijańskie słowa, tak dobrze przypadające do charakteru całej tej postaci i do obyczajów wieku. I mistrz również miał przed bojem chwilę chrześcijańskiej tkliwości: patrząc na wojsko polskie, zapłakał, że je w pień wyciąć będzie musiał. Łzy te mógł swobodnie zachować dla samego siebie i swoich.

Nareszcie, gdy już Witold stał uszykowany na prawem, Polacy na lewem skrzydle, a Jagiełło, otoczony strażą wybraną, w pewnej odległości od bojowiska, dano hasło do boju i ze wszystkich piersi chrześcijańskich — a było ich chyba około stu tysięcy — zagrzmiał śpiew *Bogarodzica!* — potężny hymn, jakiemu równego żaden naród nie ma. Bartosz z Kłobucka widzenie swoje na księżycu, a król Władysław, sen, jaki miał w nocy poprzedzającej, rozpowiedzieli zapewne w wojsku: więc i zapał cudotwórczy pośpieszył wesprzeć dzielnie męztwo człowiecze. Wiek ów miał w sobie jeszcze dość naiwnej wiary w nadprzyrodzoność materyalną. Ten mnich, którego Jagiełło we śnie widział, a którego zmógł i strącił, dla ówczesnych ludzi wierzących był rzeczywistym mistrzem krzyżackim. Zatem zwycięstwo pewne...

Mogło ono być pewnem w sercach człowieczych, ale w początku bitwy wcale nie zanosiło się na to, aby również i w rzeczywistości pewnem było. Nie mamy dokładnego opisu; wszystko prawie co wiemy, opiera się na Długoszu, który w jakie pół wieku, mniejwięcej, po wypadku, opowiadanie swe kreślił; mógł on mieć pomoc świadków naocznych, a przedewszystkiem własnego ojca i kardynała Oleśnickiego. Toteż opowiadanie Długosza [5])

[5]) *Dzieła Długosza*, wyd. Przeździeckich, przekl. polski, T. IV. str. 48—56.

posiada znamiona wiarogodności, ale nie jest dość szczegółowem, nie daje obrazu działań, nie wystawia jasno wszystkich, przynajmniej głównych, taktycznych kolei w ich nierozerwanym związku. Z Długosza czerpali i kronikarze, i historycy, dodając coś niewinnego lub coś niewinnego ujmując [6]). Najbardziej obrazowym jest opis w *Krzyżakach* [7]) Kraszewskiego, którego praszczur po kądzieli, Wojciech Malski, późniejszy wojewoda łęczycki, wraz ze Skarbkiem, Zawiszą Czarnym i innymi rzuciwszy dwór przeniewierczego Zygmunta, stawił się na wojnę przeciwko Niemcom i był w bitwie, prawdopodobnie nawet w najpierwszej chorągwi, w zastępie wyborowym, który szedł pod znakiem Ziemi Krakowskiej. Czytelnika do opisu tego odsyłamy, a sami zaznaczamy tu tylko główne momenta walki, jak się nam one, po roztrząśnięciu danych kronikarskich, przedstawiają.

Krzyżacy stoczyli się z owego wzgórza Grunwaldzko-Ludwigsdorfskiego na wojsko polskie, całem czołem nacierając. Pierwsze to starcie trwało jakoby godzinę. Na lewem skrzydle polskiem nie wyszło ono ze stanu mocowania się, w którem żadna strona równowagi swej nie utraciła; ale na prawem stojący Litwini, Tatarzy i Rusini nie wytrzymali pod naciskiem ciężkich, osadzistych szyków krzyżackich, i mimo nawoływania, gniewu i rozpaczy Witolda, pierzchnęli drogą otwartą ku północo-wschodowi. Zaledwie udało się Witoldowi utrzymać w bitwie trzy chorągwie Smoleńszczan: te biły się bohatersko, a jedna z nich co do nogi wyrąbaną została. Odtąd Witold, wódz bez własnego wojska, przebiegał całe bojowisko, wszędzie zagrzewał, popychał, prowadził do boju. Jeżeli w bitwie tej potrzeba było wojsku polskiemu duszy poza niem będącej, taką duszą był dla niego Witold.

Pierzchnięcie Litwy i Tatarów odegrało w tej wiekopomnej bitwie, wskutek nierozwagi Krzyżaków, rolę dywersyi odciągającej siły przeciwnika. Zbyt wiele puściło się za uciekającymi chorągwi krzyżackich — i gdy niektóre z nich nareszcie opa-

[6]) Pieśń niby współczesna, świeżo wydrukowana w *Bibl. Warsz.* za miesiąc marzec r. b. [1879], nie ma znamion współczesności i sprawia wrażenie rymowanej parafrazy opisu Długoszowego.

[7]) Mamy już teraz lepszy: w »Krzyżakach« Sienkiewicza. Historycznie opowiedział bitwę Konstanty Górski (1910).

miętały się i wróciły pod Tannenberg, oręż polski zaczął był już brać tu przewagę. Lekki deszczyk, spadły po pierzchnięciu Litwinów, zniósł kurzawę i ułatwił walkę rycerstwu naszemu. Krzyżacy już ustępowali, gdy przybycie owych zapędzonych za Litwinami znacznie polepszyło ich sprawę i na chwilę nawet zagroziło szykom polskim. Wtedy-to prawdopodobnie nawet chorągiew ową przednią, przez Wrocimowskiego niesioną, powalił wróg na ziemię, ale ją rychło podnieśli nasi i ostatecznie przy wielkiem męstwie przełamali i dawnych i świeżo przybyłych Krzyżaków. Natenczas wystąpiło szesnaście świeżych, wcale nietkniętych jeszcze chorągwi krzyżackich, a pomiędzy niemi i samego mistrza Ulrycha, i najzuchwalszego z komturów, elbląskiego, Wernera v. Tettingen. Do tego momentu walki należy znana przygoda, w której występują: Łużyczanin Kökeritz von Dieber i Zbigniew Oleśnicki, podówczas pachołek królewski, i sam król. Kökeritz popędził poprzed króla i już się nań zamierzył, gdy go Zbigniew ciął i na ziemię powalił.

Wojsko polskie, przypierając Krzyżaków przed wystąpieniem owych ostatnich już szesnastu chorągwi, musiało, dzięki dobrym rozporządzeniom, a przytem skutkiem samego mechanicznego ciążenia mas, zająć tak dogodne stanowiska, że i ów świetny poczet posiłkujący na nic się nieprzyjacielowi nie przydał. Polacy niewątpliwie oskrzydlili Krzyżaków. Tym, którym nie udało się przebić przez zwycięzców, pozostała tylko śmierć lub niewola.

Pogrom był straszliwy. Mrowie krzyżactwa wyginęło. Gdyby wierzyć kronikom, byłoby 50 000 zabitych, 40 000 jeńców: lecz przypuszczając nawet, że walczyło 80—90 tysięcy Krzyżaków, to i tak jeszcze zważyć potrzeba, że wielu umknęło do Malborga. Zginął sam Wielki Mistrz i mnóstwo komturów. W. Mistrza zabił, według jednych, jakiś Litwin czy Tatar, według innych, pocztowy szlachcica polskiego. Dwóch zaprzańców, którzy odstąpiwszy Słowiańszczyzny, Krzyżakom hufce swe na pomoc przywiedli: Konrada Białego, oleśnickiego książęcia, i Kazimierza Szczecińskiego, synowca Bogusława, dostali w ręce swoje: pierwszego Jost z Salz (Załęże), drugiego Skarbek z Góry. Nic im nie było: wkrótce odzyskali wolność. Zginął w boju ów v. Tettingen, zginął i pyszny komtur tucholski, który już w myśli napawał się krwią polską, a zginął wtedy, gdy z bojowiska

uciekał. Padł śmiertelnie raniony, a według innych zabity na miejscu, komtur gniewski, Jan von Wenden, dowódzca XXXIX chorągwi krzyżackiej, starzec przezorny, który Ulrycha od wojny odciągał. Dowódzca LI chorągwi, brandenburski Marquardt von Salzbach, dostał się w niewolę Janowi Długoszowi; w pięć dni później, mszcząc się za znieważenie pamięci Biruty, Witold ściąć go kazał. Zginął Fryderyk pan na Zollern z dzisiejszego panującego rodu pruskiego, komtur Ragnety; nie zobaczył też już więcej południowych Niemiec Konrad v. Lichtenstein. Wielu, wielu zginęło znakomitych mężów i dla Niemiec dzień Rozesłania Apostołów 1410 r. był dniem wielkiej żałoby. Henryk v. Plauen, późniejszy mistrz, człowiek zasłużony względem swoich, uniknął śmierci lub sromu pod Grunwaldem; stał bowiem nad Wisłą w Świeciu i bronić miał ziem krzyżackich od strony ówczesnego Bydgoszcza, które siły polskie, bardzo roztropnie zawczasu były zajęły: w bitwie na błoniach Tannenberga nie było Henryka Plauena. Był zato w boju i świetnie się odznaczył, choć o tem Długosz nie wspomina, Jan Żyżka, późniejszy bohater wojen religijnych czeskich, jeden z największych ludzi w dziejach i przyjaciel Polski, który rad był oddać Czechy Domowi Jagiellońskiemu — z czego przecież licha, ciasna polityka, całe życie narodu do życia jego w Kościele sprowadzająca, skorzystać nie chciała. Milcząc o odznaczeniu się Żyżki, Długosz prawi wszakże o obecności św. Stanisława w obłokach, a co ciekawsza, przedewszystkiem Krzyżakom ujrzeć go każe.

VI.

Kolosalny obraz Matejki, dzieło kilkoletniej pracy a pierwszy jego utwór z zakresu bitew, wykończony w r. 1878, przedstawia idealny moment pogromu grunwaldzkiego, moment, w którym same szczyty krzyżactwa walą się u stóp najprzedniejszych postaci z obozu polskiego. Nie jest to bynajmniej jakiś wyrwany z całości epizod, ale synteza wszystkich działań, ostatnie słowo męztwa, zwycięztwo już dokonane, a ucieleśnione w formach rzeczywistości, które mistrz, z niezrównanym artyzmem, środkami swej sztuki wytworzyć umiał. Stając przed tem ogromnem

płótnem, czujemy odrazu całą wielkość przygody, czujemy tem doskonalej, że w tak idealnie pojętej kompozycyi nie znać komponowania. Niedająca się niemal piórem opisać obfitość, przepych, bogactwo ruchów, życia, charakterów nadaje idealizmowi kompozytora całą realistyczną wyborność prawdy przedmiotowej, uszlachetnionej przez sztukę. Jest to, nie epizod — ale cała bitwa, nie idealne marzenie poety, ale żywy wypadek świata. Takich oblicz szlachetnych, potężnych, wielkich, nie było pewno w rzeczywistości, nie było też i owego idealnego momentu; ale bitwa taka, jaką Matejko przed nami roztoczył, mogła się w rzeczywistości stać, obraz więc, na który patrzymy, ma za sobą tę naczelną zasadę pięknotwórstwa, że co możebnem jest w rzeczywistości, to rzeczywistem może być w sztuce. Piszący te słowa nie rości sobie pretensyi do tego, żeby znał wszystkie celniejsze *batalie;* nie unosi się też zarozumiałością narodową: zdaje mu się wszakże, iż pierwszą dopiero taką bitwę jak Grunwald Matejki sztuka wszech krajów i czasów z siebie wydała.

To nie Wouverman, ani van Meulen, ani Michał Anioł, którego krępowała sama małość przygody — to nie nasz Brandt nawet, doskonały batalista, mistrz w swym zakresie, ale głównie za zewnętrzną malowniczością, za pięknem zjawiskowem goniący: zupełnie nowy geniusz świeci z tego oto płótna, niepodobny do żadnego innego, sam sobą będący, na samym sobie oparty. Pierwszy krok jego na nowej drodze wydał takie już wielkie dzieło — czegoż się tu nie spodziewać po dalszym pochodzie!

Talent Matejki, wielką siłą rzutu obdarzony, wrzuca nas odrazu w wir walki. Owa przednia chorągiew rycerstwa polskiego z nową siłą naciera na Krzyżaków, którzy gonią ostatkami już sił i męztwa. Na prawym skraju obrazu Skarbek z Góry ściga uciekającego Kazimierza Pomorskiego. Ten, połową postaci zwrócony ku napastnikowi, opędza się mu mieczem; ale już łucznik pieszy, pierwszy z wyciągniętego sznurem szeregu, chwyta mu konia za cugle. Na lewo pyszny biały koń, wstrzymany w biegu, staje dęba, a dwóch atletów, jeden z toporem, a drugi ze spisą, godzi na jeźdźca, w którego twarzy przerażenie panuje nad żądzą obrony: to sam Wielki Mistrz. Z tyłu w głębi obrazu Zyndram z Maszkowic mieczem podtrzymuje rozwiewający się płaszcz W. Mistrza, aby też zobaczyć: kto zacz ten znakomity rycerz, a może i wydać rozkaz — by go nie zabijano. Rozkaz przyjdzie już zapóźno i jeśli nie ów topór, to spisa wyprawi W. Mistrza do pałacu Odyna.

Postępując od prawego ku lewemu brzegowi obrazu, spostrzegamy dalej na przodzie wyniosłą postać Witolda w czerwonej aksamitnej sukni, z czapką książęcą na głowie, z tarczą w lewej, mieczem w prawej ręce; kary jego rumak, biegnie, niby koń apokaliptyczny, niby mitologiczny Jodź, niepowstrzymany żadną zaporą: roztratuje wszystko, co na swej drodze napotka; — pędzi teraz prosto na Jana Żyżkę; pan puścił mu wodze, niedbając o to, gdzie go wierny jego zaniesie. Witold widzi już zwycięztwo; ale na jego obliczu ciemność mocuje się ze światłością: z głębi duszy nie oświecają mu twarzy prawdziwie jasne promienie szczęścia, bo ich też tam niema. Wina i żałość osobista, niepokój oczekiwania, właściwy wodzom, nadają Witoldowi swoisty tragiczny wyraz, świadczący o nastroju, który, niebędąc smutkiem, nie ma wszakże na sobie, w pospolitem pojmowaniu rzeczy, nieodzownego, charakteru radości. Z tym swoistym wyrazem swoim Witold jest tak potężnym, że prawdziwie wpija się w umysł widza i nie daje mu spokoju, dopóki duszy swej przed nim nie odsłoni. To Witold historyczny, Witold, jakim był: bohater niejednolity, bo i niejednolity człowiek. Czysta radość czystego tylko trudu, czystego życia udziałem być może.

Przy zadziwiającej dzielności myśli twórczej i pędzla, Matejko umiał, pomimo niesłychanej obfitości kształtów i barw, pomimo skłócenia wszystkich pojedynczych zjawisk w jeden odmęt walki, żywej, kipiącej — umiał pomimo to, mówimy, uczynić z Witolda środkowy punkt obrazu, który wzdłuż tej postaci dzieli się na dwie równe prawie części. Na prawo (od obrazu) było więcej swobodnie rozwijających się epizodów, na lewo już gromadą całą tłoczą się zjawiska przed oczy. Na prawo od Witolda, i przed nim jeszcze, zwalił się z konia Konrad Biały: zuchwała śmiałość pędzla dała temu jasnemu blondynowi jasną złocistą szatę. Spadnięcie jeźdźca i przewalenie się konia mistrzowsko oddane. Na jednej linii z książątkiem Oleśnickiem klęczy, już z lewej strony Witolda, rycerz z zasłoniętą głową,

na którego kolanie wsparł się potężną stopą Żyżka, aby oburącz ujętym koncerzem głowę mu rozpłatać; tymczasem zaczajony z boku najemnik krzyżacki, pono Anglik jakiś, sztyletem ugodzić ma w bohatera. Powyżej tej grupy jest inna, również piesza, złożona z Jana Długosza, ojca, z jakiegoś pięknego młodzieńca, który poprzednio już ranny, teraz jeszcze z zawiką na czole walczy, i z Tatara. Ostatni z nich chwyta na arkan Marquardta von Salzbach i dusi go; Długosz zamierza się dla odparcia ciosu, który Krzyżak z tyłu za Salzbachem zwraca przeciwko Tatarowi; ów młodzieniec wreszcie halabardą szuka głowy krzyżackiej. Koń pod Marquardt'em cały w stalowej kapie, padł; jeździec nie ma ocalenia, choćby nawet który ze współwalczących przeciął sznur tatarski: za chwilę będzie jeńcem Wieniawity.

Zawiszę Czarnego widzimy powyżej tych wszystkich grup, a na prawo od Witolda — na czele owej wyborowej, ścigającej teraz Krzyżaków, jazdy krakowskiej; chorągiew jej, na chwilę strąconą, Wrocimowski dumnie już teraz unosi, zdążając za Witoldem, który go za sobą był porwał. Kopia Zawiszy zwaliła z konia hr. von Wenden: starzec pada nawznak na rumaka jakiegoś uciekającego komtura, którego objaśnienie do obrazu dołączone nazywa Henrykiem von Plauen. Obok tego komtura pędzący opasły Biskup Lubecki jest najbardziej do lewego skraju obrazu przysuniętą postacią.

Nie możemy zamilczeć o dodatkowych postaciach i działaniach zapełniających utwór. Trzymając się tegosamego co wyżej porządku, od prawego do lewego brzegu obrazu, widzimy najpierw na samym przodzie starca na ziemi przyciskającego miecz do piersi; potem dwóch zapaśników, tarzających się po ziemi, pod kopytami konia księcia Szczecińskiego, rozwścieczonych jakby w piekle Dantejskiem: jeden z nich drugiemu palce obgryza. Dalej jeszcze za nimi leży piękny młodzieniec, przeznaczony na ofiarę niechybnej lada chwila śmierci; instynktownie tylko jeszcze dłoń zasłania mu głowę od blizkiego topora, który wszakże nie w tę głowę ma ugodzić. Powyżej, pomiędzy księciem Szczecińskim a W. Mistrzem, zsadzeni już z koni, Werner v. Tettingen i inny krzyżak, widząc niebezpieczeństwo grożące zwierzchnikowi zakonu, rozpaczliwie ręce podnoszą. Powyżej, na lewo

(strona obrazu, a nie widza) za Jungingenem i Zyndramem szlachcic Skunaczewski wyrywa krzyżakowi wielką chorągiew samego mistrza. Dzielna to postać, dzielny rozmach jej prawej ręki! Płaszcz krzyżaka, unoszący się w powietrzu wraz z tarczą, dotyka — dla wzroku — samego konia Witolda.

Inne szczegóły pominąć musimy. Dalszy plan obrazu zapełniają: obóz krzyżacki z wiatrakiem, około którego toczy się zacięta walka, w rodzaju wouvermanowskiej, dalej dym i kurzawa, a na jej tle las kopii i proporców, dalej jeszcze widok rozległych błoni tannenberskich, a na lewym brzegu obrazu las i pod nim, nieco z boku, Jagiełło z orszakiem, po zabiciu Kökeritza przez Oleśnickiego. W powietrzu, na podstawie owego dymu, któremu koloryt *ad hoc* niejako nadano, klęczy postać św. Stanisława w stroju biskupim. Z lewej strony poniżej Świętego, i bliżej widza złamana gwałtownie kopia o dwóch kawałach pryska w górę.

Taką jest całość pomysłu. Wypełnienie go treścią poetycką, człowieczą, i treścią malarską, jaką pędzel jedynie sztuce dać może, — mistrzowskiem nazwać potrzeba. Wszelako, biorąc pomysł poetyczny jako wtopiony już w kompozycyę obrazu, nie możemy zataić, że św. Stanisław stoi poza całością dzieła, niczem się z nią nie wiąże, niczyjej uwagi na siebie nie zwraca, i wręcz nie należy do odmalowanej przygody; a pamiętać przecież potrzeba, że cudowność wszelka o tyle jedynie ma prawo istnienia w sztuce, o ile się silnie i pięknie z ziemskością łączy: jeden chociażby wzrok ludzki, zwrócony ku świętemu, byłby mu nadal estetyczną racyę bytu. W pierwotnym pomyśle nie było św. Stanisława; dodanie go późniejsze stanowczo za błąd uważamy.

Mistrz w wytwarzaniu charakterów i ciał ludzkich, silnie żyjących, malarz, który wyrazową potęgą swoich postaci, przypomina Shakespeare'a i może kiedyś obok niego stawianym będzie — Matejko w *Grunwaldzie* tę boską prawdziwie stronę talentu swego na wyższym może jeszcze niż w dawniejszych utworach przejawił stopniu: tyle ruchu, tyle dramatyczności w obliczach jego jeszcze-śmy przedtem nie widzieli. W tłumie trzydziestu ośmiu postaci wyraźnie zosobionych na obrazie niema dwóch twarzy do siebie podobnych, ale we wszystkich panuje styl jeden, szlachetny, silny, po którym najbladszy zarys ołówka

czy pędzla Matejki, rozpoznać można. Okrągłość postaci — o którą Leonardo da Vinci tak głośno wołał — zdumiewa. Nad przestrzenią Matejko nie panuje tak, jakby tego wielki jego talent potrzebował, ale jest panem absolutnym rozciągłości i powierzchni ciał. Wszystko żyje w jego sztuce, nawet to, co martwem jest w naturze. Praktyczna umiejętność wytwarzania malarskiego piękna dalej zajść nie może. — Każdy malarz milujący swój zawód, bardziej niż siebie samego, znajdzie w obrazie Matejki skurcze, skróty, akordy i dyssonanse malarskie, które go w zachwyt rzetelny wprawią — a niejeden wiele z tego obrazu nauczyć się może...

XVI.

Z CZASÓW NAPOLEOŃSKICH.

(1887).

P. Juliusz Falkowski ogłosił w roku bieżącym piąty już tom zajmujących swoich *Obrazów*. Opowiada w nim wypadki, które się na naszej i na wszechświatowej scenie odgrywały od jesieni 1812 do końca 1815 r. W nowo-wydanym tomie dzieje polityczne mają przewagę nad obyczajowemi, dziejopisarstwo nad pamiętnikarstwem, a fakta należące do historyi francuskiej lub powszechnej stosunkowo więcej niż w poprzednich tomach zabierają miejsca. Czytelnikowi polskiemu nowa książka p. Falkowskiego przypomina dzieje Napoleońskie od odwrotu z Moskwy do drugiego upadku, stawiając mu jednocześnie przed oczy własne jego widoki historyczne z tej tak ważnej i na długo pamiętnej epoki. P. Falkowski fakta do *Obrazów* swoich wybiera starannie z literatury historycznej i pamiętnikowej, a ta staranność nadaje kompilacyi jego rzetelną wartość. Trzeźwość sądu nie pozwoli jej przeceniać, ale sprawiedliwość i wzgląd użyteczności nie pozwolą także jej lekceważyć. Przy wielkim braku dzieł pragmatycznych w literaturze naszej, a większym jeszcze braku wiedzy w umysłach ludzi nawet oświeconych *Obrazy* p. Falkowskiego, odbijające w sobie wypadki, które nigdy nie przestaną w nas wzbudzać żywego zajęcia, przez tosamo już zwracają na siebie uwagę; a przystępność wykładu, porzą-

dek i jasność opowiadania, ta jakby łatwość, z jaką wchodzą do głowy — nadają im przymiot poczytności, zjednywającej od razu czytelnika.

Tom IV *Obrazów* zostawił Napoleona w Moskwie. Drogę do niej otworzył był sobie »bohater wieku« jedną z najkrwawszych bitew, znanych w dziejach, stoczoną pod Borodinem, w okolicach Możajska, nad rzeczką Moskwą, d. 7 września. Dnia 14 t. m. wszedł, sam jeden, pieszo, do drugiej stolicy Rosyi. Nie mylił się może, gdy czuł, że stoi na szczycie potęgi, ale błądził, gdy nie widział, że zaraz pod tym szczytem roztwiera się głęboka przepaść, która go pochłonie. Egoizm i duma nigdy go może w życiu tak nie zaślepiały, jak przez pierwsze trzy tygodnie pobytu w Moskwie. Dopiero powrót Lauristona, wysłanego umyślnie na zwiady dyplomatyczne, — powrót z próżnemi rękoma — otrzeźwił go ze złudzeń: wielki wódz spostrzegł, że nie pozostaje mu nic innego nad odwrót: ale i wtedy jeszcze, lekceważąc siły przeciwnika, który się znakomicie był wzmocnił, przeceniał znowu swoje własne i z za Dniepru posiłków żadnych zawczasu ściągnąć nawet ku sobie nie sprobował, łudził się zaś marzeniem, że wystarczy mu cofnięcie się tylko do Kaługi. Dn. 19 października armia, licząca jeszcze do 100 000 ludzi, wyruszyła z powrotem długo wyciągniętą kolumną. Sam cesarz trzymał się swej gwardyi. Straż przednią prowadził Eugeniusz, a z nim szedł i, zmalały już wówczas do pięciu tysięcy, korpus Poniatowskiego. W Kremlinie pozostał jeszcze Mortier aż do dalszych rozporządzeń; przy odejściu miał wysadzić ten gród w powietrze. Dopiero po zaciętym boju pod Mało-jarosławcem, dnia 24 października, wydał Napoleon hasło: »Na Możajsk do Smoleńska« i odwołał Mortiera, który owego barbarzyńskiego rozkazu spełnić nie zaniedbał. Za Możajskiem, dnia 29 października, leżało jeszcze kilkadziesiąt tysięcy ciał niepogrzebanych od Września. Zgnilizna, drapieżne ptactwo i wilki wyprawiały tu sobie bankiety. Ale cesarz był wyższym nad sentymentalizm, straszliwy widok nie wywołał w nim zgoła nawet chwilowej reakcyi: a przecież od trupów tych wiało na całą jego armię

okrutne proroctwo. Zwiedzanie szpitala i rozkaz wsadzenia rannych na wozy, były tylko aktami przyzwoitości, po-za którą zaczynała się zwierzęca już obojętność.

Jeżeli już w Moskwie potrzeba było pomagać sobie końskiem mięsem, to teraz, od Możajska, zaczął się już zupełny głód; kozacy Platowa krążyli dookoła, a feldmarszałek Kutuzow od Wiaźmy już szedł trop w trop za Wielką Armią, której wielkość była już tylko wspomnieniem. Pod Mało-jarosławcem przekonał się Napoleon o niepodobieństwie uderzenia na wojsko, które taktycznie wyższem już było od francuskiego, a spokojnem być mogło o żywność. Teraz dumny cezar-parweniusz był już na wpół rozbitkiem, i uciekał od zupełnej zagłady. Ucieczka ta była powolną. Historycy i naoczni świadkowie kampanii 1812 r. surowo ganią nadzwyczaj liczny, a niezdarny i zbyteczny tabor, gdy ciągniono za Dniepr; w odwrocie z Moskwy tabor ten był już prawdziwą plagą i ogromnie opóźniał pochód.

Pod Wiaźmą (od 31 października do 3 listopada) przyszło do dwu krwawych rozpraw; Eugeniusz i Davoût musieli miasto zdobywać szturmem. Cztery tysiące Francuzów legło w boju, lub odniosło rany; naszych padło czterystu. Już wtedy różnica między rannymi a poległymi nie istniała dla armii, która ich traciła: zarówno jednych jak drugich zostawiano na pobojowisku. W boju książę Józef padł wraz z koniem — nie minęło go przeznaczenie! — a oddział jego, mający jeszcze nazwę, bo i wszystkie kadry i sztandary, i — z wyjątkiem kilku — wszystkie działa korpusu, z pierwotnych 23 000 (po odłączeniu Dąbrowskiego) stopniał do 800 ludzi. Odtąd ciężkie potłuczenie nie pozwoliło już Poniatowskiemu sprawować dowództwa; cesarz oddał je Zajączkowi.

Od Wiaźmy miała Wielka Armia nowego nieprzyjaciela: mróz. Pod Dorohobużem (7 listopada) spadły pierwsze śniegi. Dnia 9 listopada wszedł cesarz z gwardyami do Smoleńska. Przez cztery dni ściągały tu widma korpusów, dające w ogólnej sile zaledwie 40 000 ludzi. W korpusach Victora, Oudinota, Macdonalda i Schwarzenberga, pozostawionych przed Dnieprem mogło być 130—140 tysięcy. W kontrolach tyle jeszcze razem zostało z tej Xerxesowej armii, w niektórych książkach podawanej na 680 000 ludzi, a jeśli nie półmilionowej, to napewne przeszło

400-tysięcznej. Za tłumami, które nie wyzuły się jeszcze z więzów taktycznych i zasługiwały na nazwę wojska, wlokło się wprawdzie kilkadziesiąt tysięcy; ale były to gromady zgłodniałych, lub zziębłych maruderów, i nie można ich było nawet za żywy materyał wojenny uważać. Najobronniejszą ręką wyszła gwardya napoleońska: z 25 000 przeciągnęło jej z powrotem nad Dniepr 5—6 tysięcy. Szczególna tylko opieka Napoleona pozwoliła dochować się jeszcze dwóm tysiącom jazdy tego wyborowego wojska; bo w całym odwrocie konie padały, jak muchy. Wszystkiej jazdy liniowej doliczono się w Smoleńsku zaledwie 500. W dawnej legii nadwiślańskiej, oddanej pod rozkazy generała Claparède, było jeszcze 1 500 oficerów i żołnierzy.

W Smoleńsku o mało co nie przyszło do starcia, ale pomiędzy samemi szczątkami rozbitego kolosu. Ze zbytniej troskliwości o swych gwardzistów Bonaparte okazał nierozważne niemiłosierdzie dla innych korpusów, które po nich nadciągały: kazał zamknąć bramy i nikogo nie wpuszczać. Żywności było podostatkiem na parę tygodni, ale obuwia i odzieży brak wielki. Nadużycia intendentury srodze smagały to, co jeszcze ocalało od kuli nieprzyjacielskiej, głodu, mrozu i pochodu w najnieprzyjaźniejszych warunkach. Całe setki i tysiące wołów więzły w kieszeniach nikczemników. Teraz nadciągająca nędza spodziewała się znaleźć w Smoleńsku wypoczynek i pokrzepienie. Kiedy zastała bramy zamknięte, ogarnęła ją rozpacz; wszczął się bunt; żołnierze, nie pytając o oficerów, niżsi, nie pytając o wyższych, rzucali się na magazyny pod miastem. Trzeba było aż gwardyę na obronę ich sprowadzić. Tylko czekać aż przyjdzie do bratobójczej walki. Szczęśliwie jednak przełożenia dowódców zapobiegły rozlewowi krwi, która prawdziwie już musiałaby zawołać o pomstę do nieba, gdyby ją nieokiełzana natura ludzka nie zawahała się była wytoczyć.

Mróz wciąż trzymał; dochodził do 19-u stopni C. Bonaparte nie przeprawił się odrazu przez Dniepr, ale pociągnął lewym brzegiem ku Orszy (13 listopada), wyprowadzając korpusy swoje pojedynczo, a to zajęło mu pięć dni czasu, do 17-go listopada. Pozostawiony w Smoleńsku Ney, jak przed czterema tygodniami Mortier w Moskwie, miał rozkaz przy odejściu mury warowni wysadzić prochem — ale do tego nie przyszło.

Pierwsze starcie na nowej widowni wojennej wydarzyło się pod Krasnem. Pierwszy dzień walki (14 listopada) p. Falkowski opowiada według pamiętników Józefa Krasińskiego, zbijając błędne opowiadanie Thiersa, który systematycznie w cień nas zawsze usuwa. Idący w przedniej straży Sebastiani wybawienie swoje w tym dniu zawdzięcza tylko Kniaziewiczowi. Drugi dzień pod Krasnem był większy i groźniejszy. Feldmarszałek Kutuzow postanowił skorzystać z rozciągnięcia kolumny francuskiej, aby osaczyć i zamknąć cesarza, który wieczorem dnia 14-go był nadciągnął, i wziąć go wraz z brygadą Sebastianiego i gwardyami do niewoli. Wielkie tylko męstwo Eugeniusza i jego żołnierzy, a przytomność umysłu generała Klickiego ocaliły w dniu 16 i 17 listopada zwycięzcę z pod Marengo i Austerlitz od grożącego niebezpieczeństwa. Po nadciągnięciu korpusu Davoûta mógł już Napoleon w dniu 17 listopada wydobyć się z Krasnego, pozostawiając postępującego w tylnej straży Neya na pastwę niemiłosiernego bóstwa wojny. Temu już męstwo nie wystarczało: cudem prawie najdzielniejszy z marszałków pod Borodlinem uniknął zupełnej zagłady (18 listopada). Boje pod Krasnem pochłonęły blizko połowę tych sił, które jeszcze wyszły były ze Smoleńska. Wymknięcie się szczątków wojsk napoleońskich z Krasnego stanowi jedno z najciekawszych zagadnień strategii. Do Orszy dowlokły się rozbitki dnia 18 listopada w najstraszliwszym stanie: bez odzieży, bez obuwia, bez pociągów, bez dział, a nawet z niewszystkiemi sztandarami. Z braku koni działa i tabory porzucano na drodze. Działo się to już przed Smoleńskiem, działo się i teraz, pod Orszą. F. P. Ségur w *Histoire de Napoléon et de la grande armée pendant l'an. 1812* opowiada, że na zgubę już wydany Davoût, utraciwszy pod Krasnem z dziewięciu tysięcy pięć, przyszedł do Orszy (20 listopada) w łachmanach, bez koszuli, bez chustki. Twarz miał szronem okrytą, a był tak głodnym, że na widok chleba rzucił się ku niemu, porwał go i, nie przemówiwszy do obecnych słowa, jadł z namiętną żarłocznością. Posilony dopiero zawołał: »Och, trzeba być chyba z żelaza, aby znieść takie trudy! Siły ludzkie mają swoje granice; myśmy je dawno przekroczyli«. Z dawnych kroci tysięcy do Orszy nadciągnęło tylko niecałe dwadzieścia. Gdyby w sztabie feldmarszałka Kutuzowa

wiedziano o tej przerażającej niemocy wielkiej armii, to w historyi świata nie byłoby przejścia przez Berezynę, ale za to byłoby przejście pod nowem jarzmem kaudyjskiem, gdzieś pomiędzy Orszą a Borysowem. Ale dzieje wyraźnie chciały Francuzom zachować Berezynę.

Pomimo wszystkich klęsk już doznanych odwrót tych żałosnych szczątków armii przez Litwę nie byłby tak strasznym, gdyby od chwili wyruszenia za Dniepr geniusz Napoleona, rozporządzał był jak dawniej, nadzwyczajnym darem życia praktycznego, wypromieniającym się jako nieomylny a potężny instynkt rzeczywistości. Ale właśnie wszyscy świadkowie stwierdzają, że duchowa istota człowieka zmieniła się zaraz po przejściu Dniepru. Tasama wyobraźnia, która dawniej pozwalała mu widzieć jakby na dłoni całe widownie wojenne, każdy na nich oddział wojska, wszystkie niebezpieczeństwa i całą tę rzeczywistość *in potentia*, która w najgorszych warunkach planom powziętym zagrozić może — tasama wyobraźnia, zamiast mu wzrok rozjaśniać, teraz go mgłą przysłaniała. Pomimo osiemnastoletniego już doświadczenia brał Bonaparte ideały planów swoich i rozkazów za spełnioną już rzeczywistość, a nowe plany snuł i nowe rozkazy wydawał, nie pytając się o to, czy mogą być wykonanemi. Największym wrogiem jego geniuszu była jego dyplomacya, jego kokietowanie cesarza Aleksandra, tak widoczne z Fain'a. Szkodził sobie taką polityką wtedy, kiedy właśnie druga strona w polityce rozsądnej, trzeźwej, interes tylko przedmiotowy, a nie widma namiętności lub uczucia na oku mającej, zyskiwała dla zbrojnych sił swoich sprzymierzeńca. Odwrót swój z pod Moskwy oparł był cezar na posiadaniu litewskiego teatru wojny, ale zanim się dowlókł nad Dniepr (od 29 czerwca do 14 sierpnia), już mu się ten fundament rozkruszał. Zawarcie pokoju ze Szwecyą, której wzamian za Finlandyę obiecano Norwegię, pozwoliło generałowi Wittgensteinowi po otrzymaniu posiłków przerwać łańcuch strategiczny Francuzów ponad Dźwiną i wedrzeć się do Litwy, odcinając Macdonalda w prowincyach nadbałtyckich od Oudinota, Victora i Saint-Cyra, sięgających na wschód aż za Witebsk. Pokój znowu z Turcyą umożliwił ściągnięcie z południa armii generała Czyczagowa, która, połączywszy się z korpusem Tormasowa, miała już otwartą drogę ku Dnieprowi i przy

większym pośpiechu mogła była już pod Krasnem, współdziałając z feldmarszałkiem Kutuzowem, zgotować Francuzom Sedan. Kiedy Napoleon wydzierał się z Krasnego, owe 130—140 tysięcy, pozostawione na Litwie, istniały już tylko na papierze. Marszałkowie strzegący Dźwiny utracili już byli podstawę operacyjną; po nieszczęśliwych walkach wojska ich były przepołowione; musieli już myśleć tylko o własnem bezpieczeństwie: upadłej za Dnieprem sprawy wojennej, przy nadludzkich nawet wysileniach — a i tych nie brakło — podźwignąć już nie mogli. Cała siła uwięziona na pomorzu była zupełnie straconą, i nie spełniła nawet zadania, polegającego na odciągnięciu sił przeciwnika od głównej widowni wojennej, prowincye nadbałtyckie musiałyby zawsze być zajętemi, wprawdzie mniej licznym korpusem, ale różnica nie wynagradzała szkody, jaką ponosiła armia, pozostawiona przez Napoleona na Litwie, przez zupełne odcięcie od niej i ubezwładnienie Macdonalda. Niepojęta jakaś lekkomyślność, wyrosła z pychy, udaremniła jedyne pozytywne zadanie, jakie miał przed sobą korpus nadbałtycki: zdobycie Rygi i opanowanie zupełne pomorza. Idąc na wyprawę, Napoleon nie zaniedbał rozporządzić sprowadzenia parku oblężniczego z Magdeburga, który był głównym składem wojennym francuskim poza granicami Francyi; ale, gdy z wielkim już trudem doprowadzono działa do Tylży, drwiąc sobie z owej twierdzy ryzkiej, kazał taborom zawrócić do Gdańska. Tymczasem przedrwiwana twierdza stawiała opór, i nim Prusacy, oddani pod Macdonalda, zdążyli sprowadzić swoje armaty — a nie śpieszyli się z tem — było już zapóźno na zdobywanie Rygi, ale dość jeszcze wcześnie na utracenie Mitawy.

Mniej jeszcze ze stanowiska geniuszu napoleońskiego usprawiedliwić można zaślepienie i bezczynność wobec takiej metody, z jaką korpus Schwarzenberga spełniał na Litwie i Wołyniu obowiązki sprzymierzeńca. Była to zupełna zdrada, polegająca na niedziałaniu, unikająca wszelkiego starcia, ułatwiająca pochodami swemi zadania wojsk przeciwnych, osłaniająca się jedynie pozorami, przez całą kampanię zdolna wykazać zaledwie jeden czyn rzetelny, istotny: współdziałanie z Reynierem pod Wołkowyskiem (14—16 listopada). Jedynym rzeczywistym celem Schwarzenberga było osłanianie Galicyi od wojny i od drgnień

przedwojennych. Zresztą, posłano go, więc poszedł; kazano mu stanąć na widowni wojennej, więc stanął; konieczność zmuszała go do ruszania się, więc się ruszał. Rola taka była niegodziwą, gorszą nawet od roli pruskiego Yorka. Jeżeli całe zachowanie się Schwarzenberga od sierpnia do środka października nie obudziło w Napoleonie żadnych podejrzeń i nie wywołało zmiany w układzie sił i planie działania; jeżeli tak genialnemu umysłowi nie odmalowała się w żywych barwach zła wola wodza austryackiego — rzecz prosta, narzucona przez dwór wiedeński — mógł to być tylko skutek owej zmiany w duchowem upostaciowaniu mocarza, którą zaznaczają świadkowie jego czynów, dostrzegacze codzienni jego osobistości.

Geniusz wojskowy Napoleona uplastycznia się nam w umyśle, jakby jakiś przedpotopowy gad, latający w powietrzu, tylko pięknością kształtów uszlachetniony. Niepowstrzymany pęd jego żądzy dawał mu siłę olbrzymią, ale zarazem i zaród olbrzymiej niemocy — zaślepienie. Żywe takie ogromy przeznaczone są dla przepaści i tylko drogę do niej mają przez szczyty. Nic tak istoty umysłowej Napoleona, jego charakteru, jego historycznego oblicza nie odsłania, jak cała kampania Dwunastego Roku, od pierwszych rozkazów wojennych i układów politycznych w końcu 1811 r. aż do słynnej rozmowy w Hotelu Angielskim w Warszawie. Mizerne wybiegi, fałsz, nieprawość — łączą się w tym kolosie ze wszystkiemi objawami prawdziwie tytanicznej wielkości. Nieraz, mając przed sobą geniusz, patrzeć musimy na opętanego...

Wracamy do wypadków. Z chwilą wkroczenia Napoleona do Orszy, strącone ze swej podstawy strategicznej korpusy naddźwińskie, po utraceniu Połocka i Witebska, w jednem tylko przypuszczeniu użytecznemi być mogły Napoleonowi: musiały połączyć się z nim, aby wspólnemi siłami dokonać odwrotu. Ściągnięcie ich do »wielkiej armii«, strategicznie dokonane pomiędzy Dnieprem a Berezyną, wzmocniło ją prawie w trójnasób; ale wzmocnienie to nie otwierało jej świetnych widoków, bo jednocześnie i trzy armie: generała Wittgensteina, admirała Czyczagowa i feldmarszałka Kutuzowa, ustaliły strategiczną łączność pomiędzy sobą i wręcz obsaczały już rozbitków, a miały za sobą i liczebną przewagę, i większą karność,

i lepszą żywność, i liczną jeszcze, choć nieregularną, ale dla cofającego się nieprzyjaciela wielce dokuczliwą, jazdę. W górnym biegu Berezyny jedyna droga na zachód ku Wilnu prowadziła przez most pod Borysowem. Posiadanie tego mostu i ciągnącej się za nim na północy przez bagna Grobli Ziembińskiej było najpierwszym celem Francuzów. Pomyśleli o tem jednocześnie Napoleon i Dąbrowski. Wódz legionów, już po zajęciu Mińska przez admirała Czyczagowa (dnia 17 listopada), widział nieuchronną konieczność starcia nad Berezyną, i natychmiast posłał generała Bronikowskiego dla opanowania pozycyi. Ale generał ten, jako Polak, był jedynym prawie w tej kampanii wyjątkiem — lepszy na fryzyera, niż na wojaka. Niedbalstwo, niezdarność i lekkomyślność, których się dopuścił, wydały, pomimo przybycia Dąbrowskiego z posiłkami i osobiście prowadzonego dowództwa, ważną niesłychanie pozycyę w ręce generała Czaplica z armii admirała Czyczagowa (21 listopada). Zażarta, dziesięciogodzinna walka, strata 2 500 ludzi, wysilenie najwyższe, zakończyły się utratą Borysowa i mostu. Dąbrowski wszakże stanął niedaleko od miasta, a nazajutrz po nadejściu Oudinota, zajęte stanowisko dało podstawę dogodną do powetowania straty [1]. Borysów był napowrót w mocy Francuzów (dnia 23 listopada), ale most pożarły płomienie. Tej okoliczności głównie przypisać należy obranie przez Napoleona innego punktu do przeprawy, dalej na północ a bliżej Orszy, pod Studzianką [2]. Tu trzeba było mosty budować. Nierozwaga kazała po przejściu Dniepru spalić łyżwy i obfity zasób budowlany; teraz musiano rozbierać chaty wiejskie i zabudowania folwarczne, aby mieć budulec (24, 25 i część 26 listopada). Robota szła z wielkim trudem, przy niesłychanem poświęceniu się pontonierów, którzy, brnąc i tonąc w wodzie, obsaczeni przez płynącą krę, przez trzy ciężkie dni, nareszcie

---

[1]) Szczegółowy, a dokładny i wielce zajmujący opis walk nad Berezyną obejmują Pamiętniki Czaplica.

[2]) Na 104 lata przedtem, pod Studzianką, obrał sobie przejście Karol XII, i rzeczywiście przeszedł, tylko w przeciwnym kierunku (dnia 15—17 czerwca 1708 r.). Podobnie jak Napoleon, złudził król szwedzki przeciwnika swego udanym zamiarem stawiania mostów pod Borysowem. Można powiedzieć, że cesarz Francuzów dopiero z ust polskich dowiedział się o brodzie studzienieckim za pośrednictwem jednego z oficerów sztabowych.

zbudowali dwa mosty (gotowe 26 listopada). Napoleon posłał najpierwej Oudinota i Dąbrowskiego na prawy brzeg rzeki dla osłonienia pochodu; na lewym zadanie to pełnili Ney i Victor.

Połączone trzy armie nie dawały już rozbitkom napoleońskim chwili wypoczynku. Istnienie tych szczątków wisiało na włosku. Mosty się załamywały, a jeden runął.

Napoleon stał przez cały dzień 27 listopada nad brzegiem i orlem okiem pilnował porządku, przestrzegając, aby nie wprowadzano na mosty niepotrzebnych wozów i powozów. Już za Orszą urządził był ogromny stos ognisty; powtórzył to i nad Berezyną, tylko w mniejszych już rozmiarach. W nocy na 28 listopada działy się sceny godne Dantejskiego piekła. Z nieustającym na chwilę odgłosem walk, dookoła toczonych z Wittgensteinem i Czyczagowem, mieszał się zgiełk przeprawy, jęki wpadających w rzekę, lub duszonych, rżenie koni i zwierzęcy ryk tłumu, uciekającego przed śmiercią. Nareszcie z rana dnia 29 listopada, kto nie utonął lub się nie udusił, kto przez gnuśność lub niemoc nie ugrzązł na lewym brzegu rzeki, ten był już na prawym, gdzie go jeszcze kule czekały. Ostatni przeszedł ze swym oddziałem marszałek Victor; wtedy Eblé mosty spalił.

Cesarz przejechał przez rzekę 27 wieczorem. Nazajutrz stanął w widłach dwóch dróg: jednej ku Mińskowi, drugiej ku Wilnu. Admirał Czyczagow usypał baterye na pierwszej; Napoleon poszedł drugą, i dla pozoru tylko i osłony boków swych rzucił kilka tysięcy żołnierza na trakt miński. Nowy błąd raz jeszcze ocalił szczątki sił francuskich, które nietylko przeprawa, ale i walka straszliwie uszczupliła. Korpus piąty tracił swych dowódców jednego po drugim. Zajączkowi kula strzaskała nogę; nim Dąbrowskiemu znać o tem dano, już był rannym; Kniaziewicz, wezwany do Neya, dostał strzał bez boju; po nim dowództwo przeszło do Izydora Krasińskiego, aż wreszcie spoczęło na »Stasiu« Potockim. Cały korpus liczył już wówczas *czterystu* tylko ludzi z dwudziestu przeszło tysięcy. Ale mógł być dumnym, bo cztery tylko działa utracił, a wracał ze wszystkiemi sztandarami.

Czerwony wschód opromienił na chwilę, jakby aureolą przebytych cierpień, tę żywą nędzę ludzką, która pół roku

przedtem nosiła dumną nazwę »wielkiej armii«, a szła jakby na zdobycie świata.

Taki był koniec kampanii. Historya nie pokazuje równie okropnego zniszczenia. Pyszne zamiary: podyktowanie pokoju w drugiej stolicy państwa, pochód na Petersburg, zdobycie Rygi, ujęcie Rosyi w sieć systematu kontynentalnego, zhołdowanie polityki rosyjskiej dla dalszych zabiegów na całym kontynencie i rzucenie jej przeciwko Anglii, — wszystkie te wielkie ideały, żywione w piersi od początku roku 1811, teraz ustąpiły miejsca jednej malutkiej żądzy: chciał Napoleon uciec jaknajprędzej z tej widowni klęsk, zawodów, śmierci i wszystkich okropności, jakie prowadzi za sobą ta straszna żniwiarka, gdy raz na łany życia ludzkiego wejdzie. Rzeczywiście nie było co robić, tylko uciekać. De Chambray, uczestnik i historyk wyprawy, wylicza wszystkie, jeden po drugim, oddziały Wielkiej Armii po przejściu Berezyny i otrzymuje w summie 8400 ludzi, — z trzystu kilkudziesięciu tysięcy! Reszta była tłumem maruderów, włóczęgów i z konieczności rozbójników, albo gorzała w chatach i przy drogach na wielkim trakcie smoleńskim. Historycy podają liczbę trupów i ludzi żywych, a ruszać się niemogących, których w ten sposób spalono, na 223000. Jest to przesada; ale gdzie się jej dopuścić było można w takiej wysokości, tam już język drętwieje: tu mógłby przemówić tylko genialny ołówek Grottgera; mimowoli też przypomina się jego obraz: »Ludzkości! rodzie Kaina«. Nawet i te szczątki, które jeszcze się trzymały w więzach dyscypliny i organizacyi, na drodze z Ziembina nad Berezyną do Wilna, coraz bardziej się rozprzęgały. Czego kule spisy i głód nie dosięgnął, to padało od mrozu. Po odwilży i niewielkim zimnie ze śniegiem podczas przeprawy przez Berezynę, teraz chwyciły nagle w pierwszych dniach grudnia straszliwe mrozy. Dnia 3 t. m. termometr wskazywał 26 stopni. Można sobie wyobrazić cierpienia żołnierza, gnanego przez strach, głodnego, lekko odzianego. Korpus bawarski był doszczętnie zniszczony; literalnie z Wilna nie wyszedł ani jeden żołnierz; z całego korpusu pozostało tylko dwóch generałów — i kilku oficerów. Gwardya trzymała się najlepiej. Możemy też z zadowoleniem powiedzieć, że maleńki już wówczas korpusik polski, zostawiwszy przeszło dwadzieścia tysięcy swoich na polach

Rosyi, do ostatka nie utracił swej organizacyjnej spójności i w liczbie maruderów nie było ani jednego Polaka.

Los rannych i chorych stał się okropnym: porzucano ich na drodze, zostawiano na pastwę. Dzielny Ney głośno to powiadał, że innego ratunku nie widzi nad tłumne porzucanie nieszczęśliwych. Trzeba czytać *Pamiętniki Brandta*, późniejszego generała pruskiego i dowódcy w Poznańskiem w r. 1848, a podówczas wyższego oficera w Legii Nadwiślańskiej, aby poznać wszystkie udręczenia i męki rannych i chorych. Konie padały co chwila; nie przyprowadzono ich do Wilna nawet tysiąca z tych 100 000, które przebyły Dniepr w sierpniu.

Podczas tego odwrotu z nad Berezyny — co robił geniusz? Siedział w saniach, zamyślony, ponury — ziębnący jak wszyscy, otoczony »świętym hufcem« [3]), jak go sam w swej pysze Cezarów Rzymskich nazwał — i marzył o nowych wojskach, o nowych kampaniach, snuł plany polityczne, myślał o waryackim czy żakowskim spisku Maleta, o którym mu wówczas dopiero doniesiono (październik 1812 r.) — i jechał ku Wilnu boczną drogą na Pleszczenice, Słajki i Selicze. Dnia 3 grudnia stanął w Molodecznie Ogińskich, już przy wielkim trakcie z Wilna do Mińska. Stąd wydał słynny swój »Dwudziesty dziewiąty buletyn z Drugiej Wojny Polskiej« — jak całą tę kampanią urzędownie, na ironię tylko, nazywać kazał. Przyznał się w nim do klęski, ale zwalił ją na mrozy. Pokrył zupełnem milczeniem straty, klęski, pogrom. Spychanie winy na naturę od wyruszenia ze Smoleńska było kłamstwem, bo właśnie wtedy mróz, dosięgnąwszy w nocy z dnia 14 na 15 listopada 18-u stopni, odtąd spadać zaczął — i przed dotarciem do Berezyny nastała odwilż. Przyznawał mocarz, że w dniu 14 listopada wojsko jego, bez wozów, bez koni, bez armat, było już tylko cieniem dawnego. Uwiecznił zasługę Legii Nadwiślańskiej w działaniu na środek armii admirała Czyczagowa [4]) w dniu 28 listopada, już po przejściu Berezyny, na prawym jej brzegu. Pochwalił się chełpliwie 6 000 jeńców, 2 chorągwiami i 6 działami; ale sami generałowie francuscy, jak Caulincourt, tak blizki Napoleona — nie wierzyli w tę zdobycz: »Musieliśmy ich puścić« — odpowiadali, gdy im mówiono: »Pokażcie«. Nie mógł zataić cezar dostania się do niewoli całej brygady generała Parthounneaux na lewym brzegu Berezyny; ale zresztą przyznawał się tylko do tego, że mu chwytano pojedynczych żołnierzy, inżynierów rekognoskujących placówki i t. d. Malowniczo przyrównał Kozaków do Arabów w pustyni. Nie miał odwagi przyznać się do tego, że starą gwardyę rozmyślnie oszczędzał — w czem zresztą ulegał rozsądnym pobudkom — i wykręcił się frazesem: »Taka była postać rzeczy, że gwardyi *nie zdarzyło się* (!) walczyć«. Służalczość marszałków pozwalała na takie kłamstwo. Dawszy w tak strasznym dokumencie miejsce nawet tłumokom generałów i żołnierzy, znalazł w nim także, w samym końcu, dość miejsca na zapewnienie Francyi, że »zdrowie cesarza nigdy w lepszym nie było stanie«. A zdrowie Francyi? A Wielka Armia, którą całą zwalił... mróz? — dobrze — ale nie mróz natury, tylko mróz jego własnego geniuszu.

[3]) Zostawał on pod wodzą Grouchego, księcia Valmy, a składał się z samych oficerów na koniach. Liczono tych świętych cztery kompanie po 150 ludzi. Generałowie pełnili obowiązki kapitanów, a pułkownicy — poruczników. Była to straż osobista cesarza. Najwyższe oko nad nią miał Murat.

[4]) Napoleon krztusił się zawsze, gdy miał wymówić to nazwisko, i zastępował je w dogodny dla siebie sposób zaklęciem »Ce diable d'amiral«.

W buletynie swoim Napoleon, starannie milcząc o liczebnej sile swych wojsk, wyprowadzonych z piekła berezyńskiego, — nie wahał się mówić o swojej armii, jak gdyby ta jeszcze istniała, choćby tylko jako cień. »Można się domyślić — mówił spokojnym tonem potocznej pogawędki — iż wojsko potrzebuje *poprawienia karności, uzupełnienia się, opatrzenia w jazdę, artyleryę i sprzęty*«. Ależ wojsko wszystkiego już wtedy potrzebowało, — a przedewszystkiem wojska! Dalej zapewnia Napoleon, że generał Bourcier ma już 20 000 czekających na armię. Najoczywiściej zmyślał, mówiąc, że »artylerya straty swoje w części już powetowała« — bo przeciwnie, ponosiła ona coraz-to nowe straty, a w tydzień po buletynie prawie w zupełności resztę dział swych utraciła.

Ale duch wojenny Napoleona na chwilę się nie ugiął pod brzemieniem tylu nieszczęść — nie odczuwał ich nawet jako nieszczęścia. Sztyftował już w umyśle nową armię, przynajmniej trzykroć stotysięczną. Francya była zhołdowana, posłuszna, leżała jak baran, związany pod nożycami — i strzydz ją było

można — jemu się zdawało, że do nieskończoności. Duch, co armie organizował i bitwy wygrywał, — tensam duch także i kłamał, aby mógł dalej organizować i bić. Będziemy go jeszcze widzieli przez dwa lata blizko na widowniach wojennych Niemiec i Francyi, zadziwiającego nieraz potęgą geniuszu wojskowego i zupełną bezradnością polityczną; będziemy go widzieli upadłego, osadzonego wśród morza i zrywającego się do nowych lotów, zakończonych dobrowolnem poddaniem się jakiemuś krzyżowcowi angielskiemu: ale możemy tu tylko powtórzyć za wszystkimi, że od przerażającego końca kampanii Dwunastego Roku gwiazda Napoleońska już gasła i nic już jej blasku, nawet jego geniusz, i właśnie jego, przywrócić już nie zdołało. Ostatnim czynem geniuszu było przeprowadzenie rozbitków przez Berezynę. Jego tylko przytomność, zabijająca zimna krew, rozpędliwość i odwaga myśli — mogły dokazać tego, co zapisała kronika strasznych tych trzech dni, od 26-go do 28-go listopada, zwłaszcza trzeciego. Przeprawa skończyła się dopiero 29 wraz z przejściem, z rana tego dnia, ostatniego Francuza z tylnej straży Victora.

Cesarz przenocował w Mołodecznie i dnia 4 grudnia wyruszył do Wilna. Przed odjazdem na kominku napisał: »Napoléon premier«. W kilka dni po nim w tymsamym pokoju nocował feldmarszałek Kutuzow — i złośliwie do »premier« dopisał »et dernier«. Miał do tego zupełne prawo, ale słowo jego nie było proroczem. Geniusz Napoleona miał żyć i działać jeszcze za grobem — i za grobem jeszcze uświetniać i unieszczęśliwiać Francyę. Legendzie tylko, opromieniającej ten geniusz, winien jest wyniesienie się swoje synowiec Napoleoński, syn Hieronimów. Oba napisy widziano jeszcze po roku 1831.

Dnia 4 grudnia, otoczony »świętym hufcem«, wjechał Napoleon do Smorgoń. Tu postanowił wykonać zamiar, od dwóch tygodni żywiony, i opuścić armię. Zwołał marszałków i oznajmił im swe postanowienie. Kilku zdobyło się na odwagę odradzania tego kroku; ale ostatecznie w większości tej rady nie widziano nic lepszego nad odjazd cichy, potajemny. Napoleon pierwszy raz przyznał się tu do popełnionych błędów. »Wszyscyśmy je popełniali« — zawołał. O zmroku już wieczornym wyruszył zwycięzca z pod Marengo i Austerlitz do Miednik. Siedział razem z nim Caulincourt, na koźle nieodstępny mameluk Rustan i kapitan Wąsowicz, który mu również do ostatnich chwil panowania towarzyszył. Do drugich sań wsiedli Duroc i Lefèbvre-Desnouettes, któremu korpus polski zawdzięcza utratę jedynych kilku dział, wziętych przez Rosyan w boju. Teraz już ze »świętym hufcem« swoim musiał się Napoleon rozstać. Droga była bardzo niebezpieczną; generał Czaplic zajmował już Miedniki. Na eskortę przeznaczono jazdę polską — z korpusów francuskich — stu ludzi pod dowództwem pułkownika Stokowskiego. Niedoszły władca świata powiedział do nich: »Pamiętajcie, iż gdyby nieprzyjaciel napadł na nas i dotarł do mojej osoby, żebyście mnie lancami swojemi przeszyli. Niech zginę z ręki swoich raczej, niż gdybym się miał dostać do niewoli«. Na to odpowiedzieli zuchy: »Zanim dotrze, już żaden z nas żywym nie będzie« — i dotrzymali słowa.

Wówczas już mróz dochodził do 28 stopni. Wyruszono w drogę. W okolicy roili się wciąż Kozacy. Pod Oszmianą oddział z kilku set koni obskoczył Napoleona. Ocaliła go jazda polska, ale w Miednikach, ze stu na apel zbrakło siedmdziesięciu: była to cena życia cezara. Do Miednik nadciągnęła wraz z księciem Feltre, złym duchem Napoleona, dywizya Loisona, ściągnięta od Macdonalda, i spłoszyła słabszego liczebnie generała Czaplica. Cesarz był już teraz bezpiecznym. Z Miednik manowcami przewiózł Napoleona obywatel Falkowski. Do Wilna przyjechał cesarz w nocy z dnia 6 na 7 grudnia, ale, nie zatrzymując się, pomknął dalej do Kowna. Tu stanął dnia 7 grudnia. Miał nadspodziewanie dobry humor. Dowódca artyleryi i inżenieryi miejscowej, włoch, Periola, znany cesarzowi z dawnych jeszcze czasów, dziwił się jego wesołości. Wesołość ta jednak pokrywała tylko smutne rozmyślania. Teraz już przyznał się, że w języku zwykłych śmiertelników, niegeniuszów, zrobił głupstwo. »Niedobrze tu — mówił do włocha — lepiej wracaj do Francyi, *gdzie powinniśmy byli wszyscy zostać*«. Był dowcipnym i ze służbą. Rzucając jej dwanaście luidorów, powiedział: »Chcielibyście codzień mieć takiego gościa«. W Maryampolu wybierał już drogę przez Prusy; ale mu ją odradził miejscowy poczmistrz, Mikulicz; Cesarz usłuchał i dał się Mikuliczowi powieźć do Warszawy.

W zupełnem *incognito* przybył Napoleon dnia 10 grudnia, pomiędzy 12-stą a 1-szą w południe, na Pragę. Przez Warszawę przeszedł piechotą do Hotelu Angielskiego. Wprowadzono go do zimnej izby, w której zasmolona dziewczyna, już w obecności wielkiego mocarza, rozdmuchywała ogień z syczącego od wilgoci drzewa. Zaraz po przybyciu posłał Caulincourta po swego ambasadora warszawskiego, arcybiskupa Pradta. Ten zastał jeszcze Napoleona siedzącego w swojem futrze i butach podróżnych. — »Ach, pan ambasador« — rzekł cesarz z uśmiechem. Pomógł mu arcybiskup ściągnąć futro, wyrażając współczucie dla niedoli. Nie chciał wszakże tego słyszeć, wierzący jeszcze w swą wielkość, cezar. — »No, cóż tu porabiacie w tym kraju?« — zapytał. Zawiązała się rozmowa. Ambasador przeciwko zamysłom cesarza postawił ten niedostatek, w jakim znajdowało się Księstwo, wyżyłowane już przez niego do cna. — »Są zrujnowani« — rzekł. — »A któż ich zruinował?« — »Zruinowało ich to, co już od szeregu lat spełniają, nieurodzaj przeszłoroczny i systemat kontynentalny«. Wiadomości o ofiarach poniesionych przez Księstwo uderzyły Napoleona, jakby się ich nawet nie domyślał. »Nie widziałem ich w tej kampanii« — odpowiedział, gdy mu Pradt wspomniał o wojsku, którego było 82000, ale tylko 30000 w korpusie piątym, reszta zaś po rozmaitych innych, i nic dziwnego, że ich widzieć nie mógł. — »Czego chcą Polacy? Zostać Prusakami? A dlaczegóżby nie Rosyanami?« — dorzucił gniewnie. Gdy mu arcybiskup wspomniał o objawiającej się już chęci powrotu pod panowanie pruskie, Napoleon przerwał rozmowę rozkazem: »Utworzyć dziesięć tysięcy kozaków polskich: lanca i koń wystarczą«. Ci-to kozacy mieli odeprzeć toczącą się już lawinę! Kazał sobie potem cesarz przyprowadzić Stanisława Potockiego i Tadeusza Matuszewica, prezesa ministrów i ministra skarbu. Około trzeciej wrócił z nimi arcybiskup. Napoleon, już po obiedzie, wpadał jakby w majaczenie. Wtedy-to wyrwało mu się owo historyczne słowo, zamienione dziś w przysłowie wszystkich narodów: »*Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas*«. Powtórzył je kilka razy w ciągu dalszej rozmowy. Lękał się śmieszności, a nie chciał jeszcze powiedzieć prawdy.

Dnia 6 grudnia (rocznica 2 grudnia 1804) obchodziła Warszawa z hukiem rocznicę koronacyi. Tegosamego dnia, kiedy się Napoleon wkradał do Warszawy, obwieszczano po mieście wiadomość o wygranej wielkiej bitwie, o 10 tysiącach niewolników, 12 działach i 8 chorągwiach zdobytych. Fabrykantem tych zwycięstw był Bassano w Wilnie. Potocki, nazwany przyjacielsko: »Monsieur Stanislas«, usłyszał z ust cezara taką przechwałkę: »Armia przepyszna. Mam stodwadzieścia tysięcy ludzi... W Wilnie nasi się oprą. Jadę postarać się o trzykroć sto tysięcy ludzi... Wydam dwie, trzy bitwy nad Odrą, i w sześć miesięcy będę z powrotem nad Niemnem. Potrzebniejszy jestem na tronie niż na czele armii. Muszę pilnować Prus i Austryi«. I dalej zaczął się usprawiedliwiać i przechwalać, zwalając znowu wszystko na mróz. Dowiedzieli się słuchacze z własnych jego ust, że mu, jako środek walki z Rosyą, doradzano zniesienie niewoli chłopów: odrzucił tylko przez ludzkość. Na nalegania pozwolił dać Księstwu tytułem pożyczki około 3 milionów monety zdawkowej piemonckiej i około 4 milionów assygnat z kontrybucyi, ściągniętej przez Macdonalda z Estonii, Kurlandyi i Inflant.

Owych kozaków — późniejsze Krakusy — zalecił Napoleon teraz już ministrom: mieli ich formować. Dodawał odwagi, kazał lekceważyć nieszczęścia — i ta potęga jego mózgu dziwnie odbijała od powracającego ciągle: »*Du sublime au ridicule...*« Rozmawiał tak już od trzech godzin. Około 6-tej zerwał się do wyjazdu. Na serdeczne życzenia odpowiedział: »Nigdy nie czułem się zdrowszym. Gdybym miał dyabła za skórą, miałbym się jeszcze lepiej«. Potem wsiadł w sanki, które, wyjeżdżając z bramy, o małoco go nie wyrzuciły. Była godzina 6 wieczorem. Nie jechał, ale leciał. Dnia 12 grudnia był już w Głogowie, 14 w Dreznie, 16 w Moguncyi, a w nocy z 18 na 19 w Paryżu. O dwa dni wyprzedził go tu Dwudziesty Dziewiąty buletyn. Dalsze jego dzieje wykraczają już z ram naszych. Warszawa dopiero w dziewięć dni dowiedziała się urzędownie o przejeździe. Mówić nawet o nim nie pozwalano.

Armia, nad którą dowództwo zostawił Napoleon Muratowi, dowlokła się do Wilna 9 grudnia. Gdy ją następnego dnia policzono, okazało się wszystkiego — 4300 ludzi! Z dziesięciotysięcznej dywizyi Loisona, w ciągu kilku dni zmarzło *siedm ty-*

sięcy. W Wilnie czekały na rozbitków zapasy żywności na 4 miesiące, odzieży dla 50 000 ludzi, 9 milionów racyi — wódki i wina, trzydzieści kilka tysięcy karabinów i amunicya bardzo obfita. Ale już nie miał kto z tego korzystać, a generałowie rosyjscy i czasu już nie dawali. W skarbcu znajdowało się, według testamentowego historyka Bignona, przeszło 6 milionów. Wszystko przepadło. Na wzgórzach Ponarskich ostatecznie pozostawiono pieniądze, działa, powozy, amunicyę — i dążono nad Niemen. Szczątki korpusu piątego pociągnęły na Troki i Olitę — i na Boże Narodzenie stanęły w Warszawie. Francuzi dowlekli się do Gombina. Tak się skończyła straszna dla nas tragedya.

P. Falkowski doprowadza dzieje Napoleona do zupełnego upadku, idąc głównie za Thiersem. Rzucone na tło ich obrazy z życia ówczesnego pokolenia obejmują, prócz wojennej, także polityczną i obyczajową stronę zjawisk i czynów ludzkich. W pierwszej trzyma się autor Ostrowskiego i Morawskiego, i dobrze czyni; w drugiej — cennych pamiętników i listów kasztelanowej Nakwaskiej, Koźmiana, pamiętnika o Adamie Potockim i tradycyi ustnej. Do opowiadania przygód wojennych w odwrocie i później, posłużyły mu rękopiśmienne, oczekujące jeszcze wydania (jest tylko skrót), Pamiętniki Józefa Krasińskiego, zaznaczenia adjutanta księcia Józefa, Szumlańskiego — książka Sołtyka, Pamiętniki hr. de Laveaux. W spożytkowaniu źródeł, do których wypada zaliczyć Las Cases'a, Montholona, Gourgauda, Larreya, Bignona, Faina, okazał p. Falkowski staranność, oczywiście, nieprzekraczającą wymagań literatury pamiętnikowej, do jakiej książka jego należy. Przydałaby się lepsza, obfitsza chronologia w wydarzeniach wojennych. Świadek śmierci Poniatowskiego, jego adjutant, nazywał się, nie Bléchamp, ale »Déchamp«. Przy Małachowskim pod Borysowem, należało dodać imię »Kazimierz«; Stanisław dostał się był jeszcze 18 listopada do niewoli (w Dąbrownie). Nazwisko generała Partounneaux pisane jest: »Partounaux« lub »Partonnaux«. Trzeba mówić: »Smorgonie, Mołodeczno, Wołkowysk«. Bitwa pod tem miastem przypada na

dzień 14 listopada, obejmuje wszystkie rozprawy od 14—16 tegoż miesiąca, łącznie z rozprawą pod Izabellinem (ob. buletyny korpusu austryackiego w »Gazecie Warszawskiej«, 1812, grudzień). W opisie śmierci Poniatowskiego (str. 439 squ.) nie uwzględniono książeczki: *Dzień ostatni życia...* (Warszawa 1819). Dodana do *Obrazów* charakterystyka księcia jest dobrą. W wysłowieniu, zupełnie porządnem, rażą takie wyrazy, jak »przykaz«, takie wyrażenia jak »wewnętrzne przekonanie« — jakgdyby mogło być zewnętrzne; autor chciał powiedzieć: »głębokie«. Wogóle usterki nieliczne. Opracowanie książki staranne, opowiadanie bardzo zajmujące — i pożytek dla czytelnika rzetelny.

XVII.

ANGLICY W IRLANDYI

(1883).

I.

Zanim do Erynu wdarli się Anglicy, wprzód już gospodarowali w nim Normannowie, przez kronikarzy »Ostmanami« zwani, z Danii i Norwegii przybyli. Zdobycze skandynawskie sięgają VIII wieku; główniejsze miasta wybrzeża wschodniego, jak Dublin i Wexford, Normannom zawdzięczają swój początek. W głębi wyspy istniały niepodległe społeczeństwa celtyckie Irów; była narodowość, ale nie było narodu; były gminy i pokolenia, ale nie było państwa. Na sześć głównych królestw kraj się rozpadał; cztery z nich zachowały swe nazwy w czterech dzisiejszych prowincyach; dwiema pozostałemi były królestwa Meath i Tara — to ostatnie najpoważniejsze ze wszystkich i czasu wojny wykonywające hegemonię nad innemi. Wojna wewnętrzna w Irlandyi nie ustawała nigdy; smutny ten stan odbija się w pieśniach Ossyana. Naród rozbity nie mógł stawić czoła swym wrogom, i tylko słabości liczebnej drużyn skandynawskich zawdzięczać musiał to, że podbój, pomimo kilkowiekowego trwania swego na wybrzeżach, nie ogarnął całej wyspy. Największym bohaterem historycznym tej epoki jest Brian, poległy w r. 1014 pod Clontarfem.

Najazd angielski przypada na wiek XII. Na dnie nieszczęść Irlandyi znajduje się — Piękna Helena. Król Leinsteru, Diermait, porwał był żonę O'Rourke'owi, a gdy jej nie chciał zwrócić, złożono go z tronu. Wtedy uciekł do Anglii i wezwał pomocy Henryka II. Anglik na to tylko czekał; już w roku pańskim 1156 wyrobił był sobie prawo zwierzchnie nad wyspą u papieża Adryana IV. Teraz, korzystając ze sposobności, posłał do Irlandyi dwóch swoich baronów: Fitz-Geralda i Fitz-Stephena, i kazał im przywrócić zdrajcę na tron. Pomoc ta nieodrazu pomogła: w roku następnym musiał sobie Diermait sprowadzić nowego barona, ale ten już osadził go na tronie, za co otrzymał koadjutoryę na królestwo. Przybył potem sam Henryk i znaczną część wybrzeża wschodniego rycerstwem i osadnikami angielskimi zajął. Uznał władzę jego król Munsteru. Na północy trzymał się niepodlegle O'Connor; najazd angielski nie tknął również Connaughtu. Stało się to wszystko pomiędzy rokiem 1168 a 1172.

Tak Anglia, postawiwszy raz stopę swą na ziemi irlandzkiej, wryła się w nią już nazawsze. Czas przynosił coraz-to nowych najeźdźców i wytwarzał z nich osadników i panów. W XIII w. wytworzyło się już w Irlandyi osobne społeczeństwo angielskie, żyjące w formach swych macierzystych. Henryk wprowadził feudalizm i *great jury*; w r. 1253 istniał już parlament [1]. Pierwsze wieki napływania Anglików nie były wcale groźnemi; gdyby Irlandczycy posiadali większą spoistość, mogli byli, jeśli nie zgnieść, to roztopić ich w sobie. Przybysze zaczęli już ulegać wpływowi tuziemców; bujna narodowość irlandzka powoli tłumiła obyczaj, mowę i umysłowość cudzoziemską. Dowodem niezaprzeczonym tego wynaradawiającego wpływu na Anglików jest statut Edwarda III z r. 1367. Z obawy o narodowość, król-organizator zakazuje tu osadnikom z Anglii mówić po celtycku, żenić się z Irlandkami, ubierać się według mody irlandzkiej, nawet strzydz brodę tak, jak ją strzygli odwieczni panowie wyspy.

Irlandczycy, jakkolwiek swobodni w głębi kraju, czuli dobrze niebezpieczeństwo rozszerzającego się osadnictwa, ale nie umieli zorganizować siły zbiorowej. Oglądali się na pomoc zewnętrzną, a gdy na początku XIV wieku bohater szkocki, Ro-

[1]) A zatem wcześniej, niż w Anglii, gdzie pierwsze jego zebranie się przypada na r. 1265.

bert Bruce wybił się na niepodległość, wezwali go do siebie, ofiarując koronę, aby im tylko dał tosamo, co własnej zapewnił ojczyźnie. Bruce przybył, ale nieszczęśliwe okoliczności rozwiały jego i Irlandczyków nadzieje. Pozostała więc Irlandya nadal pod nominalną władzą Anglii, jako kraj zależny wyłącznie od korony, prywatną niejako własnością królów angielskich będący. W Dublinie od czasów pierwszego zdobywcy rezydowali stale namiestnicy królewscy. Wojny Białej i Czerwonej Róży, zacięte walki z Francyą, wyniszczając Albion, odbierały mu siłę rozszerzania się nazewnątrz; a przeto i osadnictwo angielskie, aż do Tudorów, nie zrobiło wielkiego postępu: trzymało się tylko wybrzeży Ulsteru i Leinsteru; trzon wyspy nietkniętym pozostał. Po uspokojeniu Anglii Henryk VII pomyślał o wzmocnieniu władzy i w tym celu wysłał namiestnika Ployningsa, który, pomiędzy innemi, ograniczył atrybucye parlamentu irlandzkiego, do owego czasu zupełnie niepodległego (r. 1494).

Prześladowanie Irlandyi zaczęło się wraz z Reformacyą. Wzmocniona władza królewska, a tyrańskie usposobienie króla, rozgorzałe namiętnością społeczeństwo, państwo potrzebujące ujścia dla swych sił: wszystko to znalazło się w Anglii za Henryka VIII. W oczach tego szaleńca, grzechem pierworodnym było trzymać z papieżem; gdy więc tylko osadnicy angielscy przyjęli protestantyzm, a Irlandczycy wytrwali w wierze swych ojców, zaczęło się prześladowanie. Dopuszczano się go, na początek, środkami jedynie administracyi i wojskowości, bez prawodawczych jeszcze noży i toporów. Aby lepiej stwierdzić swe prawo do robienia tego, co robił, kazał się Henryk ogłosić królem Irlandyi. Parlament, z osadników złożony, pośpieszył z wykonaniem rozkazu, schlebiającego zresztą własnej jego próżności (dn. 23 stycznia 1542 r.). Popłynęła krew irlandzka; Anglicy, tłumiąc ruchy zbrojne, dostawali się coraz bardziej do środka kraju. Okrucieństwo łączyło się z chciwością; życie i mienie opierających się zbrojnie szło na łup najeźdźców. Spędzano właścicieli z gruntów uprawnych, a sprowadzano na nie kolonistów z Anglii i Szkocyi. Początek był zrobiony.

Zaledwie dziesięcioletnia reakcya pozwoliła odetchnąć Irlandczykom, kiedy spadło na nich ramię Elżbiety. Krwawy duch Trzydziestu Dziewięciu Artykułów zawisł teraz nad Erynem·

Katolicy musieli zerwać wszelkie stosunki z papieżem, złożyć przysięgę na wierność królowej, modlić się pocichu, nie obrażać Boga anglikańskiego biciem w dzwony, przykładać się do utrzymania kultu państwowego, a nawet poddać się obowiązkowi — co prawda, pozbawionemu odpowiedniej sankcyi — bywania w świątyniach protestanckich episkopalnych. Zniesiono klasztory; majątki kościelne zaczęto oddawać wyznaniu uprzywilejowanemu. W Irlandyi, równie jak w Anglii, nikt nie mógł zdziałać żadnego aktu cywilnego bez uznania królowej za głowę Kościoła Anglikańskiego. Administracya, cała w rękach protestantów, gorliwie pracowała nad zepchnięciem religii Irlandczyków na padół wyznania wzgardzonego, cierpianego tylko z łaski. Sam fanatyzm ludności protestanckiej nie pozwalał urzędnikom na łagodność.

Gniew i boleść zawrzały w nieszczęśliwym narodzie. Patryota O'Niell, znany pod nazwiskiem hr. Tyrone, dał hasło do zbrojnego powstania w roku 1594. Trzymało się ono przez lat kilka i takiej nabrało siły, że kiedy w roku 1599 Elżbieta przysłała ulubieńca swego, Essexa, ze znaczną na owe czasy armią dwudziestu kilku tysięcy ludzi, O'Niell zmusił go do zawieszenia broni. Zmiana dowództwa pogorszyła sprawę Irlandczyków, ale ją znowu wsparła polityka Filipa II. Dwa, wprawdzie niewielkie, korpusy hiszpańskie wylądowały na wyspie i połączyły się z powstańcami. Nieszczęściem, następca Essexa, Mountjoy, pobił zjednoczone siły w samą wigilią Bożego Narodzenia 1601 roku, pod Kinsale (na południo-zachodzie, nad morzem). Filip zniechęcił się i porzucił sprzymierzeńców; powstanie upadło; O'Niell dostał się w ręce Anglików (r. 1602).

Jakób I, wstępując na tron, zastał już całą Irlandyę zhołdowaną, wycieńczoną, zniszczoną, w wielu okolicach wyludnioną zupełnie. Zwycięski Mountjoy pochwalił się przed panem: »Zostawiłem ci tylko trupy i zgliszcza w Irlandyi«; ale kłamał, bo zostawił jeszcze ludzi żywych; zostawił prawie milion ludu, który klęski głębiej jeszcze nienawidzieć i silniej kochać nauczyły. Przestępców ukarano głównie konfiskatą majątków, a pod postacią takiej kary 600 000 akrów ziemi dostało się zwycięzcom. Protestancki Ulster z tego zaboru powstał. Przybysze założyli w tym czasie miasto Londonderry. Odkryty spisek Tyrconnella — spisek,

którego podobno nigdy nie było — dał sposobność do zabrania nowego pół miliona akrów ziemi.

Karząca sprawiedliwość Jakóba była tak wielką a tak głodną, że nie zadawalniała się odzieraniem Irlandczyków z mocy prawa kaduka w wojnie: kazał on jeszcze przejrzeć tytuły prawne własności i posiadania, i na tym interesie zarobił znowu 800 000 akrów. Sprzedaż ziemi dała skarbowi pieniądze, a Anglii osadników angielskich w Irlandyi: była więc korzyść podwójna. Ofiary angielsko-episkopalnego rozumu stanu, wygnane w góry za Elżbiety, teraz znowu, za Jakóba, wyganiano z gór i spędzano w doliny, gdzie były mniej niebezpiecznemi. Zabobonny obłudnik uwierzył w bajkę, że pewny opętany w Rzymie mówi wszystkiemi językami, tylko po irlandzku nigdy słowa jednego powiedzieć nie chce, a to dlatego, że i sam dyabeł mową irlandzką gardzi. I Jakób zaczął od tej chwili nienawidzić mowy Irlandczyków! Wnuk jego, Karol II, zamieniał gorliwie narodowe nazwy miejscowości w Irlandyi na angielskie.

Prześladowanie, systematycznie wszczepiane, rosło już i rozwijało się bez szczególnej opieki królów angielskich, a za namiestnictwa Strafforda, pomiędzy 1630—40 r., doszło do tego punktu, na którym łamie się już cierpliwość, odbiega roztropność, a rozpacz podaje broń do ręki. Synowie rodów ciężko pokrzywdzonych, a sławnych w dziejach Irlandyi: Roger Moore, Mac Guire i O'Neal, stanęli na czele powstania, które wybuchło dn. 23 października 1641 r. Z początku ograniczono się do terroryzmu i powstrzymywania gwałtów angielskich, ale pierwszy rozlew krwi irlandzkiej wywołał straszliwy odwet za wszystko, czego się dopuściła Anglia od Henryka VIII. Przeszło dwanaście tysięcy protestantów padło pod nożami rozwścieczonych dzieci Erynu. Okrucieństwem za okrucieństwo płacono; ale co dla Irlandczyków było tylko zmazaniem długu przeszłości, to dla Anglików musiało być zadatkiem na przyszłość, wzywającym do straszliwego obrachunku. Parlament, zajęty walką z królem, uczynił go za rzezie irlandzkie odpowiedzialnym, a wynosząc nienawiść do katolików na wysokość dogmatu państwowego, w dniu 8 grudnia 1641 r. wydał hasło: *No popery in Ireland.* (Precz z Papiestwem w Irlandyi). Tego tylko było potrzeba dowódcom wojsk, wysłanych przeciwko powstańcom, które razem

z milicyą miejscową doszły do bardzo poważnej liczby 50 000. O utrzymanie tej chmary nikt troszczyć się nie potrzebował. Obliczono z góry, że obszar ziemi przestępnej, do przestępców należącej, wyniesie półtrzecia miliona akrów; ustanowiono jego wartość i wypuszczono akcye: chciwość je rozchwytała i skarb zyskał odrazu fundusz potrzebny na »poskromienie buntu«. Wojna domowa nie dozwoliła rozwinąć należytej energii, a sympatya namiestnika Ormonda dla Karola II obezwładniała ramię parlamentu i Indipendentów.

Na nic się nie przydali umyślni komisarze, pilnujący nietylko sprężystości w działaniach wojennych, ale i dokładnego niszczenia dobytku, palenia dojrzałego zboża na polach irlandzkich, a tratowania zasiewów; nic nie pomogły napady na wsie i miasteczka i wyrzynanie w pień całej ich ludności: powstanie trwało ciągle; siły angielskie rozdrabniały się i słabły — i po ośmiu latach walki musiano urządzić nową wyprawę na Zieloną Wyspę. Jakgdyby na ironią, w przeddzień ścięcia Karola I, d. 29 stycznia 1649 r., poza plecami Parlamentu Ormond zawarł ugodę z powstańcami, którym przewodził wtedy waleczny O'Neal. Lawina rewolucyi uniosła ze sobą i ugodę, i tych, którzy ją zawarli.

W lecie 1649 roku przypłynął do portu dublińskiego *uproszony przez Parlament* Cromwell, a z nim 12 000 wojska posiłkowego. Powitany przez swoich, odpowiedział im pokornie, ze spuszczonemi w ziemię oczyma, że przybywa tylko po to, aby rozszerzyć panowanie Ewangelii, powrócić swobody i dobra wydarte. W parę tygodni później oblegał już Droghedę nad Morzem Irlandzkiem, główne siedlisko powstania, miasto bardzo warowne, od trzech lat nieustannie fortyfikowane. W Irlandyi uważano warownię tę za tak silną, że kiedy upadła, powszechny był głos: »Ten Cromwell piekło samo chyba zdobędzie!« — a jednak upadła [*]). W zdobytem mieście zaczęło się dopiero »panowanie Ewangelii«. Kto się głęboko nie ukrył, ten z życiem nie uszedł; zabijano zbrojnych i bezbronnych, walczących i spokojnych, mężczyzn i kobiety; nie przebaczano starcom, ani dzieciom; rozniecіwszy pożogi, niemowlęta w oczach matek wrzu-

[*]) Wzięta szturmem dn. 14 sierpnia.

cano w ogień, nadziewano na piki, bawiono się niemi, jak piłkami. Massę niedobitą władowano na okręty i posłano do Ameryki. Sceny hańbiące ludzkość powtórzyły się w Wexfordzie, na południowo-wschodnim krańcu wyspy. Dwa te ciosy wystarczyły do zadania śmierci powstaniu. Przestrach padł na drobne oddziały i załogi po miastach: latające kolumny angielskie nie pozwoliły im łączyć się pomiędzy sobą i tępiły je bez miłosierdzia, mszcząc się i na spokojnej ludności. W środku roku 1650 powstanie było już z gruntu wyrwane; wyplenienie szczątków pozostawił Cromwell zięciowi swemu, Iretonowi, a sam z chwałą do Anglii powrócił. We dwa lata później ucichło wszystko i mógł już Parlament w dn. 26 września 1652 r. wygłosić, zgodnie z rzeczywistością, że spokój w Irlandyi zupełnie już przywrócony. W dziejach cierpiącego narodu nastała ta uroczysta cisza, o jakiej Tacyt powiedział nieśmiertelne swoje słowa: *Ubi solitudinem faciunt, pacem appellant* (Tam, gdzie robią pustynię, mówią, że zrobili pokój). Pół miliona Irlandczyków padło w bojach, rzeziach, lub od głodu, w ciągu jedenastu lat powstania; — była to trzecia część ogółu ludności w Irlandyi w środku XVII w. Sto tysięcy nieszczęśliwych rozpierzchło się po całym świecie; niejeden osiadł wtedy w Polsce.

Nad pozostałymi rozległo się zwykłe słowo siły nad prawem: *Vae victis!* Najspokojniejszy nawet musiał oddać połowę swych posiadłości, i najmniej winny szedł pod sąd doraźny, a ziemię jego na skarb zabierano. Los nie pozwolił zginąć O'Nealowi w boju. Owa arytmetyka londyńska okazała się jeszcze zbyt skromną: wydarto Irlandczykom nie półtrzecia, ale trzy miliony akrów ziemi, t. j.: więcej niż połowę tego, co jeszcze mieli przed Cromwellem. Naród cały uznano za jednę trzodę niewolników, w której panować miała równość wspólnego nicestwa, wolność wspólnego cierpienia i śmierci. Wytępienie Irlandczyków stało się teraz celem polityki Republikanów. Całą ludność bezrolną i bezdomną, wszystkie gromady wiejskie i miejskie, wobec praw angielskich występne, a wczas niewyrznięte, wszystkich zamieszkałych w okolicach przeważnie angielskich i szkockich — głównie w Ulsterze — pospędzano z całej Irlandyi do Connaughtu, pełnego skał, bagnisk, wydm i nieużytków. Rzekę Shannon uznano za linię odgraniczającą prawnie niewolników

od panów: kto się na lewym brzegu tej rzeki ukazał, miał być imanym, a gdyby się opierał, wolno go było, jak psa, zastrzelić. Wyznawanie katolicyzmu w trzech prowincyach pozostałych było objawem nieprzyjaźni, sprzysięganiem się przeciwko państwu. O nawracaniu wszakże na anglikanizm nie pomyślano ani wtedy, ani też nigdy później.

Podobnego wypadku, jak to wygnanie kilkukroć stu tysięcy Irlandczyków za Shannon, nie było od czasów starożytnych. Raz zasmakowawszy we krwi i ucisku, Anglicy nie wiedzieli już jak się nasycić. W r. 1655 porwali z łona rodzin irlandzkich dwa tysiące chłopców i dziewcząt i sprzedali do świeżo zajętej Jamaiki. Zaprawdę, historya przedstawia nam tak często ludzi i całe narody pijane od namiętności, że musimy nieraz zadawać sobie pytanie: czy można jaką odpowiedzialność zwalać na ślepotę? Bez wątpienia, ten, kto się oślepił, nie widzi, ale odpowiadać musi za to właśnie, że się sam oślepił. Nie chcesz być człowiekiem odpowiedzialnym a występnym: zostaniesz nieodpowiedzialnem, ale dziko rozszalałem zwierzęciem. Środka niema.

II.

Zrobiwszy już tyle, Anglicy z rozpaczą spostrzegli, że cała ich ludność protestancka, uprzywilejowana, opływająca w dobrobyt, namaszczana wszelkiemi wonnościami prawa — wynosi zaledwie ósmą część [3]) bitej, mordowanej, wynędzniałej ludności irlandzkiej; mieli jednak nadzieję, że, zabijając dusze w tych ciałach, samą już siłą czasu przewagę na swoję stronę przechylą. Tymczasem upadła rzeczpospolita, w której szczerze republikańską nie była nawet garstka ludzi, otaczająca Cromwella, ani on sam, on, co po koronę sięgnął i przez roztropność tylko jej nie wziął. Restauracya r. 1660 ulżyła Irlandczykom ciężaru prześladowania, ale nie zmieniła im nic w prawach, w położeniu społecznem i politycznem. Pomimo zachcianek sym-

[3]) Przeszło 100 000. Ogół ludności przed r. 1641 mógł wynosić najwięcej 1 500 000. Do r. 1660 ubyło 600 000. W r. 1672 miało być około 1 100 000. Przez lat 30 od restauracyi przyrost musiał być bardzo słabym.

patycznych dla katolicyzmu, Karol II, człowiek słabego umysłu i charakteru, dbając o samego siebie, nic dla katolickiego Erynu nie zrobił. Nawet ustanowione w całem państwie komisye dla zwrotu dóbr wydartych katolikom musiały zaprzestać swej działalności; okazało się bowiem, że chcąc powrócić własność skrzywdzonym, trzebaby całemi stadami wypędzać krzywdzicieli: a na to znowu nie pozwalał egoizm narodowy. Wymożony na Karolu II w r. 1673 *Test Act* wypowiedział nową walkę sumieniom Irlandczyków i nazawsze zamknął im wszelkie urzędy. Karol sam rozdawał ziemię irlandzką swoim ulubieńcom i synowi naturalnemu. Sto lat takiej praktyki zwaliło na zubożały naród 120 000 f. st. corocznego ciężaru, do którego dodać potrzeba jeszcze ogromną na owe czasy pensyę namiestnika, 25 000 f. st. Jerzy I wyposażał swoje kochanki, przywiezione z Hannoweru (hr. Kielmansegge), gruntami, wydartemi Irlandczykom, którzy, odepchnięci od własnej ziemi, odsadzeni od szkół, pozbawieni możności pracowania na chleb, tułali się po pustkowiach i lasach, marli często przy drogach, a ograniczeni do zwierzęcego tylko trwania, w lichych swoich siedzibach zapadali w coraz głębszą ciemnotę i nędzę.

Panowanie Jakóba II sprowadziło tylko nowe nieszczęścia. Wypędzony przez Anglików, a zachęcony przez Tyrconnella, namiestnika Irlandyi, były król postanowił z pomocą Irlandczyków i przez nich odzyskać tron. Restauracya wchodziła w plany Ludwika XIV: dał więc gościowi swemu flotę pod rozkazy i 5 000 ludzi. Dnia 12 marca 1689 r. Jakób wylądował na wybrzeżu południowem, w Kinsale; przy pomocy ochotników irlandzkich ruszył w głąb kraju, wypłoszył i pospędzał Anglików z wyspy, tak, że im tylko Londonderry na północy, a poniżej w Ulsterze, Enniskillen pozostało; pierwsze z tych miast obroniło się, jedynie dzięki zapałowi i energii duchownego, Walckera. Początek był świetny. W maju 1689 r. zebrał król parlament w Dublinie i zajął się restytucyą. Katolicy odetchnęli; odzyskali prawo do życia, odzyskali posiadanie 2 400 majątków ziemskich, większych i mniejszych. Ale słońce na chwilę tylko wyjrzało było z za chmur. W czerwcu 1690 r. Wilhelm III wylądował pod Droghedą, szybkiemi obrotami zaskoczył przeciwnika i rozbił do szczętu. Zwycięztwo to odniósł dn. 1 lipca 1690 r. nad rzeką

Boyne, w pobliżu wspomnianego miasta. Na pamiątkę tryumfu sterczy dziś jeszcze nad Droghedą wysoki obelisk.

Jakób uciekł, a powstanie zamknęło się w Limericku, który, po długiem oblężeniu, kapitulował dopiero dn. 2 października 1691 r. Wilhelm zapewnił w tej kapitulacyi wszystkim Irlandczykom swobodę wyznania i powrót do stanu za Karola II, a oficerom i żołnierzom wojska powstańczego — życie i własność. Parlament, nie zważając na ratyfikacyę przez króla i królową, obciął prawa, skonfiskował znowu milion akrów czterem tysiącom przestępców, i jeszcze za warunek *sine qua non* takiej względności — mógł przecież zabrać i pozostały milion [4]) — postawił wyłączenie katolików z Parlamentu Dublińskiego. Ciało to, duchem anglikańskiej ortodoksyi przyjęte, samo teraz zaczęło sypać nowe wały ochronne przeciwko narodowości i religii Irlandczyków. Doświadczenie nauczyło tych prawodawców, że wygnanie całego prawie narodu za Shannon było tylko głupstwem tyranii, któremu sama natura ludzka nie pozwoliła się utrwalić. Za Karola II, a bardziej jeszcze za Jakóba II, biedny lud rozlał się napowrót po całej wyspie. Widząc tedy niemożność zamknięcia go nanowo w więzieniu fizycznem, postanowiono zamknąć go, ale już na wieki, w więzieniu prawodawczem. Jest to nazwa najstosowniejsza dla ogółu tych rozporządzeń, które wychodziły aż do środka XVIII wieku, bądź z samego parlamentu w Dublinie, bądź z kancelaryi królów angielskich, głównie w latach 1691, 1693, 1698, 1699, 1700, 1703, 1725 i 1745. Fundamentem ich jest sławne rozporządzenie z jedenastego i dwunastego roku panowania Wilhelma, nazywane *Act for preventing the further growth of popery* (Akt zapobiegający dalszemu wzrostowi papieżnictwa). Na podstawie największych powag, na jakich tu oprzeć się można, mianowicie

[4]) Tyle tylko przyjmuje Beaumont w klasycznem swojem dziele: ***L'Irlande sociale, politique et religieuse.*** Hallam *(C. H. of E.* III, pag. 290) nie przypuszcza, aby katolicy irlandzcy w końcu XVII wieku mogli posiadać więcej nad $^1/_7$, a najwyżej $^1/_6$ ogólnej przestrzeni — oczywiście, gruntów uprawnych. Irlandya ma obszerności 20 mil. akrów (ok. 13 450 000 mórg nowopolsk.).

Blackstone'a i Hallama [5]), zbieramy wszystkie te *Penal Laws* w następujący obraz:

Wypędzeni są nazawsze, pod karą śmierci, po stwierdzeniu jedynie tożsamości osoby, w razie powrotu bezzwłocznie wykonać się mającą, wszyscy arcybiskupi, biskupi, prałaci, dziekani i wszelkiego stopnia dostojnicy Kościoła katolickiego, jako też wszyscy zakonnicy i zakonnice. Na przyszłość duchowieństwo katolickie ma się składać z samych tylko księży mszalnych, wciągniętych w regestra policyjne, przywiązanych do miejsca i tylko we własnych parafiach posługi duchowne spełniać mogących. Żaden ksiądz niezaregestrowany, żaden biskup katolicki lub inny dostojnik, mający prawo wyświęcania księży, wreszcie żaden zakonnik, nie może wstąpić na ziemię angielską; cudzoziemców nie wpuszczano lub wydalano, urodzonych pod panowaniem angielskiem oddawano w ręce kata. U każdego księdza katolickiego sędzia pokoju ma prawo zawsze, o każdej godzinie dnia i nocy, odbyć rewizyę i podobnież może go, kiedy zechce, wezwać do siebie na badanie. Żadnemu księdzu nie wolno utrzymywać szkoły, ani nauczać, nawet prywatnie, w domu czy za domem. Ksiądz, który sam przejdzie na protestantyzm, dostaje 20 f. st. (później 40 f. st.) dożywotniej pensyi; przeciwnie, ten, któryby namawiał wyznawcę Kościoła anglikańskiego do przejścia na katolicyzm, ma być powieszonym. Karze śmierci ulega duchowny, dający ślub katolikowi z protestantką, lub *vice versa.* Za samo noszenie sukni duchownej poza świątynią spada na księdza kara wywiezienia z kraju.

Każdy katolik obowiązany jest denuncyować księży niezaregestrowanych, oraz wszelkie ich nadużycia. Za niedoniesienie o księdzu niezaregestrowanym, zakonniku lub dostojniku kościelnym, grozi ciężkie więzienie. Każdy katolik po wysłuchaniu mszy obowiązany jest powiedzieć sędziemu pokoju, kto ją odprawiał i kto jej słuchał; oporny płaci 20 f. st., lub idzie na rok do więzienia. Nie było wyjątku nawet dla rodziców, braci i sióstr księdza.

Świątynie katolickie są tylko domami modlitwy: żadnych zewnętrznych oznak kościoła, żadnych wież, dzwonnic, dzwonów

[5]) Hallam cały rozdział XVIII swego dzieła poświęca Irlandyi.

i śpiewów, dochodzących aż do ulicy. Niewolno zgromadzać się przed świątyniami; w cichości i trwodze przychodzić, w cichości i trwodze odchodzić potrzeba. Wszelkie procesye i odpusty uważa się za buntownicze zbiegowiska. Powyrywano i poniszczono krzyże, figury i obrazy przy drogach, a stawianie nowych obłożono srogiemi karami. Wszelkie opłaty, zapisy i darowizny na rzecz wyznania katolickiego pozbawione są mocy prawnej; ale za to katolicy mają obowiązek przykładać się do utrzymania Kościoła anglikańskiego, który żył nietylko z wydartych katolicyzmowi dziesięcin, ale i z innych jeszcze umyślnych opłat, ciążących na ogóle ludności, jak *Church-rate, Vestry-cess* i inne. Państwo niektóre tylko święta katolickie uznaje za dni uroczyste; robotnik wzbraniający się pracować w święto nieuznane przez Kościół anglikański ulega karze.

Jednocześnie (1698) z biskupami, dziekanami, zakonnikami i całą kategoryą osób wyjętych z pod prawa wygnano na wieki z Irlandyi wszystkich utrzymujących szkoły, lub trudniących się nauczaniem, i podobnież zagrożono im śmiercią, gdyby się ośmielili powrócić. Odtąd ma być jedna tylko szkoła: parafialna anglikańska [6]). Każdego katolika czeka kara dożywotniego więzienia za utrzymywanie szkół i nauczanie. Dziecko irlandzkie katolickie uczyć się może tylko w szkole angielsko-episkopalnej, ale nie może wejść ani do uniwersytetu, ani do żadnej innej szkoły wyższej; wystarczyć mu powinna oświata najniższa, dopóki sumienia swego nie zaprzeda. Ha, nie mogąc uczyć się w kraju, dziecko pojedzie zapewne po światło za granicę. Nie! Wszyscy, uczestniczący w kształceniu się poza krajem, tracą swe majątki ruchome i nieruchome, oraz wolność skarżenia do sądów, występowania w sądach, nabywania przez zapisy testamentowe, wreszcie sprawowania jakichkolwiek urzędów [7]).

Małżeństwa mieszane uznaje prawo za niezawarte, a wiążących się w nie karami okłada. Dzieci z takich małżeństw zrodzone uważa państwo za nieprawe [8]); zabiera je rodzicom

[6]) Zaprowadzono te szkoły parafialne w całej Anglii przez prawo z r. 1690.

[7]) *Fischel: Die Verfassung Englands,* str. 69. *The Law Dictionary* ed. Tomlins (London 1810) wyraz *Papists.*

[8]) Fischel, str. 70.

i wychowuje w protestantyzmie. Po śmierci rodziców tylko protestant może być opiekunem nad dzieckiem katolickiem. Jeżeli ojciec przed śmiercią nie wskazał opiekuna, wyznacza go sam urząd. Starszy syn, którzyby przeszedł na protestantyzm, staje się odrazu właścicielem całego majątku ojcowskiego i może skarżyć ojca do sądu, aby powiedział: ile ma; czy powie, czy nie, ojciec od chwili apostazyi syna jest tylko rządzcą własnego swego mienia pod nadzorem sądu. Z angielskiej *testamenti factio activa* nie korzystają ojcowie irlandzcy; *Penal Laws* ścigają wszelkie symulacye, pod któremi kryć-by się mogły majoraty, i nakazują dzielić majątek w równych częściach pomiędzy wszystkie dzieci.

Prawo własności do ziemi nabyć może tylko ten, kto wykona przysięgę na wierność i supremacyę religijną króla, a wyprzysięże się transsubstancyacyi i czci świętych: dlatego Irlandczycy, nieuznający supremacyi a zatopieni w błędzie fałszywej czci, nie mogą nabywać ziemi na własność. Dozwala się im tylko dzierżawy, nie dłuższej wszakże od 31-letniej; cena zaś dozwolonej musi wynosić koniecznie dwie-trzecie dochodu, jaki z danego gruntu ciągnąć-by mógł sam właściciel. Wszelka dzierżawa tańsza ulega zaskarżeniu pierwszego lepszego poddanego J. K. M. i może być unieważnioną przez sąd. Do własności ziemskiej można dojść tylko przez dziedzictwo; jeżeli się ma pieniądze, niewolno ich nawet wypożyczyć na hypotekę wiejską. Katolik nie może nabyć od protestanta żadnej własności nieruchomej, ani za pieniądze i wogóle pod tytułem obciążającym, ani sposobem zapisu lub darowizny.

Takie warunki do życia ma człowiek, chrześcijanin, ojciec rodziny, posiadacz pewnego mienia. Jakież teraz zawody otwierają się przed nim? Przedewszystkiem żaden Irlandczyk nie zostanie adwokatem lub notaryuszem; niewolno mu sprawować urzędów w gminie, municypium, hrabstwie i państwie, w służbie bądź cywilnej, bądź wojskowej, na lądzie czy na morzu. Prawa jego do pracy jasno się określają: na wsi może być dzierżawcą, ekonomem lub parobkiem; w mieście — wyrobnikiem, kupcem, rzemieślnikiem, właścicielem domu i kapitalistą albo — żebrakiem. Wzbrania mu wszakże prawo zajmować się wyrobem lub sprzedażą broni i prochu; samo posiadanie tych

przedmiotów uważa się już za wypadek karygodny. Nigdzie, ani na wsi, ani w mieście, niewolno Irlandczykowi trzymać w służbie protestanta. Jeżeli nie jest płóciennikiem, niewolno mu mieć więcej nad dwóch uczniów w rzemiośle. W większych miastach portowych nie ma prawa mieszkać żaden katolik, jeżeli nie płaci mniej niż 2 f. st. komornego na rok i nie jest przytem rybakiem, marynarzem lub wyrobnikiem.

Konie nawet podzieliło prawo na katolickie i anglikańskie. Każdy koń droższy nad 5 f. st., będący własnością katolika, ulegał konfiskacie; jadącego na takim koniu mógł każdy ściągnąć z niego i, zabierając zwierzę zakazane, dać w zamian swe własne. W ten sposób protestanci bez trudu dochodzili do dobrych koni.

Duch prześladowczy objawia się nakoniec w rozporządzeniu, które wszystkie konie Irlandczyków poddaje nieustającej, chwilowo tylko wstrzymywanej, rekwizycyi, a posiłkowo tylko ciężar rekwizycyjny zwala na protestantów. Tegosamego rodzaju jest inny znowu przepis, który Irlandczyków w danem hrabstwie czyni współodpowiedzialnymi za kradzieże i rozboje w granicach hrabstwa spełnione.

A przytem wszystkiem, gnębiąc naród i jego jednostki, lekkomyślnie ubożono kraj najnierozumniejszą polityką handlową i ekonomiczną. Na przełomie XVII i XVIII wieku wysokie cła i opłaty zabiły zupełnie piękny przemysł sukienniczy Irlandyi; w kilkanaście lat później powstrzymały rozwój przemysłu płóciennego, którym kraj ten dziś jeszcze słynie po świecie. Licha zazdrość wydawała z siebie liche prawodawstwo. Towary z Ameryki nie mogły iść wprost do Irlandyi, ale musiały pierwej zameldować się Anglikom we własnych ich portach. Od czasów Karola II Irlandczycy nie mogli prowadzić handlu z koloniami na własnych okrętach. Nie darowano nawet rolnictwu, i przygniatano je zakazami i rozkazami, niedozwalającemi mu się należycie rozwijać.

Dodajmy do tego, że *Habeas Corpus Act* od początku swego w roku 1679 aż do r. 1782 nie miał żadnej mocy w Irlandyi; że parlament irlandzki składał się z samych protestantów, a od r. 1727 i przez nich samych tylko był wybierany; że przez całe panowanie danego króla nie zmieniał się w swym składzie; że sędziowie irlandzcy byli zawsze odwołalnymi a członkowie

parlamentu dawali się przekupywać parostwami i pieniędzmi: a będziemy mieli wnętrze tego więzienia, w którem żyć musieli Irlandczycy od Wilhelma III aż do pierwszych brzasków Rewolucyi Francuskiej. Przy takiem prawodawstwie, pod takim rządem, musiała dojść Irlandya do zupełnego upadku umysłowego, społecznego i ekonomicznego. Stan taki siłą krasomówstwa swego zwalił na sumienie Anglii Edm. Burke w tej jeszcze epoce, kiedy umiał patrzeć głęboko w stosunki publiczne i wzbijać się ponad nędzne interesa stronnicze i ogłupiającą pychę narodową. Tak jest: upadek był wielki, dorównywający prześladowaniu, które, wolniejąc nieraz w rzeczach religijnych, w społecznych jednak, świeckich, było ciągle bez miłosierdzia wykonywanem.

Ludność, pozbawiona własnych szkół, nawet najniższych; wygnana z własnej ziemi; niemająca prawa ani modlić się, ani uczyć, ani myśleć, ani pracować; odsuwana niekiedy nawet od zawodu tragarzy; systematycznie trzymana na najniższym poziomie życia: ta ludność, prawdziwie wyklęta przez prawo i zamieniona w paryów, dokazała jeszcze wiele, że ją koniec XVIII w. zastał na takim przynajmniej stopniu uzdolnienia cywilizacyjnego i żywotności, jaki zaznacza Historya. Irlandczyk pozbywał się nawet mowy ojczystej, wypieranej coraz bardziej przez język angielski od brzegów ku środkowi, ale nie pozbywał się swej indywidualności zbiorowej, nie przestawał kochać swego wyznania, swej przeszłości, swego uspołecznienia, własnych swoich form życia, które mogły być niższemi od angielskich, ale stały wiernie na straży ducha i charakteru. Na początku XIX wieku dziesiąta może tylko część ogółu ludności [9]) używała mowy swych ojców, a parę tysięcy zaledwie było takich, którzy umieli dobrze pisać po irlandzku; ale w końcu XVIII wieku, gdy potrzeba było stanąć przeciwko Anglii, 4-ta część ogółu ludności męskiej odrazu, jakby moralną siecią, pokryła całą wyspę. Nie zabiły zatem ducha ani owo wypędzenie za Shannon, ani okrutne *Penal Laws*, ani wogóle cywilizacya i karabiny

[9]) Wszystkiego w r. 1801 było w Irlandyi 5 milionów mieszkańców. Przeszło pół miliona odtrącić potrzeba na protestantów wszelkich odcieni; małoco więcej nad czterykroć sto tysięcy mówiło po irlandzku.

angielskie. Uczuciowej siły narodowości irlandzkiej — dziś niezawsze na dobre używanej — dowodzi świetnie epoka O'Connellowska, kiedy, naprzykład, na jeden meeting pod historyczny Clontarf pociągnęło w r. 1843 — siedmkroć stotysięcy ludzi!

III.

Przez dziewięćdziesiąt lat niewoli, od klęski nad Boyną, Irlandczycy trwali w zupełnem oderwaniu się, nietylko od własnych dążeń politycznych, ale i od duchowego rozwoju świata: dzierżawili ziemię, uprawiali i jedli kartofle; trudnili się handlem i rzemiosłami; szli na parobków i lokai do Anglików: i to było ich życie; ale w takiem życiu bez wstrząśnień potroili swą ludność [10]). Życie to wlokło się na najniższych poziomach. Wyjątkowi tylko, zdolniejsi, pracowali w literaturze, — w angielskiej, oczywiście, gdyż narodowej nie było — i odpadali od narodu. Nieodłączna od długotrwałego prześladowania apatya ogarnęła ogół. Nie drgnęły serca irlandzkie, kiedy w latach 1715 i 1745/6 Szkoci zrywali się do broni. Spokój panował w kraju, spokój i cisza, wołająca o pomstę do nieba, panowała w duszach. Dopiero około roku 1760 siła życia pierwszy raz się objawia; zawiązuje się bractwo patryotyczne *White-boys* (»Biali chłopcy« od białych koszul, w jakie się ubierali podczas nocnych swych wypraw) przeciwko wyzyskiwaniu dzierżawców przez lordów angielskich, a zwłaszcza przez ich komisarzy [11]), oraz surowym egzekucyom dziesięcin. Duchowieństwo anglikańskie w Irlandyi na niespełna trzykroć stotysięcy wyznawców posiadało 2 500 proboszczów, 4 arcybiskupów, 18 biskupów, milion f. st. rocznego

[10]) Według Wiliama Petty miała Irlandya w r. 1672 dzięki Cromwellowi, tylko 1 100 000. Zaledwie 1 300 000 mieszkańców było w roku 1700. Odtąd zaczyna się wzrost. W r. 1750 jest już 2 500 000, w r. 1785—4 200 000; w r. 1801 — 5 000 000, w r. 1805 — 5 395 466, w 1821 — 6 801 127. Do r. 1845 ciągły przyrost.

[11]) Panowie irlandzcy rzadko kiedy w kraju przebywali i zapracowali dobrze na nazwę »Absenters«, którą im nadano. — Według prawa z r. 1698 dzierżawa trwać mogła lat 31; ale w rzeczywistości nie trwała nigdy tak długo. Najpowszechniejszym był zwyczaj dzierżaw kilkoletnich,

dochodu z samych tylko dóbr, a przeszło 5 milionów funtów ogólnego uposażenia, przy wartości majątku kościelnego, podawanej na 15 do 20 mil. f. st. Można sobie wyobrazić, z jakiem sercem płacili katolicy irlandzcy dziesięciny duchownym protestanckim, mającym takie dochody. Biali Chłopcy umieli używać argumentów postrachu tak skutecznie, że niejeden wybieracz dziesięciny i dzierżawy wolał stracić pieniądz niż życie. Organizacya tego stowarzyszenia dowodzi już wielkiej sprężystości i odwagi w stowarzyszonych.

Po *White-boyach* nastali *Ribbonmeni* (»Wstęgowcy« — przepasani wstążkami), a później *Hearts of Oak* (»Serca z dębu«), pod tąsamą nazwą znani i w Ameryce, i wreszcie *Right-boys* (»Pachołkowie prawa«). Wszystkie te stowarzyszenia miały głównie tylko psychologiczne znaczenie dla narodu: obudziły go, zjednoczyły, natchnęły wiarą, wydobyły z niego energię. Naród potrzebował przejść przez takie ćwiczenie, bo dni jego ucisku były już policzone.

Po ustaniu wojen religijnych rozwój pracy, postęp oświaty, działanie dobroczynne wolnomyślicieli angielskich, takich umysłów otwartych, jak Shaftesbury młodszy, Chesterfield (namiestnik Irlandyi), Bollingbrocke, a głównie Swift, w późniejszej zaś epoce autor *Listów Juniusa* — w literaturze, a Grattan i Burke w parlamentach, wreszcie przenikający wszędzie wpływ Encyklopedystów Francuskich i szerząca się od środka wieku działalność wolnomularstwa angielskiego — ostudziły fanatyzm wyznaniowy i narodowy Anglików, a uwiklanie się Anglii w wielkie wojny w Europie, Ameryce i Azyi, wyczerpując zasoby i energię jej na zewnątrz, pozwoliło, i do pewnego stopnia, nakazało zerwać z systematem prześladowania wewnętrznego. Sami protestanci irlandzcy zaczęli przychodzić do rozumu. Od Jerzego III ustaje już krępowanie, zaczyna się rozluźnianie węzłów. Prawo z XIII i XIV roku tego panowania zmienia przysięgi *Oaths of Allegiance and Supremacy* w sposób taki, że katolik, nawet ksiądz, może już je wykonać. Tosamo prawo nadaje tym, którzyby wykonali nową przysięgę, prawo nabywania, na lat 61, nie więcej nad 50 akrów moczarów. Była to już wielka łaska.

nawet jednorocznych, ulsterskich. Uciskano przytem lud wysokiemi cenami i odmawianiem zwrotu wszelkich nakładów — o którym prawo milczało. Wychodzący dzierżawca zostawiał w gruncie nieraz połowę swego mienia i — zdrowia. W takich warunkach praca, wytwórczość rolnicza musiała być złą.

Najdzielniejszym, choć bezwiednym, sprzymierzeńcem Irlandyi były wybijające się na niepodległość Osady Amerykańskie. W r. 1777 spadła na Anglię hańba kapitulacyi w Saratodze; z roku następnego pochodzą rzeczywiste już ulgi w położeniu Irlandczyków. Siła w dół, prawo w górę! W r. 1778 lord Sackville zaproponował i wyjednał na Izbie Gmin uchylenie niektórych *Penal Laws*. Wrócono wtedy Irlandczykom możność czynienia zapisów testamentowych; zniesiono ohydny przywilej pierworodnych, przechodzących na anglikanizm, i wreszcie czas trwania dzierżaw podniesiono z lat 31 na 99 [14]).

W dwa lata później Anglia była już tak wycieńczona przez powstanie Osad Amerykańskich, z któremi niepotrzebnie walczyła, nie usłuchawszy przestróg Chatama, że namiestnik Irlandyi musiał wezwać ludność do utworzenia własnej, niezbędnej dla państwa, milicyi. Skwapliwie skorzystali z wezwania tego mieszkańcy Hibernii, protestanci i katolicy: w r. 1782 było już 40 000 zbrojnych. Oparty na tej sile, Parlament irlandzki dn. 19 lipca 1782 r. ogłosił się niepodległym. Nie było co robić: uprawniono tę samowolę przez akt *The final adjustment of 1782*. Wprowadzono jednocześnie (r. 1782) dalsze ulgi w obowiązującem prawodawstwie, znane pod nazwą Drugiej Emancypacyi Katolików. Zapewniono wszystkim nietykalność i prawa osobiste, zawarowane w *Habeas Corpus Act*; uświęcono na zawsze nierugowalność sędziów. Statut Jerzego III z XXI i XXII r. panowania pozwala stawiać kościoły i odprawiać nabożeństwa, wszakże jeszcze bez bicia w dzwony; znosi kary śmierci, deportacyi i więzienia, zawieszone nad księżmi i nauczycielami; daje wszystkim możność opiekowania się sierotami katolickiemi, nabywania wszelkiej własności przez kupno, zapis testamentowy

[14]) Ulgi te zawierają się w Statucie Jerzego III z XVII i XVIII roku panowania, wymierzonym przeciwko rozporządzeniom wspomnianego Statutu Wilhema. U Hallama i w *Law Dictionary* jest »*999*« lat.

lub darowiznę, wreszcie prawo uczenia się i nauczania [13]. Wtedy również zniesiono zakaz posiadania koni droższych nad 5 f. st. Umożliwienie własności ziemskiej wróciło wszystkim katolikom w Irlandyi prawo uczestniczenia w wyborach do Parlamentu; ale trzydzieści kilka lat potem jeszcze musieli oni czekać na prawo wyborów bierne.

Rewolucya Francuska przejęła Irlandczyków wielkim zapałem. Po odzyskaniu swobody ruchów przez dwie emancypacye poprzednie, gorętsze umysły zaczęły myśleć o zupełnem wyzwoleniu. Z rozwiązanej milicyi w r. 1791 wytworzyło się jądro sprzysiężenia, które kraj cały ogarnęło. Byli to *United Irishmen* (»Zjednoczeni Irlandczycy«). Nawet protestanci wchodzili do związku, którego założycielami i głównymi działaczami w nim byli: gen. Russel i Teobald Wolf Tone; obok nich odznaczyli się dwaj potomkowie królów irlandzkich: O'Connor i Fitz-Gerald, oraz Tomasz Emmet. Pod pokrywą zasad Rewolucyi szerzono ideę niepodległości; obejrzano się na Francyę i znaleziono gotową pomoc. Tak zwana Trzecia Emancypacya, z lat 1791 i 3. (Statuta z XXXI.-XXXIII r. p. Jerzego III) zburzyła pozostałe jeszcze przepisy prawodawstwa z r. 1693, ale nie zdołała już powstrzymać ruchu zbrojnego. Przypuszczano w niej już wszystkich katolików do adwokatury, notaryatu, urzędu prokuratorskiego; do wielu bardzo urzędów cywilnych i wojskowych, do katedr profesorskich w kolegiach; zniesiono zakaz małżeństw mieszanych [14].

Pomimo ustępstw tajna organizacya rozrastała się po kraju. Sami nawet protestanci, stojący poniżej latifundiowej arystokracyi, nabierali coraz większego apetytu do opozycyi. Dla

[13]) Z tem ograniczeniem, że katolik nie ma prawa nauczać ani w uniwersytecie, ani w żadnej szkole wyposażonej przez państwo, ani też być nauczycielem protestanta. Zakaz zapisów na szkoły i Kościół pozostał w swej mocy nadal i przetrwał nawet Trzecią Emancypacyę. Od r. 1832 w prawie do nauki porównani są Irlandczycy zupełnie z Anglikami.

[14]) W wyswobodzeniu prawodawczem Irlandczyków główną rolę odegrały prawa z 31 Geo. III C. 32 i 33 Geo. III C. 21. Urzędnicy katolicy składali dodatkowo przez prawo 31 (z 31-go roku panowania) Geo. III C. 32 przepisaną przysięgę. Aż do ostatniej emancypacyi Kościoła katol. w Irlandyi niewolno było katolikom przedstawiać na beneficya.

trzymania ich na wodzy, rząd angielski, korzystając z zepsucia i przedajności właściwej wiekowi, wydawał rocznie wielkie summy na przekupywanie parlamentu. Pieniędzy na te przekupstwa dostarczali panowie. Grattan, najdzielniejszy umysł i charakter ze wszystkich zasiadających w parlamencie, miał prawo pewnego razu zawołać: »Ministrowie sprzedają prerogatywy Korony, aby kupować prawa narodu«. Ale ta sprzedaż i kupno na nic się nie przydały. Anglicy zapóźno się spostrzegli, że im grozi powstanie; wybawiły ich tylko burze grudniowe na Atlantyku, nieroztropność wice-admirała Bouveta i niecierpliwość Hoche'a. Trudno sobie wyobrazić większe nieszczęście nad tę spełzłą wyprawę francuską do zatoki Bantry (w południowo-zachodnim rogu Irlandyi) na Boże Narodzenie 1796 roku [15]. Gdyby te 25 000 Francuzów, które miał Hoche, pod tak dzielnym dowódzcą wylądowały były na wyspie i, wsparte przez organizacyę narodową, ruszyły na Anglików, Bonaparte nie byłby się wzniósł tak wysoko, a dzieje Irlandyi, Anglii i Francyi, przez nie zaś i dzieje całej Europy, innym-by poszły torem. Burza, rozpędzając flotę, rozwiała i marzenia.

W Londynie sklecono naprędce *Insurrection Bill* i zaczęto ścigać przestępców, ale sprzysiężenia nie tknięto: i owszem, rosło ono ciągle w siły, a w końcu 1797 r. liczyło około pół miliona członków różnego stopnia. Naznaczony już był dzień powstania: 23 Maja 1798 r.; ale teraz znowu zdrada pośpieszyła Anglii z pomocą. Najęli się do niej: Reynolds Tomasz, katolik, kupiec dubliński, i kapitan Armstrong, z milicyi. Po pierwszej denuncyacyi, opłaconej hojnie 5 000 f. st., zaskoczono spiskowych w Dublinie, uwięziono Emmeta i dwóch innych; ale znajdujący się wraz z nimi Fitz-Gerald wyrwał się ze szponów i, niezrażony niczem, dalej prace przygotowawcze na oznaczony termin prowadził. Wtedy wychyliła z ukrycia miedziane czoło swoje druga zdrada. Milicya otoczyła dom, w którym ukrywał się Fitz-Gerald. Zaskoczony, długo opędzał się sztyletem, jedyną bronią, jaką miał przy sobie. Dzielność jego dała ludziom czas do zgromadzenia się na ulicy. Właśnie lud już zaczynał się wdzierać do wnętrza,

[15]) Opis w *Histoire de la révolution française* Thiersa.

aby uwolnić patryotę. Chwila tylko, a przyjdzie ocalenie; kiedy nagle padł wystrzał karabinowy i powalił bohatera na ziemię.

Powstanie, mimo to, wybuchło w nocy z dn. 23 na 24 maja (1798 r.), ale bez należytego przygotowania, a z obietnicami tylko pomocy francuskiej. W sierpniu i wrześniu w zatokach Kilalla i Swilly, na północy i zachodzie, wylądowali generałowie Humbert i Hardy. Humbert posunął się z Kilalli do Castlebaru, ale go wkrótce doścignął i do kapitulacyi zmusił, sam nie wiedząc, jak słabego przeciwnika ma przed sobą, Cornwallis, znany z wojny amerykańskiej, a uważany podówczas za najlepszego generała angielskiego. Ta kapitulacya pod Bellnamuckiem, z honorami wojskowemi i prawem odejścia, zawarta dn. 22 sierpnia 1798 r., była niespodziewanem dla Francuzów szczęściem na lądzie, gdy tymczasem na morzu cała ich eskadra w Zatoce Swilly wpadła w moc Anglików. Najdłużej trzymało się powstanie na południu; ale i tu w r. 1799 nic już nie drgnęło. Znowu trzydzieści tysięcy ludzi zginęło od kul i sprawiedliwości angielskiej. Duch wszakże nie ugiął się, nie złamał. Już po preliminaryach w Londynie (2 paźdz. 1801 r.), pomimo ugody o pokój brat zabitego Emmeta, Robert, zawiązał stosunki z Pierwszym Konsulem, później otrzymał od niego uroczyste zapewnienie pomocy. Czyby Bonaparte obietnicy dotrzymał? Wolno się domyślać za nim i przeciwko niemu; ale go uwolnili od zobowiązania sami Irlandczycy, wybuchnąwszy przedwcześnie dnia 23 lipca 1803 r. w Dublinie. Nowy ten ruch doznał losu poprzednich.

Już wtedy nie miała Irlandya tej udzielności, którą cieszyła się od r. 1782: sprzedali ją Anglikom protestanci, zasiadający w Parlamencie Dublińskim. Pieniądze angielskie zrobiły swoje. Przeszło milion funtów sterlingów (1 250 000) wydano na zakupienie sumień, ale je ostatecznie kupiono. Castlereagh, któremu, wspólnie z Cornwallisem, po Camdenie Pitt powierzył był uspokojenie i ubezwładnienie Irlandyi, z całym bezwstydem ofiarowywał cenę sprzedaży. W dniu głosowania, 30 czerwca 1800 r., znalazło się w Izbie Niższej tylko 115, w Wyższej tylko 26 głosów przeciwnych; 158 i 75 uchwaliło połączenie, od dnia 1 stycznia 1801 r. Ostateczne warunki zatwierdzono w dniu 2 lipca 1801 r. Stu deputowanych miało wpłynąć do Izby Gmin,

kilkudziesięciu parów irlandzkich do Izby Lordów angielskiej. Irlandya odzyskiwała zupełną swobodę handlową, tracąc resztę politycznej.

Takie były koleje narodu irlandzkiego do początku naszego wieku; taka jest historya Anglików w Irlandyi. Historya to pełna grozy, nieszczęść i gwałtów; ale przytem pełna i głębokiej nauki, poruszająca do głębi uczucie i rozum, przywiązująca silnie do najdroższych, męskich ideałów życia. W dn. 13 kwietnia 1829 r. zwalono resztę ścieśnień wyznaniowych przez Bill Emancypacyjny i przypuszczono katolików, a więc i irlandzkich, do parlamentu wspólnego oraz do tych urzędów, których jeszcze, pomimo dawniejszych wyzwoleń, zajmować nie mieli prawa [16]): zakazy dziś istniejące są już bez znaczenia. Bill Reformy z r. 1832 podniósł liczbę deputowanych z Irlandyi do 105. Później nadano wyspie prawo wyborcze na szerszej nawet podstawie niż w Anglii. W latach głodu 1846/8 wydał skarb i naród angielski 9 mil. f. st. na chleb dla Irlandczyków; obliczono, że na tensam cel i z tego samego źródła przez następnych lat trzydzieści kilka przybyło jeszcze 21 mil. f. st. Ludność wyspy w r. 1845 wzniosła się na najwyższy stopień swego natężenia; odtąd zaczęła przerażająco upadać: głód, nędza, polityka, a szczególniej emigracya do Ameryki, nie przestają wyludniać [17]) kraju, który, przy normalnych warunkach, wszystkim mógłby dać pole do użytecznej pracy i pożądanej działalności.

---

[6]) Prawo było już dość hojnem za Jerzego III, ale rzeczywistość nad wyraz skąpą. Na 2399 posad, które Irlandczycy zajmować mogli w Irlandyi, *116* tylko znajdowało się rzeczywiście w ich rękach w r. 1822.

[7]) Na r. 1801 ludność Irlandyi podana jest na 5 216 331; z powodu niedokładności statystyki, w związku z liczbami w. XVIII, lepiej będzie przyjąć okrągłe 5 milionów. W r. 1841 ma już Irlandya 8 175 124 a w r. 1845 8 300 000, w tem samych Celtów 7½ miliona W r. 1851 ogółu ludności jest tylko 6 552 385; w r. 1871 5 412 377 (katolików 4 140 000, episk. 683 000, presb. 503 000, pozostał. 86 377); w r. 1881 o 252 538 mniej, t. j. 5 159 839: liczby urzędowe. — Irlandczyków w Ameryce jest przeszło 3 miliony; w kraju pozostały 4 miliony; razem siedem.

Anglia kilkakrotnie już w tym wieku, a głównie w latach 1834, 1838, 1843, 1869, 1870 i 1881, poprawiała stosunki rolne Irlandyi, ale je źle poprawiała: tam, gdzie potrzeba przetworzyć, zdobywała się tylko i zdobywa ciągle na łatanie. W r. 1869 Gladstone zdjął ostatnie prawodawcze ślady niewoli przez tak zwany *Bill for the disestablishment of the Irish Church.* Kościół katolicki, który dawniej żył tylko z łaski, dziś ma już dla swoich 4 arcybiskupów i 23 biskupów wcale przyzwoity etat. Swobody nauczania nikt już dzisiaj w Irlandyi nie krępuje. W Dublinie posiadają Irlandczycy uniwersytet katolicki, w Maynooth — kolegium (1795 r.).

Bezwątpienia nie ma dziś jeszcze Irlandya wszystkiego, co mieć powinna, ale może już z tem, co ma, spokojnie żyć, pracować, rozwijać się, wyrabiać i zaoszczędzać swoje zasoby moralne i materyalne, kapitalizować rozum swój, wiedzę i geniusz. Niestety, w tym kierunku działalność Irlandczyków paraliżuje polityka gorączkowa, nielicząca się z teraźniejszością, a zagrażająca przyszłości. Powstanie Młodej Irlandyi w r. 1848 było wypadkiem nieszczęśliwym, ale narodowym; dzisiejsze wybryki Fenianizmu szkodzą tylko interesowi narodowemu: bo, zamykając wrota polityki pojednawczej od strony Anglii, jednocześnie zabijająco oddziaływają na lud. Długotrwałe ruchy rewolucyjne, jeśli nie są środkami do oświecania i rozpalania mas — obracają się zawsze na szkodę tych, których ogarnęły. Zapewne, potrzebuje Irlandya własności ziemskiej, samorządu, udzielnego parlamentu, za ideały je swoje uważać i dążyć do nich musi, a zrzekać się ich nie ma prawa, nawet w chwilach największej niedoli, jakie jeszcze na nią przyjść mogą; ale do urzeczywistnienia tych ideałów nie dojdzie przez wysadzenie w powietrze Ratusza w Liverpoolu, Pałacu Westminsterskiego, a choćby nawet samego Windsoru. Na tej drodze czeka ją tylko — cierpienie i niemoc narodowa.

XVIII.

KOSOWE POLE

WSPOMNIENIE ROCZNICY.

(1889)

Dnia 27 czerwca obchodzili Serbowie pięćsetletnią rocznicę wielkiego wypadku w swych dziejach: bitwy na Kosowem Polu. Bitwa była nieszczęśliwą, więc i obchód musiał być żałobnym. Ale życie mimowoli ucieka od śmierci; po żałobnych nabożeństwach kilka dni następnych poświęcono objawom uczuć nadziei i wiary, i w okolicach starożytnego Krużewacu, gdzie miał niegdyś stolicę swoją ostatni car niepodległy Serbii, w klasztorze Życzy, na pobrzeżu Morawy Serbskiej, zakończono dnia 2 lipca żałobę radosnym obrzędem namaszczenia dwunastoletniego króla Aleksandra. Na wielkich biesiadach urzędowych i w ściślych zaufanych kołach mniej zajmowano się przeszłością niż przyszłością Serbii — mniej hołdowano historyi niż polityce. Sam czas okazał się sprzymierzeńcem politycznym Serbów. Po przewrocie, jakiego dokonała abdykacya ojca dzisiejszego króla, Milana I, w dniu 6 marca r. b., obchód rocznicy kosowskiej zamienić się musiał w wielką manifestacyę polityczną, nawołującą wszystkich Serbów do skupienia się zawczasu i przygotowania na wypadki, nadciągające już coraz bliżej, coraz wyraźniej.

Współczujemy szczerze z pamiątką ich żałobną, uświetnioną przez uroczystości krużewackie, i posyłamy myśl życzliwą w tę rozkoszną dolinę Sitnicy, w której przed pięcią wiekami

Naród Serbski tak mało zaznał rozkoszy. Należy tylko z góry zastrzedz, że klęsce kosowskiej, po rozejrzeniu się w świadectwach historycznych, nie wolno jest przypisać takiego znaczenia, jakiego jej dotychczas podręczna historya nadawać nie przestaje. Państwo Duszana »Silnego«, czy »Wielkiego«, nie czekało na pogrom kosowski, nawet na Turków, aby się rozpaść: rozpadło się ze śmiercią swego twórcy podczas dumnego pochodu na Konstantynopol w r. 1355. Nie było już państwa serbskiego, kiedy Wukaszyn mordował Urosza V (1367); kiedy Bułgarya napowrót pod Szyszmanem używała swej niepodległości; kiedy sławiony królewicz Marko — wyjątkowy wybraniec losu, bo w życiu odstępca i zdrajca, a w pieśni bohater — sprzedawał swój dział, tę najświętszą dla Serbów, Starą Serbię, Turkom; kiedy u Wrót Trajana, w przesmykach pomiędzy Bałkanami i Rodopem, w r. 1376 wojska serbskie i bośniackie bił na głowę feldmarszałek Amurata I. Ilbeki; kiedy, nakoniec, Serbowie służywali jako zaciężni w armii padyszacha, daleko, bardzo daleko, aż w azyatyckiej Karamanii. Cała budowa państwa Duszanowego, sięgającego od Dunaju aż prawie po Adryanopol i Dodonę, od morza Czarnego aż do Adryatyku, skazana była na gwałtowne zawalenie się; więcej w niej pozoru, blasku, świetności, niż siły, trwałości, rzetelnej wielkości. Co duch wojowniczy podbił, czem ambicyę swą nasycał, to nie zrosło się z sobą organicznie, choćby tylko pod potęgowym, militarnym względem; wielkie państwo było właściwie tylko wielkim pękiem łupów, zebranych razem i trzymanych w potężnej garści ambitnego człowieka, który, marząc z jednej strony o pałacu nad Bosforem, z drugiej posyłał do króla francuskiego o rękę jego córki dla syna swego, Urosza.

Na trzy lata przed bitwą kosowską, car Łazar — zdaje się, że naturalny syn Duszana — za wspólną zgodą, widzących już blizkie niebezpieczeństwo, królików i wojewodów, uznany za naczelnika wojennego i hegemona, — utracił Nissę (Nisz) i Pirot (Szerkjoj), uznał się za hołdownika Amurata, zapłacił haracz i zobowiązał się dawać stałe posiłki wojenne. Wtedy już Bułgarya konała. Dobito ją dopiero w r. 1390, ale oręż turecki już w niej gospodarował. Łazarowi przyznać musi historya zasługę wydania ogólnego chrześcijańskiego hasła do walki z po-

hańcami. W rok po podpisaniu niezaszczytnego pokoju pozawierał Łazar traktaty przymierza z udzielnymi władcami półwyspu. Przyrzekli mu pomoc: król Bośnii, Twerdko; książę Hercegowiny, Vladko; Szyszman bułgarski, z konieczności już zaprzyjaźniony z Amuratem; despota Epiru; władca Köstendilu (w dzisiejszej zabałkańskiej Bułgaryi) i nawet chan tatarski w Dobrudży. Apostolskie poselstwa pobudziły Węgrów, a przy ustawicznych i bardzo wówczas ścisłych stosunkach z Węgrami, znalazł się na chwilę czynu i oddział ochotników polskich. Prawo zachowania własnego bytu nakazywało jaknajprędzej uderzyć na Turków, stojących już na ziemi serbskiej i w Bułgaryi. Siły tureckie na półwyspie, zwłaszcza z tej strony Bałkanów, były niewielkie; Amurat znajdował się w Azyi, zajęty porządkowaniem państwa, zabezpieczonego już od Karamanii przez zwycięstwo pod Ikonium (Konieh, Konia); szybkie działanie mogło zepchnąć Turków na południe, do zdobytego jeszcze w r. 1362 Adryanopola, i narazić ich na niebezpieczeństwo dostania się między dwa ognie, z jedynem wyjściem na morze. Zanim jednak sprzymierzeni zabrali się do czynu, już Amurat przeniknął ich zamiary, wydał rozkazy wojenne, zgromadził wojska, jakie miał gotowe, i przerzucił się do Europy.

Ociąganie się sprzymierzeńców, zmarnowanie całego roku 1388 w bezczynności miały ten skutek, że pomoc bułgarska była dla przymierza straconą. Od uderzenia na Turków w Bułgaryi należało rozpocząć działania; tymczasem załogi tureckie, a po części i strach samych Bułgarów — nie pozwoliły im zorganizować się wojskowo. Ale i bez posiłków bułgarskich wojsko chrześcijańskie było bardzo liczne. Historycy tureccy podają siłę jego na 200 000; napewne przesadzają, ale musiała ta siła być bardzo pokaźną i wynosiła prawdopodobnie 100 000 z górą. Car Łazar posłał pierwszy Muradowi wyzwanie do walki, a Murad do ostatniej chwili wahał się czy uderzyć. Przez zimę zbierano z obu stron wojska, z wiosną rozpoczęło się gromadzenie i pochód. Wojska chrześcijańskie zbierać się musiały pomiędzy Drynem, Ibarem i Bułgarską Morawą; gromadziły się powolnie, długo, a wyruszywszy w kierunku południowo-wschodnim, stanęły niedaleko od punktu zejścia się nad dopływem Ibaru, Sitnicą. Amurat szedł od wschodu i południa, ciągnąc ku

Wrotom Trajana, gdzie miał się spotkać z korpusem wyprowadzonym z Bułgaryi. Po połączeniu się wojsko tureckie liczyć mogło od 80 do 100 tysięcy ludzi.

Na początku czerwca obie armie stały już niedaleko siebie. Szły posłuchy o wielkich siłach chrześcijańskich. Wielki wezyr, Ali-basza, musiał wzmacniać ducha Amuratowego. Dnia 14-go czerwca obie armie znalazły się już w dolinie Sitnicy: chrześcijanie weszli do niej od północy i zachodu, muzułmanie od południa i wschodu. Dolinę Sitnicy, długą od Mitrowicy do Miraszu na południu na mil 8—9, ujmują, równolegle do biegu rzeki, z obu stron dwa łańcuchy gór Lubotyńskich, niewysokich; południowa ich część na lewym brzegu rzeki nosi nazwę »Drenickich«; dopiero na południu wzbija się już do znacznej wysokości Szar-Dagh Turków. Na prawym brzegu dotyka do doliny Prysztina, którą zajęły wojska chrześcijańskie. Od Prysztiny ciągnie się mała rzeczułka do Sitnicy; na południu z lewej strony wpada do niej Drenica, mając naprzeciwko siebie Labljanską Rjekę, a na północy, z prawej, — Lab. Góry z obu stron staczają się łagodnie w dolinę. Na ich stokach stanęły i rozłożyły się oba wojska: Serbowie i ich sprzymierzeńcy na lewym, Turcy na prawym brzegu rzeki, w równej prawie od niej odległości. Wnosząc z położenia grobowca Amurata, leżącego w pobliżu stacyi drogi żelaznej z Mitrowicy do Tessaloniki, można oznaczyć granice pola bitwy od zachodu i wschodu górami, od północy Labem, od południa Drenicą i Labljanską Rjeką.

Janczar Polak błędnie mówi, że bitwa zaczęła się w dzień Ś-go Wita, we środę. W r. 1389 Wielkanoc przypadła dnia 18 kwietnia, Zielone Świątki 6 czerwca, święty Wit we wtorek, dnia 15 czerwca. Tę ostatnią datę przyjęli Serbowie od Turków; własnej swojej nie mają, żaden bowiem z uczestników walki w szeregach Lazara, ani też ze współczesnych wogóle chrześcijan, nie zostawił opisu bitwy. Janczar podaje jeszcze inny szczegół, również błędny, z podaniem kronikarzy tureckich sprzeczny: każe bitwie ciągnąć się przez trzy dni, do piątku, zatem do 17 czerwca, który w rzeczywistości przypadł na czwartek. Podanie dotyczeć może tylko zachodzenia na bój, zwłaszcza wojsk chrześcijańskich; bitwa bowiem sama odbyła się jednego dnia, piętnastego, (w XIX wieku 27-go gregor.) i trwała 5—6 godzin. Ponieważ

dzień bitwy jest niewątpliwy, przeto owe dwa pierwsze dni przed rzekomo 17-ym czerwca mogły przypaść tylko na 13 i 14 czerwca.

Dzień przed bitwą był bardzo upalny i wietrzny. Wiatr wschodni sypał w oczy piasek muzułmanom. Amurat był w złym humorze, cała generalicya zwarzona, niespokojna, jakby przeczuciem klęski ogarnięta. Gdy przyszło do radzenia nad szykiem bojowym, wielu baszów i begów przemawiało za ustawieniem wielbłądów w pierwszym szeregu: miano więc bezwiednie naśladować Pyrrhusa pod Beneventem, ale przeważyło zdanie beglerbega Timurtasza, że taka taktyka szkodliwszą być może dla samych Turków niż dla nieprzyjaciół. W nocy spadł deszcz i poprawił humor i podniósł ducha Amurata. Zabobonny a pyszny, padyszach przypisał dar nieba wpływowi gorących swych modłów.

W obozie chrześcijańskim ucztowano tymczasem; pieśń serbska mówi, że w Krużewacu, rozumiejąc go jako Krużewac książęcy, w widłach Morawy Serbskiej i Bułgarskiej. Jest to fizyczne niepodobieństwo. Stolica cara Lazara leży w prostej linii od Kosowego Pola, o mil piętnaście na północo-wschód. Ale jest Krużewac w samej dolinie, poniżej Babinego Mostu nad Labem: tutaj mógł car Lazar wyprawić ostatnią, pożegnalną biesiadę swym wodzom, wasalom i sprzymierzeńcom.

Na uczcie tej wydarzył się wypadek, którego następstwa odbiły się na życiu sułtana Amurata. Dawno już płonęła nienawiść pomiędzy dwoma zięciami cara Lazara: Wukiem Brankowićem i Miłoszem Kobylićem (Kobyłowicz, Obylicz). Wuk oskarżył szwagra o knowanie zdrady i znalazł posłuch u cara. Lazar wziął do ręki wielki puhar, zwany »zdrawicą«, albo »nazdrawicą«, i, zwracając się do Miłosza, z ironią rzekł: »Pij za moje zdrowie, chociaż oskarżony jesteś o zdradę«. Na to Miłosz odparł: »Dziękuję ci za twoją zdrawicę; jutrzejszy dzień przekona cię o mej wierności«. I rzeczywiście przekonał. Fakt poświadcza Dukas, kronikarz bizantyjski.

Minęła noc, zajaśniało słońce po orzeźwiającym deszczu i dało miły poranek. Jedni na drugich czekali, aż o godzinie siódmej Amurat ruszył naprzód. Środkiem dowodził on sam, oba skrzydła prowadzili dwaj jego synowie: prawe Bajazet, lewe Jakób. W szyku chrześcijańskim na lewem skrzydle od strony Pry-

sztiny przeciwko Bajazetowi stał król Twerdko z Bośniakami, mając przy sobie siostrzeńca swego, Władka Wukowića; w środku sam car Łazar z Serbami i generał Despoty Epirockiego, Jerzego Kastryoty, Trogos Prović; na prawem Wuk Branković z Serbami, których wspierali Węgrzy i Polacy.

Armat jeszcze na Półwyspie Bałkańskim nie znano; zaczynały się wówczas dopiero pojawiać na zachodzie Europy. Bój rozpoczęli łucznicy tureccy gęstemi strzałami. Ostrzeliwając się wzajemnie, oba wojska szły ku sobie. Rzeka jeszcze je rozdzielała. Pierwsi natarli chrześcijanie. Atak wyszedł z prawego skrzydła; poprowadziła go jazda węgierska i polska, prawdopodobnie przesadzając rzekę. Jakób, syn Amuratowy, zachwiał się i, gdyby nie pomoc ze środka, byłby wypartym z pozycyi. Przy liczebnej przewadze chrześcijan groziła Turkom klęska. Kronikarze tureccy przedstawiają środki obu armii jako bezczynne. Tak być nie mogło. Pochlebstwo historyografów urzędowych wśliznęło się w świadectwa naoczne i zmąciło prawdę, aby na nowego sułtana rzucić blask męstwa i pomyślności orężnej. Przytem, kto ukazuje cara Łazara bezczynnym, ten posądza go o zdradę. Bajazet wreszcie nie mógł się odrazu z prawego na lewe skrzydło przerzucić, mając przeciwko sobie Bośniaków i znaczną odległość, na jaką linia bojowa rozciągniętą była. Więcej nawet, bo same źródła tureckie świadczą, że i prawe skrzydło pod Bajazetem przez pewien czas chwiało się i potrzebowało myśleć o własnej obronie.

Taktyczną przyczynę klęski do dziś dnia pokrywa tajemnica; jako psychiczną Janczar Polak i Serbowie wskazują zdradę; »Panowie, którzy byli przyjechali Łazarzowi na pomoc, mężnie i wiernie przy nim działali; lecz drudzy, przez szpary patrząc, dziwili się tylko bitwie, a przez takową niewiarę, niesforność i zdradę złych i niewiernych ludzi, bój stracony marnie« [1]). Podania narodowe Serbów oskarżają o zdradę Wuka Brankowicza, postawionego właśnie na prawem skrzydle, które

[1]) *Pamiętniki Janczara Polaka*, str. 63. O zdradzie Wołochów, prawdopodobnie Albańskich, Kuco-Wołochów, mówi Chalcocondyles w *Annales Sultanorum Ottomanidarum*, wydanych przez Jana Leunclaviusa we Frankfurcie nad Menem 1596 r. folio. Ob. w tem dziele *Pandectae*, str. 164.

pierwsze natarło. Przy grobie tego wroga Miłoszowego w Kruszewacu Turcy palili przez długie lata światło w dni świąteczne, a Karadžordžević, wódz pierwszego powstania narodowego w w. XIX, opanowawszy dawną stolicę Łazarową, kazał śmiertelne szczątki »zdrajcy« rozwiać na cztery wiatry. Musi być część prawdy w tej wzgardzie serbskiej i tych hołdach tureckich.

W żarze bitwy padł popłoch na wojsko chrześcijańskie, że Trogos Prović z Epirotami przeszedł do Turków. Był to fałsz, ale popłoch często zwykł obywać się bez prawdy. Rzeczywiście, Bośniacy z trwogi pierzchnęli; stało się to jednak już wtedy, kiedy Turcy wdarli się byli na prawy brzeg Sitnicy. Zagrożonym pozostawała albo obrona do upadłego na wzgórzach, albo też ucieczka; wybrali ucieczkę. Gdy Bośniacy tył podali, Serbowie, przez niechsamych zdemoralizowani, utrzymać się już nie mogli: ustąpili jeszcze przed zupełnem rozbiciem. Bój nie był bohaterskim, — więcej uciekło niż zginęło. Jeden z oddziałów nie oparł się, aż za Cetą i dał początek Czarnogórzu. Turcy zabijali, ale rzezi nie było. Znakomitszych, swoich i wrogów, chowano w ziemi, czerń pospolitą spychano do Sitnicy.

Milosz dotrzymał słowa. Saad-ed-Din z wielką napuszystością opowiada, że kiedy miecze i spisy z dyamentowych w hiacyntowe, z hiacyntowych w rubinowe ustawicznie się zamieniały, a powierzchnia ziemi przypominała kwietnik z tulipanów, nagle ukazał się olbrzym, pędzący od obozu serbskiego; rozbijał wszystko po drodze i, niepowstrzymany niczem, leciał ku namiotowi sułtańskiemu. Straż go zatrzymała, ale sułtan kazał go puścić i wezwał za sobą do namiotu. Tu olbrzym padł do nóg Amurata, silnie się ich uchwycił, szarpnął sułtana, powalił na ziemię i zatopił mu w piersiach nóż, który miał ukryty w rękawie. Nie dość na tem, bo zerwawszy się, miał jeszcze czas dopaść do rzeki i dopiero tam zarąban, a głowa przyniesiona nowemu sułtanowi. Na Kosowem Polu pokazywano niedawno jeszcze trzy kamienie, odległe jeden od drugiego na 30 metrów, a mające oznaczać punkta trzech skoków olbrzyma. Poeta turecki z XVI w. Nedzry, z większem już prawdopodobieństwem, twierdzi, że po zupełnem zwycięstwie, kiedy Amurat obchodził pobojowisko, skrytobójca, zaczajony w pośród trupów, zamordował następcę proroka. W tej czy owej oprawie, śmierć

Amurata nie mogła już mieć wpływu na los bitwy, która była przez Turków wygraną już wtedy, kiedy środek turecki wdarł się na lewy brzeg Sitnicy, nawprost prawego skrzydła chrześcijan, i pozycye ich opasywał. Wypadek nauczył Turków ostrożności: od bitwy na Kosowem Polu ustalił się zwyczaj, że każdego, kogo padyszach przypuścił przed swe oblicze, prowadziło pod ramię dwóch szambelanów, którzy przedtem surowo go opatrywali, zali niema przy sobie jakiego narzędzia śmierci.

Dał swoje życie Amurat I, ale i swoje też dać musiał Lazar. Wspomniony Nedzry mówi, że go wraz z synem schwytano przypadkowo; zgadza się to ze słowami Janczara: »W ten dzień (trzeciego dnia bitwy) równie był pojmany książę Lazar, blizko pewnego kościoła Matki Bożej, który nazywano Samodzielnym (tak)«. Miejsce pojmania długo upamiętniał słup marmurowy. Schwytanego księcia przyprowadzono przed sultana. Mętne podania wskazują tu jeszcze Amurata, ale zarówno powołane wyżej wyciągi z annalistów tureckich jak i *Pamiętniki Janczara* mówią już o Bajazecie. Przed obliczem sultańskiem miała się odegrać scena, dość żywo przez naszego pamiętnikarza opisana: »I rzekł cesarz: »Oto widzisz na marach ojca i dwu braci moich leżących: jakeś się śmiał o to pokusić i sprzeciwiać się ojcu memu?« Książę Łazarz na to nic nie odpowiedział. Odezwał się do niego Krajmir (jeden z wojewodów, razem z nim wzięty w niewolę): »Książę miły, odpowiadaj cesarzowi; głowa nie jest jako pień wierzbowy, aby dwakroć rosła«. Rzekł wtenczas książę Lazarz do cesarza: »Dziwną, zaiste, jest rzeczą, jak ojciec twój śmiał kusić się o królestwo serbskie?« — i tak mówił dalej: »Cesarzu Bajazecie! Gdybym to miał, czego teraz oczami nie widzę, musiałbyś i ty leżeć na marach; ale snadź to Bóg dopuścił: niech się dzieje wola Boża«. Zatem cesarz kazał ściąć głowę książęciu« [2].

Według Nedzrego, ścięto i ojca i syna; ten syn mógł być jednym z braci Stefana, który klęskę przeżył i był pierwszym despotą Serbii. Bajazet wydał Serbom ciało ostatniego ich cara. Poniesiono je najpierw do kościoła Zbawiciela w Prysztinie, a we dwa lata później daleko, do Rawanicy na pobrzeżu timo-

[2]) *Pamiętniki*, str. 65 i 7; *Annales* Leunclavii, str. 14.

ckiem; tu spoczywały przez trzy wieki. Kiedy po pogromie wiedeńskim rozżarła się nienawiść turecka, drogie Serbom szczątki w samym roku zwycięstwa Jana III przeniesiono pomiędzy Sawę i Dunaj, do Vrbnika, przezwanego również »Rawanicą«. Odwiedzali tu ostatniego cara Serbii, składając mu pocałunki na czole, liczni pielgrzymi, a i dziś jeszcze, dzięki szczątkom śmiertelnym Lazara, odbywają się tu wielkie odpusty, zgromadzające po kilkadziesiąt tysięcy ludzi.

Wielu Serbów podzieliło los swego cara. Znakomitszych a schwytanych na placu boju, kazał Bajazet brać pod miecz: musieli jednak być i tacy, którym Stefan wstawieniem się swojem życie ocalił. Wojewoda toplicki, ów Krajmir, schwytany razem z Lazarem, razem też z nim zginął — w śmierci jeszcze z nim nierozłączny. »Uprosił się cesarza, ażeby podołek szaty swej dzierżał pod głową książęcia Łazarza, by głowa jego do ziemi nie dopadła, a gdy głowa książęcia na podołek upadła, wtedy Krajmir wojewoda, pochyliwszy głowę swą ku głowie księcia, rzekł: »Poprzysiągłem Panu Bogu, że gdziekolwiek głowa książęcia Łazarza padnie, tam i moja leżeć ma«. A tak obie głowy razem na ziemię spadły« [3].

Tak padli uczciwi; ale również i zdrajcom niegodziwość ich nie przyniosła złotych owoców. »Żadnemu z nich na dobre to nie wyszło; albowiem po chwili małej, gdy przeglądano więźniów, zdrajców kazano pościnać, przypominając im: Coście panu swemu zrobili, tobyście i mnie uczynili« — mówi pamiętnikarz. O zbiorowych egzekucyach na zdrajcach Wołochach wspomina wyżej powołany Chalcocondyles.

Tak zakończył się bój na Kosowem Polu. Ucichła wrzawa, opadł kurz bitwy, krew spłynęła, odciągnęli i zwyciężeni i zwycięzcy, odleciało i ptactwo drapieżne; natura zwiała i zmyła powoli ślady ponurego pochodu śmierci: tylko serce dosłyszeć mogło jęk w powietrzu, o klęsce świadczący. Dolinę Sitnicy ożywiły nanowo śpiewem i gwarem wesołym ucieszne ptaki, które w niesłychanej obfitości gnieżdżąc się w przytykających do niej lasach, nadały jej od siebie przez tradycyę przekazaną

[3]) *Pamiętniki*, str. 67.

nazwę[4]. Jak dawniej tak i dziś jest to jeden z najurodzajniejszych i najponętniejszych zakątków ziemi serbskiej. Na pamiątkę bitwy pozostało oprócz owych trzech kamieni legendowych, mauzoleum Amurata na prawym brzegu rzeki, w temsamem miejscu, gdzie stał namiot sułtański. Grobowca strzegą derwisze, mający doskonałą sposobność do rozpamiętywania znikomości rzeczy ludzkich, a tureckich w szczególności. W grobowcu pokazują wiernym do dziś dnia zachowane wnętrzności padyszacha. Ciało samo zaraz po bitwie przewieziono najpierw do Sofii, potem do Brussy, gdzie Bajazet wystawił wspaniały meczet, by przy nim »sułtana zwycięzcę« pochować.

Od bitwy kosowskiej datuje się zbrodniczy zwyczaj zabijania braci każdego nowego padyszacha. Napewne mordu dokonano na jednym, owym Jakóbie z przydomkiem »Zelebi«, który dowodził lewem skrzydłem tureckiem, i choć nie wytrzymał pierwszego ataku jazdy polsko-węgierskiej, według samych Turków jednakże, nietylko dobrze się sprawił, ale i mężnie walczył: tem niegodziwszem było okrucieństwo; lecz interes państwa przedewszystkiem! Rocznikarze tureccy usiłują pamięć samego Bajazeta oczyścić ze zbrodni: winnem ma być otoczenie sułtana. Zaraz po czynie Obylicza — twierdzą roczniki tureckie — przedniejsi panowie *(proceres)* posłali po Jakóba. Gdy stanął przed namiotem, zaprosili go do środka, mówiąc, że ojciec przed skonaniem chce go jeszcze widzieć. Nieszczęśliwy młodzieniec, nie przeczuwając zdrady — jak jej ojciec jego nie przeczuwał — wszedł do namiotu. W jednej chwili otoczyli go mordercy i zasiekli[5]). Bajazet nie miał już współzawodnika; był spokojnym, był silnym, potężnym. Potęga ta jednakże nie przeszkodziła Tamerlanowi w kilkanaście lat później wsadzić go do klatki — niby dzikie zwierzę na pokaz.

Stefan zaraz na pobojowisku złożył Bajazetowi hołd, — którego brzemię ciążyło już na jego ojcu — przyjął obowiązek płacenia rocznego haraczu, oddał cesarzowi jednę z dwóch sióstr swoich (Marya i Despina) w małżeństwo i otrzymał za to wszystko

[4]) *Annales Sultanorum:* »Ita denominatus (campus) a copia merularum«. Niemcy, chcąc utrzymać *s* w wymawianiu, muszą je zdwajać w pisowni. Błędnie naśladują ich i nasi.

[5]) *Annales Sultanorum,* str. 134.

prawo do życia, tytuł despoty serbskiego i zupełny samorząd wewnętrzny. Turcy wcale mu kraju nie zajęli, uszczuplili tylko jego granice od południa. Plądrowali po Bośnii, zdobywali Widyń, niszczyli z pomocą samych Serbów pobrzeże Dunaju na Węgrzech: Serbii pozwalali żyć spokojnie. Węzły powinowactwa nie mało się do tego przyczyniały, nawet po śmierci Bajazeta. Serbia istniała dalej, ale politycznie upadła. Samowiedza narodowa coraz bardziej się rozstrajała. Kiedy Warneńczyk pod Nissą, przy współdziałaniu Hunyadego, zwyciężał, daremnie oglądano się za Serbami, a kiedy w rok później dał szlachetne swe życie za wiarę, za ludy chrześcijańskie, za Serbów samych, despota Serbii, Jerzy, chwytał uciekających z pola klęski Węgrów i Polaków i wydawał ich Amuratowi II na dalekie rynki azyatyckie. W r. 1459 Mahomet II wtargnął do Serbii, a w pięć lat później przez podstępne zamordowanie Stefana Bośniackiego, przy obleganiu warownego zamku nad Vrbasem — wraz z nim umorzył i te liche prawa do despocyi serbskiej, jakie miał zamordowany. Na lata 1460—70 przypada początek niewoli Narodu Serbskiego. W końcu XV w. rządzili nim już baszowie. Natura despotyzmu tureckiego sprawiła, że przeszło po trzech wiekach, hasło, dane przez Jerzego Czarnego, w piersiach Serbów zastało jeszcze serca serbskie. Turcy nie tknęli ani języka, ani wiary, a ustrój społeczny nawet poprawili. Ruchy lat 1804 i 1815 zaświadczyły o narodzie, że żyje, a potem już własny trud krwawy i zewnętrzne, nader przyjazne, okoliczności zapewniły mu niepodległość.

SPIS RZECZY

DRUKARNIA
W. L. ANCZYCA
i SPÓŁKI
W KRAKOWIE